



SFINKS

Lipiec i Sierpień, Rok 1909.

Cena zeszytu rb. 1 kop. 80.

Treść zeszytów VII (19) i VIII (20), Lipiec i Sierpień 1909 r.

	Str.
Apolonjusz Kędzierski: <i>Luźne kartki o Józefie Bronie</i>	1
Z. Miłkowski (T. T. Jeł): <i>Z archiwów muzealnych polskich w Rapperswilu</i>	20
Jan Kleczyński: <i>Marzanna</i>	41
Dr. Adam Zielenczyk: <i>O miłości platońskiej</i>	63
Jan Adamowicz: <i>Jutrzejszy dzień</i> (poemat)	75
Walery Gostemski: <i>W kaplicy sykstyńskiej</i>	95
Józef Artur hr. Gobineau: <i>Z cyklu Michał Anioł</i> (tł. Jan Grabowski)	111
Leon Wasilewski: <i>Z życia kulturalnego Ukrainy</i>	122
Tadeusz Korczyński: <i>Pielgrzymi</i> (dramat)	135
Adolf Strzelecki: <i>Powieść polska w r. 1908/9. II</i>	170
Bronisław Piłsudski: <i>Na niedźwiedziem święcie u Ajów z wyspy Sachalinu</i>	206
Edward Abramowski: <i>Psychiczna postać zapomnianego</i>	222
Józefa Klemensiewiczowa: <i>Gustaw of Gejerstam</i>	245
Jerzy Huzarski: <i>Piotr Jan Bérenger</i>	252
Władysław Bukowiński: <i>Na fali</i> (teljeton)	259

DODATKI ARTYSTYCZNE:

Portret Józefa Brandta (według fotogr. Goleza)	1
Józef Brandt: <i>Obrona zaścianka</i>	17
Portret własny Michała-Anioła	94

RYSUNKI I WINIETY:

Boguckiego, Kozłowskiego, Minkiewicza, Plewińskiego, Rembowski, Tabińskiego, Włodarczyka, Wolmana, Wronieckiego i innych na str. 1, 19, 20, 40, 41, 62, 74, 75, 93, 111, 121, 122, 134, 135, 169, 170, 205, 206, 222, 244, 245, 252, 258, 259, 270.

Papier z fabryki C. A. Moesa.

Klisze wykonano w zakładach fotochemigraficznych Wierzbickiego i S-ki i Sawickiego.

SFINKS

CZASOPISMO LITERACKO-ARTYSTYCZNE I NAUKOWE

WYDAWANE I REDAGOWANE

przez

WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO.

ROK II. TOM VII.

WARSZAWA.

Adres Redakcji: Hortensja 4.

1909.

K-[cz] 10/81



Spis rzeczy, zawartych w tomie VII „Sfinksa”.

(Lipiec, sierpień i wrzesień r. 1909).

I. Studja i rozprawy literackie i artystyczne.

„Luźne kartki o Józefie Brancie”, przez Apolońjusa Kędzier- skiego	I
„W kaplicy sykstyńskiej”, przez Walerego Gostomskiego . .	94
„Powieść polska w r 1908/9. II, przez Adolfa Strzeleckiego	160
„Gustaw of Gejerstam”, przez J. Klemensiewiczową	245
„Piotr Jan Béranger”, przez J. Huzarskiego	252
„W setną rocznicę (1809 4/IX 1909)”, przez Wł. Bukowiń- skiego	273
„Słowacki „anielski”, przez Wiktora Gomulickiego	293
„Król-Duch” czy „Królowie-Duchy?” przez Ignacego Matuszew- skiego	321
„Słowacki i Wiszniewski”, przez L. Méyeta	375

II. Powieści, poematy, dramaty, opowiadania i wiersze liryczne.

„Marzanna”, przez Jana Kleczyńskiego	41 i 402
„Jutrzejczy dzień”, poemat przez Jana Adamowicza . . .	75
„Z cyklu „Michał Anioł”, djałóg przez hr. J. A. Gobineau w przekładzie Ign. Grabowskiego	111
„Pielgrzymi”, dramat przez T. Konczyńskiego	135 i 420
„Na niedźwiedziem święcie u Ajnów”, przez J. Piłsudskiego	206
„Z pieśni XII „Beniowskiego”, przez J. Słowackiego	313
„Urywek z „Króla-Ducha”, przez J. Słowackiego	316
Parafrazy z poezji niemieckiej przez J. Weysenhoffa . . .	398
„Zagasto światło...”, przez R. Kreczmara	419

III. Studja i rozprawy naukowe i społeczne.

„Z archiwów muzealnych polskich w Rapperswilu“, przez Z. Miłkowskiego (T. T. Jeża)	20
„O miłości platońskiej“, przez dr. A. Zielenčzyka	63
„Z życia kulturalnego Ukrainy“, przez L. Wasilewskiego	122
„Psychiczna postać zapomnianego“, przez Edw. Abramow- skiego	222

IV. Sprawy bieżące.

„Na fali“, feljeton przez Wł. Bukowińskiego	259 i 436
„Zygmunt Noskowski“ (wspomnienie pozgonne), przez dra A. Chybińskiego	440
„Konkurs poetycki „Sfinksa“	443

V. Dodatki artystyczne.

Portret Józefa Brandta	1
Obrona zaścianka, przez Józefa Brandta	17
Portret własny Michała Anioła	94
Juljusz Słowacki, szkic portretowy Eligjusza Niewiadam- skiego	272
Juljusz Słowacki, rzeźba Wacława Szymanowskiego	289
Portret J. Słowackiego	312
Portret Michała Wiszniewskiego	376
Portret Juljusza Słowackiego	377
Dodany osobno portret dziewczynki, rysunek J. Rembow- skiego.	

Rysunki i wstawki: Ap. Ankowskiego, J. Boguckiego, Fidusa, Ko-
złowskiego, E. Mejrowej, H. Minkiewicza, Z. Plewińskiej, J.
Rembowski, Tabińskiego, Trzebińskiego, Włodarczyka,
Wolmana, Wronieckiego i innych.



APOLONJUSZ KĘDZIERSKI.

LUZNE KARTKI O JÓZEFIE BRANCIE.

Zgoła niepodobny do urobionego typu artysty z po-
wieści sentymentalnej,—Brandt z wyglądu—raczej zama-
szysty szlachcic, pełen humoru i fantazji. To też nieraz
zapytywano mię ze zdumieniem doznanego zawodu: „Jak-
to?—więc to... jest Brandt—malarz?“

Twarzy nieco ogorzałej—ożywionej ruchliwym uśmie-
chem całego policzka, z wyrazem nadzwyczaj sympatycz-
nym, pociągającym szczerością i dobrocią.

Niedość,—trzeba widzieć Brandta przy pracy—odra-
zu wyczuwa się naturę bogato uposażoną, wszystko dają-
cą z siebie, z tych zasobów wspaniałej indywidualności,
co wraz z wyjątkową pracowitością zupełnie usprawiedli-
wia olbrzymią ilość obrazów, z których bardzo wiele
mieści się w galerjach i muzeach Europy i Ameryki.

Dość przypomnieć, że pierwszy wystawiony obraz:
„Tatarzy z łupem“, nosi datę roku 1860, wykonany przez
19-letniego młodzieńca!

Brandt pracuje zawsze gorączkowo, wszystkimi
nerwami, a na wyrazistej twarzy widnieje cały proces

Sfinks.

myśli skupionej; — sposób zaś wykonywania rozwija równie plastycznie; nie zwykł bowiem czynić nic w połowie — niedociągać obrazu, — stąd ta miara, co zwie się ekspresją wyrazu. Płótno, farby i artysta — to jedna całość — pełna zacięcia malarskiego, energii i dzielności — robota pali się! — „wzięcie“ takie przekonywa.

W sposobie traktowania plastyki, tonu i barwy — posiada Brandt właściwy sobie styl, którym dzieła jego wyróżniają się z pośród tysiąca innych obrazów. Śmiały i zdecydowany, energiczny w ujęciu sylwety przedmiotu, dosadny w wydobywaniu ruchu mas ludzkich i konskich — w zagłębieniach terenu i planowaniu na nim olbrzymich partji, nad którymi panuje z nadzwyczajnem poczuciem łamania się światła, w lot chwytych na złomach skotłowanego cielska, w którym dzieć się ma coś tragicznego.

Zdaje się, jakby olbrzymi wąż gniótł w potężnym uścisku zwały fantastyczne koni, ludzi, wozów, namiotów i Bóg wie czego; a wszystko spiętrzone w zwarciu walczących żywiołów.

Odmęt niezmiernie skomplikowany, i na rzut oka nie wydaje się możliwem orjentowanie się w tym chaosie plam, po całej przestrzeni płótna rozrzuconych; lecz — biegnie wprawna ręka w te właśnie miejsca, gdzie rozgrywać się ma główna akcja. Z wprawą szalonej umiejętności i wiedzy, paroma śmiałymi linjami wprowadza ład zamierzony, — sens najważniejszy widnieje teraz, jak na dłoni, — już niczem nie da się on rozerwać! A ileż to pokus na ten sens czyha nieustannie — jak łatwo zgubić się.

Obawy niema żadnej, — Brandt potrafi — jak mało kto — dać sobie radę z takimi trudnościami. Właśnie dla nich i na przekór, lub może dla popisu brawurą szaloną, biegłością w zawodzie — coraz śmielsze wprowadza kontrasty, — lecz nagle — o dziwo! — cały obraz w pełnem bogactwie barw i tonów zamałowywa szerokimi pociągnięciami, a czyni to jednym tchem, cały biorąc się w siebie, w sku-

pieniu najwyższem myśli i czucia. Wtapia w obraz tony za tonami — w nich giną stopniowo wszelkie zbyteczne szczegóły — zaledwie majaczące teraz gdzieniegdzie. Wszystko jest zagłębione w subtelne, powietrzne tony, i oko raczej wyczuwa przyćmione blaski; lecz i te za chwilę gasną coraz bardziej, — kolory zbyt jaskrawe porażają się w przeczucia barwne.

Całość przedziwnie interesuje swą fantastycznością. Nie starczy — zdaje się — sił fizycznych, by w krótkim czasie dokonać tak kolosalnej pracy — jednym niemal zamachem.

Przybliżył artysta, — czoło zroszone — znać zupełne wyczerpanie. Rozumiałem — koniec temu na dziś, tymczasem chwila spoczynku, i Brandt zrywa się, nanowo chwyta za pędzle — i nagłym ruchem zgarnia farbę z palety, jak śmietanę, — nakłada świeże kolory i ostatecznie obraz dostaje to właśnie uzupełnienie, w imię którego zmieniał ton całego obrazu. Oto, — ponad walczącymi nie tkniętem jeszcze niebo zostawało — w pierwotnej skali barwnej, przez co całość wydaje się niedość zharmonizowaną. Wystarcza jednak chwila, i blaski nadmierne zwolna nabierają tonów przejrzystych, nadzwyczajną dyskrecją miarkowanych, a po jasnych przezroczach kłębią się teraz chmury, wichrem gnane, kryjące w sobie brzaśki niedostrzegalne.

Nie widziałem bowiem w obrazach Brandta, by na tura nie brała udziału w walkach ludzkich na ziemi, — przeciwnie, wszystko razem szamocze się w jakimś wściekłym opętaniu. Jest to już cechą tej fantazji, jej patosu romantycznego, co wprzęga wszystko naokół do jednego zamiaru — jednego nastroju.

Pamiętam, ile to zarzutów spadało na głowę Brandta za brak konsekwencji — w imię wymagań ścisłego naturalizmu, który miał gotowe zawsze nakazy czystego rozumu, narzucającego pojęcia, wręcz przeciwne naturze artysty. Brandt instynktownie poddawał się porywom

własnej tylko indywidualności, przyznając jednocześnie słusność „rozumowaniom“ przyjaciół.

Ach! — ci przyjaciele Brandta! Wierząc, że natura istotnie drwi sobie z walk i namiętności ludzkich, — że nie wzruszają one nawet żdźbła trawy, Brandt nie mógł jednak nie związać całości obrazu w jednym uczuciu, — nie był w stanie, mimo znanej uczynności, dogodzić rądom serdecznym; — natomiast zniechęcony — pracę odkładał.

Są wrażenia, co na zawsze w nas zostają. Wszystko obecne, jakby przesłoną przyćmione, gdy tamto—dawne—w całej sile jaśnieje; — chwilami i dziś czuję, że jeszcze oddycham młodem weselem duszy, a złudzenie trwa mimo ubiegłych lat blisko trzydziestu od owej pamiętnej dla mnie chwili, gdy młodzieńcem stanąłem przed Brandtem.

Imię to już wówczas w dziejach sztuki świetnie zapisane zostało. Malarstwo, jak narkotyk, upajało, i najwyższemu uwielbieniu przejmowały mnie obrazy Matejki i Brandta. Iwan Groźny stawał się widmem żyjącem, drżałem ze wzruszenia wobec przedziwnego obrazu: fatalna, tragiczna postać Iwana i dziś ściga moją wyobraźnię, widzę migotliwe blaski w oczach krwawego fantasty, dzwonią w cerkwiach dzwony, szubienice ciałami kołyszają, a pijana zgraja wyje w upojeniu. Co za gienjalna wyobraźnia stworzyła wizję tę okropną! Zamykam oczy, a oto step bezbrzeżny z kurhanami w sienie oddali, w bujnych trawach suną drużyny zaporoskie, a Konaszewicz Sahajdaczny na czele, z hetmańską powagą kroczy w zadumie niejasnych przeczuć, wszystko zaś w blaskach i barwach słońca połyskuje. Nastrój ten—działa jak objawienie wszystkich snów moich o dzikiej, fantastycznej Ukrainie. Poemat rycerski, z bogatej wyobraźni Brandta wysnuty, tchnie cały jednolitością uczucia, a znany jest z Wystawy Powszechnej w Paryżu 1877 r. pod nazwą „Powitanie stepu“.

Może są to urojenia egzaltowanej młodości — ona tak stroić umiała wszystko w blaski i barwy przedziwne? Bynajmniej! Wiele, wiele malarstwa od onej chwili przesunęło się przed memi oczami — a obrazy te pozostały mi równie drogimi, jak niegdyś, gdy śnił dopiero o sztuce.

Siła wielkich talentów budzić poczęła z uspienia nowe, nieznane dotąd uczucia, rozplamiała wyobraźnię, a dzieła takich mistrzów, jak Matejko, Grottger, Kossak, Brandt, Chełmoński, były przedmiotem najgorętszych rozpraw w gronie młodych, szukających dopiero drogi ku wyżynom myśli i uczucia.

Najbliższym towarzyszem moim, gorącym wielbicielem malarstwa, był Marjan Zarembski. Kochał się w Grottgerze, o nim jednym marzył.

Sztuka stała się naszym celem, i wszystko zdawało się sprzyjać z chwilą, gdy Brandt podał nam swą rękę życzliwą. Czegóż bowiem więcej pragnąć mogliśmy? A jednak zwątpienia zaraz na wstępie omotały nas siecią zdradziecką; zwłaszcza towarzysz mój, — natura bardzo wrażliwa, — w ataku desperacji nie znał żadnej miary, — w pień wyklinał zarówno niestałość kształtów, jak zmienność ruchliwość odbłasków. Cały ten świat fantastyczny co jawił się i nagle zniknął, uważał wprost za wroga osobistego — darzącego drwinami z próżnych zachcianek. „Nie widzę, na czymby się oprzeć“ — utyskiwał żałośnie — „gdzież mam szukać odpowiedzi, wobec tysiącznych naraż zagadnień? W sobie samym i naturze — powiadasz? — lecz pomyśl: czy to możliwe? Wszak widzisz — wymyka się wszystko i ginie niepowrotnie — nie powtarza się nigdy to samo zjawisko!“ „Za czymże więc gonić?“ — rozpacział Zarembski — „czy za tą chimera — nigdy nie uchwytaną?“ — „Nie, to istne warjactwo!“

Tak rozprawiając, zapuściliśmy się zwolna w gęstwinę parku orońskiego (letnia siedziba Brandta). Ciemniało, powiał wiatr zlekka, — nagle towarzysz mój — jakby

tknięty myślą ostateczną—zaklął gwałtownie: „A bodajby zginał ten, co malarstwo wymyślił!“

Wtem—zblizka—odezwał się głos dobrze znajomy: „Skądże ja ci tego zdrajcę wezmę?“ — rzekł Brandt wesoło. — Ale uspokój się najpierw, Marjanie kochany, bo dalibóg nie wiem, kogo masz na myśli“.

Brandt dla młodzieży prawdziwym był przyjacielem, posiadał dar niezwykle wyczuwania trosk, przed nim tajonych, jak również podtrzymywania w nas zapału. A ten go nigdy nie opuszczał, zarówno jak fantazja i złoty humor. Zdawało się, praca twórcza pochłania cały zapas sił,—bynajmniej! Chwilowe zużycie szybko mijało—zadziwiał poprostu nadzwyczajną żywotnością.

Zaremski, mimo nałogowego niemal desperowania, najlepsze swe obrazy w Orońsku namalował, a „Siewca“ przyniósł mu medal srebrny w Paryżu i franków tysiące. Również nie wiedział, jak się to stało.

Brandt i wtedy był duchem opiekuńczym, Zaremski bowiem malował obraz wprost z natury — przez wiosnę, lato i jesień — zmieniając ton i kolor obrazu, stosownie do pór roku. Zima naprawdę zagrażała, wtedy Brandt doprowadził Zaremskiego do decyzji uwaga, że przecież na śniegu nie sieją!

Nacisku w myśl własnych upodobań Brandt nie czynił żadnego, — przeciwnie, gdy wyzwalać poczęliśmy się z pod mimowolnej sugiestji wielkiego talentu, z żywym uznaniem powitał zmianę, jaka w nas zaszła, — do czego najbardziej przyczyniły się bezpośrednie i poważne studia z natury, nadto wynikające stąd refleksje rozwijały w nas samodzielność i wraz z tem wietrzały wszelkie obce wpływy; zresztą dość już mieliśmy słów, obietnic, kierunków i rozmaitej sensacji malarskiej, no — i — równoległej arogancji fanatyków, narzucających swe wierzenia z całą bezwzględnością.

Brandt wyrażał się dobitnie o wszystkich doktrynach: „Paleta malarza — to jego kierunek“. A przecież interesował się naprawdę ruchem współczesnej sztuki,

żywy biorąc udział w wystawach wielkich ognisk artystycznych.

Sądzę, że dostatecznie charakteryzują Brandta słowa, które przytoczę z listu do mnie i Zaremskiego, pisanego z Paryża pod świeżym wrażeniem wystawy, gromadzącej wszystko, co sztuka miała wówczas najwybitniejszego.

Oto dosłowny ustęp listu:

„Wszystko przepada z małemi wyjątkami przy tych mistrzach Francji, — widać tu wielki ruch artystyczny, który mię niezmiernie interesował. Przyszedłem do przekonania, że tylko doskonalić się w tem, co każdemu dane — nie oglądając się na nikogo, — to najlepsze wyda rezultaty“.

W tych słowach prostych, jasnych wyczuliśmy troskliwą życzliwość, co dostrzegła walkę i wahania, jakie przechodziliśmy. Słowa przytoczone nie mogły oznaczać braku uznania dla rozwoju i postępu myśli artystycznej, lecz gromadne umawianie się na jedną, niezawodną receptę razić musiało artystę, wskroś indywidualnego.

Brandt zachęcał nieustannie do wytrwałych poszukiwań, — a utyskiwaniom na trudności i drogę mozolną — dawał zwięzłą odpowiedź: „Starosta lub Kapucyn!“

Brandt — widocznem było — nie uznawał szkoły, niańczącej wszelkie mazgajstwo, — szkoła jednak w Orońsku była, lecz ta, co hartowała.

Kogóż w Orońsku nie widywano? Młodych malarzy wabił urok świetnego imienia Brandta. Prócz mnie i Zaremskiego — towarzyszami letnich studjów bywała również p. Jasieńska, młodziutki, przedwcześnie zmarły Kania, syn znakomitego muzyka, wreszcie Józef Ejsmontt, obecnie znany przyrodnik-zoolog. Zadziwił Brandta ten młodzieniec w mundurku studenta i teką, pełną rysunków, ilustrujących „Pana Tadeusza“, scen, doskonale pomysłanych, — dających miarę lotnej wyobraźni i wybornej pamięci. Brandt od razu zaprosił pana Józefa do stałego odwiedzania Orońska, przeznacząc dla nas oddzielną

pracownię, niegdyś dla studjów w pleinair'u zbudowaną. Jak w ulu, rojno i gwarno tu bywało — a modeli dość — z całej wsi.

Wogóle malarstwo widoczny miało przywilej w Orońsku, — pełno go było w czworakach, sadach i w stajni, a stangret Jakub doszedł do takiej wprawy przez wożenie Brandta na studja, że bez pytania wstrzymywał konie, doradzając: „O — o! jaki akuraty kawałeczek do roboty!“ Na jesieni każdy z nas wywoził moc rysunków, studjów rozmaitych i jeden chociażby obraz skończony, — co następnie dawało możność prowadzenia dalszej nauki w Akademji.

Brandt był naszym dobrym duchem, życie zaś artystyczne w Orońsku zawdzięczało wiele gorącej życzliwości pani Brandtowej; wytwarzała się miła atmosfera dla wszystkiego, co piękne i podniosłe, — co wiązało się z tradycjami znanej poetki Pruszkowej, która tutaj niegdyś ogniskowała życie literackie *).

Notuję luźne przypomnienia, z myślą, że one objaśniają grunt duchowy, z niego bowiem powstała i cała działalność Brandta — artysty i człowieka.

Łączność i harmonja taka — nieczęsto bywają spotykane — niestety! A jednak posiadają one głębsze znaczenie, i kultura wewnętrzna znajduje silne odbicie w dziełach, uduchowionych szerszą myślą artystyczną, — ona to nadaje

*) W Orońsku na każdym kroku spotyka się oko z pięknymi formami, pamiątkami ludzi, co talentem zdobyli miejsca swego pobytu. Alfred Schouppé wykonał poważne dekoracje w kaplicy z Madonną uroczą piękności, — w pałacu zaś znajdują się tegoż artysty wspaniałe pejzaże, pełne siły światła, — a obok w buduarze widzimy sufitowe dekoracje alegoryczne, — niżej zaś znakomity portret pani Amelji Pruszkowej, przez Fanhausera malowany. Dłuższy czas przebywał w Orońsku art. rzeźbiarz Władysław Milkuszy i zostawił liczne figury alegoryczne, w kamieniu ciosowym wykonane. Miłe sprawiają wrażenie na tle poważnego parku orońskiego. Wyborne są tu portrety Józefa Brandta, Schouppego i pani Brandtowej, pędzla Wł. Czachórskiego.

dziełom sztuki — najwyższą jej cechą. Zastrzegam się, iż nie mam bynajmniej na myśli — jakichś idei pedagogiczno-społecznych, lub czegoś w tym rodzaju. Nic z tego wszystkiego! Jedno mię tutaj zajmuje, t. j. prawda wszechludzka w sztuce, odtwarzająca najgłębsze dążności duszy ludzkiej.

Sztuka winna radować życie atmosferą czystych pragnień, cenioną zaś być dla siebie samej, bez względu na to, jakie niesie nam przypomnienia — sławy, czy — nie-sławy. Ileż to słów zużyto, ile estetyk, naukowością maskowanych, usiłowało narzucić sztuce nakazy praktyczne! Daremne wysiłki! Spekulacje owe pozostały i nadal zbiorem wyrazów, sztucznie na ten cel wymyślonych, i nie zdołały zatamować wolnego wzlotu ku prawdzie; — musi ona pozostać najzupełniej niezależną, jako najwyższy dar myśli ludzkiej, a w sztuce jest najcenniejszym jej pierwiastkiem.

Prawda i szczerość stają się jednak łatwo frazesem, i trudno uwierzyć takim objawom sztuki, co pozorami prawdy żyć usiłują — a powabna i bardzo nadużywana nazwa szczerości pozostaje bez znaczenia, jeśli głównym jej sensem ma być jedynie dokładność szczegółów, zgodnych z soczewką aparatu fotograficznego; — pozostanie ona zawsze zdolnością tylko oka fizycznego, — a tymczasem sztuka jest siłą wyrażania *nie rzeczy, lecz uczuć*.

Szczęściem fanatyzm realistyczny przeminał, ustępując miejsca sztuce, na duchowych pierwiastkach opartej. Źródło wahań w swobodnym rozwoju naszego malarstwa jest łatwe do wytłomaczenia: najpierw panowaniem do niedawna jeszcze nieznośnego szablonu klasycznego, a następnie nadużyciem słodko-czułostkowej anegdoty, ukrywającej nicosć artystyczną. To wszystko musiało wreszcie wywołać protest, który wyraził się w gwałtownym odruchu — w przesadnej adoracji starego parasola, odtwarzanego z nabożnym pietyzmem. Zadanie tak ograniczone — wykonywano z całą maestrją i sumiennością — zwąc to szczerością.

Wówczas i aparat fotograficzny powołany został na jenerałnego kontrolera „szczerej prawdy“, — stał się niejako sprawdzianem sztuki.

Ruch ten—pomimo swego zaślepienia—miał i dobrą stronę — przede wszystkim *zbliżył do natury*, a jednocześnie zdjął maskę z bóstwa skostniałego a uroczystą szatę zdeptał, stawiając wzamian krańcowy kult natury z zastosowaniem sztucznej izolacji, polegającej na zrzeczeniu się pierwiastku indywidualnego; a to w imię poszanowania wyrazu natury, nieskażonego żadnym dodatkiem osobistym.

A Brandt? — Brandt, nie oglądając się na zręcznie pomyślane doktryny, pracował w skupieniu ducha i z tem większym zapalem tworzył własne fantazje rycerskie, cały zapatrzony i zaśluchany w światy, wysnuwane z ognistej wyobraźni, używając wzorów natury o tyle tylko, o ile pomagały one do obrazowania ulubionych koncepcji, a kierował się w tem wrodzoną intuicją.

Wiara w aparat fotograficzny nieodrazu przemigła, obiecywano sobie po nim bardzo wiele, lecz temperamentu i wyobraźni twórczej zastąpić nie był on w stanie! Brandt czuł to bardzo dobrze,—a jednak—i on na chwilę uległ pokusie — z wynikiem wielce charakterystycznym. Przyglądaliśmy się z zaciekawieniem, jak Brandt na wsi zabierał się do kontrolowania ruchów końskich—przy pomocy aparatu migawkowego. Oto rozbiegany koń na lince służył za modela, Brandt celował w niego zawzięcie i co raz dodawał: „A tom go utrafił!“ Strzelał tak do ostatniego ładunku; zziąjany, lecz kontent biegł co tchu do piwnicy, a my wtrop. Wywoływacza nie żałujemy — mija godzina, dwie i... nie! Mistrz klnie — dopiero Zaremski przypomina: „Czy aby kasety były przesuwane?“ „Do licha, — no, tom się spisał!“ Aparat został w piwnicy na zawsze. Był on zresztą zupełnie zbyteczny wobec fenomenalnej pamięci, jaką Brandt się odznaczał; czułość oka miał nadzwyczajną, — czyż potrzebował lepszego aparatu? Ulubione studia ru-

chów końskich czynił w sposób właściwszy, i najczęściej, gdy stadninka o zachodzie wracała z pastwiska i w złoście kurzawie grały setne rżenia, Brandt czuł się w swoim żywiole—nie tracił żadnego efektu, żadnego ruchu,—żrebec z impetem na podwórze wpadały, oko i pamięć stawały się niezawodnym aparatem.

Już to koń był zawsze prawdziwą namiętnością Brandta — wątpię, czy namalował cośkolwiek bez konia; namiętność ta równała się malarskiej, ściagała wszędzie: w pracowni, czy w polu lub lesie, a myśl uporczywa figle nieraz płała.

Jesienią, na odjeździe ze wsi, urządził Brandt polowanie w lasach orońskich, polowanie stylowe. Tuzin strzelb najeżonych, miny groźne, jak na grubego zwierza, stan wojenny, sygnałem w kniejach ogłoszony! Brandt odgraża się tylko na lisa, zając—fraszka! „Pilnujcie się, aby niedaleko“—przypomina raz jeszcze.

Stanowiska zajęte. Cudna jesień! Cisza głęboka; żaden liść nie drgnie; mieni się wszystko barwami i blaskami; las jakby złotem przetykany; oko biegnie śladem czaru słonecznego; wreszcie zapomina się o wszystkim i o całym regulaminie.

Zaremski,—jako że był zawsze niesforny—pierwszy ruszył ku mnie i już razem kierujemy się ku Brandtowi, a Brandt, jakby czekał na nas, gawęda idzie — aż miło. Nagle budzi nas szelest z pobliza: lis to mądrała wytknął pyszczek ostrożnie i mignął płomykiem w gęstych podszyciach. Tyleśmy go widzieli! Brandt aż zachwiał się z bólu, struty wielce—zaklinał: „Na miły Bóg,—nie gadajcież aby o tem!“

Chybiona sposobność w lesie, lecz za to nazajutrz istna rewolucja w obrazach, oczywiście według planu, na stanowisku ułożonego.

Niepowodzenie w lesie lub w polu łatwiej przeboleć — niżli w obrazach. Z tymi bywało gorzej! Wtedy Brandt, wzburzony cały, z plamami żółciowemi na sienie twarzy, zjawiał się nagle w naszej pracowni i wbrew

zwyczajowi, milcząc poglądał wzrokiem przygaszonym. O! nie poznałbyś tego optymisty, pełnego zawsze najświetniejszych projektów! Poprostu — nie ten człowiek. Zdawało się: chciał niby coś przemówić, a słowa w gardle więzną, wreszcie wyrzucił z głębi: „A niech tam djabli porwaj! ot, wiecie chłopcy, ruszajmy lepiej na „awansturę“, dokąd oczy poniosą!“ Na to hasło wnet wózek gotowy, siadamy, krępy mierzyniek rwie z kopyta, mkną bezdroża i wertepy, a wiatr od czoła rozpędza strapienia. Już Brandt wpada na swój temat ulubiony — o Juljuszu Kossaku, Ukrainie, którą razem niegdyś za młodu zwiedzali, oglądając tam resztki dawnej, bujnej, cudnej Ukrainy. Stamtąd Brandt wywiózł te krasy, któremi potem obrazy ozdobił. A gawędziarz to nieźrównany, wrażenia maluje dosadnemi porównaniami, trafniemi i nagłemi zwrotami, okazując prawdziwy talent krasomówczy. Właśnie! Krasomówcą jest Brandt i w malarstwie! Ta sama plastyka słowa, ten sam styl i siła obrazowania myśli, wszystko zaś przeniknięte żywą uczuciowością.

Brandt nie tylko z natury był świetnie obdarowany i przez to samo mógł zwać się wybrańcem losu, lecz istotnie los szczenił mu zawodów, nie dał zaznać walk życiowych, przedwcześnie wyczerpujących. Nie znaczy zresztą, by łatwo było Polakowi - przybyszowi zdobyć wśród obcych uznanie, sławę, zaszczyty i wielkie powodzenie. Na to trzeba w dwójnasób więcej złożyć dowodów swej wartości rzeczywistej, tej jednak nie śmiano Brandtowi zaprzeczyć. Zdobył to wszystko wielką pracą i wielką dla sztuki zasługą. Nawiasem dodam, że artysta nasz manifestacyjnie podkreśla polskie swe pochodzenie, umieszczając na każdym obrazie obok nazwiska wyrazy: z Warszawy, by z powodu brzmienia jego nie zostawało żadnych wątpliwości.

Brandt, przebywając stale w Monachjum od lat wielu (od r. 1863), godnie reprezentuje polską kolońję artystyczną, zarówno talentem, jak życiem bez skazy, nadto — jako człowiek poważnie wykształcony i w stosunkach

towarzyskich wielce wykwinny, zjednał sobie poważanie i sympatję ogólną. Stał się w sferach monachijskich osobistością bardzo popularną. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że liczna bardzo kolońja polska w stolicy Bawarii korzystała z wyjątkowej życzliwości, do czego Brandt niewątpliwie się przyczyniał, a regent bawarski, ks. Luitpold, zwiedzał pracownię naszych malarzy, znał większość osobiście, lecz jego — nie wszyscy, i wtedy zdarzały się zabawne *qui pro quo*. Do Monachjum zdążali Polacy ze wszystkich dzielnic, z Warszawy, Krakowa, Lwowa i Poznania; słynęły niegdyś Ateny niemieckie z wielkich swobód i udogodnień życia artystycznego, nie znano jeszcze w prasie naganki na cudzoziemców.

* * *

Duch czasu, co tak plastycznie wyraził się w dziełach Brandta, wspólny jest całej grupie wielkich twórców sztuki polskiej. Brandt jest jednym z pierwszych, co wniósł u nas do sztuki pierwiastek rodzimy, a potrafił go rozwinąć w formie i stylu tak odmiennym i zarazem wytwornym, że dość spojrzeć na obrazy Brandta w galerjach i muzeach Europy, by ocenić odrębność wyrazu tych dzieł znakomitych, nadto ich wysoką kulturę artystyczną, dzięki której znalazły zaszczytne miejsce w szeregu mistrzów sztuki współczesnej. Przedmiot bowiem tych obrazów obcy był dla Zachodu, i dzieła Brandta li tylko kulturą swą zjednały sobie tak poważne uznanie. Świeże oblicze młodej i jędrnej sztuki polskiej jaśnieje tu pełnym blaskiem, znacząc imię „skreślonego narodu“ wymownym wyrazem.

Jakże wyglądało malarstwo nasze przed laty jeszcze pięćdziesięciu?

Były to niejasne zaledwie przecucia, wylaniające się jakby z mgławicy brzasków porannych. Dopiero siła wielkich talentów — w bezpośrednim odczuwaniu form życia własnego i dziejów ojczystych — nastąpił rozkwit

sztuki polskiej. Ten podniosły nastrój myśli artystycznej wydał szereg dzieł, z tragiczną przeszłością związanych. Im rzeczywistość bytu narodowego w głębszą zapadała się przepaść, tem żywiej duch upominał się o prawa istnienia, tem droższą stawała się pamięć minionych dni, i jakby na przekór wrogim wysiłkom zatamowania wszelkich objawów życia duchowego, wyobraźnia tem śmielsze snuła widzenia. Uczucia te znalazły odbicie w sztuce, zakłute zostały w obrazach, nie dających się „skreślić“, a duszą ich był zapal niepohamowany, siłą moralną — prawda, twórczą—drgania wciąż żywego serca.

Działalność Brandta, to niby fantastyczna wstęga, mieniąca się barwami tęczy, rozwijająca się w setkach wspaniałych kreacji, obrazujących epokę heroicznych zapasów z Tatarami, Kozactwem i Szwedami. Momenty tej nawałnicy dziejowej, co łunami zatoczyła krąg olbrzymi od strony kresów wschodnich, znalazły w Brancie malarza niezrównanego. Z krwawego oddechu walk staczanych jawiły się coraz nowe formy, w ujęciu nadzwyczaj trafnem epoki i jej rysów charakterystycznych; te umiał przeniknąć w jakimś przeczuciu intuicyjnym — zmysłem artysty, historyka i archeologa.

Estetyka malarska Brandta polega na śmiałej, energicznej robocie, każde poruszenie pędzla jest widoczne, zrozumiałe, odznacza go celowość i decyzja. Niema tu żadnego „piłowania“, nużącego oko, niby wahaniem—jankaniem; cała bowiem praca przygotowawcza w porę usuniętą zostaje. Tem objaśnia się swobodny wygląd, dowodzący zupełnego opanowania przedmiotu, przyczem nie widzi się nigdzie nie milego nadmiaru farby. Koloryt świeży, barwy żyją, umiejętność kontrastowania nadzwyczajna, a przy bogatej tonacji, poczynawszy od gam najjaśniejszych, aż do głębin—zawsze powietrznych—sprawia to wszystko rozkosz dla oka.

W estetyce środków malarskich Brandt nie ma nic zapożyczonego od sztuki Zachodu, a tę *niezależność* pochytać należy za wielką zasługę, zwłaszcza u nas, gdzie

służalność dla obcego smaku jest niemal kultem, z którego czyni się zaszczyt — zaszczyt, wyznaje — parweniżowski.

Łakomstwo na gust paryski jest u nas nie mniejsze, jak w Budapeszcie, Lublanie, Białogrodzie—nie mniejsze, jak u modystek ostatnich nowości sezonowych. Trafnie mówi Sizeranne wobec niewolniczego poddawania się gustowi Paryża o „kolońjach smaku francuskiego“ w najrozmaitszych zakątkach i zaściankach, gotowych błyszczyć choćby pozorem wielkoświatowości. Pretensjonalna poza zawsze spóźniającego się szykowca — trapi i nasze malarstwo. Niema jej śladu u Brandta.

Krasomówstwo malarskie Brandta powstało z tego żywotnego gruntu, co i nasza poezja i literatura, romantyczny jej nastrój wykołysał w młodej, ognistej wyobraźni wizję, w których Brandt żyje stale, w ciągu półwiekowej blisko swej działalności, zawsze świeży i dzielny, zawsze w zgodzie ze sobą i konsekwentny, w założeniach ideowych.

Wpływ dumki ukraińskiej Bohdana Zaleskiego jest oczywistym w „Powitanie stepu“. Tym obrazem Brandt zapoczątkował szereg odmian tejże koncepcji artystycznej. Najwcześniejsze zaś prace są ilustracjami utworów literatury naszej, jak sceny z „Przygód Winnickiego“ Wincentego Pola, a wpływ stylu Kossaka jest tu najwidoczniejszy, zarówno w sylwecie, jak w ruchu konia—to samo zacięcie, lecz pojęcie pejzażu dowodzi bezpośredniej obserwacji natury. Piękne te akwarele pochodzą niewątpliwie z czasów studenckich Brandta, gdy jeszcze zostawał na kursach inżynierji w Paryżu, tutaj bowiem poznał się osobiście z Juljuszem Kossakiem za pośrednictwem Stanisława Lessla, wuja swego, wielkiego miłośnika sztuki, któremu następnie i ja zawdzięczam poznanie się z Brandtem.

Kult artystyczny w rodzinie Brandta istniał oddawna: matka artysty malowała z zamiłowaniem piękne pejzaże; pamiętam tę niezwykle uduchowioną staruszkę,

gdy fotografie, wycinki i recenzje o pracach ukochanego syna segregowała niemal codziennie, wczytując się po raz setny w żywe zgłoski; one miały uprzytomnić przyjazd upragniony tego, którego sławą żyła wyłącznie. Węzeł między matką i synem był pełen niewysłowionej tkliwości.

W początkowych pracach Brandt idzie niewątpliwie śladami literatury. Widzimy to w „Zaścianku Dobrzyńskim” lub słynnym „Hajże na Soplicę”. Miniaturowy ten obrazek niepospolitym tonem od razu zapowiadał znakomitego artystę. Epizody zaś z pamiętników Paska zapoczątkowały szereg przeróżnych utarczek ze Szwedami, a kwiatem tego okresu twórczości jest „Czarniecki pod Warką”. Wspaniały ten utwór, jeden z najlepszych ze wszystkiego, co Brandt namalował, zdobi obecnie galerję obrazów w Savannah w Ameryce.

Brandt w obrazach staczał boje nieustanne, kochał się lub sprawiał huczne jarmarki w Bałcie, Jarmolińcach, zapuszczając się nawet w Opoczyńskie kraje. Doskonały jest obraz z tego zakątka mazurskiego. Obok tego malował liczne sceny myśliwskie, wreszcie zobrazował historję konia w cyklu, z czterech części złożonym, w czterech pięknie pomyślanych nowelach. Brandt dał malarstwu naszemu typ konia bojowego w użyciu Zaporozca i w tem okazał miarę najsubtelniejszego odczucia typu konia.

Typ stepowca ukraińskiego, gienjalnie wyczuty, o budowie bardzo zwężłej — kościstej, nóg pewnych, muskułach wybornie zaczepionych, piersi szerokiej — energicznej; rodzaj tych koni cechowała lekkość, siła i wytrwałość, obok nadzwyczajnej zwinności w boju; takim właśnie jest koń zaporoski w obrazach Brandta („Powitanie stepu” i „Jarmark w Bałcie”). Natura odjęła, co prawda, wdzięk i grację temu typowi, z głową przyciężką i biodrami wystającymi, lecz zostawiła kości, mięśnie i sięgna, jak struny; na koniach takich wpływ bystre nurty Dniepru i Dniestru przepływali siczowi bojownicy, przez



JÓZEF BRANDT: „Obrona zaścianka”.

nich one cenione były nadewszystko dla wytrzymałości na głód i trudy.

Brandt wyczuł i odgadł ten rodzaj z przechowanych gdzieś jeszcze typowych cech na Ukrainie, a rysy charakterystyczne stepowca, jego koloryt, oddał z subtelnością nadzwyczajną. Nieinaczej przedstawiać się mógł bojowy towarzysz Zaporozca. Sam Zaporozec, ten zuchwały do szaleństwa łupieżca, bojownik na wielką skalę, przesiąknięty wskroś dziegiem i łojem, najwięcej przekonywa doskonałym wyrazem głowy i rąk, trudno wyobrazić sobie coś bardziej drapieżnego — pierwotnego.

Ze wszystkiego, co Brandt malował, wyziera najpierw napiętność i poczucie konia, ten jest głównym bohaterem; on rzuca się w wir walki w susach sprężystych, z impetem niewstrzymanej zaciekłości; gra oko roziskrzone, z chrapów rozdętych — ogień tryska; pieni się gniewem i parską; a piersiami energicznymi rozsadza, jak klinem, zbitą kupę walczących, która w paroksyzmie napięcia sił zamienia się w orgję krwawą. Słyszysz się dokładnie kwik i rzenie, trzask pękającego pierścienia pod naporem rozgrzanych piersi końskich, nerwowych drgań ostatniego wysiłku. Łamie się wreszcie ściśnięte kolisko i wypada z niego, jak rozluźnione ogniwo — stepowiec dereszowaty. Zwolniony już od jeźdźcy, rwie teraz, jak wichler, z grzywą rozwianą, z prerażeniem w oku; zatacza łuk widoczny ruchem przechylonej, wygiętej szyi i grzmi już wprost na widza, szukając wolnej przestrzeni. Właściwie to Brandt szuka wolnego tła dla dogodzenia swemu temperamentowi i pasji w uwydatnianiu wszystkich rysów oszalałego rumaka, którego sylwetę rzuca na płótno z energją, śmiałością i nadzwyczajną sprawnością ręki. Stanowczo Brandt więcej kładzie pasji w konia, niż w człowieka!

Powabem i smakiem nęca szkice ołówkowe, akwarele, podznaczane „na gorąco“, wprost z natury chwytane sylwety, w ruchach przelotnych, zda się, z ostatnią kreską —

niknące, jak zjawisko. Szkice te są doskonale! Smak logiki szybkiej, pełnej subtelnych niedomówień — djablo trafnej w charakterze — sprawia wrażenie czegoś niezwykle żywego. Trzeba niesłychanej wrażliwości oka, pamięci niezawodnej, żeby w naglącej chwili nie pominąć czegoś, co wiąże się z wyrazem życia, wszystko działać się musi instynktem samym, nie czas już na wahania! Linje nie biegają tu samopas, lecz odrazu mocno zaczepione w węzłach organicznych, szerokich uchwytach, wiążą się w całość ściśle streszczoną. Szkiców, rysunków, notatek takich widziałem ilość nieprzebraną, Brandt sięga do tego zapasu zamiast szukać modelu-karykatury, sięga do tych dokumentów, ilekroć pamięci swej nie ufa.

Niektóre natomiast rysunekzki są zgoła odmiennie traktowane, jakby dla wyuczenia się każdego szczegółu, wygrawiurowanego niby ryłcem na srebrze, wyrobione mocno w granicach cienia i światła. Precyzji moc, a cierpliwości niemniej.

Kiedym pierwszy raz rysować zaczął pod kierunkiem Brandta, zadana miałem taką właśnie lekcję cierpliwości: trzeba było narysować zwisającą gałąź lipiny, od spodu pod słońce widzianą, liść za liściem, z żyłkami budującymi je, następnie z cieniem i światłem, refleksami i rzuconym cieniem na liść sąsiedni; to wszystko musiałem wyrobić, nie pomijając różnic tła, na którym gałąź świeciła.

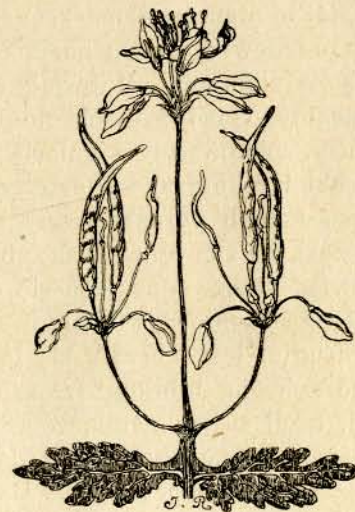
Pot spływał ze mnie, a kiedym już skończył, uradowany — chciałem odejść, lecz Brandt na to: „Hola, panie bracie! to nie sztuka! powtórz-no teraz, jako wrażenie, to, coś widział — lecz z pamięci!“ Ćwiczeniom takim przypisywał Brandt duże znaczenie w nauce malarstwa.

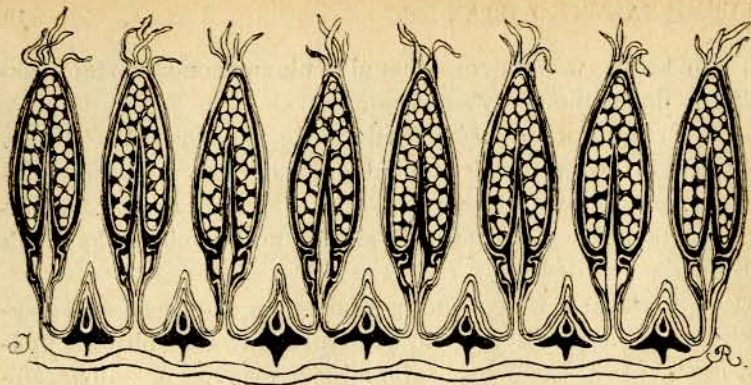
W zakończeniu wspomnę jeszcze o jednym obrazie, zgoła odmiennym — a przypadł mi bardzo do duszy. odbija on od dekoratywnego malarstwa Brandta — niby kopciuszek zapomniany. Znam ten obraz oddawna, i zawsze nęcił mię przedziwnym czarem niezwykle głębo-

kiego tonu, w którym uczucie niezmacone zostało żadnym dodatkiem zbytecznym.

Przedmiot, o który malarz się zaczepił, to — noc. Nieba tylko skrawek ponad domostwami mizernej miejsciny; niżej, wśród ładownych sani z końmi, mającą ciemne postacie, w głębi zaś tli się w podziemiach kaganek kopający i — dość.

Senność i wilgoć nocy idzie z tego obrazu — niezwykle subtelnego. Słyszy się jeno przeżuwanie obroku końskiego, niby szept w tajemniczej ciszy. A kolor? Nie mam dla niego nazwy, ani dla całej gamy nieznacznych, niepochwytłych i nadzwyczaj miękkich tonów. Nie wiem również, czem naprawdę obraz namalowany. Za to harmonija pozostanie mi w pamięci na zawsze, jak prawdziwy poemat nocy.





Z. MIŁKOWSKI (T. T. JEŻ).

Z ARCHIWÓW MUZEALNYCH POLSKICH

W RAPPERSWILU.

Szczupłe dochody nie pozwalają Radzie Muzealnej, zawiadującej Muzeum Narodowym Polskiem w Rapperswilu, zaprowadzić w niem systematycznej pracy naukowej, dotyczącej przedewszystkiem znajomości materiału, znajdującego się w zbiorach. Materiał rozpada się na dwa działy: muzealny, okazowy, archeologiczno-numizmatyczno-pamiętkowy, obejmujący i galerję obrazów; oraz biblioteczny (druki i rękopisy). Pierwszy, w gablotach pozamykany, na ścianach porozwieszany i na podłogach porozstawiany, czeka na znawców, którzyby wśród okazów odkryć zdołali świadectwa, odnoszące się do kultury narodowej, a mające znaczenie cywilizacyjne.

Z działem drugim losy obeszły się łaskawiej w tym względzie, że po szeregu bibliotekarzy, dorywczo fach ten traktujących, trafił się człowiek, w książkach — jako sam onych wytwórca — rozmiłowany i w dar obchodzenia się z nimi przez naturę zaopatrzony. Dzięki zdarzeniu temu, porządkowanie biblioteki wedle systemu dziesiętnego, ułatwiającego ogromnie naukowe i onej spożytkowywanie, rozpoczęło się i śmiałym naprzód posuwa się krokiem. Szłoby ono łatwiej i śpieszniej, niż idzie, gdyby

praca ta, prowadzona przez dwóch ludzi (bibliotekarza i pomocnika jego), liczyła pracowników pięciu przynajmniej, wliczając w to specjalistę, jeżeli nie specjalistów, od rękopisów, stanowiących przeważnie dział archiwalny, zawierający w sobie wskazówki, na zaznaczenie zasługujące, a kto wie, czy i nie tajemnice, których odkrycie posłużyłoby do rozwiązania jakiego ważniejszego zagadnienia naukowego.

Sprawa możliwych w Muzeum tajemnic zwróciła na siebie uwagę Rady Muzealnej. Na jednym z posiedzeń jej, wywołała ona dyskusję, z której wywiązało się zamianowanie z wybranych osobistości Komisji, celem rozpatrzenia i ocenienia zbiorów archiwalnych. Komisja, lat parę wyczekiwana, zebrać się nie mogła, a niemożność ta, na zjeździe r. 1907 wykazana, spowodowała wystąpienie moje z propozycją powierzenia mi zadania, jakie Komisja rozwiązać miała.

Propozycję moją spotkał los jajka Kulumba. Zawotowano ją jednogłośnie, wyznaczono mi nawet remunercję, o którą się nie upominałem. Owoc pracy roku pierwszego (od 1-go Sierpnia 1907 do 31 lipca 1908), podnoszącej rąbek tajemnic archiwalnych, podaję czytelnikom *Sfinksa*.

* * *

Stosując się do rady Sz. Bibliotekarza, p. Wacława Karczewskiego, zabrałem się do pracy, zaczynając od przeglądu zbioru pamiętników i do kategorii tej należących opracowań drukowanych i rękopiśmiennych. W zbiorze tym natknąłem się odrazu na pamiętniki bezimienne, znajdujące się na kartkach katalogu alfabetycznego, złożonych w szufladzie osobnej. Z katalogu tego wynotowałem rękopisy same, w liczbie siedmiu, zaznaczone numerami. Numery 377 i 378, wedle treści onych, pozwalają domyślać się, że są one pióra gienerałowej Kazimierzowej Małachowskiej i odnoszą się: pierwszy do r. 1831, drugi do r. 1845 i dalszych, kończąc się na 1 Stycznia r. 1864.

Zostały one ogłoszone drukiem w odcinku dwutygodnika „*Głos Polski*“, wychodzącego w Paryżu r. 1887-88.

Numer 126. „*Mémoires sur la Révolution de Pologne 1794*“.

Autor nie podpisany. Rzecz pisana wyraźnie, na arkuszach papieru szarego, we czworo złożonych. Bez początku i bez końca. Robi wrażenie takie, jakby to było tłumaczenie z polskiego. Arkuszy 25 numerowanych — jeden, 4-ty, przez omyłkę snadź, podwójnie. Na próbę przytaczam początek, trzymając się ściśle ortografii rękopisu:

„Le dévouement du courageux Madalinski, ses premiers succès, des mouvements convulsifs dénotant l'effroi des ennemis, la terreur des traitres qui tenaient à Varsovie les rênes du gouvernement, enfin cette fermentation qui présageait des grands événements étaient aux yeux des observateurs les présages du réveil terrible d'un peuple qui secoue ses fers, le présage plus certain de la destruction des tyrans“.

Ustęp ten początkowy przypuszczać każe, iż poprzedził go wstęp, odnoszący się do przygotowań wybuchu powstania w Krakowie, d. 24 marca 1794 r. Ani słowa o układach i naradach, głównie w Dreźnie i Warszawie, bez których powstanie nie byłoby nastąpiło. Tylko numerowanie arkuszy świadczy o początku „Pamiętników“, które na stronie przedostatniej arkusza, zaznaczonego u góry cyfrą 15, u dołu 16-cie, zawiadamia czytelnika o zakończeniu „Księgi pierwszej“ (Fin du premier livre).

„Księga druga“ (Livre second).

Pierwsza obejmuje nazwany przez T. Korzona („Kościszko, życiorys z dokumentów wysnuty“) „Okres Racławicki“. Drugą nazwać by należało okresem szczekocińskim, gdyby nie kończyła się na stronie ostatniej arkusza 25-26 dwukropkiem, urywającym opowiadania ciąg dalszy.

Interesującym jest okres racławicki, podający szczegóły bitwy pod Racławicami, poprzedzone opisem wybuchu powstania w Krakowie. Ze szczegółów tych na zanotowanie zasługują różnice ze szczegółami, podanymi w „Życiorysie Kościuszki“, a mianowicie: u Korzona garnizon

krakowski składał się z bataljonów szefowstwa Wodzieckiego i szefowstwa Czapskiego, pamiętnikarz zaś bezimienny zamiast Czapskiego wymienia Potockiego. W opisie wybuchu powstania w Warszawie, nazwisko Kilińskiego, który w niem taką wybitną odegrał rolę, nie figuruje wcale. O sławnym szewcu znajduje się w nim sucha, w księdze drugiej, wzmianka, wśród osobistości, zamianowanych na zastępców członków Rady Najwyższej.

W Księdze długiej Rada ta podległa krytyce ostrej autora „*Mémoires*ów“, który w niej występuje, jako Polak i jako republikanin gorący. Że jest Polakiem świadczy o tem przedimek „nasz“ (nôtre), „nasza“, „nasze“ (nos) w zastępstwie przymiotnika „polski“, „polska“, „polskie“, przy rzeczownikach „interes“, „sprawa“, „przyszłość“. Powtarzają się one często w krytyce działalności organizacyjnej i politycznej Kościuszki, ulegającego we względzie tym — zdaniem autora — radom Ignacego Potockiego, którego pomawia niemal o zdradę sprawy polskiej, przypisując mu wprowadzenie Kościuszki w błąd, co do neutralności Prus wobec powstania polskiego — neutralności, za którą jakoby Potockiemu ręczył Buchholz, legat pruski w Warszawie. Prawdopodobieństwo racji tej uznaje do pewnego stopnia Korzon („*Kościuszko*“ str. 363—364).

Pamiętnikarz nie poprzestaje na tym zarzucie jednym. Łączy z nim jeszcze następujące: nie uskutecznienie zniesienia poddaństwa ludu, oraz ustanowienie Rady Najwyższej w Warszawie, nie drogą wyborów powszechnych, ale mianowania dyktatorjalnego, skutkiem czego weszli do niej w części większej reakcyoniści, do których, obok Ignacego Potockiego, zalicza Ign. Zakrzewskiego, Stan. Mokronowskiego, Kochanowskiego i innych wielu.

Zarzut najcięższy, jaki ze strony bezimiennego autora „*Pamiętników*“ Kościuszkę spotyka, polega na niezagarnięciu, po wybuchu powstania w Krakowie, Galicji, w której Austria siły zbrojne nie posiadała więcej nad trzy tysiące inwalidów, oraz na oszczędzaniu Prus, które na zmobilizowanie wojska przeciwko powstaniu w Polsce

potrzebowały czasu dwa miesiące przynajmniej. Był to, zdaniem autora, błąd, który niepowodzenie spowodował.

Zdaje mi się, że Pamiętnika tego ani Korzon, ani żaden z autorów bądź to życia i działalności Kościuszki, bądź też dziejów Polski porozbiorowych, w ręku nie miał. Jeżeli się we względzie tym nie mylę, pamiętnik ów zasługiwałby na ogłoszenie w tłumaczeniu na język polski, dla szczegółów, jakie w sobie zawiera.

Niewiadomo, kiedy i od kogo pamiętnik ten wszedł do zbiorów biblioteki polskiej w Rapperswilu. Bibliotekarze dawniejsi nie mieli zwyczaju notowania pochodzenia rękopisów, bezimiennych zwłaszcza. Wiadomość o pochodzeniu takowych mogłaby do pewnego stopnia ułatwić dojście nazwisk autorów.

Numer 71. Opowiadanie bezimienne oficera wyższego o osobistym jego udziale w bitwie, przegranej, pod dowództwem Mierosławskiego, 17, 18 czy 19 czerwca r. 1849 pod Hohenheim, w wielkim księstwie Badeńskim, przeciwko wojskom niemieckim i pruskim, dowodzonym przez owoczesnego następcę tronu pruskiego, Wilhelma, późniejszego (r. 1870) cesarza niemieckiego. Opowiadanie to, pisane po francusku, służyć może w części dla historyka życia i działalności Mierosławskiego, w części dla historyka rewolucji badeńskiej.

Numer 85. Tytuł: „Początki rewolucji. Wpływ jej na mieszkańców kraju 1830—1831”—jest tytułem pierwszego rozdziału rękopisu obywatela, który się o wybuchuonej dowiedział d. 4 grudnia r. 1830 w mieście Końskie, w województwie Sandomierskiem. Świadczy on o wielkim zachwycie, z jakim wszystkie klasy ludności wiadomość o wybuchu przyjęły, szlachta zwłaszcza, która, na wiarę podpisów książąt Czartoryskiego i Lubeckiego, spodziewała się powrotu przywilejów dawnych. W rozdziałach następnych, traktujących o wojsku i ustąpieniu carewieza z Polski, o dyktaturze Chłopickiego i jej upadku, o „hańbieniu” narodu przez rząd i detronizacji Mikołaja, niepowodzenia rewolucji przypisuje złej woli stron-

nictwa, stojącego u steru. Praca ta, obejmująca 7 arkuszy, pisma szerokiego, urywa się na tytule rozdziału: „Skutki zdetronizacji Mikołaja”. Autorem jej jest, jak się zdaje, emigrant z r. 1831, członek jednego ze stronnictw, przeciwnych stronnictwu Hotelu Lambert. Nie zawiera ona w sobie poglądów nowych lub oryginalnych.

Numer 49. Zatytułowany niesłusznie przez zarząd (nie wiem, który) biblioteki rapperswilskiej: „Pamiętnik Burzański”, zawiera w sobie 32 razy, od 11 lipca do 22 sierpnia r. 1832, powtórzone wyciągi z dzienników polskich, francuskich, angielskich, niemieckich, włoskich, belgijskich, szwajcarskich, dotyczące poglądów i wypadków politycznych. Ma to pozór gazety, pisanej w dwóch na stroniej każdej kolumnach „dla Kolegów” w zakładzie Bourges.

Numer 74. Śród rękopisów bezimiennych uwagę moją szczególnie zatrzymała na sobie olbrzymich rozmiarów bez tytułu praca, o której pochodzeniu to jeno powiedzieć się da, że do Biblioteki polskiej w Rapperswilu weszła za życia ś. p. Władysława hr. Platera. Świadczy o tem znak katalogowy na luźnej, zielonej okładce tekturowej, zaopatrzonej w ledwie wyczytać się dający nadpis: u góry, po wyrazie zatartym „wyraz” second, a pod nim, na dwóch wierszach: „Correspondance générale”. Nadpis ten atoli nie odnosi się do rękopisu, zawierającego w sobie nie korespondencje, ale poglądy i opowiadania historyczne, dotyczące się dziejów Polski i Francji, pomiędzy r. 1790 a 1799. W tym dziesięcioletnim czasie określić mieszczą się zdarzenia historyczne, co do Polski takie, jak: Konstytucja 3-go Maja, wojna z Rosją 1792 r., drugi rozbiór Polski, wojna z Rosją 1794, znana pod nazwą Powstania Kościuszkowskiego, trzeci rozbiór Polski i Legjony; co do Francji zaś takie, jak: rewolucja i wojny rewolucyjne. Autor bezimieny opowiada o zdarzeniach tych, czerpiąc o nich wiadomości częścią ze wspomnień własnych, w większej części z opowiadań i z dzieł autorów, przezeń nie nazywanych. Opowiada je na stro-

nicach arkuszowych wielkiego formatu 372-ch (brak czterech—468-ma, 469-ta, 470 ta i 471-sza) w części pierwszej i na stronicach 164-ch (brak szesnastu początkowych) w części drugiej. Stronice te w liczbie ogólnej (potrącając 20-cia brakujących) 516, wypełnione są bitem pismem. Daje to wyobrażenie o rozmiarach pracy, starczącej w druku na cztery grube tomy.

Rodzaj pracy autor sam we wstępie określa — we wstępie krótkim, który ortografuje: „Wstemp“. Pozwala on się przytoczyć w całości. Przytaczam go dla dania pojęcia, tak o treści dzieła, jako też o ortografii i języku polskim autora,

„Nie iest zamiarem mojem czynić wyobraźnią początków pierwszego Zakładu Polski, ani owczasowego Sąsiedzkich mocarstw światła, siły i polityki; w dzisiejszym Wieku Oświaty wiadoma wszystkim historya, dowodne w tym względzie przed oczy każdego stawia objaśnienia. Przedmiot niniejszego pisma mego ma za cel zebranie w krótkości narodowych dziejów świetnych czynów woysk Polskich i zdarzeń nieszczęśliwego kraju naszego dotyczących, od Roku Tysiącznego, Siedmsetnego Dziewiędziesiątego szczególnież zapadłych; czasu w którym poświęciwszy się usługom Ojczyzny iako Towarzysz wszedłem do Woyska narodowej Jazdy, a pomiotem pocisków losu w różne przestrzenia i zakąty świata rzucały po większej części czynów takowych świadkiem naocznym, lub blizkim ich byłem. Jeżeli zaś przy pierwszym zarysie liniow obrazu tego, dotknięcie dawniejszych w Polsce wypadków spostrzedz się w niem daie, konieczność uległości potrzebie w nadaniu toku dziełu o które rzecz idzie, do tego mnie zniewoliła. Znam zbyt wielką śmiałość pokuszenia się mego w podobnem zawodzie, suchość słabege pióra mego mam przed oczyma, lecz powzięty pomysł, iż surowy ten szkic mój dostanie się kiedyś pod pędzel dobrego malarza, będzie mu mógł choć w części posłużyć do dokładney i zupełney wystawy wierzytelnego wyrys Narodowej historyi, niweczając we mnie wszelkie przeciwności zawady, pomimowolny oraz drżący mey ręce pociąg nadając, do skreślenia go ośmiela onę i przywodzi.“

We „Wstempie“ tym, jak w pracy całej, ortografia szwankuje, bardziej język, w którym czuć się daje, iż autorowi często wyrazu polskiego do oddania myśli brakuje, więc albo go tworzy, albo przekręca. N. p. delega-

cja jest u niego „wyselstwem“, sprzysiężeniem „sprzysiężństwem“, przedstawiciel „wystawcą“, republikanin „rzeczpospolitan“ i t. p. Gdy Bonaparte, po niepowodzeniach we Włoszech, licząc lat 26 wieku, wodzem naczelnym armji włoskiej przez Dyrektorjat zamianowany został, tak o tem autor pisze:

W tem rzeczy stanie, pewnem Bonaparte będąc, iż odtąd przedsiebierzemu Geniuszowi swemu zupełny popęd będzie mógł nadać, wszelkie niezadługo do wstępnego boju przygotowania poczynił. Namieniłem już wyżej, że Armja Włoska z odebraniem z Armii Sambre et Meuse zasilkami w Marcu Roku tysiącznego siedmsetnego dziewiędziesiąt szóstego doszłemi Trzydzieści i pięć tysięcy ludzi przeciw Sześćdziesięciu tysięcy Samych Austryaków pod rozkazami Beaulieu zebranych nierachując w to Armii Piemontskiej przez Jenerała Colli dowodzoney ani armii odwodowej z Austryaków i różnych Włoskich korpusów złożoney, do wystawienia miała. Z takimi to siłami Bonaparte Zamiar Zaczepki i Zapędnej wojny z Czynnością i Żywością francuzom jedynie właściwą Zazwiasował.“

Wyjątki przytoczone świadczą, że pracy tej autora bezimiennego za wzór języka i stylu podawać nie można. Poza językiem atoli i stylem, poza pięknem estetycznym, tyjącem się formy, jest jeszcze treść, odnosząca się do prawdy w czynach i myślach, przez autora przedstawianych. Że się to zdarza, wiem o tem z doświadczenia własnego. Funkcjonując jako redaktor w zakresie dziennikarskim, nie posiadałem funduszków na opłacenie korespondentów; korespondenci więc moi przez lat dziesięć byli bezpłatnymi redagowanego przezemnie dwutygodnika współpracownikami. Śród nich część większa pisywała poprawnie, niektórzy pięknie nawet; zdarzali się jednak i tacy, wobec których języka i stylu, język i styl przytoczonych powyżej ustępów uchodzić by mógł za wzór piękności mowy polskiej. Że jednak rzeczowej i myślowej prawdzie, oraz zadaniu pisma odpowiadały, musiałem utwory ich gruntownie przerabiać.

To samo, zdaniem mojem, powiedzieć należy o pracy № 74. Przerobienie jej językowo-stylowe uczyniłoby ją

zasługującą na druk ze względu na fakty nieznane i poglądy oryginalne, jakie w sobie zawiera. Parę z nich przytoczę dosłownie, przedtem jednak postaram się wykazać, o ile autor na wiarę zasługuje i kiedy nad zapełnieniem swoich 516-tu bitem pismem stronic pracował. Jedno i drugie znajduje się w pracy pod postacią wskazówek półwyrażnych, wykazując, co do pierwszego, czem zaczął być, czyli jaką w społeczeństwie funkcję pełnił autor, co do drugiego, czy i jakimi w pracy swojej posługiwał się źródłami.

O społecznym stanowisku autora wyobrażenie niejako powziąć można z kilku krótkich jego o sobie wzmianek. We Wstępie pisze on, że w r. 1790, „poświęciwszy się na usługi Ojczyźnie, wszedł jako Towarzysz do Jazdy w Wojsku narodowym“. Ponieważ do szeregów wojskowych w czasie onym wszedł, „jako Towarzysz“, zatem szlachcicem być musiał. To pierwsza o nim wiadomość. Następnie, na 392-ej w rękopisie stronicy, po zakończeniu rzeczy o wojnach 1792 i 1794 i dwóch rozbiorach ostatnich, pozbawiających Polskę bytowania politycznego, tak pisze:

„Chcąc czytelnika mego postawić w możności poznania dalszych kraju naszego dotyczących okoliczności i wypadków, Dołączam tu i dosłownie wypisuję współpisownię Dąbrowskiego Jenerała w tej mierze z Naczelnymi Członkami Rządu francuskiego i Dyplomatycznymi Agentami onego, oraz z Jenerałami Rzeczpospolitańskiego Rządu armii Narodu tego. Ja bowiem, (*) utraciwszy Ojca mego, który podczas powstania Narodowego do niewoli wzięty, w drodze na Syberję wiedziony i męczony Życie w Ofierze za Ojczyznę zakończył, równie i Matkę wkrótce po wiadomości o Jego śmierci zmarłej, Rodziną mą ziemię z niezmiernym uczuciem serca Polską opuściwszy, za natchnieniem miłości Ojczyzny równie jak inni dobrze myślący Rodacy moi idąc, do Francji się przedostałem i w ciągu miesiąca Grudnia Roku wspomnianego, Tysiąc Siedmsetnego Dziewiędziesiąt Czwartego do Paryża się wydostałem“.

(*) W rękopisie okres ten jest dwukrotnie zredagowany. Przytaczam powtórny, który mi się poprawniejszym wydaje.

Uzupełnieniem dwóch wzmianek powyższych jest wzmianka trzecia, na 406 str. rękopisu zamieszczona, w osnowie następującej:

„Jużem powyżej wspomniał, iż zaraz po rozpuszczeniu w Listopadzie wojsk naszych w Polsce w końcu Roku Tysiącznego Siedmsetnego Dziewiędziesiątego Czwartego, kraj Ojczyzny opuściłem i do Paryża się wydostałem, z kądem, iako z najsławniejszego punktu oparcia wszystkich Europy politycznych potenczas stosunków ruch cały Machinie ich nadającego na Obieg onej patrząc, Zamęt w Widni Spraw wszelkich tej okoliczności dotyczących i tamę w kierunku rzeczy od losu bitwy iedynie zależnych a iasne oddalenie układów byt kraju naszego za sobą przynieść mogących spostrzegłem. Niechcąc więc czasu nadaremnie tracić, Nauce w powzięciu wiadomości wojskowych, bym przez nie mógł stać się w potrzebie użytecznym Ojczyźnie mojej, poświęcić umyśliłem, i w celu tym pozwolenie udania się do Armii Sambre i Meuse z północną natenczas połączoney od Wydziału Publiczney Obrony wyjednalem sobie; gdzie iako Ochotnik przy Głównej kwaterze Jenerała Jourdan rzeczona Armia Sambre i Meuse dowodzącego zostając, z Udzielanych mi pism urzędowych przez Obywatela Jalot Komisarza Reprezentanta Ludu przy Armii wspomnianej szczególniejsze mi względy swoje ciągle okazującego, wszystkich celniejszych we Francji od zayścia w niej narodowego porządku..... (*) wypadków, oraz walniejszych od czasu tego przez Francuzów staczanych bitew dokładną wiadomość powziąłem (**)

..... z tych (?) lekkim odcieniem takowych próżnię pisma mego opisów dzieł Narodu Naszego poświęconego od wyjazdu Dąbrowskiego z Paryża do Włoch aż do Utworzenia Legionów Polskich zachodzącą przedsięwzięć zapełnić. a (A ?) jeżeli różność materji w Obrazie tym przezemnie rytym porządek biegu zmieniać niekiedy lub przerywać będzie, wystawie to zapadających zarazem tylu szczegółów i nagromadzonemu nawałowi onych przypisać należy. Ja, ile możności z następstwa ie przywodząc, z kolei one dotykać starać się będę; dziełom zaś wojskowym iako największy wpływ w politycznych wypadkach mającym, iako nadzwyczajny blask świetności na naród francuzki rozciągającym, nayıpierwsze w niej dam mieysce.“

(*) Wyraz nieczytelny.

(**) frazes nieczytelny, nad wierszem dopisany, w którym jest mowa o armji we Włoszech.

Trzeci ten z rękopisu № 74 ustęp daje nam w autorze onego poznać—z wyjątkiem imienia i nazwiska—pisarza i kwalifikację człowieka. Jest to żołnierz, który, jako pisarz, nie umie dobierać wyrazów odpowiednich i szykować ich należycie dla tłumaczenia myśli swoich. Trzeba je często odgadywać, niekiedy domyślać się. Z opisami wypadków, z przedstawianiem zdarzeń idzie mu dosyć gładko. Zamęt przenika objaśnienia takowych, wiązanie ich pragmatyczne. Wadę tę wynagradza obfitość szczegółów bądź nowych, bądź przedstawianych w odmiennem od przyjętego przez historyków oświeceniu, bądź też rozstrzygających podania sprzeczne. We względzie tym anonimowa ta praca ma niemałe dla nas znaczenie w odniesieniu do zaszłych w Polsce od r. 1790 do 1794 wojennych i politycznych wypadków, dla Francuzów—w odniesieniu do wypadków wojennych i politycznych, od r. 1794 do r. 1799. Krótkie poglądy historyczne na dzieje Polski, sięgające czasów bajecznych, oraz Francji, nie przekraczające panowania Ludwika XIV, stanowią wstępy do opowiadań o Polsce w ciągu lat czterech, o Francji—pięciu.

Osobliwość rękopisu № 74 na tem polega, że w szczegółach wypadków wojennych, w opisie bitew, czuć się zgoła nie daje osobisty w nich ani w Polsce, ani we Francji autora udział. Wszystkie jego opisy są ściśle, bezwzględnie obiektywnie, jakby je nie uczestnik, lecz jakiś niebiegły w piśmie Thiers czynił. Czem się to dźiać mogło? Mnie się zdaje, że autor zdarzeń doznanych i widzianych w czasach akcji nie notował sobie i do opisywania onych przystąpił dużo później, gdy wszedł w lata i pamięć mu już nie dopisywała, tem bardziej, że mąciły ją zdarzenia epoki Napoleonowskiej, wstrząsające Europą do głębi i nie dające jej spokoju do momentu, w którym Francja pozbyła się Republiki, Cesarstwa i Burbonizmu, wszedłszy na drogę, pokój na pozór zabezpieczającej państwowości mieszczańskiej.

Za tem, że autor bezimienny do pracy się po r. 1830 wziął, to jeszcze przemawia, że przy rękopisie, w doda-

tku oddzielnym, obok bruljonów kompozycji literackich w języku francuskim, zaczynających się od listu bez daty i bez podpisu „*à ma chère et respectable cousine Amélie Skarżyńska*“, znajduje się bez tytułu, ale z zamieszczonem u wierzchu paru stronie nazwiskiem Mignet, spis treści piętnastu rozdziałów dzieła historycznego o rewolucji francuskiej r. 1789, o wojnach rewolucyjnych, o konsulacie, o cesarstwie. Wyd. pierwsze dzieła Migneta o rewolucji wyszło już po r. 1830 i z niego, albo z którego z następnych, autor rękopisu № 74 czerpać prawdopodobnie musiał, jeżeli nie treść, to wskazówki, przypomnienia i porządek zdarzeń historycznych we Francji od r. 1794 do r. 1799. Inaczej nie spisywałby sobie treści rozdziałów dzieła, tyającego się rewolucyjnych dziejów Francji.

Ani domyślnie jednak wskazać nie mogę źródła czy źródeł, których trzymał się autor odnośnie do dziejów Polski w latach wyrocznych 1792 i 1794, co do których obok dosłownie przytaczanych manifestów i dokumentów, ogłaszanych przez mocarstwa zaborcze, działalność wojenna traktowana jest dosyć pobieżnie, zwłaszcza w odniesieniu do wojny r. 1792.

O Legionach sprawę zdaje szczegółowo od momentu, obejmującego starania się o nie. Przytacza z naciskiem projekt Dąbrowskiego odbudowania Polski z pomocą sojuszu francusko-pruskiego. Píše o wypłacaniu przez Prusy żołdu generałom polskim, celem zwabienia ich do szeregów pruskich. Poza momentem tym tak go dalece pochłonęła działalność armji francuskiej na teatrach wojennych niemieckim i włoskim, że działalność ta zasłoniła mu udział w niej Legionów tak przed pokojem w Campo-Formio, jakoteż w czasie pobytu generała Bonapartego w Egipcie. Wzmianki im jeno udziela pobieżne.

Zaletą pracy autora rękopisu—zaletą we względzie historycznym niepoślednią, polega na mnogości szczegółów, na oryginalności poglądów niektórych i na odmienności raz nieznaczej, znów znacznej, w przedstawianiu zdarzeń niektórych.

Na próbę przytoczę dwa znane i opisywane rozmaicie fakty: jeden, bitwę pod Maciejowicami i wzięcie do niewoli Kościuszki; drugi—zdobycie przez generała Bonapartego mostu Arcole.

Bitwa pod Maciejowicami.

Po rozbiciu przez Suworowa korpusiku Sierakowskiego, Kościuszko powziął zamiar uderzenia na Fersena, celem niedopuszczenia złączenia się wojsk rosyjskich. W celu tym w Warszawie:

„Oddawszy Xięciu Józefowi Poniatowskiemu dowództwo nad główną Armią a Jenerałowi Mokronowskiemu nad szczątkami Litewskiego woyska, udał się pod Żelechów z dobozem Dzieścięciu tysięcy rególarney piechoty, Dwotysięcy Ochotników pieszych, czterech tysięcy pięknej Jazdy regularnej, tysiąca teyże z pospolitego ruszenia składających się, i trzema tysiącami kossynierów i pikinierów dobrze urządzonych i trzydziestu sześciu armatami z których Dwanaście dwónasto funtowych, Dwanaście sześciofuntowych, a reszta trzyfuntowych było.—Gdzie zostawiwszy J-ła Ponińskiego z dwoma tysiącami piechoty liniowej, z tysiącem Jazdy regularnej, oraz z pięciuset teyże z pospolitego ruszenia i Wszystkimi Kossynierami, niemniej sześciu Działami w Korytnicy, a później pod Maciejowice przeciwko Jenerałowi Fersen w zamiarze przeszkodzenia, aby tenże nie połączył się z armią Suworowa, wyruszył i rozłożył się obozem tamże w dniu Siódmym Października. — Kościuszko tak plan swój ułożył, iż podczas samey walki miał Poniński uderzyć na lewe skrzydło i wprawić go w zamieszanie. W tem od Natury dobrze usposobionem miejscu założył, z zwykłą sobie, szybkością szanice i okopy gotując się do uderzenia na nieprzyjaciela. — Półki Raczyńskich i Potockich na prawem skrzydle pierwszy pod rozkazami Półkownika Zaremby, drugi pod Dziembowskiego stały, Gwardya piechoty Królewska i Fizyliery pod komendą Półkownika Nadolskiego, Szrodek trzymały, a Półk Działyńskich przez Półkownika Seydlitz dowodzony z Półkiem Czapskich któremu Półkownik Krzycki przewodził lewe linii frontu składały skrzydło. — Bataliony Ochotników Półkownika Kulesz na czele mające w odwodzie były.—Szwadrony Półku Wirtemberskiego pod komendą podpółkownika Reszka, inne kawaleryi Narodowej z Poręcznikiem Podho-

rodyjskim naczelnie przez J-ła Kamińskiego dowodzone prawy bok linii a brygada Kopcia z pięcioma szwadronami Jazdy pospolitego ruszenia w komendzie J-ła Kopcia lewy oney okrywała, Półk zaś Ułanów Królewskich pod sprawą Półkownika Woiciechowskiego i Cztery Szwadrony Mirowskich Poświatowskiego Półkownika razem będące odwód składając, w tyle Ją strzegły. W tem rozkładzie uszykowane mając woysko swoje Kościuszko, poruczyłszy przewodztwo prawego skrzydła Jenerałowi Sierakowskiemu a lewego Kniaziewiczowi, sam w środku onego dowodząc, czekał na chwilę spotkania się z Nieprzyjacielem.—Gdy temczasem przez zdradę przeniewiercy Ponińskiego dowiedział się Fersen o zamiarze i planie Kościuszki, niezwłocznie więc zaleciwszy tenże Jenerałowi Denisów z czterema batalionami strzelców pieszych z dziesięcioma szwadronami rególarnej Jazdy i sześciu Półkami Kozaków swoich wziawszy drogę przez lasy i bagniska zaszedł Polakom w tył od lewego skrzydła. Sam zaś z dwudziestu czterema batalionami i trzydziestu czterema szwadronami rególarnej Jazdy, z siedmdziesięciu dwoma armatami w połowie wielkiego kalibru mając z sobą Jenerałów Chruszczowa, Tormansowa, Rachmanowa i Brygadiera Bagreowa z Dowódców, przedsięwziął Kościuszkę uprzedzić, i całemi siłami, pewny ze strony Ponińskiego a z drugiej posiłków od Suworowa już ku miejscu temu zbliżającego się, na Polaków uderzyć.

Ledwo co tylko dzień dziesiąty Października zajaśniał, przypuścił Fersen dzielny i zuchwały attak na obóz polski, Warszawa i Zemsta, były okrzykiem zapalczywych Moskali, a Śmierć lub Zwycięstwo odpowiedzia Polaków. Śmiało uderza Moskał na szanice lecz ogień mordereczy Działobitni naszey przez Walecznych w broni tej doświadczonych officerów, Jakubowskiego podpółkownika, Redla i Czechowskiego kapitanów Bateryami dowodzących dobrze kierowany, całe szeregi onego zmiata i w tył usuwa. Jeszcze raz ponawia z daleko większą zapalczywością i z dzikim okrzykiem *hura* zuchwałe Nieprzyjaciela natarcie, lecz gęstszy go ogień przyjmuje, śmierć i krwawe rany zadaie. Daremnie wódz moskiewski prowadził żołnierzy swoich na śmierć oczywistą! Odbity po dwakroć i rozdrażniony mężnem odporem, szykuje swe tysiącnie do trzeciego natarcia, a Polacy rozumiejąc zawsze, że Poniński niebawnie nadejdzie, i w tył Moskałom wpadnie, o co przez dwóch officerów młodych Kuleszów Dowodzącego Ochotnikami Półkownika synów, do niego z rozkazem Kościuszki wysłanych był wzywany, ostatnie swoje zbierają siły. A choć zawiedzeni w daremnie oczekiwanych posiłkach, nie tracą jednak odwagi i waleczności, mężnie do trzeciego gotują się odporu. — W Wiedzionych w Schody kolumnach postępują naprzód Moskał,

a rozwinięszy one pod ogniem bateriów, rzucają się po raz ostatni na okopy, i z bagnietem w ręku pierwszego dobywają szablę, kiedy Denisów przez nieprzebywane dotąd błota i ścieżkami mało komu znajomymi od Żyda jednego przeprowadzony w tył Polakom niespodzianie wpada, i woła do swych kozaków: „Naprzód kozacy, jeżeli poledz mamy, tedy żaden niechay nie zostanie, któryby miejsce naszej klęski mógł okazać.“ Szwadrony Mirowskich z półkiem Ułanów mężnych dowódców Poświętowskiego i Woiciechowskiego na czele mające, połową batalionu Ochotników wsparci, łamią szwadrony moskiewskie i kozaków w nieład i rozsypkę wprawiają. Kozacy i Jazda nieprzyjacielska poparte nadeszłymi batalionami strzelców swoich zebrawszy się na nowo na szczupłą garstkę Ułanów naszych i Mirowskich z krzykiem nacierają, lecz ta blisko ich ku sobie przypuściwszy w mocnem popędzie z miejsca odrazu ku nim wyruszywszy, powtórnie szeregi ich łamią. Długa była walka i śmiertelne razy ostrzem pałaszy i pik obu stron przeciwników zadająca w tej stronie bitwy. Podobny też na prawem i lewem skrzydle linii Jazda Kamińskiego i Kopcia boy z nieprzyjacielską wiodła a chociaż w liczbie daleko od drugiej mniejsza męstwem swą mniejszość zastępując, wszystkie napady Moskalów dzielnie wytrzymywała. Ale Niestety! Niestety Bóg wojny nieporuszoną dotąd szalę zwycięstwa w ręku trzymający i z przymilonem uśmiechem do Bohaternych synów Sarmackich uśmiechający się, w jednej chwili swój humor zmienia a wzrok ponury na nich zwróciwszy, oną na stronę Moskali przeważa. I odtąd Polakom nieszczęście przewodniczyć zaczęło. Już drugi, trzeci i czwarty szaniec został przez nieprzyjaciela zdobyty, żaden Polak nie daje się w niewolę zabrać, żaden Moskal nie dopuszcza przebaczenia. Z obu stron walczą przeciwnicy srodze i zażarcie, jeden drugiego chcąc trupem położyć. Nakoniec szczupła garstka Polaków przemożney moskiewskiej zaczyna ulegać sile a sprawa Polaków już się straconą wydaje. Lecz życie jeszcze Kościuszko, Dusza walecznych Sarmatów. Jeszcze moc ich zupełnie przełamaną nie jest. — Od czasu zawiązania się krakowskiego powstania zwykły był nosić Kościuszko wieśniaczą suknię na króy Krakowiaków dla podniesienia i uczczenia ich w Polsce upodlonej pracowitej klasy ludu i dla wzniesienia w niej Narodowości ducha, do którego dotąd w niewolniczym zostającym stanie prawie niezdolna była. W takim znajdował się ubiorze Kościuszko w dniu wspomnianej bitwy. Znali go dobrze Żołnierze, a wyjrzawszy ulubienca swojego w takowem, nie zewszystkiem jeszcze z stanowiska swego wyruszeni, krzyknęli wszyscy, żyje nasz kochany naczelnik i szykują się do odporu zuchwałego natarcia. Widząc Kościuszko niepod-

bieństwo utrzymania się na polu Sławy, staie na czele całej swej Jazdy, by tem sposobem piechotę swoją mógł od zupełnego zniszczenia ocalić. Niepomny na mocną ranę, którą poprzednio już był odebrał, rzuca się z walecznymi Jenerałami Kamińskim i Kopciem z Woiciechowskim i Poświętowskim Półkownikami i z mężnym Podhorodyjskim Porucznikiem pierwsze moskiewskiej piechoty czworoboki łamie, i drugie już w zamieszanie wprawia, kiedy utraciwszy obok siebie obu ranionych Jenerałów i Poświętowskiego Półkownika, nie mniej Podhorodyjskiego porucznika, drugi raz ranny i drugi koń pod nim ubity zostaje. Daremnie dopadłszy innego, walczy jeszcze na czele pozostałych z Woiciechowskim bohaterów i śmierć w szeregi mnogie nieprzyjaciela niesie. Napróżno mężny i niezwalczony Jenerał Kniaziewicz z ranionem już po dwakroć Seydlitzem Półku Działyńskich Półkownikiem samem iednem z półkownikow w bitwie tej dowodzących przy życiu pozostałem jeszcze, i z resztą officerów półku tego tyle razy sławą okrytego niemniej innych półków walecznych i nieustraszonych do szóstej nieledwie części przez straty w ranionych i ubitych żołnierzach zmniejszonych cudów waleczności dokazując, odważny i rozpaczny odpór nieprzyjaciół stawiają. Już się sprysnęły nieba na cne i nieszczęśliwe plemie Sarmatów, Już zgubę Jego wyrzekły, Już w niewidzanem dotąd zapalczywem obustronnej piechoty i Jazdy zapędzie boju Ulubieniec Narodu, Bohater wolności morderczej dzidy Kozackiej żelazem w lewy bok pchnięty na ziemię upada. Tu po raz pierwszy przestraczem przejści Polacy bolesny krzyk wydają i święte Ukochanego Wodza swego wymawiają imię.

Okryty ranami i nieżywy prawie niewiedziały, co się z nim działo, dopiero nazajutrz dowiedział się o miejscu swego pobytu, i o sposobie przez jaki dostał się w ręce nieprzyjaciół, słuchając opowiadania Adjutanta swego Majora Fiszera również w niewolę zabranego. Tuż przy nim leżał ciężko raniony wierny i doświadczony przyjaciel i nieodstępny towarzysz broni Julian Ursyn Niemcewicz z cnot, waleczności i w literaturze Polskiej sławiony powszechnie, prawdziwy syn Ojczyzny, i dobra Jey i wolności Narodowej gorliwy obrońca.

Ustęp powyższy przytoczyłem dosłownie, nie zmieniając w niczem pisowni autora. Czytelnika uderzy szczegółowość opisu tej bitwy pamiętnej, historyka różnica w szczegółach niektórych z podaniami o niej urzędowymi i nieurzędowymi. Dla przykładu można opisać z opisem w „Życiorysie Kościuszki“ przez Korzona po-

równać. U Korzona źródłem jedynie pewnem jest topografia teatru bitwy, którą autor zapewne na gruncie zbadł. Źródła inne atoli wątpliwości podlegają. Porównanie sił na teatrze bitwy rosyjskich z polskimi Korzon czyni w przybliżeniu, nie posiadając dokładnej jednostek bojowych liczby ani ze strony sztabu gien. Fersena, ani ze strony Kościuszki. Sporo nazwisk dowódców pułkowych w armji polskiej inaczej brzmi u Korzona, inaczej u anonima, autora rękopisu nr. 74, niektórych zaś brak bądź u jednego, bądź u drugiego. Według Korzona, Kościuszko, opuszczając Warszawę d. 6 października, dowództwo ogólne zostawił Zajączkowi, według anonima — ks. Józefowi Poniatowskiemu. Korzon nie wspomina o wysłaniu przez Kościuszkę do Ponińskiego rozkazu, anonim podaje nazwiska dwóch z rozkazem wyprawionych gońców, w osobach dwóch młodych Kuleszów, synów pułkownika, dowodzącego ochotnikami, o których obecności na polu bitwy autor „Życiorysu Kościuszki“ nie wzmiankuje, co świadczy, że się rękopisu bezimiennego nie radził.

W miejscu tem zaznaczyć winienem nie lukę w rękopisie, ale omyłkę w numerowaniu stronnic. Po n-rze 288 następuje, bez przerywania ciągłości w opowiadaniu, nr. 389. Autor po cyfrze 288, po przewróceniu stronnicy, na początku liczby następnej zamiast 2, napisał 3, i w ciągu dalszym na omyłce się nie spostrzegł. Ktoś atoli rękopis ten czytał, przy cyfrze bowiem 389 napisał ołówkiem cyfrę 289. I w innych miejscach zakreślania ołówkiem ustępów niektórych dostrzegłem.

Bonaparte pod Arcole.

Przytoczę teraz jeden z drugiej części pamiętnika ustęp, obniżający nieco sławiony powszechnie w historjach heroizm Bonapartego na moście Arcole.

Pomijam topograficzny opis trzęsawisk, oraz prowa-

dzącej przez nie gróbli i mostu na rzeczułce Alpano, o zdobycie którego dni trzy w miesiącu listopadzie roku 1796 kusila się dywizja generała Augereau. O ataku na most pod dowództwem Bonapartego anonim taką czyni relację:

„Jednak dywizja Augereau biła się z Nieprzyjacielem, Czoło kolumny, które posunęło się do mostu na drodze ubitej od Arcole doznało jaknajwiększego odporu, i nie mogło potrafić przebyć go. Wojsko, przez które osadzona była wieś, biło się z uporczywością godną pochwały, koniecznością było dla Francuzów zdobyć most przed nadejściem posiłków których Alvinzi nie mógł zaniechać kierować na punkt natarcia. Pomyślność zależała od iednego z tych zapędów serca w uniesieniu, i od umysłu nieustraszonego które dawały były zwycięstwo żołnierzom Armii Włoskiej. Czuli to dobrze Jenerałowie, a wiedząc równie, iż w podobnej okoliczności danie przykładu było jedynym rozkazem, wszyscy rzucili się na czoło kolumny, aby spróbować przebyć most wsrzród gradu kul i kartaczy miotanych z końca przeciwnego, lecz tą razą szczęście zdradziło szlachetną odwagę, a Ich poświęcenie się próżnem było. Nieustraszony Lannes, cierpiący ieszcze z rany odebranej niedawno u mostu pod Governolo, został dosięgnięty dwoma strzałami. J-łowie Verdier, Bon i Verne niemogli więcej walczyć, Grenadyery przeleknieni cofali się. Augereau bierze chorągiew, rzuca się do połowy mostu, wołając do siebie wszystkich walecznych i zostając przez kilka minut wystawionym na ogień jaknawięcey niszczący. Wysilenia niezdolne! Wystrzały były tak żywe i tak dobrze utrzymywane, że plótony, które po sobie następowały w niwecz obrócone zostały gdy na wystrzał dochodziły.

Bonaparte, stanawszy w momencie otoczony swym sztabem głównym na czele kolumny zachęcał żołnierzy „*N'êtes Vous donc plus les guerriers de Lodi? leur disait-il; qu'est devenue cette intrepidité dont vous avez donné tant de preuves?*“ (Nie jesteście więc już więcej żołnierze z pod Lodi? mówił do nich, w cóż się obróciła ta nieprzelekleliwość której tyle daliście dowodów?). Wszelako przed udaniem się ieszcze na czoło kolumny Jenerał naczelny spostrzegłszy się iż niepodobna było rozwinąć się na miejscu tak ciasnym iak była grobla arcolska wysłał J-ła Gueux z jego brygadą ku Albaredo z rozkazem przeyscia Adygi na promie który się tam znajdował, i obeyść Arcole, ieżeli by nie potrafił zdobyć ią z przodu. Przytomność J-ła naczelnego i wspomnienie o sławie pod Lodi wzbudziło zachwycenie w żołnierzach, a chcąc korzystać z zapasu nowego i czasu krótkiego tak drogiego iaki mu pozostawał,

Bonaparte rozkazał nowe pokuszenie się o most nieszczęśliwy. Grenadyerzy sami wołali aby rozpocząć Bitwę, Bonaparte zsiada z konia, stał na czele tych walecznych trzymając drugą chorągiew w rękę, na wzór Augereau, i rzuca się na most, następownicy i ciśniony przez tych których szczupłe miejsce mogło zmieścić; J-ał Lannes pomimo dwóch ran swoich, dowiedziawszy się iż naczelny J-ał jest na czele kolumny bijących się wsiada na konia nie mogąc utrzymać się pieszo, a raniony po trzeci raz już prawie powalony nie został. Dorozumieć się można co za zniszczenie robił ogień nieprzyjacielski w tej massie ściśniętej, dokąd wszystkie strzały wpadały; J-ał Vignolle był równie rannym a Muiron adjutant przyboczny naczelnego J-ała obok niego odrazu zginął. Jeżeli Bonaparte sam nie był osiągniętym winien to był oddaniu się zupełnym Adjut-a J-ała Baillard i niektórych officerów sztabowych, którzy przed niego stawiali aby go zakryli od strzelców austriackich i kazali grenadyerom wyciągnąć się szeregiem w tym celu. Wreszcie Dywizja francuska zrobiła ruch cofający, Bonaparte zakryty przez grenadyerów którzy opuszczali most, wsiadł na konia przy wyjściu z niego, gdy wystrzał kartaczowy niszczy i obala wszystkich co go otaczali, koń przestraszony rzuca się w bagno ze swym jeźdźcem, Austriacy gonią za wojskiem cofającym się na grobli. Już byli poprzędzili w biegu J-ała naczelnego o więcej iak piędziesiąt kroków, i gdyby byli wiedzieli, iż mieli gdy tak mówię na swe rozporządzenie człowieka, co miał kiedyś trząść Europą i postawić Austryę o dwa palce od zguby, bez wątpienia byłiby się pokusili o większe wysilenie aby go dostali. Ale J-ał adjutant Baillard widział niebezpieczeństwo iakiemu podpadał Bonaparte. Zachęcając grenadyerów pochód kolumny zamykających, kazał im w tył się zawrócić a Austriacy mocno odepchnięci zostali; wtenczas Naczelny J-ał wydobył się z bagna, w które był wpadł, i dostał się do kolumny, a zaniechawszy odtąd przełamania mostu, postanowił oczekiwać końca natarcia przez J-ała Guyeux.

Jakoż w rzeczy samej flankowe g-ała Guyeux obejście pozycji austriackiej w Arcole, spowodowało rezultat pomyślny, co do opanowania przez Francuzów stanowiska, dzięki któremu Massena odniósł następnie świetne pod Rivoli zwycięstwo.

Upieranie się Bonapartego przy zdobywaniu grobli owej, przedstawiane wogóle, jako czyn heroizmu niezrównanego, inaczej nieco w opowiadaniu powyższem wygląda. Heroizm przechodzi na sztabowców i grenadjerów,

którzy wodza ciałami swemi osłonili, upieranie się zaś bezcelowe, bo oparte nie na wyrozumowaniu, ale na *wierze w gwiazdę*, stanowi jeden z rysów charakteru tego wojownika wielkiego. Gwiazda odwróciła od niego kule austriackie pod Arcole; gwiazda ochroniła przed bystrym marynarzy angielskich wzrokiem łódź, co go z Egiptu do Francji po niedającej się racjonalnie usprawiedliwić wyprawie wojennej wiozła; gwiazda nieraz mu usłużyła, — nie dopisała atoli raz na wielką skalę, kiedy nie usłuchał w r. 1812 głosów, wołających nań, błagających go o powstrzymanie na granicy Polski pochodu przed zimą do Moskwy. W razie tym, jak czterdzieści kilka lat przedtem, doradcą jego, pod postacią gwiazdy, był upór, który całego życia jego dzieło w niwecz za jednym wichrów mroźnych podmuchem obrócił. O tym charakteru Napoleona I rysie, uczeni, o ile wiem, nie rozpisują się. A bądź co bądź zasługuje on na zanotowanie w kategoriach psychologicznych.

O bezimiennym nr. 74 rękopisie powiedzieć należy, że jest on dziełem poważnem, zasługującym na to, ażeby je, jeżeli nie przedrukować, to, oczyszczone językowo, przepisać. Przepisanie na maszynie nie naraziłoby na koszt wielki, a dla badaczy przeszłości posłużyłoby za źródło i autorowi nieznanemu dało świadectwo gorącego patryjotyzmu polskiego, owiewającego dzieło jego od początku do końca.

* * *

Na tem kończę sprawozdanie z przeglądu pamiętników i prac historycznych, rękopiśmiennych, bezimiennych, mogących służyć jako źródła do dziejów Polski. Zdawało mi się, że załatwię się z tem prędko; natrafiwszy jednak na pracę obszerną, przekonałem się, że samo odczytywanie rzeczy pisanych niewyraźnie, po większej części bruljonów, wymaga pracy i czasu dużo.

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć o rękopisie ciekawym, zawierającym pracę ciągłą, podpisaną. Jest nim:

„Historja rewolucji i wojny polskiej r. 1830—31“, napisana przez majora *Józefa Hordyńskiego*, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i wydana w języku angielskim w Bostonie r. 1832. Pisanie jej autor rozpoczął d. 14 listopada r. 1831, skończył 3 lutego 1832 r. Pracę tę Muzeum Rapperswilskie posiada w oryginale, po polsku, napisaną przez autora samego. Odznacza się ona znajomością rzeczy. Opisom bitew i potyczek towarzyszą plany. O ile wiem, w języku polskim pracy tej w druku nie posiadamy. Jest ona najpierwszą wojny tej historją. Dla bibliotek polskich pożądanymi by były egzemplarze w języku angielskim—bodaj jako osobliwość. Czy jednak, po upływie lat 76, odnaleźć by się gdzie dały?... Chyba tylko w Bostonie.



A. T. G.



JAN KLECZYŃSKI.

MARZANNA.

Stanisławowi Przybyszewskiemu.

Książę leżał w ponurym, purpurowym żarze. Mokre od potu ciało jego tonęło w miękich, rozprażonych upałem futrach, głowa zdawała się sama gorzeć krwawymi płomieniami, ciężka, senna, boląca.

Był wpółomdłały, bezsilny. Zaledwie, że mógł odychać w duszących wyziewach futer. A krew mu buchała do skroni parna, odurzająca, raz za razem, dzwierzcząc o chorą głowę, wielką pałą od bębna waliła w miedziane sklepienie.

Palily go, bolały te purpurowe blaski, płynące zewsząd. Oczy mu zachodziły od nich cierpkimi łzami, które piekły, jak ogień, i spływały palącymi kroplami po

policzkach — ale niema wytchnienia oczom — niema wytchnienia! Sama myśl o zmrużeniu zmęczonych oczu napełniała go zimnym przestraczem.

Bo zaledwie przymyka ciężkie powieki, zaledwie noc rozkoszna ogarnie mu głowę, natychmiast syczą i świszczą te węże leniwe, zaczajone po kątach palącej ciemnicy, wypełzają z kryjówek, podnoszą szyderecze głowy — nie! — trzeba otwierać oczy na krwawą mękę — a wtedy znikają węże — znikają bez śladu.

O tak, on nie może przymykać oczu, zasypiać. On musi tu czuwać, czekać na to... na to... tak... musi czekać, aż nadejdzie godzina... a wtedy...

Straszliwy niepokój go dławi. Próbuje coś przypominać. Próbuje myśleć, próbuje odgadnąć... i znowu pełzają węże — i syczą i świszczą — i te syki i świsty silniejsze, straszniejsze — i rubinowe ślepie iskczą się chwiejnie w mroku i jakby skaczą te węże, świecąc krwawymi połyskami, a potem padają mlaszcząco na twardą, ubitą ziemię, wtulają się podstępnie w jego miękie futra i czuwają tuż przy nim, tuż, tuż koło głowy — ach może nawet wślizgują mu się do głowy i skręcają się w węzły potworne, drgające, grzęzną w piekającej masie kleistej, której ma pełną czaszkę... Zalepia mu to oczy i uszy... Niepodobna tych węzłów rozplątać... oh, co za męka...

Nie, nie mógł myśleć... nie mógł się ruszyć...

A nad sobą, tak jak w duszy swojej, widział tylko jakieś ciężkie pływające chmury o barwie krwi zakrzepłej — i te chmury kładą mu się na piersiach, duszne, żarzące. wchodzą mu w gardło i dławiają... A potem powstają w tych chmurach jakieś wiry, kotłowania, chmury rozsuwają się, majaczą jeszcze zaledwie przed oczyma, niby sześoga dalekich pożarów miast w noc bojową — nikną wreszcie zupełnie — i oto księżę widzi nad sobą ogromne sklepienie purpurowe, dyszące jadowitym żarem ściany rozpalonego żelaza, a na nich w równych odstępach równoległe czarne pasy wznoszą się jedne nad drugimi coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie zamykają się

w górze w ogromną kopułę, która chwieje się dziwnie, wyginając te czarne pasy jakby za powiewem wiatru, a wtedy po tych pasach skaczą jakby iskiereki miedziane, głucho ogniki...

Czyżby te ślizkie węże skakały tak wysoko? .. może być... skaczą tak obłąkane z żaru, obijają się o rozpalone ściany, parzą się okropnie, latają jak wściekłe, szukają wyjścia...

Nie... nie... one przecież skleiły się w przerażony węzeł tam, w jego głowie... i syczą cichutko zimnem technieniem, że on leży w swoim namiocie purpurowym, na wyprawie wojennej... tak... tak...

Ale to nieprawda, nieprawda! — strach go bierze na tę myśl, zimny strach...

Nie wywiedzie go w pole nie. On nie uwierzy, o nie! To wszystko mogą być tylko złudzenia gorączki. On wie, że te purpurowe blaski można sobie doskonale inaczej wytłómaczyć. On nie pamięta już jak, ale wie, wie daleko lepiej od nich, od tych węzłów syczących. On wie, że to nie są przecież ściany rozpalonego żelaza, bo jakżeby on tu wytrzymał, żywy człowiek? A on żyje przecież. Oczywiście, że żyje. Czuje pod ręką rozgrzane posłanie miękkich futer, serce mu bije tak silnie, raz za razem, nierówno...

On żyje. Co? czyżby kto o tem wątpił? Któż to powiedział? Kto? One, te węże, zaczajone po kątach rozpalonej czaszki, węże co wypełzają z palącej czełusci, świecą oczyma i syczą i świszczą i nikną?

Nie, to już chyba naprawdę obłąd na niego idzie. Przecież tu niema nikogo, tylko on sam, sam, jedyny, księżę-król w purpurze, pan połowy świata...

Duma go ogarnia. Nikt nie wie, co on pomyślał w tej chwili — nikt — nikt — on, pan połowy świata... w niemocy...

Co to wszystko ma znaczyć? Oh, jaka ta głowa rozpalona, taki ból w tej głowie, w jednym uprzykrzonym miejscu, taki okropny ból...

Gdzie on jest? — gdzie on leży?... bo takie dziwne światło.. Wcale nie straszne, tylko drażniące i niepojęte. Jakby w głuchej ciemnicy świeciły żarzące węgle na olbrzymim kominie, ukrytym w tych krwawych dymach, których całe kłęby wciągają mu się ciągle przed oczyma.

A może to jego ogromna komora zamkowa? ciemna komora z ciosanych belek, o małych oknach...

Zadrżał... nie... to dusza mu tylko zadrżała w szalonej, nieprawdopodobnej radości.

Jego komora zamkowa!...

Jest mroczny wieczór zimowy. Na kominie dogasają olbrzymie sosnowe pnie, słychać ciche trzaskanie i syk pękających okruchów przepalonych węgli. A on leży zmęczony po wyprawie wojennej, wpół marzy, wpół śni... Może ranę odniósł w boju, a teraz go leczą... Zaraz matula przyjdzie, przewinie bandażę... Siwa, pomarszczona głowa pochyla się nad nim, głębokie, szare oczy patrzą uważnie, łzy w nich błyskają.... Zaraz przemówi.... zaraz....

Oh! jaka to ciężka rana w tej głowie... a może to tylko rana w duszy.... a tak piecze, tak boli bezlitośnie....

Nie, już niema, niema nikogo... Te dymy tylko kłębią mu się przed oczyma...

Więc on tu sam, sam?... zaraz kogo zawoła, klasnie w dłoń...

I próbuje oderwać rękę od futra, ale tak ciężko...

Wtem zadrżał, spojrzał wokoło.

Co? Co on to chciał powiedzieć... coś mu się majaczyło...

Dlaczego te rozpalone ściany tak chwieją się?

Nie, nie nie pamięta, co myślał przed chwilą. A to było takie ważne, takie cudne...

Oh, ta gorączka przekłeta!... Może mu się wydaje tylko, że wszystko tak chwieje się?...

Niech on pozbiera tylko te myśli... rozłają mu się po głowie, jak węże w rozpalonym piasku...

On czeka na to, na to...

Nie, nie chce o tem myśleć. Taki strach, taki strach...

Dziwne to purpurowe powietrze. Samo zdaje się gorzeć bezgłośnie, świecić żarząco, duszno, aż do omdlenia. Zupełnie jak wtedy... wtedy...

Coś straszliwego majaczy mu w głowie... w tej mętniej purpurowej ciemni... już zaraz się rozświecili, już zaraz... zbliża się... zbliża...

I w tem olbrzymia fala krwi ukropem uderzyła pod czaszkę i rozpryskiwała się na pył i ciskała strzępy jadłowitej piany i jak biczem smagała czające się węże myśli—a one zerwały się, wstały zimnymi słupami, jak włosy na głowie wyprężyły się z przerażenia, a jakaś wizja okropna, a słodka, wyzwolona z ucisku, rzuciła się nań jak zwierzę i żarła w ciemności podstępnie...

Zobaczył... i nie wierzył obłąkanym oczom —

Podziemia purpurowe... Długie, olbrzymie, sklepione korytarze... On błądzi po nich sam, w trwodze śmiertelnej, w ślepej, wyjącej tęsknocie... Kroki jego rozlegają się głucho w tych pustych, kamiennych katakumbach, echa jakieś dzwiczące dzwonią mu ponad głową i giną przytłumione w duszących, krwawych mrokach, a on szuka, szuka i biegnie, obłąkany, z krzykiem uwiecznym w piersiach, dusi się od tego krzyku, co mu płuca rozsada a nie może się wydobyć... i biegnie, biegnie—złany potem — i słucha, czy głosu nie usłyszy, szuka czy nie zobaczy skrawka szaty... jednego wspomnienia o.. o tem... o tem... o bogowie!... szuka czy nie dojrzy śladu stóp na pyłem przyprószonych kamieniach... i biegnie coraz szybciej, coraz szybciej...

Mród mu zeszytywnił całe ciało, drżące serce przestało bić w piersiach, zamarło — a potem nagle obudziło się do życia i trzepotało się w piersi

z taką odurzającą szybkością, że książkę zaledwie może chwycić, ciężko pracując piersiami, drobnymi, szybkimi haustami, ciężkie, rozpalone powietrze...

Więc on tam leży... tam... Upadł ze zmęczenia i le dwie dyszy... tam... w tych podziemiach...

Tak, tak... te blaski miedziane... te ściany purpurowe... Więc to nie był obłąd? — nie był sen?

Więc przyjdzie... przyjdzie... lada chwila...

Bezmierna tkliwość spłynęła mu do serca, roztopiała je w krwawych, kojących łzach.

Jakiś rzeźwiący cień spływa na duszę znękaną, powiew łąk wiosennych wieczorem, nieokreślone, błogie, z głębi duszy westchnienie, wspomnienie odurzającej rozkoszy zapachu jaśminów, konwalji, białym tumanem omotało głowę żarzącą...

Cisza w nim... cisza...

Oh! żeby to już zaraz, już zaraz... żeby nie czekać do wieczora...

Ach, jaka cisza, święta cisza... trzymać tę ciszę na uwięzi... Czemu ta rozpalona, mętna krew mu bije do głowy... Czemu kołacze tak w skroniach, przeszkadza, drażni... Niech tylko chwila ciszy... na mgnienie oka...

Napróżno.

Pierzcha wszystko — daleko, daleko... Żar znów ogarnia ciało. Wszystko przepadło. Co to było? Co to było?...

Taki bezmierny żal... Chciałoby mu się płakać, jak bezradnemu dziecku... Czemu to wszystko znika? Coś obumarło w nim, ucichło... ach, czy na zawsze?

A tutaj te dziwne ściany purpurowe... To jego namiot podobno. On w swoim królewskim namiocie, na jakiejś wyprawie wojennej, tak—tak mu ktoś przed chwilą powiedział, ale czy to prawda?...

Ach! Co to się z nim dzieje! Całe ciało mu płonie, obolałe, spocone. Leciuchne, z najdelikatniejszych tkanin wschodnich odzienie mu ciąży, lepi się, takie ciasne, tamuje oddech... Takie parne wyziewy buchają z tych

miękkich skór posłania... To jego łoże wojenne, łoże z olbrzymich skór białych niedźwiedzi. Płoną mu teraz w miedzianym świetle namiotu rudawymi połyskami. One tak parują okropnie. Czy źle wyprawione skóry? Zupełnie jakby tłuszcze rozlały się na żarzące węgle i dymią, odurzają aż do mdłości. Przy każdym oddechu trzeba pochłaniać te wstrętne wonie i dławić się z obrzydzenia, omdlewać w tym ekliwym tumanie... A głowa taka napęczniała, ogromna. Boli go każdy włos, czuje każde najdelikatniejsze dotknięcie szerści w miękkich skórkach wezgłowia. Tak niewygodnie...

I dźwiga tę rozżarzoną głowę — układa inaczej — znowu to samo. Dźwiga raz po raz i zmienia pozycję ale cóż, taki nadmiar ciała czuje w sobie, potężne muskuły szyi naprowadzają mu takie spiekle, ciężkie fale krwi do ściśniętego gardła, że dławi się niemi, aż mu czaszka pęka od żaru, żyły ponabrzmiwały i bolały jakby miały pęknąć. Czuje te żyły w szyi, w skroniach pulsujące boleśnie—aż w końcu musiał ułożyć się byle gdzie, opadać bezsilnie na nienawistne rozprażone futra. A wtedy całe jego łoże zakręca się pod nim powoli i płynie w jakąś miękką, odurzającą oddal na falach płomieni. Ale to już wszystko jedno — niech się dzieje co chce. Może jest w samym piekle, w ogniu wiecznym... Niech raz się to wszystko skończy... tylko chwilę wytchnienia, przymknięcia powiek — nie, nie — nie wolno, nie wolno...

A w głowie syczy, szumi... To krew tak przelewa się pod czaszką. Szumi jak gdyby gdzieś poza nim — daleko—szumi głęboko, perliście, jak wody ciężkich wodospadów, gdzieś w dali lecących w głębinę, tak dziwnie rzeźwi, przenika w każdą żyłkę, każdy nerw, a potem ucisza się i szumi, jakby mu całe stado ptaków przepływały pod czaszką, uroczyście, rytmicznie, powolnymi wzmachnięciami skrzydeł—tak jakby słyhać było jakieś ciche szeptania, szeptania drogiej istoty, co chce ukołysać do snu... I czuje książkę jak mu na drżące, rozplamienio-

ne nerwy spływa odurzająca pieszczota chłodnych nici pajęczych, jak niewidzialne paluszki, od najczulszych mgieł rannych lżejsze, stulają jego ciężkie, przemęczone powieki, jak mu głowa cała zakręca się i spływa, wydłuża się, zdaje się rozlewać w nieskończoność.

I oto powieki opuszczają się z nieprzepartą siłą na jego chore oczy, w palących łzach skąpane, zamykają się wreszcie, rozkosz rozlewa się ciepłą falą zapomnienia po całej jego istocie, ale cóż—natychmiast uderzają do oczu jakby leciuchne ukłucia tysięcy igieł, jakby roje isker wytrysło i piecze bezlitośnie, błędząc z cichem trzaskaniem pod zolbrzymiałem nagle sklepieniem powiek. Cały mózg wydyma się i wygina omdlewająco, staje się jakąś olbrzymią, rozdrapaną raną, przemęczoną, rozkrwawioną, ostrym piaskiem osypaną, śmiertelny niepokój wypelza z kryjówek duszy zbolelej—i nagle majaczeje mu, sennie w rozżarzonej głowie głucha chęć zerwać się i iść,biegnąć, uciekać stąd daleko—oh, uciec na krańce świata, uciec od siebie samego...

I oto mocije się książę resztkami sił z senną niemocą, aż mu pot spływa zimnemi strugami po czole i wreszcie, dysząc ciężko, odrywa boleśnie od oczu omdlałe powieki, piekącym klejem zawarte. Cicha, bezmyślna radość sprowadza mu nagle do oczu izerby obfite, kojące, a jednocześnie uczuwa w ramionach, w krzyżu, w całym ciele drażniący niepokój, jakieś nieuchwytnie drgania, jakby chęć ruchu, jakby ciało jego bez woli mózgu zachciało powstać i iść, iść daleko—okruchami pamięci łowił niejasną myśl, że tego właśnie przed chwilą zapragnął, że on miał być tam, wśród tych drzew rozkołysanych, szumiących, w tym lesie tajemniczym, olbrzymim, a tam przyjdzie, przyjdzie to potężne i święte... ale dopiero wtedy... nie, nie mógł jeszcze przedrzeć krwawych mroków pamięci—coś wiedział, coś strasznego szeptało w nim cichym, niezrozumiałym głosem, coś kurczyło się w nim i drżało z przerażenia—tam—głęboko, na dnie duszy, poza świadomością...

Te drzewa rozkołysane, te drzewa... to one tak szumią pod czaszką... to one...

I nagle jakaś olbrzymia, pełna, lodowata rzeka powstała mu w piersi i szła zimnemi strugami przez szyję, rozpierała mu gardło, włosy podniosła na głowie. Błyskawica oślepiająco jasnej prawdy rozbłysła mu w mózgu. Toć to jego namiot purpurowy, królewski, rozpalony upałem lipcowym... Ciężkiem złotem wyszywane jedwabie rozprażyły się i zioną te blaski żarzące, miedziane... a tam za tem purpurowem piekłem, za tą ponurą luną duszącego powietrza, świeci jasne słońce, szumią olbrzymie drzewa, tam jego ludzie, jego wierni, tam resztki jego wojska, pozostałe po tym pogromie... po tej rzezi... kiedy utracił wszystko... wszystko... wszystko... i pozostał sam, bezsilny, nieprzytomny... i wtedy... wtedy... wtedy czekał jeszcze... czekał aż nadejdzie godzina... codziennie... czekał na to... czekał aż zerwie się, aż cała moc w nim powstanie, rozpręży się, wolna, niepodległa... aż pobiegnie do szczęścia, do wiekuistego szczęścia... strasznego, niepojętego szczęścia...

Dusza w nim oniemiała, zamieniła się w kamień. Ciało wyprężyło się, zastygło w strasliwym kurczu żył i nerwów, wrzynających się w mięśnie nakształt strun napiętych. Oczy rozwarły się, zdawało się, że wysoko z orbit, patrzyły ślepe z przerażenia, patrzyły, patrzyły....

Wybuchnął oblakany śmiechem, i śmiał się, śmiał się aż do zaparcia oddechu, śmiał się, aż mu w bólu kłującym skręcały się jelita—i nagle umilkł.

Olbrzymia, pusta świątynia. Cisza kamienna wśród kolumn. Mrok zapada. Mdłe światelko dogasa na dalekim ołtarzu... Uroczyście cisza...

Przyczaił się w sobie. Zaledwie że śmiał oddychać. Słuchał, jak serce mu drżało, jak mu fale krwi wrzące biły w obolałe skronie... Jakieś góry nad nim zawisły—jedno poruszenie zwali mu je na piersi, jedno poruszenie

uciszy w nich to chore tętno, tę mowę krwi, skargi nieme...

Tam, w tej świątyni olbrzymiej, wśród porfirowych kolumn, tam stała w białej szacie, świecącej srebrnymi gwiazdami, błada jak światło miesiąca, jak misa cynowa, jak te białe, okropne, odurzające dymy u jej stóp... Stała zastygła w uniesieniu natchnienia, z twarzą skrzywioną bólem, w idjotycznym półśmiechu szaleńca, z oczyma skurczonemi, wywiniętymi ku górze — skamieniała — straszliwa — kapłanka — królowa — bóstwo —

I położyła mu białe dłonie na głowie — te miękkie, pieściwe, a siłą drgające dłonie... I szeptała dziko, syzcząco, urywanie... a jej głos cichy, słodki, jak gwiazdy majowej lśnienie, brzmiał teraz chrapliwie, metalicznie, coraz okropniej, jakby dźwięczały zardzewiałe tarcze, trąc się o siebie...

— Ziemię zwyciężyłeś... Życie zwyciężyłeś... Królu u twoich stóp... pół świata do ciebie należy!... Życie tworzysz, budujesz miasta, świątynie, bagna osuszasz, drogi przebijasz... Nad Życiem panujesz!... nad Życiem!... nad Życiem!... Potężny!... Ha ha ha ha!... Potężny!... ha ha ha ha ha!...

— Umrzesz... umrzesz... i twoi wsiąkną w ziemię... i miasta twoje w popiół się rozsypią... i państwo twoje stratuja dzikie hordy... i one także zgniją... i wszystko co żyje pomrze... i ziemia się rozpęknie — i słońca i księżyce... i gwiazdy się zawałą w piekielną chmurę ognia...

Pochyliła się nad nim i zaszeptała ciszej... — a z rąk jej płynęły mu w głowę zimne fale... drapieżne, a kojące, życiodajne fale...

— Nie trwóż się, królu Ziemi... Twój lęk jest mi święty... Ty jeden za życia patrzyłeś mi w oczy...

Urwała nagle i dyszała ciężko. W śmiertelnej ciszy słyszał jej bolesne rżenie... — i słyszał jak zimne jej wargi poruszają się bez głosu — coraz bliżej mu koło uszu — coraz bliżej — coraz bliżej — i znów zaświszczało szeptanie —

coraz silniej, coraz dźwięczniej — nieprzytomne chałchanie, bulgocące a twarde.

— Śmierć zwyciężaj!! — szeptem strasliwym krzyknęła — szeptem zjadłym, chropawym, jak pęknięty dzwon — Śmierć zwyciężaj — Mnie zwyciężaj — Duchem uderzaj! — Poznaj, że Duch jest w Śmierci, jak w Życiu! — Jeden jest Duch olbrzymi, wszechpotężny, wszechtwórczy — jest i Niebem i Ziemią i Życiem i Śmiercią! — Ty nieustraszony, co Śmierci nie znałeś, choć codziennie patrzyłeś w Jej boskie oblicze — Ty, co tworzyłeś Życie przez Śmierć — Sługo Śmierci — Panem Jej bądź! — Królu Życia, chwyć Ją w żelazne ramiona! — Tęsknota Ją pali — tęsknota potęgi — idź, ukój tęsknotę — idź — zdobywać Śmierć! — Tęsknota Ją pali — tęsknota potęgi...

Idź teraz, idź — a miej duszę z kamienia! — Idź teraz, idź — mocuj się z sobą i ze Mną! — Zwyciężaj, zwyciężaj — sama przyjdę — sama przyjdę...

— Idź teraz — idź — wyzwól duszę — zwyciężaj!... Czekaj na mnie dni siedem — sama przyjdę — sama przyjdę...

— Przysięgnij, że czekać mnie będziesz — tam na granicy Życia — tam, gdzie poznałeś Mnie — przysięgnij! — Ha ha ha ha ha!

Śmiech strasliwy zazgrzytał w podziemnej świątyni, jakby wieka żelazne zapadały w otchłanie...

I przysiągł — a śmiech rozbrzmiewał i grzmiał — kolumny się chwiały, pękały, trzęszczały — i jakby morze olbrzymie szumiało nad świątynią — olbrzymie morze biło wściekły — mi wały — żywe, szalejące morze — tam — na ziemi — w słońcu...

Stracił wszystko z przed oczu... A potem, a potem?

Był sam... sam — w tych duszących podziemiach... w tych purpurowych katakombach... w tych długich kamiennych, sklepionych korytarzach... a potem... potem...

Zamierał w głuchej trwodze, w męce niepojętej — i nie widział już nic — krwawe mroki się snują.

— Co to było? — Kiedy to było?... Gdzie?

Poruszał ustami bezdźwięcznie.

Wyteńczył wszystkie siły chorej pamięci. Pot oblewał mu czoło strumieniami. Widział mętne obrazy stłoczonych wojsk, które szły gdzieś bezładnymi szeregami, jedne za drugimi, bez końca, bez końca...

Oh, jak ta głowa mu płonie mętным, niezdrowym żarem... Każde uderzenie krwi wypycha pod czaszkę kłęby odorzających mgieł, co mu parzą oczy, jakby to uderzały do skroni ciężkie płachty dymiących płomieni i rozpierały je w bólu piekielnym, chcąc się na zewnątrz wydostać...

A przed oczyma skaczą mu jakieś leciuchne, krwawe puchy światełek, ogników... To słońce rzuca na rozpaloną purpurę namiotu cienie drzew, a w nich migają światełka... To jasne plamy słoneczne... od liści, co na wietrze migocą...

Tak... ale on myślał... myślał o tem wojsku... o tem wojsku... co on to myślał...

Czuł okropne, zimne dreszcze rozkoszy, przebiegające przez mózg, przez szyję, przez całe ciało, przymykał rozbolałe, ciężkie, gorączkowe oczy, czuł, że mu te ręce nieziemskie przesuwają się po skroniach, po włosach, krzesząc tysiące zimnych iskier, od których oddechu mu brakło...

Te ręce... oh te ręce przeświète!... te ręce...

Szlochał dławiaćcem, bezgłośnem szlochaniem znękaney duszy, szlochał, aż całe ciało skręcało mu się w konwulsjach, zapamiętał się, omdlewał z rozkoszy i bólu, żywa krew w nim płakała, zalewając mu gardło, zimne żelazne dłonie zacisnęły mu serce...

Oh te ręce!... te ręce...

Zastygał w śmiertelnym spazmie, roztopiał się w upojeniu.

I nagle ujrzał ten straszliwy obraz bezlitosnej rzezi, te walczące ze sobą, stłoczone masy wojsk... jej wojsk i jego, książęcych... jej wojsk i jego...

Nie! — nie! — ona nie wiedziała, co zrobią jej żołnierze... Ona przyjdzie, ona przyjdzie!... ona już dzisiaj na pewno powróci... tam... pod tę skałę... Ona mówiła... wtedy... ona mówiła... co ona to mówiła...

Rozwarł oczy szeroko... szeroko...

Jak te drzewa syczą i szumią za namiotem... Jak te purpurowe światełka migocą mu przed oczyma...

A cała jego biedna skołatana głowa staje się dziwnie wielką, zanurza się w jakimś kleistym ciężkim, purpurowym mroku, który kładzie mu się na piersiach miedzianymi chmurami...

I on tak czeka i czeka... To już dzisiaj się skończy... na pewno... oh nie!... już lepiej wcale nie myśleć...

Oh, nie myśleć!...

Jakie to piękne desenie układają się z tych ognistych plam światła, skaczących po purpurze... Przeważnie okrągłe ogniki. To bardzo zajmujące... To orzeźwiająco działa patrzeć na nie przez te łyzy cierpkie, piekące... Te światełka chłodniejsze... chłodniejsze od jego oczu, od rozpalonej czaszki, od tego olbrzymiego, mrocznego namiotu, który przeżarły piekielne, purpurowe ognie...

Olbrzymi to namiot — zdobywczy. Zmieściłoby się w nim kilka jego komnat zamkowych. Tak ze trzy, ze cztery. Lubił to wyliczać. Codziennie. A na wysokość będzie miał ze dwa piętra — ho ho! może więcej! — Zaraz. Trzeba porachować, ile tych równoległych, szerokich na głowę człowieka, złotych pasów idzie jeden nad drugim, aż pod sam szczyt olbrzymiej kopuły purpurowej — tam w górze. Pasy te na ciężkim, jak skóra, jedwabiu, wydają się czarne pod słońce, tylko gdzieś migają na nich jakby głuche błyski miedzi. Jeden, dwa, trzy... naturalnie — wiedział na pamięć — jest ich piętnaście. A ponieważ odległe są jeden od drugiego o ja-

kich pięć głów ludzkich — tak—o tęgich pięć głów ludzkich....

Ile to razem będzie? Piętnaście, a potem pięć razy piętnaście...

Ciężko pracował myślą. Straszny niepokój go dławił.

Piętnaście, a potem pięć razy piętnaście...

Próbował to wyliczyć i nie mógł. Szeregi liczb poruszały mu się w wyobraźni bez jego woli, goniły się, jak żywe, nie mógł ich skupić w jedną całość. A wiedział wynik — dawno już wiedział... ale nie mógł sobie przypomnieć...

A liczby skakały mu przed oczyma czerwone błyszczące, wydłużały się w jakieś płomieniste węże, to znów rozszerzały dziwacznie w potworne, olbrzymie koła drgające, to znów zdawały się fruwać leciuchno, jak pożarem oświetlone motyle, to znów układały się w sznury lśniących rubinów, w girlandy róż, które znikaly natychmiast, zamieniając się w ogromne, nieforemne plamy ognistego światła, coś jakby w wykrzywione śmiechem cynicznym twarze, szczerzące zęby, rozplywające się w krwawych mrokach, a potem biegły mu przed oczyma strumienie złotorudych, wichrem miotanych loków i targały się w strzępy świetliste, bezkształtne, to znowu w delikatne, różowe koronki.

To słońce wyprawia takie harce na wiatrem targanej purpurze... Cienie i światła migają mu przed oczyma, a jemu się wydawało, że on to myślał... tak... że on o tem myślał... ha ha ha, jakie to śmieszne... A to przecież jego namiot olbrzymi, królewski, zdobyty na moczach Carogrodu... już dawno... już bardzo dawno... jeszcze dawniej, niż stało się to... a to było kiedy?... to było... Nie!... Dziwna doprawdy ta pamięć... tak mętnie coś syczy i szumi w tej głowie.

Taka ołowiana bezwładność w całym ciele, taka sen-

ność leniwa, a nabrzmiała gorącem... Oczy takie ciężkie... Palą go przemęczone, zażawione...

A te krwawe światełka skaczą za mętną mgłą, tulą się pieszczotliwie do jego oczu zbolących—motyle kochane, ptaszki ogniste... Nie, to są jakieś puszyste, leciuchne, niematerjalne istoty—życiodajne, rzeźwiące płomienie... Jak one napełniają mu oczy rozkoszą czystego blasku, jak one przesiakają przez oczy nawskroś i wsączają się w mózg, napełniają nerw każdy, napływają rytmicznie, raz za razem, falami, aż mu skronie pękają od tego nawału ognia, aż wciskają się w krew i żyły mu rozpierają, i toczą się w jego żyłach rozpalonych, bolących, sznurami okrągłych płonących koralu, toczą się coraz większe—żywe gwiazdy ogniste.

Dzięką, straszną rozkoszą pali się serce książęce. Płomieniami pulsuje ciało jego olbrzymie!

Płyną mu w żyły płomienie coraz bardziej palące, płyną ze ścian purpurowych rozchwieanego namiotu, z miękkich, żarzących futer duszącego posłania, płyną nieubłagane, coraz szybsze, coraz krwawsze, płyną cichą, szalejącą coraz wścieklej muzyką, rozpościerają w pęczniących rytmach całą istotą księcia, aż wyrasta na olbrzymią przestrzeń pod namiotem, i jeszcze, jeszcze płyną, rozsadzają w nim wszystkie żyły, rozsadzają mu głowę, rozsadzają mu serce...

A za każdym uderzeniem fal ognia w jego skronie żarzący namiot olbrzymi zacieśnia się zewsząd ku niemu, to znów oddala napowrót i wydyma jak bania z rubinu, trzęsie się cały, migoce i pochyla kolistym ruchem, spływa szumiącymi falami w jakieś krwawe przepaści, a potem znowu powraca, rozpala się i gaśnie raz po raz, ciemnieje, roztapia się, znika i nagle, płonący purpurą, wyłania się niby sennie straszliwe widziadło, i znowu zapada w mętne, niezbadane otchłanie... A wtedy książę w beźmiernem zdumieniu odczuwa, jak te jedwabie żarzące, ciężkiem złotem przetykane, przenikają w jego

istotę, napływają w krew wrząca, przelewają się w żyły, kołują zawrotnymi kręgami w otchłaniach jego ciała — cały namiot olbrzymi staje się częścią jego istoty, cały pulsuje w takt rytmów jego krwi rozszalałej — aż wreszcie wypełnął, wtulił się w najgłębsze zakątki serca — i naraz zaszumiały przeciągle wokoło drzewa olbrzymie — potężne dęby i brzozy i buki, krwawym wichrem targane, słaniają mu się do stóp i przytulają do niego — cała olbrzymia puszcza płynie ku niemu falami, cała nieogarnięta, odwieczna, rozkołysana puszcza, w której migają świeże, zielone kobierce polanek i lśnią szklane, uśpione tafle jezior bezdennych... Owiewa znękane gorączką ciało książęce woń surowa drzemiącej wiecznie wilgoci zbudawiających drzew w nieprzebytych ostępach, wnikają weń zapachy żywicy i krążą mu w żyłach... hej!... ta dziewczyna puszcza przewala mu się przez ciało! — wślizgują się weń olbrzymy leśne i krążą mu w żyłach! — hej! — płyną, pędzą szalonym wirem za tą puszcza łąki kwieciste, pachnące, płyną wsie i miasta i baszty zamków obronnych i nieobliczone łany żołnierzy — cała ziemia rodzinna — cała ta ziemia, którą oplata krwawymi pasmami duszy zbolałej, cała ziemia przepojona gorącą krwią jego serca, aż mu ona wybucha w wulkanach tą krwią serdeczną, aż drży i trzęsie się pod stopami ludów, kiedy wzburzy się w gniewie — a wtedy rozszalałe morza ciskają ku miedzianym chmurom łupiny okrętów o białych, srebrzystych skrzydłach, a wichry podniebne sieją złotawy pył gwiazd na wieczne śniegi szczytów gór ponad puchem obłoków...

I wtem jakaś olbrzymia potęga przebiegła mu zimnem, piorunowem technieniem przez piersi — uczuł w sobie bezmiar — oślepiające, złote światła rozbiły mu w głowie, w sercu, rozświetliły całą duszę — istota jego rozwarła się, rozszerzyła w nieskończoność, ciało straciło siłę ciężenia, popłynęło olbrzymim rzutem w przestrzeń, a groźne, lodowate technienia przewiały mu po żarach żył umę-

czonych... i wtedy uczuwa książę w rozkosznym przerażeniu, że powstaje w nim, rodzi się, zapładnia żywa, bezmiernie wielka istota, świat olbrzymi, kula potężna — i krążyć poczyną — cała ziemia pulsuje w nim, wiruje pod czaszką w uroczystych, szumiących rytmach, rozpościera tę czaszkę w bólu piekielnym, krążąc po jej brzegach, prac na zewnątrz — aż oto ciało jego rozprzega się i rozpościera w bezmiary krwawą masą przezrocza — aż rozszalałe morze krwi, uszedszy z więzienia ciała, wypływa falami ku światom dalekim, niezbadanym, tuli się do nich, garnie się ku nim miłośnie — i za każdym westchnieniem serca tryskają waly krwi życiodajnej, promieniają wokoło, szczęśliwe i utęsknione, padają na zimne globy, krzepną i znowu się budzą do życia — i jak pasma pajęczne snują się dalej i dalej — snują się coraz słabsze — takie uciszone już, takie nikłe, takie chore — uchodzą falami, falami... bezmiernymi, krzepnącymi falami... i zamierają... zasklepiają się w dali... a on, pajak olbrzymi, w sieci krwi własnej umiera — w sercu świata dogasa — ach! — i na próżno!...

Ach, nie można bezmiernych przestrzeni gwiazd wchłonąć w duszę — ach, nie można! —

Ach, nie można wszechświata ogrzać ciepłem serca i krwi swojej — ach, nie można! —

Ach, nie można żyć, ani umrzeć, ani kochać, ani zapomnieć — ach, nie można! —

Serce ustaje w pracy, piersi gasną, zamierają... krwawe, palące mgły strzępią się przed oczyma w poszarpane kłęby i giną w błękitnawych, gwiazdami usianych odmętach... a gwiazdy bledną, a niebo szarzeje jak przed świtem w poranek wiosenny, odurzający zapach przeczystego powietrza owiewa skrwawione serce, chłodna rosa na kwiatach skrapla skronie żarzące...

Ach, jakże to niebo staje się białe, jak opary mgieł porannych, jak pole śnieżnych obłoków, idące w bezmiar, a na niem miljardy gwiazd srebrnych migoce jak roje

brylantów... I całe to niebo drży, wygina się jak za wiatru powiewem — hej — rozpostarła się ponad księciem olbrzymia, śnieżysta, migotliwa szata, gwiazdami srebrnymi szyta i igra z wiatru powiewem, chyli się, zbliża ku niemu ta święta, ukochana szata, a gwiazdki dźwiękliwe jęczą...

O rozkosz, rozkosz bez granic! Śnieżny całun okrywa mu rozpalone ciało, mrozi mu oddech, zaciska lodową obręczą gardło... Tężeje w przerażeniu, w świętem, nieziemskim, błogiem przerażeniu...

Oh, ta szata prześwieta!... Umrzeć teraz... oddechu brak... umrzeć!..

Przepaść się pod nim otwiera... lecieć tam, lecieć... o tak... o tak... już na wieki...

O rozkosz! —

Na wieki... na wieki...

Wtem fala gorącej krwi uderzyła jak obuchem pod czaszkę.

Aha—aha—takie krwawe blaski—coś runęło bezpowrotnie...

On spał, czy nie? —

Obudził się... tak... coś wpadło w straszliwą otchłań, ziejącą płomieniami i znikło...

Gdzie on był? — Gdzie on teraz? — Gdzie potem będzie? —

Gorączka? Sen? Oblęd? — nie nie pamięta...

Jakieś obrazy straszliwe, potężne, bez związku... A tu namiot, purpura pali, w skroniach płomienie biją....

Coś mu się zdawało, że wie... coś mu powiedziano... Jakiś bezmiar potęgi, skąpanej w krwawych potokach...

Może to śniły mu się jego zwyczajstwa...

Nie, nie, to co innego. O czymś myślał, czy śnił, a oczy rozwarły były... ale i tego nie wie napewno..

Więc już oblęd. Oczywiście. Więc wszystko, co teraz widzi, to nieprawda, bo za chwilę znów nic nie będzie pamiętał. Ten namiot, to rozżarzone posłanie, którego dotyka to też nieprawda...

A te krwawe światełka, na purpurze skaczące, to gorączka wypala na przemęczonych powiekach...

Ha ha ha! Te światełka!... Rozumie się, że to nieprawda, bo któż kiedy widział takie dziwne ogniki?!... Jak żywe!...

Ach, czemuż on już zapomniał, co wiedział przed chwilą... to było takie potężne, takie olbrzymie... rozsażowało mu głowę...

Tańczą te ognie, tańczą—swawolnie, drażniąco... Jakież to piękny, rozkoszny stan—obląkanie!... Żywe światła słoneczne, żywe promienie!... Ha ha ha, jakież to śmieszne!... Ha ha ha, jak mu błędzą po twarzy, pieszczą policzki ciepłym oddechem, osiadają na piersiach cichym łaskotaniem, to znów odskakują daleko, jakby wichrem porwane, a potem powracają ogromne, jaskrawe i ociążałe, niby czerwone księżyce, we mgle zawieszone, kiedy powstają z za milczących borów przed wzrokiem pijanego wędrowca...

Żar duszący od nich idzie, jak od rozpalonego żelaza....

Co to się dzieje? — Co to się dzieje? —

Niepokój i strach mrozi księcia. Już teraz keniec, już koniec... aha—a teraz co to? — Wszystkie te światła ogromne zadrżały, zakółysały się, podniosły się w górę wysoko—i nagle rozpękły się z cichym szumem w tysiące błędnych ogników, jakby to samo powietrze w namiocie zapaliło się i sypało iskrami — i wszystko to spływa krwawym śniegiem na księcia, czepia mu się ubrania, jak błyszczące robactwo, a gdzieś tam wyraźnie już widać dymiące płomyki, jak pożerają miękie futra niedźwiedzie i wybuchają łodygami płomieni aż pod samą purpurową

kopułę namiotu. — Namiot spłonie — myśli książę przerażony — i oto w tej samej chwili olbrzymie płachty ognia buchnęły około niego przeraźliwym żarem i zaświeciły mu w oczy oślepiającą jasnością... — Pali się — pali się — szepcze książę przerażony, ale nie może się ruszyć, czuje, jak żywe płomienie wiją mu się po głowie, włosy mu płoną, całe ciało spływa gorącym potem, który syczy i parska w tym ogniu, wstrętny dym ze skwierczających na rozpalonych węglach skór i tłuszczów gryzie mu oczy, wchodzi mu w gardło, w nozdrza... Dusi się... czaszka pęcznieje mu krwią — i nagle głuchy krzyk, jęk nieludzki, czy wycie, wydiera mu się przemocą z zamierającej piersi.

Natychmiast pojawiają się skądś jakieś czarne cienie ludzkie, przesuwają się niewyraźnie wśród płomieni — księciu przychodzi nagle na myśl, że to jakieś wrogi nieznane skępowały go niewidzialnymi więzami i podpaliły ten namiot, podpaliły cały las — wszystko płonie — cały świat w płomieniach...

Jęknął okropnie.

Czarne cienie poruszyły się szybciej, w płomienie jakby wicher wionął, rozproszył je, przerzedził — książę widzi, że namiot stoi, jak stał, że mętne, rude płomienie liżą te ściany purpurowe bez szkody dla nich — ot, płyną sobie po powietrzu jak gdyby mary żywe, jak duchy ogniste, coraz bledsze i bledsze... i tylko tajemnicze cienie ludzkie nie usuwają się, niewyraźne, jakby za krwawą mgłą stojące — zdawało się, że szepczą coś, mówią półgłosem, giestykują rękami — i oto książę w końcu dostrzega, że mającą one poza namiotem, poza tą purpurową ścianą, osypaną płomykami słonecznych promieni...

Ach, toć to jego ludzie! — Toć codzień ich tak widywał od czasu do czasu, gdy chcieli się ci wierni jego słudzy choć w ten sposób dowiedzieć, słuchając szmerów

w namiocie, czy pan ich żyje jeszcze, czy czego nie potrzebuje...

— Słyszałeś?! — doszedł uszu książęcych wyraźny, przerażony szept — coś mu się stało — ja tam muszę wejść! —

— Ani się waż, jeżeli ci życie mile! — warknął ktoś drugi zawzięcie.

— Ale dlaczego, dlaczego? — błagał już głośno pierwszy, głosem nabrzmiałym bezmierną rozpaczą — On tam mógł omdleć z samego gorąca! — A może niema siły wyciągnąć ręki po jadło! — To szaleństwo! — On i wybaczy... Puście mnie... ja muszę...

— Tss... tss...

Coś zakotłowało się za namiotem i cienie znikły.

A potem odbił się na purpurowej ścianie wyraźnie cień jakiejś brodatej, jak z kamienia wykutej głowy, która na wyciągniętej szyi zdawała się nasłuchiwać z ojcowską czułością..

— Ach kto to, kto to? — pyta książę w duszy swojej i czuje, że kocha tego nieznanego człowieka. Taki był mu drogi, taki święty... Może go zresztą znał kiedyś, ale bardzo dawno... nie pamięta... Oh, tak by chciał przytulić tę brodatą, kochaną głowę do piersi, tak czuje, że ten człowiek to może jedyna istota, która go teraz, w bliskości, na tem pustkowiu kocha naprawdę... Ach, gdyby wszedł tutaj i powiedział kto on jest, skąd przybywa... Ach, gdybyż nikogo więcej nie było wokoło, gdybyż uścisnąć jego dłoń, spracowaną w bojach... On go znał kiedyś.. może kiedy był jeszcze wpół dzieckiem... coś mu się majaczy w przemęczonej głowie... jakieś miasto zdobywane, szturm, wrzaski piekielne, krew, zwierzęce twarze wrogów, a wśród nich, tylko ta twarz... nie... nie, nie nie pamięta...

A cień przemknął się cicho po purpurowym jedwabiu i zniknął, rozplynął się w fałdach falujących na wietrze.

A potem pustka i cisza otoczyła księcia.

Tylko płomienista tkanina furkotała, wydymając się od wiatru i głucho uderzała o wbite w ziemię pale, tylko olbrzymie drzewa leśne, daleko, za tym rozpalonym namiotem, szumiały głęboko, perłście, jak wody ciężkich wodospadów...

Śmiertelny smutek zacisnął chore serce książęce.

Tak, tak, to jego ludzie. Przecież on nie zabronił tu wchodzić. Bo nikomu nie danem jest widzieć Pana w niemocy! Niewielu już ich zostało. Tak dawno leży w tym namiocie! Uciekają setkami od niego. Mają go za warjata. Opowiadają o nim bajki niesłychane...

Ciąg dalszy nastąpi.



Dr. ADAM ZIELEŃCZYK.

O MIŁOŚCI PLATOŃSKIEJ.

Auch der Erkenntnistrieb ist zuletzt identisch mit dem Unsterblichkeitsbedürfnis.
Weininger.

Platońska czy właściwie tylko sokratyczna?

W dialogach Platona, jak wiadomo, nigdy sam Platon nie występuje, nawet imię jego bywa wspominane niezmiernie rzadko i tylko jak gdyby przypadkowo (tak więc w „Fedonie“ jedynie po to, ażeby usunąć możliwość podejrzenia o stronność). Któż więc kryje się pod ironiczną maską Sokratesa? Jest że to mistrz, czy uczeń? Jest że to żywy Sokrates, ten sam, znany Ateńczykom włóczęga i bałagula, czy też ideał, obraz, symbol mędrca, przeobrażonego w wyobraźni Platona z dawniej zmarłego okrutną w swym spokoju śmiercią? Poszukiwania filologiczne nie zdołają tej sprawy rozwiązać. Jedyna droga, jaka się tutaj wydaje możliwą i do celu prowadzącą, jest wyłącznie droga psychologiczna. Trzeba wżyć się w te postaci antyczne, trzeba z nimi myśleć, rozwijać się i cierpieć i dopiero wtedy spróbować na podstawie ogólnych psychologicznych motywów, kierujących życiem osobnika zarówno w przeszłości, jak w teraźniejszości, wytworzyć sobie pogląd na człowieka—Sokratesa i człowieka — Platona.

Platon był we wczesnej młodości poetą (pozostał

nim do końca życia, chociaż wierszy już nie układał). Dopiero znajomość z Sokratesem wytrąciła go z kolei artystycznej. Zniszczył swoje utwory poetyckie (liryki, dramaty?) i zapragnął odtąd oddać się wyłącznie roztrząsaniu spraw wyższych nad namiętności ludzkie, zagadnień świata, stanowiska i przeznaczenia człowieka. Został jednym z umiłowanych uczniów Sokratesa. Był świadkiem jego stosunków i przeżyć, jego rozmów i rozmyślań, jego życia i śmierci. Umiłował go całą wiecznie młodzieńczą duszą artysty. Przejał go w siebie i z siebie odtworzyć, odzwierciedlić światu usiłował. Pierwsze dialogi Platona są przeto najpewniej wiernymi, w każdym razie najwierniejszym obrazem istotnych zdarzeń, istotnych rozmów, istotnych operacji „akuszeryjnych“, dokonywanych przez Sokratesa na umysłach „psutej“ przez niego młodzieży. Są to rozmowy bezpretensjonalne, prawie zawsze bez skutku, bez konkluzji, bez daleko idących konsekwencji.

Ale mistrz umarł. Powoli jego żywe słowo i żywa postać zacierają się w myśli uczniów. Jeden przejał jedną stronę nauki, inny inną. Tak Euklides i erystycy z jednej strony, Fedon i szkoła elicka z drugiej podjęli sokratyczną dialektykę; tak Antystenes i cynicy rozwijali sokratyczną pogardę życia doczesnego; tak Arystypp i cyrenaicy szli w kierunku zagadnień etyczno-eudemonistycznych. Każda z tych szkół podejmowała tę część sokratyzmu, która jej się wydawała istotną. (Jest to los wszystkich wielkich twórców-reformatorów w dziedzinie filozofii, że niezwykła objętość spraw, jakie ich gienjusz objąć był w stanie, rozpada się w następstwie na poszczególne momenty, chwytane przez jednostronnych i tylko w danej dziedzinie uzdolnionych uczniów czy naśladowców).

Platon objął myślą całą naukę Sokratesa i zechciał być tylko żywym obrazem jej dalszego ciągu. Nietylko uwielbienie dla Sokratesa kazało mu wysuwać jego postać w każdym dialogu; skłoniło go do tego może w jeszcze większym stopniu przekonanie, że Sokrates to właśnie my-

ślał. Swoją naturalny, indywidualny, twórczy bieg myśli podsuwał Platon Sokratesowi z całym przekonaniem, że jeżeli on tych myśli nie wypowiedział w istocie, to byłby je wypowiedział, gdyby żył i gdyby o nich mówił. Z koniecznym w psychice jednostki wiązaniem swoich przeżyć przekonaniowych z imieniem lub osobą uwielbianą, wkładał Platon swoje twórczo-cudowne koncepcje w usta rozmawiającego z przyjaciółmi Sokratesa, nauczyciela i powiernika, demonia i kochanka, autorytetu i płodu wyobraźni. (W ten sposób często pragnąc przekonaniom naszym nadać potęgę prawdziwości i wiarogodności, wiążemy je z autorytetem, koncypując: co byłby zrobił nasz autorytet, gdyby był na naszym miejscu, jakby ujął sprawę, gdyby był w naszych warunkach. Jest to prawo psychologiczne wzajemnego wpływu przeżyć i sankcji).

Powoli postać Sokratesa się zmienia; myśli, wypowiedane dorywczo to w tej, to w innej sprawie, łączą się, wiążą się z sobą, tworząc wkońcu jednolity obraz świata i człowieka. Każda w poszczególnym dialogu wypowiedana myśl idzie już w świadomym kierunku, zdąża do świadomego celu wykazania istoty świata, jak ją ujmował Platon. Sokrates wcielił się w swego ucznia, w nim jak gdyby żyje dalej—ten sam i nie ten sam, jak ów przytaczany przez niego (w „Biesiadzie“) organizm ludzki, co, ciągle się przetwarzając, staje się w końcu coraz innym, a mimo to pozostaje zawsze tym samym.

Tak też należy rozumieć pojęcie miłości platońskiej. W umyśle Sokratesa poczęta nie przedstawia ona jeszcze nic, coby się wiązało z najwyższymi pojęciami metafizycznymi. Dla Sokratesa jest ona pojęciem dwuznacznym: miłość ziemską, miłość zmysłową, jest czemś, co pogardy człowieka wyższego jest godne; miłość nadziemską, miłość umysłową, jest czemś, co należy w sobie wzbudzić. Dusza ludzka jest dla Sokratesa (w „Fedrosie“) wozem, ciągnionym przez dwa konie: białego, szlachetnego i wzniosłego, i czarnego, nikczemnego i zmysłowego; należy bia-

łemu powierzyć swą drogę—on winien w swoim kierunku ciągnąć swego czarnego towarzysza.

U Platona zdobywa sobie pojęcie miłości nie tylko szersze rozwiązanie, ale łączy się ono z najwyższymi zagadnieniami metafizyki, staje się jedną z najwyższych kategorii, ideą jedną z najważniejszych, bo brzemiennej w czyn, bo zabarwionych etycznie.

Przedmiotowi miłości jest w całości i wyłącznie poświęcony dialog „Biesiada” (*Symposion*), jeden z najdojrzalszych utworów Platona. Została napisana, jeżeli nie w ostatnim okresie twórczości (co jest wątpliwe, aczkolwiek przez niektórych badaczy utrzymywane), to w każdym razie długo po śmierci Sokratesa (399) prawdopodobnie w roku 385 albo 384, po „Fedrosie” (około 395) i bezpośrednio przed „Fedonem”¹⁾. Daje więc obraz Sokratesa, już cokolwiek zatarty w pamięci Platona, a w każdym razie uzupełniony przez obcą Sokratesowi metafizykę idei. Występuje tu Sokrates w pełni życia, w przeciwieństwie do późniejszego „Fedona”, kreślącego portret Sokratesa przed śmiercią (Schleiermacher).

Przypuszczając, że ten bezsprzecznie najpiękniejszy, w najbardziej artystyczne ramy ujęty dialog jest powszechnie znany, nie będziemy oddawali jego treści, tylko z niej wyjmiemy to, co do systematycznego opisu samego zagadnienia, tak jak je Platon ujmował, jest konieczne.

Sokrates, przystępując po świetnych, jak sam zaznacza, przemówieniach uczestników biesiady do określenia istoty Erosa, utrzymuje, że jest to przedmiot, który go nie tylko najbardziej zajmuje, ale na którym się najlepiej, a właściwie jedynie zna (*Symp.* 177 E.) Ale mimo to nie będzie Erosa wychwalał, jak to uczynili współbiesiadni-

¹⁾ Prwn. Zeller II, 1, wyd. IV str. 549. Utrzymywany przez Zellera pogląd, jakoby Fedon był wcześniejszy od Biesiady, nie może się ostać, albowiem w Fedonie jest treść Biesiady przyjmowana, jako znana. Prwn. także Raeder „Platons philosophische Entwicklung” 1905 str. 168.

cy, lecz opowie o nim prawdę, całą prawdę, gdyż tylko w ten sposób potrafi go godnie uczcić. Otóż pierwszą właściwością Erosa jest to, że—nie jest bogiem. Albowiem miłość musi być miłością *do czegoś*, a zatem dążeniem do czegoś; dąży się jednak nie do tego, co się posiada, lecz czego brak się uczuwa. A zatem miłość jest dążeniem do zapełnienia pewnego braku, i Eros, jako posiadający braki, nie jest bogiem, bo bóg, jako doskonały, nie ma żadnych braków.

Czemże więc jest Eros? Jest demonem, istotą, stojącą pomiędzy ludźmi a bogami, utrzymującą stosunki jednych z drugimi i przeto zapełniającą przepaść, jaka tych od tamtych dzieli.

Jakie jest jego *pochodzenie*? Zrodził się Nędzy, która zapragnęła mieć syna od Bogactwa, upitego na weselu Afrodyty. Jako zrodzony na weselu Afrodyty, posiada Eros miłość dla piękna, pozatem jednak odziedziczył w równej mierze właściwości ojca, jak matki. Ze strony ojca pochodzi od piękna i dobra, jest więc odważny, śmiały i przedsiębiorczy; dzielny myśliwy, nastawia wciąż sieci na ludzi; w każdym położeniu roztropny i wynalazczy, dąży zawsze do całkowitego poglądu na zagadnienia; potężny czarodziej, wróżbita i kaznodzieja nie jest stworzony ani jak śmiertelny, ani jak nieśmiertelny, lecz jednego dnia kwitnie (gdy żyje z części spadkowej po ojcu), drugiego — więdnie i obumiera (gdy ciąży nad nim część, odziedziczona po matce). Znajduje się on, zarówno jak filozofowie, ciągle w dążeniu do mądrości, mądrym jednakże nie jest.

Jakie jest *przeznaczenie* Erosa—miłości? Ludzie, kochający piękno i dobro, dążą do posiadania go — Erosa zadaniem jest tworzenie w pięknie. Albowiem piękno samo nie istnieje na ziemi, lecz istnieje tylko płodzenie, rodzenie w pięknie. (*Symp.* 206 E.). Wynika zaś ono z miłości ku nieśmiertelności, gdyż wydawanie na świat potomstwa jest pewnego rodzaju przejawem wieczności. Tem się tłumaczą dążenia, poświęcenia, cierpienia miłosne.

Jak bowiem człowiek nie pozostaje tym samym ani fizycznie, ani psychicznie przez całe życie swoje, a jednak ma świadomość swojej jedności i tożsamości — tak też w posiadaniu potomstwa, jako wyrazie ciągłości, przejawia się dążenie do nieśmiertelności. Dążenie to jest człowiekowi wrodzone i występuje także, jako pożądanie sławy, będące źródłem wszelkiego bohaterstwa.

Istnieją zatem dwa rodzaje nieśmiertelności — psychiczny i fizyczny. Obydwa jednak przechodzą przez te same etapy: gdy człowiek dochodzi do pewnego wieku, czuje w sobie przypływ pewnych sił, które pragnie się podzielić z bliźnimi. Nieśmiertelność psychiczną wyżej należy cenić od fizycznej. Psychiczenie nieśmiertelni są Homer, Likurg, Solon — im stawia się pomniki; fizycznie nieśmiertelnym jest każdy człowiek, mający potomstwo — za to jednak nikt mu pomników stawiać nie myśli.

Są to więc, zdaniem Platona, dwa krańce pożądania nieśmiertelności: miłość do płodzenia potomstwa i miłość do stworzenia pięknych czynów. Pomiędzy nimi znajdują się wszystkie możliwe rodzaje i odmiany miłości. Wzrastają one w ciągle uszlachetnianym typie od najniższej do najwyższej, przechodząc kolejno różne stopnie, zarówno w naturalnym rozwoju ludzkości, jak w indywidualnym każdego poszczególnego człowieka. Jest więc zadaniem wychowania wdrażać wychowañcom postępowo coraz wyższe typy miłości.

Pierwszy stopień. Najniższy typ stanowi miłość do pojedynczego ciała. Wyraża się ona w naturalnym popędzie płciowym, rzucającym dwie podobające się sobie wzajemnie jednostki w objęcia. Miłość ta dąży zatem do posiadania jednego pięknego ciała, z którym łącznie wytworzyć pragnie potomka. Ta czysto zmysłowa nieśmiertelność jest tylko dalszym ciągiem dążenia do zachowania własnego osobniczego życia. Pragnie ona majątek fizyczny, zdobyty przez osobnika, rozciągnąć możli-

wie najdalej i przejawić go w coraz nowych kształtach. Niczem więc nie jest i być nie pragnie.

Ten rodzaj miłości, dążącej li tylko do zachowania gatunku, ma na myśli również Arystoteles, kiedy mówi o dążeniu osobnika do stworzenia innego na podobieństwo swoje (*De anima* II, 4), albo kiedy przyczynę miłości pomiędzy rodzicami i dziećmi upatruje w tem, że stanowią oni razem jedną całość: rodzice spoglądają na dzieci, jak na oddzielone od nich części, dzieci widzą w rodzicach swój pierwotny materiał, od którego się oddzieliły (*Ethica Nic.* VIII, 14).

Drugi stopień. Cokolwiek wyższy typ przedstawia miłość cielesna do pięknego osobnika tej samej płci. Chociaż bowiem na zmysłach oparta, nie ma na celu materialnego płodu i zbliża się przeto do miłości duchowej.

Myśl ta zostaje włożona nie wprost w usta Sokratesa, lecz wypowiedziana przez Arystofanesa w jego legendarze o pochodzeniu płci. Że jednak Sokrates ten rodzaj miłości nie tylko uznawał, lecz nawet mu hołdował, jest jasne i niewątpliwe, aczkolwiek Platon stara się to ukryć, a nawet w przemówieniu Alcybiadesa wprost zaprzeczyć. Pomijając jednak już ten niezwykle podejrzany nacisk, jaki Platon zaprzeczeniu swemu nadaje, mamy skądinąd niewątpliwe dowody, że Sokrates miłości homoseksualnej się oddawał. Należy jednak zaznaczyć, że miłość homoseksualna nie była w Grecji uważana za nienaturalną lub nieetyczną i zbyt gorliwe dowody niektórych badaczy, jakoby zdanie o Sokratesie, jako homoseksualiście, było niecnem kłamstwem, szerzonym przez jego wrogów, stanowią nieusprawiedliwione stosowanie współczesnych (czy zresztą tak bardzo współczesnych?) poglądów moralnych w dziedzinie etyki obcej i innej. Nie upatrujemy zresztą dowodów homoseksualności Sokratesa w zdaniach, jakie mieli o nim starożytni: Laertius wspomina, jakoby Antisthenes Sokratesa oskarżał, zarówno Aristypp miał szerzyć o Sokratesie to zdanie, Filon widział w „Biesiadzie“ (zresztą bezpodstawnie) ubóstwienie mi-

łości homoseksualnej. Ale to wszystko nie jest wystarczające. W *samych dialogach* Platona znajdujemy niezbitte dowody. Oto przykłady: „Protagoras“ I (309): „skądże to, Sokratesie, tak niespodzianie? Przybywasz zapewne z polowania na pięknego Alcybiadesa“; „Gorgias“ XXXVII (481 D.): Sokrates do Kalliklesa: „... obydwa jesteście zakochani i każdy z nas podwójnie: ja w Alcybiadesie i w nauce, ty w ludzie i synu Pyrilampa.“ Zresztą w samej „Biesiadzie“ Alcybiades niedwuznacznie opowiada, ile znosić musi z powodu zazdrości Sokratesa.

Trzeci stopień. W stosunku międzypłciowym widzi Sokrates możliwość wyłącznie zmysłowej miłości; w stosunku jednopłciowym do namiętności zmysłowej dołączyć się może przyjaźń, jako miłość duchowa. Stąd już krok tylko do wyższego typu miłości, w którym zwraca się uwagę nie na samo ciało, jako takie, lecz na jego zalety, na jego piękno; a wówczas nie miłuje się jednego ciała, lecz wszystkie, posiadające piękno. Przejście jest tu proste: od jednego ciała do wszystkich. Widząc piękno w jednym cielesnym i spostrzegając je w innych, byłoby nierozsądnym nie uważać piękna we wszystkich ciałach za jedno i to samo. Piękno staje się tu łącznikiem pomiędzy ciałami i wyrazem ich pokrewieństwa (*Symp.* 210 B). A stąd płynie, że kto to rozumiał, staje się wielbicielem wszystkich pięknych ciał, a zatem porzuca swą poprzednią namiętność do szczególnego osobnika. Zmysłowość przechodzi w *uczucie estetyczne*.

Czwarty stopień. Następnie jednak każdy musi zauważyć, że miłość do duszy jest o wiele piękniejszą, niż miłość do ciała, a raczej, że piękno duchowe potężniej się przejawia, niż cielesne. A nauczwszy się już wielbić piękno, jako takie, bez względu na jego stronę materialną, zmieniamy nasze stanowisko. Nie chodzi już o uwielbienie ciała osobniczego, nie przejmujemy się pięknem ciała wogóle, lecz poczynamy miłować duszę ludzką. Już wtedy umiemy abstrahować od piękna czy brzydoty zewnętrznej i zwracamy się do piękna wewnętrznego; jeste-

śmy zdolni umiłować człowieka, nie kwitnącego zdrowiem i pięknem cielesnym, lecz wykazującego za to piękne cechy wewnętrzne. Staramy się wówczas duszę jego skierować na piękne czyny—wychowujemy go w ten sposób, w jaki do poznania wyższości ducha nad ciałem doszliśmy i staramy się wdrożyć mu przekonanie, że prawdziwe piękno zawiera się w dobrych uczynkach i obyczajach, nie zaś w cielesności. Platon przechodzi więc w tym momencie od piękna do dobra, od uczucia estetycznego—do *etycznego*.

Piąty stopień. Ale i to uczucie może być płytkie i ograniczone. Żeby zawsze miłować piękne czyny i dobre obyczaje, trzeba umieć pomiędzy nimi rozróżniać. Niewolnikiem jest, kto wielbi poszczególnego człowieka albo nawet wszystkich pięknych ludzi, ale niewolnikiem jest również, kto tylko jedną czynność za piękną uważa lub nawet wszystkie piękne czyny spełnia, nie wiedząc, dlaczego; albowiem w każdej chwili błąd popełnić może, postępowanie jego nie jest na mocnych podstawach oparte, nie jest myślowo, pojęciowo uzasadnione i uwarunkowane. A żeby zawsze umieć czynić dobrze, należy zajmować się naukami i ćwiczyć umysł dla poznania piękna samego. Kto w ten sposób przechodził wszystkie skale zamiłowania do piękna, musi w końcu dojść do rozwiązania piękna samego. Ujrzy więc wreszcie miasto wielu pięknych ciał, dusz czy postępów, jedno wielkie Piękno, które „zawsze istnieje i nigdy nie przechodzi, nie rośnie i nie znika, nie jest w części piękne, w części brzydkie ani teraz piękne, później brzydkie, ani też dla jednych piękne, dla innych brzydkie“ (*Symp.* 211). Jest to więc wieczne, niezmierzone, nieskończone, absolutne Piękno. Kto je pozna, ten je umiłuje całą siłą wewnętrzną. A będzie to miłość najwyższa, bo do Wieczności samej.

W ten sposób pojęcie miłości, będące z początku tylko namiętnością zwierzęcą, uczuciem konkretnym i szczególnym, przeobraża się w ciągle wzrastającym szlachetnieniu swego przedmiotu w uczucie abstrakcyjne

i ogólne. Zanim nazwiemy uczucie to imieniem właściwym, spojrzymy raz jeszcze na rozwój pojęcia miłości platońskiej, ażeby określić jego ogólny charakter i jego stosunek do idei platońskiej.

Zdawaćby się mogło na pierwszy rzut oka, że poszczególne momenty (stopnie) miłości platońskiej przedstawiają coś tak różnorodnego, że nazwanie ich wspólnym imieniem nie ma racji bytu. A jednakże wszystkie te rozmaite uczucia, aczkolwiek mają przez Platona subtelnie rozróżnione przedziały i określenia, są uwarunkowane przez jedną cechę charakterystyczną, która je łączy w jedno pojęcie. Tą cechą charakterystyczną jest pojęcie nieśmiertelności. Najniższa forma miłości—miłość pierwotnie seksualna—jest wyrazem dążenia do nieśmiertelności. Najwyższa forma miłości—miłość do nieokreślonego Absolutu—jest również wyrazem dążenia do nieśmiertelności. Miłość zatem wogóle, bez względu na formę, w jakiej się przejawia, jako czyste abstrakcyjne pojęcie, jest tożsama z dążeniem do nieśmiertelności, albo, jak Zeller (II, 1, 611) trafnie powiada: „jest wogóle dążeniem skończoności do rozszerzenia się w nieskończoność, do zapełnienia się wieczną i niezmierzoną treścią“.

Co jest jednak dla „Biesiady“ bardziej znamienne, to że pomiędzy ideą a jej wcieleniem niema tutaj tak rażącej sprzeczności, tak wielkiej przepaści, jaka wogóle świat idei od świata rzeczywistości oddziela.

Szczegółowe przedmioty świata doczesnego, jak wiadomo, mają u Platona pewien udział (*methexis*) w idei, są jak gdyby jej naśladowaniem (*mimesis*) i podobieństwem. Idea jest wzorem (*paradeigma*), poszczególne istoty czy rzeczy stanowią jej odzwierciedlenie (*eidola*, *mimemata*). Idea więc, acz sama w sobie istnieje, jest w pewnym związku z poszczególnymi przedmiotami, jest w nich w pewnym stopniu obecna.

Nic dziwnego, że idea nieśmiertelności przejawia się nawet w najniższym instynkcie rozrodczym. Ale zastanowić musi, że Platon skonstruował skalę pojęcia miłości, w której idea odzwierciedla się coraz silniej, obszerniej

i czyściej i wreszcie w najwyższej formie miłości wraz z nią się stapia. Najwyższym przejawem miłości jest miłość do idei dla niej samej, nietrwożona już i niespychana ze swojej dostojnej wysokości przez niskie instynkty. W swojej najszlachetniejszej postaci jest zatem miłość platońska uwarunkowana nie przez jedną z idei, lecz przez ideę samą, t. zn. przez najwyższą panującą nad światem istność. Istność ta nazywa się w „Biesiadzie“ absolutnem Pięknem, ale, nie posiadając już w sobie nic z pierwiastka estetycznego, nad który się wzniosła, zawiera najbardziej abstrakcyjne, niezależne, niezmiennie i nieskończone przymioty. Jako taka, może być nazwana w mowie dzisiejszej wprost Absolutem. Miłość platońska—to miłość do Absolutu.

Do absolutu każdy może się wnieść—musi tylko naturalnie i konsekwentnie rozwijać swoje zdolności poznawcze. Albowiem w każdym przejawie miłości od heteroseksualnej poprzez homoseksualną, estetyczną i etyczną do najwyższej tkwi w ciągle wzrastającym napięciu ten sam pierwiastek. Należy go tylko postępowo poznawać i wydzielać, wyodrębniać, abstrahować od zmiennych form zjawiskowych.

Wraz ze wznoszeniem się w wyższe sfery miłości potęgują się środki poznawcze Absolutu: naprzód jest to tylko poznanie osobniczej rozkoszy zmysłowej, poznanie praktyczno-uitylitarystyczne, później poznanie czyste, etyczno-estetyczne, wreszcie *szal* (*mania*), prowadzący już wprost do stopienia się z Absolutem.

Z tą skalą środków poznawczych harmonizuje najzupełniej skala, postawiona przez Plotyna—ucznia Platona, który go snadź najgłębiej odczuł. Według Plotyna napięcie poznania wzrasta wraz z cnotami: najniżej stoją „polityczne“ (cztery kardynalne), wyżej oczyszczające, jeszcze wyżej matematyczne i dyalektyczne, najwyższej *ekstaza*—przez ekstazę człowiek staje się bezpośrednio bóstwem.

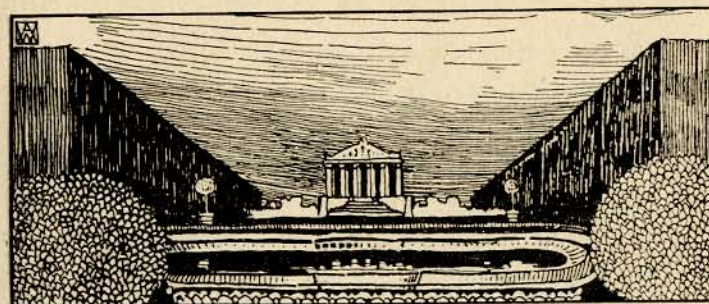
Plotyn ułatwia nam zrozumienie pojęcia miłości pla-

tońskiej, w jej ostatecznej konsekwencji, albowiem tłoma-
czy jej istotę przez odpowiedni wyraz. *Miłość platońska*
jest uczuciem religijnem.

Zarzut, jakoby miłość platońska, jako nie związana
bezpośrednio z bóstwem, nie mogła być religijną, zarzut
ten byłby bezpodstawny. Istotą bowiem religii stanowi
nie wyznawane bóstwo, lecz poczucie związku świata do-
czesnego z światem przedurodzeniowym i pośmiertnym,
zatem ze światem pozażyciowym. Religja w ścisłym zna-
czeniu może istnieć i bez bóstwa, a uczucie religijne mo-
że się przejawiać nie tylko poza uznawaniem bogów, ale
nawet wbrew ich zaprzeczaniu. Poszczególne wierzenia
czy wyznania pewnych ludów, t. zw. „religje uznane“,
stanowią konkretne odmiany religji, jako pojęcia ogólne-
go i właściwego.

Tylko lokalne i czasowe pojmowanie przez Greków
religji (jako ich narodowych wierzeń) nie pozwoliło Pla-
tonowi użyć tego wyrazu dla oznaczenia najwyższego ty-
pu miłości. Jeżeli jednak ludzkie poczucie związku z po-
zaświatową, absolutną istotą wszechrzeczy nazywamy dzi-
siaj religją, to miłość platońska w dzisiejszym języku mu-
si być określona, jako uczucie religijne.

Marzec 1908.



JAN ADAMOWICZ.

JUTRZEJSZY DZIEŃ. *)

I.

Przyszedł w północnej godzinie i z łoża
Kazał mi powstać i iść w ciemność nocy.
A była wielka siła, siła Boża
W rozkazie jego, — ta, którą prorocy
Pojęci, wiedli ludy poprzez morza
I przez pustynie, pełni ducha mocy —
Ze skał toczyli źródła żywej wody,
Pieśnią burzyli strupieszale grody.

II.

Więc szedłem, Ducha wezwaniu posłuszny,
Za miasto na wschód. Za mną cichły gwary,
Przedemną pomrok rozścielał się duszny, —
Drzemały we mgły spowite moczary —

*) W czerwcu r. b. upłynął rok od przedwczesnej śmierci szla-
chetnego działacza społecznego i poety, którego dążenia i ideały przy-
przypomnieć chcemy ogółowi naszemu, ogłaszając niedrukowany dotąd
poemat jego p. t. „Jutrzejszy dzień“.

(Red.).

Milczenie, smutek i lęk małoduszny
Nad światem zda się rozpostarły czary,
W letarg zakłęły ziemię, a bezdenny
Szafir i gwiazdy w śmierci sen kamienny.

III.

Spojrzałem za się. Ponad miastem łuna
Gorzała ruda, a w niej się kąpała
Gwiazda, błyszcząca, jak ostrze pioruna,
A purpurowa, niby kropla mała
Krwí ludzkiej, w ogień zakłęta. Jak truna
Olbrzymia, miasto czerniało. Milczała
Noc. Spała rzeka... A gwiazda wysoko
Błyszcząca krwawa, jak szatana oko.

IV.

Dalej poszedłem z niewysłowną trwogą,
Pełny obawy i przeczucia cudu,
W ciszę ponurą i w ciemność złowrogą...
Aż po godzinach, czy po latach trudu —
Stanąłem nagle nad przepaścią srogą
I posłyszałem krzyk mnogiego ludu
Gdzieś w głębi, na dnie otchłani,—wrzask dziki,
Jęki, przekleństwa i wściekłości ryki.

V.

Stałem na złomie skalnym nad otchłanią,
Pełną złowróźbnej, tajemniczej wrzawy.
Noc zarzuciła swe całuny na nią,
Lecz rozumiałem, że bój wściekły, krwawy
Wre tam, w głębinie; że ludzie się ranią
I zabijają i giną bez sławy,
Toczący wielką bratobójczą wojnę,
A śmierć i piekła mają żniwo hojne.

VI.

Wtem usłyszałem Ducha głos tajemny,
Który mi mówił: „Patrz i widź! Duch każe!”
I nagle wzrok mój przebił pomrok ciemny,
I rozpoznałem wysokie ołtarze,
Które na wzgórzach ludzki ród nikczemny
Wzniósł był mozolnie. Rozpoznałem twarze
Tysięcznych tłumów, szalem opętanych,
Dyszących złością i zemstą pijanych.

VII.

A każdy z tłumów miał swego bałwana,
Swemu bożyszczu składał hołdy krwawe;
I niewolnicze przed nim giął kolana,
I w jego sławie swoją widział sławę...
Z hymnami żywa szła na ścianę ściana
Ramion i piersi. Z wiarą w dobrą sprawę
Każdy do bitwy szykował zastępy,
Bił się i trupem karmił śmierci sępy.

VIII.

Pośród równiny było jedno wzgórze,
Większe od innych, a na niem wysoki
Krzyż, ramionami zatopiony w chmurze
Krwawo-miedzianej. Czerwonej posoki
Po nim spływały strugi; — nad nim w górze
Wisiały gęste, rumiane obłoki,
Ciężkie, jak ołów, jak gady — ruchawe,
Raz wraz roniące gęste deszcze krwawe.

IX.

Zbocza pagórka, u męki podnóży,
Zaległy liczne rozmodlone rzesze;
Śpiew tysięcgłasy wyje, grzmi, jak burza,
Gdy piorun ognie z chmur miedzianych krzesze.

Z chorału rozpacz bezmocna wynurza
Głowę Gorgony—ku piekieł uciecze,
A tłumy jęczą, wrzeszczą rozmodlone:
„O, drzewo męki! Bądź błogosławione!”

X.

O biedne tłumy, w ciągu tysiącleci
Przywykłe szukać otuchy w torturze!
O nieszczęśliwe niewolnictwa dzieci,
Co, żebrząc jeno, podnoszą ku górze
Oczy i serca! Żaden z nich nie leci
Duchem ku słońcu, ku świtów purpurze!
Biedne, skarłałe prochu ziemi syny,
Niemocne dźwigać ni cnoty, ni winy!...

XI.

Tłum modlitewny opasały kołem—
Zbrojne w żelazo szeregi bojowe,
Broniące wzgórze przed tymi, co dołem
Szli czarną ławą na wzgórze krzyżowe,
Aby obalić krzyż, a nad padołem
Jego królestwa dźwignąć godła nowe,
I na ołtarzu w mękę krzyża wiary
Zatknąć prawidła i liczby sztandary.

XII.

Jak okiem sięgnąć — wszędy bitwa wrzała,
Zewsząd huczały przekleństwa i krzyki.
Wszędy błyskały miecze, biły działa,
Pokotem kładąc rozbestwione szyki;
Wiły się w kurczach poszarpane ciała,
Niby płasząc w takt strasznej muzyki,
A ponad polem krwawej zawieruchy
Żarły się w ogniach z ciał wygnane duchy.

XIII.

Bitwa gorzała zacięta i wściekła,
Padały trupy z tej i z owej strony,
Krew strumieniami z ran otwartych ciekła,
Tak, iż pagórek cały był czerwony.
Zda się, nie ludzie, lecz szatany z piekła
Walczą o zbrodni największych korony.
Niestety! W krwawem błocie, w czarnym brudzie
Nie djabły biły się, lecz bracia — ludzie.

XIV.

Tysiącioletnia wojna o zwycięstwo
I panowanie nad okręgiem świata!
Kto berło dzierżyć ma — krzyża męczeństwo,
Czy liczba martwa? Kto człowieka brata
Będzie katował i kto człowieczeństwo
Na wieki wieków z niewolą zeswata,
Kto zakuć ducha ma w kajdany prawa:
Czy wiedzy liczba, — czy też wiara łzawa?

XV.

O duszę ludzką toczyły zapasy
Wieczne oblędy, swej świętości pewne.
Leciały wieki, przemijały czasy,
A walka wrzała... Rzeki krwi rozlewne
Bagnały ziemię; rosły krzyżów lasy,
Szubienic gaje... Pieśni modłów rzewne,
Bojowe wrzaski, przedśmiertne rżenia, —
Wszystko się zlało w akord przerażenia.

XVI.

Umarła Radość, królowa słoneczna, —
Ból stał się chlebem, a rozpacz napojem
Powszednim. Święta tęsknota odwieczna
Ducha za prawdą — gorzkim męki zdrojem.

Zgasły natchnienia, a myśl obosieczna
Szarpała dusze takim niepokojem,
Ze nawet Piękno, strute zwątpień jadem,
Stało się nędznem widmem, trupio-bladem.

XVII.

Niemy ze zgrozy stałem nad urwiskiem.
Myślałem: „Ludzie, co się w dole sieką,
Co się już stali gadów kłębowiskiem,
Nigdy nie skończą boju. Chyba wieko
Kamienne grobu zgniecie ich uciskiem,
Albo niebiosą luną na nich rzeką
Piorunów, — spalą — i jako mogiła
Stanie się piekło, którem ziemia była“.

XVIII.

Wrzawa wciąż rosła. A wtem całe pole
Spłonęło wielkim światłem, dziwnie złotem,
I nagle na krwi i płaczu padole
Stała się cisza. Leżały pokotem
Trupy i ranni w wielkim krwawem kole,
A zdrowi stali, przerażenia grotem
Przebici, blaskiem nagłym oślepieni,
Jak mary straszne wśród krwi i płomieni.

XIX.

I była cisza. I wszystkie źrenice
Wpatrzone w wielkie promienne zjawisko:
Na wzgórzu krzyża grały błyskawice
U stóp Człowieka, który nad ognisko
Mordu, nad pole krwawe wznosił prawicę
I rzucił ciszę na śmierci boisko,
Stłumił modlitwy, przekleństwa i jęki
Jednem skinieniem światowładnej ręki.

XX.

Cały promienny, w blasku, jak w pancerzu
Złotym, — stał wielki, potężny, słoneczny,
Wsparty na ciężkim, ognistym koncerzu, —
A był to straszny oręż, obosieczny, —
W którym, zdawało się, żył jak w rycerzu
Duch prawy, twardy, wyniosły i wieczny,
Co podłóść gromi i obłudę karze,
Kruszy fałszywe bogi i ołtarze.

XXI.

A jako słońce, gdy rozproszy chmury
I ziemię światłem radosnem zaleje, —
Oblicze jego nad czarny, ponury
Pagórek krzyża blaski złote sieje.
Nad głową jego orzeł srebrnopióry
Skrzydła rozpostarł, — waży się i chwieje, —
Jakgdyby czeka na rozkazu słowo,
A w szponach trzyma wstęgę piorunową.

XXII.

Rzekł stojący na błyskawicach:
„Coście uczynili ze słowem mojem? Gdzie Radość
i Wolność wasza? O rodzaju niewolników, nienawidzący Wol-
ności!“

Rozmłowałeś się w krwi łotrów i w krwi męczenników!
Niewolę uwielbiłeś w znaku liczby, a drzewo męki mo-
jej za wolność — uczyniłeś niewoli sztandarem!

XXIII.

Duch ojcem waszym, a Prawda matką waszą;
któż was nauczył Ducha liczbą zabijać, Prawdę krzy-
żować na drzewie kaźni mojej?

Radość wygnaliście z ziemi; spowiliście ziemię w smutku i rozpaczycy całuny!

XXIV.

Wolność przyniosłem wam w darze.
Jakoż Ducha mordercom i Imienia mego złodziejom od-
Wolność za nierząd? [daliście
Przecze guślarzom i trupom dar mój oddano?

XXV.

Jam umarł za was na drzewie męki — i zmartwych-
[wstałem...
A wyście uwielbili mękę i śmierć i odwróciliście oczy od
Zmartwychwstania Zwycięstwa.

XXVI.

Coście uczynili z Duchem waszym, z Wolą i z Wolno-
Gdzie moc życia waszego? [ścią waszą?
Oto zdruzgotę bałwany wasze—Liczbę i Krzyż —
Powstańcie w Potędzie!

XXVII.

I wzniosł wysoko brzeszczot obosieczny...
A z ostrza jego frunęły pioruny...
Ogniste strzały padły na odwieczny
Krzyż, godło męki, — i spadły na runy
Liczb na ołtarzach prawidła. Słoneczny
Płomień rozblysnął i spopielił truny, —
Ołtarze męki i liczby, — a światem
Przeleciał podły jęk żalu za katem —

XXVIII.

Krzyżem i katem liczbą... Rzesza padła
Twarzą na ziemię, przerażeniem zdjeta.
Cisza czerwone zaległa mokradła,
Martwa, upiorna, tchórzostwem przeklęta.
W powietrzu ukazały się widziadła —
Obłęd, strach, zdrada, tęsknota nieświęta
Za niewolnictwem... Grzechy ludzkiej duszy
Zaprzysiężonej bólowi i katuszy.

XXIX.

Sród martwej nocy, cały w blaskach słońca
Stał Syn człowieczy nad milczącym polem.
Zda się, że strasznej ciszy niemasz końca,
Że ludzkość zmarła, porażona bolem,
Że nawet trąba archanioła, gońca
Bożego, gdyby na skrzydle sokolem
Przeleciał, grzmiący przebudzenia hasło,
Nie zbudzi rzeszy, bo życie w niej zgaśło.

XXX.

On stał w zadumie. Słoneczne źrenice
Przez łzy płonęły nieugiętą wolą.
I rzekł: „Wstań, ludu! Żywota krynice
Otwarte! Powstań — i nad krwawą rolą
Zatkniij żywota sztandar — błyskawicę!
Niech oto Radość będzie twoją dolą, —
Tyś anioł—w ciele, wolnością skrzydlatem!
Tyś Ducha Synem, a Światłości bratem!

XXXI.

Wtedy z oddali, skądś od pola krańców
Dało się słyszeć: „Idę!” — i nad tłumy
Wzniosła się postać niewieścia, — z wybranców
Snać rodem, — pełna krasy, mocy, dumy,

Szła, jak bogini, — przez zawały szkańców,
Przez krwi kałuże, — a za nią szły szумы
Wiośniane, — za nią leciały wyraje,
Duchów słonecznych promieniste zgraje.

XXXII.

W pancerzu srebrnym, z hełmem złotym w ręku,
Pełnym liliji, i róż, i złocieni,
Szła przez boisko męczarni bez lęku
Drogą tęczową, a snopy promieni
Tryskały z pod jej stóp. Tak pełna wdzięku
I dostojności, jak królewna-ksieni,
Płynęła polem słoneczna dziewica,
Jakaś rycerna, wielka anielica.

XXXIII.

A gdy przed Synem człowieczym stanęła,
Rzekła: „Przychodzę na Twoje wezwanie —
Siostra-kobieta, by dokonać dzieła
Zbudzenia świata... O Bracie i Pani! —
Patrz — lilje, róże i złocieniem wzięła, —
Bo z kwiatów ducha piękno zmartwychwstanie.
Bo z Twego ducha rodzi się rycerstwa
Moc, a z mojego — piękno bohaterstwa.

XXXIV.

Błogosław kwiatom i błogosław duchom,
Którym przywiodła, jak świętą siostrzaną.
Jeszcze nie koniec krwawym zawieruchom,
Bo przeciw Tobie znowu wnet powstaną
Ci, co od wieków niewoli łańcuchom
Przysięgli wiare, — którym „nędza“ miano.
Gdy nowej walki godzina uderzy, —
Chcę być rycerzem wśród Twoich rycerzy.

XXXV.

Jam Twoja, Panie, — od owej godziny,
Kiedy przed wieki w upalne południe
Pół-niewolnica, pełna lęku winy
Wyszłam za miasto nad praoców studnię
I tam spotkałam Ciebie, — o Jedyny, —
I kłamstwem Ciebie zbywałam obłudnie, —
A Tyś mi życia obiecał krynicę
I straszną Boga odkrył tajemnicę.

XXXVI.

Dziś oto znowu do Ciebie przychodzę,
Lecz wolna duchem, przeto godna Ciebie, —
By przy Twym boku, na zwycięstwa drodze
Być ci pomocną w bojowej potrzebie;
Gdy piekiel i ciemnoty ludzkiej wodze
Sprzęgną się, aby zabić ducha w niebie, —
Ja będę walczyć, bom do walki zdolna
I godna Ciebie — ja — Kobieta Wolna!

XXXVII.

O, kwiaty moje, — o piękno wieczyste!
O, duchy bratnie! Otoczcie nas kołem, —
Niech tchnienie wasze wonne i przeczyste
Zwija się w obłok różany nad czołem
Jego, — niech duchy wasze promieniste
Rozbłyszczą w słońce nad krwawym padole, —
Niech ono czarnej ciemnoty topieli
Dusze zwierzęce w ludziach przeanieli“.

XXXVIII.

I z temi słowy wysypała kwiaty
W powietrze, i hełm włożyła na głowę,
A orzeł srebrny opuścił szkarłatny
Niebios i złożył wstęgi piorunowe

U nóg dziewicy, — i białoskrzydlaty
Usiadł na hełmie jej, — by godło nowe
Złotego jutra, wielkiego zwycięstwa
Przez dłoń niewiasty rycernego męstwa.

XXXIX.

Padół się budził z głuchą, groźną wrzawą.
To tu, to owdzie błyskały oręże,
Buchwały krzyki, — cichły, — i znów krwawa
Doliną pełzły poszepty, jak węże...
Jak okiem sięgnąć — w głąb, w lewo i w prawo
Wstawały z błota czerwonego męże,
I szli tłumami i coś razem knuli...
Błyszczwały tjary i korony króli...

XL.

Snać nastąpiła jakaś nagła zgoda, —
Bo razem szyki sprawiają bojowe
Dawni wrogowie. Leją się, jak woda,
Szeregi zbrojne, — w jakieś hufy nowe
Zakłète, — biedna, nędzna ludzka trzoda,
Stado, na zbrodnię i na rzeź gotowe!
Wodzami jego — ci władzą pijani —
Magowie krzyża i liczby kapłani.

XLI.

Wojsko gotowe. Tylko znaku czeka.
Uderzy tam, gdzie pchnie rozkazu siła...
A na uboczu, od tłumy zdaleka,
Mędrców i wodzów rada się złączyła.
Każdy się pieni od gniewu i wścieka,
Zaciska pięście, zgrzyta i posyła
Wzrok nienawistny ku wzgórz, gdzie stoją
On i Dziewica, z kwietną świtą swoją.

XLII.

Niedługo trwała tajemnicza rada,
Wyrok pośpiesznie i zgodnie wydano...
Już się z koliska radnego wykrada
Starzec, którego na sprawcę wybrano.
„Śmierć przybyszowi, śmierć! Kaźń i zagłada
Tej, która przed nim ugięła kolano!
Przed nim, zwodnikiem, co swobodę głosi
I władzę burzy i ołtarze znosi“.

XLIII.

I oto idzie starzec w białej szacie,
W złotej, wysokiej koronie na głowie,
W ciężkim perłami i złotem ornacie, —
A za nim idą mędrce i królowie,
Zbrojni w oręże i w przybory kacie,
Z wściekłością w sercu i ze zdradą w słowie.
Panowie świata, myśli i serc pany,
Odwiecznej prawdy i ducha tyrany.

XLIV.

Idą ku wzgórz, w pochodzie ponurym;
Przyszli, — stanęli w ogromne półkole, —
A starzec mówić począł głosem, w którym
Słyszałem wieków mnogich wielkie bole
I strach przyszłości; a królowie chórem
Stwierdzali słowa jego... Całe pole
Drżało od głosów onych, — a u góry
Warczały grzmotem głuchym krwawe chmury.

XLV.

„Kto jesteś?“ — wołał — „ponad ludzką miarę
Odważny w słowie i w czynie zuchwały?
Kto ci dał prawo burzyć wiary stare,
I władzę naszą odzierać ze chwały?“

Przez wieki męki stworzyliśmy wiarę,
Którą narody i kościoły stały, —
A ty, nieznany, łamiesz wielkie prawa,
Które zrodziła nasza przeszłość krwawa!

XLVI.

Wiemy, żeś mocny w siły piorunowe,
Lecz na pioruny i na miecza moce
Mamy sposoby... Patrz: oto stalowe
Szeregi stoją,—nad nimi łopoce
Nasz sztandar! One do boju gotowe!
Skinę,—a w wieczne pogrążę Cię noce,
I niebo stwierdzi każde moje słowo,
Bom świata księciem i ludzkości głową.

XLVII.

Odejdź! Ja nie chcę twojej krwi rozlewu!
Odejdź! Nam śmierci twojej nie potrzeba, —
Choć za bluźnierstwo krzyżowemu drzewu
Nie minie ciebie straszna kara nieba!
Idź! nie łudź siebie, że z twojego siewu
Słowa wolności będzie plon, — bo chleba,
I przykazania żąda ludzka rzesza,
A nie swobody, która ducha wskrzesza.

XLVIII.

Idź! Bo gdy mojej nie usłuchasz rady,
Jeśli mojego nie spełnisz rozkazu,
Jeśli w szatańskiej pychy wstąpisz ślady,
Jeżeli serce masz twardsze od głazu,
A pełne złości pioletu i zdrady, —
Jeśliś nie zaznał dotąd ani razu
Ciężaru ręki naszej, — przetoś dumny, —
Zginiesz! — wykrzyknął, — i dał znak... — Kolumny

XLIX.

Wielkiego wojska, co w bojowym szyku
Stało,—ruszyły czarną, ciężką ławą...
Cisza — ni trąbki nie słysząc, ni krzyku
Rozkazów... Idą milczący, a żwawo.
Zdawałoby się, że jest ich bez liku
Idących śpiesznie na rozprawę krwawą,
Karnych, bezmyślnych, — jak machina sroga,
Gotowych zabić choćby nawet Boga.

L.

I znów przemówił kapłan - król w tyjarze:
„Odejdź ty od nas! Po raz to ostatni
Mówię do ciebie! Odejdź! My ołtarze
Odbudujemy, — krzyż dawnemu bratni
Wzniesiemy... oto życiem ciebie darzę.
Odejdź! Uciekaj z niebezpiecznej matni,
W którą zawiodła ciebie grzeszna pycha,
Czy nierozważna żądza mąk kielicha...

LI.

Więc odejdź! Każe!“ Spoglądał na niego
W milczeniu Mocarz okiem pełnym słońca,
Aż wyrzekł: „Starcze! Wszak ty słowa mego
Miałeś być stróżem wiernym aż do końca
Czasów... Któż dał ci moc ze świata tego?
Czemu nie świecisz, jak gwiazda płonąca,
Ducha potęgą? Czemuś moje owce
Zawiodł w niewolę, na śmierci manowce?

LII.

Głuchy i ślepy na głos i blask ducha,
Mnie nie poznajesz! Śmiesz iść z sądem na mnie!
Patrz! Oto ciebie z przerażeniem słucha
Každy duch jasny, któremuście kłamnie

Mówili o mnie. Waszych serc posucha
Zniszczyła dusze ludów. Czemże dla mnie
Wyroki waszej złości i głupoty, —
Zdrady i kłamstwa nieudolne sploty!

LIII.

Siostro! Weź w swoje lilijowe dłonie
Miecz mój, — a z mieczem moc, i sąd, i miarę!
Duchu niewieści, w miłości koronie, —
Tobie oddaję mojej woli czarę, —
Osądź tę nędzę, która w zeszcłém łonie
Nosi niewolę, a z życia ofiarę
Wstrętu i męki czyni! Osądź sługi
Śmierci,—a światy poczną żywot drugi“.

LIV.

Miecz-błyskawicę wzniosła ponad głowę...
Wszystko zadrżało, gdy ryknęły gromy,
Gdy wstęgi złote, pręgi piorunowe
Utkwiły w chmurach i spadły na złomy
Skalne, jak węże ogniste... „Hej! Nowe
Drogi“ — wołała: — „nowe ducha domy
Budować! Nowe słońce tysiące niecić,
Gorzeć płomieniem, ducha mocą świecić!

LV.

Nowe dla życia budować kościoły, —
Świątynie Ducha, gontyny swobody!
Stawić na straży mocarze-anioły!
Rozwierać szczęściu naościęz gospody!
Hej! Zmartwychwstanie głoszę! Hej! wesoly
Nam dziś dzień nastał! Woli złote gody!
Hej! duchy! Do mnie! Hej! na orle loty, —
W słońce, w niebiosy, w chram swobody złoty!

LVI.

Oto miecz kładę! a berło-liliję
Wznoszę!“ i kwiatem królewskim błysnęła —
„Niech żyje Radość! Piękna cud niech żyje!
Sława Miłości! Hej, bracia, do dzieła!“
„Milcz!—wrzasnął starzec—„zdepczę cię, jak żmiję,
Duchu rozpusty!“ Lecz ona stanęła
Przed nim, jak srebrna jasności kolumna,
Miłością wielką, promienna i dumna.

LVII.

Liliją-berłem tknęła jego czoła, —
A on się zachwiał i padł na kolana,
Jakby rażony mieczem archanioła...
Jęknęło pole — i zmiękło. Zebrana
Przy boku starca rzesza królów woła:
„Bij! Morduj wiedźmę!“ a ona, wiośniana,
Jasna, jak anioł, — jak słońce radosne,
Gdy pocałunkiem budzi ze snu wiosnę, —

LVIII.

Potężna, wielka, berło srebrno-kwiatne
Wznosi nad królów i nad mędrców zgraję, —
I zgaja milknie, i korony świetne
Gasną na drżących głowach, — gronostaje
Sypią się w strzępy, — rzekłbyś lata setne
Zbiegły się w jedną śmierciorodną chwilę
Na ślepej wiary i liczby mogile.

LIX.

I znikli w mroku starzec i królowie,
I mędrce, wagi, i liczby, i miary, —
A pozostało wielkie ludów mrowie,
W bojowym szyku, a nad niem sztandary

Zbutwiało... wojsko, którego wodzowie
Zapadli w nicość wieczystą — ofiary
Lenistwa ducha, niewoli nałogów,
Trupy—rycerze strupieszających bogów...

LX.

Pole tonęło w srebrzystym błękiecie,
Co leciał z nieba... — A wzgórze krzyżowe
Gorzało blaskiem... — A na jego szczycie
Stali ci, którzy nieśli światło nowe,
Budzili Piękna i Swobody życie,
Zmywając z duchów piętno kainowe, —
Syn Ludów — Księżę nad światów otchłanią,
Z Oblubienicą — Piękna, Mocy Panią.

LXI.

Oboje piękni, potężni, jak bogi,
Duchem spojeni, miłością zakłęci
W cud harmonijny. wśród światła pożogi
Stali mocarze, chwałą życia święci.
I rwał się ku nim duchem naród mnogi, —
Aż złamał szyki, i krwawej pamięci
Sztandary zdeptał, — i biegł ku Golgocie,
Stojącej w słońca i piękności złocie.

LXII.

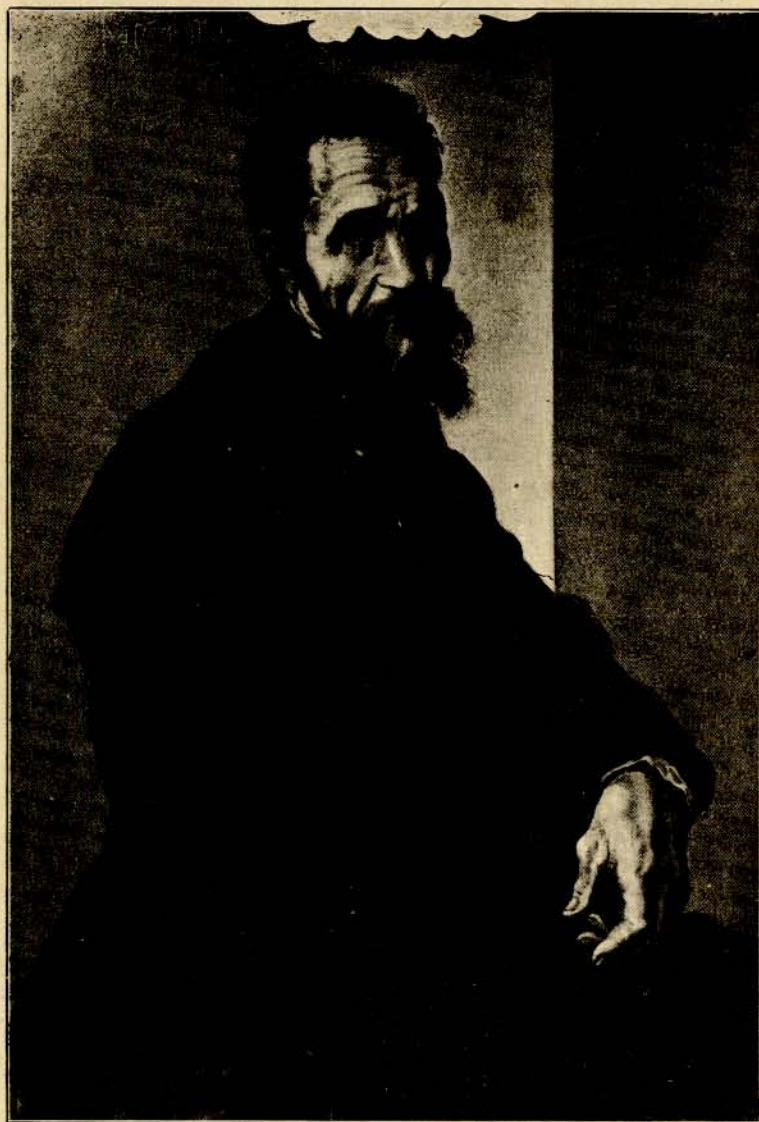
I krzyczał: „Oto nastał dzień radosny,
Zmartwychpowstania Mocy, Szczęścia, Woli!
Oto na wieki przeminął nieznośny
Strach przed bogami, oto kres niedoli!
Oto rozbłyska dzień Radości — wiosny
Dla ziemi krwawej, dla czerwonej roli!
Wy, co stoicie wśród słońc i płomieni,
Zestąpcie ku nam, o błogosławieni!“

LXIII.

I oni dwoje, jak dwa boże słońca
Poszli ku tłumom i znikli wśród ludu...

— — — — —
Wówczas rozbrzmiała od końca do końca
Świata pieśń wielka, pieśń Mocy i Cudu,
Potężna, górna i tryumfem grzmiąca...
Jak Anioł Życia ponad padół trudu
I krwi męczeńskiej leciała radosna
Pieśń-zmartwychwstanie, — pieśń-słońce, pieśń-wio-
[sna!





Michał-Anioł.

Portret własny (z galerji Uffizj).

WALERY GOSTOMSKI.

W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ.

I. Wstępne wrażenia.

Miejsce podwójnie święte, przez wiarę i przez sztukę uświęcone.

Tutaj naczelny zwierzchnik Kościoła w otoczeniu najwyższych jego dygnitarzy przewodniczy obrzędowi służby bożej podczas wielkich uroczystości religijnych; — tutaj naczelny mistrz sztuki chrześcijańskiej, podejmując wątek twórczości, przez znamienitych swych poprzedników nawiązany, w olbrzymiej wizji artystycznej ukazał nam odbicie religijnej idei chrześcijaństwa, promieniające blaskiem jej treści nadludzkiej, omroczone cieniem tragicznym ludzkich jej wcieleń.

A jednak pomimo, a może właśnie z powodu tego dwoistego uświęcenia swego, kaplica sykstyńska sprawia często pozorny zawód tym, co, pełni oczekiwania rzeczy nadzwyczajnych, po raz pierwszy próg jej przekroczą.

Przez główne wejście watykańskiego pałacu, po pięknych „wschodach królewskich“ (*scala regia*) wśród dwóch szeregów wspaniałych kolumn jońskich, minawszy olbrzymią, od góry do dołu freskami zdobną „salę królewską“ (*sala regia*), wступujemy do słynnej na świat cały Kaplicy, ogarniamy ją ogólnym rzutem oka — i stajemy zdziwieni, często rozczerowani.

Jakto? — Toż ma być ów znamienity przybytek religji i sztuki, o którym każdy człowiek ucywilizowany słyszy, czyta, marzy od chwili, gdy wielkie sprawy i dzieła ludzkie żywsze poczną budzić zajęcie w jego umyśle i sercu? —

Przed nami wydłużona i bardzo wysoka nawa kościelna o nader prostej i jednostajnej konstrukcji. Balustrada o ośmiu filarach dzieli ją na dwie nierówne części. Większa z nich stanowi prezbiterjum. Przy ścianie przeciwległej na wzniesieniu o kilku stopniach ołtarz bez żadnych ozdób.—Ściany poprzeczne równe i gładkie, tylko u góry pod wysoko umieszczonemi oknami przedzielone dość szerokim gzymsem, tworzącym galerję z prostą żelazną balustradą. U dołu, pod freskami, jednostajna i jednobarwna prawie ornamentacja malarska, naśladująca festony ze złotogłowiu, poprzedzielane filarami. Starożytna mozaikowa posadzka w prezbiterjum i piękna marmurowa trybuna dla śpiewaków — oto jedyne wydatniejsze ozdoby, urozmaicające jednostajną w swej surowej prostocie, próżną wspaniałości i bogactw ornamentacyjnych architekturę pałacowej kaplicy papieskiej.

Ta wyjątkowa wśród renesansowego przepychu watykańskiego prostota stylowa tłumaczy się epoką i warunkami powstania przesławnej kaplicy. Zbudował ją, jako swą nadworną, pałacową świątynię, papież Sykstus IV *) w latach 1473 — 1481; jest to więc dzieło wczesnego Odrodzenia, pochodzące z czasów, gdy formy architektoniczne nowego stylu nie rozwinęły się jeszcze w tem wspaniałem bogactwie, jakim później miały zakwitnąć. Przytem architekt kaplicy, *Giovanni di Dolci*, skrzępowany był koniecznością przystosowania się do istniejących już gmachów watykańskich i nie mógł rozwinąć samoistnej pomysłowości twórczej.

Ubóstwo architektonicznych kształtów kaplicy wynagrodzone zostało tysiąckrotnie przez niesłychane, bezprzykładne bogactwo okrywających jej mury cudów sztuki malarskiej, pochodzących z epoki trzech wielkich papierzy renesansowych. Co tylko zbudowaną kaplicę w latach 1481—1482 ozdobili swemi pracami powołani przez

*) Stąd jej nazwa „sykstyńskiej”, *capella sistina*, albo „pałacowej”, *capella palatina*.

Sykstusa IV malarze Sandro Botticelli, Domenico Ghirlandajo, Cosimo Rosselli, Pietro Perugino i Luca Signorelli. Następnie Juljusz II (synowiec Sykstusa) wezwał, ponieważ nawet zmusił niezłomną mocą swej energii Michała Anioła Buanarroiego do wykonania, w latach 1508—1512 słynnych fresków na sklepionym suficie kaplicy, uzupełnionych w wiele lat później (1535—1540) za Pawła III wielkim tegoż artysty freskiem ponad ołtarzem.

Kto po raz pierwszy wstąpi do kaplicy sykstyńskiej, stanie w podziwiew wobec tych olbrzymich, tworamien gienjuszów zamalowanych przestrzeni ściennych, równocześnie jednak nie zdoła się obronić pewnemu zniecierpliwieniu i zawodowi wobec trudności, jakie nastroczą dokładne widzenie i obejrzenie tych nie zrównanych arcydzieł sztuki.

Oświetlenie ich, z powodu wysokiego umieszczenia stosunkowo niewielkich okien, bardzo jest niedostateczne. Trzeba jasnego dnia i odpowiedniej jego pory (najlepiej między 10 i 12 rano), aby tu wszystko dokładnie rozpatrzyć. A cóż dopiero rzec o owych zawrotnych wysokościach, na których z trudem niemalym, wyżejając wzrok i wykręcając na wszystkie strony szyję, dopatrywać się musimy zawartych tu najcenniejszych skarbów sztuki — plafonowych fresków Michała Anioła. Obrazy jego poprzedników, ciągnące się szeregiem na nieznacznej wysokości pod oknami, dość dobrze można rozpatrzyć, ale właśnie arcydzieła naczelnego mistrza Renesansu, ściągające głównie do kaplicy sykstyńskiej tłumy zwiedzających, najmniej są oczom ich dostępne, bo i wielki fresk nad ołtarzem, choć dobrze dla patrzenia umieszczony, niewyraźnie zrazu nam się przedstawia, w części z powodu swej zawiłej kompozycji, w części z powodu znacznych uszkodzeń, jakim uległ z biegiem czasu, głównie od dymu kadzidel podczas uroczystych nabożeństw.

Klaczko w swem znakomitem dziele o Juljuszu II *)

*) Rome et la renaissance. Jules II. Paris 1902. p. 382.

przytacza narzekania jakiegoś rozkapryszonego estety-używacza na trudy i mokoły, nieodłączne od doznawanych w kaplicy sykstyńskiej rozkoszy artystycznych.

Jest to pono typowy wyraz naszego sybarytyzmu kulturalnego, który i sztuki bez wygody pojąć nie umie. — Dawajcie mu sztukę z komfortem, a komfort ze sztuką. Czyż nie po to ona istnieje, aby nam życie uprzyjemniać, aby nam dostarczać możliwie największej ilości wrażeń w możliwie najdogodniejszych warunkach naszych muzeów galerji, wystaw?

Owóż zachodzi tu różnica w pojmowaniu jej zadań dziś i przed laty.

Dawni artyści tworzyli nietylko dla zadowolenia gustów i upodobań publiczności, mającej podziwiać i kupować ich dzieła, lecz także i przede wszystkim dla upiększenia lub uczczenia jakiegoś świętego lub pamiętnego miejsca: kościoła, pałacu, budowli publicznej, placu lub pomnika publicznego. Sztuka była nietylko artykułem spożycia i środkiem używania estetycznego, ile raczej czemś w rodzaju komuńji piękna, łączącej artystę z jego wielbicielami we wspólnej czci i wspólnej miłości—osobliwie sztuka religijna w dobie szczerej wiary.

Za czasów Odrodzenia wiara znacznie osłabła, ale nie uległa zanikowi, a przytem działały wtedy wielkie żywe jej tradycje i z ogromną siłą dążyły do wypowiedzenia się w sztuce. Pewne idee religijne chrześcijaństwa, od wieków nurtujące w sercach ludzkich, wtedy dopiero, dzięki ogromnemu spotęgowaniu środków sztuki, w całej swej pełni i mocy wyrażone przez nią zostały—najpotężniej i najgłębiej pono na sklepieniu kaplicy sykstyńskiej, ale to pewna, że nie najdogodniej dla widza, przybywającego, by je tu odczytywać, zgłębiać i podziwiać.

Gieñjalny ich na tem miejscu rzecznik-odtwórca niewiele zaiste troszczył się o wygodę widza. W tem świętem, apostołskim wiary chrześcijańskiej ognisku unacznił nam pewne zasadnicze jej prawdy z najwyższą mo-

cą natchnienia, wśród niezmiernych trudów i mokołów, o jakich własne jego pisma i wspomnienia współczesnych wierne dają nam pojęcie.

Niechże potrudzą się trochę i ci, co widzieć i podziwiać twory jego zapragną, niech z wysiłkiem niejakim ku górze wzrok wzniosą i myślą ulecą w górne sfery ducha, z których gieñjusz-artysta nadziemskie swe wysnuł kreacje.

Tak na sklepieniu, jak i na ścianach kaplicy, prawdy wiary chrześcijańskiej przemawiają do nas przedziwnie głęboką i wyrazistą mową sztuki. Ale nie jest to mowa świetności zewnętrznych, bijących w oczy efektów malarskich. Stołeczna świątnica papieska wypowiada się nie szumnym, błyskotliwym popisem krasomówczym, lecz poważnie w sobie skupionem słowem myśli religijnej, które zrazu zda nam się niewyraźnem i jakby stłumionem, im głębiej jednak w nie wnिकamy, tem bardziej nam się uwidocznia, tem większą uderza nas potęgą—rośnie od dołu ku górze od najniżej umieszczonych i najmniej w swej mocy wyteżonych tworów dawniejszych mistrzów aż do widniejących na wyżynach sklepienia, najpotężniejszych, najgieñjalniejszych natchnień Michała Anioła.

II. Poprzednicy Michała Anioła.

Renesansowa pełnia życia zewnętrznego.

Freski w kaplicy sykstyńskiej powstały w ciągu sześćdziesięcioletniego okresu czasu (1481—1540), obejmującego cały rozkwit sztuki renesansowej we Włoszech, począwszy od pierwszych bujniejszych jej przejawów aż do wspaniałego jej przekwitu w gieñjalnem, przepotężnem ale dziwnie niepokojącym arcydziele starzejącego się Michała Anioła.

Różna jest treść i forma tych tworów malarskich, różny ich charakter artystyczny; wszystkie jednak osnu-

te są na tym samym zasadniczym temacie, wszystkie uprzytomniają nam w obrazowaniu plastycznym ideę chrześcijańską w jej stosunku do realnego, dziejowego życia ludzkości. — Są one typowym wyrazem w sztuce ducha epoki, jej prądów humanitarnych, rozwijających się na tle chrześcijańskiej kultury na gruncie powszechnego chrześcijańskiego kościoła.

Prądy te zawsze nurtowały w duchowym życiu społeczeństw europejskich; ale przez ciąg wieków średnich toczyły swe nurty w odosobnionych, niekiedy skrytych łożyskach dusz indywidualnych, — przez główne łożysko zbiorowej duszy społecznej płynął wielki prąd nadludzkich porywów wiary, któremu wszystko, co ludzkie, podporządkowane, czasem zgoła poświęcone być musiało.

Nie dziw, że sztuka ówczesna ku niebu myśl swą zwracała, w tworcach swych niebiańskie snuła widzenia, tak dalekie od ziemskich, ludzkich dziedzin. W ikonostazach bizantyjskich, w mozaikach starorzymskich, w przedrenesansowych wyobrażeniach świętych i boskich postaci ani śladu realnego ludzkiego życia, ani cienia ziemskich spraw i uczuć — same tam tylko wizje, ekstazy, zachwyty nadziemskie. A czemuż jest cała „Boska Komedja“, jeśli nie jedną wielką ekstazą twórczą, wznoszącą się ku promiennym niebios wyżynom z ciemnego lasu ludzkich omamień, z piekła ludzkich namiętności?

„Tam radość, tam anielskie widzenie,
Tu się nam zwidziało djabie potępienie“

głosi nasza pieśń prastara, wyrażając w naiwnych tych słowach zasadniczy motyw średniowiecznej samowiedzy duchowej.

Ale oto zabłysły zorze odrodzenia, wzeszło słońce nowej kultury i rozproszyło mroki średniowiecznego o życiu ziemskim zwątpienia. W wydobywanych z gruzów tworcach greckiej sztuki objawiła się ludziom głęboka, szczerza w życie ziemskie wiara, pełne ufności oddanie się harmonijnie pięknym lub tragicznie wzniosłym jego

przejawom. Światło tej nowej wiary oslepiało niekiedy rozmiłowane w niem dusze ludzkie, cień zwątpienia padł od niego na owo promienne „widzenie anielskie“, co tak cudnym, nadziemskim blaskiem widniało wśród zmierzchów i mroków dotychczasowego bytu ludów chrześcijańskich.

Cień ten atoli stopniowo zwolna się rozprzestrzeniał i w późniejszym dopiero czasie szeroko legł na duchowym ich widnokręgu. Zrazu samym tylko blaskiem nieznaney dawnym wiekom radości życia. A nie było to uczucie wrogie niebiańskim zachwytom wiary nadziemskiej. Owszem, chętnie się ku nim zwracało, pragnęło wciągnąć je w wir swoich życiowych uniesień, rozpromienić nimi swą uroczą wizję życia. Artyści renesansowi nie mniej od swych poprzedników średniowiecznych zaczerpnęli z chrześcijańskich wierzeń i wyobrażeń. Ale jakże odmienny widzimy u nich sposób ujęcia i przedstawienia tych samych przedmiotów. Święte, nadprzyrodzone postaci na ich obrazach utraciły właściwą im w tworcach sztuki średniowiecznej hieratyczną nieruchomość postawy i wzroku, zapatrzonego jakby w niezmierną bez żadnego stawiania się wieczność bytu. Opromienione blaskiem nadziemskiej piękności, ze znamieniem wiekuistej prawdy natchnienia jawią się one teraz w pełni ruchu i giestu życiowego wśród różnorodnych zmiennych zjawisk szczeroludzkiego bytu.

Pełni radości życia, rozkochani w ziemskich jego kształtach i zjawach, artyści napełniają nimi swoje odtworzenia religijnych tematów, niekiedy podnoszą je do ideału w swych kreacjach, z religijnej wysnutych sfery. Pojawiają się urozmaicone w gieście i wyrazie ugrupowania świętych postaci, sceny z Ewangelji i ze Starego Testamentu snują się pełne życia i ruchu dramatycznego; często realistyczne odbicia współczesnych figur i zdarzeń ukazują się niespodzianie wśród ich osnowy, dziwnie się w nich mieszając z tematami świętymi.

Już około połowy XV stulecia u największego wy-

raziiciela ducha chrześcijańskiego w sztuce, u Fra Angelica da Fiesole, stwierdzić możemy przejście od niebiańskich wizji do snu religijnego życia na ziemi. Ten genialny i świętobliwy odtwórca widzeń anielskich u schyłku swych lat we freskach, zdobiących ściany kaplicy papieża Mikołaja V w Watykanie, nakreślił szereg scen z życia św. Szczepana i św. Wawrzyńca, przy całej podniosłości przenikającego je ducha religijnego, pełnych niekiedy szczerego realizmu życiowego — a uczeń błogosławionego brata Angelika, Benozzo Gozzoli w swoich olbrzymich obrazach religijnych — szczególnie w pochodzie trzech królów do Betleem na ścianach kaplicy pałacu Medyceuszów (dziś Riccardi) we Florencji — ukazuje nam ludzi współczesnych w całej pełni realnego ich bytu, w całym bogactwie i przepychu ich strojów i uzbrojeń na tle typowo włoskiego krajobrazu, wśród mnóstwa realistycznych szczegółów życiowych.

Przez cały wiek XV życie rzeczywiste, jak ono mogło się odbić w uczuciu i wyobraźni współczesnych artystów włoskich, ze wszelkich stron napływało do ich sztuki, chwywane przez nich ze szczerem entuzjazmem dla wszystkiego, co jest ruchem, kształtem, barwą, co uderza mocą i wyrazistością świeżej energii żywotnej. Takim sposobem rozwijała się ta przedziwna sztuka renesansowa, dążąca do wyrażenia religijnej idei chrześcijańskiej nie w samych wizjach anielskich, lecz także w różnobarwnych i różnokształtnych obrazach rzeczywistości życiowej. Była ona w tym względzie wiernym odbiciem rozwoju dziejowego epoki, w której człowieczeństwo kulturalnej Europy, zasilone potężnym prądem humanitaryzmu starożytnego, do nowego zdawało się powstawać życia, nową zakwitać pełnią zjawisk, barw i kształtów.

Kościół katolicki, najwyższy wyraz zbiorowy dotychczasowej kultury świata chrześcijańskiego, musiał oczywiście w tym nowym jej zwrocie przodownicze zająć stanowisko. Znana jest doniosła w tym względzie rola zwierzchniej jego hierarchji, szczególnie znamienitych

papieży renesansowych, poczynając od Sykstusa IV aż do Leona X. Wiadomo, jaki zamęt okropny, jakie potworne zboczenia spowodowała dążność ich do przyswojenia organizmowi kościelnemu pierwiastków kulturalnych klasyczo-pogańskich. A jednak czy można sobie wyobrazić rozwój dziejowy bez tej dążności — kościół i papieństwo poza obrębem tego prądu pełni życiowej, z którego zrodziło się nowoczesne człowieczeństwo?

Pytanie to potrąca o wielką, odwieczną tragedję świata chrześcijańskiego, o tragiczny konflikt pomiędzy jego ideałem nadludzkim a ludzką, aż nadto ludzką rzeczywistością, pomiędzy duchem silnym a ciałem mdłym, słowem bożem a czynem człowieczym. W epoce Odrodzenia najpotężniej wstrząsnął ten konflikt życiem kościoła na najwyższych hierarchicznych jego wyniosłościach; nie dziw, że najsilniejszy wyraz w tak bujnie rozkwitającej sztuce ówczesnej znalazł na ścianach świątyni, będącej kaplicą domową naczelnego zwierzchnika kościoła.

Zanim jednak papieska *capella palatina* pędzlem wielkiego tragika sztuki renesansowej wypowiedziała grzmiące po dziś dzień w całej swej grozie słowo sądu nad światem, w ciągu przeszło półwiecza ściennymi obrazami mistrzów budzącego się Odrodzenia głosiła słowo zbawienia świata, z Pisma Świętego wysnute, a uplastycznione w mnóstwie pełnych życia postaci i zdarzeń z różnych dziedzin i czasów od zarania ludzkości aż do epoki współczesnej.

Powołani przez Sykstusa IV malarze w dwóch szeregach fresków mieli przedstawić fakty z życia Chrystusa i Mojżesza, uzupełniające się nawzajem symbolicznem swem znaczeniem. Wiadomo, że wedle nauki kościoła różne postaci i zdarzenia Starego Testamentu mają zwiastować i wyobrażać figurycznie opowiedziany w Ewangieljach żywot Zbawiciela. W ten sposób uprzytomniona nam zostaje odwieczność idei chrześcijańskiej, wiekuistość Słowa Bożego, wcielonego w postaci Chrystusowej, przemawiającego natchnionymi przez Ducha Świętego

głosami i czynami ludzkości od początku do kresu jej dziejów.

Pierwsi malarze kaplicy sykstyńskiej ukazali nam przedewszystkiem czyny w ich zewnętrznych, historycznych przejawach, po części w odniesieniu do osób, zdarzeń, stosunków współczesnych. Historyczność i anachronizm, oto dwa sprzeczne a nierozdzielne pierwiastki, występujące w twórczości wszystkich naiwnych miłośników życia. Otaczająca rzeczywistość życiowa z nieprzepartą mocą ciśnie się im pod pióro, pędzel, czy dłuto, a uświęcona powagą tradycji historyczność narzuca im swą treść idealną, swe na wieki utrwalone kształty i formy. W sztuce religijnej dwoistość ta ze szczególną ujawnia się dobitnością. Wszakże chodzi tu o oddanie uczuć ludzi obecnych w odniesieniu do wierzeń i wyobrażeń, złączonych z uświęconymi faktami życia religijnego przeszłości. Wobec tego zadania fantazja twórcza naiwnych artystów niewiele się troszczy o przeciwieństwa anachronizmów: zestawia obok poprostu współczesność i historyczność, uprzytomniając nam tym sposobem niezmienną wszechczasowość prawd wiary. Tak lud nasz w swych jasełkach postaci i zdarzenia własnego wieśniaczego życia wprowadza do historii narodzenia Dzieciątka Bożego — tak dawni artyści osoby fundatorów obrazu świętego umieszczali u stóp Najświętszej Panny, — tak malarze Sykstusa IV znamienite zdarzenia i postaci jego czasów i jego rządów uwiecznili w scenach z życia Chrystusa i Mojżesza, całą wspaniałość i przepych bogaty swej epoki roztoczyli na idyllicznem tle opowieści Pisma Świętego.

Nie wszystkie ich freski dochowały się do naszych czasów. Braknie nam początku i końca obu cyklów. Pierwotnie na ścianie szczytowej ponad ołtarzem widniały obrazy ukoronowania Najświętszej Panny, a po bokach narodzenia Chrystusa i znalezienia Mojżesza przez córkę faraonową. Zostały one poświęcone Sądowi Ostatecznemu Michała Anioła, który obecnie całą tę ścianę zajmuje. Na przeciwległej ścianie freski, przedstawiające zmartwych-

wstanie Chrystusa i walkę o zwłoki Mojżesza, uległy całkowitemu zniszczeniu, wskutek zapadnięcia się architrawy ponad głównym portalem, i zastąpione zostały przez bardzo nieudolne dzieła XVII wieku. Naprzeciwnie freski obu podłużnych ścian kaplicy w dość dobrym stanie do dni naszych się przechowały.

Po prawej stronie mamy obrazy z Ewangelji, po lewej z życia Mojżesza, te ostatnie pojęte, jako figuralne zwiastowania i zapowiedzi tamtych. Młodość Mojżesza i jego pobyt na pustyni po ucieczce z Egiptu odpowiada młodości Chrystusa i pokusom djabelskim podczas czterdziesto-dniowych na pustyni praktyk ascetycznych, ogłoszenie przykazań bożych na Synaju ma być figurą kazania na górze, testament i śmierć Mojżesza figurą ostatniej wieczerzy pańskiej i umęczenia Chrystusa.

Analogje te, sztuczne same przez się, tem sztuczniejszemi się stają przez wprowadzenie do obrazów motywów życia współczesnego, zasłaniających niekiedy historyczno-religijną ich ośnowę. — I tak np. fresk Botticellego, mający przedstawiać kuszenie Chrystusa na puszczy, ukazuje sceny świętej akcji na dalszym planie; — cały plan pierwszy zajęty jest w nim przez szczegółowo i dokładnie wedle ksiąg mojszowych (3 Mojż. 14, 2—7) nakreślony obrzęd oczyszczenia trędowatego. Co znaczy to tak silnie uwydatnienie epizodu, niczem niezwiązanego z główną ośnową cyklu? — Wyjaśnia tę zagadkę widniejąca w głębi fasada świątyni: rozpoznajemy w niej fronton szpitala św. Ducha, którym tymi czasy właśnie Sykstus IV obdarzył swą stolicę. To dobrodziejstwo papieża, wielkiego budowniczego i odnowiciela Rzymu, miało być upamiętnione na fresku. Jako świadkowie, może uczestnicy tej zasługi uwiecznieni są na obrazie ludzie z najbliższego otoczenia papieża, prałaci, kardynałowie, pomiedzy którymi rozpoznano portrety Hieronima Roario, Juljusza della Rovere (późniejszego papieża Juljusza V) i wielu innych.

Co krok na freskach z czasów Sykstusa IV spoty-

kamy osoby i zdarzenia współczesne, upamiętnione czyny i zasługi papieża, doniosłe wypadki jego rządów. Co chwila między postaciami ewangelicznymi lub starotestamentowymi spostrzegamy figury w strojach z XV wieku z typowymi twarzami tej epoki: prałatów, wojowników, artystów, uczonych — wszystko zapewne portrety, niekiedy rozpoznane jako przedstawiające znamienite osobistości współczesne, niekiedy wzięte widocznie z najbliższego otoczenia artystów, z pośród ich przyjaciół i znajomych; często też, obyczajem ówczesnym, artyści własne swe postaci umieszczają na obrazach.

Oto np. na fresku Rossellego, przedstawiającym zatopienie wojsk faraonowych w morzu Czerwonym, pośród tryumfujących nad klęską wroga Izraelitów, tuż obok pełnego natchnienia Mojżesza i śpiewającej chwałę bożą Miriam, widzimy rycerskie portretowe figury Roberta Malatesty, Virginia Orsiniego, a nieco opodal kardynała Bessariona, trzymającego podniesiony relikwiarz. Z zestawienia faktów i dat nietrudno wywnioskować, że obraz klęski Egipcjan zawiera aluzję do klęski, zadanej wrogom papieża w bitwie pod Campomorto r. 1482 przez posiłkowe wojska weneckie pod wodzą Malatesty, przy współudziale innych, wyobrażonych na obrazie wojowników. Podobnie na fresku tegoż Rossellego, przedstawiającym kazanie Chrystusa na górze, pośród słuchaczy widzimy królową Cypru Karolinę Lusignan, jej małżonka Ludwika Sabaudzkiego, słynnego z przygód morskich rycerza rodyjskiego Jakuba Almodia, a na fresku Ghirlandaja liczna grupa około trzydziestu osób w strojach współczesnych cała pono sportretowana kolońja florencka w Rzymie, ni by chór tragiczny, towarzyszący świętej akcji, przygląda się powołaniu pierwszych uczniów przez Chrystusa.

Wszelako, lubując się pełnią życia współczesnego i wprowadzając ją w realnych postaciach i kształtach do swych świętych obrazów, nie przeniewierzali się artyści sykstyny i idealnym swym zadaniom i dawali im wyraz w głęboko religijnym nastroju swych dzieł. Oczywiście

nie wszędzie utrzymany on został na jednakim poziomie, bo nie z jednakiej miary talentami twórczymi mamy tu do czynienia: talenty słabsze nie zdołały wznieść się do wysokości swych tematów, nie zdołały oddać całej mocy przenikającej je idei. „Kazanie na górze“ i „Wieczera Pańska“ Rossellego i jego uczniów przeważnie bezduszne, martwe ukazują nam figury. Tam jednak, gdzie talent nie zawiódł, idea religijna oddana została silnie i wyraziście w podniosłym, uroczystym nastroju. Ghirlandaja obraz powołania pierwszych uczniów i Perugina obraz wręczenia kluczy Piotrowi, należą do najpiękniejszych twórców renesansowej sztuki religijnej, każdy przez właściwe odnośnemu artyście przymioty: pierwszy przez naiwną świeżość uczucia religijnego, połączoną z żywym odczuciem przyrody i doskonałą plastyką kształtów, drugi przez głębię uczuciowego nastroju, wyrażającego się w charakterystyce postaci z nieporównanym wdziękiem gięstu, kształtu i barwy.

Freski Botticellego zawierają w sobie więcej treści życiowej, więcej ruchu dramatycznego, więcej ludzkich pragnień i dążeń, zawsze jednak w głęboko-religijnym odczuciu nastroju. Jego „Młode lata Mojżesza“ to istna epopea heroiczno-religijna, niezrównana w swej harmonii kompozycyjnej, przemawiająca naprzemian siłą męskiej energii, urokiem wdzięku idyllicznego, szczerą prawdą życia i wzniosłym idealizmem misji nadludzkiej, a jego obraz zagłady lewitów, zbuntowanych przeciw najwyższemu autorytetowi kapłańskiemu Mojżesza i Arona, to prawdziwy dramat naglej, groźnej katastrofy, spadającej, jako kara niebios, na zuchwałych bezbożników.

Godnem jest uwagi, że wszyscy prawie wyżej omawiani malarze Sykstyny (Botticelli, Ghirlandajo, Signorelli, Perugino) należeli w następstwie do wyznawców Savonarolli i żywo odczuli tragizm jego męczeństwa, przecho-
wując niekiedy na całe życie bolesne jej wrażenie, jak Perugino, który pod tem wrażeniem pono utracił wiarę, lub Botticelli, z tą swoją głęboką, chorobliwą melanco-

lją, nieuleczalną *morbidez*ą całej późniejszej swej twórczości.

Czemże był ten rozdzwięk tragiczny epoki Odrodzenia, rozdzwięk potwornej iscie katastrofy, w której wzniosła enota chrześcijańska pada ofiarą nikczemnej zbrodni, rozpierającej się w osobie Aleksandra VI na zwierzchnim tronie chrześcijaństwa?

Był to spotęgowany do najwyższego stopnia objaw konfliktu pomiędzy czystą ideą chrześcijańską a ową burzliwą falą życia, co, pędzona mocą zmartwychwstającej tradycji pogańskiej i współczesnych pogańskich instynktów, takim szalonym pędem przewalała się w łóżysku kultury renesansowej. Daremnie wielki reformator-męczennik usiłował falę tę powstrzymać. Padł zdruzgotany przez najdziksze żywiołowe jej siły, niezdolny w swej ascetycznej wyłączości zrozumieć i zużytkować twórczych, kulturalnych jej sił. Czysta idea chrześcijańska, jak ją miała realizować teokratyczna republika Savonarolli, nie dała się pogodzić z otaczającą rzeczywistością, z jej bujną pełnią sił i dążeń życiowych.

To bolesne doświadczenie cień smutku, niekiedy rozpaczny mrok zwątpienia o życiu lub wierze, rzuciło na najszlachetniejsze dusze współczesne. Zanim jednak zostało ono przebyte i przecierpiane, z jakąż naiwną ufnością w pełni wiary radowano się pełnią życia wśród renesansowej Italji ze schyłku XV wieku!

Skarby sztuki czarami piękna i wzniosłości zdały się potęgować siły religji, bogactwo i przepych życia kulturalnego zdały się służyć głównie lub wyłącznie ku pomnożeniu chwały kościoła, skupiającego w sobie całą moc żywotną świata chrześcijańskiego.

Wyrazem tej ufności, tej wiary, są dolne freski Sykstyń. powstałe na lat przeszło dziesięć przed florencką tragedją Savonarolli Przyszłym jego wyznawcom obce zapewne było naówczas wszelkie powątpiewanie o prawdzie życia otaczającego, o prawowitości religijnych jego dążeń, realizowanych na szczytach hierarchji kościel-

nej. Wysławiali papieństwo Sykstusa IV w blasku jego świetności i chwały, w jego znamienitych tryumfach i wiekopomnych dla kultury zasługach, wierzyli szczerze w kościół katolicki, jako w wiekuiistą instytucję chrześcijaństwa, a w chrześcijaństwo, jako w wiekuiistą religję ludzkości, mającą swe źródła w ustanowieniu i objawieniu bożem przy początku świata, przygotowaną i zwiastowaną przez cały ciąg dziejów przedchrystusowych, a osobliwie przez *historję świętą* ludu wybranego. Z tą wiarą podjęli i odtworzyli w swych obrazach wskazane im przez teologów fakty ze Starego i Nowego Testamentu w ich typologicznem znaczeniu, jako objawy przedwiecznych bożych zamierzeń, realizowane figurycznie w życiu i czynach natchnionego wodza i prawodawcy izraelskiego, realnie dopełnione w życiu i śmierci ofiarnej Zbawiciela świata.

Z tą samą wiarą zdarzenia dziejów świętych odnieśli do zdarzeń współczesnej historii kościoła, władzę i powagę papieża wyobrazili we władzy i powadze wybrańca bożego. Tryumf Mojżesza i Izraelitów nad Faraonem—to tryumf Sykstusa IV nad jego wrogami, kara boża, spadająca na buntowniczych przeciw Mojżeszowi lewitów—to symbol kary, na jaką zasłużyło powstające przeciw papieżowi duchowieństwo, które w owym czasie właśnie pod przewodnictwem ambitnego arcybiskupa Krainy na koncyljum w Bazylei obrzucało Sykstusa ciężkimi zarzutami.

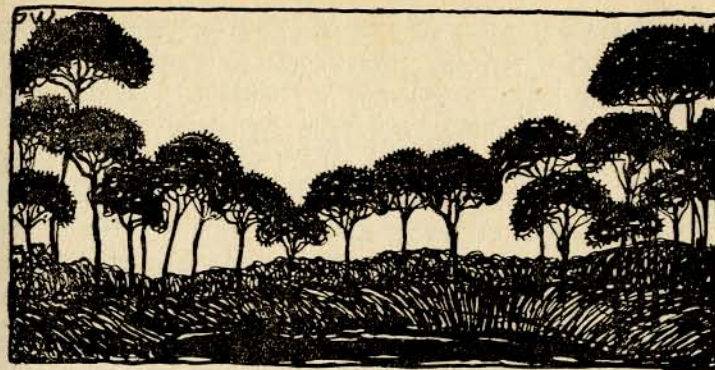
Pośród licznych na chwałę papieską malowanych dytyrambów, spotykamy tylko jeden jakby nieśmiały zarzut. Na fresku Signorellego, przedstawiającym czytanie przedśmiertnego testamentu Mojżesza, pomiędzy mnóstwem bogato przyodzianych figur, uderza nas dziwna postać zupełnie nagiego młodzieńca, z wyrazem bardzo smutnym wpatzonego w patryjarchę. Jest to symboliczne wyobrażenie kapłańskiego pokolenia Lewi, które, wedle ustanowienia bożego, samo jedno wśród wszystkich pokoleń izraelskich żadnej nie miało posiadać własności

i żyć z dobrowolnych dziesięcin ludu (4 Mojż. 18. 23). Czy wobec przepychu i bogactw Sykstusa IV, który pierwszy na wielką skalę wprowadził do kościoła ohydę nepotyzmu, nie wygląda to na milczącą wymówkę? Przypomina się św. Franciszek z Assyżu, gdy wobec swego ojca i biskupa assyjskiego, zrzuca w milczeniu swoją odzież i staje nagi na znak ewangelicznego wyrzeczenia się wszelkiej własności.

Jeśli jednak artysta miał tu istotnie myśl jakiegoś sądu krytycznego o świecie otaczającym, stanowiła ona w dobie ówczesnej zjawisko wyjątkowe. Tak samo Signorelli, jak i wszyscy jego towarzysze, uplastyczniają w swych malowidłach na ścianach Sykstyny nie ideową, ale faktyczną treść życia, z całym wszechludzkiem jej znaczeniem odniesioną zawsze do współczesnej rzeczywistości życiowej. Radują się bogactwem jej zjawisk i kształtów, wspaniałym przepychem jej wyżyn kulturalnych, blaskiem, bijącym ze szczytów jej hierarchji kościelnej. Ideę chrześcijańską widzą zawsze przez pryzmat tych wszystkich faktycznych świetności, widzą ją w zewnętrznych zdarzeniach i czynach, przekazanych przez historję, uświęconych przez tradycję, jako wiekuiste symbole religijnego życia ludzkości. Czem ona jest lub powinna być w swej istocie wewnętrznej, jak żyje i działa realnie w głębinach duszy ludzkiej, jakie stawia sobie w niej cele i zadania—nad tem wszystkim niewiele się zastanawiano w naiwno-heroicznym zaraniu epoki renesansowej, o tem niewiele nam mówi sztuka ówczesna. Trzeba było potężnego wstrząśnienia dusz, aby się uświadomiły te głębokie tajnie religijnego życia epoki, trzeba było najwyższej mocy gienjuszów twórczych, aby mogły osiągnąć należyty wyraz w sztuce.

Tem wstrząśnieniem stała się dla nich tragiedja Savonarolli, ten wyraz dały im tragiczne malowidła Buonarrottiego na sklepieniu kaplicy sykstyńskiej.

Ciąg dalszy nastąpi.



JÓZEF ARTUR hr. GOBINEAU.

Z CYKLU MICHAŁ ANIOŁ.

Rzym.

(Kaplica Sykstyńska. Wielkie rusztowania zajmują jej część. Na ścianach i na suficie rozpoczynanie fresków. Niektóre części wydają się gotowe, w wielu miejscach sam rysunek mniej lub więcej wykończony. *Michał Anioł* stoi, pracując żarliwie. *Granacci* o parę kroków od niego siedzi na stołku, pośród kup wapna, garbków do farb, belek i narzędzi wszelkiego rodzaju).

GRANACCI. Niewesołe myśli macie, mistrzu.

MICHAŁ ANIOŁ. Tak już widzę rzeczy.

GRANACCI. Sztuki nie były nigdy w stanie tak kwitnąć! Nigdy nie stworzono dzieł tak pięknych! Ilu malarzów, rzeźbiarzy, budowniczych znakomych, nadludzkich.

MICHAŁ ANIOŁ. Nie znam ludzi nadludzkich. Są to śmieszne słowa. Nie bluźnijcie.

GRANACCI. Niechaj bluźnię, mam was za półboga, a inni myślą, jak ja. Nie marszczcie czoła, lecz dozwólcie mi cią-

gnąć. Codziennie widzi się rzeczy, jakich nikt nigdy nie był widział. Tutaj w Rzymie, jak również we Florencji, w Wenecji, w Medjolanie, w Bolonji, w Neapolu, w tym rodzaju przepychu prześcignęliśmy olbrzymie wynalazki starożytnych. Co do poetów, uczonych, pisarzy i tych nie brak. Wciąż powstają nowi; oto Sannazaro, niedościgniony i wzniosły Ariosto, oto Bibiena ze swoją Calandrią i mistrz Nicolo Machiavelli ze swoją Mandragorą. Cóż mogę rzec więcej i lepiej? Papież Leon X i kardynałowie jego wydają się mojej pełnej zachwyty wyobraźni, jako równi wielkiemu Jowiszowi i bogom Panteonu, nie mówiąc, że zamieszkują Olimp o wiele piękniejszy, niż ich bajeczni poprzednicy, bo przecież ów dawny Olimp urządził był stary Coelus, bóg bez smaku i bez pieprzu. Dzisiaj my artyści stworzyliśmy firmament, upiększamy go wciąż, uświetniamy cudownymi tonami, w blask gwiazd iskrzących przybieramy i mówię wam, że to, czego tknie się dłoń wasza, mistrza Rafaela, Andrei del Sarto, Sansovina, Tycjana i tylu innych, jest dziełem nieśmiertelnym.

MICHAŁ ANIOŁ. Jesteście gadułą i ślepcem, Granacci; nie potraficie zrozumieć lichoty tego, co was zachwyca i rdzennej kruchości ludzi, którzy was czarują, a przecież są tak mało warci.

GRANACCI. Dowiedźcie mi zatem, że nie mam słuszności, jeżeli chcecie ganić wszystko.

MICHAŁ ANIOŁ. To nie będzie trudne. Przedstawcie mi swe niedorzeczności, a odpowiem wam.

GRANACCI. Papież jest najżarliwszym podpieraczem sztuki, jaki kiedykolwiek był istniał. Nie możecie zaprzeczyć, że dobrodziejstwa jego spływają na nas, jak manna nieustająca i nader słodka.

MICHAŁ ANIOŁ. Papież Leon X nie kocha sztuk. Kocha przepych, a to wielka różnica. Wszystko, co błyszczy i sprowadza dlań pochwały, wydaje mu się popierania godnym; sztuki są mu narzędziem próżności; nie troszczy się zgoła o to, co wyrażają. Pierwszy z śmiertelników, który wdał się

w zbytek, może i rozpoczął bicie drogi, jaką przyszedł na świat sztuki, ale drugi powalił sztuki, aby zastąpić je przesadą i kłamstwem.

GRANACCI. Ach! drogi mistrzu, jakże lubicie oskarżać! Jak surowo sądzicie papieża, naszego wielkiego papieża Leona. Czyżbyście woleli dziki umysł jego poprzednika.

MICHAŁ ANIOŁ. Juljusz II jest jedynym prawdziwym księciem, jakiego oczy moje widziały. Nie był to człowiek szukający rozkoszy cielesnych. Rozumiał tylko Wzniosłość, cenił tylko siłę. We wszelkich sprawach jedynym celem jego było stworzyć i pozostawić po sobie Kościół święty w tryumfie, zdolny deptać stopą opór bezbożników. Byłby chciał poprawić całe duchowieństwo; dążył do tego, aby barbarzyńców wypędzić z Italji; jeżeli gromił powstania baronów, Colonnów, Vitelli'ch, Orsini'ch, nie ścierpał również zakłóceń porządku publicznego w miastach... czego nie widziano nigdy. Ani jeden złodziej, rzeźmieszek nie śmiał był pokazać obrzydłej gęby na ulicach Rzymu! Od artystów swoich żądał wielkich pomników, ogromnych fresków, szerokich płócien; miał na myśli wyłącznie Olbrzymiość, to odpowiadało duszy tak pańskiej, jak jego. Ja, tracąc tego szlachetnego pana, straciłem wszystko; ale sztuka, mówię, sztuka niebiańska, ta od Wenus Uranji. nie od bogini Nierządnicy ulicznej pochodząca, ta sztuka straciła jeszcze więcej.

GRANACCI. Nie rozumiem, na czym gruntujeecie tego rodzaju niezwykłe sądy. Zaledwie Conclave oddało Leonowi X klucze świętego Piotra, papież otacza się znakomitymi literatami i poetami, wzywa i wybiera na sekretarzy miłego Sadoletto, o którym co dopiero wspominałem, wytwornego Bembo. Wam poleca robót zaczętych dokonać.

MICHAŁ ANIOŁ. Wyrwał mi z rąk grobowiec Juljusza II, moje dzieło ulubione, któremu oddałem całą duszę, a które nigdy nie ujrzy dziennego światła. Pozostanie tam, w głowie mojej, dziecię martwo urodzone.... Czy to mała zgryzota!

GRANACCI. Przyznaję, że to wielkie nieszczęście, ale

to dowodzi jedynie, że, jak każdy opłacający artystów, i pa-
piez posiada kaprysy. Woli, abyście się zajmowali raczej je-
go sławą i jego zadowoleniem, niżeli apoteozą jego poprze-
dnika, do którego z pewnością żywił bardzo skromne sympa-
tje. Ale macie nowego gościa.

MICHAŁ ANIOŁ. Znowu natręt! Odprawię go należycie.
Panie, kimkolwiek jesteś, nie trudź się włożeniem po drabi-
nie. Niewygodna i słaba, a zresztą nie mam czasu na ga-
danie.

MACHIABELLI (odzywając się w dole kaplicy). Wielce
szanowny panie, Michale Aniele, czy nie pozwolicie uściskać
siebie staremu przyjacielowi, towarzyszowi i rodakowi?

MICHAŁ ANIOŁ (poglądając z rusztowania). A! to pan
Nicolo Machiavelli. Wejdźcie, jeżeliście przybyli. Sądzę, że
pozwolicie, abym nie przerywał roboty, i oszczędzajcie sobie
oraz mnie próżnych powitań!

MACHIABELLI. Nie takim ograniczony, abym miał ryzy-
kować; znam wasze usposobienie.

MICHAŁ ANIOŁ. Skąd przybywacie?

MACHIABELLI. Z Florencji... Wyszedłem z więzienia;
pewnieście wiedzieli.

GRANACCI. Tak... Byliście zamieszani w spisku Boscoli.

MACHIABELLI. Dzięki najhaniebniejszemu oszczerstwu;
jestem oddanym sługą Medyceuszów.

MICHAŁ ANIOŁ. Oddany? Hm, oddany! Winszuję wam...
tak samo byliście oddani innym.

MACHIABELLI. Któż z nas nie był młody? Dałem się
wziąć na lep bredniom braciśzka Girolama Savonaroli, toż wszy-
scy o tem wiedzą.

MICHAŁ ANIOŁ. Brednie, powiadacie... Bredzi się, gdy
się zaleca honor, uczciwość, wstrzemięźliwość; jednakże, pa-
nie Nicolo, ten wasz błąd młodości pozostanie okrasą wasze-
go żywota.

MACHIABELLI. Być może macie słuszość, być może
słuszności nie macie; to wszakże jest pewne, że taki rodzaj
zasługi, przy naszym stanie społeczeństwa, nie mógł zrobić
niczego dobrego ani dla mnie ani dla innych.

MICHAŁ ANIOŁ. A zatem wymawiacie sami sobie, że-
ście kiedyś poszukiwali błogosławieństwa religji. Bierze mnie
jakaś mocna chęć rzucić gdzie na tę ścianę podobiznę waszą
pod postacią szyderczego djabła.

MACHIABELLI. Za dużo honoru dla mnie. Według świę-
tej teologii, najprzebieglejsi ze wszystkich djabłów, jacy pra-
cują dzisiaj na chwałę piekieł, byli na progu swych występów
dobrymi aniołeczkami, widzącymi nie dalej końca swego no-
sa. Któż ich zniepawił? Doświadczenie. Mówiąc krótko,
wierzyłem tak jak wy, jak Granacci, jak tylu innych, że mo-
żna żyć w Florencji i zachować uczciwość. To właśnie było
mojem wielkiem nieszczęściem i tem zgotowałem sobie napój
niełaski, którego od czasu do czasu po łyku kosztować muszę.
Po to właśnie przybyłem. Niemniej skończyłem akt trzeci
swojej Mandragory.

MICHAŁ ANIOŁ. Będzie to piękne dzieło, panie Nicolo,
albowiem chociaż marny polityk, jesteście znakomitym litera-
tem, więc jest się czem pocieszyć.

MACHIABELLI. Marny polityk? Sąd wydaje mi się su-
rowym, ale być może słuszość macie, jeżeli wziąć całość.
Po to więc tyle myślałem nad historją, wykladałem Titusa
Livius'a, wertowałem nasze kroniki florenckie, badałem cha-
raktery i rządy wszystkich narodów, aby w końcu poznać i ze-
znać samemu sobie, że jestem marny polityk?!

(Siada na zydlu w kącie, zamyślony, skrzyżowawszy rę-
ce i nogi, patrzy nieruchomo przed siebie).

Marny polityk! Rzeczywiście spotkało mnie to, zem się
pomylił, a jeszcze gorsze to, że, mając słuszość, nie potrafi-
łem zdobyć zaufania do moich idei. Na obronę swoją przy-
toczę, że niemasz umiejętności, bardziej na przypuszczeniach
opartej, niż polityka, umiejętność, której wnioski w takim sto-

pnium ulegałyby zdarzeniom nieprzewidzianym, lada podmuchowi wiatru. Patrzcie! gdyby pewność w poglądzie, stanowczość w wykonaniu, gienjusz w zarządzaniu wystarczały, aby zdobyć powodzenie, Cezar Borgia, książę Valentino, byłby bez żadnej wątpliwości założył królestwo włoskie i orzekł o przyszłości naszej.

MICHAŁ ANIOŁ. Gdyby się to było stało, Bóg Ojciec byłby się zarumienił.

MACHIAVELLI. Bóg Ojciec widział rządy Heljogabala i wcale się nie rumienił; codzień widuje, jak najgorsze łotry i ostatniego rzędu gałgany wyrrywają sobie z rąk powodzenie, a z tego powodu ani trochę nie traci humoru. Nieboszczyka papieża Juljusza II, poza osobistym wspomnieniem, nikt nie przeszedł, co do wagi zamiarów i energii czynów.

MICHAŁ ANIOŁ. To prawda.

MACHIAVELLI. Jako przeciwników miał był samych głupców i kpów, z wyjątkiem księcia Ferrary; ale przypadek chciał, że był stary i musiał umierać.

MICHAŁ ANIOŁ. Nigdy nie ujrzy świat równego mu.

MACHIAVELLI. Przypuśćmy! Niemniej jest prawda, że świat obraca się w dalszym ciągu, przystosowując się do tego, co znajduje. Dzisiaj tryumfują głupcy, Sforza Medjolański nie wart pustego orzecha; Fregoso w Genui jest knowaczem niskiego stopnia, ze zdradą w dłoni, z uchem dla wszelkich opinii, nie patrząc ani daleko, ani wysoko. Francesco Marja d'Urbino, mierny naśladowca Cezara Borgii, równie zwinny w pchnięciu sztyletem, ale to wszystko będzie się chwiać na nogach, aż padnie. Medyceusze florency nie trwaliby trzech dni, gdyby nie rządili Rzymem pospół z papieżem. Weneccjanie żyją, będą żyli, będą silni, sławni, potężni, ale nie są poczwarkami, którym przeznaczono skrzydła dość mocne, aby wzlecieć mogły w sfery powietrzne wyższe ponad średniość. Czyli że w Italji niema nic, prócz trzech potęg: papieża, Francuzów i Hiszpanów.

MICHAŁ ANIOŁ. Słucham was z żywym zadowoleniem Wyłóżcie, proszę, w jaki sposób szanujecie każdą z tych potęg, któraż zawładnie berłem?

MACHIAVELLI. Powtarzam wam, jako dowiedziałem się kosztem własnym, że astrologja daje małą pewność, a polityka nie więcej. Nie chcę grać roli proroka. Co się tyczy Francuzów, to w tej chwili uskromiono ich, wypędzono; poza twierdzą Medjolańską i trzema czy czterema warowniami grunt u nas stracili. Ich nowy król, pan d'Angoulême, jak się zdaje, woli fanfaronadę i wywczas, niżli ambitne przedsięwzięcia; sądzę, że papież Leon X, który tych ludzi nienawidzi bądź za to, że wzięli go byli do niewoli pod Rawenną, bądź dla wielu innych dobrych przyczyn, powinien uważać się za wolnego od nich.

GRANACCI. Tem lepiej! Jestem dobrym Florencjaninem i nienawidzę tych pyszałkowatych krzykałów. Nigdy nie byli szczerzy z republikanami, ani ze stronnictwem przeciwnem. A co sądzicie o Hiszpanji?

MACHIAVELLI. Król ich Karol jest młodziuchny, któż wie, czem będzie? Jest synem pięknego, mało znaczącego chłopca i nieszczęśliwej warjatki. Zła przepowiednia! Aby spiętrzyć zagadki—bardziej Flamand, niż Kastylczyk, pozatem Burgund i Austryjak; sprawy jego rozsiane wszędzie. Jeżeli zważyć całość jego sił, wydają się wielkie, ale części nie trzymają się wzajem i szkodzą sobie. Jeżeli właściciel tych kawałów zechce przykładać nieco pilności do swych spraw, to żywot zejdzie mu na przenoszeniu się z jednego miejsca na drugie. I jeszcze niełatwo mu będzie przybyć wszędzie na czas. Aby udać się z Valladolidu do Bruges, potrzeba mu pozwolenia króla Franciszka. Następnie o inną rafę uderzyć może jego ambicja, o ile posiada takową. Gdy umrze dziadek jego, cesarz Maksymiljan, młody Karol niewątpliwie zgłosi się po koronę cesarską. Otóż konflikt. Francuz również patrzy w tę stronę, Anglik nie mniej ma nadzieję, Elektorowie posiadają swe plany... Ci ludzie będą się pożerali, król Karol,

już i tak w niezliczonych izbach swego własnego domu zajęty, stanie się celem pocisków wszystkich współzawodników; w skutku znaczenia wielkiego w Italji nie zdobędzie, a z tego wyprowadziłem wniosek, że będzie tutaj rządził według swego widzimisię papież Leon X. Nie wiem, czy obrachunki moje nie mylą, w każdym razie nie o wiele.

MICHAŁ ANIOŁ. A gdyby, wypadkiem, Franciszek I wart był wyżej nad ocenę waszą, a Karol znów posiadał i rozum i chęć?

MACHIARELLI. Obie rzeczy przypuściwszy, nie należy niczego przepowiadać! Wszystko polega na sile głowy i apetycie tych dwóch panów. Niemożliwość może stać się faktem bieżącym zawsze. Wielcy panujący zjawiają się nie często.

GRANACCI. Macie słuszność! Rzeczywiście, dzisiaj nawet słabi mają siłę, wszystko kloni się ku wielkiemu, a królom dojść łatwiej, niżli komu innemu.

MACHIARELLI. W życiu swoim spotkałem więcej ludzi niezdolnych i właścicieli małych mózgów, niż mogłem się być spodziewać. Dozwolicie, abym nie liczył zbyt wiele na rozkwit zasługi i powtórzył wam, że, jak na teraz, najbliższym do zagarnięcia tutaj władzy jest papież.

MICHAŁ ANIOŁ. Niewiele trzymam o nim.

MACHIARELLI. Ani ja, mam go poprostu za przyzwoitego wielkiego pana, o łatwych obyczajach, który pielęgnuje swój umysł w taki sposób, jak i swe dłonie. Wraz z temi zachwycającemi rączkami, posiada w ciele swoim parę oczu wielkich, wylupiastych ponad czoło, a nic nie widzących, co czyni go podobnym do Nerona, z którym zresztą łączy go rys wspólny: miłośnictwo wszelkich ciekawostek. Podobnież w umyśle jego, z tylą troski uprawianym, dostrzegamy braki dla całości przykre. Rozpościera się ze smakiem wytwornym we wszelkich przedmiotach, serce ma dobre. Z taką samą

wyniosłą ochotą rozmawia z najwstrętniejszym błaznem, jak z Sadolet'em lub Aniołem. Staluje u was freski i posągi, staluje u Rafaela obrazy, dlatego, że są to cacka kosztowne; aby rozdać swą sławę, Ojciec Święty obstałoby chętnie bilbokiet*) z gwiazdy. Ale wierzajcie, w głębi duszy, ponad wnikanie w arcydzieła wasze, woli polowanie na zające w swej posiadłości Magliena lub subtelną kolację w Watykanie. Podadzą tam na pieczone kluski z pakuł i pasztet ze słomy ku wykrzywieniu ust biesiadnikom, a ku radości nadzwyczajnej Jego Świętobliwości, a jednocześnie silna fala barlesk i inwektyw wydobędzie na jasne światło talenty Ewangelisty Tarasconi'ego i Arctina.

MICHAŁ ANIOŁ. Niemal to samo mówiłem dopiero co Granacciemu. Od takiego człowieka nie można się niczego spodziewać.

MACHIARELLI. Przepraszam. Zważywszy wszystko, wypadki układają się tak giętko w jego dłoniach, że chociaż nie posiada ani entuzjazmu Savonaroli, ani stanowczej ambicji Cezara Borgii, ani energii Juljusza II, za pomocą swych bull z mydła wkońcu Italję zjednoczy. Odbierze Neapol, lenno Kościoła, biednemu Karolowi hiszpańskiemu, nie umięcemu obronić swego dobra; nie może zaniedbać (wysiłek nader łatwy), aby króla angielskiego, pedanta, pismaka, ślepo Stolicy Apostolskiej wiernego, w taki sposób przykleić do Francji, że Franciszek I nigdy nie ośmieli się wyruszyć ze swego państwa w celu zagarnięcia nas. Leon tedy weźmie Medjolan i utrzyma go, jak Juljusz — Romańję.

MICHAŁ ANIOŁ. Z pewnego punktu biorąc, jest to perspektywa piękna, lecz mnie ona nie pociesza.

MACHIARELLI. Ani mnie. Czuję i wiem dlaczego! Italia nigdy nie była taka świetna, jak dzisiaj. Jednakże blask

*) *Bilbokiet*—figurka ołowiana, stojąca na nogach w każdej pozycji.

ten nie jest czysty. Za wiele występków, za wiele zupsucia i jeżeli wpadniemy w ręce potęgi, najbardziej ze wszystkich zepsutej, jeżeli oddani będziemy na łaskę dworu najdrapieżniejszego, jaki kiedykolwiek był istniał, Italja będzie od cudzoziemców wyzwolona i w jedność zebrana, to prawda, ale w krótki ciąg lat ujrzymy ją wyczerpaną moralnie i fizycznie. Mnichy i księża osłabia ją tak, że się nie podniesie.

MICHAŁ ANIOŁ. Wierzę wam; jestem wiernym synem Świętego Kościoła; ale dopóki duchowieństwo będzie takie, jakie jest, nie życzę go sobie na rządę. Koniec końcem żyjemy w czasach bardzo nędznych.

MACHIABELLI. Nie mogą być nędzniejsze, ja już nie mam nadziei.

GRANACCI. Niechaj niebo zlituje się nad wami obydwoma! Jeżeli wam wierzyć, zbliżamy się do upadku. Panie Nicolo, czy mówicie poważnie? I tak rozprawiacie wobec mojego mistrza i w kaplicy Sykstyńskiej? Czyście znali epokę większą? Ach! panie Nicolo, sami w to nie wierzycie. Co do mnie, to dziękczynię niebu codzień za to, że zrodzon w takich czasach. Gdy rozmawiam z kimś, zdarza mi się, że nie zwracam uwagi na to, co mi odpowiada; przypatruję się rysom rozmówcy, mówiąc do siebie: „Oto osoba, której nazwisko zapisane będzie na stronicach historii“. Czuję w powietrzu woń ambrozji i nieśmiertelności; oddycham pełną piersią. Wszędy podziwiam, raduję się, a wy, wy obadwaj twierdzicie... Dosyć! Wyście — umysły zgryźliwe, wyobraźnie chore, niewdzięcznicy i doprawdy — najniewdzięczniejsi z niewdzięcznych, albowiem powinniście byli zachować więcej względów dla Boga za to, że każdemu z was dał środki do wykonania pięknych rzeczy.

MACHIABELLI. Nie wiem, czy wykonałem piękne rzeczy, ale wiem napewno, że gdyby najwielebniejszy kardynał Bib-

biena nie włożył był mi dzisiaj rano do ręki pół tuzina dukatów, nie miałbym za co obiadować. Kończę i, zatrzymując się na tym ostatnim punkcie, opuszczam was, mój miły Granacci, szczęśliwy, że się z wami widział i życząc obu zdrowia.

MICHAŁ ANIOŁ. Z Bogiem. mistrzu Nicolo, mój przyjacielu. Aby skończyć Mandragorę, to dzieło wasze najpiękniejsze.

Tłomaczył IGNACY GRABOWSKI.





LEON WASILEWSKI.

Z ŻYCIA KULTURALNEGO UKRAINY.

I.

Życie społeczeństwa ukraińskiego jest u nas prawie zupełnie nieznane. Nie posiadamy w literaturze polskiej żadnego wydawnictwa, z którego możnaby się było dowiedzieć o Ukraińcach bodaj tyle, co o Słowakach albo Chorwatach. Walka polsko-rusińska w Galicji przesłania nam zupełnie wszystko, co się na Ukrainie dzieje. Na sprawy ukraińskie przyzwyczailiśmy się patrzeć ze stanowiska czysto politycznego, ponieważ zaś Ukraińcy w państwie rosyjskiem żadnej roli politycznej, jak dotąd, nie odgrywają, przeto ignorowani są u nas najzupełniej. Wskutek tego o tych naszych sąsiadach najbliższych z południowego wschodu wiemy bardzo mało. Ich życie narodowe jest dla nas księgą, na siedem pieczęci zamkniętą, cała zaś praca inteligencji ukraińskiej, skierowana do uświadomienia trzydziestomiljonowej masy ludu ukraińskiego, dla nas jakby nie istniała.

Tymczasem życie kulturalne Ukrainy współczesnej nie może być dla nas obojętne, albowiem wytwarza ono powoli nowe siły, z którymi wcześniej czy później bę-

dziemy się musieli liczyć. Praca inteligencji ukraińskiej kładzie podwaliny przyszłych losów narodu, z którym nas łączą i łączyć będą liczne związki odwiecznego współżycia. Od kierunku, w jakim ta praca podąża, od jej natężenia i rezultatów zależy w znacznej mierze ułożenie się stosunków sąsiedzkich Polski i Ukrainy. To też warto się tej pracy przyjrzyć bliżej.

Z pomiędzy wszystkich narodów słowiańskich, których samodzielne życie kulturalne z tych czy innych powodów zamarło, Ukraińcy w państwie rosyjskiem najdłużej, z największymi trudnościami, przeżywają okres „odrodzenia narodowego“. Czesi i Chorwaci, Słoweńcy i Bułgarzy już od lat kilkudziesięciu pędzą życie narodów *normalnych*, zdobywając piędź po piędzi nowe tereny życia narodowego, rozszerzając i potęgując kulturę narodową. Nawet Rusini galicyjscy, część tegoż samego narodu, co i Ukraińcy rosyjscy, wyprzedzili swych braci zakordonowych przynajmniej o lat kilkadziesiąt. Rusini galicyjscy posiadają już szkolnictwo ludowe i średnie, posiadają zawiązek własnego uniwersytetu, język ich rozbrzmiewa w sądach i urzędach i w sejmie galicyjskim, posiadają obfitą i różnorodną prasę, mają mnóstwo stowarzyszeń wszelkiego rodzaju, a wśród nich poważną instytucję naukową. Ukraińcy rosyjscy znajdują się dziś w tem samym położeniu, w jakim ich rodacy galicyjscy znaleźli się po r. 1848. I rzeczywiście—śmiało można powiedzieć, że czem dla Rusinów galicyjskich był rok 1848, tem dla Ukraińców w państwie rosyjskiem stały się lata 1905—1906.

Od tego czasu znikają szranki, w jakich sztucznie było utrzymywane od lat kilkudziesięciu całe życie umysłowe Ukrainy. Od tego czasu praca kulturalna inteligencji ukraińskiej zdobywa bodaj elementarne warunki rozwoju. Bo trzeba wiedzieć, że do lat 1905—1906 sfera działalności kulturalno-narodowej Ukraińców była niezmiernie ograniczona. Rozporządzenia z r. 1863 i jeszcze bardziej z r. 1876 odmawiały literaturze ukraińskiej

wszelkich praw rozwoju poza dziedziną beletrystyki oryginalnej. Nawet przedstawienia sceniczne w języku ukraińskim przez bardzo długi przeciąg czasu były zakazane. Z czasem ten ostatni zakaz nieco uszczuplono, poddając mu wyłącznie sztuki z życia inteligencji, dopuszczając natomiast utwory z życia ludowego.

W rezultacie aż do r. 1905—1906 literatura ukraińska w Rosji posiadała zupełnie specyficzny charakter. Poezje, powieści i sztuki dramatyczne ludowe — oto do czego sprowadziła się cała produkcja literacka w języku ukraińskim. Wszystko, co poza tą ciasną sferę wykraczało, przeniosło się do Galicji. Tam bujnie rozwinęła się prasa, zasilana przez współpracowników z Ukrainy, tam ukazywały się prace naukowe, pisane przez Ukraińców, tam wreszcie drukowało się wszystko, czego nie puszczano w Kijowie, Charkowie lub Odesie cenzura rosyjska.

Publicystyka i nauka, tłumaczenia arcydzieł literatury europejskiej od Homera, Danta i Szekspira aż do utworów pisarzy rosyjskich i polskich, zbiory dzieł klasyków ukraińskich, wybitniejsze prace pisarzy współczesnych — wszystko to ukazywało się we Lwowie, nie znajdując legalnego dostępu w granice państwa rosyjskiego.

Po roku 1905 sytuacja zmienia się o tyle, że i na Ukrainie upadają dawne zakazy, dotyczące rozwoju piśmiennictwa w języku ukraińskim. Jednocześnie poczynają błyskać promień nadziei wprowadzenia języka ludowego do tych dziedzin życia publicznego, które dlań dotąd były zupełnie niedostępne. Powstają wielkie nadzieje, pozwalające widzieć przyszłość Ukrainy w świetle różowem, a jej język wzbijającym się niemal na takie stanowisko, jakie zajmuje w Galicji Wschodniej. Nadzieje te bardzo prędko prysły; to, co się wydawało już blizkiem, odsunęło się w przyszłość daleką, bądź co bądź jednak, coś niecoś ze zdobyczy doraźnych pozostało. Nawet ten szczupły teren, jaki ocalał po bankructwie daleko sięgających marzeń ostatniej ćwierci r. 1905, dla Ukraińców

stał się dość szeroką areną, na której mogli podjąć się pracy różnostronnej. Przystąpili tedy do zapełnienia luk, jakie w ich życiu kulturalnem poczyniło tyloletnie trwanie surowych zakazów.

II.

Aż do końca r. 1905, Ukraińcy w państwie rosyjskiem nie posiadali prasy perjodycznej. Nie posiadali jej, właściwie mówiąc, nigdy, albowiem „Osnowa“, miesięcznik, wydawany w Petersburgu w latach 1861 i 1862, tylko częściowo wychodził w języku ukraińskim. Było to pismo ukraińsko-rosyjskie. Nie mogąc wydawać pism własnych w państwie rosyjskiem, Ukraińcy zakładają we Lwowie (w r. 1867) miesięcznik „Prawda“, który wychodził aż do r. 1880. Pismo to obsługiwało potrzeby Ukrainy rosyjskiej, ale, rychło straciwszy debit, mogło z natury rzeczy szerzyć się w bardzo ograniczonych kołach. Szersze rozpowszechnienie znalazł tygodnik lwowski „Zorja“, dopóki w r. 1894 nie utracił debitu.

Starania w „Głównym zarządzie prasy“ o pozwolenie na wydawnictwa perjodyczne w języku ukraińskim, ponawiały się i rosły liczebnie z roku na rok. Nie odnosiły jednak żadnego skutku. Wobec tego w piśmiennictwie ukraińskim zajął wybitne stanowisko surogat pisma perjodycznego w postaci almanachów czyli zbiorów prac rozmaitych autorów, umieszczonych w jednym tomie. Almanachy te (jak „Rada“, „Nywa“, „Składka“, „Step“ i wiele innych), miały bodaj do pewnego stopnia zastąpić pisma perjodyczne — do pewnego stopnia, ponieważ brakowało im przede wszystkim działu publicystycznego.

Kiedy nareszcie stało się możliwem wydawanie pism perjodycznych, zaroilo się od nich na razie. Pierwsze pismo ukraińskie powstało w Łubnach (gub. Połtawska). Był to dziennik ludowy „Chliborob“, przyjęty przez lu-

dność z entuzjazmem. Burzliwe wypadki końca r. 1906 zmiotły z widowni „Chliboroba“, natomiast pozostaje cały zastęp pism ukraińskich w najrozmaitszych punktach nie tylko Ukrainy, ale i reszty Rosji. Powstają pisma w Kijowie, Połtawie, Jekaterynosławiu, Charkowie, Mohylewie nad Dniestrem, ba, nawet w Petersburgu i Moskwie. Powstają dzienniki, tygodniki i miesięczniki, pisma ilustrowane, wydawnictwa dla ludu i dla inteligencji. Rychno jednakże pokazało się, że „mierzono siły na zamiary“ i znaczna część tej prasy zanikła. Pewna liczba wydawnictw ukraińskich nie ostała się wobec zarządzeń administracyjnych, reszta jednakże—z bardzo nielicznymi wyjątkami—zmarła śmiercią naturalną, z braku poparcia ze strony ogółu ukraińskiego.

Obecnie na Ukrainie wychodzi osiem pism periodycznych. Jedno z nich jest dziennikiem, trzy wychodzą co tydzień, trzy raz na miesiąc i jedno kwartalnie. Z wyjątkiem jednego, wszystkie są wydawane w Kijowie, stanowiącym główny ośrodek życia umysłowego Ukrainy.

Dziennikiem jest „Rada“ (poprzednio „Hromadska Dumka“), organ demokratyczny, posiadający własnych korespondentów na całej przestrzeni Ukrainy, dość umiejętnie zaspakajający potrzeby i czytelników z ludu i kół inteligencji. Trzeba zaznaczyć, że położenie tego jednego dziennika ukraińskiego jest niezbyt łatwe. Przedewszystkiem musi on bodaj do pewnego stopnia konkurować z prasą rosyjską, bardzo zasobną w środki materialne i zadosyć czyniącą wszystkim wymaganiom czytelników z inteligencji. Musi więc stanąć na poziomie prasy rosyjskiej, przeznaczonej dla inteligencji. Następnie obowiązkiem jego jest szukanie oparcia w masach ludowych, wobec nieliczności inteligencji ukraińskiej. A to wymaga wielkiej popularności formy, w jakiej ma się pojawiać materiał dziennikarski.

Obok „Rady“ najbardziej rozpowszechniony jest tygodnik ilustrowany „Ridnyj Kraj“, kierowany przez zna-

ną pisarkę ukraińską, p. Olenę Pczilkę, w duchu nacjonalizmu ukraińskiego, występującego tu jaskrawiej, aniżeli w „Radzie“. Przy „Ridnym Kraju“ wychodzi dodatek miesięczny „Mołoda Ukraina“, przeznaczony dla dzieci i młodzieży. „Ridnyj Kraj“ posiada w jeszcze większym stopniu niż „Rada“ charakter pisma ludowego.

Specjalnie dla ludu przeznaczona jest „Switowa Zirnycia“, pismo chłopskie, wydawane przez szlachtę polską na Podolu. Wychodzi w Mohylewie nad Dniestrem, zajmuje wśród pism ukraińskich stanowisko zupełnie wyjątkowe i jest ukraińskim tylko z języka, poza tem odbija interesy nie ludowe, lecz raczej wielkiej posiadłości ziemskiej. Obronie interesów klasowych proletariatu i robotników wiejskich poświęcony jest tygodnik „Słowo“—najbardziej demokratyczny organ ukraiński, niejednokrotnie chłoscący wybryki nacjonalizmu ukraińskiego, choć i sam zajmuje — w porównaniu np. do marksistów rosyjskich—stanowisko wybitnie narodowe.

Dwa pisma zajmują się literaturą i życiem społecznym. Jedno z nich, „Literaturno-naukowyj Wistnyk“, jest poważnym miesięcznikiem, prowadzonym na modłę rosyjskich „tłustych żurnalów“. Wychodzi w Kijowie dopiero od dwóch lat, gdy uprzednio wydawano go przez lat dziesięć we Lwowie. Był on tam pismem, skupiającym przy sobie ogół literatów ukraińskich, tak z Galicji, jak i z państwa rosyjskiego. Redagowany przez prof. Michała Hruszewskiego, zamieszczał najlepsze prace poetyckie i powieściowe literatury ukraińskiej, prowadził dział krytyki literackiej i publicystyki i wogóle starał się zadosyć uczynić potrzebom inteligencji. Przeniesiony do Kijowa, w dalszym ciągu spełnia tę rolę, będąc jednocześnie organem wszechukraińskim, dającym miejsce i utworom pisarzy z Rusi galicyjskiej, jakkolwiek z natury rzeczy prace Ukraińców z państwa rosyjskiego obecnie w nim przeważają.

Drugim pismem tego samego typu jest świeżo założony miesięcznik „Ukrainska Chata“. Jest on przezna-

czony dla szerszych kół, aniżeli „Wistnyk“, wobec czego posiada treść bardziej popularną. Zresztą na podstawie jednego numeru, jaki dotychczas wyszedł, niepodobna scharakteryzować ściślej tego pisemka, ani stwierdzić, czy jest ono organem żywotnym, czy też pozbawioną przyszłości efemerydą.

Oprócz pism treści ogólniejszej, wymienionych powyżej, wychodzi jeszcze w Kijowie miesięcznik „Ukraińskie Bżilnyctwo“, poświęcone pszczelarstwu. Wydawany pierwotnie w Petersburgu, został następnie przeniesiony na Ukrainę. Jest to jedyny organ specjalny w języku ukraińskim.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słów kilka o czysto naukowym wydawnictwie, podjętem w roku ubiegłym w Kijowie.

III.

Podobnie jak i prasa, rzeczą najzupełniej nową jest na Ukrainie działalność naukowa w języku ukraińskim. Już znany okólnik ministerjum spraw wewnętrznych z r. 1863 sprowadził ograniczenie produkcji piśmienniczej w języku ukraińskim do beletrystyki, ukaz zaś 1876 roku ograniczenie to spotęgował do granic ostatecznych. Wobec tego prace naukowe Ukraińców musiały być drukowane po rosyjsku, albo — o ile wychodziły za kordonem w Galicji po ukraińsku — stawały się w państwie rosyjskiem owocem zakazanym. Nawet zbiory tekstów etnograficznych i dokumentów historycznych, wydawane przez „Naukowe Towarzystwo im. Tarasa Szewczenki“ we Lwowie, stanowiły w Rosji kategorię wydawnictw „bezwzględnie zakazanych“. A trzeba wiedzieć, że wspomniane „Towarzystwo“ zostało założone przez Ukraińców z Rosji i w swych bardzo licznych wydawnictwach naukowych mieściło dużo prac z Ukrainy. Działalność więc uczonych Ukraińców w Rosji nie została zupełnie zawie-

szona, lecz przybrała charakter działalności wyłącznie „na eksport“ — do czasu, kiedy warunki polityczne pozwoliły ją przenieść do państwa rosyjskiego.

Czas taki nastąpił właśnie w r. 1906, kiedy t. zw. „przepisy tymczasowe“, dotyczące prasy i wydawnictw wogóle, zniosły zakazy, ciążące na słowie ukraińskim. Skorzystała z tego grupa uczonych ukraińskich w Kijowie, która zakrzętnęła się koło zorganizowania i na Ukrainie czegoś w rodzaju „Towarzystwa“ lwowskiego. Statut takiej organizacji został w krótkim czasie opracowany i zatwierdzony przez władzę, i dn. 29 kwietnia r. 1907 powstało pierwsze w państwie rosyjskiem ognisko nauki ukraińskiej. Na walnem zgromadzeniu „Ukraińskiego Towarzystwa Naukowego“, jak się przeważa nowo powstała organizacja, uchwalono używać w całej działalności wyłącznie języka ukraińskiego i przystąpiono do pracy.

„Ukraińskie T. N.“ podzieliło się na trzy sekcje: historyczną, filologiczną i matematyczno-przyrodniczą. Pierwsza ma się zajmować historją, archeologją, etnologją, historją prawa i historją sztuki; druga — językiem, historją literatury i twórczości ludowej; trzecia wreszcie — naukami matematycznymi, przyrodniczymi i lekarskimi. Przy sekcjach zorganizowały się komisje naukowe. Działalność naukowa „Ukraińskiego T. N.“ skupiła się na posiedzeniach naukowych, odbywających się perjodycznie, w referatach publicznych i przede wszystkim w jego wydawnictwach.

W Kijowie od lat 25 wychodził miesięcznik „Kijewska Starina“. Było to pismo, głównie poświęcone historii, archeologii i etnografii Ukrainy. Zamieszczało ono mnóstwo prac z tej dziedziny, naturalnie w języku rosyjskim. Prace te, obliczone na szersze rozpowszechnienie, posiadały przeważnie charakter popularny. Poza tem „Kijewska Starina“ zamieszczała rzeczy publicystyczne i krytyczne, oraz beletrystykę — tę ostatnią prawie wyłącznie (zwłaszcza w ostatnich latach) w języku ukraińskim. Otóż zmiana warunków ogólnych wysunęła na porządek

dzienny przekształcenie tego pisma z rosyjskiego na ukraińskie, co też zostało dokonane. Miesięcznik „Kijewskaja Starina” zawieszono, zamiast niego zaś powstała „Ukraina”. Niebawem jednakże uznano za pożądane założenie czysto naukowego wydawnictwa ukraińskiego, wobec czego przzerwano wydawanie „Ukrainy” i przystąpiono do założenia „Zapisków Ukraińskiego Towarzystwa Naukowego”.

Jest to wydawnictwo, prowadzone na wzór podobnych wydawnictw innych stowarzyszeń naukowych. Trzy spore tomy, wydane dotychczas, zawierają szereg prac wybitnych uczonych ukraińskich z dziedziny historii, dziejów literatury, folkloru i językoznawstwa ukraińskiego, jakkolwiek spotykamy tu i prace, nie dotyczące bezpośrednio Ukrainy i posiadające charakter ogólniejszy.

W „Ukraińskim T. N.” pozyskano trwałą podstawę normalnego rozwoju działalności naukowej w języku ukraińskim. Natomiast zupełnie nie powiodły się usiłowania, zmierzające do wprowadzenia języka ukraińskiego na uniwersytety.

Ożywienie polityczne, jakie zapanowało w latach 1905—1906, wysunęło na porządek dzienny sprawę katedr ukraińskich w uniwersytetach w Kijowie, Charkowie i Odesie. Inicjatywę w kierunku praktycznego załatwienia tej kwestji podjęli studenci Ukraińcy uniwersytetu odeskiego. Żądania ich zostały włączone do rezolucji ogólnie studenckiej, przedstawionej Radzie uniwersyteckiej. Ta ostatnia wypowiedziała się za wprowadzeniem wykładów języka ukraińskiego, historii literatury, dziejów i geografji Ukrainy, przyczem język tych wykładów miał być uzależniony od składu narodowościowego słuchaczy. W Charkowie sprawę katedr ukraińskich zajmował się wydział historyczno-filologiczny, ale żadnych postanowień konkretnych nie powziął. W Kijowie Ukraińcy prowadzili na uniwersytecie wspólnie ze studentami Polakami agitację za ustanowieniem katedr ukraińskich, ale właśnie w Kijowie w kołach profesorskich spotkali

się z usposobieniem jak najbardziej wrogiem. Koniec końców, sprawa katedr ukraińskich zesłała z widowni wraz z całym splotem spraw analogicznych, wysuniętych w końcu r. 1905. Próby wykładania po ukraińsku, czynione przez paru profesorów (w Odesie i w Charkowie), rychło zostały przzerwane skutkiem żądania administracji.

Wogóle wprowadzenie języka ukraińskiego do szkolnictwa, tak wyższego jak i średniego, oraz niższego, pozostało dotychczas nieuregulowane. Tu i owdzie w końcu roku 1905 i w r. 1906 zaczęto wprowadzać wykład ukraiński do szkółek ludowych, powstawały nawet szkoły czysto ukraińskie, w niektórych średnich zakładach naukowych wprowadzono wykłady języka i literatury ukraińskiej, duchowieństwo prawosławne na Podolu w aktach parafjalnych uwzględniło do pewnego stopnia język ukraiński. Przeważna część tych usiłowań skończyła się jednak niepowodzeniem, i żywioł ukraiński z wykładu szkolnego na Ukrainie został prawie wszędzie usunięty. Wniosek 37 posłów ukraińskich w III Dumie (i to posłów prawicowych, popów i włościan), domagający się wprowadzenia wykładu ukraińskiego w szkołach ludowych, został odrzucony. Samo zaś domaganie się ukrajinizacji szkolnictwa — wywołało zacięte protesty ze strony reakcyjnej prasy rosyjskiej.

IV.

Pomimo to wszystko dążenie do zapewnienia językowi ukraińskiemu poważnego stanowiska w szkole jest bardzo silne i zdobywa sobie coraz większą popularność w masach. Te ostatnie coraz wyraźniej uświadamiają sobie potrzeby oświaty w języku rodowitym i zupełnie niedwuznacznie wypowiadają się za ukrajinizacją szkolnictwa, przynajmniej na razie ludowego. Zanim zaś to nastąpi, inteligencja ukraińska zajęta jest obecnie przygotowaniem gruntu dla rozwoju szkolnictwa ukraińskiego.

Przedewszystkiem chodzi o opracowanie podręczników szkolnych, których literatura ukraińska w państwie rosyjskiem dotychczas nie posiadała. Powstaje więc specjalna spółka wydawnicza „Ukrainskyj Uczytel“, która puściła już w świat szereg elementarnych podręczników, oraz innych wydawnictw, przystosowanych do potrzeb szkoły ludowej.

Jednocześnie rośnie liczba wydawnictw popularnych, czyniących zadosyć potrzebom oświaty ludowej. Wydawnictwa te obecnie już przybierają formę zupełnie normalną, gdy aż do r. 1906 ukazywały się — z małymi wyjątkami — w postaci beletrystycznej. Ponieważ nie wolno było drukować rzeczy popularno-naukowych i wogóle nie beletrystycznych, przeto autorowie i wydawcy musieli omijać ten zakaz, nadając podręcznikom fizyki i geografii, broszurom historycznym, lekarskim lub ogrodniczym, formę opowiadań o pewnej fabule, przezywanych djalogami i t. d. W tej postaci wyszło mnóstwo bardzo pożytecznych książeczek popularnych, szerzących się wśród ludu ukraińskiego. Dziś popularno-naukowa literatura ukraińska nie potrzebuje już uciekać się do podobnych wybiegów i rozwija się normalnie.

Do r. 1905 jedynym sposobem szerzenia oświaty w języku ukraińskim było wydawanie odpowiednich broszur. W ostatnich latach umożliwione zostało i zakładanie specjalnych stowarzyszeń oświatowych, które nie ograniczają się samą działalnością wydawniczą. Powstały t. zw. „Proświty“, tworzone na wzór galicyjskiego stowarzyszenia, rozwijającego od lat 40 bardzo ożywioną i płodną w rezultaty działalność kulturalną. Powstały „Proświty“ w Kijowie i w Odesie, na Podolu i w Jekaterynosławiu, w Mikołajewie i w Siedlcach. Działalność ich jest bardzo rozmaita, rozmaitym jest też i charakter „Proświt“ — zależnie od warunków miejscowych. Niektóre są bardziej postępowe, inne umiarkowanie-konserwatywne, znalazła się nawet jedna otwarcie czarnosecinna — w Siedlcach — ta jednak dość rychło zakończyła swój ja-

łowy żywot. Niektóre z „Proświt“ stają się czemś w rodzaju klubówukraińskich, inne ograniczają się do organizowania przedstawień amatorskich, reszta urządza wykłady systematyczne — dla swoich członków i dla szerszego ogółu — oraz rozwija działalność wydawniczą. Najwybitniejsze stanowisko zajmuje „Proświta“ kijowska, której praca obejmuje szerszy zakres. Wydaje ona też sporo książeczek popularnych. W ostatnich czasach daje się zauważyć wśród włościan ukraińskich dążność do zakładania „Proświt“ wiejskich. I jakkolwiek te ostatnie muszą walczyć z ogromnymi trudnościami, to jednak ruch w tym kierunku ożywia się znacznie. Powstają czytelnie ludowe, chłopci organizują przedstawienia amatorskie, popyt na książki ukraińskie po wsiach wzrasta i na tem tle rodzi się pęd do tworzenia „Proświt“ włościańskich.

Od r. 1905 produkcja wydawnicza w języku ukraińskim ogromnie wzrasta. Kiedy dawniej w rozmaitych ośrodkach Ukrainy ukazywało się rocznie najwyżej kilkadziesiąt, przeważnie drobnych, książeczek i broszur, w r. 1907 liczba ta wyniosła sto kilkadziesiąt, w roku zaś ubiegłym doszła do 220. Utworzył się cały szereg spółek i firm wydawniczych, prowadzących wydawnictwa książkowe według pewnego planu: „Czas“, „Łan“, „Ranok“, „Ukrainskyj Uczytel“, „Promiń“, „Wydawnicza Spółka“, „Ridnaja Chata“, „Buduszczyzna“, „Szlach“, „Naszi Sprawy“ i t. d. Wychodzą kompletne wydania utworów klasyków literatury ukraińskiej — Szewczenki, Kalisza i innych. Ukazuje się dużo tłumaczeń. Sam rok 1908, przyniósł dwa przekłady „Nory“ Ibsena, tłumaczenie jegoż „Heddy Gabler“, „Rosmersholmu“ i „Pani morza“, Szyllera „Wilhelma Tella“, Hauptmanna „Woźnicy Henszla“, Heinego „Księgi Legrand“, Gutzkową „Uriela Akosty“, Gogola „Rewizora“, Sudermana „Końca Sodomy“ i wiele innych.

Rośnie literatura „inteligiencka“, jeśli ją tak można nazwać, gdy do r. 1905 całe piśmiennictwo ukraińskie posiadało — z bardzo nielicznymi wyjątkami — charakter wy-

bitnie ludowy. Literatura, przeznaczona dla kół inteligencji, musi wzrastać, chociażby z tego powodu, że i sama inteligencja ukraińska rośnie. Charakterystyczną wskazówkę w tym kierunku daje powstanie t. zw. „hromad“ ukraińskich po wyższych zakładach naukowych — od Odesy i Petersburga aż do Tomsku. „Hromady“ te wykazują sporo żywotności i przyczyniają się w bardzo znacznym stopniu do uświadomienia narodowego młodej inteligencji z Ukrainy za pomocą odczytów, wykładów, dyskusji i pogadanek.

* * *

Z faktów i objawów, któreśmy pobieżnie zaznaczyli w powyższym zarysie, widać dobrze, że praca kulturalna Ukraińców stanęła już na pewnym gruncie rozwoju postępowego. Tem bardziej więc byłoby wskazaniem, aby społeczeństwo polskie zainteresowało się bliżej całokształtem życia bratniego narodu.



TADEUSZ KONCZYŃSKI: PIELGRZYMI.

DRAMAT W TRZECH AKTACH.

A k t I.

(Świetlica pełna surowego tonu. Szklane drzwi patrzą lustrzanemi szyby w dal, na wilgotną, beznadziejną noc i na rozlane, czarne tafle Wisły. W oknie, okrytem firanką wzo-
rzystą kulą się z zimna karle pelargońje i krzaki mirtu. Ci-
sza jest i noc. Wtem ktoś ostrożnie uchyla drzwi szklane,
słychać świst wichru bolesny, wyjący ponad nurtami rzeki
oszalałej i chlupot zimny, nieustanny deszczu.

Powoli wsuwa łeb KARJATYDA i nadśluchuje.

SCENA I.

KOMINEK, KARJATYDA.

KARJATYDA.

Kominek! jesteś? — Zalażłam na chwilę —
Śpisz? bywaj, stary — ciemno, wykół oczy.
Skrzesz ino ognia w swej starej mogile,
Zwanej kominkiem—uch, jak deszcz mnie moczy!
Wstajesz, niecnoto?

KOMINEK.

Spać nie dasz nikomu,
Ledwie posnęli ludzie, tyś już w domu.
Na polu twoje miejsce, dźwigać ganek,
Ogrzejesz cielsko, jak zejdzie poranek.

KARJATYDA.

Skrzesz ognia,

KOMINEK.

Patrzcie-no ją! Karjatyda!

Baba ma dwieście lat, a się nie wstyda!
Ciągnie do chłopca wskrós nocy okrutnej.

KARJATYDA.

Schowaj raz język w gębę bałamutnej.

KOMINEK.

Hulaj na pole — bogdaj cię wciórności!
Zamknij drzwi — mróz mi przeleciał bez kości.

KARJATYDA.

Cicho, cicho, staruchu —
Widać słomę masz w uchu,
Boś się wściekł.
Nie naśpisz tu się długo,
Męt okrutny szarugą
W bramie legł.

KOMINEK.

Wista stoi już w bramie?
a jak bramę przełamie,
dojdzie tu?
W imię Ojca i Syna
cosik źle się poczyna —

KARJATYDA.

Krzesz co tchu.

KOMINEK (roznieca ogień, a Karjatyda ogrzewa nagie
ręce przy płomieniu).

Wczoraj mówiłaś, że jeszcze daleko,
że ludzie tam i sam chodzą nad rzeką,

że się, jak zwykle, ma na wylewanie,
Kiedy ma Pan Bóg zbytek wody w dzbanie,
lecz że jak zwykle przezpieczno nam będzie —

KARJATYDA.

Ciebie ułapi woda a na przedzie.

KOMINEK.

Nie żartuj ino. — Mnie jak mnie, a ludzi
ułapi pierwej. Po mnie się nie trudzi.
Co jej tam grzyb! ja stary — wieki pomnę —
Paliły we mnie ogień cne umrzyki,
bywało pany, bywało i łyki,
lecz żeby wody szły takie ogromne,
nie pomnę —

KARJATYDA.

Dygotam cała — trza mi ogrzać plecy —
Bajesz, oj bajesz stary, a od rzeczy.
Jabym to mogła różne wielkie dziwy
rozmleć językiem. — Stoisz jak nieżywy —
co ci jest?

KOMINEK.

Słyszę — pluskot blisko —

KARJATYDA.

Woda całuje murowisko.

KOMINEK.

Nasze?? ha patrzaj, Karjatydo,
te wody czarne tutaj idą.

KARJATYDA.

Lizają parkan, kiedym mokła
na deszczu.

KOMINEK.

Przeszły! są w ogrodzie!
jakże ty wrócisz, by stać w wodzie?

KARJATYDA.

Ludzka mnie mocność tam zawlokła,
kamiennym kształtom dała duszę —
Wody czy piorun, ja nie ruszę,
jeno człek kiedy śpi, wpadam do cie
ogrzać ramiona w ognia złocie.
Mus to mus. Wrócę dźwigać ganek,
choć to ani mój kochanek,
ani brat. Ale ludzie śpią
i baśnie cudne sobie śnią —
hahaha — to ja tu posiedzę —
Wistę przybędzie nam o miedzę.
Hahaha — stary —

KOMINEK.

Milcz! by się nie stało!
Słyszę, jak gdyby tysiąc rąk się pchało
pod dom—bulk, bulk, bulk—słysz a to co? Wistę?

KARJATYDA.

O krzak trąciła fala — jęki — prysła —

KOMINEK.

Wróci?

KARJATYDA.

O, wróci —

A co głoszą ludzie!

KOMINEK.

Mówią, że woda zatrzyma się w trudzie
tym—że się nigdy nie zdarzyło jeszcze,
by się wylewać nie przestały deszcze.

KARJATYDA.

Człowiek człowiekiem —

KOMINEK.

Znowu! słyszysz? pluska.

KARJATYDA.

To tak uderza o wód łuskę łuska.

KOMINEK.

Pssst—po gościńcu trzeszczą koła.
Jadą tu — pani służbę woła —

KARJATYDA.

W taką głuszę — w taką noc —

KOMINEK.

Na powietrzu czuję moc.
(gasi ognisko i znika w kominku. Karjatyda wy-
biega na ogród. Chlupot i deszcz i wichru ostry
świst).

SCENA II.

MATKA, SŁUŻĄCA, RAFAŁ.

MATKA.

Słyszałaś turkot, co?

SŁUŻĄCA.

Przysięgnę na to —

MATKA.

Byłam już pewna, że to Rafał jedzie,
a teraz znowu cicho ku mej biedzie.

SŁUŻĄCA.

Ano już woda stoi zwyż za chatą
Marcina — pewnie na gościniec włązi.
A zaś po wodzie jedzie się jak w mazi.
to i zwolnili.

MATKA.

Boże — co za pora!
W taki czas wracać do nas z zagranicy —
deszcz leje, ciemno.

SŁUŻĄCA.

Ponoć jakaś zmora
wylazła z Wisły i hen naród licy....

MATKA.

Bajki powtarzasz — błysnęła latarnia.

SŁUŻĄCA.

Dyć prawda! suną! woda ich zagarnia!

MATKA.

Cicho! (otwiera drzwi szklane)
Rafale!!

SŁUŻĄCA.

Świeca pani zgaśnie!

RAFAL.

Mamo!

SŁUŻĄCA.

Przyjechał! teraz pani zaśnie.

MATKA.

Chodź, chodź, deszcz leje —

(Wchodzi Rafał w szarej pelerynie).

MATKA (odbiera od niego walizkę).

Nieś to do pokoju
pana.

(Służąca wychodzi z walizką).

RAFAL (zrzuca pelerynę).

Mateczko!

MATKA.

W takiej męce! znoju!
W taki czas do mnie! Rafale, Rafale
nie wierzę jeszcze, żeś to ty! o wcale
nie wierzę! list twój otrzymałam rano —

RAFAL.

A ja mateczkę widzę zapłakaną.

MATKA.

W taki czas zjeżdżasz, po dwóch latach prawie
nieobecności — w co ja cię oprawię,
w ramki, czy kwiaty — ?

RAFAL.

Moja złota mamó —
taką zegnałem cię, widzę tę samą.

MATKA.

Wypatrywałam ciebie nieustannie
i tak modliłam się Marji Pannie,
by mi wróciła syna, że наконец
przyszedł od ciebie cudowny list-goniec.
Chodź, moje chłopię — niech ci się napatrzę
Zmienionyś, czy też ten sam, dawny dziwny...

RAFAL.

Kiedym wyjeżdżał stąd, byłem naiwny —
I ja myślałem, że pamięć się zatrze —
Jeździłem, matko, jak jest świat szeroki —
oczy topiłem w morzu rozszalałem,
w ognistych gajach smutek zgubić chciałem,
lecz wszędzie rozpacz szła tuż w moje kroki —

MATKA.

Napróżno zatem?

RAFAL.

Napróżno uciekłem —
Nie będę tał prawdy, matko droga —
ból, co był, stał się cierpieniem przewlekłem —
żyć albo umrzeć, to ta sama droga.

MATKA.

Boże! dwa lata całe! a myślałam,
że wrócisz inny, odmłodzony, jasny
i jakieś światło wniesiesz w ten kąt własny,
kwiaty bieluchne! — czyż tak dużo chciałam?

RAFAL.

Niewiele, matko, lecz wszystko napróżno —
Przeszłość szła za mną, pamięcią usługną,

Dnie przemijały na obczyźnie,
Jak księżycowych nocy zmiany,
Każdy blask nowe sieje rany,
Każdy mrok nowym bólem bryźnie —
I tak bez końca — wracam zatem

MATKA.

Sam sobie katem —

RAFAL.

Matko, o matko, wierz w to jedno,
że Salomea była biedną —

MATKA.

Samobójczyni i fantastka!
Ledwie błysnęła lada gwiazdka,
biegła jak w dym za mirażami,
choćby wiedziała, że się mami.
Utopić się i wyznać w liście,
że się zawiodła oczywiście!
zawiodła! na kim! taki kres!
iść na dno, zgnić, jak lada pies —

RAFAL (po długiej chwili).

Kochała mnie —

MATKA.

Kochała? ciebie?!

Myślałam dotąd, że przeciwnie,
Że tylko ty — ja — a to dziwnie,
Wygląda — kto skazuje siebie
na śmierć, gdy daje nam wzajemność?
Po co więc cała ta tajemność??
Tego już całkiem nie pojmuję —

topi się w Wiśle a miłuje?
W czym tkwi przyczyna?

RAFAL.

Nie wiem, nie wiem.

Ta myśl mi w sercu usiadła zarzewiem —
Ledwie zdeptam ją, tli się, rozpala
i znów wybucha, jako ognia fala.
Ta myśl, jak widmo, w dzień, w nocy i zrana
staje mi w oczach i patrzy surowo.
Daj mi odpowiedź, matko, a kolana
wyklęczę tutaj, lecz powiedz to słowo!
Wiem, wiem, nie powiesz nic —

MATKA.

Rafale,

kto kocha bardzo — kocha stale —

RAFAL.

To rzecz zwyczajna, lecz są inne
rzeczy, mniej zwykłe i mniej gminne.
Czasem myśl czyjaś wylata za płoty,
choćby na płotach tych siadał blask złoty
i leci dalej — mierzy głębiej —
Matko — —
jeżeli kto ma taki lot jastrzębi —
Matko — — — —

MATKA.

Nic nie mów —

RAFAL.

Taką była ona —

Mówią, że kto ma w oczach głębie, skona — —
Więc śmierć wybrała w Wiśle —

MATKA.

Ot, co to znaczy myśleć niezawisłe!
Samobójczyni — nie mam dla niej względów.
Ona należy do tych istot rzędów —

RAFAL.

Zaprzestań, matko — — —
Śmierć zamykacie i życie rogatką??
— — — — —
Rzecz dziwna. Wracam w taki czas,
jaki raz śnił mi się nad morzem —
ciemność i woda — i krwi pas —
odmęt wskrzeszony słowem bożem,
jak na początku świata —
i ta nad brzegiem nasza chata
i Salomei cień —

MATKA.

Boże —

RAFAL.

Patrzę w okno —
Wiatr, deszcz — na deszczu wierzby mokną —
— — — — —
Pod dom nasz tyle razy wody
cisnęły się
i znów kurczyły swoje chody,
by kłaść na dnie swój szal. —
Tyle razy
Biły fale w fundamentów głazy,
a dom nasz stał. —
Były lata,
że potop zdał się iść z za świata
a dom spokojnie stał.

Sfinks.

Patrzył szybami na te głębie,
Co urodzone na wyrębie
prastarych lasów, w skalnych hutach,
pośród zawieruch, w deszczu plutach,
łamały drzewa w sadzie tak, jak trzciny,
i na próg kładły muł, pianę i śliny —
— — — — —

Czy tak dom potrwa nam wiecznie
I mur i dach zachowa się bezpiecznie?
— — — — —

Idą kry,
Świejące pośród nocy
jak białym brzuchem świecą zdechłe ryby,
a z chmur przemocy
leją się łzy
i gnają w wszechświat czarnych nurtów szyby.
Matko, czy nam się dom ostoi?
Czy też wybierze losy Troi
i legnie —
i nic już jego śmierci wtenczas nie zażegniesz?

MATKA.

Rafale,
skąd ci się wzięły te skargi, te żale?
Mało, żem oczu swych nie wypłakała
za tobą, wierząc, że wrócisz mi radość!
Moja nadzieja zawisnęła cała
W trwożnem czekaniu, że raz uczynisz jej zadość,
a tyś mnie zawiódł bez litości.

RAFAL.

Matko, minęły dawne dni —
nie rozumiemy się.
Chciałaś mnie widzieć, matko, w barwach kwiatu,
Chciałaś, bym szczęście wydarł tajniom światu

i kwitł, jak narcyz biały,
syty, słoneczny, pełen woni cały.
Nie rozumiemy się —
Wmawiałaś we mnie od zarania
dni moich, żem powinien piąć się w górę
i łaknąć szczęścia, jako deszczu kania,
i pod nogami mieć słońca i chmurę,
co je zasłania —
chciałaś mnie widzieć w bogactwach, rozkoszach,
może w purpurach,
jak indyjskiego króla na złożonych noszach
i czyniącego wybór w pięknych córach
ludu —
Matko, pragnęłaś dla mnie cudu
i tem zabiłaś mnie.

MATKA.

Rafale, taki zarzut straszny.

RAFAL.

Zabiłaś matko! przez cię wpilem oczy
w blask, który tylko dusze mroczy —
Blaskum pożądał, a rubaszny
śmiej miałem dla tych, co szli w życie cisi —
i tak kształciłem w sobie ów wzrok rysi,
skokiem będący tuż tam, gdzie jest połów —
tak było —
lecz przeto moja dusza spadała jak ołów
na dno i tylko cierpienie w niej było —

MATKA.

Dość, dość, nic nie wiesz! ja chciałam cię leczyć!
przed niewczesnymi porywami,
przed sercem, co się burzy i krwią plami,
pragnęłam syna zabezpieczyć! —

Nasz ród
 Wyginał, jako jeden mąż, na służbie —
 twój dziadek zgnił na Sachalinie,
 Ojciec twój dłużnym nie pozostał wróżbie
 ale kuł kruszec młotem w szarej minie —
 twój stryj miał na swym dworze krwi aż w bród —
 i na kimże miał się skończyć śmierci chód,
 na tobie?! bogdaj nigdy moje oczy
 nie doczekały tego!

RAFAL.

Świat się toczy,
 matko, i wiecznie ku słońcu się zwraca.
 Matko! ból zabił w tobie dumne serce
 i na tem sercu postawił oszczercę,
 który ofiarność jak rachunki skraca
 i krzyczy, że w tych grobach leży próchno!
 Matko, ja czulem skrzydła u mych ramion
 i słuch tężyłem, ażali nie gruchną
 wieści ogromne i nie dojrzę znamion
 świetlistych, chorągwianych. Dziecko miało skrzydła,
 a tyś mi powiedziała matko: „to mamidła!“
 i tak zabiłaś mnie!

MATKA.

Czy ja na jawie jestem, czy też w śnie?

RAFAL.

Przeknij, lecz słuchaj, bo wysłuchać musisz —

MATKA.

Rafale — wierz mi — słowa matki święte —
 przeszłość i przyszłość, dwa światy rozcięte.

RAFAL.

Zaprzestań, matko! ty mnie kusisz!
 Nie serce mówi przez cię, ale trwoga —

MATKA.

Idź precz!

RAFAL.

Wysłuchać musisz — dotąd jeszcze
 nie wiesz, jaki ja krzyk w słowach pomieszczę
 i jaka pójdzie z mej duszy pożoga!

(obejmuje ją za kolana).

MATKA (przeżrana odgarnia mu włosy z czoła).

Wszystko to samo—słyszałam, widziałam —
 Wszystko to samo — takiś, jak i oni —
 ojciec tak samo wołał, choć płakałam —
 twój stryj stał w krwi, a wołał: do bronii!
 Boże! wierzyłam, że dla mnie ocalisz
 syna, a Ty w nim, Boże, ten sam ogień palisz!
 (wybucha płaczem).

RAFAL.

O, nie płacz matko. Ocalił ci syna
 Bóg! jeśliś tylko tego zapragnęła,
 Bóg mnie ocalił — haha — dobry Bóg — —

— — — — —
 Matko! tyś duszę wzięła mi i zmięta
 jak płótno!!

Ale to twoja wielka wina,
 boś mnie znać nauczyła tylko jednej z dróg —
 małości, jakże byłaś mi okrutną —

— — — — —
 Ja i Salomea—nicość i kobieta.
 Czyś ty słyszała, matko,

aby w kim miłość zbudziła twarz kreta?
twój syn to kret!
a kret wypelza na światło tak rzadko — — —

MATKA.

Rafale—czyli nie dość moich bied?
Ulituj się —

RAFAL.

i będę rył pod ziemią ganki —
Wieczorem będę pił — na kartach trawił ranki —
i tak z dnia na dzień wciąż niezmiennie —
Hahaha —

MATKA.

Ulituj się —

RAFAL (patrzy w nią długo).

O matko, matko —
będziesz płakała, widać, tak codziennie.

— — — — —

Przebacz! (przypada do jej kolan)

Ja taki mały, proch na drodze
Nie bój się — nie ulecę zbyt daleko —
czasem mam piekło w sercu, płonę srodze,
lecz to żar słomy —
choćby padały gromy
zostanę z tobą, bom w duszy kaleką — —

MATKA (tuli jego głowę do siebie i całuje).

SCENA III.

Ciż, SŁUŻĄCA, WÓJT, SEKRETARZ. MARCINOWA.

SŁUŻĄCA (wpada z bocznych drzwi).

Proszę pani — pan wójt idzie —
chce się z panią widzieć —

MATKA.

Prosić.

Co za wieść może przynosić?
w taką porę — w takiej bidzie —

WÓJT.

Dobry wieczór — ja na chwilę.
A! pan wrócił z zagranicy?
Robię przegląd okolicy.
Jużem uszedł tęgą milę.

MATKA.

Proszę usiąść.

WÓJT.

Dzięki, dzięki,
jak po ogień tylko wpadam,
kilka pytań państwu zadam —
A to czasy, a to męki —
Wiecie państwo, brzeg podmyty —

MATKA.

W imię Ojca, Syna, Ducha —

WÓJT.

Niechno pani jeno słucha —
nic wielkiego! te kobity

zaraz zrobią z igły widły.
 Brzeg podmyty zwyż Marcina —
 ot powoli leżć zaczyna
 z wodą. Haha — bo mu zbrzydły
 widać baby, co, rok rocznie,
 ledwie słońce grzać nam pocznie,
 już się kąpią, już się pluszczą
 i po brzegu pną się, łążą.
 Dość, że teraz całą tłuszcza
 wałą wody na nas wrażo — —
 Ale, ale, co mówiłem?

RAFAL.

Brzeg podmyty —

WÓJT.

Dzięki, dzięki —
 pan wyborny do wyręki.
 Otóż ja tam kołek wbiłem
 przed godziną zwyż Marcina —
 No i kołek starowina
 dojrzał widać karpia w rzece,
 bo ukłonił się opiece
 i dał nura. Kołka niema
 no i brzeg się też nie trzyma.

MATKA.

Panie wójcie, co to znaczy?
 Niech pan powie prawdę całą.

WÓJT.

Nurt nam wytnie finę małą,
 może brzeg nam przepokraczy —
 nic wielkiego — tylko trzeba,
 niby wartoby pakować,
 trochę rzeczy przenieść, schować — —
 chyba, że kto chce do nieba
 na gwałt poleżć —

MATKA.

Panie wójcie,
 nad nami się ulitujcie! —
 czy być może, takie wody?

WÓJT.

Niebywałe, pani miła.

MATKA.

Jeszcze nigdy żadnej szkody
 Wisła mi nie uczyniła.

WÓJT.

Ja nie twierdzę — ja z urzędu
 chodzę wszędzie wraz z pisarzem.

MATKA.

Jestem blizka już obłędu —

WÓJT.

Ależ my nic nie nakazem —

MATKA.

W imię Ojca, Syna, Ducha —

WÓJT.

Ha nadeszła snąć godzina.

MATKA.

Może Bóg się udobrucha.

RAFAL.

Panie wójcie — pan drzy widzę —

WÓJT.

Djabli wzięli mi stodołę,
Stajnię, chlewek, wezmą szkołę —
Popłyniemy tak, jak rydzel

(Krzyk za domem). Ludzie, ludzie! na ratunek!

WÓJT.

Kto tak krzyczy?

Krzyk. Ludzie! ludzie!

(wpada Marcinowa, pada do nóg Matce).

MARCINOWA.

O najmilsi! na rabunek
Idzie Wisła! com ja w trudzie
zarobiła, weźmie wszystko!
Poratujcie!!

WÓJT.

Marcinowa,
Ja tu jestem gminy głowa.
Marcin doma?

MARCINOWA.

Spił się —

WÓJT.

Bić go!

MARCINOWA.

Kiej z rozpaczy —

WÓJT.

Woda w domu?

MARCINOWA.

Weszła — złodziej — pokryjomu —
poratujcie —

WÓJT.

Coraz gorzej.

Idźże pan, panie pisarzu,
maczaj pióro w kałamarzu
i ślej pismo, tylko skorzej —
niech starostwo da pionierów,
ale żadnych maruderów.
Ja zaś skrzyknę ludzi trocha —
(do Marcinowej)
Idźcie naprzód — Państwo skoro
uciekajcie przed tą zmorą.
Ano człowiek to proch z procha.

(Wychodzą).

MATKA.

Nie wierz im — nic złego niema —
brzeg wysoki! tutaj woda
nie dopłynie, gadać szkoda.
Bądź jak bądź z dziewczkami dwiema
coś tam nie coś zwiążę, złożę,
tylko ty się nie trap — (wychodzi) Boże!

SCENA IV.

RAFAŁ.

RAFAŁ (idzie ku drzwiom szklanym).

Dokoła morze rozszalałych wód —
dom nasz, jak wyspa, która zwolna tonie,

aż wreszcie skryje pod nurt czarne skronie
i zamknie pasmo złud.

A potem co? jakiego kształtu
nabierze złuda zmarła?

czy poszarpana ręką gwałtu
zacznie żyć życiem karła
i dalej ludzić będzie duszę głupią,
udając słońce twarzą trupią?

— — — — —

Witam cię, nocy, pożądana skrycie!
W huku fal twoich słyszę pieśń konania —
starczysz mogiłam wszystkim na przykrycie
swą głębią, z której nicość się wyłania.

(wicher gwałtowny otwiera drzwi szklane, wydyma
firanki—za nim wpada bełkot wody, plusk deszczu
i skowyt).

Jesteś i żyjesz, rozszalała zgubo!
czemże się staniesz? jeszcze jedną próbą,
czyli też końcem prób,
sądem ostatnim,

gdy wszystko, człowiek, naród, duch w uścisku bra-
zwali się w jeden grób, — — — ? [tnim

— — — — —

Czemkolwiek będziesz, już mnie nie oszukasz,
nie pozostawisz w sercu z męką

i po raz drugi po mnie nie zapukasz,

bo ja się dotknę twojej głębi ręką

i powiem: bądź mi pozdrowiona! —

O matko, żegnaj — czas już na mnie wielki —

tyś mnie tuliła dzieckiem do swojego łona,

dzisiaj na łono wspólnej rodzicielki

idę — nicości — — —

O głębio, w której spokój gości,

o śmierci słodka, bądź mi pozdrowiona —

(w tej samej chwili nad głębiną wód wybucha słup
światła w górę).

GŁOS OGROMNY.

Stój, nieopatrzny!!

Zanim wybierzesz własną drogę

stój i bądź baczny — —

Ja cię oświecę! chcę, bo mogę!!! (słup gaśnie).

RAFAŁ (odurzony wichrem i ośmiony światłem co-
fa się do sali).

Kto woła na mnie? czyj to głos?!

Jaka potęga twórcza? Bóg czy los — ?!!

(rzeka poczyną świecić wierzchem)

Po falach ognie chodzą —

czyli to duchy brodzą,

czy tylko głębie wierzchem świecą

i tak swą moc zniszczenia niecą??

(z rozszalałej głębi dolatuje go hymn, coraz bar-
dziej potężny).

HYMN GŁĘBIN.

Zalejmy, zalejmy świat

od gór po mórz krawędzie

i niechaj toń się rozsiędzie

tam gdzie się plenić śmiał lechicki gad.

O zmyjmy, o zmyjmy precz

z powierzchni ziemi naród,

w którego krwi jest światła zaród —

przecz on zwyciężyć miałby ciemność, przecz?

(hymn w dali cichnie).

RAFAŁ.

A zatem koniec wszystkiemu, co żyje —

wszystkim wspomnieniom i krwi hekatombie —

a więc ostatnia już godzina bije
i śmierć wśród żywych pustynię wyrąbie.
Przeczułem ciebie, chwilo niewzruszona,
w marzeniach duszy, w czuciach wyobraźni —
niech więc się skończy ból, co serce drażni,
i to, co męką jest, niech raz już skona.

(chce wybiec w głąb — ale na ganku staje widmo
Salomei w czarnej sukni, z rozpuszczonymi włosami).

SCENA V.

RAFAL, SALOMEA.

SALOMEA.

Stój!

RAFAL.

Salomeo! tyżeś jest, kochana?
czyżby mię mylił wzrok lub słuch?

SALOMEA.

Jam jest, Rafale, niegdyś tobie znana,
a panem moim teraz on, Król-Duch!

RAFAL.

O drogie widmo, śnie spełniony —
czyliż opadły już zasłony,
co oddzielają śmierć od życia,
od snu martwego serca bicia,
że mogę objąć ciebie wzrokiem,
ciebie, coś tam na dnie głębokiem
obrała sobie ciche leże?
o mów, o mów, bo nie uwierzę.

SALOMEA.

Rzekłeś — w tej smutnych tchnień godzinie
Śmierć idzie z życiem po głębinie.

RAFAL.

A więc mię prowadź w swoje ślady,
uczyn mi słodką zgonu chwilę —
niech mnie nakryją wodospady,
co pękły w krzyż na twej mogile.

SALOMEA.

O, nie požądaj mego losu,
bo ten się zrodził ze zwątpienia,
kto zaś żyw jeszcze, nakształt kłosu
niech blask słoneczny w ziarna zmienia.

RAFAL.

A ty nieszczęsna cóżeś uczyniła,
choć w twojej piersi wrzała pragnień siła?
przecz to się stało, żeś rzuciła ziemię
i mnie rzuciła i swego rodzica?

SALOMEA.

Przecz to się stało, pytasz mnie?
Bom raz ujrzała w ogniu twoje lica,
konia pod tobą i rycerskie strzemię,
wicher, co dęby gnie —
i usłyszałam tentent przez powietrze
i krzyk ogromny, że twój duch śmierć zetrze
z narodu i na przestrzeniach zawisnie,
jak ranny świt, i słupem ognia błysnie!
Takim w marzeniach pokochałam ciebie,
a w tobie razem przyszłość narodową.
Czekałam, czy się w rycerskiej potrzebie

nie dźwigniesz i nie padnie z ust twych słowo —
czekałam długo — —

RAFAL.

I daremnie.

SALOMEA.

Więc mi na oczach siadły ciemnie
gniewu i ból, co serce kęsa
i z białych kwiatów się natrzęsa.
Miałam kochanką tobie być i żoną,
by żywić pamięć o tobie spodloną?
i miasto wodza zakutego w błyski
miałam grzać trupa i żal zjadać z miski
dzień po dniu? takbym miała upaść nisko?
Wybrałam śmierć i w Wiśle cmentarzysko.

RAFAL.

Teraz wiem wszystko, a myślałem,
że czyn twój wstydem był lub szaleństwem.

(pada jej do nóg).

Przebacz nędznemu — jestem tylko prochem
u twych nóg —
czemże mam spłacić, czy dziecinny szlochem
taki dług? —

Kochałaś skrzydła mego ducha,
a moc mych skrzydeł była krucha —
kochałaś ogień mojej wiary,
ogień zgasł — popiół został szary —
z młodzieńczych snów, z potęgi lwa
wyrosły śmieszne widma dwa.
Wszystko prysnęło tak, jak w śnie...
a wiesz, kto zabił mnie?
Matka, hahaha! własna matka!!

SALOMEA.

A ja kochałam ciebie do ostatka.

RAFAL.

Kochałaś mnie!
a zostawiłaś, jako krzak złamany,
w którym ratunku krzyczą nieme rany.
Kochałaś mnie!
Patrz! wszystko przeszło, jako sen znikomy —
z wielkich idei zostały atomy,
które ta burza, idąca przez światy,
zmiecie i rzuci między katy.
Czemże jest człowiek?
czem są idee wobec niej?
czy żyć lub umrzeć można lżej?
Nicość jest wszystko — w nicość wierzę —
nicość mi dała życie — nicość bierze.

(Hymn głębin poczyna znowu rosnąć).

SALOMEA.

Nieszczęsny, któż więc będzie owym,
co błysnie mieczem piorunowym
i w blask pancerny pierś uzbroi
i lud obudzi w śpiącej Troi?
Słyszysz ten dziki hymn odmętu,
co łaknie zguby twego ludu,
a tyżeś zczeznął tak do szczytu
że wziąć nie zdołasz na się trudu
zbawienia?

RAFAL.

O Salomeo — inne męża
wołaj i inne budź oręża —
może śpią w piersiach pokolenia —
jam pył! —

SALOMEA.

Słysz, rozbudzone moce gwałtu wstały
z pól bezprzestrzennych, z gór, z podziemnych żył
i zalewają bezmiar cały.

Jeśli na Kraków runą,
co świeci okien luną,
i nikt z żyjących nie ubiegnie
ich pędu i z krzykiem na zamku nie legnie,
ze snu lud budząc i z zabawy,
jeśli nie znajdzie się jeden mąż prawy,
kim będziesz ty — ??

RAFAL.

Salomeo, nie mów o tem,
bo moje czoło rosi potem
i w oczach stają łzy —

SALOMEA.

O płacz, bo za mną duchów tysiące
rozpina skrzydła do lotu —
pójdą na Kraków ciche obrońce
w tęsknem pragnieniu powrotu.
Wszystko, co legło w sarkofagach,
co skamieniało w rapsodzie,
co kształt mityczny przywdziało w sagach
i pieśnią żyje w narodzie,
wstało i krąży nad brzegami Wisły
i krzyk podnosi tam, gdzie wały przysły.

RAFAL.

Przestań, szalona, mówić, bo tu padnę
bez zmysłów, lub ci z piersi głos wykradnę
i pójdę żywych straszyć —

SALOMEA.

Rozpłomienione owe duchy
dom twój obległy, jak łańcuchy —

RAFAL.

Jak dziki zwierz
pójdę się zaszyć
w gęstwinę — —

SALOMEA.

Sam w siebie wierz,
a zmażesz winę!!!

(znika — nad wodami bucha słup światła).

GŁOS OGROMNY.

Zywych do czynu wołam!
z siłą padalczą
piers w piers niech walczą!
Co zmarło, wskrzesić zdołam!!

RAFAL.

Przebóg! ten sam znów głos!
Kto jesteś, przemów! Bóg, czy los?
światło czy ruch?!!

GŁOS OGROMNY.

Jam jest Król-Duch!! —

(słup światła znika).

RAFAL.

Hahaha—obłąd! mózg mój tańczy z domem!!
Jeśli Król Duch, to bij we mnie gromem!!

(pada bez zmysłów — chór zniszczenia rośnie).

SCENA VI.

KARJATYDA, KOMINEK, RAFAŁ.

KARJATYDA (wpada z głębi).

Bywaj, staruchu.

KOMINEK.

Cicho, cicho —

Ludzie są w domu.

KARJATYDA.

Bierz ich lichu.

Wody okropne, kry lodowe
 tłuką swe łby o moją głowę —
 słysz, po ogrodzie duchy błdzą.
 Uciekać!

KOMINEK.

Dokąd ludzie rządzą.

KARJATYDA.

Nikt już nie rządzi — wszystko drży
 śmierć jak pluta wkoło mrzy.
 Uciekaj ze mną — ktoś tu idzie —

KOMINEK.

Uciekać stąd? o łzy, o wstydzie!

KARJATYDA.

Dygotam z trwogi — ta pieśń dzika
 wskroś całe ciało mi przenika —
 uciekać!!

KOMINEK.

Dokąd?

KARJATYDA.

Jakie wody
 walą przez ziemie bez przeszkody! —
 w świat! w świat!

KOMINEK (następuje na Rafała).

Ho, człowiek!

KARJATYDA.

Niechaj ginie
 w tej tajemniczej, złej godzinie.
 (uciekają — grają fanfary).

SCENA VII.

KRÓL-DUCH, RYCERZE.

(we drzwiach szklanych staje Król-Duch w słupie
 światła).

KRÓL-DUCH.

Oto na progu stanęliśmy chaty,
 gdzie jak winograd rośło chłopię w laty.
 Oto tu ludzie mieszkali zaciszni
 pośród jabłoni, bzu i białych wiszni —
 Więc rzekłem — niechaj blask mojego miecza
 padnie na chatę, z słońcem się posprzecza
 i świeci oczom latorośli młodej,
 bo ją powołam w rycerskie zawody.

Burza złamała mi latorośl ową
i zaszczepiła jad w krew purpurową
Ale żyw będzie.

(Opiera koniec miecza na jego czole).

Orłom podniebnym równy w lotu pędzie
powstanie mocen na duchowe boje —
i patrzeć będą nań piastowe woje
z miłością w sercu i ze łzami w oku,
widząc go w ogniu i dymów obłoku.

— — — — —

Idźmy, on wstanie — my idźmy na Kraków,
bo czas już dobyć chorągwianych znaków
i poprzez miasto przejść w ogromnej chmurze
i u bram grodu poustawiać stróże.

(Odchodzą — na ganku zjawiają się Upiory wodne,
które wyskakują z fal wśród błysków).

SCENA VIII.

UPIORY WODNE, NIEZNANY, RAFAL, SALOMEA.

UPIÓR I.

Brr — jak zimno — piany, wody
pełno w uszach mam.

UPIÓR II.

Mnie się nabił żwir do brody —

UPIÓR I.

Haha! bywaj sam —

UPIÓR III.

Jestem! Krzyże mam pobite —
Głazy walą dnem —

UPIÓR IV.

Haha — tusze wyśmienite —
prułem fale łbem.

UPIÓR I.

Dalej, dalej, świećcie żywo —
Hola zniżcie oczy rybnie —
człowiek leży w tej sadybie.

UPIÓR II.

Jakie on ma w oczach szkliwo.

UPIÓR III.

Człowiek, człowiek! żywy jeszcze —
ciepły — hola — dajcie kleszcze
hahaha — a to biesiada —

UPIÓR IV.

Słuchać, słuchać, on coś gada —

UPIÓR I.

Przyłóż ucho mu do piersi,
ludzie milczkiem są najszczerzi.

UPIÓR II.

Cicho — szepce — „służba boża” —

UPIÓR III.

Hahaha, dawajcie noża —
wepchnę w serce, aż krew bryźnie.
On coś marzy o Ojczyźnie.

(wpada Nieznany w czarnej masce na twarzy w ol-
brzymim kapeluszu, owinięty w potworną pelerynę).

UPIORY.

Nasz pan, władca —

UPIÓR I.

W pół się gnę.

UPIORY.

Nasz pan i kat —

UPIÓR II.

Padam, drzę —

NIEZNANY.

Precz od niego!
Król-Duch na nim miecz położył,
zatem ten, co padł, już ożył.
Wielkie duchy tych zwłok strzegą.

UPIÓR III (w przerażeniu).

On bełkotał o Ojczyźnie

UPIÓR II.

Będzie bronił swoje bliźnie.

NIEZNANY (rozwiija harap i strzela).

Precz stąd! w drogę do Krakowa —
wielka czeka nas odnowa

gruz na gruzy trzeba zwalić —
co zostanie, zalać, spalić.

(Wypadają — obok Rafała zjawia się Salomea
z latarką).

SALOMEA.

Wstań i chodź —

RAFAŁ,

A, tyżeś przy mnie?

Szum mam w głowie — jakieś mary
przeleciały tłumnie, dymnie —
w uszach grają mi fanfary.

SALOMEA.

Chodźmy, chodźmy, służba woła —

RAFAŁ.

Ktoś się dotknął mego czoła.
(Wychodzą).

KONIEC AKTU I.



ADOLF STRZELECKI.

POWIEŚĆ POLSKA

(1908/9).



II.

Poezja jest wszędzie.

Tak samo, jak wielu za poetów się uważa i poetami nazywa, choć nimi nie są wcale, tak też i wielu jest takich, co poetami są istotnie, a o tem nie wiedzą zgoła i zdumieni byliby srodze, gdyby ich tem mianem nazwano, — gdyby im powiedziano, że czyni ich i życie — to poezja. Są, jak ów Beniowski, „biedaczek“, o którym powiada Słowacki, że „brakło mu formy gotowej; nigdy się w myśłów dzwon nie rozkołysał“ i nie wie wcale, że „poezja go otacza“.

Poezja jest wszędzie.

Jest poza człowiekiem i jest w nim samym. Jest i tam, gdzie gra namiętności wielkich i porywów szalonych. I tam, gdzie bezimienne cierpienie i bezimienna radość maluczkich, którzy do wielkiej myśli, wielkiego czynu niezdolni. I jest zawsze tam, gdzie jednostka, duch silny, płomienny, śmiały, pragnie wyjść poza powszedniość, wzrość ponad strychulec przeciętności, choćby najartystyczniejszymi pozorami osłoniętej, — pragnie dokonać czegoś, co niezwykle, stawia życiu swemu cele i zadania wysokie i dalekie, ideały świetlne i wzniosłe, a ku tym

celom dąży z napięciem całej energji, na jaką zdobyć się może, z niewyczerpanym zasobem zapалу, wiary, wytrwałości, walcząc z wszystkimi przeszkodami, które mu stoją w drodze.

Mniejsza o to, czy za życia przechodząc przez piekło, jak odynieć ogarom, ogania się przeciwnościom, co nań czyhają i pada wreszcie zwyciężony, — czy też, zwycięski i tryumfujący, staje u mety, którą sobie postawił i używa pełni mocy i radości zwycięstwa. Mniejsza o to, czy ideały jego i cele, przepuszczone przez alembik kanonów wytwornej estetyki dostojnych arystarchów, wydadzą się snobom „poetyczności“ zbyt trzeźwe, pospolite, prozaiczne, godne określenia, które z innych zupełnie przyczyn Ernest Hello pogardliwie rzucił Lafontaine'owi: *C'est bas*.

Poezja nie jest li tylko tworzywem, z którego czyni się kunsztownie cyzelowane, parnasowskie sonety i miernie wymuskaną prozę. Istnieje ona sama w sobie, poza wszelką literaturą i sztuką. Jest kosmiczną, wszechobecną siłą, tak samo jak elektryczność, istniejąca poza wszelkimi dynamomaszynami i lejdejskimi butelkami i niezależnie od nich. Tak też istnienie poeji nie zależy wcale od istnienia poetów, którzy są, bądź co bądź, zjawiskiem wtórnem.

W niesłychanej odległości od wszelkiej literatury, po różnych zakątkach olbrzymiego globu ziemskiego, wszystkimi nerwami wyczuwają istnienie poezji ludzie, którzy nie przypuszczają wcale, że to, co im daje najwyższą radość i szczęściem rozgrzewa ich życie, niczem innym nie jest, jak — poezją. I na tem właśnie niewyczerpalnem bogactwie poezji w niezmierzonych, poza literaturą istniejących dziedzinach życia, budować można nadzieję, że choćby świat jeszcze bardziej niż obecnie uprzedmyślił się i uhandlowił, jednak poezja nie zamrze i nie zaniknie nigdy i wedle Schillerowskiej przepowiedni, z ginącego świata *zieht als der letzte Dichter, der letzte*

Mensch hinaus, w ostatnim człowieku, zejdzie ostatni poeta.

Poezja jest wszędzie; zawsze ta sama w swej istocie. Zmienna jest tylko zewnętrzna forma, w której w życiu szuka jej każde pokolenie, każda epoka. W czym innym znajdował ją „błędny rycerz“ średniowiecza, walczący o honor damy swego serca i średniowieczny mnich w Klu-niaku i średniowieczny złotnik, którego Heredia uwiecznił w cudnym sonecie. W czym innym znajdował ją renesansowy człowiek, czy nim był machiavelski *principe*, okrutny i chytry, a rozmiłowany w pięknie przepysznych arrasów, rzeźb, obrazów i kobiet, czy dający folgę każdemu porywowi namiętności Benvenuto Cellini, czy fanatyczny Franciszkanin, czyniący Chrystusa królem stolicy nad Arnem. W czym innym pełny niewyczerpanej *joie de vivre*, Casanova, co w pogoni za przygodami, a przede wszystkim za kobietami, przeleciał wzdłuż i wszerz całą Europę, i wersalski dworak Richelieu, co w osmdziesiątym roku życia szukał jeszcze erotycznych przygód, i zimno rozpustny awanturник Lauzun. W czym innym szukający filozoficznego kamienia alchemik i chcący przetrworzyć świat cały, ludzkość całą — Rousseau. W czym innym znajdował ją idący kolumbowym szlakiem na zdobycie nieznanych ziem konkwistador, w czym innym Newton, czy Keppler, wpatrujący się w bezmiar gwiazdnych przestworów, w czym innym Marat, Robespierre, czy Fouquier de Tinville, szlący z rozkoszą setki ludzi pod nóż gilotyny.

W czym innym tkwi poezja życiowa barskich rycerzy, Pułaskiego. Kościuszki; w czym innym poezja życiowa napoleońskich wiarusów, co, zapatrzeni w swego fety-sza w szarym płaszczu, przymierali głodem i krwawili ofiarną posoką obce ziemie, — na marne. Inna jest prze-sycona żalem, tęsknicą, melancholją poezja życiowa tej pierwszej emigracji, co z Mickiewiczem i Słowackim, statystami i wodzami listopadowego powstania na czele, na obcej ziemi trawiła dni swoje w beznadziejnym czekaniu.

I mimo wszelkich podobieństw inna była poezja życiowa następnego pokolenia, które pod bezpośrednim wpływem tamtego wyrosło, romantyczne, mierzące siły na zamiary, wierzące święcie, iż

taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną,
Ale się staną niby harfą strojną
I bite pieśnią zapału, nie pękłą...

Dziwni to byli ludzie...

Ich życie, to epos bez porównania piękniejszy od wszystkich dzieł, które napisali.

W najwcześniejszej młodości rzućni na ziemię wygnania, oderwani od wszystkiego, co im było najdroższe, pozbawieni wszelkiej nadziei powrotu, wszelkiej łączności z ziemią ojczyzną i tymi, których w niej pozostawili, skazani li tylko na własne siły, na to, co im własne głowy i ręce dać mogą, poszli w szeroki świat, pełni tej typowo polskiej wiary, że „jakoś to będzie“, pełni szlacheckiego animuszu i szlacheckiej fantazji. Nie było pieca, z któregooby chleba nie jedli; nie było opałów, przez któreby nie przeszli i z którychby się nie wydobyli nie było pracy, którejby się nie imali; nie było biedy, którejby nie przecierpieli.

Losy ich były dramatyczniejsze i cięższe, niż losy poprzedniego pokolenia, które po 1831 roku opuściło polską ziemię. Szli w pojedynkę raczej niż tłumem i w pojedynkę walczyć musieli o byt, o kawał suchego najczęściej chleba. I dlatego losy ich były cięższe, ale były i dramatyczniejsze, barwniejsze, pełne przygód niezwykłych i przeżyć, niezwykłych wrażeń i walk.

Pomijając innych pomniejszych, pomijając należące właściwie do starszego pokolenia Michała Czajkowskiego, z jego rycerskimi i pięknymi z początku, później dziwaczniemi, haniebnymi, smutnymi kolejami życio-

wemi, dwie postacie wysuwają się na plan pierwszy z pośród tej drugiej emigracji, po 1848 roku: Karol Brzozowski i Zygmunt Miłkowski.

Karol Brzozowski „drutuje“ Turcję telegraficznymi linjami, buduje koleje, urządza dziewicze lasy Anatolji i Bułgarji; w Syryji, u stóp Libanonu hoduje jedwabniki i tytoń uprawia; w Bejrucie pełni urząd konsula, nie pamiętam, włoskiego, czy hiszpańskiego. Zygmunt Miłkowski wędruje po całej Europie, wielkim szmacie Azji; jest i robotnikiem i kucharzem i kupcem, najrozmaitszych próbuje zawodów, zawsze sobie radzi, nigdy nie upada na duchu; twarda, kanciasta, zacięcie wytrwała, polska, szlachecka, rogata dusza.

Ale i jeden i drugi z najodleglejszych, półdzikich kresów Europy nasłuchuje pilnie, czy gdzieś tam w dali, nie ozwie się huk strzałów i tentent pędzących do ataku szwadronów. I jeden i drugi każdej chwili gotów do tej najświętszej w jego pojęciu służby, czeka tylko sygnału, by stanąć do apelu, i dlatego ni na chwilę nie traci związku z tymi, którzy wtedy, gdy w ojczyźnie wszystko spało przymusowym snem, pełnym przerażeń i strasznych widzeń, z obczyzny kierowali polityką narodu, szukali dla narodu nowych dróg zbawienia i ratunku. I dlatego i jeden i drugi byli niejako dyplomatycznymi agentami Polski na Wschodzie, umaczali ręce w niejednej politycznej intrydze, niejednej ważnej sprawy byli aktorami. A gdy zdawało im się, że nastają chwile „realizacji słowa“, wtedy stawali w szeregach i bili się znów, jak na polską szlachtę przystało, podczas krymskiej kampanji i pod Kostangalją, gotowi byli tworzyć polskie legiony i w 1877 roku, o czem szeroko rozprawiał Brzozowski z Andrassym i różnymi tureckimi baszami...

A gdy mieli chwilę wytchnienia od innej pracy dla chleba, czy dla idei, wtedy imali się pióra. Jak życie całe, tak też i twórczość obu, ma odrębny, rycerski, bohaterowski ton. Ale tu uwydatnia się wyraziście i dobitnie różnica temperamentów artystycznych, poglądów na sztuc-

kę, jej zadania i cele. Brzozowski zawsze jest więcej i wyłącznie prawie artystą; Jeź więcej i wyłącznie prawie działaczem społecznym. Brzozowski, wielki myśliciel przed Panem, rzuciwszy fuzję, przy ognisku w dziewicznych, anatolskich puszczach, spoczywając po trudach dnia, przekłada ponure księgi Hioba, odtwarza cudnie, z młodzieńczą zmysłowością, wspaniałą Salomonową „Pieśń nad pieśniami“, cyzeluje swe kunsztowne, pełne szczerogo, silnego nastroju liryki (o których, nawiasem mówiąc, Stanisław hr. Tarnowski zapomina zupełnie w swej „Historji literatury polskiej“, choć o innych, bezporównania mniejszych poetach pamięta doskonale). Jeź, zawsze emigrant typowy, spiskowiec, agitator, nie zadawał się zasłużonem uznaniem artyzmu swego, uznaniem, zdobytym przedewszystkiem świetnymi powieściami na tle dziejów i ówczesnych warunków bytu południowej Słowiańszczyzny. Jemu artystyczny sukces, tworzenie samo w sobie, nie wystarcza. Chce on skutków realnych; chce za pomocą powieści swych przyczynić się do zwycięstwa swych idei, swych poglądów politycznych i społecznych, do ich propagandy. Jest pisarzem tendencyjnym *par excellence*.

A takim był i jest, od swej pierwszej powieści poczynawszy.

Pierwsza ta powieść Jeża, drukowana w lwowskim „Dzienniku literackim“, wówczas jedynem prawie refugium polskiej twórczości literackiej, ukończona w 1859 roku, teraz dopiero, w pół wieku, ukazała się po raz pierwszy w książkowym wydaniu („Wasył Hołub“, Warszawa, Gebethner i Wolff), jakby dla uczczenia pięćdziesięcioletniej pracy nestora naszego piśmiennictwa.

Są w niej wszystkie pierwiastki charakterystyczne późniejszej twórczości literackiej Jeża; zaznacza się w niej wyraźnie linja, po której bez odchylenia się w prawo, czy lewo, rozwijała się w dalszym ciągu jego praca twórcza. Wtedy już śmiało mógł powiedzieć o sobie to, co powiedział w roku 1875 o swej działalności powieściopisarskiej, że „punkt ogniskowy“ znalazł on już „w zasadach szczerze i wyraźnie postępowych, oto-

czonych światłem, sprawiedliwością i miłością bliźniego, a obalających przesady i śmieszności, bez względu na to skąd pochodzą, gdzie się gnieźdzą i jak się mianują. Już wtedy dotkliwie chłostał i piętnował wady i grzechy szlacheckie: rozleniwienie, bezmyślność, brak poczucia obowiązków obywatelskich wśród szlachty polskiej na Rusi, jej stosunek do chłopą, który stał się potem tematem tylu jeszcze jego powieści.

Dziwne wrażenie wywiera ta powieść, wydobyta z zapomnienia po latach pięćdziesięciu.

Inny świat, inni ludzie stają przed oczyma. Świat, z którego już ni śladu niema; ludzie, którzy już od mnóstwa lat w proch się rozpadli; hasła, które dziś już przebrzmiały i poszły w zapomnienie. A ponad tem wszystkim suggiestynny koloryt lokalny ukraińskiej ziemi, ukraińskich stepów i jarów, łączący się w pamięci z nastrojem cudownych pejzażów Słowackiego, naiwnych wierszy Bohdana Zaleskiego, Czajkowskiego i Gósczyńskiego opowieści; i ta staroświecczyzna środowiska, ta inność kultury i życia, która dziś jest tylko historycznem wspomnieniem i tak samo, jak powieściom Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Michała Grabowskiego, nadaje temu dziełu Jeża typ i wartość historycznej powieści. Historyczną powieścią jest ono zresztą i dlatego, ponieważ w jego osnowę wchodzi, jako epizod, kozaczyzna, ostatni akt wielkiego dziejowego dramatu Zaporozża, które Jeż idealizuje wielce, a nie wiem, czy zupełnie słusznie, i czyni to pod świadomym, albo bezwiednym wpływem powieści Czajkowskiego, wpływem widocznym na każdym kroku tak pod względem ideowym, jak i pod względem technicznym.

Wogóle powieść to idealistyczna; i w fakturze i w treści i w romantycznym sentymencie, który ją przenika, i w aprjorycznym dogmatyzmie bliższa rozlewnemu, wielomównemu typowi powieści pani George Sand,—tej swojej drogą pierwszej inspiratorki *de la religion de la souffrance humaine*,—bliższa temu typowi, niż silnemu, jędrnemu

męskiemu realizmowi Balzaka, czy Flauberta. Przeidealizowane, opromienione nimbem romantyczności, zewnętrznie, ale nie wewnętrznie prawdziwe postacie małopolskich chłopów,—przejaskrawione prawie karykaturalnie postacie „panów“, nie mają w sobie wskutek tego przekonywającej prawdy, któraby im nadała bezwzględna w swej szczerości, obiektywna, realistyczna analiza i synteza, tem samem nawet lepszą oddając przysługę zasadniczej tendencji „Wasyła Hołuba“.

Ale od powieści, przed pół wiekiem pisanej, nie sposób domagać się cech, które są właściwą zdobyczą ostatniej dopiero epoki rozwoju twórczości powieściowej polskiej. Tem bardziej, że na ogół biorąc, powieść nasza i dziś jeszcze beznadziejnie grzęźnie w tym samym typie gawędziarskich wynurzeń, uważanym, zupełnie bezpodstawnie, za typ iście i charakterystycznie polski. Tem bardziej zresztą, że ta pierwsza powieść Jeża, mimo wszystko, co w niej z dzisiejszego punktu widzenia wadliwe, o całe niebo przewyższa swą wartością wszystkie płody pseudoartystycznego przemysłu, tej plagi dni współczesnych, stoi co najmniej na równi z większością dzisiejszych powieści.

A jednak o sześć lat wcześniej, niż się ukazał „Wasył Hołub“, bo w roku 1853, Flaubert w jednym z swych listów do pani George Sand, tych dokumentów rozwoju jego kanonów estetycznych, pisał: *L'auteur dans son oeuvre doit être comme Dieu dans l'univers, présent partout et visible nulle part; l'art étant une seconde nature, le créateur de cette nature — la doit agir par les procédés analogues; que l'on sente dans tous les atomes, à tous les aspects, une impassibilité cachée, infinie...*

A jednak wtedy już skończone było dzieło życiowe Balzaka i Stendhala, tych twórców nowożytnej powieści. Istniała już „Madame Bovary“ Flauberta, wydana w 1857 roku...

Wzajemny stosunek życia i sztuki jest zmienny.

Inny był przed pół wiekiem, gdy Jeź zaczął swą działalność powieściopisarską, inny jest dzisiaj.

Sztuka i życie, to jakby dwie nieskończone melodje, istniejące obok siebie, na pozór niezależne; każda jednak wciąż dąży do tego, by zapanować nad drugą. Gdzie sztuka zapanuje nad życiem, narzuci mu swe linje, ujmie je w karby i zawładnie niem, tam nastaje epoka najwyższego jej rozkwitu. Wtedy obie melodje łączą się w mistrzowsko związaną kontrapunktycznie jedność, opartą o wspaniałą, głęboką moc i harmonję akordów.

Tak było w epoce rozkwitu sztuki greckiej, tak w epoce Odrodzenia włoskiego; tak w mniejszym stopniu w dobie klasycyzmu. Tak też było w okresie romantyzmu naszego, w którym sztuka wzięła życie pod wyłączne władztwo i kierownictwo.

Był to okres idealnej harmonji poezji w życiu i poezji w sztuce, wspólności ideałów jednej i drugiej. Wtedy poeta, artysta, twórca żył w społeczeństwie, a nie poza niem; odczuwał wszystkie przejawy życia duszy zbiorowej narodu, dawał im wyraz w swej twórczości, a sam twórczością swą panował nad nimi, oddziaływał na nie, kierował nimi w mniejszym albo wyższym stopniu. Był to czas, w którym sztuka była istotnie — wedle pięknych słów M. Mochnackiego — „sumieniem narodu“, wyznaniem jego wiary, mistrzynią jego życia.

Po takim okresie zupełnej harmonji, zawsze następuje okres, w którym pomiędzy sztuką i życiem nastaje rozbrat. Drogi ewolucyjne życia i sztuki rozchodzą się, dążąc każda ku innym celom, innym ideałom. Życie obojętnie dla sztuki, emancypuje się z pod jej panowania; ogół nie odczuwa potrzeby wielkiej, prawdziwej twórczości artystycznej, obchodzi się bez niej, choć przez to marnieje i wyjałowia się do szczytu. Sztuka zaś, odepchnięta przez życie, widzi w niem wroga swego; chce istnieć sama w sobie i sama dla siebie i zamyka się

w wieży z kości słoniowej, na której powiewa dumny sztandar: „Sztuka dla sztuki“...

Artysta, który w okresie najwyższego rozkwitu sztuki żyje w społeczeństwie, wyczuwa wszystkie drgnienia duszy zbiorowej i daje im wyraz w swej twórczości, w okresie rozbratu życia i sztuki, zaczyna żyć poza społeczeństwem, obojętnie dla poezji w życiu, a wyczuwa tylko poezję „literatury“ i jej piękno. Zacieśnia — i to nieraz świadomie — zakres swych obserwacji bezpośrednich i tworzy li tylko sam z siebie. Gieńjalny samotnik tworzy wtedy rzeczy gieńjalne, któreby zresztą tworzył i w innych warunkach. Gieńjalny talent o żywiołowej potrzebie zapładniania życia i zapładniania się przez życie, wydiera się z samotności, idzie w życie i bierze z niego to, co brać musi. Ale talenty drobne i nikłe marnieją w tej niezdrowej atmosferze, jałowiej i paczą się, wpadając w idolatrię swej własnej jaźni twórczej, w apoteozę swych walk z otaczającym je, obojętnym na ich dole i niedole, porywy i upadki światem.

W takim to okresie dla wszystkich *minorum gentium* talentów, a wyjątkowo tylko dla talentów wysokiej miary (Berent), motywem twórczym staje się poeta i świat. Nastaje wtedy fatalna epidemja powieści, których bohaterami, a raczej ofiarami są różnego rodzaju artyści: muzycy, rzeźbiarze, malarze, literaci (szczególnie literaci), wszyscy jednakowo nieszczęśliwi i unieszczęśliwiający, jednakowo niedoścignięci, albo przerysowani, jednakowo papierowi, jednakowo ludzie z nieprawdziwego zdarzenia.

Wtedy ulubionym tematem powieściowym, obrabianym ze wszech stron, z okrutnym zapalem i nakładem czasu, papieru i atramentu, niestrudzenie, nieustannie, aż do znudzenia, staje się artysta, jego przygody i katastrofy w walce z robiącym mu różne bardzo przykre kawały Erosem, albo z jeszcze złośliwszym, nienawistnym Kalibanem-filistrem, który zabiera mu nietylko wszystką większych rozmiarów monetę i najlepszą część wszystkich smakołyków i wszystkich wygranych na giełdzie

zyciowej, ale i odbija mu najpiękniejsze realizacje djonyzjskich jego wizji: przystrojone we wszystką krasę poetyckiej fantazji niewiasty, — artysta, jego wzloty w empirejskie wyżyny, jego twórcze przeżycia, procesy psychiczne, wyróżniające go wśród szarego tłumu innych zjadaczy rostbifu.

Mam i ja na sumieniu powieść o artyście niebotycznie gienjalnym, oceanowo głębokim, a niemożliwie nie realnym, sztucznym, nieszczerym. Znam więc nietylko pośrednio, z arystarchowych wyżyn, ale i z bezpośredniego stosunku to całe papierowe bractwo, któremu do istotnej prawdy tak daleko, jak warszawskiej baletnicy do Wenery mилоńskiej, jak szkapie dorożkarskiej do arabskiego Kehilana.

Postać artysty, któryby porywał i wzruszał, zaciekawiał, narzucał bezwzględna wiarę w swą realność, w swe rzeczywiste istnienie, w swą gienjalną moc, w swą siłę twórczą, głębię swego ducha, w swe cierpienia i walki, w mimozową subtelność swej uczuciowej wrażliwości, — postać taką mógłby stworzyć jeno artysta o najwyższym wymiarze potęgi twórczej, takim wymiarze, jaki posiadał Goethe, Szekspir, Balzac. Takie gienjuszowe mądrości i uczucia, jak Hamlet i Prospero, — choć to nie literaci i malarze — stworzyć mógł tylko Szekspir. Tak gienjalnego ducha, jak Faust, tak wspaniałe odtworzenie duszy poety jak „Torquato Tasso“, dać mógł tylko Goethe. Oni to obaj mogli stworzyć tak potężne umysłowo, twórcze, a żyjące pełnią życia postacie, bo sami gienjalnością swą byli wyżsi nad twory swoje i wyposażyli je tylko częścią tego, co sami w sobie mieli. Balzac, ten najpotężniejszy powieściopisarz świata, ten gienjusz równy Goethemu i Szekspirovi, ten mocarny ciosacz tytanicznych postaci, mógł być, z własnej duszy czerpiąc, dać niedościgły w swej głębi i w swym realizmie, tragiczny proces zmagania się artysty z samym sobą i z otaczającym go światem, — dowodem tego drugoplanowy, z innej strony wzięty a tak wyrazisty szkic z profilu, ów Wacław w „La cou-

sine Bette“, albo owa niezrównana postać malarza w „Chef d'oeuvre inconnu“...

Talent, wystarczający do obserwacji i odtworzenia mniej złożonych fenomenów psychicznych, mniej zawiłanych procesów wewnętrznych; talent, doskonały do odtworzenia niezbyt głębokich, niezbyt trudnych w konstrukcji jednostek i typów, zajmujący i dzielny w odtwarzaniu rzeczy prostych, łamie się odrazu o trudności nieprzełamane. Zamiast ludzi żywych, daje ich cienie i karykatury, zamiast życia, algebriczne zrównania, zamiast czarnych cieni tatrzańskich jezior, burzliwych bezmiarów morza, płytkie, piaskiem wysypane, ogrodowe baseny z wodotryskami, w których jednak wody jest zawsze za dużo i to... letniej...

W najlepszym razie to wyłączne oparcie twórczości na obserwacji małego, ciasnego, artystycznego i literackiego światka, na rejestrowaniu swych własnych przeżyć i wrażeń w sferze stosunku poety i świata, na snuciu zupełnie pozbawionych wszelkiego realnego oparcia fantazji i pomysłów, może wydać jedno dzieło ciekawe (wyjątkowo tylko dzieło potężne, jak „Próchno“), kilka nowel i szkiców zajmujących i oryginalnych. *A la longue* jednak doprowadza i doprowadzić musi do mańjery, wyjałowienia, zastoju, ekstrawagancji conceptów, konstruowania nadzwyczajnych, absolutnie sztucznych konfliktów psychicznych, bardzo „literackich“, ale o wątpliwej wartości artystycznej — stawiania sobie zadań algebricznych ponad siły.

Typowym przedstawicielem takiego *sui generis* „zwyrodnienia twórczego“ jest p. Henryk Zbierzchowski. Ugrzązł on w sferze swych własnych, subiektywnych przeżyć, w analizie psychiki „przeciętnego“ literata, tkniętego pseudomodernistycznym furem, jego konfliktów życiowych i graniczących z psychopatią uczuciowych zawikłań. Poza tę sferę, ponad nią, p. Zbierzchowski wydostać się nie jest w stanie. Jak dla owego niemieckiego feodała, człowiek zaczynał się dopiero od barona

tak dla p. Zbierzchowskiego, człowiek, godny jego twórczości, zaczyna się w drodze wyjątkowej łaski od dziennikarza, a właściwie od literata, poety, muzyka, malarza i to tylko takiego, który otrzymał indygenat cyganerii artystycznej i w niej tylko żyje. Poza tem człowiek istnieje tylko w kształcie karykatury, albo ciężkiego wroga wszelkiej sztuki i niezbędnego, jako *repoussoir* owych szlachetnych dusz—filistra, albo wreszcie... kobiety, jako niezbędnego rekwizytu wszelkiej tragedji, nawet i arty-
sty — w powieści.

Na tem tle powstały także i ostatnie nowele p. Zbierzchowskiego („Grający las“. Lwów, Połoniecki. 1908) i ostatnia jego powieść („Literat“. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909).

W tomie nowel są ładne i dobrze oddane nastroje, impresje liryczne, z których najlepsza może („W tę dziwną, jedyną może noc“...), przypomina o wiele wyższą i głębszą nowelę Henryka Manna („Mnais“). Niefortunnie przeprowadzony jest dobry zresztą pomysł w „Śmierci“, zamazany jednak i niewyraźny, a przedewszystkiem pozbawiony dobrze zaostrzonej point'y. W humoresce („Bacylus poeticus“) wytwornego humoru i dowcipu ani śladow, prócz — w kilku ustępach — mimowolnej satyry, zwracającej się przeciwko — autorowi. Na nazwę noweli zasługuje właściwie tylko jedna („Tchórz“), oparta jednak na zużytem już motywie kabotyństwa tak umiłowanych wyłącznie przez p. Zbierzchowskiego przedstawicieli kunsztu literackiego.

Motyw kabotyństwa, ale transponowany w wyższe i bardziej skomplikowane tonacje, rozwinięty szeroko, powtarza się w powieści, której tytuł zapowiada właściwie wszechstronną analizę psychiki literackiej, jej ewolucji życiowej, jej zasadniczych pierwiastków. Tymczasem jedynym zasadniczym pierwiastkiem psychiki literata jest według p. Zbierzchowskiego — kabotynizm.

Już ponad głowę hrabiego Henryka w „Nieboskiej“

raz jeden, jako wyrzut, „skądś“ odzywa się głos: „Dramat układasz.“. O tyle dziesiątków lat młodszy „Literat“ czuje konieczną, bezwzględną potrzebę czynienia z życia swego dramatu, układania i reżyserowania tej sztuki, tak, by z niej mieć gotowe tworzywo do literackiego opracowania. Przedmiotem tego eksperymentu (bo sam wyznacza sobie właściwie li tylko rolę widza i reżysera) czyni ów „literat“ p. Zbierzchowskiego swą własną żonę, sam podsuwa jej typ męski, który na nią działa, chcąc doprowadzić ją tylko do cudzołóstwa teoretycznego, doprowadza ją—*comme de raison* — do cudzołóstwa faktycznego.

Pomysł to w gruncie rzeczy tak dobry, jak każdy inny, choć nie nowy, bo — choć w innej formie — zużyty już w „Dramacie Kaliny“ Zygmunta Kaweckiego. Ale swoją drogą pomysł rażący swą ekstrawagancją i dlatego niesłychanie trudny do uprawdopodobnienia i wykonania. Na tego rodzaju eksperyment zdobyć się może tylko albo indywiduum, stojące poza wszelkimi kategorjami etycznymi, *jenseits von Gut und Böse*, wyzbyte doszczętnie wszelkich sentymentów i liryzmów, pełne mefistofelowskiej perfidji i złośliwości, zuchwałe, silne, za jedynę bóstwo uważające swą własną jaźń artystyczną i obojętne na wszystko, co poza nią — albo też psychopata, degenerant, dekadent, doprowadzony do rozpacz swą impotencją twórczą i fizjologiczną nawet, człowiek bardzo zużyty, bardzo chory, bardzo zblazowany kabotyn, szukający wrażeń *à tout prix*. W każdym razie, czy tak, czy owak, mężczyzna zupełnie i bezwarunkowo zobojętniały dla kobiety, którą czyni przedmiotem swego eksperymentu.

Ale p. Zbierzchowski, zafascynowany zasadniczym konceptem, który mu widocznie ogromnie się podobał, nie miał wcale konkretnej i realnej wizji owego eksperymentatora, na którego włożył tak ciężkie zadanie; nie widział wcale, nie postawił w sobie typu, który chciał stworzyć, nie miał w sobie *tout d'une pièce* psychiki swe-

go bohatera, w jej zasadniczych liniach, nie mówiąc już o jednolitości szczegółów. I dlatego właśnie powieść jego jest chybiona, niema w sobie tej bezwarunkowo koniecznej, wyraźnej linii logicznej, tego kośca, o któryby się opierała. Wskutek tego niema też w niej prawdy i przekonywującej siły. Powieść psychologiczna wymaga nie słychanie subtelnej, drobiazgowej, pełnej finezji analizy, ale i bezwzględnie pewnej, świadomej i celowej syntezy, wiodącej konsekwentnie od faktu do faktu, aż po katastrofę ostateczną, która musi narzucić się, jako absolutna konieczność, jako pewnik tak niezbity, jak w mechanice wypadkowa równoległościemu sił.

„Literat“ p. Zbierzchowskiego, to dzieciak, który sam nie wie, czego chce i co robi, gada różne mądre rzeczy, ale jest bardzo głupi, załamuje się co chwila w swej psychologii, a w tem wszystkim nie jest ani na chwilę żywym, faktycznym człowiekiem, a jest tylko papierowym pajacem, pozbawionym wszelkiej życiowej prawdy. Niema na świecie mężczyzny, któryby jeśli nie kochaną, to pożądaną przez siebie i pożądaną go kobietę, popychał świadomie w objęcia innego indywiduum męskiego. Pod tym względem literat. nie różni się od szewca, szewca od astronoma. Uczyni to tylko człowiek, zupełnie dla tej kobiety zobojętniały i chcący się jej pozbyć, i to albo *Uebermensch*, albo psychopata. Tymczasem „Literat“ p. Zbierzchowskiego kocha swą żonę, pożąda jej, ale bez najmniejszej zazdrości cieszy się, że ta pożądana przez niego kobieta, zwraca się ku innemu mężczyźnie i że stosunek tych dwojga jest „w tej wiośnianej fazie, kiedy otwierają się pierwsze pączki uczucia“, a potem uczucie to przechodzi w temperaturę coraz gorętszą—w namiętność. Z ogromną satysfakcją, na jaką nie zdobędzie się żaden żywy, z krwi i kości mężczyzna, konstatuje on, że teoretycznie jest już „rogalem“ i z nieistniejącą na świecie naiwnością nie wie, że i w najlepszej kobiecie od teoretycznego do empirycznego cudzo-

łostwa *il n'y a qu'un pas*. A kiedy już fakt jest dokonany i kochająca wciąż (!) męża żona oddała się innemu „literat“ szaleje z bólu, no i naturalnie siebie i ją doprowadza do samobójstwa. A na samobójstwo—które zresztą jest najłatwiejszym sposobem zakończenia powieści, której nie wiadomo jak skończyć — jegomość tego typu, jak „literat“ p. Zbierzchowskiego, nie zdobędzie się nigdy.

Tak samo nieprawdziwy psychologicznie, nieszczerzy i źle skonstruowany, chociaż bezporównania lepszy jest typ kobiecy powieści p. Zbierzchowskiego. Takie bosko idealne, anielsko czyste niewiasty nie zdradzają tak łatwo swych mężów, a nie zdradzają ich absolutnie, jeśli mają dla nich jeszcze choć trochę uczucia, a jeśli raz zdradzą, to nie dlatego, by nazajutrz wrócić do męża, wyznać mu wszystko i znów w swym mężu rozkochać się do zapamiętania miłością jak śmierć silną. Ta ofiara „literackich“ eksperymentów swego małżonka nie robi wrażenia prawdziwego, żywego człowieka. Życiowej prawdy nie dają jej nawet owe rachunki gospodarskie, zapisywane obok najintymniejszych wynurzeń. Kobieta, prowadząca podwójną buchalterję, ma i osobne konta. Jedno dla męża, drugie dla siebie.

A jednak, mimo fałsz przesłanek, na których jest oparta, mimo swą nieszczerłość i sztuczność, mimo nierówności stylistyczne i techniczne, świadczące o zupełnym braku autokrytycyzmu, powieść p. Zbierzchowskiego świadczy, że autor jej ma talent. Świadczą o tem niektóre głęboko wyczone i silnie dane nastrój, świadczą niektóre trafne i nowe obserwacje, świadczy rysunek niektórych postaci drugorzędnych, żywych i prawdziwszych od postaci pierwszoplanowych. Co jednak p. Zbierzchowski z talentem swym zrobi—przesądzać trudno. Zabić go może gadatliwość, ogromna łatwość pisania, rozmiłowanie w nadzwyczajnościach, których jednak uprawdopodobnić nie jest w stanie, brak krytycyzmu i zamknięcie się w cia-

snej sferze literackiego, a raczej cygańskiego świata, w którym za niezbędną cechę artyzmu uchodzą brudne kołnierzyki, wykrzywione buty, pożyczanie pieniędzy na wszystkie strony, upijanie się i łgarstwo, kabotynizm i pseudonadczłowieczeństwo.

Ten bezpłodny światek cyganerii artystycznej, który tak świetnie wydrwił i scharakteryzował Włodzimierz Perzyński w swym „Sławnym człowieku“, a który p. Zbierzchowski bierze zupełnie na serjo, — ten światek, upatrujący istotę i treść artyzmu w pochłanianiu „morza czarnej kawy“, upijaniu się i kabotyńskich samochwalczych dysputach i „epatowaniu mydlarzy“, przyczynił się w znacznej mierze do wyrobienia w społeczeństwie naszym zupełnie fałszywych pojęć o artyzmie i artystach. Grunt przygotowały potworne legiendy o „Paonie“ krakowskim i jego przywódcach, niektóre w filisterskim świecie jeszcze częstsze, w artystycznym fenomenalne epizody, o których w bardzo niesmaczny i nietaktowny sposób wspomina i p. Zbierzchowski w przedmowie do swej powieści. Ogół wziął na serjo życie cyganerii i jej *fanfaronade de vices*, uogólnia obserwację jej obyczajów i zwyczajów, jej etyki i kabotynizmu i wytworzył sobie fantastyczny typ, który z rzeczywistością, z typem prawdziwego artysty nie a nie nie ma wspólnego, a przynajmniej bardzo mało. Nie przyczyni się do obalenia tych poglądów, a przeciwnie ustalić je tylko może, wyborna zresztą, wspomniana już powieść Perzyńskiego, której ironia zbyt jest dla masy subtelna. Tak samo też nie oddziała dodatnio w tym kierunku powieść p. T. Jaroszyńskiego „Wieża z kości słoniowej“, Warszawa, Gebethner i Wolff, (1909), choć genezy jej szukać należy właśnie w reakcji przeciwko rozpanoszeniu się grafomańskiej kabotynerii, przeciwko pysze niezdarnych miernot, uzurpujących prawo do moralności panów, w przeciwstawieniu do moralności niewolników-filistrów.

Ze wszystkich powieści p. Jaroszyńskiego, ta (*redde*

quod debes) wydaje mi się najlepszą, z czego jednak nie wynika wcale, by była doskonałą. Nie brak i w niej tak umiłowanych przez p. Jaroszyńskiego melodramatycznych, sensacyjnych awantur (aż dwa nieudane samobójstwa, jedno zabójstwo i t. d.), ale są one dane dyskretniej i prawdopodobniej, niż wielkie sensacje w „Mieście“, albo „Doktorze Tomaszu“. Nie brak gadatliwości, która ma przysłonić pewną nikłość treści i ułatwienie sobie zadania, przez zastąpienie frazesami jędrnej, obiektywnej analizy psychologicznej. Nie brak wszystkich znamion pisania na kolanie, z czego wynika także i niechlujstwo językowe, (jak stałe używanie niezrozumiałego słowa „bo“ zamiast „czy“, „bo ja wiem“, zamiast „czy ja wiem“, „czas najpilniejszy“, „uwiecznić na marmurze“, „poślizgnięcie jest łakomym kąskem“, „improduktorów“ — chyba zamiast także barbarzyńskich „improduktywów“, „dramatysta“ (sic) zamiast „dramaturg“ i t. d., i t. d.). Nie brak także również ulubionej przez p. Jaroszyńskiego karykatury, wprowadzającej rażące dysharmonie w budowę opartej na zupełnie innych, poważnych tonach powieści. Nie brak wreszcie zupełnego nieliczenia się z domyslnością czytelnika i zupełnie zbytecznego stawiania kropek nad i.

Mimo to wszystko, powieść p. Jaroszyńskiego nie mija bez wrażenia dodatniego. Są w niej sceny bardzo ładne, bardzo dobrze zrobione; postacie pewną ręką zarysowane i logicznie, przekonywująco przeprowadzone. Jest sporo temperamentu, życia, bezpośredniości, bystrości, choć powierzchownej obserwacji — pierwiastków, dowodzących, w jakim kierunku i do jakiego stopnia mógłby rozwinać swój talent p. Jaroszyński, gdyby mógł pisać mniej, powolniej, staranniej, gdyby nie ślizgał się po powierzchni rzeczy i zjawisk, a sięgnął w głąb, gdyby wyzbył się wszystkich ingredjencji, pożądanых w sensacyjnej, feljetonowej powieści, ale nie w powieści, która ma być dziełem sztuki.

Obie te powieści — i p. Zbierzchowskiego, i p. Jarożyńskiego — są dowodem, że niema dla artysty nic bardziej zabójczego, niż łatwość pisanja, niż pozorne opanowanie formy, zdobycie techniki, rutyny i zatrzymanie się na tym punkcie, który powinien właśnie stać się punktem wyjścia dla dalszego rozwoju.

Można kochać Goncourtów, albo w snobistycznej zarożumiałości nimi pomiatać; można odrzucić całą ich twórczość, przejść do porządku dziennego nad temi krwią i potem pisanemi księgami. Ale nie wolno wymawiać ich imienia bez czci i pokłonu dla ich nieustannej, zmuśnej pracy, dla tej gorączki doskonalenia się, która ich trawiła i była treścią ich życia, dla wiecznego niezadowolenia z zdobytej już formy i techniki, a najintensywniejszego wyężdżania wszystkich sił ku coraz nowym zdobyczom w tym kierunku. Ich dzieła mogą zniknąć bez śladu (co zresztą jest bardzo wątpliwe), ale, jako idealny wzór do naśladowania na wieki, pozostanie ich życie, ich bezgraniczny, ofiarny kult dla sztuki, ich poczucie dostojności, godności, posłannictwa artysty i jego obowiązku nieustannej pracy nad sobą, ich pokora wobec boskiego ideału, do którego zrealizowania dążyli bez wytchnienia.

Ale typ Goncourtów, z ich nieustannem wątpieniem w swe sily, z ich nieustannem dążeniem do doskonalenia się — typ zresztą wspólny im z wszystkimi istotnie wielkimi, istotnie twórczymi duchami (Flaubert, Stendhal, Żeromski, Reymont, Goethe, Słowacki, Mann i t. d., i t. d.) — niema w sobie nic pociągającego dla tych wszystkich naszych mniejszej próby talentów, które, osiągnąwszy pewien poziom kulturalnego i artystycznego rozwoju, *beati possidentes*, zadawalniają się tem, co osiągnęły i zadowolone w sobie, pewne siebie, niczego więcej od siebie nie wymagają. Wystarcza im sukces, zdobyty wśród czytelnickiej masy, łatwo i szybko; innego sukcesu, trwalszego, bo ściśle artystycznego, nie pożądata wcale. Przy stosowują się więc do upodobań tej masy, dają jej to, cze-

go ona od nich żada, co jej niewybrednemu smakowi dogadza.

Literat-artysta, zależny ongi od Peryklesów, Mecenateów, Leonów X, Ludwików XIV, Southamptonów i Essexów, Stanisławów Augustów i t. d., i t. d., od tych znawców wytwornych i subtelnych, staje się w XIX wieku zależnym od tłumu, od tej mieszaniny złego i dobrego, rozumu i głupoty, zdrowego rozsądku i przesady, od tej pogrążonej w walce o byt i w materialistycznym używaniu chwili masy, która od sztuki wymaga tylko, by jej dała rozrywkę i zabawę wśród nudy, pochlebiała jej upodobaniom i gustom, nie wzruszała zbyt głęboko i zbyt tragicznie, drażniła przyjemnie nerwy, podniecała niezdrowo i była zawsze pozornie, ale pozornie tylko nową, oryginalną i świeżą.

Przyszła czas coraz to bujniejszego rozwoju (ilościowego) powieści. Tłum czytelniczy, zasypywany powieściami, zasmakował w tej potrawie i zaczął ją konsumować w coraz to większych ilościach. Zwiększenie popytu wywołało zwiększenie podaży. Wytworzył się typ zawodowego literata, zawodowego powieściopisarza, żyjącego li tylko z dochodów, jakie mu daje praca literacka. Typ w naszym społeczeństwie względnie nowy, istniejący zaledwo lat kilkadziesiąt, około trzydziestu, bo ani Krąszewskiego, ani Kaczkowskiego, ani Jeża, do tej od 1870 roku coraz liczniejszej kategorii zaliczyć nie sposób. Oparcie bytu materialnego na wytwórczości powieściopiskarskiej wymaga pewnej obfitości i regularności produkcji, tembardziej, jeśli ta wytwórczość daje tylko towar sezonowy, szybko wychodzący z mody, zastosowany do potrzeb chwili i nie mający w sobie żadnych warunków trwałości.

Powieściopisarz zamienia się więc w rzemieślnika, dostarczającego towaru na zamówienie; zmienia się w maszynę, pracującą, jak tartak, czy młyn parowy, czy młocarnia, i produkującą tyle wierszy, czy tomów, ile potrzeba. Talenty istotnie wielkie, istotnie twórcze, isto-

tnie dla sztuki tylko żyjące, do pracy takiej nagiąć się nie dadzą i nie potrzebują. Podejmują się jej więc talenty mniejsze, zdolne do kompromisów, do wyrzeczenia się szczerze artystycznych aspiracji—dla chleba, albo dla łatwego rozgłosu.

Obok tego przemysłu literackiego, którego powstanie było koniecznością, wobec gargantuowych apetytów czytelniczego tłumu, a małej stosunkowo produkcji rzeczywistych, wielkich talentów,—drugim czynnikiem, który wywołał fatalne obniżenie się poziomu i wartości estetycznej naszej wytwórczości powieściowej, jest grafomanja, coraz to nagminniej grasująca, przeważnie wśród niewiast. Kobieta bez porównania łatwiej niż mężczyzna, zdola „nauczyć się pisać“; czyta bez porównania więcej powieści, niż mężczyzna i bez porównania więcej posiada zdolności naśladowczej, a także i bez porównania mniej autokrytycyzmu i więcej skłonności do przeceniania swej wartości intelektualnej i swych uzdolnień, swych „artystycznych“ popędów, które najczęściej nie są niczem innym, jak tem, co Goethe w jednej z rozmów z Eckermannem, mówiąc o piszących niewiastach, nazwał: *geistiger Geschlechtstrieb*.

Grafomanja wyklucza bezwarunkowo wszelką oryginalność i samodzielność, wszelką, choćby do najmniejszych rozmiarów zredukowaną twórczość. Nie wyklucza jednak ona pewnej, wprost nieraz do rozpacz doprowadzającej *poprawności* stylu i formy. Dziś pisać poprawnie po polsku jest łatwo, (pojęcia poprawnego pisania, nie wolno jednak identyfikować z pisaniem *dobrze*, z stylem indywidualnym, albo *écriture artiste*); dziś pierwszy lepszy dyletant, pierwsza, lepsza grafomanka, pisze poprawniej i lepiej, niż lat temu czterdzieści, piędziesiąt, pisali pierwszorzędni twórcy owych czasów. Dość przejrzyć pierwszą lepszą powieść Kraszewskiego, Jeża, Zacharjasiewicza, Lama, by przekonać się, że są to rzeczy „złe zrobione“, gorzej i ciężiej napisane po polsku, niż pierwsza lepsza powieść p. Jeleńskiej, Grot-Bęczkowskiej, Walew-

skiej, a nawet p. Orlicz-Garlikowskiej („Misterjum“, opowieść erotyczna, Warszawa, 1908), o której nawiasem mówiąc—jak to sobie przysiągłem, wobec jej nieuleczalnej, a skandalicznej grafomanji—nie wspomnę już nigdy więcej ani słowem.

Grafomanja nie wyklucza wcale tej fatalnej zresztą poprawności, a — jak powiedział słusznie Brunetière — *avec un peu d'école, de patience, et de chance on y peut introduire jusqu'aux apparences du talent*. Ale z tymi pozorami talentu, literatura, sztuka, niema nic wspólnego. Dowodzą one tylko, że proza, czy rym stały się sportem, na który pozwolić sobie może, jeśli nie każdy, to przynajmniej bardzo wielu, a nawet dojść w nim do pewnej, choć ściśle ograniczonej, doskonałości.

Wobec takich „poprawnie pisanych“ książek, prawdziwą przyjemność sprawia książka, napisana źle, niedołąźnie, niedojrzale, bezdarnie nawet, byle wyczuć w niej było można samodzielność, szukanie własnej drogi, a choćby ścieżki, wogóle bunt przeciwko tym wszystkim poprawnym banalnościom, oklepanym ogólnikom, frazesom i szablonom.

Taką właśnie książką jest pierwsza — o ile mi wiadomo — powieść p. Feliksa Czerskiego („Immoralista“, Warszawa, Jan Fiszer, 1909). Powieść to zła, powieść zupełnie pomyłona, dziwaczna, rozwieszona, a jednak... Powieść niesłychanie wielomówna, monotonna w nastroju aż do znudzenia, ponura i gorączkowa, jak sen chorobliwy, nieforemna i mglista, a jednak... Jednak, choć sto razy miałoby się ochotę ciągnąć ją w kąt, czyta się ją od deski do deski. Dlatego, bo poza wszystkimi jej wadami, jej „złą robotą“, kryje się indywidualność świeża, zuchwała, mająca odwagę wypowiedzieć wszystko, co ma na sercu, indywidualność wielce kulturalna i kulturą swą przewyższająca legion „uznanych“ i „cenionych“—indywidualność nienawidząca wszystkich szablonów i klisz, frazesów i ogólników.

P. Czerski chce znaleźć swą własną drogę i szuka jej, a choć daje się prowadzić za jedną rękę Przybyszewskiemu, za drugą Żeromskiemu, ale nie naśladuje nikogo ślepo; ma swój własny ton, swe własne okienko, przez które patrzy na świat, nie dba o tłum, o łatwy sukces, a chce tylko wypowiedzieć się i uzewnętrznic to, co ma w sobie. Okienko jego małe; p. Czerski odkrywa przez nie rzeczy, które już inni przed nim odkryli, ale tych „innych“ jest ogromnie mało; umie on przy tem odkrycia swe dać w formie ciekawej i własnej. W tej martyrologii artysty, którą odsłania z bezwzględnością zupełnie „niepoprawną“ wiwisektora, są momenty nowe, ciekawe, uchwycone silnie, czasem nawet za silnie. Niema w jego książce artystycznego umiaru, niema ustosunkowania szczegółów do całości, niema wytrawnej, świadomej ekonomji sił, koniecznej dla stworzenia prawdziwego, wielkiego dzieła sztuki; niema odpowiedniego rozkładu światła i cieni; od początku do końca jeden rytm, jedna dynamiczna siła, nieustanne *prestissimo* i *fortissimo*, bez żadnych gradacji i przemian. Niesłychana masa groteskowych i barokowych ornamentów zasłania prawie zupełnie linje architektoniczne; wszystkie postacie rozplývają się w mgłę, niejasne, nieuchwytnie. A jednak całe to dzieło pulsuje gorącą krwią; czuć w niem życie bujne, nieokiełzane jeszcze i silne, a przede wszystkim indywidualne. Mimo wszystkie wady, jest to dzieło artysty szczerzego, niezdolnego do kompromisów i poddawania się cudzym upodobaniom. Był tylko p. Czerski miał w sobie wolę do doskonałości, do zabijania wszystkich wad, rozwijania wszystkich dodatnich pierwiastków swego talentu. Był tylko nie popadł w manjerę, której zarodki tkwią już w tej pierwszej jego powieści.

Poza powieścią p. Czerskiego (co do której podkreślałam raz jeszcze wszystkie zastrzeżenia ujemne), wszystkie inne książki, o których tu mówiłem i mówić będę, należą do jednej z dwóch kategorii: przemysłu literackiego, albo grafomańji. Niema wśród nich ani jednej,

posiadającej trwałą wartość artystyczną, zdolnej wzruszyć głęboko i porwać, dać szczerze i potężne wrażenie estetyczne.

W sferze przemysłu literackiego od dawna już panują wszechwładnie pp. Artur Gruszecki, Wacław Gąsiorowski i Kazimierz Gliński. W mądrym, acz zapewne przypadkowym podziale pracy, każdy z nich inną eksploatuje epokę, w innym kierunku się wyspecjalizował. P. K. Gliński wybrał sobie najlepiej odpowiadającą jego romantycznej fantazji, epokę niepodległości Rzeczypospolitej; p. Gąsiorowski operuje wyłącznie w epoce legjonów, wojen napoleońskich i Królestwa Polskiego; p. Gruszecki zaś zmonopolizował wszelkie aktualności i sensacje współczesne. Z tych trzech muszkieterów przemysłu literackiego, najwięcej talentu miał i ma jeszcze jego *beaux restes* p. Gliński; najwięcej temperamentu p. Gąsiorowski; najwięcej zmysłu sensacyjności i wyczuwania upodobań najszerszych mas p. Gruszecki. Wszyscy trzej piszą gładko, mają kolosalną rutynę, umieją budować swe rzeczy dobrze i sprytnie. Ale gdy u pp. Glińskiego i Gąsiorowskiego temperament pisarski bierze czasem górę, unosi ich i dyktuje im kartki bądź co bądź literacko niezłe, — p. Gruszecki wyżył się wszelkich pretensji do „literatury“, nie dba już ani o formę, ani o styl, ani o jakikolwiek, choćby już szablonowy, rysunek postaci, które wprowadza, a wyczerpawszy już nawet sensacje rewolucyjnej doby, („Na wulkanie“. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1908), której zawdzięcza swe pełne bomb, sztyletów, brauningów, skrytobójczych mordów, wyroków śmierci, bandyckich napadów, ekspropriacji, zdrad, szpiegów, więzień, przerażających bohaterstw, wszystkich możliwych i niemożliwych nadzwyczajności, sherlokiady — wyjałowiał zupełnie: zdaje się nieuleczalnie. Jego „Zaloty biurokraty“ (Warszawa, Biblioteka dzieł wyborowych, 1909), to rzecz tak piekielnie nudna, bezdarna i źle napisana, że nie zadowolni nawet tych warstw czytelnich, dla których „tworzy“ p. Gruszecki.

Bez porównania wyżej (względnie wyżej), stoją ostatnie powieści pp. Glińskiego i Gąsiorowskiego. P. Gliński w powieści, tak samo jak w poezji, jest epigonem romantyzmu; podziałł na niego silnie Dumas (ojciec), ale czuć i wpływ Walter-Scotta, od którego jednak p. Gliński jednej rzeczy się nie nauczył, a mianowicie umiejętności podmalowywania dziejowego tła i bajecznej ścisłości obyczajowo i kulturalnie historycznej, tego realizmu historycznego, który dziełom twórcy „Kenilwortha” nadaje tyle uroku i siły. Dlatego też ostatnia powieść p. Glińskiego („Zaloty Króla Jegomości”, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909), nazwana „powieścią obyczajową z czasów Jana Olbrachta”, tak samo śmiało nazwaną być mogła powieścią z czasów Jana Kazimierza albo Augusta II. P. Gliński nie dba ani trochę choćby o najzewnętrzniejszą, najpobieżniejszą charakterystykę epoki; o jakiegokolwiek dziejowe tło, o zindywidualizowanie postaci Króla Jegomości i jego otoczenia. Król jest sobie pospolitym, małym szlachetką, takim samym jak wszyscy naokół hrabiowie i szlachcice, znani zresztą z innych powieści p. Glińskiego. Anegdota nikła i stara, powtórzona z rutyną, zrozumiała wobec tylu lat pracy pisarskiej autora, powtórzona w tym gawędziarskim stylu, który tak fatalnie zaciężył na polskiej powieści. Tego rodzaju powieści mają w sobie to dobre, że uwydatniają wartość tak niesłusznie zapomnianych dziś, historycznych powieści Kraszewskiego, który w porównaniu z swymi epigonami był mistrzem w odtwarzaniu obyczajowego tła i indywidualnych rysów charakterystycznych, najwybitniejszych postaci każdej epoki. A w szczególności wobec powieści p. Glińskiego przypomina się tak silne, tak wybitne dzieło sztuki, jak „Olbrachtowi rycerze” Zygmunta Kaczkowskiego...

Niczem innem, jak również gawędą, jest powieść p. Gąsiorowskiego („Księżna Łowicka”, Kraków, Gebethner i Sp., 1908), gawędą istotnie „historyczną”, charakteryzującą czasy Królestwa kongresowego dość wiernie

i ciekawie. Ma ona i tę wielką zaletę, że po raz pierwszy daje wierną i zgodną z rzeczywistością charakterystykę „księżnej Łowickiej”, którą od tak dawna za wszelką cenę, a zupełnie zbytecznie, starano się idealizować i podnosić do wyżyn bohaterki; trafnie p. Gąsiorowski odsłania nicość tego ptasiego mózdzku, tego ciasnego, pocziwego serduszka, niezdolnego jednak do żadnego wielkiego, potężnego uczucia, nawet do szczerzej, ofiarnej, żywiołowej miłości Ojczyzny. Olbrzymiego dramatu dziejowego odtworzyć p. Gąsiorowski nie zdołał; było to ponad jego siły. Raz jeden tylko, w opisie chwil zgonu wodza legjonów, zdobywa on się na siłę rzeczywiście dramatyczną, wyjątkową w jego powieściach. A jednak i postaci, które wprowadza, i dzieje ich pełne są dramatycznego pierwiastka, pełne wielkiej poezji. Dąbrowski, Łukasieński, W. Książę Konstanty, cała epoka przed powstaniem listopadowym, to wspaniałe tworzywo dla wielkiego mistrza, który przemieni je w nieśmiertelne dzieło sztuki. Ale mistrz to musi być wielki, zdolny wzniesić się do wyżyn tej przełomowej tragedii, mistrz taki, jakim się okazał Żeromski w „Popiołach”.

* * *

Mimo bardzo „obietujących” początków, przez całe życie swe pozostał dyletantem Gamaston. Studenckie jego powieści miały pewien rozmach, temperament, życie, pewien zasób prawdy życiowej i nowych obserwacji; odtwarzały, choć bardzo jednostronnie, środowisko w owe czasy prawie nieznanne. Ale autor „Lamparciego życia”, syt ławo zdobytych laurów, zadowolnił się nimi i nadal pozostał... tylko dyletantem. To też dyletanckie są i jego ostatnie nowele („Białe róże”. Warszawa; Biernacki i Sp. 1909); niektóre wcale nie powinny były obaczyć światła dziennego i wydanie ich świadczy tylko o wielkim braku autokrytycyzmu. W innych, czytelniejszych trochę, jest ten sam lubieżny erotyzm, to samo zamięłowanie w po-

wierzchownem zupełnie odtwarzaniu egzotycznych plaż i riwier, ten sam fałszywy sentymencik, tani humor i niewybredny dowcip, wszystko to samo, co było i w pierwszych powieściach Gamastona, tylko, że dziś odegrzane i podane, trąci myszką i starokawalerskiem, nudnem gawędziarstwem.

Takie samo wrażenie dyletanckiej roboty wywiera powieść p. Chrzanowskiego („Uludy“. Kraków, D. E. Friedlein, 1909). Takie samo w niej dyletanckie gadulstwo, takie same nieprawdopodobieństwa, taka sama nikłość treści, przy zupełnym braku jakiegokolwiek architektonicznej konstrukcji. Powieść robiona na zimno; pseudopsychologiczna analiza, zastępująca frazesami fakty uczuciowe, operująca starymi kliszami, liczmanami wytartymi do cna. Tacy książęta Dulscy, *pardon* Dolscy, to panowie do „Momusa“, albo „Chochlika“, ale na serjo, mimo wszystkie wysiłki p. Chrzanowskiego, brać ich nie sposób. Tak samo dobrze znane są wszystkie koło tego „bohatera“ i wielkiego poety (bo książę pan popełnia nawet wspaniałe, gienjalne, wystawiane w Rozmaitościach dramaty) krążące damulki.

W arystokratyczne sfery wiedzie nas także w pierwszej, olbrzymio wielkiej powieści swej p. Helena Mniszek („Trędowata“. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909, dwa tomy). Jest to właśnie arcytyp owej poprawności, łatwości pisania, typ tak poprawnie napisanej i zrobionej powieści, że aż nie sposób domysleć się, czy p. Helena Mniszek (nazwisko przytaczam niegramatycznie z winy autorki, która je niegramatycznie wymieniła na tytułowej karcie swej powieści) ma talent istotny, czy też tylko pozory talentu.

W tej olbrzymiej, bo przeszło 900 stron liczącej powieści, autorka z bajeczną, jak na debiut, rutyną i sprawnością, opowiada romans kolosalnie bogatego, kolosalnie szlachetnego, kolosalnie mądrego księcia z niesłychanie uroczą, niesłychanie rozumną, niesłychanie dobrą szlachcianeczką, różne dość monotonne perypetje tego romansu,

kończącego się naturalnie jeśli nie dokonanym, to przynajmniej postanowionym i zatwierdzonym przez najwyższą instancję marjażem. Tłem całej tej okrutnie romantycznej historii jest życie sfer arystokratycznych, oddane bardzo sumiennie, acz jednostronnie, z rzeczywistą znajomością tych sfer, widzianych bezpośrednio, a nie, jak to najczęściej bywa, z przedpokoju, albo przez dziurkę od klucza. Dwie zasadnicze wady ma powieść p. Mniszek: straszną rozwlekłość i gadatliwość, oraz wprost balwochwalczą idealizację obu głównych postaci romansu i jeszcze kilku innych. Ten nieskończenie mądry, szlachetny i piękny książę-ordynat staje się wskutek tego zupełnie papierową, nie mającą w sobie życia i prawdy figurą, wznosi się w empirejskie, nadziemskie sfery, staje się takim, jakim być powinien, a nie takim, jakim być mógł, wyolbrzymia się niemożliwie. Doskonałość jego jest tak dobitnie, tak szczegółowo wykazywana i eksperymentowana; cała jego postać tak nieustannie *en beau* w jak najjaskrawszem świetle malowana, że wreszcie nudzić zaczyna piekielnie i chciałoby się, żeby ten rycerz *sans peur et reproche* pokazał jakąkolwiek achillesową piętę, aby zbliżyć się do poziomu realnego, z życia wziętego typu, a przestać być aniołem. Tak samo zbyt anielska jest i umiłowana przez ową męską doskonałość niewiasta, której śmierć jest w dodatku zupełnie nieumotywowana i niepotrzebna, a zamierzonego przez autorkę dramatycznego i tragicznego wrażenia wcale nie wywiera. Budzi tylko uczucie ulgi, że cała ta romantyczna historia nareszcie się kończy. Wogóle z tej pierwszej powieści nie sposób wnioskować o talencie debutantki; złym prognostykiem jest wielka rutyna i gadatliwość, dobrym umiejętność charakteryzowania i stawiania poszczególnych postaci, wcale zgrabna konstrukcja powieści, łatwość i płynność dialogu, który jednak najczęściej obraca się w sferze zbyt banalnych ogólników. Autorka, mimo swą romantyczność, zbyt wiele ma trzeźwości i spokoju, za mało tempera-

mentu, albo też temperament swój zanadto trzyma na wodzy i tai go tak, że nie sposób go dostrzec.

Powieść p. Heleny Mniszek stoi jednak o całe niebo wyżej od zupełnie banalnej gawędy p. Anatola Krzyżanowskiego („U progu nowego życia“, Warszawa, 1908), pełnej postaci znanych już zbyt dobrze, zupełnie papierowych i manekinowatych, wplątanych w przygody równie banalne a nieprawdopodobnie dane. Gawęda to, jakich już zbyt wiele. To samo powiedzieć można o bezwartościowych nowelistycznych wypracowaniach Es-Teza, czy Es-Tezy („Oderwane liście“, Lwów, 1909), których nie ratują wcale pretensjonalne i patetyczne wykrzyki i pseudomodernistyczne, równie banalne nastroje. W stopniowej gradacji w dół, dochodzimy do powieści p. M. Czernego („Janina Obolecka“, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1908), tej próby transponowania w nasze stosunki onej smutnej tragedji Marion Delorme i „Damy kamelowej“, która tu staje się tragedją marjonetek, mających w sobie zamiast krwi—sok malinowy. Nie ratują powieści p. Czernego sceny niby erotyczne, a graniczące z nieudolną pornografią. Wprowadzenie w powieść półświatka warszawskiego, idealizowanego przytem niemożliwie, nie powiodło się p. Czernemu wcale.

Pomijając bezdarne, grafomańskie elukubracje p. Aleksandra Bugskiego („Z cyklu *Dusza*: Szał,—Dzieci chaosu“), który popełnił je—jak sam powiada—tylko dlatego, by „stanać mógł przed sądem potomności z imieniem nieposzlakowanym“ i w tym celu „nie liczy się zgola z swoim nędznem, skarłałem stuleciem, tym bękartem reklamy i bydlęcej, bezdennej rozkoszy i nędzy“, pomijając więc obie te książki i odsyłając z spokojnem sumieniem autora ich przed ów „sąd potomności“, przechodzę do kilku typowo kobiecych powieści, które też i wyłącznie kobiecemi sprawami się zajmują. Są to powieści wybitnie tendencyjne, w których artyzm usunięty jest na plan drugi, a właściwie zaniedbany zupełnie, a cała waga położona na postawionej apriorycznie tezie.

Pierwsze miejsce zajmuje tu powieść p. Ireny Mrozowickiej („Po zwycięstwie“, Lwów, 1909, Księgarnia Polska B. Polonieckiego), powieść w tendencji swej bardzo konserwatywna, bo sympatyzująca właściwie z ograniczeniem się kobiety na dawne pola działania, a zwracająca się przeciwko szukaniu nowych dróg, zdobywaniu nowych dziedzin pracy. Powieść to i technicznie w starym stylu, oparta na zewnętrznym opisie faktów, bez psychologicznego pogłębienia, choćby *à la* Bourget, bez dramatu, któryby się *dział* istotnie w oczach czytelnika, a nietylko w oczach relacjonującej o nim autorki. Ale rzecz napisana jest poprawnie, dobrą polszczyzną, zbudowana zgrabnie i zupełnie odpowiednia dla młodzieży płci żeńskiej.

O wiele gorzej, choć z większym temperamentem, napisana jest powieść p. Emmy Jeleńskiej („Kobieto, puchu marny“... Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909), zwrócona również przeciwko emancypacyjnym prądom, jeśli one oddalić mają kobietę od domowego ogniska i od jej „przyrodzonych“ obowiązków; ale p. Jeleńska walczy również przeciw kobiecie „lalusi“, pozbawionej wszelkiego moralnego kośćca—przeciwko wszelkim „pannom na wydaniu“, które w małżeństwie widzą jedyny cel, jedyną przystań, dającą im możliwość zadowolenia wszystkich potrzeb ściśle fizycznych, wszystkich fantazji, wszystkich kaprysów i to bez pracy, bez żadnego poświęcenia. Jest to powieść napisana—jak wszystkie powieści p. Jeleńskiej—pod bezpośrednim wpływem Orzeszkowej i Rodziewiczówny, ale bez talentu, nie mówiąc już Orzeszkowej, a przynajmniej Rodziewiczówny. Wszystkie postacie przypominają natychmiast znane oddawna wzory i szablony; wszystkie są jednakowo papierowe, pozbawione życia i silnej, wewnętrznej, a nie powierzchownej charakterystyki: budowa powieści również banalna, niedbała, wedle różnych znanych wzorów sklecona. Polszczyzna pozostawia wiele do życzenia; o jakimkolwiek zaś stylu, choć trochę indywidualnym niema nawet mowy.

Przeszło pół wieku temu Lucjan Siemieński twierdził, że „kobieta z czystym swoim organizmem, nie zepsuta szkodliwymi wyobrażeniami, ma wszystkie cudowne dary jasnowidztwa, wszystkie fenomeny instynktowości. Pomimowoli jakby w śnie magnetycznym, umie ona czytać w myślach otaczających ją osób; umie, jak orzeł zakryty obłokiem, przeczuć zdobycz swoją w przestworzach powietrza. Każda z nich, przychodząc na świat, przynosi z sobą cząstkę daru wieszczki pityjskiej i najgorzej wychodzi na tem, że tłumi w sobie głos Boga, obwieszcza jej prawdę, ażeby natomiast słuchać, co jej prawia pedanty, którzy wzamian wyższej intuicji w tajemnice natury i ducha, uczą jej pustych frazesów“.

Ciekawe jest, coby wielki krytyk powiedział dzisiaj, patrząc, jak większość piszących kobiet wyzbyła się zupełnie „cudownych darów jasnowidztwa“, wszystkich „fenomenów instynktowości“, a wzamian wyższej intuicji w tajemnice natury i ducha, nauczyła się mnóstwa „pustych frazesów“, które powtarza jak gramofon. Powodzą „pustych frazesów“ są powieści p. Jeleńskiej; o zupełnem „wyzbyciu się instynktowości“ i intuicji w tajemnice natury i ducha świadczą tak powieści p. Jeleńskiej, jak i twory p. A. Kallasowej. To też o ostatniej powieści tej autorki („Ona i oni“. Warszawa, Nowości literackie, 1909) wolę zamilczeć, zaznaczając tylko, że i najlepsze pomysły, najlepsze chęci, najpostępowsze tendencje nie zastąpią zupełnego braku talentu, którym nie jest jeszcze łatwość pisanie i operowania użytymi frazesami.

Ze wszystkich autorek, których książki omawiam dziś, najwięcej świeżości i dobrych chęci ma p. Alicja Szamota („Orły“. Warszawa, Wydawnictwo Kasy przeczności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich, 1909). Zamiar debutantki był piękny i odważny, ale siły zamiarom nie podolały. Chciała w powieści swej dać szereg typów „nowej kobiety“, tych jaskółek, zapowiadających nową, inną wiosnę. I to jej się nie udało. Wszystkie cztery postacie „orlic“, pomyslane bardzo dobrze,

wykonane są bardzo źle. Przesuwają się w niezmiernej dali, zamglone, nieuchwytne i w tej dali, w tem zamgleniu, w tem zamazaniu konturów, wydają się zupełnie identycznymi, pozbawionymi charakterystycznych, indywidualnych rysów. Szkicowe, pobieżne *opowiadanie* ewolucji psychicznej tych postaci, nie jest w stanie zastąpić ścisłej, zwartej analizy psychologicznej, *opowiadanie* bardzo pobieżne faktów nie może zastąpić ich realistycznego odtworzenia. Dlatego też, a nie dla pamiątkowej formy, obranej przez p. Szamotę, powieść jej nie jest powieścią, jest tylko serją lirycznych wynurzeń, które stać się mogą dopiero materialem do powieści. Takich rzeczy drukować *jeszcze* nie wolno, a jeśli już chce się koniecznie drukować, to w każdym razie nie można ich „zdobić“ tak brzydką, tak niesmaczną winietą. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa p. A. Szamota ma talent, ale te zarodki talentu rozwijać należy zmusną, pełną najsurowszego autokrytycyzmu pracą. Pochwały i zachęty tego rodzaju, jak te, któremi zaopatrzyła „Orły“ w przedmowie p. Cecylja Walewska, są tylko niedźwiedzią (*excusez le mot*) przysługą. Nie tylko oburzają one czytelnika, który po takiej przedmowie spodziewa się arcydzieła, a rozczarowuje się srodze, ale i bałamuca młodą autorkę, która wobec ujemnych głosów sumiennej i bezstronnej krytyki, sama nie wie komu wierzyć i co o sobie samej sądzić.

P. Szamota (znów niegramatyczność w przytaczaniu przezemnie nazwiska wynika z winy autorki)—jak to już powiedziałem—wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ma talent i to talent typowo, w najlepszym tego słowa znaczeniu kobiecy. To znaczy, że—znów wedle wszelkiego prawdopodobieństwa—nie tylko umie z kobiecego punktu widzenia patrzeć na świat, ale i ma odwagę wypowiadać szczerze swe myśli, uczucia i wrażenia, czysto kobiece.

Józef de Maistre w liście do córki wypowiedział

prawdę dotychczas niezbitą: *La femme ne peut être supérieure que comme femme; mais des qu'elle veut égaler l'homme, ce n'est qu'un...* Dokończyć nie mogę — bo nie wypada.

Typ kobiecy różni się od typu męskiego, nie tylko pod względem fizycznego ustroju; różnica przejawia się w każdym kierunku, w ustroju duchowym nie mniej, niż w ustroju fizycznym. Niema tu mowy o wyższości, czy niższości jednego typu wobec drugiego; jest tylko skonstatowanie faktu bezwzględnie prawdziwego, że typ kobiecy jest *inny*, niż typ męski, a w szczególności umysł kobiecy jest *inny*, niż umysł męski. Różnica rodzajów ma daleko szersze granice, niż je zakreśla gramatyka z jednej, anatomja z drugiej strony. Styl, myśl, uczucie, wrażenie, wyobrażenie ma swoją pleć; jedno i to samo na pozór, inne jest w istocie u mężczyzny, inne u kobiety. Jedno i to samo wrażenie inaczej odczuwają zmysły, nerwy i dusza kobieca, inaczej zmysły, nerwy, dusza męska. Jedna i ta sama myśl inaczej formułuje się w mózgu męskim, inaczej w mózgu kobiecym. I właśnie ta różnica pojmowania i odczuwania, różnica myśli, wyobrażeń, uczuć, procesów psychicznych, wrażeń, powinna przejawiać się wyraziście i szczerze w twórczości powieściowej kobiet.

Dusza kobieca jest dla mężczyzny taką samą zagadką, jak dusza męska dla kobiety. Mężczyzna domyślać się tylko może, co się w duszy kobiecej dzieje, przez co ona przechodzi, co ona wyczuwa. Ogromny wysiłek pracy obserwacyjnej i odtwórczej, ogromna zdolność kombinacyjna, mozolne i zawiłe rozumowanie, szczególna i wyjątkowa intuicja, odkrywają mu zaledwie niektóre zakątki duszy kobiecej. I tylko gienjalne talenty mają chwile jasnowidzenia, w których otwierają się przed nimi stworzone ich wyobraźnią dusze kobiece, pozwalając wglądać w siebie i poznać swe tajemnice.

Twórczość powieściowa kobiet, dotąd była wyłącznie

prawie naśladownictwem twórczości męskiej. Dopiero od niedawna, bardzo niedawna, zaczął się zwrot w tym kierunku. Kobieta pisząca zaczyna mieć odwagę szczerości, spowiadania się z swych własnych obserwacji, wrażeń i myśli. Od twórczości niby przestarzałej dziś autorki „Krystyny“, poprzez Orzeszkową, Zawistowską, aż po dni dzisiejsze, ciągnie się linja bardzo długa, nieustannie przerywana, pozbawiona wszelkiej ciągłości ewolucyjnej. Właściwie teraz dopiero powstawać zaczyna, powstać może powieść istotnie kobieca. I w tym kierunku rozwinąć się może talent p. A. Szamoty, przy wielkiej pracy nad sobą, przy kształceniu się nie tylko intelektualnem, ale, i to przede wszystkim, artystycznem, przez opanowanie techniki twórczej najwyższych mistrzów nie tylko naszych, ale i obcych, i wyjście poza tę technikę przestworzenie techniki własnej, indywidualnej. A przytem przez wyrobienie w sobie jaknajsurowszego autokrytycyzmu, w myśl owych wiecznie prawdziwych słów Sainte-Beuve'a, który w jednym z listów swych powiada: *J'aime les livres vrais, les livres qui sont le moins possible des livres et le plus possible l'homme même; mais à la condition qu'ils vaillent la peine d'être donnés au public et qu'ils ajoutent à l'idée qui mérite de survivre.*

Po tej linji wyzwolenia się z szablonów, narzuconych przez męską twórczość i stworzenia istic kobiecej powieści, dąży w swej pracy pisarskiej p. Eugenia Żmijewska. Wolę co prawda jej pierwszą powieść, przedstawiającą pierwszy okres życiowy tej panny, wychowanej źle, głupio, archaicznie i przechodzącej wskutek tego różne fatalne przygody, nie umiejącej sobie dać rady z życiem i samą sobą. Zgadza się zupełnie z Eliza Orzeszkową, która w przedmowie do tej drugiej powieści („Dola“. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909) zaznacza, że za dużo w niej fizjologii, a szczególnie patologji. Za mało — i na tym punkcie szwankują wszystkie powieści kobiece — subtelnej, logicznie i kunsztownie przeprowa-

dzonyj analizy psychologicznej; za mało sięgania w głąb duszy i odtwarzania rozgrywających się w tej głębi procesów z mikroskopijną, bezwzględną dokładnością. Sam zresztą charakter tej dobrej, pocziwej, nieporadnej, ale przytem bajecznie ograniczonej i płytkiej dziewczynki, która prócz ognistego temperamentu, nie w sobie nie ma szczególnego, nie nadaje się do tego rodzaju techniki. Zbyt wiele dyskrecji i w kierunku osobistych wrażeń, i wywołanych przez zmysły przeżyć psychicznych młodej dziewczyny, wobec rzeczywiście za daleko posuniętej otwartości pod względem przeżyć fizjologicznych, danych jednak bardzo zewnętrznie i opisowo. Mimo wszystkie wysiłki autorki, nie mogę uwierzyć w istnienie tych aniołków, które mimo dwudziestu kilku lat, przeżytych na tym padole płaczu, mimo ognistego temperamentu i rozbudzonych wczesnie zmysłów, zachowały bezwzględną naiwność i wiarę w społeczne funkcje bocianów, jako rozmnożycieli ludzkości. Bądź co bądź jednak powieść p. Żmijewskiej, ze wszystkich omówionych dziś powieści kobiecych, jest najciekawsza i najlepsza.

Na ogół bilans dzisiejszego sprawozdania, dość smutny.

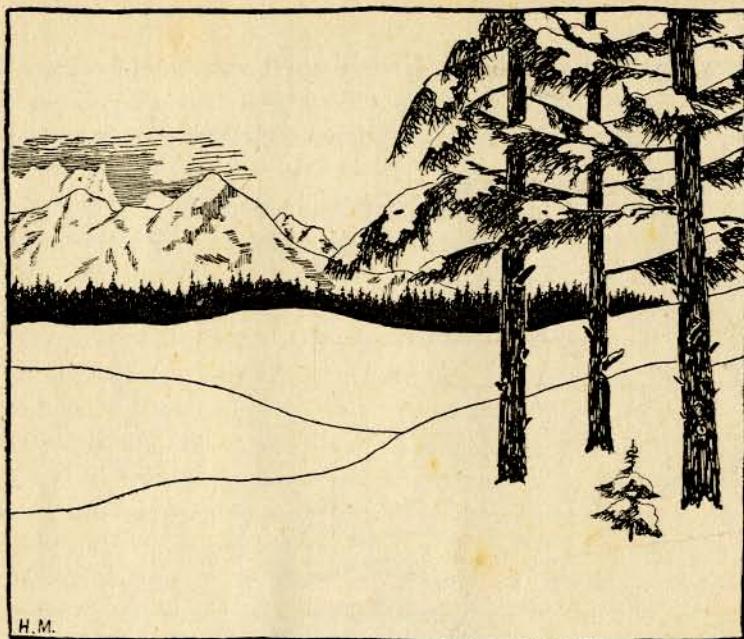
Pokazuje się, że większość piszących nie wie i nie chce nie wiedzieć o ewolucji sztuki powieściowej u nas i na zachodzie, nie ma w sobie tej dążności do doskonalenia się, bez której niema prawdziwego artyzmu. Przeważna większość idzie dalej utartą od dziesiątków lat ścieżką, nie dbając o to, dokąd i jak. Niech tam się dzieje co chce, „a nam tymczasem młynek na strudze obraca plewy swoje i cudze“ i terkocze zawzięcie *senza fine*.

Tymczasem zaś przyzwyczajenie ogółu czytelniczego do lekkiej strawy, jaką mu daje większość powieści, rozleniwia umysły jeszcze bardziej, wytwarza w czytelniczej masie brak krytycyzmu, zadawanie się byle czem, niechęć do książki głębszej i doskonalszej, która chce dać

coś więcej prócz zabawy i rozrywki bezmyślnej—wytwarza niezdolność do odczuwania silnych i szczerych wrażeń estetycznych, do rozumienia wielkiej, prawdziwej sztuki.

A powódz banalnych i efemerycznych, bo nie mających w sobie siły życiowej, powieści wzmagają się ustawicznie i groźnie.





BRONISŁAW PIŁSUDZKI.

NA NIEDZWIEDZIEM ŚWIECIE U AJNÓW

Z WYSPY SACHALINU.*)

Zatrzymałem się czas jakiś w niedużem miasteczku Korsakowsku, dziś już nie istniejącem. bo zburzone zostało i spalone podczas ostatniej wojny rosyjsko-japońskiej. Teraz na tem miejscu już się odbudowuje i wyra-

*) Sachalin ma nietylko bogatą florę i faunę, ale jest także interesującym etnograficznie. Zaludniają tę wyspę trzy tubylcze, pierwotne szczepy: Orocy, Gilacy i Ajnowie. Pierwsi należą do plemion tunguskich, dwa drugie, choć od siebie zupełnie różne, dzięki jednak swej zagadkowości pochodzenia i z braku pokrewieństwa z otaczającymi ludami, zaliczają się etnograficznie do specjalnej grupy, do szczątków ludów paleoazjatyckich.

sta miasto japońskie, pod starą ajnoską nazwą: Kusunkotan.

Chciałem odpocząć po kilku dłuższych wycieczkach do Ajnów, gdy mi dano znać, że za kilka dni ma się odbyć u nich niedźwiedzie święto, które zobaczyć bardzo pragnąłem. Zamówiłem więc konie pocztowe i nazajutrz już wyruszyłem w podróż. Zbliżał się wieczór, gdy dojechałem do osady ajnoskiej, Sijance, złożonej z trzech niedużych jurt, schowanych wśród gęstych zarośli, na wysokim brzegu największej na południu Sachalinu rzeki Najby.

Gospodarz jurty, do której wszedłem, chudy, trzydziestokilkoletni Ain Ussajro, siedział na zwykłym miejscu pana domu, z lewej strony od wejścia, plecami do szerokich, ciągnących się wzdłuż ściany nar. Wpatrzony w wesoło igrające płomyki, Ussajro rysował po piasku ogniska pałeczkami do zapalania fajki, biorąc w nie węgielki. Usiadłem na rozpostartej macie, plecami do tylnej ściany, jak wypada gościowi.

Rozmowa potoczyła się o mającem się odbyć święcie.

— Nie w porę—mówił gospodarz—ono w tym roku i dla mnie i dla wszystkich Ajnów. Teraz byłby czas przygotowywania pętli i wyruszania w góry na polów soboli. Jeżeli święta się zaciągną, to już niema co liczyć w tym roku na jakiś dochód z polowania. A nie jechać nie mogę. W roku przyszłym będę musiał wyprowadzić sam siedzącego teraz w klatce niedźwiadka i jeżeli nie zobaczę się ze starszyzną, co się pozbiera z najdalszych wsi, to nie będę miał innej sposobności zaprosić ich do siebie.

— A przytem—mówił dalej Ussajro zniżonym i smutnym głosem—spotkało nas niezwykle nieszczęście. Sześciu młodych ludzi utonęło w morzu. Popłynęli jednego poranka tej wiosny, by upolować fokę, lecz nie wrócili. Popołudniu powiał wiatr od brzegu i widocznie nie mieli biedacy sił, by przylądować; fala przewróciła lub rozbila

łódź. Kawalki jej zostały wyrzucone na brzeg po dniach dziesięciu. Nie znamy nic straszniejszego nad śmierć w morzu. Krewni nie mogą oddać ostatniej posługi zmarłemu. Zwyczaj każe nam w tym wypadku wyrzucić wszystkie rzeczy, które do nich należały, dlatego też i niedźwiedzia, którego oni karmili, zabijają nie w zimie, lecz możliwie prędko, zaraz po ukończeniu połowu ryb, przed pierwszym śniegiem.

Ussajro chętnie się zgodził zabrać mię z sobą, prosił jednak, bym przyrzekł nikomu nie mówić o opowiedzianym przez niego wypadku, bo bym sprowadził ból drażliwym i czułym Ajnom, mógłbym ich odstręczyć od siebie i niczego od nich się nie dowiedzieć.

Następnego dnia para rączych, niedużych koni, zaprzężonych do trzęsącej, prostej bryki, przybliżała nas do miejsca, ku któremu podążali włosaci tubylcy z daleka i z bliska, pieszo i w łódkach. Obok mnie usadowiła się żona Ussajry, młoda jeszcze kobieta, lecz już ociężała i mało ruchliwa, wystrojona w nowy świąteczny ubiór ze skór łososi, podpasany ciężkim pasem rzemiennym, do którego były przyszyte mosiężne blaszki i kółka różnej wielkości. Siadła ona na jednym z *panem* siedzeniu ze świeżo skoszonej trawy, po długich namowach swego męża, i czuła się wciąż zażenowaną, lękała się na mnie spojrzeć, co wywoływało wesoły śmiech otaczających nas dzieciaków.

Ussajro był jednym z lepszych myśliwych swego plemienia i jednocześnie pionierem w rolnictwie, do którego się wziął od kilku lat, pod wpływem swych przyjaciół osiedleńców. Oni to nauczyli go jazdy końmi, do czego uczuł szaloną namiętność. Zimą w saniach, a latem konno przejeżdżał cwałem przez wioskę, krzycząc, śpiewając i rzucając się z jednego boku na drugi. Naśladował w ten sposób pijanych osiedleńców i wierzył, że podnosi się w oczach białych ludzi, którzy go już uznają za człowieka kulturalnego, a nie „dzikiego“. Niedawno jednak nowo-mianowany dozorca policyjny, coś

w rodzaju *urjadnika*, postanowił wprowadzić większą dyscyplinę wśród powierzonej jego pieczy ludności i zabronił śpiewania na ulicy. Zatrzymał raz pijanego Ussajrę, a gdy ten nie chciał usłuchać jego rozkazu i zamilknąć, wsadził Ajna do kozy na całą dobę. Obrażony i zgnębiony Ussajro wrócił do domu trzeźwy i cichy, lecz głęboko przekonany, że go skrzywdzono i że przedstawiciele władzy policyjnej są dalecy od sprawiedliwości.

Wyjeżdżając ze wsi, spotkaliśmy tego wroga Ussajry. Sprawilo mu to taką przykrość, iż odrazu jego dobry humor znikł, w milczeniu i z pewną zaciętością popędzał wciąż batem koniki, które jeszcze przedszym kłusem pobiegły po równej, dobrze ubitej drodze. W godzinę niespełna byliśmy już nad brzegiem surowego i wiecznie szumiącego morza Ochockiego. Fale jego wspięły się i rozbijały z łoskotem o płaski, piaszczysty brzeg. Owiewani przyjemnym, orzeźwiającym wiatrem, spoglądaliśmy z rozkoszą na wzdymające się i opadające bałwany morskie, na majaczący we mgle przed nami szereg górzystych przylądków i przesuwającą się, niezbyt urozmaiconą panoramę nadbrzeżnych widoków: nieduże pagórki piaszczyste, jodłowy i modrzewiowy las, przerzynany wązkami dolinami rzeczulek, które przejeżdżaliśmy w bród bez trudu w płytkim ujściu ich do morza.

Koło trzeciej popołudniu podjeżdżaliśmy do malowniczo położonej między morzem i gęstym starym lasem jodłowym osady ajnoskiej Otasan, jednej z najludniejszych na całej wyspie. Szczekanie co najmniej setki czujnych psów na uwięzi dało znać mieszkańcom o naszym przybliżaniu się, i gdyśmy wjechali w ulicę koło zabudowań, już kilkadziesiąt dzieciaków różnego wieku z gapiowatą ciekawością wpatrywało się w wóz z gośćmi nieoczekiwanymi. Lecz zaraz potem z okrzykiem „*Nucia ariki*“, (Rosjanin lub biały człowiek przyjechał!) pobiegły do swych domów, z których zaczęły się ukazywać postacie dorosłych, przeważnie kobiety. I one też, udając, że idą powoli do swych składów, spoglądały pytająco na niezna-

mego przybysza. Zatrzymaliśmy się u niedużej jurty brata Ussajry, Tomkina. Chociaż był starszym od Ussajry, zostawił swego młodszego brata na gospodarstwie w domu rodzinnym, a sam przyjechał do Otasanu dla swej żony, której stara matka mieszkała tutaj i nie chciała puszczać daleko od siebie swej jedynaczki.

— *Sirankuri!* — zakrzyczał Tomkin, poznawszy mnie, gdy się zbliżał do jego jurty — obydwuch braci poznałem już poprzednio, sześć lat temu, będąc wypadkowo krótki czas we wsi Sijancach. Tomkin miał szczególniejszy pociąg do białych kolonistów, był tłumaczem i przewodnikiem kilku urzędników, którzy jeździli po wyspie dla jej zbadania, i każdego ze swych przyjaciół nazywał „sirankuri“, t. j. krewny.

Ogromnie się ucieszył z mego przyjazdu. Sporządził mi na narach honorowe miejsce obok siebie, a rzeczy moje ustawił przy tylnej ścianie i wypędził precz cudze dzieci, które, pożądamy nowych wrażeń, nie odrywały oczu odemnie i rozkładanych notatek. Dziesięć minut zaledwie upłynęło, a my siedzieliśmy już koło niziutkiego stoliczka, postawionego na narach i zastawionego filiżankami, pełnemi niezbyt smacznej, lecz gorącej i przyjemnej po podróży herbaty.

— Wszystko to zupełnie czysto przyrządzone, możesz pić śmiało — upewniał mnie Tomkin — żona moja już się nauczyła podawać panom, mamy dla gości zupełnie specjalne naczynia, a i herbata też nie cegielkowa, ale „familna“. Moimi przyjaciółmi są nietylko dozorca policyjny, dozorca przemysłowy i kupcy z sąsiednich wsi rosyjskich, lecz i mirowy sędzia z lekarzem zawsze do mnie zajeżdżają. Wszak ja jeden tutaj umiem po rosyjsku... Na przyszły rok wybuduję obok swej jurty i chałtę włościańską, by i mnie i gościom przyjezdnym było cieplej. Umyślnie się przypatrywałem robocie cieśli, gdy mieszkał jeszcze w Sijancach. Źle tylko, że jestem sam jeden, syn oto widzisz, jaki jeszcze mały, pomoc będę miał z niego chyba za lat sześć lub siedem.

Rozmowny Tomkin prawił bez końca, i na moje pytania i bez nich, zapoznając mię ze szczegółami życia swego i swych sąsiadów, oraz oczekiwanego święta.

Goście z północy jeszcze nie przybyli i uroczystość odłożono o kilka dni, chociaż wszystkie przygotowania były już prawie ukończone. W towarzystwie Tomkina poszedłem po herbacie do jurty, gdzie się one odbywały.

Duża jurta o dwóch ogniskach wydała mi się jaśniejszą od innych, widocznie dodawały jasności świeżutkie białe maty, któremi ściany były poobwieszane. Piękny i dość skomplikowany ciemnego koloru haft, idący przez całą długość maty, wskazywał, że na pracę tę zużyto dużo czasu, uwagi i artyzmu, który posiada nie każda przeciętna kobieta. Takie maty przygotowują specjalne znawczynie robót kobiecych, krewnie rodziny, urządzającej święto. Za pracę swą nie nie otrzymują, zadowolone moralnie świadomością, że dostarczyły wszystkim przyjemności i dodały blasku domowi, który mógł wystąpić przed licznymi i rzadkimi gośćmi nie gorzej, a może nawet i lepiej od innych.

Odrzu przy wejściu do jurty uczulem silny zapach, który mi przypominał nasze gorzelnie. Przyrządzano tutaj z ryżu napój odurzający, zwany „sakié“. Nad ogniem wisiał kocioł, w którym się gotował ryż; u ściany stała beczka, obłożona i obwiązana z góry i z boków starem, watowanym ubraniem, co się robiło dla przyspieszenia fermentacji. Przy drugiej beczce stał młody Ain z rzeszotem w rękę i przecierał na niem wydobywany z trzeciej beczki gąszcz ryżowy. Płyn, który ściekał przy wyciskaniu gąszczy, był już gotową „sakié“. Proces wyciskania odbywa się kilkakrotnie, bo do gąszczy dodaje się wody, otrzymując kilka gatunków napoju rozmaitej mocy. Najslabsza „sakié“, nazywana wódką, służy wyłącznie dla kobiet i dzieci.

Zapatrzonny w odbywającą się fabrykację, nie zauważyłem, że Tomkin wymknął się nieznacznie z jurty,

zostawiając mnie samego wśród nieznajomych ludzi. Niezadowolony ton przyciszonej rozmowy dwu z pośród nich dotyczył widocznie mojej osoby. Milczenie reszty z zawziętem unikaniem spojrzenia mi w oczy świadczyło, że, suggestjonowani przez mówiącego, uczuwali do mnie niechęć, krępowali się moją obecnością. Gospodarz domu, któremu mię zarekomendował Tomkin przy wejściu, znikł także tajemniczo. Uważałem za stosowne odejść i nie wydawać się natrętnym.

Odnalazłem Tomkina, który poradził mi, abym poszedł do gospodarza niedźwiedzia i uroczystości, mieszkającego gdzieindziej, bo uroczystość miała się odbyć w większej jurcie, udzielonej na ten cel przez jednego z sąsiadów. Z niewielką ilością podarunków, z paczką tytoniu liściastego, cukru i pierników poszedłem do wskazanego mi domku. Zabudowanie było zupełnie nowe, ukończone miesiąc temu, już po utonięciu wspomnianych wyżej myśliwych z sąsiedniej osady, położonej o 4 kilometry na północ. Ta ostatnia została porzuconą, mieszkańcy przenieśli się do innych wsi, a część ich zbudowała tę oto jurkę, do której wszedłem.

Spotkał mię wysoki, równo i z godnością trzymający się Ain, lat pięćdziesięciu pięciu. Twarz jego była pokryta dużymi piegami, lecz różowa cera policzków, duże, łagodne oczy i spokój, który od niego wiał, budziły dlań sympatię. Od pierwszego momentu naszej znajomości, staliśmy się przyjaciółmi.

Słyszałem już o tym powszechnie szanowanym Tekunce-ciacia (starzec). Opowiadano mi o nim, jako o człowieku, który do starości rządzi dwoma domami. Ożeniony z bogatą kobietą, stanął na czele domu żony, bo brat jej okazał się niezdolnym do samodzielnej gospodarki. A ponieważ w swojej rodzinie Tekunka był najstarszym mężczyzną, więc często dojeżdżając do niej, trzymał w swych rękach ogólny zarząd rodzinnego domu. Wszyscy dorośli w tej rodzinie wyginęli, wezwano więc z pół-

nocy jedyne jeszcze żywego krewniaka i przy jego pomocy powstała nowa jurta.

Był właśnie zajęty ze swym starym wujem przeglądaniem japońskiego naczynia lakowanego: miseczek, tacek i rozmaitych płaskich pałeczek, rzeźbionych i malowanych, używanych przy picu sakie. Staremi, poczerńniętymi od dymu i wieku ściereczkami, przecierali każdą rzecz i oglądali spód jej, na którym były powyrzynane specjalne znaki. Dla wszystkich, mających się zebrać go, ści, naczyn tych, rozumowali, będzie zamało, więc mieli pożyczać od sąsiadów. Żeby zaś nie popłacać potem właścicieli, każdy gospodarz robił inny znak na swych naczyniach. Jednocześnie jednak nowy młody gospodarz dowiadywał się i historii tych starożytnych rzeczy. Równym, spokojnym i pewnym głosem objaśniał starzec pochodzenie każdej z nich. Tak więc jedna z misek była przywieziona przez prababkę, rodem z zachodniego brzegu wyspy, druga—była wypłacona dziadkowi, jako kara, przez jego rówieśnika, z którym się o coś prawował, cztery jednakowe były kupione przez ojca Tekunki u Japończyków, gdy ci pierwszy raz zaczęli łowić ryby w ich rodzinnej wiosce, i t. p.

Po ukończeniu tej pracy i wspomnień o czasach ubiegłych, cenne u Ajnów naczynia lakowane, złożono do dużych lakowanych również łubów wygiętych, formy cylindra, które stoją zwykle ustawione rzędami przy tylnej ścianie.

Zawołano starego do dużej jurty. Przepraszając mię, wyszedł, poradziwszy mi przypatrzeć się pracy kobiet. Zebrało się ich tu najmniej dziesięć. Skupione, siedziały blisko jedna drugiej na narach i na podłodze, czasem tylko słyhać było urywane, krótkie pytania i takież lakoniczne odpowiedzi. Najmniejszej wesołości, ani jednego uśmiechu na czyjejkolwiek twarzy... Czarny cień ciężkiego smutku zawisł nad pochylonymi głowami zajętych pracą niewiast.

Młoda i możnaby powiedzieć przystojna dziewczyna, gdyby nie obrzydliwe tatuowane usta, plotła pasek z suszonych łodyg rośliny, używanej za pokarm. Druga, starsza od niej, z twarzą przypominającą cygankę, plotła w duży warkocz pęk długiej i miękkiej trawy, którą Ajnowie wkładają do obuwia zamiast onuczy. Dwie inne kobiety, trzymając zamorusanych dzieciaków na kolanach, nanizywały na nitki suszone cebulki sarany i okrągłe kartofelki rośliny „*Coridalis ambigua*“. Wszystko to, razem z kilku suszonymi rybami i sporym pęczkiem tytuniu, miało być zawiązane do plecionki z trawy, która też była na ukończeniu w zręcznych rękach staruszki, siedzącej w kącie. Zawiniątko to miano dać niedźwiedziowi na drogę, gdy po zabiciu pójdzie od ludzi do swych rodziców.

U samego wejścia siedziały na podłodze dwie figury, które mogłem zaliczyć do kobiecych jedynie ze względu na głowy, porosłe czarnymi, jak węgiel, błyszczącymi włosami i brak golonych łysin, dosięgających u mężczyzn do środka ciemienia. Pochylone nad dużą niecką, rozcierały one tłuczkami gotowane cebulki sarany i od czasu do czasu dolewały białej, jak rzadkie mleko, wody z naczynia, na którego dnie leżał kawał białej, tłustej gliny. Korzenie dzikich traw z jagodami, zalane roztworem tej gliny, uchodzą za jeden z przysmaków ajnoskich. Koło ognia kręciło się kilka gospodyń, wciąż wysypujących do niedużych kociołków żelaznych różne korzonki i jagody. Przygotowywano potrawy, które miano uczcić gości.

Dzieci, zaglądające do jurty, pędzono precz na podwórze; zostawały tylko takie, które potrzebowały matczynej pomocy. Lecz po nakarmieniu ich piersią, matki poprzywiązywały je do pleców dziewczynek-podrostków, i te małe niańki, jakby bawiąc się w lalki, pobiegły podskakując na ulicę, skąd dochodziły krzyki dziatwy, donoszącej o zbliżaniu się nowych gości.

Wyszedłem i ja, chcąc wyrzeć na światło i uwolnić się od ponurego tła, od smutnego, przytłaczającego nastroju.

Wśród biegającej na ulicy dziatwy, zauważyłem sporo owrzodzonych, ze strupami na głowach i twarzach. Miałem z sobą zapas lekarstw i zaproponowałem środek jakiś jednej z kobiet, ocierającej łzy rozplakanego dzieciaka, który się skarżył na ból zęba. Otrzymałem odpowiedź, że niema pieniędzy. Gdy zaś wyjaśniłem, że nie żądam ani kopiejki, chętnie się zgodziła i wnet koło mnie utworzyło się zwiększające się coraz bardziej grono matek i dzieciaków, które przeważnie mężnie i bez protestu poddawały się opatrunkowi. Byłem zdumiony, gdy zobaczyłem obok siebie młodego Ajna, który w jurcie wyrażał względem mnie niezadowolenie, a teraz grzecznie prosząc o udzielenie pomocy, podsunął mi małego chłopczyka, swego brata, skarżącego się od kilku dni na silny i nieustający ból żołądka.

Już ciemniało, gdy ukończyłem swą praktykę lekarską. Nie wszystkim byłem zdolny pomóc, lecz czułem, że w ten wieczór nastąpiło między mną i ludnością zbliżenie i rzucony był grunt dla przyjaźni, która potem się wzmocniła.

Nazajutrz rano wysłano gońców do najbliższych wsi z oznajmieniem, że święto ma się zacząć jutro z wieczora. USSAJRO miał jechać konno na północ i chętnie dał mi swego drugiego konika, bym mógł mu towarzyszyć.

Zjechaliśmy na oświecony promieniami wschodzącego słońca piaszczysty brzeg morza. Było cicho wokoło, i morze zdawało się odpoczywać po kilkodniowej walce. Odpływ dochodził do kulminacyjnego punktu i szum był słaby, co jest rzadkością na wybrzeżach zimnego i głębokiego, jak ocean, morza Ochockiego. Napawaliśmy się świeżem powietrzem, grą złotych promieni w szaro-stalowej powierzchni wody, przypatrywaliśmy się stadu kuleczków, poszukujących żeru w pasie brzegu, tylko co

obnażonym i jeszcze mokrym. Spłoszone przez nas ptaszcza wyciągały się wężykiem, przelatwały dalej i różnym rzędem, jakby wymustrowani żołnierze, podążały znów wzdłuż usuwającej się fali, wydobywając jakieś niedostrzegalne dla oka pożywienie. Z tyłu, gdy się odwróciłem na głos przelatującej samotnej mewy, jakby się skarżące na tych, co ją opuścili, zobaczyłem długi ślad jasno odbitych w mokrym piasku kopyt naszych koni.

Gdybyśmy na sercach mieli ciężary z ołowiu, to i wówczas poczulibyśmy ulgę, dzięki rozkoszy, której nam jazda w tej chwili dostarczała. Ale ponieważ ostry ból tęsknoty za wszystkim, co jest na świecie najdroższego, u mnie się zatarł, a u mego towarzysza nie istniał nigdy, więc byliśmy w wybornych humorach, które harmonizowały z uśmiechniętą, pogodną przyrodą. Raptem Ussajro zamilkł i z podelba spojrzął na sterczący na niskim płaskim pagórku budynek.

— Jest to właśnie ta nieszczęśliwa osada Motomanaj, o której ci opowiadałem u siebie — objaśnił Ussajro na moje zapytanie.

Chciałem obejrzeć ją i skrzyłem ku niej konia, zostawiając Ussajrę nad morzem, bo nie chciał za mną podążyć, lecz zgodził się poczekać.

Nawpół zniszczona jurta, do której podjechałem, była jeszcze prawie nowa. Widoczne było, że ją zrujnowała z rozmysłem ręka ludzka. Ściany były zupełnie mocne, lecz połowa dachu zrzucona, drzwi wyłamane, nary i półki rozwalone. I w jurtach, i obok nich walały się potłuczone sprzęty domowe i naczynia. Wszystko to należało do tych, których pochłonęło morze. Korzystanie z ich rzeczy uważają Ajnowie za niebezpieczne. Możnaby ściągnąć i na siebie podobne nieszczęście.

Mała łączka, przerznięta strumykiem z ciemną wodą, przytykała do majestatycznego, starego lasu świerkowego. Kilka rozłożystych świerków ze smętnie opuszczonymi gałęziami, zdawało się wyrażać swój gorzki żal z powodu zniknięcia tych ruchliwych istot, które miały

dla nich i ich współbraci troskliwy szacunek. Te świerki były niemymi świadkami odjazdu sześciu śmiałych, zręcznych mężczyzn, patrzyły na znikającą w dali wąską łódeczkę, która nie miała już wcale powrócić do brzegu ojczystego. Drżały razem z rozpaczającymi żonami i dziećmi, które z biciem przeczuwających serc wybiegały na brzeg pagórka i godzinami stały tam, aż do bólu i zmęczenia oczu, utkwionych w szerokie morze. Tutaj, w objęciu wiecznie zielonych drzew, padały długie szlochania i gorzkie płacze zrozpaczonych niewiast. A teraz ci osamotnieni towarzysze radości i smutku kilku pokoleń ludzkich, wzdychają po czasach minionych i zdają się pragnąć już leć również na ziemi i przerwać pasmo niewesołych, samotnych dni.

Gdy powróciłem do Ussajry, on odetchnął, uczuwszy ulgę z możności prędszego porzucenia tego zakątka, co krwawił serce każdego Ajna.

Chcąc dać inny kierunek swym myślom, a może lekając się jakich pytań, dotyczących Motomanaju, Ussajro zaczął mi wymieniać przyłaski, które stawały się coraz jaśniejszymi i możliwymi do odróżnienia od otaczających je obłoków.

— A oto zobacz, jak dobrze gospodarzą Rosjanie! — wskazał mi Ussajro na skrawek lasu, ciągnący się w odległości kilkuset metrów od morza. Trzydzieści do czterdziestu postawionych rzędem zrębów niedokończonych chat wskazywało, że tutaj ma wyrosć wioska. Jednak nie widać było najmniejszego ruchu, nie słychać było jakiegokolwiek odgłosu.

— Nie warto tam się zbliżać — mówił mi Ussajro — zauważywszy, że mam zamiar znowu skrzyć ku lasowi, nie więcej nie zobaczysz nad to, co teraz oglądamy. Wszak tam nikogo nie ma. Przed pięciu laty jednemu z zawiadujących osiedleńcami przyszła myśl zaludnienia brzegu ochockiego. Nie podobało mu się, że tu nas, Ajnów, więcej, niż białych. Posłali więc tutaj ludzi, którzy tylko co ukończyli termin katorgi, i kazali im budować sobie

chaty. Ale nawet ogrodów nie mogli oni pozakładać. Tu morze i piasek nadbrzeżny, a tam gęsty las jodłowy. Dolina zaś rzeczki wązka i wciąż zalewa ją woda — i wiosną i jesienią po każdym większym deszczu. Na próżno tylko namęczyli się ludzie. Zmienił się zawiadowca, a jego następca zrozumiał, że nie białym się osiedlać nad morzem, z którego żyć tak, jak my, lub Japończycy, nie umieją. A jak się Ajnowie ucieszyli, gdy ich niespokojni sąsiedzi rozpełzli się po starych, większych wioskach. Odrazu nastąpił spokój. Teraz mamy znowu jednego tylko wroga, to włóczęgów. Ale od złego sąsiada ustrzec się znacznie trudniej.

Rozprawiając długo na ten bolący dla tubylców temat o włóczęgach i kolonizacji wyspy, znaleźliśmy się niepostrzeżenie blisko od Sieraroko, dużej osady ajnoskiej, rozrzuconej u stóp stromych, porośłych brzoza, gór.

Zatrzymaliśmy się przed dużą jurta, koło której chodziło, stało i siedziało dużo brodatych i czarnych Ajnów. Byli to właśnie wyczekiwani dawno goście z północy. Gospodarz domu i najstarszy w wiosce, słynny z krasomówna staruszek Fumka, przyjął mię nadzwyczaj uprzejmie, wyraził radość, że odwiedził jego biedne mieszkanie i nadzieję, że będziemy odtąd przyjaciółmi. Dom Fumki był słynny na całą wyspę z gościnności i umiejętności dobrego pożycia z rodakami i nawet z Japończykami. Fumka w dzieciństwie przebył kilka lat u dozorców rybołówstwa japońskiego, którzy mieli główną siedzibę na brzegu wschodnim wyspy w Sieraroko. Zdolny i sprytny chłopak nie tylko nauczył się japońskich zwyczajów, nabrał oglady towarzyskiej, lecz przeszedł nawet pierwszy stopień abecadła japońskiego — „katakana”. Teraz już podeszły starzec stał na czele licznej rodziny, która przygotowywała ogromną ilość wszelkiej żywności, przeznaczonej i dla siebie, i dla mile widzianych przejezdnych. Tutaj też miało się odbyć święto niedźwiedzie, lecz po ukończeniu uroczystości w Otasanie, która ucho-

dziła za starszą wieś. Podczas podanej mi zakąski, złożonej z ryby, łososiny, herbaty i pierników japońskich, usłyszeliśmy dziwny głos, który nazwano niedźwiedzim śpiewem. Pobiegłem razem z wesoło rozmawiającą między sobą młodzieżą męską i żeńską usłyszeć zblizka te nieznanne mi dźwięki. W jednej klatce ciemno-czerwony, z lekką siwizną na plecach, niezbyt duży niedźwiedź leżał z głową zwróconą ku sąsiedniej klatce, w której wkoło ścian chodziła miarowym i leniwym krokiem ciemna, prawie czarna, ogromna niedźwiedzica. Poruszając łapą, wsuniętą do paszczy, pan tajgi sachalińskiej wydawał drżące i czułe dźwięki. Ten niezwykle dla niedźwiedzia śpiew trwał koło 10 minut i wyrażał doskonale namiętną tęsknotę za swobodą i rozkoszą plądrowania we dwoje po lasach, do czego wzywał i teraz swoją towarzyszkę niewoli.

Gdy wróciłem napowrót do przerwane go obiadu, stary Fumka opowiedział mi cały przebieg wychowania swych niedźwiedzi od pierwszych miesięcy ich życia.

Jednego niedźwiadka kupił za 16 rubli od myśliwych Rosjan, a drugiego złowił jego siostrzan z sąsiedniej osady. Zwykle młody Ajn zadawałnia się samą sławą zręczności i powodzenia, a schwytanego w lesie małego zwierza oddaje szanownej i bogatszej osobie z gro-na swych krewnych. Jednakże jako zapłatę otrzymuje on kilka metrów rzemienia ze skóry foki, i psa, przeważnie sukę. Gdy ta się zestarzeje, to ją dusi i składa w ofierze bogowi wysokich gór, od którego zależą niedźwiedzie.

Dużo ma się kłopotu z tym zwierzem, nim go się dokarmi do 2¹/₂ lat, gdy przeciętnie skazują go na śmierć, a mięso i skórę jego biorą do własnego użytku. Dają mu jeść wszystko to samo, co jadają sami. Jeżeli niedźwiadek jest zbyt mały i nie może jeszcze gryźć ryb i korzeni roślin, to wyznaczają jakąś kobietę do karmienia go piersią. Przez cały czas karmienia niedźwiadka

piersią, a ciągnie się to czasem pięć do sześciu miesięcy, mamka jego nie może gotować, szyc i wogóle nie wypełnia żadnej pracy, a potem, podczas święta, nie je wcale mięsa swego wychowanka. Później niedźwiadek mały, przywiązany bywa w jurcie do tylnej ściany, a gdy podrośnie, to przeprowadzają go do klatki, specjalnie dla niego sporządzonej z kłoców drzewa. Gdy wprowadzają niedźwiadka do jurty, kobiety witają go płaczem (zwykle powitanie kobiet z ludźmi, z którymi się dawno nie widziały), a mężczyźni wykonywują powitalne giesty. Po pierwszej, przebytej w klatce, zimie Ajnowie podpiłowują niedźwiedziowi 4 kły, odpowiada to u samicy tatuowaniu ust u Ajnek, a u samca—goleniu przedniej części głowy u mężczyzn. Niedźwiedzie czasem chorują w klatce i dlatego na odpowiednie karmienie ich zwracana bywa baczna uwaga. Bywa to powierzane starszej jakiej kobiecie, która czuwa nad apetytem i wszelkimi przejawami humoru wychowanka. W razie choroby stawiane bywają koło klatki talizmany z drzewa, bogini ognia otrzymuje ofiary, pokarm ulega zmianie. Chociaż niema obowiązku, by krewni pomagali w wykarmieniu niedźwiedzia, lecz oni zawsze się starają wziąć udział w tym zaszczyście.

Skarżył się Fumka, że coraz mniej teraz niedźwiedzi, i coraz trudniej złapać małego. Dawniej, przed wypaleniem lasów, kiedy białych nie było jeszcze zupełnie na wyspie, niedźwiedzie chodziły po dolinach rzecznych w takiej prawie ilości jak teraz bydło po pastwisku. Nie były też rzadkością i święta niedźwiedzie. Obecnie zaś na całej przestrzeni, zajętej przez Ajnów, a więc w całej południowej części wyspy, zabijają wykarmionych niedźwiedzi nie więcej nad 4—6 rocznie. Niewiele więcej udaje się upolować w lesie.

Podczas naszej rozmowy z głową jurty, roiło się od wchodzących ludzi. Poruszano się tutaj żwawo, wesoło, żarty i śmiechy rozlegały się we wszystkich kątach obszernej izby. Serdeczność gospodarzy działała

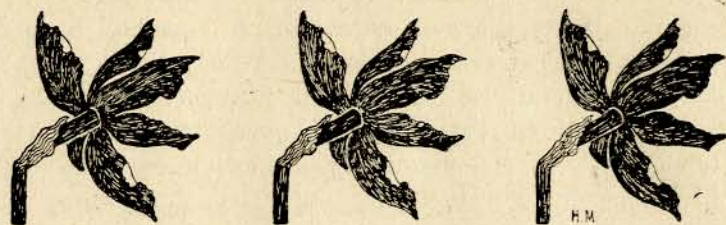
magicznie na gości, którzy, pobudzeni uprzejmością, zapominali o krępujących ceremoniach i zachowywali się swobodnie, jak u siebie w domu. W ożywieniu całej rodziny, pośpiechu ich czynności przygotowawczych do święta, odczułem skryte współzawodnictwo, chęć przedstawienia się przed plemiennym zjazdem w świetle pocholebniejszym, niż dom przyjazny, lecz biedniejszy otaskański. Fumka nieraz odrywał się od rozmowy ze mną i wydawał jakieś polecenia, wskazówki, spełniane przez młodych chłopców i podrostków natychmiastowo, chociaż głos starego nie był ani ostry, ani nagły. Do żony jego, wysokiej, poważnej staruszki, siedzącej naprzeciwko mnie, a obok męża u ognia i wciąż coś gotującej w kociołku nad ogniem wiszącym, podchodziły jej córki, młode i zdrowe dziewczuchy, z nieustannym uśmiechem na twarzach, to coś jej podając, to o coś się pytając lub radząc. Nawet dzieciaki, chociaż tutaj więcej ich się kręciło, niż w innych jurtach ajnoskich, wydawały mi się mniej grymaśnymi i potulniejszymi. Nie mogłem nacieszyć się dosyć widokiem tego miłego współżycia, opartego na wzajemnem poszanowaniu i miłości, i to w warunkach, gdy ani jednego kroku, żadnej czynności nikt nie może ukryć przed resztą członków rodziny.

Przykro było porzucać przyjemny dom, gdy nadzedł już czas powrotu.

— *Pirika oman!* (szczęśliwej drogi); proste słowa, wypowiedziane rozmaitemi głosami, lecz jednakowo serdecznie przez gromadkę, odprowadzającą nas na podwórko, długo jeszcze dźwięczały mi w uszach i wywoływały refleksję, czemu we współczesnej rodzinie kulturalnej, złożonej nieraz z mniejszej ilości członków, brak tej harmonii uczuciowej, która tak mię pociągała wśród tych dzieci przyrody.

(D. c. n.)





EDWARD ABRAMOWSKI.

PSYCHICZNA POSTAĆ ZAPOMNIANEGO.

Z rozwiniętej poprzednio tezy*)—że każde „zapomniane“ posiada swoją *wartość psychiczną*, która jest przeżyciem intuicyjnej strony faktu świadomości, jego równoważnika uczuciowego, wynika teraz nowe zagadnienie decydującego znaczenia, a natury introspekcyjnej,—czem jest mianowicie ta „wartość psychiczna“ w naszym doświadczeniu wewnętrznym. Jest bowiem rzeczą zupełnie oczywistą, że o tyle tylko można mówić o jakimś *psychicznym* istnieniu, o ile ono jest *odczuwanem* przez nas; „psychiczne nieodczuwane“, jako pojęcie, nie przedstawiałoby żadnej treści realnej, wprowadzałoby nas do pustej spekulacji terminów ontologicznych, z którą psychologia, będąc nauką życia zjawiskowego, powinna wziąć jak najzupełniejszy rozbrat. Natura faktów wspomnienia, kazała nam przypuścić, że nie wszystko ginie dla świadomości z chwilą, gdy dane postrzeżenie zanika, ustępując

*) Zobacz poprzednie rozprawy tego samego Autora: „Świadomość zapomnianego“, „Symbolizm wspomnień“ i „Paradoksy pamięci wzruszeniowej“, drukowane w *Sfinksie* w r. 1908. (Red).

miejsca innemu, że przeciwnie, najistotniejsza jego strona, aczkolwiek nie posiadająca myślowej postaci, wskutek odwrócenia się uwagi, musi pozostawać w głębszych pokładach świadomości, jeżeli służy za kierownika intuicyjnego w przypominaniu dowolnem i jeżeli orzeka o rzeczywistej wartości symbolów wspomnieniowych.

Z tego wynikałoby następujące zagadnienie: każdy fakt, który przechodzi przez świadomość, pozostawia w niej swój równoważnik uczuciowy, przechowuje się *indywidualnie* w intuicyjnej stronie duszy naszej; każde zaś wspomnienie jest naocznem świadectwem tego przeżywania indywidualnego, ujawnieniem myślowem tego, co ani na chwilę nie przepada w uczuciowości bezimiennej, stojącej u progu myśli naszej. Znajdujemy się więc nieustannie wobec masy uczucia, powstającej z nagromadzenia się tych równoważników; one zaś, współlistniąc psychicznie, nie tracą swej odrębności wyczuwalnej, jako możliwość różnych przedmiotów myśli, t. j. wspomnienia. Z drugiej jednak strony, zdawałaby się przeczyć temu sama natura naszej świadomości, dla której podobna „wielość“ współlistniąca psychiczna jest faktem zupełnie obcym; to, co widzimy w swoim doświadczeniu wewnętrznym, są to tylko szeregi *następujących* po sobie stanów, wielość rozwijająca się w jednym tylko kierunku, zgodnie z dyskursywnym charakterem myśli naszej. Każdy fakt zapomniany musi zachować swój równoważnik w naszej odczuwalności intuicyjnej, a jednak nie możemy mówić o *współczesnem zróżniczkowaniu* psychicznem, gdyż to, co się nam w introspekcji objawia, jest tylko zmiennością *następującą* i nawet wyobrazić sobie nie jesteśmy w stanie jednoczesnego odczuwania tych milionowych „równoważników“, które nagromadzają się nieustannie z każdym momentem przeżywanym przez świadomość. Lecz jeżeli wyczuwamy intuicyjnie pojedyncze równoważniki minionych faktów, jak to wykazuje przypominanie dowolne i cały *symbolizm* wspomnieniowy, to z konieczności wy-

czuć musimy i nagromadzenie się tych równoważników, t. j. całą masę „zapomnianego“, która stoi u progu myśli naszej; wyczuwanie zaś to nie może być chwilowem, jak intuicją tego lub owego wspomnienia, lecz musi być *ciągłym*, musi być nieodstępną przynależnością naszego subjektu. Tę uczuciową masę „zapomnianego“ należałoby uważać za nasze drugie wewnętrzne środowisko, od którego uwolnić się jest równie niemożliwem, jak i od zewnętrznego środowiska natury; i tak samo jak to ostatnie dostarcza materiału dla naszego postrzegania zewnętrznego, tak samo i przedmyślowa masa „zapomnianego“ stanowi materiał wewnętrznego postrzegania i jest niezbędnem podścieliskiem duchowego życia człowieka; wszystko, co ginie w przeszłości, zachowuje się tutaj w innej tylko postaci. jako obecność teraźniejsza, pokazując odwrotną stronę zmienności zjawiskowej i bytowania w czasie; zachować się zaś nie może inaczej, jak tylko w rzeczywistem odczuwaniu, zatem w czemś namacalnym dla introspekcji. Chodzi więc o to, czem jest *introspekcyjnie* uczuciowa masa „zapomnianego“, to jest, do jakiego faktu konkretnego duchowości naszej odnieść ją należy, i w jaki sposób wytłomaczyć jej nieskończoną „złożoność“ współczesną, tak niezgodną na pozór z charakterem naszej świadomości, gdzie złożoność objawia się tylko w szeregach, rozwijających się w czasie.

Przedewszystkiem należy uprzytomnić sobie, że równoważniki uczuciowe byłych faktów współlistnieją ze sobą w *odczuwalności przedmyślowej*, że zatem nie mogą tworzyć różniczkowania, gdyż *odróżnianie*, które je warunkuje, należy wyłącznie do sfery myśli. Odczuwać wielość w masie „zapomnianego“ moglibyśmy wtenczas tylko, gdybyśmy każdy równoważnik wyodrębniali od innych, to znaczy, gdyby on posiadał swoją jakość określoną, przeciwstawiającą się innym, zatem podatną do nazywania i ustosunkowania; pojęcie jednak „równoważnika

uczuciowego“—jako postaci przedmyślowej faktu świadomości—nie może się pogodzić z tymi atrybutami; występują one wtenczas dopiero, gdy myśl rozpoczyna swoją działalność, gdy do odczuwalności pierwotnej przyłącza się czynnik apercepcyjny postrzegania wewnętrznego; wtedy równoważnik wyodrębnia się, lecz zarazem wychodzi z masy „zapomnianego“ i staje się wspomnieniem t. j. określonym przedmiotem myśli. Dopóki jednak nie przestępuje progu myśli, dopóty nie może wyróżniać się od swoich współtowarzyszy; wyróżnianie się bowiem jakiekolwiek znaczyłoby tyleż samo, co określoność postaci, imiennosc, przeciwstawność, stosunkowość, jest na równi z tem wszystkiem wytworem apercepcyjnej pracy uwagi. przywilejem świadomości postrzegającej, i cofnięte poza próg myśli, przeniesione do sfery czystego odczuwania, do pra-uczucia niepokalanej *uwagą* intuicji, traci wszelką podstawę i wszelką możność istnienia. Przedmyślowa dziedzina tak samo nie znosi różniczkowania, i wyklucza je przez samą swoją naturę, jak myślowa nie znosi bezpostaciowości, i musi wszystko ustosunkować, nazwać, wyodrębnić. Dlatego introspekcyjnie nie możemy zobaczyć współczesnego różniczkowania uczuciowości przedmyślowej; różniczkuje się ona bowiem tylko w miarę działania myśli, i różniczkuje się kolejno, jako szereg wspomnień, gdyż tak właśnie działa apercepcja: w formie czasowego przebiegu następujących po sobie aktów uwagi. Równoważniki uczuciowe zachowują swą indywidualność o tyle tylko, o ile się patrzy na nie w stosunku do przedmiotów myśli, których są odwrotną stroną, w stosunku do wspominania, którego są możliwością. Nie można więc powiedzieć, czy stojąca u progu myśli masa uczucia, rzeczywistość psychiczna „zapomnianego“, jest czemś jednym, czy też składają się na nią miliony różnych odczuwań. Ponieważ *wielości* jako takiej czuć nie można, a można ją tylko postrzegać, przeto wszystka zjawiskowość, całe dni i lata życia, przedstawiają się ze strony przedmyślowej zapomnianego, to jest ze strony pamięci

biernej, jako jednostka odczuwania,—ze strony zaś przypominania lub wspomniania, objawiają swoją rozmaitość, pokazują przechowane szczegóły. Rozróżnianie zaczyna się dopiero wtedy, gdy zaczyna działać myśl, wydobywając skojarzeniowe szeregi wspomnień, więc i o zróżniczkowaniu masy „zapomnianego“ możemy mówić wtedy tylko, gdy patrzymy na nią, jako na *potencjały myślowe*; tak samo jak mówimy o jej *jedności* w przenośni tylko, oznaczając przez to stan przeciwny, nie — rozpatrywanie w potencjałach myślowych, to jest, zanim wspomnienia nastąpią. W każdym momencie życia jest tylko jeden wązki przesmyk pojedynczo kolejnych wspomnień, cała zaś masa reszty stanowi „zapomniane“ danej chwili; otóż, owo „zapomniane“, jako takie, jest jednym, lecz jako potencjał myśli, jako nieskończony ciąg dalszy tego przesmyka indywidualizacji — stanowi wielość. Ponieważ zaś samo „uczucie“ jest dla nas zrozumiałem tylko, jako „potencjał myśli“, czyli, że nie możemy sobie wyobrazić takiego, które by nim nie było, dlatego też i przedmyślowej odczuwalności „zapomnianego“ przypisujemy indywidualizację myślowego charakteru, przenosimy na nią te wszystkie cechy, które należą do świata myśli, sądzymy, że możliwość psychiczna wielości musi być wielością samą. Zarazem jednak, zatrzymując się u progu myśli, tam gdzie się odnajduje bezimiennie uczucie „zapomnianego“, i gdzie czasowe przebiegi nie mają już żadnego sensu, zrzekamy się indywidualizacji, która, wymagając rozróżniania, nie może progu tego przestąpić.

Z takiego postawienia kwestji nie wynika jednak, ażeby równoważniki uczuciowe *zatracały się* w masie „zapomnianego“, wynika to tylko, że przyczyny wystarczającej dla ich istnienia nie możemy poszukiwać w wielości odczuwań, w zróżniczkowaniu intuicji przedmyślowej, gdyż wielość i zróżniczkowanie należy wyłącznie do apercepcyjnej, intelektualnej strony duszy ludzkiej. Nic jednak nie zmusza twierdzić, ażeby mogły one zachować się w tej jednej tylko postaci zróżniczkowania. Ponieważ „równoważniki“

są natury psychicznej, a przytem bezimiennie-uczuciowej, przeto wystarcza zupełnie, jeżeli nagromadzenie się ich u progu myśli wyraża się czemkolwiek odczuwaniem, ażeby w odczuwaniu tem odnajdywały się one wszystkie.— Taż sama *wielość*, która występuje przy zetknięciu się „zapomnianego“ z działaniem myśli, dowodzi, że w tem odczuwaniu intuicyjnym, z którym operuje myśl różniczkująca, równoważniki zachowały swoje istnienie. Mówimy wtenczas, że w danej jednostce intuicyjnej jest tylko *możliwość* zróżniczkowania, lecz oczywiście jest, że możliwość ta musi być czemś *psychicznym*—jako *możliwość względem działania apercepcji*, a w takim razie nie może wyrażać się w czem innem, jak tylko w *jakości* owej jednostki intuicyjnej, w jakości odczuwanej bezimiennie, to znaczy, nie zawierającej w sobie jeszcze żadnego stosunku, o której to tylko można powiedzieć, że *coś jest*, to jest, że coś odczuwamy. Taką bezimienną jakość, równoznaczną z odczuwaniem czegoś, co jeszcze nie otrzymało piętna myślowego, należy odróżnić — jako pierwiastkowe istnienie psychiczne—od jakości imiennych — rzeczy i atrybutów, które dla pojawienia się swego wymagają koniecznie intelektualnego orzeczenia i zawierają w sobie stosunek przeciwieństwa. *) — „Białość“ np. jest odczuwaniem ści-

*) Zdaje się, że rozpatrywane tutaj zagadnienie powstaje w pewnym ścisłym związku z kwestją *względności* stanów psychicznych. „Trzeba strzec się, mówi Fouillée, przesady w którą wpadają niektórzy psychologowie, chcący sprowadzić samą jakość do stosunku. Odczuwać—jest że to tylko mieć świadomość stosunku? Naprzykład uczucie bólu głowy, czyż jest wyłącznie tylko uczuciem stosunku pewnego, pewnej zmiany, ruchu, bez odczuwania samych członów, a nawet bez istnienia członów prawdziwych?... Rzeczywistość nie może być sprowadzoną całkowicie do stosunków bez członów, do *liczb* na wzór Pythagoresa, i to do liczb ruchomych... Czyż subiektywnie istnieje tylko świadomość zmiany albo ruchu, stosunku dwóch różnych stanów, a same te stany, a przynajmniej pierwszy, czyż są jako takie poza świadomością?—Teoria ta spoczywa na zmieszaniu świadomości *określonej i zróżniczkowanej* ze świadomością nieokreśloną i jednolitą. Pewien stan zawsze jednakowy, jak ciągły ból lub ciągła przyjemność, nie jest

śle określonem co do rodzaju, i wyklucza z siebie zupełnie wszystkie inne stany odczuwania; nie możnaby więc powiedzieć, że ona zataja w sobie inne barwy: czerwoną, zieloną, fioletową, jako stany świadomości, chociaż z fizjologicznej strony przedstawia się, jako ich wypadkowa. Lecz jeżeli mówimy o odczuwaniu, które nie posiada jeszcze swego miejsca w porządku rzeczy, o *pra-jakości* przedmyślowej natury, natenczas możemy twierdzić, że stanowi ona *wystarczającą zasadę* psychicznego istnienia *możliwych* zróżniczkowań, wielości *utajonej*, a zatem i współistnienia równoważników intuicyjnych, zachowanych *jako takie*. Różnica polega na tem, że w pierwszym wypadku mamy do czynienia z postrzeżeniami, których indywidualność ujawnić się może tylko w czasie, jako oddzielne momenty uwagi, wykluczające się nawzajem; w drugim zaś—to, co wyraża się współcześnie, są to równoważniki uczuciowe, intuicyjne, względem których porządek wykluczania się w czasie, właściwy apercypcyjnym szeregom, nie obowiązuje zupełnie.

Dla rozwinięcia tej kwestji, w jaki sposób mnogość równoważników uczuciowych wyrażać się może współcześnie w czemś psychicznem, weźmy następujące doświadczenie introspekcyjne, które stanowi jeden z najciekawszych objawów pamięci, jako *odczuwania*. Każdy może sprawdzić na sobie takie mianowicie zjawisko: czytamy np. jakąś poezję; w miarę czytania przesuwają się przez świadomość naszą szereg obrazów; otóż, jeżeli wpatrzymy się uważnie w te obrazy, to przekonamy się, że każdy z nich przemawia do nas nietylko sam za siebie, lecz i za swoich poprzedników, że ciągnie poza sobą *uczuciową* atmosferę tego wszystkiego, co było przed nim. Dajmy na to, nasuwa się nam w ciągu czytania obraz „nocy księ-

koniecznie nieświadomym dla tej tylko przyczyny, że nie jest *zauważonym*, odróżnionym przez refleksję, przeciwstawionym innej rzeczy. Odczuwać nie jest konieczne *myśleć*, sądzić, omawiać jedno i drugie, systematyzować.“ — (*Psychologie des idées — forces* t. I, 35—36 str.)

życowej, pełnej zapachu róż i jaśminów“; obraz ten ma swoją własną barwę wzruszeniową, charakteryzującą go wybitnie, jeżeli zjawia się przed nami w stanie odosobnionym; lecz jeżeli występuje on w towarzystwie innych obrazów, jeżeli np. poprzedza go obraz jakiejś zbrodni, gwałtu, silnego wybuchu namiętności, natenczas barwa ta ulega pewnej zmianie; do wzruszenia „nocy“ dołącza się czynnik wzruszeniowy poprzedzającego obrazu, przenika je w taki sposób, że tworzy się jakaś nowa uczuciowość, w której jednak obie składowe emocjonalne są wyczuwane; różnica wzruszeniowa jest wyraźna; nazwać ją można *efektem artystycznym*. Jako przykład, łatwy do sprawdzenia, nasuwa mi się na myśl wiersz Ujejskiego, uczynający się od słów: „Spoglądałam w niebo, a niebo ciche“. Poeta daje nam tutaj obraz cichej nocy letniej, kiedy księżyc roztacza swoją „srebrną pogodę“, białe brzozy chylą ku ziemi swoje „drzemiące głowy“, a łabędzie marzą o gwiazdach spadłych na dno wody. Urok tej cichej nocy letniej nabiera jednak specjalnej barwy wzruszeniowej, wskutek tego, że zjawia się ona tutaj na terenie historycznych zbrodni, po walkach krwawych, które broczyły ziemię, po wielkich tęsknotach za przeszłością ginącego ludu. Ten sam obraz nocy letniej zupełnie innem wzruszeniem przemawiałby do duszy naszej, gdyby np. stanowił tło dla scen miłosnych, a jeszcze innem, gdyby łączył się z obrazami upiórów, strachów cmentarnych i t. p.—Ten wpływ uczuciowy działa także i we wstecznym kierunku: w miarę posuwania się dalej przy czytaniu, poprzednie strofy i wiersze zmieniają swoje znaczenie i swoją barwę emocjonalną, gdy je wspominamy. Każda zaś poezja, która hipnotyzowała nas swoimi obrazami, pozostawia w pamięci swój ślad uczuciowy jednolity, który wyczuwamy pod jej tytułem tak, iż tytuł sam nie jest dla nas znakiem bezbarwnym i pustym, lecz posiada swoje charakterystyczne piętno wzruszeniowe, swoją wartość psychologiczną, zanim jeszcze zaczniemy przypominać sobie szczególne obrazowe poezji, zanim rozwiniemy i rozdrobnimy ją

myślowo. Jeżeli zaś zatrzymamy się na jednej tylko strofie lub jednym wierszu, to ta strofa lub wiersz będzie mieć inną uczuciowość, co innego będzie nam sugiestjonowała w oderwaniu swoim, niż w całości. Jeszcze bardziej może uwydatnić się to na wyrazach, które, dzięki towarzystwu innych, z najpospolitszych stają się nieraz obdarzonymi dziwną siłą wruszeniową. Przeczytajmy oddzielnie jaką strofę ze środka, taką nawet, która zawiera w sobie skończony zupełnie obraz, a przeczytajmy ją, jako dalszy ciąg poprzedzających, natenczas otrzymamy dwa różne doświadczenia wewnętrzne: ten sam obraz, w danej strofie zawarty, będzie odmiennym uczuciowo w obu razach, niekiedy tak dalece odmiennym, że rozbudza w nas całkiem różne nastroje i staje się punktem wyjścia dla różnych systematyzacji skojarzeniowych, co znaczyłoby, że się przeistacza *istotnie*, jako jednostka psychiczna, że to już nie z tym samym, w odmiennych tylko warunkach, lecz z *dicoma różnymi* obrazami mamy do czynienia. Zachodzi więc tutaj wpływ uczuciowy obrazów, które poprzedzały, na obraz aktualny, wpływ, który ujawnia się w jego naturze duchowej i który trwa, pomimo tego, że poprzednie obrazy należą już do przeszłości. Wskutek tego tworzyć się mogą rozległe zespolenia psychiczne, stanowiące nie tylko *sumę* poszczególnych członów, lecz także pewną jednolitą *całość* intuicyjną. Ze względu bowiem na dyskursywność myśli ludzkiej, nie znoszącej współlistnienia, żaden łańcuch postrzeżeń, obrazów lub pojęć nie stanowiłby istotnej całości, gdyby z intuicyjnej swej strony nie posiadał jednolitego równoważnika uczuciowego; byłaby to całość konwencjonalna, nie zaś organicznej natury, t. j. posiadająca swoje istotne podścielisko psychiczne, swoją intuicyjną jedność. Zapobiega zaś temu przenikanie się emocjonalne ugrupowanych razem obrazów, czyli, wyrażając się ściślej, *przeżywanie poprzedzających obrazów w barwie uczuciowej następnego*, które sprawia że to, co ze strony myślowej należy już do zatraconych

członów szeregu, uczuciowo odnajduje się jak gdyby skupione w jednym momencie psychicznym.

Widzimy więc, że *porządek w czasie* przemienia się tutaj na *jakość wzruszeniową*: obraz *a*, ze strony emocjonalnej, inaczej wygląda w odosobnieniu, a inaczej, jeżeli jest poprzedzony przez obrazy *b* i *c*; z odjęciem poprzednika zmienia się jego barwa uczuciowa (obrazu *a*), z dodaniem nowego—także się zmienia. Czego ten fakt dowodzi? — Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na to, że wpływ obrazów poprzedzających, na dany obraz nie pochodzi bynajmniej ze stykania się tych obrazów ze sobą w myśli naszej; grupa ich nie jest objęta przez świadomość, i na dany jeden obraz nie patrzymy w otoczeniu innych. Nie czynimy także żadnych wysiłków przypominania poprzedników, ażeby w danym obrazie postrzeganym wyczuć ten wpływ uczuciowy, który od nich pochodzi; nie zestawiamy ani kombinujemy świadomie różnych ogniw rozwijającego się przed myślą naszą szeregu, ażeby osiągnąć ten efekt artystyczny, który wynika z żywiołowego zestawienia się obrazów, tę zmianę wzruszeniową, jaka ujawnia się w pewnym fakcie, zależnie od tego, co go poprzedzało w świadomości. W chwili kiedy świadomość jest zajęta przez obraz *a*, obrazy, które poprzednio w niej gościły—*b* i *c*, należą już do przeszłości, ze sfery postrzegania przeszły już do sfery pamięci, czyli że dla myśli naszej nie istnieją zupełnie. Jeżeli więc wpływają one na barwę uczuciową obrazu postrzeganego, a dzieje się to bez żadnego zwracania się świadomości ku poprzednikom, gdyż wprzód wyczuwamy ten wpływ w obrazie, a potem dopiero możemy poszukiwać we wspomnieniach jego źródła,—to znaczy, że na wpływ ten składają się tylko *ślady pamięciowe* minionych stanów świadomości. — W chwili kiedy świadomość jest zajęta obrazem *a*, wszystkie inne, które go poprzedzały, należą już do „zapomnianego“; jeżeli więc wyrażają się w barwie wzruszeniowej postrzeganego obrazu, to nie jako postrzeżenia lub obrazy właściwe, stany imienne świadomości postrzegającej, lecz jako

ich równoważniki uczuciowe, pozostałości pamięciowe, przechowane w świadomości bezimiennej. Wyczuwanie w danym obrazie wpływu uczuciowego obrazów poprzedzających jest przeto wyczuwaniem *zapomnianego*, i służyć może, jako dowód jego natury psychicznej. Można by to sformułować w taki sposób, że *postrzeżenia, przechodząc przez świadomość, przemieniają się na barwę* uczuciową swego następcy; każde z nich zapomniane, jako postrzeżenie, wyczuwa się w uczuciowej stronie postrzeżenia następnego. Jest to prawo „uczuciowego przestawiania się postrzeżeń“, czyli ich *przeżywania uczuciowego* w pamięci.

Tak więc fakt wpływu uczuciowego towarzystwa szeregu stanów na każdy stan pojedynczy, który stanowi podstawową sprawę w urabianiu się systematyzacji psychicznej, nowych jednostek „zbiorowych“ — zgadza się zupełnie z rozwijaną przez nas teorią „równoważników pamięciowych“, i może nawet służyć, jako doskonała jej ilustracja. Nagromadzające się w świadomości uczucie bezprzedmiotowe, które służy za *tło* dla wyobrażenia danej chwili, jest niczem innem, jak wzruszeniowymi równoważnikami tych postrzeżeń, które przechodzą przez świadomość; postrzeżenie, wychodzące ze sfery uwagi, zrzuca swą szatę intelektualną, imienną, a to, co pozostaje wtenczas, jest to jego istota uczuciowa przedmyślowej natury; nagromadzenie się zaś tego uczucia wyraża się dlatego w barwie wzruszeniowej następującego obrazu, że świadomość postrzegająca wszystko, co zastaje w odczuwaniu intuicyjnym, usiłuje zawsze objąć jednym wyobrażeniem, i z tego co nasuwa się jej w danej chwili, i ze śladów tego, co było — stwarza jednostkę obrazu, która i bezimienność pamięciową pochłania w sobie. Oczywiście, myśl nasza stara się wszystko uprzedmiotowić i nazwać, połączyć różnorodne pierwiastki intuicyjne w jedność postrzegania, a stąd i pozostałość uczuciowa „zapomnianego“, sama przez się bezpostaciowa i bezimien- na, staje się zabarwieniem emocjonalnem przedmiotu po-

strzeganego. — Przytem, ponieważ ta barwa uczuciowa danego obrazu zmienia się zależnie od tego, co go poprzedzało w świadomości, znaczy więc, że wszystkie ślady pamięciowe wyrażają się w jej *jakości*, że żaden z nich nie zetraca tutaj swego istnienia psychicznego, a zatem i swej indywidualności, jako *równoważnik uczuciowy* byłego przedmiotu myśli. Wystarcza ubycia którego z poprzedników, albo dołączenia się nowego, ażeby obserwowana jakość emocjonalna zmieniła się; *ta zmiana wzruszeniowa stanowi przeto indywidualność psychiczną „równoważnika“, zachowanego w masie uczucia, jednolitej dla introspekcji*. Jeżeli np. mamy szereg poprzedzający $a-b-c\dots$ którego przejście przez świadomość wyraża się w barwie emocjonalnej m obrazu e ; i jeżeli w innym razie owa barwa zmienia się na v , gdy szereg poprzedzający jest $a-b-c-d\dots$, natenczas jasnem jest, że różnica $m:v$ jest wynikiem przejścia d przez świadomość, czyli że stanowi jego równoważnik pamięciowy.

Tym sposobem dana uczuciowość może w sobie zawierać współistnienie równoważników pamięciowych, pochodzących z różnych momentów postrzegania, nie tracając jednak swego charakteru jednolitego wobec introspekcji. Bezimienna natura psychiczna równoważników nie pozwala im przeciwstawiać się sobie i tworzyć jakichkolwiek stosunków zróżniczkowanych; zarazem jednak, jako stany *uczuciowe*, mogą one wyrażać się współcześnie w jednym stanie uczucia, nie tracając swojej indywidualności, tylko że tutaj owa „indywidualność“ wygląda inaczej, niż w świecie myśli, gdzie ma zawsze charakter odrębnego momentu w czasie, określonego jako przedmiot imienny, i przez to przeciwstawiającego się innym; tutaj wyraża się ona w specyficznej jakości uczucia, która z samej natury swojej nie podlega zróżniczkowaniu; wyodrębnienie się bowiem któregośkolwiek z równoważników stworzyłoby zarazem pewien stosunek pomiędzy nim a resztą, to jest wciągnęłoby daną uczu-

ciowość w sferę postrzegania, przeobrażając ją na przedmiot myśli, na rozczłonkowany szereg wspomnień.

Mogłoby się здаwać, że wprowadzamy tutaj pojęcie „zatajonych“ stanów w *pozornie jednym* stanie, stając tym sposobem w sprzeczności z przyjętem przez nas prawidłem metody psychologicznej, według którego, to tylko posiada wartość istnienia duchowego, co postrzegamy, jako stan świadomości; tam więc, gdzie introspekcyjnie widzimy *jedność*, tam i w rzeczywistości jest tylko *jedność* stanu; przypuszczać zaś, że ta *jedność* jest natury syntetycznej, że kryje w sobie pierwiastki niedostrzegalne, nie jest że to stać na stanowisku „nieskończenie małych psychicznych“, nieświadomych atomów duszy, i do dziedziny zjawiskowości wewnętrznej wprowadzać metafizyczne istności, jak np. *wielość* odczuwań, która sama dla siebie tylko jest *wielością*, a dla naszej świadomości jest prostym i jednolitym stanem? Taki jednak sposób rozumowania byłby zupełnie mylnym. Przedewszystkiem bowiem należy zapytać, jakie możemy mieć kryterjum introspekcyjne dla pewnego tła uczuciowego, dla samej tylko barwy wzruszeniowej, kryterjum oznaczające, czy to jest jeden, czy milion stanów?—Gdy chodzi o świadomość postrzegającą, przedmioty jej wydzielają się imieniem i przeciwstawiają się innym jako stany określone; „białe“ jest tylko „białem“ i absurdem byłoby przypuszczać, że zataja w sobie *psychicznie* składowe barwy różnorodne; sam przytem charakter myśli, która działa zawsze w formie *dwu-dzielności* sądów, a która jest nieodłączna od postrzegania (postrzegać coś jest zarazem pomyśleć o czemś)—uniemożliwia, ażeby dwa stany imienne współistniały ze sobą, i zmusza je do wzajemnego wykluczenia się. Lecz w sferze czystego uczucia, gdzie niema myśli, niema także i tego musu wykluczania się wzajemnego. Legjon cały stać może naraz przed wzrokiem uczucia, i pomimo tego zróżniczkowanym nie będzie bez wprowadzenia doń myślowego pierwiastka, gdyż niema w nim nie takiego coby mogło tworzyć stosunki przeciwstawia-

nia się. Przedmyślowe odczuwania, nagromadzając się w jakikolwiek bądź sposób u progu myśli, nie potrzebują więc ani zatajać się, ani syntetyzować, ażeby nie ujawnić się przed introspekcją, jako „*wielość* zróżniczkowana“; pozostają one tem samem dla introspekcji, czem są i w rzeczywistości, t. j. uczuciem niezorganizowanym w momencie postrzegania. — Stąd też, mówiąc o „barwie wzruszeniowej“, niezależnie od wyobrażeniowego pierwiastka, który ją uzupełnia w naszej świadomości, nie można stosować do niej takich pojęć, jak „*pierwiastki*“ i „*synteza*“, „*wielość*“ i „*jedność*“, nie można zapytywać, czy ona sama jest prostym, czy złożonym stanem świadomości. Pojęcia te bowiem, dopiero w sferze intelektualnej, apercepcyjnej, nabierają właściwego znaczenia; *można zaś tylko mówić o charakterze wzruszeniowym danego przedmiotu postrzegania, jako o czemś jednolitem dla introspekcji dlatego, że sam przedmiot jest jednolicie ujęty przez myśl naszą*. W tem znaczeniu *jedność* uczucia będzie *jednością* rzeczywistą, lecz tylko w stosunku do świadomości postrzegającej; poza progiem zaś postrzeżenia, tam, gdzie oswabdzając się od pierwiastka wyobrażeniowego, traci swoje znaczenie określonego stanu, nie może ona stanowić introspekcyjnego kryterjum i orzekać o rzeczywistości psychicznej — że to jest tylko *jeden stan odczuwania*, i że zatem to, co się nagromadziło dla wytworzenia tego stanu, indywidualność „*równoważników*“, należy do dziedziny „*nieświadomych*“, ontologicznych pierwiastków duchowości, nie może dlatego, że w duszy ludzkiej krzyżują się nieustannie ze sobą sfery dwóch świadomości zupełnie różnych, chociaż warunkujących siebie niezbędnie.

W taki sposób przedstawia się kwestja „*złożoności współczesnej*“, stanowiącej uczuciową masę zapomnianego. Przejdźmy teraz do drugiej z rzędu, ażeby ostatecznie rozwiązać introspekcyjne zagadnienie naszej teorii „*równoważników*“ pamięciowych, mianowicie: do jakiego faktu konkretnego duchowości odnieść należy owo „*zapomniane*“ psychicznej natury, to jest, czem ono jest w naszym

doświadczeniu wewnętrznem, stanowiącem niewątpliwie jedyny grunt rzeczywisty dla badań psychologicznych?—

Powróćmy jeszcze do poprzedniego doświadczenia z „efektem artystycznym“. Ślad emocjonalny, którym każdy z poprzedzających obrazów piętkuje swego następcę, nawet w dalszych szeregach, daje się objaśnić *organicznym przeżywaniem* emocjonalności obrazu. Wiadomo, że każde wzruszenie usiłuje wyrazić się przedewszystkiem w pewnym zaburzeniu, choćby chwilowem tylko funkcji trawienia, oddychania, obiegu i wydzielin. Sploty nerwów sympatycznych, gałązki nerwu błędnego i naczynioruchowych są jego uprzywilejowanemi drogami, za pomocą których działa ono na gruczoły, serce, przeponę, na ruchy robaczkowe kiszek, na średnicę naczyń krwionośnych; jednym słowem, każdemu wstrząśnieniu, które w świadomości naszej występuje jako takie lub inne wzruszenie, odpowiada wstrząśnienie funkcji fizjologicznych, pewna zmiana w życiu *roślinnem* organizmu, jakiś nowy zwrot *we wnętrzościowej* czuciowości naszego ciała; zmiana zaś ta nosi podwójny charakter, i jest nietylko pośredniwym wyrazem wzruszenia, lecz stanowi także nowe źródło organiczne pobudzeń dośrodkowych, które zasila wzruszenie powrotną falą jego działania. Zachodzi tutaj zjawisko, które scholastycy mogliby nazwać wzajemną „transsubstancją“ pomiędzy fizycznym i psychicznym: świadomość wciela się w organizm, jako pewna jego zmiana funkcjonalna, i jednocześnie — ta sama zmiana organizmu uduchawia się, jako pewien stan wzruszeniowy świadomości. Zgodnie z tem wzruszeniowość zanika, jeżeli dopływ organicznych pobudzeń jest zatrzymany, wskutek chorobliwego lub sztucznego znieczulenia wnętrzości. *)

Ten podwójny związek wzruszenia z organizmem i jego czuciowością ogólną (cenestezją), który objawia się

*) Zob. odpowiednie doświadczenia Sollier: *Recherches sur le rapport de la sensibilité et de l'émotion*, „Revue philos“ 1894.

tak wyraźnie przy silniejszych stanach wzruszeniowych, przy wyraźnem odczuwaniu przyjemności lub przykrości musi także zachować się i w najbardziej przelotnych, w najmniej wyraźnych wzruszeniach, gdyż dotyczy on samej istoty emocji, nie zaś tylko stopnia natężenia. Tam więc nawet, gdzie tego obserwować nie możemy, gdzie nie występują dające się zauważyć nam zmiany w obiegu, oddychaniu i t. d., trzeba jednak przypuścić, że związek między organizmem i świadomością pozostaje nieprzerwanym, i że każde, minimalne nawet wzruszenie zaznacza swoje przejście w życiu wnętrzościowem człowieka; najmniejsza bowiem luka pod tym względem oznaczałaby istotną niezależność wzruszenia od cenestezji i jej organicznego podścieliska.—Przytem, wzruszenie nie jest wcale przypadkową jakością naszego życia duchowego, lecz jego stałą cechą, czynnikiem niezbędnym, od którego żaden moment świadomości nie jest wolny. „Punkt obojętności, jak mówi Fouillée, jest tylko idealnym momentem przejścia, wspólną granicą pomiędzy przyjemnością i przykrością, granicą, na której utrzymać się jest niemożliwym, jak niemożliwym jest dla ostrosłupa, ażeby urzeczywistnić swoją idealną równowagę na ostrzu wierzchołka; jednym słowem, obojętność jest przybliżonem zneutralizowaniem jakości samych w sobie, przyjemnych lub przykrych; jest ona stanem pochodnym, złożonością stanów nieobojętnych.“*) Doświadczamy stanu obojętności w niektórych systematyzacjach duchowych, szczególnie dla tego, że porównujemy je do silnych wstrząśnień wzruszeniowych; nie mamy natomiast w duszy swojej żadnego wzoru doświadczalnego „obojętności“ rzeczywistej, absolutnej. Gdybyśmy jednak mogli w tych systematyzacjach obojętnych przyjrzeć się każdemu ze składających ją momentów oddzielnie, znaleźlibyśmy w nich ten sam pierwiastek wzruszeniowy, który w innych razach jest twórcą systematyzacji, napiętnowanych wyraźnie taką lub inną emocją.

*) Psychologie des idées—forces, t. I, 105 p.

Tym sposobem można przyjąć, że życie *organiczne* człowieka pozostaje pod nieustannym wpływem świadomości i że należy je rozpatrywać jako *wypadkową* działań dwóch zupełnie odmiennych światów: układu zewnętrznego sił fizyko - chemicznych i systematyzującego się rozmaicie przepływu stanów duchowych.

Jeżeli zaś każdy stan świadomości pozostawia swój ślad funkcjonalny w organizmie, i jeżeli ten ślad działa zwrotną falą na świadomość, jako cenestezja, to jasnym jest, że *przedmiot myśli swą naturą wzruszeniową może przeżyć w organizmie swoje istnienie w świadomości postrzegającej*, i zachować się w duszy ludzkiej pod postacią cenestezyjną, wtenczas nawet, gdy już zaniknął, jako stan postrzegania. Niema bowiem żadnych warunków do tego, ażeby mógł zaniknąć także ten ślad organiczny, jaki pozostawia po sobie każde przejście przez świadomość jakiegokolwiek momentu; ślad ten, dotyczący funkcji życiowych organizmu, utrwała się i w dalszem odbywaniu się tych funkcji a przez to uniezależnia się od zmian świadomości. Wzruszenie organiczne, w tajnikach wnętrza swoich, czujemy jeszcze długo po fackie, który nas wzruszył, pomimo tego nawet, że świadomość przestała nim się zajmować i przeszła do zupełnie innych przedmiotów.—Jest to zjawisko pospolite codziennego doświadczenia, że wzruszenie organiczne pozostaje dłużej, niż ten stan świadomości, z którego ono powstało, i że swoim cenestezyjnym wpływem oddziaływa na następne stany świadomości, upodabniając je emocjonalnie z poprzednim. Przeżyty moment smutku np. zabarwia długo jeszcze potem swoje wzruszenie najrozmaitsze i najbardziej obce mu przedmioty, przenika niem do całego świata myśli naszej, chociaż ta myśl skierowała się już w inną zupełnie stronę i świadomie nie ma z niem nic do czynienia. Często nawet nie zdajemy sobie na razie sprawy, skąd bierze się ta zmiana w odczuwaniu przedmiotów, — natury, otoczenia, rozmów towarzyskich, i dopiero, szukając w sobie przyczyny, przypominamy właśnie źródło zmiany, fakt, który już

był zapomnianym, nieświadomym, a pomimo to odzywał się do nas swoją wzruszeniową stroną we wszystkim, co wchodziło po nim do duszy naszej.—Poeci wskazują często na to zmienianie się uczuciowe świata pod wpływem jakiegoś nieświadomionego wzruszenia, które nurtuje w głębiach organizmu, jako pozostałość przeżytej niegdyś chwili.*) Szczególnie przyroda otaczająca posiada właściwość wchłaniania w siebie tych nawet wzruszeń, o których już nie myślimy, przystosowywania się do cenestezyjnej strony duszy; jest to jak gdyby zwierciadło magiczne, które przedmiotowo, zewnętrznie, pokazuje zatajony w nas ślad przeżytej przeszłości, zmuszając często w ten sposób do jej przeżywania powtórnego, do uświadomienia sobie wspomnieniem tego, co już zapomniane zostało. Proces ten wydobywania się na zewnątrz i uprzedmiotowywania się w naturze głęboko ukrytych, wzruszeniowych warstw duszy naszej, był zapewne jednym z ważnych czynników w rozwoju antropomorfizacji świata zewnętrznego, jaka cechowała pierwotną filozofję społeczeństw.

Wszystko to dowodzi, że wtenczas nawet, gdy już przedmiot myśli zmienił się, organizm może jeszcze działać na świadomość wruszeniowością poprzedniego, wskutek czego następny przedmiot myśli jest nie tylko sobą samym, lecz zawiera także i coś z tego, który już zaniknął. Zbytecznym byłoby tutaj, dla objaśnienia faktu, odwoływać się do hipotezy „nieświadomych obrazów“, oddziaływających pomimo naszej wiedzy na pewne wyniki świadomego życia, gdyż, jak widzieliśmy, mechanizm podwójnego związku cenestezyjnego organizmu ze świadomością wystarcza dla objaśnienia faktu. Przeżywanie wzruszeniowej natury postrzeżenia w głębiach cenestezyjnych, jest

*) Heine opowiada wygląd natury: „Róże są blade i smutne, fiołki leżą łyż gorące w ciszy błękitnej nocy, słowik śpiewa tak tęskno wśród życia złotego lata, oddech świeżych kwiatów ma zapach mogiły,“ dziwi się, dlaczego tak jest, a w końcu pieśni przypomina sobie, że jest przez nią porzucony i zapomniany.

tak samo jego przeżywaniem „nieświadomości” wobec myśli naszej, tylko że to nie jest postrzeżenie, *jako takie*, które przebywa w dalszym ciągu w „nieświadomości” dziedzinie duszy, lecz jego równoważnik uczuciowy, jego intuicyjna, przedmyślowa strona. „Nieświadomość” życia duchowego, jak to już nieraz mieliśmy sposobność wykazać, sprowadza się zupełnie do uczuciowości przedmyślowej, z której urabiają się postrzeżenia, do bezimiennych równoważników przedmiotów myśli. W rozważanem zaś zagadnieniu utożsamiamy rozmyślnie *równoważnik uczuciowy postrzeżenia z jego naturą wzruszeniową, która przeżywa w organizmie*, i bliższa analiza wykazuje, że tak jest istotnie.

Zwróćmy bowiem uwagę na to, że wzruszenie, które przechowuje się w organizmie, jest pozbawione pierwiastka wyobrażeniowego, wzruszeniem czystym, którego nie zna nasza świadomość postrzegająca. Według ustalonego już dzisiaj w psychologii pojęcia „troistości” każdego momentu duchowego, *) barwa wzruszeniowa, występująca w postrzeżeniach, jest nierozdzielną stroną ich całości wyobrażeniowej i impulsywnej, pewnem obliczem tylko jednostki psychicznej, zjawiska-jako przedmiotu myśli, i skutek tego nie może posiadać swego odrębnego

*) „Každy fakt świadomości, mówi Fouillée, jest utworzony przez sprawę troistą: 1) *odróżnienie* jakiejkolwiek, które sprawia, że istota czuje zmiany swego stanu, i które jest przeto zarodkiem czuć i inteligencji; 2) *przyjemność* lub *przykrość* jakakolwiek, choćby najbardziej nieznaczna, lecz która sprawia, że istota nie jest obojętną względem swej zmiany; 3) *odruch* jakikolwiek, oddziaływanie, które jest zarodkiem wyboru, t.j. pociągu. Gdy sprawa ta, nierozdzielnie czuciowa, wzruszeniowa i impulsywna, dochodzi do ujęcia samej siebie i do stworzenia wyraźnej postaci świadomości, nazywamy ją w znaczeniu Kartezjusza i Spinozy *idea*, t.j. *odróżnieniem* nierozdzielnem od *pożądliwości*.” (*Psych. des idées-forces* t. I, *Introduction IX*) — Toż samo znajdujemy u Lewesa („Zagadnienia życia i ducha”), który pojęcie „troistości” pierwszy wprowadził do psychologii, dając mu nazwę „widma psychologicznego”. — Patrz także moją „Teorię jednostek psychicznych” rozdz. I. (*Przypisek Autora.*)

bytu duchowego. Wzruszenie więc, które, uwolniwszy się od pierwiastka wyobrażeniowego, przechowuje się w cenestezyjnych głębiach, nie może już posiadać tej samej wartości, którą miało w postrzeżeniu; jest ono natury przedmyślowej, uczuciowością bezimienną (jako pozbawione strony intelektualnej), nie zaś właściwością konkretnego faktu świadomości imiennej, jednym z jego trojakich a nierozdzielnych wyglądów. Wychodzi więc na to, że ślad emocjonalny, który postrzeżenie pozostawia w organizmie, nie może być czem innem, jak tylko jego „uczuciowym równoważnikiem.” Zarazem występuje jasno związek, jaki zachodzi pomiędzy tym równoważnikiem a wzruszeniowością postrzeżenia, jako takiego.

Natura wzruszeniowa postrzeżenia pochodzi z jego intuicyjnej strony. Każde postrzeżenie jest dlatego emocjonalnem, że jego podścielisko przedmyślowe, materiał, z którego urabia się apercypcyjnie, jest *uczuciowością*. Pierwotna intuicja uczuciowa, przechodząc przez aparat intelektu, staje się przedmiotem myśli, lecz zarazem pozostaje piętno tego pochodzenia przedmiotu, jako jego charakter wzruszeniowy. Stąd wynika i odwrotne twierdzenie o wzruszeniowości postrzeżeń, że jest ona *wtórny* objawem myślowego pochodzenia, „funkcją intelektualną”, zgodnie z tem, cośmy mówili przy rozbiórce „paradoksów” pamięci uczuciowej. W tem znaczeniu barwa wzruszeniowa przedmiotów świadomości może być uważana za wytwór intelektu, gdyż jest, tak jak i cały przedmiot, którego nieodłączną cechą stanowi, wynikiem wtórnym opracowania myślowego; jest to bezimienna istota postrzeżenia, lecz widziana przez pryzmat myśli, i z tego powodu inna w fakcie konkretnym, aniżeli w pierwotnej intuicji. Psychologowie, którzy, jak Herbart, stawiali intelektualistyczne teorie uczuć, błędzili nie w tem, że w naturze uczucia poszukiwali wpływu działalności umysłu, lecz że do tej jednej strony zjawiska usiłowali sprowadzić całe zagadnienie, przypisując uczuciu charakter czysto formalny wyniku stosunków. Ale ten sam zarzut jednostron-

nego widzenia zjawiska można także postawić ich krytykom, którzy w uczuciach, zjawiających się w systematyzacji duchowej, w dziedzinie świadomości postrzegającej, widzą fakt pierwiastkowy. Jeżeli bowiem pierwsi odejmują uczuciom ich *intuicyjny* charakter, ich pierwiastkową niezależność od myśli ludzkiej, to natomiast drudzy — odejmują postrzeżeniom ich charakter *apercepcyjny*, gdyż tym tylko sposobem dałaby się objaśnić pierwiastkowość uczuciowości, będącej nieodłączną cechą postrzeżeń. Przypuszczać, że wzruszenia imienne, które możemy obserwować tylko w przedmiotach świadomości, łącznie z wyobrażeniowym pierwiastkiem, są pierwotne i niezależne od myśli naszej, znaczyłoby to samo, co przypisywać tę niezależność i pierwiastkowi wyobrażeniowemu, gdyż jeden bez drugiego nie zjawia się nigdy; oba stanowią jeden tylko konkretny fakt postrzeżenia.

W zagadnieniu uczucia mamy więc jeszcze jeden przykład przyrodzonej dyalektyki zjawisk psychicznych, wynikającej z ich dwulicowej natury — intuicyjnej i apercepcyjnej, z ciągłego ścierania się subjektu myślącego z „nieświadomem“, na którym to ścieraniu się wyrasta cały świat duszy naszej. — Wzruszeniowość postrzeżeń zawiera w sobie sprzeczność obu stron zjawiska: jako przejaw przedmyślowej uczuciowości, t. j. istotnego pochodzenia postrzeżeń, należy ona do sfery intuicji pierwotnej; lecz zarazem, będąc tylko *przejawem* tej uczuciowości w jej urobieniu się *apercepcyjnym* na przedmiot myśli, nosi na sobie głębokie piętno intelektualnego pochodzenia i stanowi wraz ze stroną wyobrażeniową — jedną całość niepodzielnej jednostki psychicznej. Z pierwszą stroną tego zagadnienia dyalektycznego wzruszeniowości, to jest z jej pochodzeniem przedmyślowem, możnaby związać zapatrywanie się Descartes'a, Wundt'a i Bain'a, według których, pierwiastkiem wzruszeń, wzruszeniem elementarnym — jest *zdziwienie*. Zdziwienie bowiem jest charakterystyczną reakcją duszy na każdy „pierwszy raz“, na wszelką nowość wrażenia, momentem świadomości, do

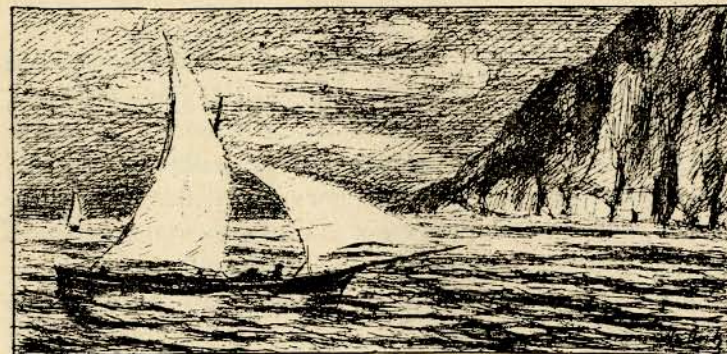
którego apercepcja nie przystosowała się jeszcze; treścią zaś takiej świadomości, która nie weszła jeszcze w aparat myślowy, nie zorganizowała się według pewnego wzoru wyobrażeniowego, może być tylko to, co stanowi intuicyjny materiał tego zorganizowania; jesteśmy wtedy najbliższej uczuciowości bezimiennej, która występuje zawsze wtenczas, gdy działalność apercepcji jest chwilowo zawieszoną, i ona to właśnie, ukazująca się przelotnie wskutek nieprzystosowania się uwagi, stanowi *zdziwienie*. Jest to zatem najbardziej istotny pierwiastek wzruszeń, i wszystkie inne wzruszenia można uważać, że są tylko jego rozmaitą systematyzacją, ustosunkowywaniem się, pochodzącym ze strony myślowej; wszystkie bowiem wzruszenia są tylko rozmaitym przejawem, w przedmiotach myśli, uczuciowości przedmyślowej, bezimiennej, która stanowi pierwotne podścielisko przedmiotów. Nie znaczy to jednak, ażeby różnice pomiędzy wzruszeniami były natury czysto formalnej, a ich zasadnicza jakość — „zdziwienie“, była tylko jedną; albowiem i uczuciowość bezimienna zawiera w sobie wielką różnorodność, i z niej to właściwie pochodzą charakterystyczne piętna jakościowe postrzeżeń, te właśnie, o których Fouillée mówi, że „ani słowa, ani myśl nie mogą ich pochwycić, i nie o nich nie wiemy prócz tego że istnieją.“ *) Pierwiastków wzruszeniowych jest tyle, ile jest faktów świadomości, lecz wszystkie one sprowadzają się do jednego typu uczuciowości przedmyślowej, z którą być może, że stykamy się najbezpośredniej, a przytem najpospoliciej, w chwilach „zdziwienia.“ **)

Z takiego postawienia kwestji wynika jasno, że wzruszeniowość postrzeżenia, która, oddzieliwszy się od swego

*) Dalej mówi on: „Nie możemy określić piętna „czerwonego“ lub „błękitnego“ ani przez najgłębszą refleksję, ani przez drobniagowe poszukiwanie warunków, w których czucie powstaje.“ (*Psychologie des idées—forces*, t. I, p. 41)

**) Widzieliśmy już na innem miejscu, że to nie jest jedyńy wypadek takiego stykania się. Zob. „Dwulicowy charakter postrzeżeń.“ Przegląd Filozof. R. I.

pierwiastka wyobraźniowego, przechowuje się w cene-
stezji organizmu, jest nieczem innym, jak tylko uczucio-
wym, intuicyjnym równoważnikiem tego postrzeżenia.
Wyzwolenie się wzruszenia od jego wyobraźniowej stro-
ny, z którą tworzyło niepodzielną całość konkretnego
faktu świadomości, i jego przejście w tym stanie swobo-
dnym do cenestezji, gdzie już żaden intelektualizm dzia-
łać nie może, jest równoznaczne z zaniknięciem całej aper-
cepcyjnej strony tego faktu, które następuje zawsze wten-
czas, gdy uwaga zwraca się w innym kierunku, t.j. gdy
fakt staje się *zapomnianym*; zatarata bowiem wyobraźnio-
wej strony wzruszenia nie może nastąpić, dopóki znajduje
się ono w sferze myśli, w zakresie świadomości postrze-
gającej; wiemy zaś, że to, co pozostaje po odjęciu od po-
strzeżenia czynnika apercepcyjnego, jest jego intuicyjną,
przedmyślową stroną; ona więc stanowi wyzwolone i za-
chowane w cenestezji wzruszenie.



JÓZEFA KLEMENSIEWICZOWA.

GUSTAF af GEJERSTAM.

(ur. 5 stycznia 1858 r., zm. 6 marca 1909 r.).

Ze śmiercią Gustawa Gejerstama utraciła Szwecja
pisarza pierwszorzędного i człowieka wyjątkowej etycz-
nej wartości. Wróg krzykactwa i wielkich, zazwyczaj
pustych słów, uważał za ważne czynniki w kształtowaniu
się dziejów duszy ludzkiej, a nawet i zewnętrznych lo-
sów: milczenie i samotność.

Milczenie to u niego mieła właściwości różnorodne,
ale zawsze płodne jest w skutki. „Litosne jest milczenie
ludzi—litosne i bez miłosierdzia“, mówi w „Niebezpiecz-
nych siłach“. „Milczenie było tak dręczące, niepokojące
i przytłaczające, jak tylko bywa między ludźmi, którzy
bezwiednie ranią się wzajem tem właśnie, że są sam na
sam z sobą, przez to, że złe myśli przechodzą od jedne-
go do drugiego, myśli, które męczą, rwia, szarpia“
(Tamże).

„Milczeniem ludzie ranią się wzajem straszniej, niż
dzikie zwierzęta, rozszarpujące sobie ciała z wściekłości“
(„Komedja małżeńska“). „Dziwna jest moc milczenia, któ-
re już to łączy, to znów rozdziela“ („Potęga kobiety“).

„Niebezpiecznie jest, gdy dwoje ludzi, którzy się kochali, w ciemności czuwają i milczą. Wtedy poczynają działać niedobre myśli. A właściwie nie są one już myślami, nie kształtują się w słowa. To uczucia pracują, a posiadają moc samodzielnych potęg. Gorycz jednej osoby przechodzi w drugą, zwiększając gorycz jej duszy. Gniew jednego rodzi gniew drugiego. Z gniewu powstaje niechęć, a z niechęci nienawiść“. Takie milczenie doprowadza do rozvodu małżeństwa szczerze się kochającego w „Komedji małżeńskiej“.

Innego rodzaju milczenie, milczenie, spowodowane wstydlivością do odsłaniania, nawet przed najbliższymi tajemnic pożycia małżeńskiego, sprowadza na nieszczęśliwą kobietę w powieści p. t. „Nils Tufvesson i jego matka“ straszną śmierć, którą odwrócić by mogły w swoim czasie rozwiązane usta.

Lecz nadchodzą chwile, według Gejerstama, kiedy człowiek, który długo milczał, musi mówić — musi wyświadczyć się, wykrzyczeć ból swojej duszy, aby w czyjejś piersi usłyszeć echo („Dawne listy“). Jeżeli człowiekiem takim jest pisarz, powstaje utwór literacki, budzący echo w licznych piersiach. Przeciętni ludzie oburzają się wtedy, wołając: „Ach jak można tak do głębi odsłaniać siebie samego!“ Nie wiedzą oni, że autor długo walczył z tą potrzebą mówienia, palącą mu duszę, a gdy jej nareszcie dał upust, stało się to bez jego woli, czasem wbrew niej, z gwałtownością żywiołowej potęgi, której nic nie powstrzyma. Sąd przeciętnych ludzi podzielać niejednokrotnie pisarze, którzy nic nie przeżyli, nie nie znają. Wypowiadają oni myśli pospolitych ludzi lub takich, którzy nigdy nie odczuwali potrzeby wywnętrzania się, bo znają dobrze własną swoją pustkę. Wielkich namiętności nie tykają, a za sprzymierzeńca biorą brutalność codzienności; pewni sympatji, którą zawsze znajdzie banalność, napadają na tego, kto milczał, a gdy przemówił, był szczerzy — oto własne słowa zmar-

łego, najlepiej charakteryzujące jego stanowisko w stosunku do twórczości literackiej.

To też właśnie tej pospolitości, banalności, o których wspomina, sam nie zrobił najmniejszego ustępstwa w całej swej działalności, a pozostawił dzieł sporo, bo rozpoczął pracę literacką r. 1882 i wyłącznie jej oddany, pracował do ostatniej chwili.

Drugim motywem, często powtarzającym się u Gejerstama, jest opiewanie samotności, a skutki jej, podobnie jak milczenia, rozmaite. „Dobrze jest człowiekowi, gdy jest sam — mówi w „Dawnych listach“ — jest to najwyższe dobro na ziemi i nie ponad to nie jest dobrem“. W „Niebezpiecznych siłach“ zaś czytamy: „Setki mężczyzn i kobiet cierpią z jednego i tego samego powodu. U niektórych objawia się ich cierpienie, jako zbyt wrażliwości. Innym wloką się ospale dni codziennego życia, są wreszcie tacy, których żre nienawiść. Jedni szukają zapomnienia w wyuzdaniu i trunkach lub uciekają się do drwin i szyderstwa. A wszystkim wspólne jest poczucie osamotnienia“.

W „Ośmiu listach“ pisze bohater: „Im bardziej złożonymi się stajemy, bardziej subtelными, rozumnymi i rozumiejącymi, tem trudniej jest jednemu człowiekowi zbliżyć się do drugiego, tem bardziej odosobniony stoi każdy ze swoją własną dolą, rwącą mu się w kawałki“.

Mało który z autorów współczesnych pojmował swój zawód tak poważnie i sumiennie, jak Gejerstam. Dla niego było to posłannictwo, bo wychodził z zasady, że darów przyrodzonych marnować nam nie wolno, lecz obowiązkiem jest wyzyskiwać je jak najlepiej. Czuąc w sobie talent i zamiłowanie do pracy twórczej, porzucił studia niwiersyteckie w Upsali i pośpieszył do stolicy, jako krynicy wszelkich najpodnioslejszych wrażeń, jako do środowiska najbujniej rozkwitającego życia umysłowego, czego łaknęła młoda jego, świeża dusza.

W bardzo krótkim jednak czasie otrząsnął się ze złudzenia i przeniósł się na odosobnioną wysepkę, gdzie zamieszkał u wiejskiej rodziny. „Celem, do którego się przyznałem—pisze w przedmowie do powieści „Nils Tufvesson“—była chęć zetknięcia się z chłopem szwedzkim, którego życie chciałem odmalować, nie jako ten, który *tworzy*, lecz ten, który *wie*. Przyczyną o której zamilczałem, była tęsknota do samotności, tęsknota do usłyszenia ciszy w sobie i naokół siebie“.

Owocem tego bezpośredniego zetknięcia się autora z ludem są nowele, opowiadania, sztuki ludowe i wspomniała powieść „Nils Tufvesson i jego matka“. Temat sam wstrząsający jest ohydą swoją (kazirodstwo matki z własnym synem), ale powieść przeprowadzona tak artystycznie, z takim delikatnem oszczędzeniem nam wstrętnych obrazów, że nie zżymamy się na potworność pomysłu, a zbrodniarka nie wywołuje w nas nawet obrzydzenia, jeno grozę, zda się bowiem być raczej demoniczną jakąś potęgą, niż istotą ludzką, posiadającą siłę do popełniania tak niesłychanych zbrodni.

Utworami tymi osiągnął Gejerstam, jak zamierzał, *prawdę poetycką* i dał nam poznać lud szwedzki, powolny w myśleniu, ciężki do wyjawiania swego zdania, niepochozny do czynu, wrażliwy ale rozważny, skłonny do zadumy, a nadewszystko pełen głębokiego poczucia sprawiedliwości.

Polem, na którym zmarły był pierwszorzędną siłą w literaturze europejskiej, jest powieść psychologiczna. „Głowa Meduzy“ (wyd. r. 1895), dała początek całemu szeregowi pięknych, niepospolitych utworów, z których (o ile mi wiadomo) u nas znany jest tylko jeden p. t. „Książka o braciszku“. Treść ich, niebogata w zewnętrzne wypadki, najczęściej czerpał autor z życia rodziny współczesnej; wyjątkowo sięgał w przeszłość, jak np. do końca XVIII wieku w powieści „Sen Kasi Brandt“ lub w „Torze“ do czasów wojny duńsko-niemieckiej roku 1864.

Przeważna część tych utworów maluje głównie stosunek małżonków do siebie. Wykazuje w nich autor, jak mało ludzi potrafi powiedzieć w odpowiedniej chwili to, co należy i jak należy. Zazwyczaj ludzie cierpią i udręczają się wzajem, nie mogąc przemóc niejasnej dla nich samych nieśmiałości czy wstrętu do mówienia o sobie. Bywa, że śmierć dopiero rozwiązuje usta, pozostawiając wieczny smutek i żal za życiem, które mogłoby być tak piękne, gdyby ludzie wzajemnie się rozumieli i znali. Lecz—zdala od siebie stoją ludzie, a z tego, co jeden drugiemu mógłby całe życie opowiadać, częstokroć nic się nie wydostaje nazewnątrz. „To też niewiele o sobie wzajem wiemy, a to, co mniemamy wiedzieć, najczęściej jest fałszywe“—mówi Gejerstam w „Miłości“.

Stosunek dwojga ludzi do siebie, to tkanka pajęcza—pisze w „Niebezpiecznych siłach“. — Nici, wiążące ich z sobą, są prawie niewidzialne, a jeszcze bardziej ukryte są siły, które te niewidzialne nici nadszarpują, rozluźniają, a wreszcie rozrywają. Człowiek, cierpiąc z tego powodu, szuka lekarstwa, nie bacząc na niebezpieczeństwo, że środek obrany przez niego, może się okazać trucizną. Działa w przystępie rozpacz, która go oslepia, a tęsknota za szczęściem staje się dla niego taką okropną męką, że nie zważa na niebezpieczeństwo.

Ludzie wyjątkowi, ludzie z jednej bryły tylko, umieją w najtrudniejszych położeniach zachować harmonję z samym sobą i z tymi, z którymi ich los zetknął; przeważna część to tak zwani przez niego „dyletanci życia“, o których mówi w „Ośmiu listach“. — „Dumni jesteśmy, że umiemy kierować elektrycznością, stosownie do naszej woli i potrafimy uchronić budynek od skutków piorunu. Lecz psychologja nie wynalazła jeszcze odgromnika przeciw niszczycielskim prądom, w nas samych powstającym, a zagrażającym nam zagładą. Nawet własnych namiętności nie potrafimy ujarzmić. Nasze „ja“ jest do takiego stopnia rozdrobnione, że nie umiemy być całkowicie nawet

w tem jedynem uczuciu, które obejmuje całe nasze życie. Jak we wszystkim, i tu jesteśmy dyletantami“.

Przepiękne karty poświęcił uczuciu, łączącemu rodziców z dziećmi, a zwłaszcza w wielu powieściach, zaczerpniętych z życia rodzinnego, przedstawiał stosunek ojca do dzieci, który to stosunek rzadko bywa przedmiotem opracowania w literaturze czasów najnowszych. Wpływ ojca redukuje się przeważnie do przekazania cech dziedzicznych, a oddziaływanie na duchowy rozwój dziecka przypisuje się zwykle tylko matce. Gejerstam badał duszę dziecka i odsłonił mu się cały skarb uczuć i myśli w tym małym światku; zwłaszcza zaciekały go przede wszystkim dzieci wychowujące się wśród ludzi dorosłych, przedwcześnie rozwinięte lub wprost te anioły, które zabłąkały się tu na ziemi na to tylko, aby cierpiały, gdy nadejdzie pora wracać skąd przyszły, rzucać tych, których ukochały. Przekonał się on, że dzieci wiedzą i rozumieją o wiele więcej, niż przypuszcza otoczenie, i że nie nie zamyka tak ich serduszek, oddalając je od nas i rodząc nieufność i gorycz, jak traktowanie ich przez nas zawsze, jako dzieci, nie rozumiejące tego, czego by nie powinny słyseć.

Niezatarty wpływ wspomnień dzieciństwa, spędzonego pod wspólnym, rodzicielskim dachem, zwyciężający wpływ odmiennych kolei życia, które sprowadziły rozbrat, niezgodę, a nawet nienawiść u dwóch braci, przedstawił w jednej z ostatnich powieści pod tytułem „Bracia Mörkowie“.

Powieści Gejerstama, to przeważnie cicha, łagodna melancholją owiane wspomnienia przeżyć duszy wysubtelnionej cierpieniem — harfy o strunach tak czułych, że drgają od szmeru westchnień pokrewnej, równie subtelnej duszy. Jedyną, w której możnaby się dopatrzyć pewnych błysków humoru, co prawda, bardzo też bolesnego, jest powieść „Niebezpieczne siły“, w której daje obraz przetwarzania się najszlachetniejszych porywów młodzień-

czych pod wpływem życia i stosunków z ludźmi, naogół pełnymi fałszu, obłudy, komedjanctwa.

Pomimo wielkiego współczucia dla wydziedziczonych tego świata, którym osobno poświęcił jeden z pierwszych zbiorów nowel p. t. „Biedacy“, zbawienia nie zdaje się upatrywać w socjalizmie.

Przyjaciół i kolegę Strindberga, nigdy, jak on, nie apostołował odszczepieństwa ani też głościami fanfarami nie obwieszczał swojego powrotu do wiary. „Sam przecież nie wiem, w co wierzę — mówi ojciec do matki w „Książce o braciszku“. „Przeżyłem tyle strasznych wstrząśnień, że nie śmiem twierdzić, co jest rzeczywistością, a co urojeniem w przejściach innych ludzi. Czyż jestem w stanie powiedzieć coś pewnego o swoim własnym? Alboż wiem, czy tylko to, czego dosięgnę rozumem, jest rzeczywistością? Czyż nie można przypuścić, aby istniała rzeczywistość, którą można osiągnąć tylko uczuciem, a może nawet tylko wyobraźnią? Zda mi się, jakobym sam siebie chciał skrzywdzić, przyznając, że uczucie i wyobraźnia istnieją tylko po to, aby były pod jarzmem rozumu. Ani wierzę, ani nie wierzę. Dręczy mnie jeno wyczekiwanie chwili, w której wyjaśni mi się to, czego nie wiem“.

Nadeszła tedy dla niego owa upragniona chwila. Czy jednak wyjaśniła mu rzeczywiście wszystko, czego nie wiedział? Czy w nim też „umilkły wszystkie głosy życia“, nawet miłości i głodu szczęścia, a otwarła się droga, do jedynego szczęścia, które stanowi jedyne, trwałe dobro ludzkie — do samotności? O tem od niego nie dowiemy się już nigdy.





JERZY HUZARSKI.

PIOTR JAN BÉRENGER.

(1780 — 1858).

W lipcu zeszłego roku literatura francuska obchodziła pięćdziesiątą rocznicę śmierci jednego z twórców rewolucji 30 roku, Piotra Jana Béréngera.

U nas rocznica ta przeminęła bez echa, nikt prawie nie przypominał jej polskiemu społeczeństwu. A przecież Béranger zasłużył na wdzięczniejszą pamięć ze strony Polaków, którym okazał za życia tyle życzliwości. Sądźmy więc, że, przypominając społeczeństwu naszemu zarówno samą osobistość Béréngera, jak i jego działalność, oddamy zasłużony hołd jego pamięci.

Piotr Jan Béranger urodził się w 1780 r., dzieckiem więc był jeszcze, kiedy nad Francją zaświtała zorza Wielkiej Rewolucji i po raz pierwszy w dziejach kontynentu tron królewski rozpadł się w gruzy pod naporem ideałów ludowładztwa. Ale pomimo to rewolucyjna epoka wycisnęła niezatarte znamię na charakterze i działalności poety. Natchnęła go gorącą miłością dla hasła demokratycznych, wyrobiła w nim entuzjazm dla sprawy wolności i przepoiła tym specjalnym patryjotyzmem, właściwym synom pierwszej republiki. Patryjotyzm ten polegał na świadomości, a raczej mistycznej wierze w posłannictwo Francji, w jej misję—szerzycielki idei wolno-

ści i ludowładztwa. Wszak były to czasy, kiedy, jak wyraził się Wiktor Hugo, „la France leur disait: allez délivrer les peuples opprimés: et on voyait ces va-nu-pieds superbes, ces généraux imberbes marcher à travers le monde ébloui“*). I Béranger wierzył również, że posłannictwem Francji jest roznosić po świecie hasła demokratyzmu, uwalniać uciskane narody; w całej swej działalności nie tracił z oczu tej idei przewodniej, którą sformułował na mogiłach bohaterów, poległych za wolność w 1830-ym roku**).

Z drugiej strony, jakkolwiek wyrósł w epoce rewolucyjnej, to jednak nie widział gwałtów, popełnianych w imię wolności, nie przeżył bezpośrednio mrocznych dni terroru. Dlatego też nieznanym był mu ten sceptycyzm i brak wiary w szlachetność wszechwładnego ludu, nie zaznał tej goryczy, która przejęła wielu dawnych republikanów i ułatwiła Bonapartemu zniesienie republiki.

W patryjotyzmie, w przywiązaniu do zewnętrznego blasku ojczyzny, szukać należy powodu nienawiści Béréngera do Bourbonów i ich dzieła, a pewnej sympatii dla Napoleona.

Niewątpliwie Béranger widział w Napoleonie wroga i pogromcę wolności ludu, ale widział też, że pod jego wodzą, pod znakiem cesarskich orłów, wojska napoleońskie roznosiły po świecie posiew wolności, a jednocześnie wznosiły Francję na szczyt potęgi i blasku. Temu zapewne przypisać należy, że za czasów pierwszego cesarstwa, Béranger nie traktował wroga gienjalnego Korsykańczyka, choć nie był mu też przychylny. W pierwszej swej politycznej piosnce, „Le roi Yvetot“, wyszy-

*) Francja mówiła swym synom: śpieszcie uwolnić uciskane narody; i wówczas widziano, jak ci świetni oberwańcy, ci gołowiści generałowie przebiegali olśniony świat. („Les Châtiments“).

**) Les Tombeaux de Juillet.

dził nawet parweńjuszowski przepych dworu cesarskiego; ale kiedy olbrzym runął, kiedy po jego upadku nad wy-czerpaną Francją zaciążył miecz cudzoziemców, w świadomości Bérengera pozostał już nie Bonaparte—gnębiiciel i tyran, lecz wojownik, pod wodzą którego Francja zapanaowała nad światem. W licznych piosnkach opiewał on, niemal szerzył kult „małego kaprała”. Śmiało powiedzieć możemy, że apoteozowaniem Napoleona Wielkiego w nie-małym stopniu, choć nieświadomie, przyczynił się do utrwalenia władzy Napoleona Małego, a pognębienia swe-go dziecięcia—drugiej rzeczypospolitej. Sam zdawał sobie zresztą z tego sprawę, i ta gorzka świadomość po zamachu stanu w r. 1851 zatruliła ostatnie siedem lat jego życia.

* * *

Właściwa działalność Bérengera zaczyna się w okresie restauracji, kiedy zwycięskie wojska „dzikiej” Europy wprowadziły na tron francuski potomka znienawidzonych Bourbonów. Dopiero w tym okresie ogólnego upadku ducha rozwinął do lotu swe skrzydła poetyckie.

Dla Bérengera, jak dla wszystkich ówczesnych patryjotów, restauracja Bourbonów była podwójnym ciosem: z jednej strony oznaczała ona porażkę sprawy wolności, której nic nie było w stanie obronić przed bagnetami wojsk Europy, skoalizowanej z władcą Francji; z drugiej strony straszliwym ciosem była hańba, której Francja nie zaznała od wieków — okupacja przez cudzoziemskie wojska serca kraju — Paryża, gospodarka w nim wszechwładnych zwycięzców.

To też od tego czasu Bérenger zaprzysiągł Bourbonom nieubłaganą nienawiść. Jeszcze w okresie okupacji z jałem, właściwym ludziom zropanczonym, choć nie zrezygnowanym, wyrażał swą wzdargę dla piesków, liżących buty cudzoziemskich żołdaków, liżących ręce jeszcze mo-

kre i czerwone od francuskiej krwi *). Po wyjściu wojsk koalicji z granic Francji, odetchnął wolniejszą piersią, czując, że pozostawiona własnym siłom dynastia Bourbonów nie upora się z dążącym do wolności ludem. Wówczas zadaniem jego staje się zbliżenie chwili wyzwolenia, podkopanie im gruntu pod władzą królewską.

Bronią jego była gryząca satyra, przybrana w formę piosnki politycznej. Wskrzesał nanowo broń Hugonotów i Frondy. Restauracja i wszelkie jej atrybuty stały się przedmiotem zjadliwych satyr Bérengera. Wysztychał dwór królewski z armją dworaków, płaszcących się przed nowym panem, marszałków, którzy sprzedali swe szpady, wstawione przy boku Napoleona, wyszydzał bourbońską *charte*, śmieszną i codziennie gwałconą parodię, angielskiej *magna charta libertatum*, wyszydzał operetkowe przedstawicielstwo, uległe ślepo królowi; wyszydzał duchowieństwo — wierną podporę tronu królewskiego. Duchowieństwo budziło w nim szczególną nienawiść, pomimo, a może właśnie dzięki—głębokiej religijności. W swym filozoficznym deizmie Bérenger nie mógł się bowiem pogodzić z kultem Boga-Fetysza, który szerzyło duchowieństwo, nie mógł pogodzić się z wszechwładzą świecką duchowieństwa. Powrót do Francji Jezuitów przywitał słynną piosnką „Les Jésuites“, wyszydającą nauczanie jezuickie, papieża nazywa handlarzem wiary**), misjonarzy—ostatnim wytworem złośliwego szatana***).

Wycieczki przeciw władzy świeckiej i duchownej musiały narazić Bérengera na zatarg. Nie unikał go zresztą poeta, przeciwnie, szukał go, wiedząc, że proces, więzienie, będą jedynie nowym środkiem agitacyjnym w jego rękę, „wystrzałem szyldwacha liberalnego obozu“

*) *Requête présentée par les chiens de qualité.*

**) *Le pape musulman.*

***) *Les missionnaires.*

jak wyraża się w swej biografii. I rzeczywiście, zatarg nastąpił i zakończył się dwukrotnem skazaniem Bérengera: za pierwszym razem na trzy miesiące (w 1821 r.), za drugim (w 1828 r.) na dziesięć miesięcy więzienia, oraz na znaczną grzywnę. Ale procesy i wyroki zwiększyły tylko popularność poety, a jątrzyły coraz bardziej ogół przeciw władzy królewskiej. W r. 1830 Karol X runął, a Béranger, jeden z głównych sprawców jego upadku, stanął u szczytu sławy.

Po kompromisie między republikanami a legalistami, który Béranger popierał, po wprowadzeniu na tron „konstytucyjnego” księcia Orleańskiego, poeta, zadowolony ze swego dzieła, usunął się od polityki w ciszę prywatnego życia, zamieszkał zdala od centrum polityki — Paryża. Wprawdzie później nie był zadowolony z okresu konstytucyjnego i wyrażał się o nim z wielką goryczą, w „Le Bondy”, ale uznał widocznie swoją misję za skończoną, gdyż pomimo usilnych nalegań współobywateli nie przyjął mandatu poselskiego, ofiarowanego mu po zwycięstwie rewolucji w r. 1848.

Ostatnie siedem lat jego życia zatruł (w 1851 r.) tryumf Napoleona III, który, jak się zdawało współczesnym, ostatecznie zmiażdżył republikę. Wreszcie, w roku 1858 zmarł w Fontenay-aux-Roses na hypertrofię serca. Napoleon III, chcąc wynagrodzić zasługi mimowolnego sojusznika, zrobił poecie wątpliwy a ironiczny zaszczyt, wyprawiając mu na koszt rządu świetny pogrzeb.

* * *

O ile za życia popularność i sława Bérengera były może zbyt wielkie w stosunku do talentu poetyckiego, choć najzupełniej proporcjonalne do jego zasług, o tyle po śmierci osądzono go zbyt surowo. Obniżono jego wartość, odmówiono oryginalności jego ideom, wartości poe-

zjom. Jeden z najwybitniejszych i najwykwitniejszych historyków literatury francuskiej, Lanson, mówi o nim z lekceważeniem, graniczącym z niechęcią.

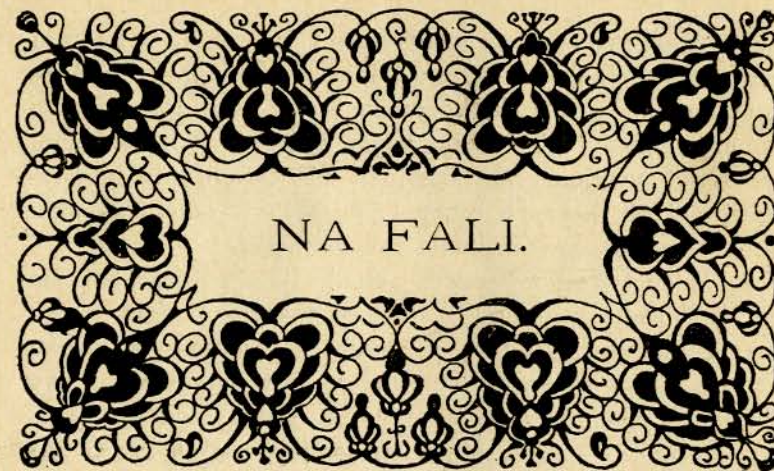
Ale jest to lekceważenie nieuzasadnione. Piosnki Bérengera cechuje wielka pogoda i miłość życia obok filozoficznego spokoju i równowagi. Pod względem formy zewnętrznej są do dziś niedoścignionym wzorem piosnek politycznych (*chansons politiques*).

Przytem wartość i zasługi Bérengera stanowią nie same idee, zawarte w jego poezjach, lecz siła i odwaga z jaką idee te szerzył. Bezwątpienia hasła jego nie były indywidualnemi; były to popularne hasła danej epoki, ale Béranger umiał bronić ich z olbrzymią odwagą, dodał im nowego blasku i rozgłosu w chwili, kiedy zdawały się milknąć. Wystarczy zresztą przypomnieć epokę, w której działał Béranger, epokę ogólnego upodlenia, aby zrozumieć, jak poważną rolę odegrał on samym swym przykładem. Wszak były to czasy, kiedy poeci sprzedawali swe lutnie możnym tego świata, kiedy poeci i literaci stawali się prześladowcami wolności poezji i literatury, piastowali urzędy cenzorów i prokuratorów. Pamiętajmy, że Marchangu, oskarżyciel Bérangera w pierwszym procesie, był również poetą, że nawet najśmielsi milczeli w tej dobie, nie mając odwagi głosić swych idei. W podobnym okresie człowiek, odważnie i wytrwale stojący na obranem stanowisku, nieugięty rycerz pióra *sans peur et reproche*, zawsze wierny swej idei, krzepił słabnącego ducha w obozie liberalnym, pobudzał do czynu. Był jednym z niewielu poetów, których słowo było istotnie czynem.

Na zakończenie dodamy, że Béranger, entuzjazmujący się do wszelkiej szlachetnej idei, okazywał wiele przyjaźni i współczucia ginącej Polsce. Był członkiem tak zwanego polskiego komitetu w Paryżu w r. 1831, popierał go ze swych skromnych funduszy, oraz poświęcał pełne ciepła wiersze sprawie Polski. W wierszu „Hâ-

tons-nous“ stał się najgorętszym rzecznikiem powstania polskiego, wzywał do niesienia mu pomocy, w piosnce „Poniatowski“ porównywał los tonącego bohatera polskiego z losem jego ojczyzny.

Naród polski, który miał tak niewielu przyjaciół szczerých, powinien imię Bérengera zachować we wdzięcznej pamięci.



Obcowanie z przyrodą i — samotnością. Ludzie, którzy się nudzą w towarzystwie własnem, i zgryźliwa cytata z Byrona. Riwiera i wieś polska. Słówko o parcelacji i naszej niezaradności. Prasa codzienna w lecie i jej rola na wsi. Echa odwiedzin czeskich w Warszawie. Gdzie się ukrywa lew czeski i jakie były źródła entuzjazmu? Marnowanie sił naszych. Świeże mogiły.

Przyjaciół mój Byron, wyliczając w pierwszej pieśni „Don Juana“ jakieś dwa tuziny „rzeczy“, które są „słodkie“, zapomniał, zdaniem mojem, o jednej: o słodyczy bezwzględnej, zupełnego usuwania się co pewien czas od ciżby jarmarcznej dni powszednich, od szarpiaćcego i wyjaławiającego duszę rozgwaru wszelkich targowisk ludzkich, o słodyczy ukrycia się od czasu do czasu przed ludźmi i światem — z duszą i sercem, które — zdarza się niekiedy, że są, jak mówi Słowacki „więcej warte, niż to, co za nie dawali na świecie ci, co kupują serca na tandecie“.

Trudno się nie zgodzić z autorem „Don Juana“, że „słodko jest, gdy schodzi z księżycem bladym noc na sine morze... śpiew słyhać dźwięczny z gondoljera łodzi i wiosła plusk, jak rybek plusk w jeziorze“, sędzę jednak, że skala słodyczy — w pewnych stanach duszy przynajmniej — opadłaby znacznie, gdybyśmy mogli żywić obawę, że lada chwila z sąsiedniej gondoli usłyszymy: „Moje uszanowanie panu!“, wypowiedziane dobrze nam

znanym, skrzeczącym głosem naczelnika biura, w którym pracujemy, słodkim tenorem zdziercy-kamienicznika, któremu winni jesteśmy komorne za miesiąc ostatni, lub choćby nawet miłym głosikiem jednej z wielce szanowanych i przyjemnych skądinąd mecenasowych lub dyrektorowych, których rauty i „fajfokloki“ odwiedzać musimy w oznaczone niedziele lub czwartki.

Więc też niewątpliwie „słodko jest patrzeć, jak się gwiazda rodzi w niebie i słuchać wiatru, co gra w borze; słodko jest, gdy się przegnie na niebiosą w morzu kąpana tęcza krasnowłosa; słodkie jest winobranie, gdy się śmieją bachusowego soku pełne grona błękitne; słodko — wogóle — przed miejskich zawieją uciech rzucić się naturze w ramiona, ale powtarzam — od czasu do czasu chociaż — słodycz ta uwarunkowana być musi absolutną pewnością, że z naturą będziemy spędzali czas w zupełnym sam na sam, że ja, jak kochankę jedyną, posiadać będziemy wyłącznie i niepodzielnie, że tego cudownego stosunku nie zamąci nam i nie zakłóci owo „dziwne zwierzę, co się zwie człowiekiem, co w sobie wszystkie zdolności kojarzy i popisuje się wszechstronnym stekiem głupstw i wystawia w kramach ku sprzedaży“.

Takie obcowanie z przyrodą tylko i z samym sobą — kryje w swem łonie jakąś dziwną moc odradzającą, coś jakby eliksir — jeżeli nie wiecznej, to w każdym razie długiej młodości ducha. Ale i z naturą i z duszą własną trzeba przytem umieć obcować. Trzeba umieć odczuwać i rozumieć, co śpiewa wiatr, lecąc po polach, uznojonych krwawym potem długich pokoleń pracowników, lub trącając, niby w harfę tysiącostrunną, w wonne konary starzych lip, otaczających gniazdo przodków, wiejski dwór, pamiętający inne czasy. Trzeba umieć odnaleźć rozkosz w krwawych wschodach i łagodnych, różowo-fioletowych zachodach słońca. Trzeba posiadać umiejętność odczytywania run tajemniczych, pisanych na ciemnej fali rzeki, jeziora lub zwykłego stawu wiejskiego, srebrzystem piórem księżycą poprzez szeleszczące cichutko gałązki nad-

brzeżnych wierzb płaczących. Trzeba umieć milczeć, patrzeć i słuchać, trzeba umieć czuć i być człowiekiem prawdziwym, a nie zasuszoną mumją egipską, rozróżniającą tylko dwa kolory: czarny i czerwony, no i trzeci — zieleń stolika do kart; człowiekiem prawdziwym, a nie zręcznie wystruganą lalką fryzjerską, wybornem narzędziem do okurzenia i utrzymywania w formie modnych garniturów wizytowych lub spacerowych.

Trzeba być człowiekiem — nie każdy to podobno potrafi, a i między ludźmi są tacy, którzy się nudzą najbardziej — w swoim własnym towarzystwie. To tak coś, jak owe spotykane dość często pary małżeńskie, które zdążyły już niebacznie wszystko powiedzieć sobie w miodowych miesiącach szczęśliwego pożycia, i teraz, znalazłszy się sam na sam, mileżą zawzięcie lub — co gorsza — klóć się zjadle o lada bagatelę, którą tolerują w każdym innym, byle nie w mężu lub żonie. Ludzie samym sobie bywają często nieznosni i dlatego — swem towarzystwem uszczęśliwiają tak chętnie innych. Ludzie dziś wogóle z mało kochają samotność, zbyt rzadko tęsknią do niej, a wyjątkowo chyba umieją z niej naprawdę skorzystać, i dlatego, być może, jesteśmy tacy szablonowi, tacy bezbarwni i nudni, tacy podobni do siebie nawzajem, jak stare, wytarte, trzygroszniaki. I dlatego zapewne tak trudno dziś o indywidualność wybitniejszą, o człowieka z duszą głębszą i interesującą prawdziwie.

Nie lubimy samotności, nudzimy się we własnym wyłącznie towarzystwie. Tem się zapewne tłumaczy, że mieszkańcy wsi uciekają tak chętnie do ruchliwych i gwarnych, przekabareconych i zoperetkowanych do szpiku kości rzekomych „ośrodków“ postępu i kultury; mieszkańcy zaś tych ostatnich (czytaj poprostu mieszczychy), mając przed sobą kilka wolnych tygodni, przeznaczonych na odpoczynek dla nerwów, na okurzenie i odświeżenie duszy, tak rzadko stosunkowo szukają dla niej soków odżywczych tam, gdzie je znaleźć najłatwiej: na zwykłej, prostej, polskiej wsi, a tak chętnie wyjeżdżają

do różnych modnych i mniej modnych, cichych i głośnych, krajowych i zagranicznych kurortów, badów, zdrojowisk, gdzie w gruncie rzeczy znajdują tę samą, co w wielkich miastach, kabaretowo-operetkową atmosferę, ten sam gwar miejski, te same małostki życiowe, tych samych pół i ćwierć-ludzi, ten sam poprostu pył wielkomiejski, trochę tylko inaczej przyrządzony i — podany.

Człowiek swą obecnością potrafi — jeżeli nie zohydzić, to przynajmniej zbanalizować i obedrzeć z uroku najwspanialsze czary natury. Któż z nas — w gronie bodaj znajomych blizkich — nie widział i takich, którzy, znalazłszy się wobec majestatu gór lub morza, w jakimś Zakopanem, dajmy na to, lub Połędzie, myślą przede wszystkim o modnym kapeluszu lub żakiecie, jeżeli mają szczęście należeć do tak zwanej płci pięknej, o zorganizowaniu zaś możliwie przyjemnej „partyjki“, jeżeli są szanownymi mecenasami, doktorami, obywatelami ziemskimi, a nawet niekiedy — redaktorami poważnych i mniej poważnych organów opinii publicznej. Tego rodzaju *praca organiczna* znajduje podobno zwolenników zarówno wśród przedstawicieli konserwatywnych, jak radykalnych *organów prasy*. A przyznam, pomijając już uganianie się za modnym piórkiem wszelkiego rodzaju ptasich mózdzków, których nigdzie nie brak zapewne, że trudno o widok przykrzejszy, jak takie grono poważnych (niby) i umiających (niby) myśleć lekarzy, prawników, obywateli ziemskich, przemysłowców czy literatów, pogrążone po całych dniach w kombinacjach karcianych, na które spogląda z politowaniem wyniosła turnia Giewontu lub tęskna, granatowa, ugrzywiona białą pianką fala morska, uderzająca uparcie o brzeg poblizki. Ale — cóż robić! Ludzie nie umieją kochać przyrody i nudzą się w samotności. Tak już jest ten świat urządzone, świat, o którym Byron znowu we wspomnianym już poemacie (tylko w innej pieśni) powiada: „Tak, tak — świat musi kręcić się na osi, a z nim się kręci cała ludzka trzoda. Człek żyje,

kocha, mrze, podatki znosi, a kędy wiatr powieje, tam się poda. Król z tronu rządzi, ksiądz moralność głosi. doktor zabija, życie mknie jak woda, człek je i pije, wzdycha, nie zadrzymie w pracy, — z tego cóż? proch, cień, czasem imię!“

Tak się zdarzyło w tym roku, że we względnie niedługim odstępie czasu, miałem sposobność spędzić jakieś dwa tygodnie w południowej Francji, na Riwierze, i blisko dwa miesiące na szczerej polskiej wsi, na maleńkim skrawku ziemi, który od niedawna — nominalnie przynajmniej — do mnie należy. Obszerny dwór z kawałeczkiem parku i sporym ogrodem owocowym i warzywnym; w ogrodzie mała rzeczulka i dwa stawy, rozmawiające ze sobą wieczorem rechotaniem żab, jak tamte, znane — w Soplicowie — drobna resztką rozparcelowanej fortuny szlacheckiej w moich stronach rodzinnych w pobliżu Sandomierza, którą nabyłem prawie niespodziewanie, nie mogąc się oprzeć atawistycznemu, być może, pragnieniu posiadania bodaj kilku mórg „własnej“ ziemi.

Pobył na Riwierze, mimo wszystkie czary gór, nieba i morza, przyniósł w gruncie rzeczy dla duszy zmęczenie tylko, bo tam niepodobna prawie znaleźć samotności zupełnej. Wszędzie ludzie i tacy jacyś dziwni, szablownicy, kosmopolityczni ludzie. Piękne są Alpy nadbrzeżne, ale je zasuwają i odymiają tysiące samochodów, wożących z piekielnym hałasem cudną drogą nad morzem „elegancką“ międzynarodową publiczność, szukającą wrażeń w Monte-Carlo. Bajeczne jest Morze Śródziemne między San Remo a Niceą (choć piękniejsze bodaj jeszcze koło Capri, Sorrento i Amalfi), ale do jego błękitów i lazurów dziwnie mało pasują urządzone z reklamą ogromną wielkie międzynarodowe wyścigi łodzi samochodowych. Wspaniały widok roztacza się z tarasu przed kasynem w Monte-Carlo, ale jakżeż go popsuć umieją pracownicy próżniacy, strzelający godzinami całami

do białych gołębi, wylatujących, niby kulki śnieżne, nad lśniący w słońcu milionami brylantów lazur morza.

Tych dysonansów wszystkich, tego wielkomiejskiego kurzu i gwaru, tych wspaniałych strojów, tej publiczności bezmyślnej jest tam za dużo, aby można było pełną pierśią wchłaniać czary przyrody, i dlatego na odpoczynek—nie należy jeździć na Riwierę. Odpoczynek prawdziwy i dużą ilość zadowolenia dała mi dopiero wieś, gdzie człowiek może stworzyć sobie zupełną niemal samotność, a jednak nie przestaje być członkiem wielkiej a drogiej mu i bliskiej całości, gdzie może spoić się z przyrodą uściskiem bratnim, serdecznym, i czuć się niemal taką jej częścią, jak te białe brzozy, wyrastające z gruntu rodzimego, jak srebrne krople deszczu, które ten grunt użyzniają.

Takich skrawków ziemi, jak ten, który mnie co rok na kilka tygodni chociaż ma przyjmować gościnnie, wobec rozwiniętej obecnie gorączki parcelacyjnej, znalazłoby się zapewne sporo; takich, którzyby je posiadać pragnęli i mogli—jeszcze więcej, Rzecz dziwna jednak, że przy parcelacji majątków rzadko stosunkowo zachowywany bywa w całości dwór z ogrodem i otoczeniem najbliższem, stanowiące bądź co bądź jakiś ślad kultury wyższej, będące zwykle owocem wysiłków pokoleń poprzednich, które budowały te dwory, wznosiły śpichrze i stajnie, zakładały ogrody i sady ze stawami, pasiekami, kwiatnikami, a frymacerzenie ziemią, odziedziczoną po ojcach i dziadach, uważały jeszcze za coś—niezupełnie ładnego. Najczęściej dwór i otaczające go zabudowania kupują za byle co, na materiał poprostu, spekulanci małomiasteczkowi; niekulturalni nabywcy wycinają parki i ogrody, na których rodzi się podobno doskonale proso i kapusta, i po paru latach śladu nie pozostaje, że tu jednak przez setki lat były goręcej jakieś serca, że tu ongi mieszkali ludzie, którzy tę ziemię kochali, którzy na niej i dla niej—błędnie nieraz, ale szczerze i znośnie pracowali. Jeżeli parcelację wogóle usprawiedliwić można, jako pewnego ro-

dzaju konieczność ekonomiczną, to takie niszczenie bezmyślne tego, co w każdym razie uważać musimy za pewnego rodzaju bogactwo kulturalne całego kraju, zasługuje tylko na surową naganę i napiętnowanie i stanowi jeden jeszcze dowód naszego lenistwa, naszej niezaradności i bezmyślności.

Przejechawszy się w pole, ochłoniąłem ze smutku chwilowego, wywołanego bolączką naszego niedołęstwa, i ciągnę dalej wątek przerwany. Wieś, zwłaszcza w lecie, ma to do siebie, że pomniejsza różne kwestje i kwestyjki, nad którymi suszą sobie mózgi dziennikarze i redaktorzy w wielkich miastach. Dla rolnika kwestją najważniejszą, kwestją niemal życia lub śmierci, jest w tym czasie naturalnie możliwie pomyślny sprzęt zboża; energję całą wyładowuje więc w tym kierunku, mniej się troszcząc o powodzenie lub niepowodzenie Hiszpanji w Maroku, a nawet o „Antka z majchrem“ lub „taniec apaszów“ w „Momusie“ albo „Zuzannę po kąpieli“ i inne „okrasy“ umiającego się również reklamować nieźle „Chochlika“.

Ale nawet sprawy znacznie poważniejsze od opisywanych skrupulatnie „premjer“ w kabaretach, które — obok operetki — stały się istnym benjaminkiem pewnego odłamu prasy warszawskiej, nawet sprawy takie, które w normalnych warunkach mogłyby i powinnyby zająć inteligentnego człowieka, bledną i maleją wobec brzęku kos i sierpów, turkotu żniwiarek i wozów dla jednych, a czarów przyrody i rozkoszy obcowania z nią dla innych. Gazeta na wsi w lecie przestaje być tym chlebem powszednim, bez którego przeciętny warszawianin nie potrafiłby przełknąć szklanki herbaty rano, wypalić papierosa wieczorem. Przerzuca się ją więc tylko, aby zobaczyć, czy tam co prawdziwie ważnego nie zaszło, a czyta dokładnie—wyjątkowo chyba, gdy deszcz pada... I kto wie, czy nie miał racji ów redaktor jakiegoś prowincjonalnego dzienniczka w Ameryce, który na lato zamykał kramik cały, przestawał drukować swą gazetkę

i szedł w pole żąć i sprzątać pszenicę czy kukurydzę. Nie narażał przynajmniej ani siebie ani zecera swojego na pracę syzyfową pisania i drukowania artykułów, których nikt nie czyta, ogłaszania wiadomości, które nie interesują nikogo.

Tego lata jednak wyjątkowo prasa warszawska miała swoje „piękne dni“, kiedy i na prowincji najgłębszej oczekiwano iecierpliwie nadejścia gazet, czytano je bardzo uważnie, wzruszano się nad niemi aż do łez. Było to w momencie niezapomnianych odwiedzin Królestwa Polskiego, a zwłaszcza Warszawy, przez Czechów, kiedy naprawdę do wszystkich serc polskich krew napłynęła falą obfitszą, a ręce wyciągały się mimowoli do braterskiego uścisku. Komitet zarządzający przyjęcie z jednej strony, organy prasy naszej z drugiej, spłaciły przedewszystkiem dług wdzięczności względem Czechów za ich wielokrotną w stosunku do nas gościnność serdeczną i wypełniły pięknie swój obowiązek.

Ale w tym entuzjazmie wszystkich warstw społeczeństwa, z jakim wszędzie u nas witano wycieczkę czeską, w tych obustronnych przemówieniach gorących, w tych żywiołowych wybuchach uczucia było coś więcej rad gościnności tylko i nad zwykłe spełnienie miłego niewątpliwie obowiązku. Przemówiły tu *serca narodów*, czynnik, z którym w polityce, przy zawieraniu traktatów międzynarodowych, nie liczono się dotąd zgoła lub liczono w stopniu nieznacznym. I kto wie, czy piękne, piękne naprawdę, dni czesko-polskie w Warszawie nie są zapowiedzią daleką owej przyszłości świetlanej, gdy drapieżne chęci, zabobrze i dusicielskie instynkty jednych narodów względem drugich znikną całkiem z powierzchni odrodzonej do życia nowego ziemi, gdy przebiegłe knowania dyplomatyczne i ohydne intrygi gabinetów europejskich ustąpią wreszcie na zawsze przed żywszem drgnieniem serc w piersiach narodów. Marzenia to tylko na razie, ale i marzenia najśmielsze spełniają się niekiedy, a bywają, w każdym razie owym ognistym słupem Mojżesza, za którym ludzkość w przyszłość lepszą podąża. Parę głębo-

ko odczutyh uwag zamieścił świeżo w tej sprawie Wiktor Gomulicki w pięknym artykule „Po śnie“ w *Kurjerze Warszawskim* z 23 sierpnia.

Prasa nasza, zarówno codzienna, jak tygodniowa, wystąpiła na powitanie gości czeskich wspaniale, poświęcając im numery specjalne, artykuły i odezwy, pisane z uczuciem prawdziwym. Była ona zresztą tłumaczką i wyrazicielką nastroju ogólnego, a ten, poza pokrewieństwem rasowem, które, jak wiemy, niezawsze idzie w parze z miłością, odczuwał w Czechach braterstwo inne, wypływające, być może, z podobnych kolei losów, i widział w nich pod niejednym względem wzór do naśladowania wskazany.

Tę linię równoległą między Czechami a nami przeprowadził ładnie *Kurjer Warszawski* również w artykule powitalnym: „Czem chata bogata—tem rada“. „Piękna jest zaiste,—czytamy tam ziemia wasza, „krasna czeska zemie“, pełne są sady wasze majowego kwiecia, nad „srebrno-pianą“ Wełtawą, ale i „nasza się Wisła ukochana toczy przez kraj polisty, pszeniczny, uroczy...“ i „niema ziemi nad naszą ziemię!“ Bogaty jest „dom“ wasz ufnemi sercami i krzepkiemi siłami synów, którzy mury przeszkód walą, szczęśliwi, że dziś już „Zdar“ towarzyszy wielu ich poczynaniom. Za to ich za wzór sobie bierzemy i hołd im niesiemy. Ale i w naszej chacie i na naszej ziemi każdy proch, każdy pył i atom, przepojony jest poświęceniem do ostatniej kropli krwi—ofiarnością bez równej—miłością bez granic. Przeto po królewsku bogata, dostojna i święta jest ta ziemia i ta chata, do której wstąpiliście.“ A szczerzy i prawdziwy poeta Edmund Bogdanowicz (Bożydar) w ładnym wierszu powitalnym p. t. „Lew czeski“ ukazuje nam tego lwa—w piersi ludu czeskiego i twierdzi słusznie, że z tego dopiero prawdziwie dumną może być Praga.

Minęły, jak mija wszystko, uroczystości częstochowskie i warszawskie, lecz pozostawiły po sobie zarówno w naszych sercach, jak, zdaje się, i w sercach Czechów dziwnie miłe, dziwnie świetlane wrażenie. Prasa obu na-

rodów usiłuje teraz podsumować znaczenie tej wycieczki, wytłomaczyć i uzasadnić przyczyny entuzjazmu niezwykłego. Nie wszystko da się, naturalnie, rozumem chłodnym ogarnąć, stara zasada „Miej serce i patrzaj w serce“ bywa czasem w takich razach najlepszą. Kilka trafnych uwag w tym przedmiocie znaleźliśmy świeżo w *Nowej Gazecie* z 20 sierpnia, w artykule: „Po wyjeździe gości czeskich“, gdzie, podkreśliwszy raz jeszcze entuzjastyczny charakter przyjęcia w całej Polsce braci naszej z nad Woltawy, podznaczony literą G. autor próbuje wytłomaczyć, czem powodował się instynkt, który nakazał tak serdecznie i gorąco gości czeskich powitać. Motorem tym była — zdaniem jego — świadomość, że *Czesi przyjechali do nas* nie tylko dlatego, żeby zawrzeć kilkanaście lub kilkadziesiąt układów handlowych, lecz że pozatem widzieli w nas siłę kulturalną, z którą się liczyć należy. „To poczucie, że skarby naszej kultury są właściwie ocenione, dodawało iskier do ognia uczuć pobratymczych. Zadowolona duma narodowa grała wielką rolę w uczuciach gospodarzy polskich. Przecież sposobność do publicznego wyrazu tych uczuć tak rzadko zjawia się na szarem tle naszego życia politycznego...“

I ten czynnik odgrywał niewątpliwie pewną rolę, odgrywały ją z pewnością i inne. Cokolwiek jednak wywołało ten entuzjazm niezwykły, może on być w wynikach swych nader doniosłym. I doprawdy, gdyby nawet obecna wystawa częstochowska nie pociągnęła za sobą żadnych innych skutków dodatnich, oprócz tego zbliżenia się dwu bratnich narodów, już pozostawi ona po sobie pamięć czcigodną.

Różnych rzeczy dobrych i mądrych nauczyć się możemy od Czechów. Co do mnie jednak, to pragnąłbym najbardziej, abyśmy się nauczyli od nich jednego: zużytkowania bogactw, które posiadamy, poszanowania dla pełnych zapału wysiłków, których tyle idzie u nas na marne. Czesi z każdej piędzi ziemi miewają plony stokrotne; u nas niwy całe wydają chwasty i zielska. Każdy Czech

niemal jest człowiekiem kulturalnym, czuje się obywatelem i naturalnym obrońcą swojego kraju; u nas energia olbrzymia, nagromadzona przez wieki w piersiach ludu, jest przeważnie energią uspioną, i wiele lat upłynąć jeszcze musi, nim w sercach ludu naszego zbudzi się lew, podobny do tego, który Czechom wywalczył terazniejszość dobrą, o przyszłość zaś lepszą toczy wciąż walkę zażartą.

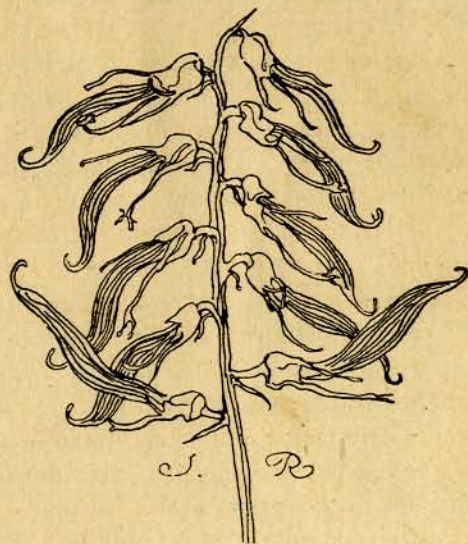
Ileż wysiłków najszlachetniejszych, ileż energii i zapału marnuje się przytem u nas codziennie, wskutek apatii i bezmyślności ogółu, spotykanych niemal na każdym kroku. Drugi miesiąc upływa już od niespodziewanej śmierci na zapalenie opon mózgowych trzydziestoletniego zaledwie Jana Kreczmara, zdolnego i zamiłowanego pedagoga, kierownika gimnazjum, popieranego przez Towarzystwo Kultury Polskiej. Był jednostką niezwykle prawą i szlachetną, był wprost entuzjastą swego zawodu. Czy sądzicie, że zabiła go choroba? Patrzyłem na jego pracę, widziałem jego wysiłki, zmierzające do podźwignięcia szkoły, której przewodniczył, widziałem jego szamotanie się daremne wobec apatii i bezmyślności tak zwanej inteligencji naszej i zaświadczyć mogę, że tę niepospolitą jednostkę zmarnowała, doprowadziła wprost do śmierci z nadmiaru pracy i zgryzot—apatja ta i bezmyślność właśnie. Tak było w swoim czasie na innem polu z Kazimierzem Krauzem, tak bywa codziennie prawie z mniej znanymi, których pracę, energję i zapał społeczeństwo traci dobrowolnie, zużywa i marnuje bezużytecznie, choć mogłoby nią wzbogacić prawdziwie szczupłe swoje zasoby kulturalne. Ale cóż? kabaret, operetka—te jeszcze jakoś popierać potrafimy, lecz szkoła, lecz jakiekolwiek przedsięwzięcie poważniejsze — niech sobie radzi, dopóki na zapalenie mózgu nie umrze, szalony śmielek, który do niego przystąpił...

Kreczmar umarł, zginął, jak żołnierz, na posterunku; została po nim pamięć piękna, zostało jego dzieło ukochane — szkoła. Czy sądzicie, że ogół teraz chociaż

będzie wiedział, jak zachować coś z jego wysiłków, jak skorzystać z jego pracy syzyfowej? Ha, w niedalekiej przyszłości zobaczymy...

Potrąciłem o sprawę bolesną, wspomniałem o mogi-
le przedwczesnej, która przykryła, pracownika dzielnego
i potrzebnego bardzo. W ostatnich tygodniach mogił
u nas otwarło się, niestety, za dużo. Umarł zasłużony
muzyk Zygmunt Noskowski, zmarł znakomity krytyk,
współredaktor „Biblioteki Warszawskiej“, Władysław Bo-
gusławski, zmarł wreszcie śmiercią samobójczą znakomity
socjolog, prof. Ludwik Gumpłowicz. Trochę za dużo strat
poniosło społeczeństwo nasze w ciągu krótkich tygodni
wakacyjnych. O stratach tych naszych i o zasługach
zmarłych pomówimy w najbliższym zeszycie „Sfinksa“.

WŁ. BUKOWIŃSKI.



SFINKS

WRZESIEŃ, Rok 1909.

Treść Zeszytu IX (21), Wrzesień 1909 r.

	Str.
Wł. Bukowiński: <i>W setną rocznicę (1809 4/IX 1909)</i>	273
Wiktor Gomulicki: <i>Słowacki „anielski“</i>	293
Juljusz Słowacki: <i>Z pieśni XII „Beniowskiego“</i>	313
Juljusz Słowacki: <i>Urywek z „Króla Ducha“</i>	316
Ignacy Matuszewski: <i>„Król-Duch“ czy „Królowie-Duchy?“</i>	321
Leopold Méyet: <i>Słowacki i Wiszniewski</i>	375
Józef Weyssenhoff: <i>Z poezji niemieckiej</i>	398
Jan Kleczyński: <i>Marzanna (ciąg dalszy)</i>	402
Roman Kreczmar: <i>Zagasto światło...</i>	419
Tadeusz Konczyński: <i>Pielgrzymi (ciąg dalszy)</i>	420
Władysław Bukowiński: <i>Na fali (teljeton)</i>	436
Dr. A. Chybiński: <i>Zygmunt Noskowski (wspomnienie pozgonne)</i>	440
Konkurs poetycki „Sfinksa“	443
Książki nadestane	445

Ogłoszenia.

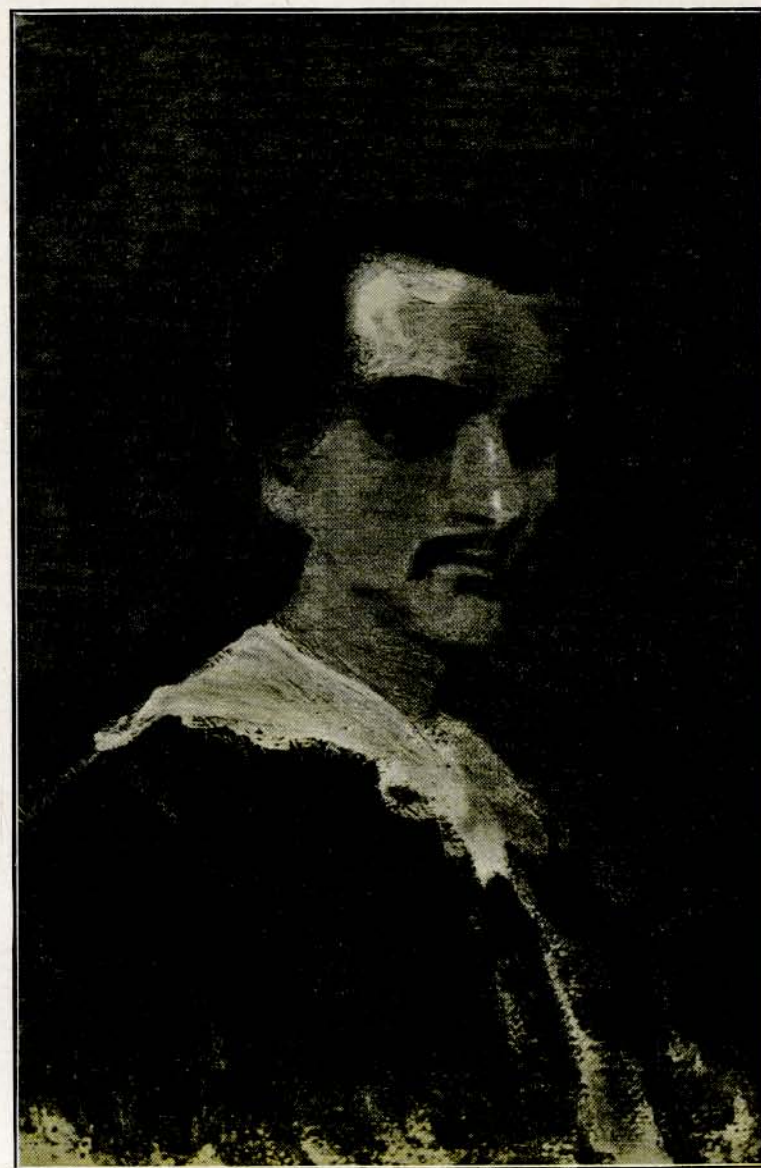
DODATKI ARTYSTYCZNE:

Juljusz Słowacki, szkic portretowy Eligjusza Niewiadomskiego	272
Juljusz Słowacki, rzeźba Wacława Szymanowskiego	289
Portret Juljusza Słowackiego	312
Portret Michała Wiszniewskiego według drzeworytu A. Regulskiego	376
Portret Juljusza Słowackiego według fotografii Teofila Januszewskiego w Rzymie 1836 r.	377
Dodany osobno portret dziewczynki, rysunek J. Rembowskiego.	

RYSUNKI I WINIETY:

J. Wronieckiego	273, 313, 402
St. J. Kozłowskiego	292, 320
Ant. Tabińskiego	293, 311, 446
W. Włodarczyka	315, 375, 439, 443
A. Wolmana	316
Fidusa „Kuszenie“	321
H. Minkiewicza	374, 397
E. Mejrowej	436
Z. Płewińskiej	401, 418
J. Boguckiego	398, 419, 444
J. Rembowskiego	420
M. Trzebińskiego	435

Kliske wykonano w zakładzie fotochemigraficznym Wierzbickiego i S-ki.



JULJUSZ SŁOWACKI

Szkic portretowy ELIGJUSZA NIEWIADOMSKIEGO



WL. BUKOWIŃSKI.

W SETNĄ ROCZNICĘ (1809 ⁴/IX 1909).

„Kto, mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orla: niechaj umie
Spać, gdy żrenice czerwone od gromu
I słychać jęk szatanów w sosen szumie.
Tak żyłem. Teraz widzę pełen sromu,
Że mam łez pełne oczy; lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi przed mogiłą
Z aniołem śmierci żyć—tak straszno było...”

J. Słowacki.

Do życia orla na skalistym gnieździe — wśród huku gromów i sosen jęku — porównał Słowacki życie swoje w jednej z przepięknych strof „Beniowskiego”. A w innym ustępie tego samego dzieła, określwszy bliżej nieco treść swojej „poetycznej drogi”, poematem dla Boga nazwał swój żywot: „Roję, śnię, tworzę, harfy używam lub biczu, — i to jest moja poetyczna droga... Lecz z mego życia poemat — dla Boga”.

„Górną i chmurną” nazwał młodość swoją Mickiewicz, „górnem i chmurnem” było całe życie Słowackiego, a jeżeli miarą młodości jest zapal, potęga uczucia, bogactwo idei, słowem — ów orli polot ku wyżynom, to o życiu twórcy „Króla Ducha” powiedziećby można, że od wczesnych lat dzieciństwa aż do zgonu było nieustanną młodością. I jaką jeszcze młodością!

Sfinks.

Poeta skarżył się wprawdzie, że musi zbyt często cudną mar krainę porzucać, powracać między gady i nie syknąć, skarżył się, że w otoczeniu swem całem nie widzi ani jednej piersi, zrobionej nie według miary krawca, lecz Fidjasza, ale naprawdę od „rubasznego czerepu“ otoczenia tego umiał się odgradzać zazwyczaj wieńcem mar precudownych, wysnuwanych bez końca przez niezwykle bogatą i niezwykle lotną wyobraźnię; z łuków tęczy i promieni słonecznych wznosił pełne barw i blasków zamki zakłète, lecz często zapewne w tęsknocie i smutku bezbrzeżnym, zapytywać musiał „bożego zwiastuna-golębia“, który szeptał mu do ucha rzeczy dziwne i straszne, kiedy wreszcie robi taką ciszę, że Polska to usłyszy, co on słyszał. Bo kruszyło się w pociu serce smętne, że on nikogo nie ma ze szlachetnych. „I — jak mówi dalej — próżno słowa wyrzucam namiętne, pełne łez i krwi i błyskawic świetnych na serca, które zawsze dla mnie wstrętne, — ja, co mam także kraj, łąk pełen kwiatnych, ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna, a która także kochać mnie powinna“.

Czy ten obowiązek miłości Ojczyzna względem Słowackiego spełniła? Za życia był on osamotniony i nierozumiany, po śmierci — do ostatnich chwil niemal — niedoceniony lub sądzony fałszywie i stronnie. Ponad otaczający go ogół zbyt wysoko wybujał fantazją i natchnieniem, współcześni mu bracia-pieśniarze, nie wyłączając największego z pośród nich, twórcy „Dziadów“ i „Pana Tadeusza“, byli mu niechętni jawnie lub skrycie, — jeden tylko Krasiński obdarzał go przez czas pewien przyjaźnią, oceniał trafnie i podnosił takie jego utwory, jak „Ballady“, „W Szwajcarji“, „Anelli“, ale i przyjaźń Krasińskiego nie dotrzymała Słowackiemu kroku w niezwykłych jego metamorfozach duchowych, a sąd krytyczny zawiódł w stosunku do „Króla Ducha“. Ten sam poeta, który kiedyś radził stawiać pomnik Słowackiemu z krótkim napisem tylko „Autorowi Anhellego“, ten sam, który pisał, o „W Szwajcarji“, że jest tak prześliczna, idylliczna

a zarazem tragiczna, iż nie podobnego o miłości *marzonej* nie zna w żadnym języku; ten sam, który po przeczytaniu sielanki szwajcarskiej, „pełnej takich szklistości i przeczrocy, takich barw tęczyowych, wieńców z świeżych wiosien nad główkami śnieżnych gołębi, takich przymilań się natury szwajcarskiej, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu kochającemu“, że — jak się z siłą wyraził — trzeba bezczelnym być, by się brać do pisania wierszów po wierszach Juljusza“, ten sam Krasiński — powtarzam — o największem arcydziele Słowackiego, o „Królu Duchu“, po ukazaniu się rapsodu pierwszego, którego zrozumienie dziś nie nastrocza już trudności poważniejszych, pisał w liście do Gaszyńskiego, że nowy poemat Juljusza ma rysunki barw pełne, lecz bez treści żadnej, dźwięki najdźwięczniejsze, ale bez myśli! Jeżeli Mickiewicz o twórczości gienjalnego współzawodnika swego zachowywał w swych paryskich wykładach literatury głuche milczenie, choć o wielu talentach mniejszych mówił szeroko; jeżeli Krasiński odmawiał myśli „Królowi Duchowi“, to cóż dopiero mówić o pomniejszych ówczesnych „zjadaczach chleba“, o przedstawicielach krytyki bezmyślnej lub stronniczej, z którą zresztą poeta rozprawił się po swojemu w „Beniowskim“? Cóż mówić zwłaszcza o przeciętnym, szarym ogóle, niezdolnym wówczas zrozumieć tych eterycznych gmachów, tych przeczuc i porywów mistycznych, całego przedziwnego, nieuchwytnego czaru jego poezji. Orli żywot Słowackiego był żywotem samotnym, i poeta miał prawo pytać z dumą: „Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi iść?... taką obojętność jak ja mieć dla świata?“ Ale ta дума nie wyłączała głębokiego smutku, który cechuje zarówno poemat jego życia, jak wszystkie prawie momenty twórczości.

Na schyłku życia dopiero znalazł kilku młodych przyjaciół i wielbicieli gorętszych — poetów Norwida, Ujejskiego, dalej późniejszego arcybiskupa Felińskiego i innych, między którymi byli i cudzoziemcy. Oni to stanowili ową maleńką drużynę tych, co mogli pokochać

dumne serce poety. Jeden z nich właśnie — późniejszy autor „Skarg Jeremiego“, Kornel Ujejski — w lat parę po zgonie czarodzieja poezji — pytał jeszcze:

„Siewacz skarbów, ciskający klejnoty przed siebie!
Kto je zbiera? kiedyż naród te skarby wygrzebie?
Kto z miłością okiem za nim wodził do ostatka,
Tylko młodych uczniów kilku, tylko *stara matka*“.

Z matką istotnie łączył Słowackiego przez całe życie wyjątkowo blizki i wyjątkowo piękny stosunek. Z każdej myśli, z każdego uczucia, z każdego niemal serca drgnienia spowiadał się przed nią w swych listach, z których w ciągu długich lat rozłąki i nieustannej tułaczki poety po obczyźnie, złożyły się dwa spore tomy — jedyny w swoim rodzaju pamiętnik duszy — jedyny poemat synowskiej miłości, do którego zbliżyć by się należało z większym doprawdy pietyzmem, niż to czynią, niestety, niektórzy biografowie poety. Ta miłość Słowackiego do matki znajdowała parokrotnie odbicie i w twórczości jego w ściślejszym tego słowa znaczeniu. Imię jej — Salomea — miało dla niego drugie jeszcze znaczenie *salus mea* — zdrowie moje; nadawał je bohaterkom swych dramatów, chcąc uczcić w taki sposób swą rodzicielkę. Oprócz pięknego wiersza „Do Matki“, w którym rzewnie tłumaczy się przed nią, że się „tak zaprzepaścił i tak zaczepuścił“ i że choć inni wracają do kraju ulaskawieni, on wrócić nie może, „bo woli zamiast hańby pić czarę rozpacz“, oprócz paru innych wzmianek i napomknienia serdecznych, wspominając tę miłość, trudno tu pominąć przepełnione nią oktawy, w których się zwraca do matki w „Beniowskim“:

Lecz to już przeszło; widma poznikały.
Do ciebie, matko moja, twarz obróćę;
Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,
Z obłądnych krajów położyć się wróćę
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łyzy próżnej. Obojętnie zrzucę

Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy.
Jak liść, co we śnie upadł mi na włosy...

Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie;
Lecz ileż razy z fal, i mórz, i burzy
Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,
Jak człowiek, który, myśląc, oczy mruży, —
Myśląc, że myślisz o mnie, o twym synie,
Który nieszczęścia bogu wiernie służy
Lecz bez nadziei, łzami twymi żywy,
Jak Chrystusowe w ogrójcu oliwy.

Z błogosławieństwa twego miałem blaski,
Gwiazdom podobne, i cień w puszczech Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróźnej laski
Rył imię twoje tam, gdzie same głązy
I słychać tylko fal libijskich wrzaski,
Eschylofskimi budzone wyrazy.
Echa słyssały twoje święte imię,
I słyssał je on laurów las, co drzymie.

I nad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdym miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła —
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę — wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci duszą pije:
Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.

W Romie podobny głos twemu głosowi
Słyszałem: anioł życia zadrzał we mnie!
Aniołowie mi ciebie nadpalmowi
Pokazywali, świecącą przyjemnie
W gwiazdach, tam, gdzie był żłobek Chrystusowi,
I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,
Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe
I ból swój stłumić pozdrowieniem: Ave!

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie —
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy

Moje twych biednych stóp pocałowanie,
Bo łez nie słyszał

— — — — —
— — — — —

Niepodobna chyba piękniej i wymowniej wypowiedzieć przepelniającego serce uczucia miłości, która — dodajmy — była, jak się zdaje, jedyną odwzajemnianą w pełni miłością jego życia. Ze społeczeństwem całem i jego przodownikami żył Słowacki przez większą część dni swoich, podobnie jak Byron, Heine i tylu innych, w rozterce, i długie lata po jego śmierci jeszcze upłynąć musiały, zanim przepaść, dzieląca poetę od narodu, który go wydał, zmniejszyła się wreszcie, zanim nastąpiło zbliżenie owej upragnionej przez poetę chwili, gdy „fatalna siła” jego ducha zdobywać sobie zaczęła panowanie nad narodem, i gdy mówić już i myśleć można o ziszczaniu się przepowiedni, wypowiedzianej w znanej i głośnie, pełnej znów dumy i siły apostrofy do Mickiewicza: „Przyszłość moja! — i moje będzie za grobem zwycięstwo”!

Ażeby zrozumieć przyczynę obojętności i chłodu, niekiedy nawet wyraźnej niechęci, z jakimi współcześni patrzyli na tęczy gmach poezji Juljusza, należałoby uprzytomnić sobie, czem była ta poezja w stosunku do minionych okresów literatury, czem była w stosunku do poezji Mickiewicza, co przynosiła nowego i czy te nowe czynniki i wartości, które nam dawał, mogły być u nas odrazu ocenione, odczute i zrozumiane.

Poezja nasza w epoce przedromantycznej, a więc poezja Kochanowskich, Potockich, Naruszewiczów, Krasińskich, Trembeckich, na której karmiło się jeszcze pokolenie, poprzedzające bezpośrednio wystąpienie Mickiewicza i Słowackiego, przy całym artyzmie zewnętrznym, poprawności, niekiedy nawet piękności formy i języka pisarzy niektórych, była przedewszystkiem poezją „zdrowego rozsądku”, poezją „roзумu”, a nie poezją fantazji, uczucia, lub tem bardziej nastroju. Tu i owdzie widzimy

w niej wprowadzie myśli i poglądy patryjotyczne, niekiedy nawet przebliski uczucia, którego godłem miłość ojczyzny, rzadziej, jak w „Trenach” Kochanowskiego, zabrzmiały w niej cierpienie osobiste, którego echo przetrwało wieki i dziś jeszcze budzi wśród nas współczucie dla ojca zbolełego.

Najczęściej jednak zarówno sami poeci, jak ci, którzy ich utwory czytali, zapatrują się na poezję ze stanowiska rozumu, szukając w niej głębokich maksym i rad życiowych, wskazówek politycznych lub społecznych. Już u Kochanowskiego, który był przecież największym artystą całej literatury przedmickiewiczowskiej i umiał nieraz „sobie śpiewać a muzom”, poezja odgrywała częstokroć rolę środka do przeprowadzenia pewnych idei polityczno-społecznych, — przykładem choćby „Satyr” lub częściowo — „Odprawa posłów greckich”. Przy całym swym artyzmie Muza Kochanowskiego, z wyjątkiem naturalnie znacznej części drgających bólem „Trenów”, oraz pieśni i psalmów niektórych, ma w sobie pewien spokój i chłód klasyczny. Cóż dopiero mówić o t. zw. poezji Stanisławowskiej, przesiąkniętej nawskroś racjonalizmem, walczącej pod sztandarem rozumu i — wobec ciemnoty ówczesnej, wobec walk o życie nowe — mającej tyle celów praktycznych do osiągnięcia. Poezja ta trzymała się więc i trzymać musiała gruntu *rzeczywistości*, urozmaiconej co najwyżej mniej lub więcej przejrzystą alegorją; na wybuch gorętszego uczucia, na śmiały lot wyobraźni — nie było w niej miejsca poprostu, nie zgadzało się to z jej duchem, wystudzonym aż nadto przez racjonalizm ów właśnie i pseudo-klasycyzm w XVIII. Pewną reakcją przeciwko tej poezji nacjonalistycznej, widzimy już wprowadzie przy końcu w XVIII u „poetów serca” Karpińskiego i Kniaźnina, którzy jednak zabarwili zanadto sielanki i erotyki swoje modnym wówczas, ale — u nich przynajmniej — mdłym bardzo sentymentalizmem, czułością konwencjonalną, surogatem uczucia szczerzego. *Uczucie* patryjotyczne spotkamy już zresztą i w „Żalach

Sarmaty“ Karpińskiego, i w „Bardzie Polskim“ Czartoryskiego, i w „Hymnie do Boga“ Woronicza, i w niektórych utworach Niemcewicza, a wcześniej jeszcze w niektórych prostych, lecz dziwnie chwytających za serce pieśniach konfederatów barskich. Brzmi ono niewątpliwie i w tak zwanej „poezji legionów“, w owych utworach Godebskich, Tymowskich, Goreckich, Reklewskich, którzy „na skrzydłach urojenia niesieni po świecie, ujrzeni się na Alpów niebotycznych grzbiecie“; na długoletnią nieraz tułaczkę każdy z nich „swoją z sobą unosił ojczyznę“, a „nie mając swej ziemi na jedną już stopę, mierzył krokiem zwycięskim zdziwioną Europę, i ten, którego imię zniknęło na karcie — dla jednych postrach zemsty, drugim niesie wsparcie“. Jeśli ton wiersza, jeśli jego forma ma tu jeszcze cechy pseudoklasycyzmu, to treść, to uczucie, pod którego wpływem powstawały utwory poetów legionistów naszych, zdają się już być zwiastunami nowej ery w dziejach naszej poezji. Rozbrzmiewa w nich już tętnem wyraźnym głos kochającego i tęskniącego serca, rozbrzmiewa to zrozumiałe powszechnie uczucie, które podyktowało jednemu z nich tak prostą i mało artystyczną, a jednak tak znaną dziś wszystkim nam i tak drogą piosenkę, zaczynającą się od pobudki: „Marsz, marsz, Dąbrowski, z ziemi włoskiej do Polski“.

Lecz chociaż przed Mickiewiczem akcenty uczucia od czasu do czasu znajdowały już wyraz w poezji naszej, inteligentny nasz ogół nie był do nich przyzwyczajony. Najlepszym dowodem ta walka, którą z przedstawicielami i zwolennikami kierunku dawnego, toczył musiał Mickiewicz, rozpoczynający na dobre ów wspaniały rozkwit poezji polskiej, który nazywamy zwykle romantyzmem, a który jest właśnie zwrotem stanowczym od chłodnego racjonalizmu i pseudoklasycyzmu do orlich lotów wyobraźni, do potężnych wybuchów uczucia indywidualnego i narodowego. „Miej serce i patrzaj w serce“, „w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“, te hasła młodzieńczych utworów Mickiewicza, które stać się

miały wkrótce hasłami wszystkich nowych poetów prawdziwych, przez walkę dopiero z kierunkiem dawnym utorowały sobie drogę do zwycięstwa. Ale zwycięstwo Mickiewicza było względnie łatwe. Autor „Ody do młodości“, skarg i wybuchów Gustawa, „Konrada Wallenroda“, sonetów i „Farysa“ stał się odrazu ulubionym poetą młodszego pokolenia; autor trzeciej części „Dziadów“, „Ksiąg Pielgrzymstwa“ i „Pana Tadeusza“ jednogłośnie niemal uznany został za wieszczą narodowego.

I jest to zrozumiałe zupełnie. Mickiewicz gienjuszem poetyckim przewyższał wszystkich poprzedników swoich, Mickiewicz rozpoczął niewątpliwie nową w literaturze naszej epokę, ale z poprzednią jest bardzo ściśle związany. Pomijając już nawet tę okoliczność, że sam rozpoczynał twórczość poetycką od wierszy w duchu pseudoklasycyzmu, że obok romantycznych ballad i pierwszych części „Dziadów“ pisał spokojną, klasyczną niemal „Grażynę“, stanowiącą jakgdyby most złoty między dawną a nową poezją, że styl swój wzorował na Trembeckim i Krasickim,—z poetami dawnymi ma jeszcze jedną ważną cechę wspólną: *poczucie rzeczywistości*. Na gruncie realnym stoi on mocno w większości swoich arcydzieł; Mickiewicz jest realistą (w znaczeniu artystycznym oczywiście), jak realistami byli Kochanowski, Potocki, Krasicki; Mickiewicz jest obywatelem, miłość ojczyzny przenika nawskroś większość jego utworów, jak przenikała dzieła tamtych, choć jej z takim jak on artyzmem, z taką żywiołową potęgą wyrazić, wypowiedzieć nie umieli. Mickiewicz, rozpoczynając nową epokę literatury, zarazem zamyka i wieńczy epokę dawną; jednym skrzydłem o przeszłość, drugim o przyszłość oparty, wypowiadając uczucia wspólne ogółowi ówczesnemu, wypowiadając je przytem językiem potężnym i pięknym, ale zarazem prostym i jasnym zupełnie, stał się odrazu poetą narodowym, to znaczy przez naród rozumianym i ukochanym, a dziś już, gdy księgi jego nie tylko błędzą przypadkiem, ale wędrują stale pod strzechy, jest on nawet poetą

popularnym — w tem znaczeniu, że z książek jego *lud*—w najnowszym tego słowa pojęciu—uczy się kochać ojczyznę, odczuwać piękności jej krajobrazów, wtajemniczać się w jej nadzieje i zawody, jej radości i bóle.

A Słowacki?

„Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni.
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnymi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszczu.

Nie bronił mi go żaden duch, ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten, co się wdziera
Blask—była struna to z harfy Homera.

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułować i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów—i milczącą
Garstką popiołów! ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc—to los mój, na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój, sennie królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczy głuchych
Albo umarłych—i tak pełny wstrętu —
Na koni! Chcę słońca, wichru i tętentu!“

Ilekoć mowa jest o popularności i wielkości Mickiewicza, ilekoć słyszę i czytam usprawiedliwione zresztą zupełnie zachwyty nad jego twórczością i duchem, do wrót mej duszy kołaczą, niby echo wyrzutu, płynącego z nad mogiły dalekiej, przytoczone przed chwilą strofy z „Grobu Agamemnona“, a czasem dołączy się do nich zwrotka jedna lub druga owego hymnu, wyśpiewanego

o zachodzie słońca na morzu, skargi rozdzierającej, od której nic piękniejszego i rzewniejszego, nic smutniejszego i tęskniejszego nie zna liryka świata:

„Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę
Smutno mi, Boże“.

Albo o struny duszy potrafi ów pełen smutku i treści ustęp „Anhellego“, zawierający w rzucie błyskawicznym ideę przewodnią poematu:

„Wybiorę więc jednego z nich i ukocham go, jak syna, a umierając oddam mu ciężar mój i większy ciężar, niż mogą unieść inni i aby w nim było odkupienie“.

„I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej, z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu“.

„Z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu“ siedzi Słowacki przez życie, a chociaż ze szczerozłotych strun jego harfy eolskiej spływały deszczem brylantowym najcudniejsze melodje i pieśni, przypadło mu w udziale „sennie królestwa posiadać“ i mieć słuchaczy głuchych lub umarłych.

Czy jednak mogło być inaczej? Słowacki poprzodników w literaturze naszej nie miał. Do jednego tylko Kochanowskiego przyznawał się niekiedy, jako do jedynego nieledwie artysty w dawnej poezji naszej. Paranteli duchowej szukałby mu należało wśród wielkich duchów, napelniających wspaniałe królestwo poezji wszechświatowej, od Danta i Ariosta do Shakespeare'a i Calderona i od Homera aż do Byrona i Schelley'a, a w ostatnich latach swej twórczości, w epoce „Genezis z Ducha“, „Zborowskiego“ i — „Króla Ducha“, posłuszny tylko poszeptowi wewnętrznemu, który mu każe głosić prawdy,

jego tylko duszy objawione, pnie się ścieżką stromą, a przez nikogo jeszcze niedeptaną na takie wyżyny podniebne, na jakie dotąd—po latach kilkudziesięciu—nie każdy za nim podąży, a ze współczesnych nikt, jak już wiemy, bo nawet najbliższy mu duchem Krasiński—podążyć nie mógł czy nie chciał. Poezja jego była prztem od początku nie odtworzeniem lub przetworzeniem świata rzeczywistego, jak u realisty Mickiewicza, ale właśnie odbiciem owych królestw sennych, owego świata postaci, kształtów, barw, sytuacji i scen wymarzonych, nieuchwytnych, rozwiewnych, podsuwanych przez wyjątkowo bogatą, wyjątkowo czynną, nieustrudzoną wprost wyobraźnię. Do poezji takiej nie przyzwyczaili współczesnych Słowackiego jego poprzednicy, więc też świat jego marzeń i tęcz, świat jego pałaców kryształowych, krajobrazów egzotycznych, wymarzonych bohaterów i bohatererek pozostawał im długo obcym i obojętnym, a nuta aktualna, nuta cierpień i wysiłków narodowych, jeśli pominąć parę krótkich utworów z r. 1830, zabrzmiała dopiero silniej w „Kordjanie”—pewnego rodzaju autobiografii autora, gdzie—podobnie jak w „Godzinie myśli”—poznajemy jego rojenia i zawody napół dziecinne i przejście duchowe na tle epoki przedrewolucyjnej. Wydane w r. 1832 pierwsze dwa tomy utworów poetyckich Słowackiego, byroniczne powieści i dramaty, pisane przed wybuchem listopadowym — „Żmija“, „Hugo“, „Mnich“, „Arab“, „Jan Bielecki“, „Mindowe“, „Marja Stuart“ — treścią swą odbiegały zbyt daleko od spraw, które teraz zajmowały ogół, nikt prawie nie zwrócił uwagi, że te pierwsze utwory dwudziestoletniego nieledwie poety—obok pewnych usterek i wpływów obcych — mają już i coś własnego, odrębnego, niezwykle piękny język i wiersz, oraz smutek dziwny, różny od rozezarowania i goryczy Byrona, choć pod jego wpływem powstały. Nikt się nie troszczył o to, że poprzez smutne i piękne wiersze tych utworów przeglądało oblicze artysty dużej miary, przyszłego mistrza słowa, bo o słowo to, o artyzm w poezji dbano jesz-

cze wtedy niewiele, a Słowacki—na swoje szczęście czy nieszczęście — był przedewszystkiem i długo jeszcze pozostał wielkim, niezrównanym i w swoim rodzaju jedynym—*artystą właśnie*. Nie głosząc hasła: sztuka dla sztuki, hołdował mu jednak pierwszy u nas, hołdował aż do wielkiej przemiany wewnętrznej, która w nim nastąpiła pod wpływem towjanizmu. A i wtedy nie zerwał z poezją, jak Mickiewicz i inni, ale idei swojej przy jej pomocy służył, tworząc gorączkowo to bohaterskie dramaty w duchu Calderona („Książd Marek“, „Sen srebrny Salomei“, „Książę Niezłomny“, cudownie z hiszpańskiego przerobiony), to sąd zagrobowy między Zamoyskim a Zborowskim, to wreszcie snując do ostatka, póki mu śmierć przedwczesna pióra z ręki nie wytrąciła, wspaniałe i potężne obrazy „Króla Duchy“. O sady współczesnych nie dbał już teraz, dziwnie uduchowiony i wyanielony; ale i przedtem, w drugiej dobie twórczości, w epoce „Balladyny“, „Lilli Wenedy“, „trzech poematów“ „Anhellego“, nie zrażały go nawet najgorsze, co właśnie świadczy o niepożytej mocy twórczej i głębokiem przeświadczeniu o jej niezwyklej wartości. Było mu smutno, że poezje jego są w Polsce bez rozgłosu, że dusza Anhellego „napróżno wychodzi z ciała i po słupie światła księżycowego wraca do ojczyzny, myśląc, że ją tam poznają i przyjmą ze łzami“, że „biały Anhel i ciemny Ojciec zadżumionych, i Nimfa szwajcarska i Wacław z Eolionem będą jeszcze długo figurami niezrozumianymi dla duszy narodu, aż musi jaka nagle błyskawica oświecić oblicza tych tworów i pokaże je przezroczystymi aż do głębi serca oczom narodowym“.

„Cokolwiekby — dodaje autor w tych kilku słowach odpowiedzi na bezmyślną krytykę trzech jego poematów, zawartą w „Młodej Polsce“, — sumienie mi powiada, że przez osiem lat pracowałem bez żadnej zachęty dla tego narodu, w którym epidemiczną jest chorobą uwielbienie, epidemiczną chorobą oziębłość, i pracowałem jedynie dlatego, aby literaturę naszą, ile jest w mojej

mocy, silniejszą i trudniejszą do złamania wichrom północnym uczynić. Kordjan świadczy, że jest rycerzem tej nadpowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy. Przez osiem lat każdą chwilę życia swojego wyrzynał rozróżnieniom, osobistemu staraniu o szczęście, abym ją temu jedynie poświęcił celowi. A jeżeli go nie osiągnął, to dlatego, że mi Bóg dał więcej woli, niż zdolności — że chciał, aby poświęcenie się moje bezskuteczne przydane było do liczby tych większych ofiar, które Polacy na grób Ojczyzny składają, aż wyniszczywszy wszystkie siły duszy i całą moc indywidualnej woli napróżno — muszą iść na spoczynek w ziemi, strudzeni i smutni, że miecz ich nie był piorunem, a słowo nie było hasłem zmartwychwstania“.

Chociaż poeta powołuje się na „Kordjana“, ze słów jego wypływa już jednak to słuszne zupełnie przeświadczenie, że o duszę narodu prowadzić można walkę twórczością artystyczną wogóle, nie tylko dziełami patryjotycznymi w rodzaju „Kordjana“ lub „Dziadów“. On to rozumiał i w tym duchu działał, tworzył arcydzieła, idąc za wichrowym pędem wyobraźni, arcydzieła, lekceważone wciąż lub nierozumiane, nie czytane zgoła przez współczesnych, a ze wstydem dodać tu trzeba — nieznane, nie odczuwane lub nierozumiane i przez znaczną część potomnych, którzy by je już znać i kochać powinni.

Zaznaczoną tu różnicę między charakterem twórczości realisty Mickiewicza i wiecznego marzyciela Słowackiego uchwycił już trafnie i uwydatnił pięknie Zygmunt Krasiński, którego sąd do dziś dnia nie utracił nic na wartości. W dziełach Mickiewicza podkreśla on siłę dośrodkową, siłę wcieleń i twierdzeń, wolę, czucie i wiarę. W Słowackim — zdaniem jego — objawiła się ta druga, konieczna, odśrodkowa siła, siła odwcielań i zaprzeczeń, której pęd, poczęty zdołu, a bijący ku górze, stara się, jak muzyka, ciąglem drganiem cząsteczek i roztopianiem kształtów, wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury

i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności.

„Czem więc — mówi Krasiński — w naturze płynność i rozmdlewanie się, czem tęczy koło wodospadów umizgi, czem chmury co chwila zmienne, płynące na to, by przepaść i wnieznacznąć, ale nie w nicości, jedno w niebie; czem błysk łusk, zapalających się na piersiach węża, czem przewrotność barw na tle opalowej białości, czem szmery rozmarzonych strumieni i szum daleki morza, czem gwary mnóstw wszelkich, nierozpoznalne a wsiąkające w duszę, jakby prosto szły z wieczności — czem owe melodje śpiewu, które gasną, oddalając się coraz wyżej, coraz szerzej, jakby życie, z piersi ludzkich uwolnione, już w niebo wstępowało, słowem — czem to wszystko, co już prawie zewnętrznego kształtu się pozbyło, lecz natomiast samą iścizną swej natury prawie dotkliwie wyraziło, tem się nam marzy, że jest poezja Słowackiego w literaturze naszej“.

Cechy te określilibyśmy krótko wyrazem *nastrojowość*, a *nastrojowość* ta właśnie czyni dzisiaj poezję Słowackiego bliską zupełnie sztuce współczesnej, co wykazał tak świetnie w swym dziele „Słowacki i sztuka współczesna“ znakomity krytyk Ignacy Matuszewski. Krytyk francuski Sarrazin podkreśla u Słowackiego przedewszystkiem olbrzymią wyobraźnię i rozwinięty w najwyższym stopniu dar marzenia, wywołujący to nieokiełzane pragnienie lotu bez końca przez zmieniające się ciągle przestrzenie i czasy, coraz nowe wizje postaci, położeń, zjawisk, jak najdalszych od rzeczywistości, i nazywa go słusznie władcą świata wymarzonego.

Jałowem wydać się musi wobec tego tak często rzucone pytanie: który z nich większy — Mickiewicz, czy Słowacki. Są to wielkości, które się porównywać nie dadzą. Każdy z nich ma własne państwo, w którym króluje wszechwładnie, każdy z nich jest pierwszym w swojej dziedzinie, a tylko, zależnie od naszej organizacji psychicznej, niekiedy od chwilowego stanu wewnętrznego,

ten lub tamten przemawiają silniej do naszej duszy. Rozumiał to doskonale Słowacki: „Nie wrogi — mówił — lecz dwa na słońcach swych przeciwnych Bogi“.

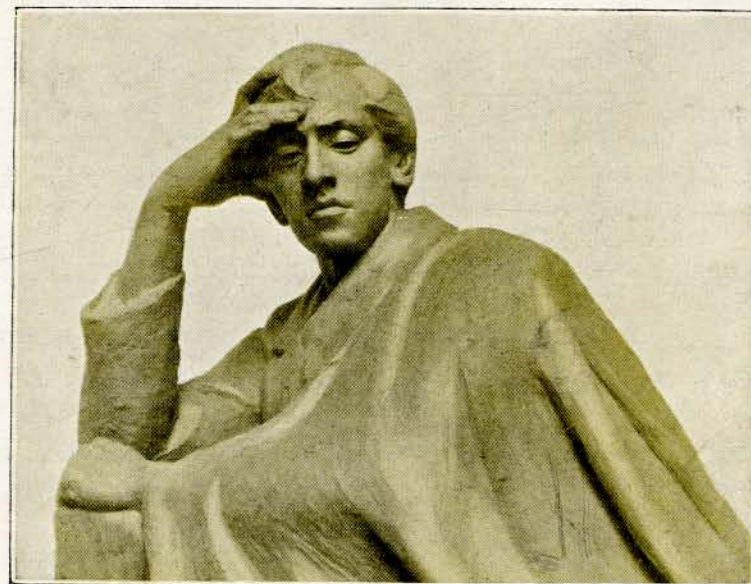
Popularności Mickiewicza Słowacki — z natury rzeczy — nigdy zapewne nie zdobędzie; nastrojów jego i marzeń, polotu wyobraźni i jej kaprysów współcześni mu nie rozumieli zgoła, ale zwolna — wśród dusz subtelniejszych — zdobywać sobie zaczął coraz szersze koło gorących wyznawców i wielbicieli, zapanował wszechwładnie nad pokrewnymi mu duszami marzycielskimi, a więc przede wszystkim nad duszami poetów i artystów — i w tem zapewne wyraża się dziś najsilniej jego za grobem zwycięstwo. „Zaprawdę ci powiadam, jam tych mar nie wołał — przyszły same. Przyprowadziła je z sobą biała Lilla Weneda — a ja, ujrzawszy ten tłum ludzi, harf złotych, hełmów, tarcz i mieczów dobytých, usłyszawszy głosy zmieszane dawno już wymordowanego ludu, wziąłem jedną z harf wenedyjskich do ręki i przyrzekłem duchom powieść wierną i nagą, jaka się posagowym nieszczęściom należy“.

W taki sposób przychodziły do niego te precudne mary wyobraźni, któremi świat poezji swojej wypełnił. „Aby pisać — mówi sam — trzeba mieć coś pięknego przed oczyma imaginacji, rzecz, rozwidniającą się stopniami, obszerną jak świat, pełną ruchu i życia.

To coś pięknego przed oczyma wyobraźni, coś obszernego jak świat, pełnego ruchu i życia — miał zawsze Słowacki w momentach twórczych swoich i dlatego mógł pozostawić sobie tyle barw, blasków, dźwięków i kształtów precudnych, wysnutych ze skarbcza wyobraźni.

* * *

Nie sposób w artykule jednym wyczerpać istoty i znaczenia twórczości Słowackiego. Mnóstwo pozostać tu musi rzeczy pominiętych lub niedomówionych. Cze-



Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca, lecz Fidjasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna!...

JULJUSZ SŁOWACKI

Rzeźba WACŁAWA SZYMANOWSKIEGO.

go jednak pominąć niepodobna — to przedziwnego czaru jego języka, przecudownej formy jego wiersza.

„Gdy zechce śpiewać, ja mu dam łabędzie głosy, ażeby miłość swoją śpiewał — mówi w „Beniowskim“; z prozą aljansów nie chcę... do wiersza mam, jak sądzę, prawo, sam rym się do mnie miłośnie nagina, oktawa pieśni, kocha mnie sekstyna.

„Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był jak piorun jasny, prędkie,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa;
A czasem, jako skarga Nimfy, miętki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem:
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą,
Potem z niej łyskać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą;
Potem nadętą dumnych przodków pycha,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze, przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: on toby zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu z grobu nad lipami szumiał
Słyszcy, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał,
Potemby, cicho mżąc, rozważał w sobie, —
Że nie zapomniał mowy polskiej w grobie“.

Tę stronę jego twórczości, czar jego języka i formy, najwcześniej i najpowszechniej odczuto. Za nią to składał mu przedewszystkiem hołd Henryk Sienkiewicz, gdy w roku 1899 odsłaniano w prywatnym parku p. Kościelskiego w Miłosławiu jedyny, jak dotąd, pomnik wielkiego czarodzieja poezji.

„On—mówi autor „Quo vadis“—nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczyowych blasków, olśniewających djamentów i osypał nimi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami w niebywałym blasku, przepychu i majestacie, niby harfa-królowa, przed którą gną się kolana ludu i schyla ją się czoła ludu, jak ongi przed harfą Dawida. I oto jego zasługa, jego chwała, jego wielkość.

Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić! A jednak uczynił. Zdołał—bo poezja w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, a mógł, bo tylko zmarłym nie można nic dodać. Przed żywą królową zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa, którą on obdarzył, była i będzie nietylko żywa, ale i nieśmiertelna!

To dużo, to niewątpliwie powiedziane mocno i pięknie. Ale to jeszcze nie wszystko! Pokolenie współczesne pamiętać winno coś więcej i za coś więcej jeszcze czcić Słowackiego i czuć dlań wdzięczność głęboką. Nie wolno zapominać nam i o tem, że choć arystokrata ducha, choć czarodziej wszechwładny w krainach piękna czystego, Słowacki nie oddzielał się morzem nieprzebytym od świata walczących i cierpiących, ale przeciwnie szedł z nim razem i hasła mu dawał, szedł w szeregach pierwszych i „żadnego nie kłął ruchu — czuł gorących, bo sam gore“.

Wszak on to—„kochał lud więcej, niż umarłych kości“, on kaganiec oświaty kazał nam nieść przed tym ludem, on wreszcie wypowiedział hasło potężne:

„Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa,
Bo są światu jak zjawiska,
Jako jutrznia są różowa,
Jak ogniste meteory
Stopom ludu podścielone“.

A tym, co po piersiach ludu tego deptać chcieli—w imieniu tych wszystkich, co hasła jego rozumieć byli zdolni—rzucił przestrożę i groźbę:

„Lecz dopóki ty i twoi
Duchem bożym nie skrzydlaci
Chcecie stać na piersiach braci,
Tak, jak szatan dotąd stoi...
To my jaśni, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem
Charonowej twojej łodzi,
Pełnej trupów, wpoprzek staniam!“

* * *

Przed laty sześćdziesięciu odszedł od nas w czterdziestym roku życia, w pełni zapału twórczego, wielki poeta; pieśń swą zostawił wiekom, które mają potężne ręce i potężne głosy.

Niech jej w niebiosach głośniejsze dośpiewają,
Niż ja, kończący tu bolesne losy...
Anioły moje już przybiegły zgrają,
Tłuką mi serce, targają za włosy
I nazywają już wielką osobą,
I szepcą, i już zapraszają z sobą.

Bądźcie mi zdrowi, moi tegocześni
Bracia, tem tylko różni od śpiewaka,
Żeście lub mędrsi, albo mniej bolesni.

W setną rocznicę urodzin Króla Ducha poezji naszej, naród chciał sprowadzić do kraju jego zwłoki, czekające dotąd na obczyźnie dalekiej na powrót do ojczyzny — i chciał je złożyć w Panteonie swoim, w podziemiach Wawelu. Znalazł się starzec, zarówno ciałem, jak duchem zgrzybiały, który, korzystając z władzy chwilowej, użył jej na to, by wrota Wawelu przed temi czcigodnymi zwłokami zatrzasnąć. Możemy mu to wyba-

czyć, bo zaiste nie wiedział, co czyni. Naród, mimo przeszkody wszystkie, w swem sercu znajdzie sposoby godne uczczenia jednego ze swych duchów przewodnich, do którego właśnie zastosować dadzą się w całej pełni jego własne słowa:

„Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa,
Bo są światu jak zjawiska,
Jako jutrznia są różowa,
Jak ogniste meteory
Stopom ludu podścielone“...



S. S. KOLEWOSKI.



WIKTOR GOMULICKI.

SŁOWACKI „ANIELSKI“.

Jest dwóch Słowackich.

Pierwszy to gienjalny malarz i rzeźbiarz słów, gienjalny muzyk, układający ze strof symfoniczne girlandy, artysta, władający formą potężnie a swobodnie, jak orzeł skrzydłami, umiejący odtwarzać i stwarzać z Boską niemal wszechmocą—poeta wysubtelnionych, do stopnia najwyższego uczulonych zmysłów, dla którego niema tajemnie żaden ziemski powab i żadna ziemska ohyda.

A drugi Słowacki, jakby zaprzeczał tamtemu, obywatel się niemal bez ciała, bez kształtów i barw realnych—posłuszny już tylko prawom muzycznej harmonji, bez której nie mógłby światu swych myśli, w nieskończoność wybiegających, objawić.

Jest dwóch Słowackich: ziemski i anielski.

Aby zrozumieć pierwszego, wystarcza posiadać wysoką kulturę estetyczną.

Aby zgłębić drugiego, trzeba się z nim duchowo zbratać.

Zbratanie się z poetą gienjalnym przechodzi często siły całego pokolenia, a nawet, na czas dłuższy, całego społeczeństwa.

Gieńjusz Szekspira czekał na ten cud dwa stulecia.

Gieńjusz Słowackiego jest-że już dziś u nas w swym całym ogromie zrozumiany?

* * *

Cały świat klasyczny, pogańskim przez nas nazwany, tak żył, jakby nie miał duszy. I poezja klasyczna, zwłaszcza poezja Wergiljuszów, Owidjuszów, Horacych i innych przedrzeźniaczy greczyzny, wydaje się nam dziś bezduszną.

Dopiero ideały chrześcijańskie, uduchowiając ludzi wogóle, uduchowily i poezję.

Wspaniałym poematem w prozie jest Apokalipsa świętego Jana. Potem wieki średnie zaklinają w marmur swych świątyń i w strofy swych piewców wrodzone człowiekowi porywy nadzmysłowe i nadziemskie. Najdoskonalszym ich wyrazem „Boska Komedja“. Ale renesans nawraca sztukę do poganizmu; barok wykrzywia ją i zdziwacza; pseudoklasycyzm pozbawia ją siły żywotnej i grób jej kopie. Odżywa ona w romantyzmie, osiągającym najwyższe mistrzostwo w trójcy polskich wieszczów, z których najlotniejszym i najbardziej uduchowionym jest — Słowacki. Dodajmy: Słowacki drugiego okresu, Słowacki — anielski.

Apollo nie potrzebuje przechwalać się swą pięknoscia, ani słońce swym blaskiem. Nie będzie zatem i z naszej strony przechwałka, jeżeli stwierdzimy, że żaden z poetów świata nie wzniósł się na takie wyżyny natchnienia, jak Słowacki.

Ze Słowackim-artystą stanąć mogą pobocz tylko najpierwsi mistrze poezji wszechświatowej; ze Słowackim-wieszczem — nikt.

* * *

Samotny jest na swej wyżynie nasz Juljusz, a przeto nie dla wszystkich dostępny. Owszem, dostępny jest tylko dla niewielu. Przerósł on wiek swój — i nasz.

Święcimy dziś na całej ziemi polskiej, we wszystkich dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej, jego jubileusz. Święcimy go tem, o co najłatwiej: słowem i widowiskiem.

Słynęliśmy niegdyś z wielomówstwa: słynęliśmy także z zamięłowania w obchodach wystawnych. Wskrzესły dziś te upodobania. W wieku dwudziestym wcaleśmy bliżcy siedemnastemu i osiemnastemu.

Każdy, kto pióro trzymać umie, uważa dziś za obowiązek pisać o Słowackim. I oto zalani jesteśmy powodzią sądów o poecie, do osądzenia najtrudniejszym. Właściwie jednak jest to tylko jeden sąd, rozmaicie przyprawiany. Ktoś podał z wysoka ton — wszyscy się do niego dostrajają.

* * *

Hołdy literackie i widowiskowe to jeszcze nie wszystko, co się od nas należy Słowackiemu.

Jakże myli się tłum, wyobrażając sobie, że jest się poetą dla rozgłosu, niskiego pokłonu, portretu w miejscu widocznym, brązowego medalu, albo takiegoż pomnika! Jakże myli się, sądząc, że, ofiarowawszy te błyskotki poecie, już z nim wszystkie rachunki zakończył.

Poeta jest Bożym posłańcem. Na padół ziemski przynosi wieści z ponad ziemi. Mniejsza, czy posłaniec będzie wynagrodzony, rzecz główna w tem, żeby wieści od niego przyjęto, przyniesione przezeń polecenia wypełniono.

Bardzo często, może najczęściej, naród, wznoszący pomniki swym wielkim mężom, wznosi je właściwie swej miłości własnej, swemu narodowemu samolubstwu.

Umarł bogaty krewny, po którym odziedzicza się

miljony — jakże go nie wychwalać? jakże nie pysznić się przed światem, że się miało w swym rodzie milionera?

Nie o wieńce wszakże, nie o panegiryki chodziło duchowi wieszczu za życia, chodzi niezawodnie i po śmierci. Gdyby próżnością grzeszył, nie byłby wieszczem. Jeśli nawet przyjmuje wieńce, to tylko po to, żeby je złożyć na ołtarzu tej Jasnej Pani, która go wysłała, i której na ziemi jest tylko przedstawicielem.

Ale jest inny, trwalszy sposób uczczenia wielkiego poety — i nie tylko trwalszy, ale jedyny, który jego ducha, nad ziemię wyniesionego, rozweselić może. Polega ten sposób na ideowym zespoleniu się z poetą, na wchłonięciu i przyswojeniu sobie prawd, przezeń głoszonych, na ukształtowaniu ducha według pozostawionych przezeń wzorów.

Niezbędnem jest do tego poznanie właściwej treści poety.

* * *

Długo bawił Słowacki innych i siebie migotaniem klejnotów, nizanych na jedwabne sznurki pieśni. Długo był jubilerem, tworzącym djademy, naszyjniki, łańcuchy, gdzie „w ciągłym przymusie, pałał różowy brylant przy turkusie“...

Znużyło go to wreszcie, i — czemu mu się wydało.

Przyszła chwila, gdy zrozumiał, że „połączanie ludzkiej gliny“ nie może być wyłączną misją poety, i gdy uczuł lęk, żeby mu „przez flety“ duch wszystkim nie uszedł...

Od tej to chwili zaczyna się druga, *anielska* doba poezji Juljuszowej — mniej przez naród znana i ceniona, bowiem, aby ją zrozumieć — „męki trzeba doznać“. A my przed taką męką cofamy się lękliwie.

Niech Matuszewscy i Tretiakowie, ze skalpelem w ręce i z lupą przy oczach, dochodzą: gdzie, kiedy, w jakich okolicznościach cud nastąpił: czy go sprowadziła noc, spędzona przy grobie Chrystusa w Jerozolimie?, czy zbliżenie do Towiańskiego?, czy rozbicie się osta-

tnich rojeń o szczęściu ziemskim w niewzajemnym umiłowaniu pani Bobrowej? czy rozwijająca się z latami nieuleczalna choroba?, czy melancholja emigracyjna, spotęgowana coraz żałobniejszymi wieściami z ojczyzny?...*)

Ja myślę, że to poprostu zakiełkowały, do pory swej przyszedłszy, ziarna, które Słowacki w duchu swym od urodzenia nosił.

Nie zawsze pocie danem bywa wypowiedzieć w całości to, do czego wygłoszenia został powołany. Jednemu przeszkodzi w tem śmierć, drugiemu — życie. Słowacki, choć umarł wcześniej, posłannictwo swe spełnił i ton najwyższy swej duszy światu objawił.

Gdyby nie to, odszedłby niepoznany — jak tyłu przed nim, jak tyłu po nim...

* * *

Najgłębsza treść poezji Juljuszowej mieści się w tem cośmy dopiero po zgonie poety poznali.

Tu odnaleźć możemy także i ślady przełomu.

O wywyższeniu i uduchowieniu poezji swej mówi Słowacki we fragmencie, zaczynającym się: „Na ustach moich węgiel położył czerwony“... Lutnię miał poeta o siedmiu strunach, ale w gniewie i bólu zerwał struny dwie, potem znów dwie, potem jeszcze dwie... A wówczas:

Została jedna — ta, co teraz woła:

— O wy! co w prochu myśli macie i serca,
Z tych serc otrzyście rdzę — podnieście czoła!

Sursum corda to pierwszy punkt nowego programu.

Przemienianie „zjadaczów chleba w aniołów“ jest punktem drugim.

Nagle światło rozwidnia ducha poety. W jednej błyskawicznej chwili ukazuje się mu „tajemnica początku i końca, alfa i omega świata“. Objawieniem staje się

*) Ignacy Matuszewski w rozprawie p. t. „*Kiedy Słowacki stał się mistykiem?*“ (Witeź r. 1908, Zeszyty 1 i 2) wykazał i poparł dowodami, że mistycyzm u Słowackiego przejawiał się bardzo wcześniej, bo jeszcze w czasie studjów uniwersyteckich. (*Przyp. Red.*).

dlań teza: „Wszystko przez ducha i wszystko dla ducha“.

Odtąd Słowacki odrywa się od życia realnego — staje poza niem i ponad niem. Na sprawy tego świata patrzeć zaczyna z wyżyn zawrotnych, na jakich przebywali chyba tylko prorocy biblijni.

Już on teraz chwilą nie żyje. Już nie rozumie najwyższych nawet, jednostkowych bólów. Zdawało się, że w „Ojcu zadżumionych“, w „Beatrix Cenci“, w „Lilli Wenedzie“ wydobył ostatni ton ludzkiego cierpienia — aż oto widzimy go (w „Samuelu Zborowskim“ na przykład) przejętego bólem wszechświata, bólem wszystkich miejsc i wszystkich czasów, i — wyżej jeszcze, *ponad* ten ból wyniesionego.

Tu już uginają się nam kolana, i gotowiśmy do poety ręce wyciągnąć, jak do świętego.

* * *

Już na kilkanaście lat przed śmiercią, zrozumiał Słowacki, że mu wypadnie rozbrat wziąć z żyjącymi. Nocą w Veytoux, wpatrzony w lecące cwałem, czarne, gromem huczące chmurzyska, ręce do nich wyciąga i woła:

Gdzie wam droga,
Chmury Boga,
Mnie weźmiecie:
Bo ja ciemny,
Mgłą tajemny
Sam na świecie!
Tu wam, ludzie,
Na ziem grudzie
Mogił rzędy;
Gdzie chmur droga,
Z wichrem Boga
Mnie tamtędy!

W temże miejscu i w tymże czasie pisze „Ostatnie wspomnienie do Laury“, gdzie już sam tytuł jest sym-

bolicznym. Kończy wiersz pożegnaniem nie tylko Laury, lecz świata całego.

A teraz — smutny przeszłości echem,
O ludzie, idę za wami,
Choć śmiech wasz dla mnie — szalonych śmiechem
Żyzy wasze — szalonych łzami.
Lecz, gdy się znudzę łez zimnych rosą
I zimnych uściskiem prawic,
Duszę mi od was wichry uniosą,
Lecz wichry, pełne błyskawic!..

Przypomina to biblijne odejście na puszcę.
Nieco później przyjdzie kolej na Górę Tabor.

* * *

Sam wyniesiony ponad ciało i ponad ziemię, rozpoczyna poeta święte dzieło odcieleśniania innych. W tej roli podobny jest Janowi z Patmos i prorokom. Podobny jest także Mojżeszowi, gdy wskazuje błądzącej ludzkości nową Ziemię Obiecaną.

W tem podniesieniu ducha sprawy ziemskie zupełnie pomija, oczy na nie zamyka; gdy która przemocą nastrończy się jego uwadze, unosi się gniewem, do walki z nią staje. Stąd pochodzą owe niby-rewolucyjne miotania się poety, które tak trapiły Krasińskiego i dotąd w błąd wprowadzają krytykę.

Wogóle Juljuszowy „duch rewolucjonista“ najfałszywszym ulega tłumaczeniom. Toć nawet wypisywali go na swych sztandarach socjaliści!..

W tę drogę słoneczną trudno było iść za Słowackim pokoleniu współczesnemu; trudno i tym dwom, które po nim nastąpiły. A jednak tryumf Słowackiego wówczas dopiero będzie zupełny, gdy poeta na szczytach swych przestanie być samotnym.

Nigdzie może Słowacki anielski nie wypowiedział się tak całkowicie, jak w wierszu do Ludwika Norwida, brata Cyprjanowego. Wiersz, napisany na rok przed

śmiercią, nie mógł wypłynąć z nauki Towiańskiego, z pod którego wpływów już się był poeta wyzwolił. Domaga się ten wiersz szczegółowego rozbioru. Tymczasem wskażemy kilka jego punktów wytycznych.

Słowacki wierzy bezwzględnie w nadejście nowej ery. Jak kolendowych pastuszków w Betleem, cieszy go, że ujrzał gwiazdę, narodzenie się Zbawcy zwiastującą.

I przy całej wzniosłości nastroju, jest coś kantyczkowego w słowach, z którymi zwraca się do towarzysza — niby jakiś sielski Stach do Kuby:

Bracie Ludwiku, módl się gorąco,
A podnieś ducha wysoko;
Na trzeźwe myśli, na czyste oko
Witajmy prawdę świecącą:
Podwoje wiedzy już otworzyła,
Z miesięcznej wyszła kąpieli
Już jest na ziemi, już się zjawila —
Myśmy ją pierwsi ujrzeli!

Właściwie ujrzał ją pierwszy Słowacki — i on też na długo pozostać miał jedynym widzącym. Ludwik Norwid, a nawet jego brat, pod wszystkimi względami starszy, mogli tylko stwierdzić, że widzącego znali. I oni mieli przeczucie „dobrej nowiny“, i na nich blask jej padł i obu uświęcił — ale i im nie było dane stanąć w rzędzie kapłanów jej, ani nawet zupełnie uświadomionych prozelitów.

Cyprjana zanadto pochłaniały zagadnienia estetyczne; Ludwik, przez los stratowany i w ziemię wbity, wcześniej się w sobie zamknął i, jak lunatyk, sennie przeszedł przez życie.

Miarę zapалу poety wskazuje strofa następująca:

Nieśmiertelność i Wszechmocność —
Oto dwa nowe żywioły!
.....
Przez nie świat uwiązany do girlandy globów
Które czas zachwyceniem miłości pożarły,

Przez nie słońca nie umarły,
Przez nie już nie będzie grobów,
Ciało nie uzna skażenia.
Bo już je duch na wiecznotrwanie rozpromienia!..

Hieroglify to były dla wielu; dla wielu i dotąd pozostały hieroglifami. Rozumiał je Mickiewicz — w niedoskonałym kształcie przez Towiańskiego podanym. Za Słowackim nie poszedł — dlatego pewnie, że miał własny sposób obcowania z nieskończonością i własną do niej drogę. Słowacki zresztą na Adama nie liczył, choć był jego bratem w kole.

Ale zależało mu wiele na przekonaniu Krasieńskiego. Pisał do Zygmunta, jeszcze jako towiańczyk *de nomine*, choć już w istocie „mistrza“ przerastający.

„Każdy Duch, z Boga wetchnięty w organizację, ma misję bożą, to jest przebicie się przez materję, wyraabiając ją twórczością swoją w coraz doskonalsze kształty — aż będzie mógł ostatecznie powiedzieć słowo, przez Chrystusa wykrzyknione na krzyżu: — Wypełniło się!... Uczucie to skończonej, wypełnionej misji zaczyna nową drogę ducha, wyłamanego już z materji, uwolnionego z organizacji. Wierzymy w narodowości, jako w solidarne misje duchów, powiązanych ze sobą wspólną odpowiedzialnością. Miłość ojczyzny jest instynktowem uczuciem tej odpowiedzialności, a zatem poświęcenie się za nią nie jest szaleństwem, ale koniecznością ducha w świecie duchowym“...

Krasieński nie dał się ani przekonać ani zjednać. Dla niego alfą i omegą był krzyż, zatknięty na Kapitolu. Tylko religja chrześcijańska i kościół Rzymski rozwiązywały mu zagadkę wieczności. Przytem — a to już rzecz nadzwyczajna — temu idealście żal było... pogańskiej piękności.

Słowacki uczył:

A ty rozrzuć twoją glinę.
Nieszczęsna formo człowieka!

Już zamieniasz się w ruinę...
 Próżno cię, piękności twoje
 Jak pasożytne powoje.
 Próżno cię mgła cudowną szatą przyobleka.
 Próżno cię ręka przychylna
 Stroi — stoisz ty żałobna,
 Niedołężna, zamogilna...

Na takich szczytach nigdy jeszcze poezja nie przebywała. Dantejskie „Niebo“, choć kolumnami aniołów i archaniołów napełnione, choć po stopniach hierarchicznych do samego Stwórcy wznoszące się, było tylko teologiczną koncepcją. Na tak bezwzględne unicestwienie cielesności zdobywał się tylko ascetyzm średniowiecznych mnichów i pustelników, których później świętymi uczyniono.

To był jakby bunt przeciw wszystkim wierzeniom estetycznym, przeciw całej sztuce, przeciw całemu porządkowi świata...

Twórca „Irydjona“, we wszystkim ładu poszukujący, zrywał się na ów rokosz.

„Czemuż tak się żegnasz na wieki z pięknnością pogańską? — dziwi się w liście do Juliusza. — W arcydziele Pana nic nie ginie... Piękność, czyli prawdę kształtu pojęło pogaństwo; Prawdę, czyli piękność myśli — chrześcijańska era, upłyniona od dni Chrystusowych. A czemuż czyn, życie, świat przyszły nasz, jeśli nie doskonałym zlewem z tych dwóch jednostronności?

Widzimy tu, jak „poeta myśli“ ostrożnie grunt maca, gromadzi z namysłem tezy, antytezy i syntezy — jak bardzo lęka się tego błyskawicznego rzutu natchnienia, który w jednej sekundzie rozdziera materjalną powłokę złudy, zwanej rzeczywistością, i odsłania widok na wieczność.

Od tego to właśnie punktu drogi gieńjuszów naszych rozchodzą się, aby się już nigdy nie spotkać — na ziemi.

* * *

Wmawiano w nas, i sami wmawialiśmy w siebie, że mesjanizm zwicznął i zabił całą poetyczność Mickiewicza i Słowackiego. Nawet piszący o tem w najlepszej wierze Małeki takie przekonanie wygłaszał.

Tkwiał w tem błąd wielki.

Nie tykam Mickiewicza, który, być może, już przed Towiańskim był jak brylant legiendowy, co, wszystek blask z siebie wylawszy, jest tylko dawnego klejnotu widmem. Co do Słowackiego, zawdzięczał on Towiańskiemu przyspieszenie swej ostatniej, najwyższej przemiany.

Gdyby nie było mistrza Andrzeja, nasi wieszczę otrzymaliby niezawodnie skądinąd owo tknięcie nakazawcze. Atmosfera paryska była w tym czasie przepełniona załączkami podobnych idei. Była to epoka utopistów politycznych, religijnych i socjalnych.

Pod tymi wpływami zbudziło się do życia to, co w duszy Juliusza od przyjscia na świat drzemało. Ośniony blaskiem własnych myśli, wziął je w pierwszej chwili za odbłask słońca, zapalonego przez mistrza — i Towiańskiemu hołd złożył. Ale tego hołdu nie powtórzył już później, i powtórzyć nie mógł. Stał się nawet z mistrzem do walki, spostrzegłszy, że mu on nakazami swymi ducha pęta i na bezruch skazuje.

Towiański miał przeczucie wysokich lotów, ale mu do nich skrzydeł dość mocnych brakło. Za Słowackim podążyć nie mógł — uznać go za wyższego pycha mu wzbraniała.

Wszystko, co odtąd wyjdzie z pod pióra Słowackiego, będzie wizją. A nie będzie to zwykła wizja twórcy, ukazująca mu tylko pierwszy zarys dzieła, który on potem zmienia, poprawia, przekształca. Słowacki już odtąd prawie nie tworzy — powtarza tylko, co przed wiekami zostało stworzone, i co od wieków w świecie Prawdy i Piękna istniało.

Odtąd też wszystkie wizje Słowackiego będą poważne i smutne, takim bowiem jest życie ziemskie, oglądane z ponad ziemi.

Wszystko mu teraz przedstawi się inaczej, bo wszystko rozpatrywać będzie pod kątem wieczności. Ze światem tak zwanym „realnym“ pomiesza się u niego świat tak zwany „fantastyczny“: znikną granice między krajami, narodami i epokami, obrazy dla zwykłego oka będą wyglądały chaotycznie, myśl głębsza odkryje w nich prawdę wieczną, wyższą nad czas i przestrzeń.

„Zawisza Czarny“, „Samuel Zborowski“, „Król Duch“ i wcześniejsze od nich „Poemat o Piaście Dantyszku“, „Ksiądz Marek“, „Sen srebrny Salomei“ i t. d. — oto korowód widzeń poety anielskiego — widzeń razem ziemskich i nadziemskich.

Wszystkie one noszą znamię odrębne; wszystkie pławią się w świetle osobliwym, które nie jest światłem ani słońca, ani księżyca.

* * *

Powtarzam: hołdy literackie i widowiskowe nie wystarczą Słowackiemu i nie będą dostateczną daniną od narodu, który ma iść wskazaną przez poetę drogą...

„Do pracy! a więc do pracy, wy co jesteście mi bracią, duchy słoneczne, Polacy!... Dalej w błękity! pracować na całą wieczność... Otwarta dla duchów droga. Skrzydła mamy — dalej w Boga, po dar ostatni — Słoneczność!“

Czyśmy go wypełnili? Czyśmy się do wypełnienia go zabrali?

Zjadacze chleba aniołami stać się mieli. Czy się stali?

„Biada tym, które koniec znajdzie świata, że jeszcze ciała takie, jak my, noszą; biada tym, które raz przez ogień kata dla prawdy bożej nie przeszły z rozkoszą“...

Czyśmy ciała swe przemienili? Czy rozkoszną nam była męka dla idei?

Przez kwieciste wirydarze, przez winnice, dojrzałemi grony bogate, mimo zagród wesółych, gdzie śmieją się dzieci i ładne dziewczęta, idzie się ku szczytom, pokrytym lodami i śniegiem wieczystym. Odludnie tam, dziko, pustynnie, ale — bliżej gwiazd i Boga.

Któż z nas miał odwagę pójść w tę drogę za poetą i do szczytu dotrzeć, nie utknąwszy w wirydarzu, w winnicy, w pełnej ponęt doczesnych zagrodzie?

Całe życie Słowackiego było wstępowaniem na szczyty. Gdy w drogę wyruszał z kwietnej, krzemienieckiej doliny, już dziecięcym jego oczom anioł życia wskazywał niknące w chmurach, wzrokiem śmiertelnym niedosiężone wyżyny, a on czuł, że tam dojść mu trzeba.

Przerażała go ta droga — ale i ciągnęła mocą nieprzemожoną.

Sam o tem mówi:

Ja byłem wtenczas dziecic — lecz do gliny
Kiedy wejdziemy, my straszniejsi z duchów,
To mamy straszne w dzieciństwie godziny,
Gdzie duch bez żadnych więzów i łańcuchów
Ma ostrzeżenie. W mogilne doliny
Chodzimy chętnie... niby dla posłuchów.
A duchy wtenczas rozmawiają z nami
Same, lub tylko natury ustami...

Czy wy wszyscy, co dziś klaniacie się malowanym, albo z gliny lepionym „Słowackim“, obcowaliście tak kiedy oko w oko z duchami? Doświadczaliście tego świętego dreszczu, od którego włosy się podnoszą, serce truchleje, ząb o ząb dzwoni?

Poezja Juljuszowa nie jest upiększaniem, ani doskonaleniem bytu ziemskiego — ona się ponad ten byt wzbija, ona go lekceważy, ona nim gardzi...

Duch w wierszu „Poeta i Natchnienie“ przemawia z ironją:

Sfinks.

„Czemu nie patrzysz na mnie? O! czy żal ci mego włosa, pełniejszego łona i ducha tego, co jak czarę kształci pierś, i pięknoscią oblecze ramiona? Teraz patrz — wiatr mi kształt spokojny gwałci; gdy zadrżysz, jestem ja sama wzruszona; oczy się moje jak szafir kryształą, rany na nogach i rękach się palą“...

Małecki, człowiek dobrej woli i wielkiej ducha powagi, przytem poeta i szczerzy Słowackiego wielbiciel, pisząc przed trzydziestu kilku laty o tym okresie jego twórczości, tak się wyraził: „Jest to już sfera, w której człowiekowi zaczyna być duszno i straszno i tak nieswojo, jak na cmentarzu o północnej godzinie“...

Policzmy takich, co dziś inaczej o tem sądzą, choć nie zawsze mają odwagę przyznać się do tego.

Ilu ich będzie?...

* * *

Wspomniałem o wierszu „Poeta i Natchnienie“. Jest to utwór w myślowym rozwoju Słowackiego bardzo znamienity i, choć okaleczony, jak posąg bez nosa i rąk, nie mniej jednak przedziwnie piękny. O tym wierszu mam do zapisania jedno osobiste wrażenie.

Po wiele razy, od lat najmłodszych zaczynając, odczytywałem z rozkoszą te cudne oktawy, zachwycając się ich wielką *poetycką* pięknoscią. Spotykając tu i owdzie punkty dla siebie niejasne, przypisywałem to — „uszkodzeniom rękopisu“.

Duch wiersza pozostawał dla mnie przez czas długi zagadką. Właściwie zupełnie go nie dostrzegałem.

Ale przyszedł dzień, gdy pełen posępności wewnętrznej i wielkiego rzeczy doczesnych obrzydzenia, wziąłem przed się raz jeszcze ten utwór i czytać zacząłem, jakbym go był nigdy jeszcze nie czytał. A dobrze to pamiętam: jesienne było przedwieczere, zamierała już przyroda, — słońce zachodu blizkie, mgłą i kurzem zasłane, znużone i jakby lekliwie za mury się kryjące, rozsiewało wokół mnie chore, zgniło-żółte światło.

Czytając, doznałem wrażenia, jakby otwarła się we mnie jakaś, dotąd zamknięta, władza ducha. Pięknosć wiersza, którą dotąd za jedyne jego bogactwo poczytywałem, okazała się tylko powłoką kryształową dla sto-kroć piękniejszej myśli, jak dla duszy nieśmiertelnej powłoką jest tylko gliniana forma człowieka.

Wszystko mi tam wówczas stało się przejrzyste i jasne. Olśnił mię ideowy blask utworu. Ukorzyłem się przed bijącą zeń potęgą ducha.

I było mi przez chwilę tak, jak być musiało Słowackiemu, gdy mu się Jehowa z gorejącego krzaka ukazał i zrozumieć pozwolił, że „wszystko tu jest z ducha i dla ducha“.

Gdyby się wówczas zjawili żałobnicy, mówiąc: — Oto przychodzimy po ciało twoje... — odrzekłbym bez namysłu: — Pozdrowieni bądźcie, dobrzy ludzie, i — zabierajcie tę rzecz, zgola mi niepotrzebną.

Czy to było ogarnięcie całej prawdy, przez poetę objawionej?

Nie, to było dopiero zbliżenie się do niej.

Mnie, tęczowym, syrenim blaskiem zamigotała myśl wyzwolenia ducha przez śmierć — a Słowacki wieścił: wyzwolenie ducha przez życie uduchowione.

* * *

Jednemu tylko Słowackiemu dane było wstąpić na górę Synai. Jeden tylko Słowacki był dość odcieleśniony dla przyjęcia i zdziałania cudu. Całe jego życie było przygotowaniem do świętego dzieła. Ekstaza, samotność, celibat, asceza — oto stopnie, po których wstępował na wyżyny.

Żaden z naszych wieszczów nie miał takiego, jak on, spojrzenia na dzieje ojczyzny, na obecność i przyszłość Polski. I dlatego każdy okres historii naszej mógł on być przedstawiać, jak człowiek, temu okresowi współczesny. Czy wziął epokę upadku Rzeczypospolitej, czasy

Zygmunta III lub Jana Kazimierza, czy też wnurzył się w mroki dziejów bajecznych, o wszystkim opowiadał, jakby na wszystko oczyma patrzył własnymi. I zaprawdę tak być musiało...

Mickiewicz, mimo całej gieńjalności, nie ogarniał myślą horyzontów tak szerokich. Twórcę „Dziadów“ pochłonęła całkowicie doba obecna. Jeśli cofa się wstecz, to tylko do najbliższego wczoraj, jeśli wybiega naprzód, to tylko ku najbliższemu jutru. Nie sięgnął nigdy do pierwszych źródeł bytu narodowego, nie przeniknął tajemnicy tych wieków, gdy Polska w łonie świata spoczywała *in embryo*, jako myśl Stwórcy, na ucieleśnienie czekająca. A jednak dopiero takie spojrzenie pozwala rozwiązać zagadkę przeznaczeń narodu.

Słowackiemu obecność nie wystarczała. Wziął on ją w siebie, przyswoił sobie i w cudownym, poetycznym przetworzeniu pokazał współczesnym, zachował dla potomnych,—ale na tem nie poprzestał. Jasnym mu było, że obecność nie da się wytłumaczyć obecnością. Jasnym mu było również, że sprawy ziemskie nie zawiązują się i nie rozwiązują wyłącznie na ziemi.

Stąd narodził się „Król Duch“.

Dziś już nie dziwi nas, że „Króla Ducha“ nie mogli zrozumieć Mickiewicz i Krasiński. Obaj oni już za życia przez zenit swego gieńjusz przeszedli—Słowackiego śmierć odwołała, gdy wciąż jeszcze wyżej a wyżej się wzbijał. Mickiewicz i Słowacki byli dwojgiem słońc, odrębnym systemom planetarnym królującym; Krasiński oscylował pomiędzy nimi dwoma, przechylając się to ku jednemu, to ku drugiemu. W ostatnich latach w śpiewaku „Irydjona“ refleksja przeważała ostatecznie porywy poetyczne i odsunął się on od Słowackiego na taką odległość, jaka dzieli spekulację filozoficzną od samorzutnej mocy natchnienia.

Rozeszły się drogi poetów, choć z jednego punktu wybiegły, jak rozchodzą się konary drzewa, im wyżej wystrzelają.

A przytem „Król Duch“ był kreacją poetycką, przetwarzającą wszystko, co przed nim w zakresie poezji i w ogóle myśli uskrzydłonej, stworzono.

Niech to będzie usprawiedliwieniem dla Mickiewicza i Krasińskiego. Niech to rozgrzeszy pierwszego z lekceważącej wyniosłości, okazywanej Juljuszowi; a drugiego—z podejrzwania bratniego gieńjusza o zboczenie umysłowe.

Iluz jednak mamy dziś jeszcze takich, co zajęli w stosunku do Słowackiego toż samo stanowisko—nie są zaś Mickiewiczami, ani Krasińskimi!...

Nie szukajmy ich wszakże w tej chwili dokoła siebie. Na czas obchodu jubileuszowego zataili swe rzeczywiste przekonania...

* * *

Nic łatwiejszego, jak naśladować Słowackiego i rozprawiać o Słowackim. Korzystają z tej łatwości całe tłumy pisarzy i pisarek. Ale naprawdę mało jest takich, którzyby istotę ducha Juljusowego do gruntu przeniknęli i pojęli właściwie.

Słowacki pozostał samotnikiem; dotąd nie zaprzeczyło życie jego wieszczym słowom, że dla lutni swej dziedzica nie zostawił.

Każdego, kto zechce podszywać się pod pokrewieństwo z wielkim Juljuszem, nazwijcie śmiało — samozwańcem.

Ani jeden z dzisiejszych poetów polskich nie wywodzi się w prostej linii od Słowackiego,—choć tak wielu przedrzeźnia jego ton prorocki, wygina język w cudaczne zwroty, kształtem niby anhelicznym, i chadza w arlekińskim płaszczu, ze strzępków jego złotogłowi pozszywanym.

Bardzo wiele zawdzięczał Słowackiemu Wyspiański;

często też bywał jego echem — ale echo głosu żywego nie zastąpi.

* * *

Niewdzięcznem jest zadaniem cudze złudzenia rozpraszać. Równa się to zamachowi na cudze szczęście — szczęście bowiem ludzkie z samych złudzeń się składa. Udowodnił już to dawno w swym nieśmiertelnym traktacie Erazm z Rotterdamu.

Znajomość Słowackiego jest dziś nierównie większa niż była przed pięćdziesięciu i przed trzydziestu laty. Jest przedewszystkiem powszechniejsza — choć i na głębokości zyskała.

Niedawno jeszcze Słowacki, który tak bardzo lękał się „wymuskanej sławy“, ją tylko wśród rodaków swych posiadał. Wiedzieli wprawdzie o nim i o jego wielkości wszyscy wykształceni Polacy, ale czytali go tylko literaci, wczytywali się zaś weń, zachwycali się nim i kochali go wyłącznie — poeci. Rzecz dziwna — a może nie dziwna? — najdłużej i najmozolniej torował sobie drogę do dusz kobiecych...

W ostatnich latach gruntownie się to zmieniło.

Młodzież literacka, krakowska przedewszystkiem, wysoko podniosła kult piewcy „Kordjana“. Pojawiły się nowe wydania znanych arcydzieł poety; wydrukowano też z rękopisów jego wspaniałą pośmiertną puściznę. Znaleźli się śmiałkowie, co, nie licząc się z sądem Małeckiego i jemu podobnych, uznali „Króla Ducha“ za jedno z najcenniejszych dzieł poety, może nawet za najcenniejsze. Ukazała się, znakomita, choć jednostronnie opracowana, książka Ignacego Matuszewskiego o Słowackim. Tak zwani „moderniści“ ogłosili się — samozwańczo zresztą — spadkobiercami lutni i apostołami myśli Juljuszowej. Teatry wystawiać jąły dramaty Słowackiego wykończone i dramatów Słowackiego okruchy. Profesor Tretiak surowymi sądami o Słowackim wywołał gwałtowną reakcję, która poecie nowych laurów i popularności przysporzyła.

Z mównic publicznych rozlegały się krytyczne rozbiory dzieł poety. Przyszedł wreszcie rok jubileuszowy i wielkość Słowackiego na całą Polskę rozdzwonił.

Tyle zwycięstw! Tak wielki postęp! — A jednak..

A jednak nie waham się twierdzić, żeśmy dziś jeszcze dalecy od zupełnej znajomości Słowackiego i od sprawiedliwych o nim sądów.

Tłumowi, który już zna Mickiewicza, Słowacki pozostał dotąd obcy. *Tiers état*, czyli tak zwana — „inteligencja“, Słowackiego czyta i nawet z pamięci powtarza, ale posłuszna jest w tem bardziej nakazowi mody, niż samoistnym, nieprzepartym popędowi. Ci, co wyobrażają kwiat i śmietankę narodu, uczynili z Juljusza bożyszcze — czczą w nim jednak głównie wielkiego artystę, milionera słów, bogacza, rozrzucającego pełną dłonią klejnoty, dostarczyciela wyrafinowanych, estetycznych rozkoszy...

Słowacki z okresu ostatniego, Słowacki-prorok, Słowacki anielski, dotąd jest niedostępnym, chmurami zakrytym, dzikim, niemal groźnym — szczytem.

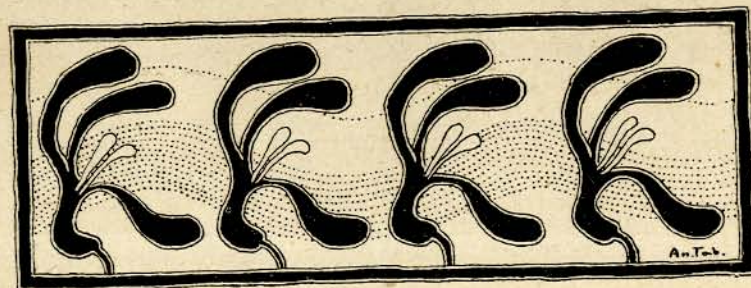
I tak będzie długo jeszcze. Tak będzie dopóty, aż życie przetwarzać się zacznie w duchu poezji Juljuszowej.

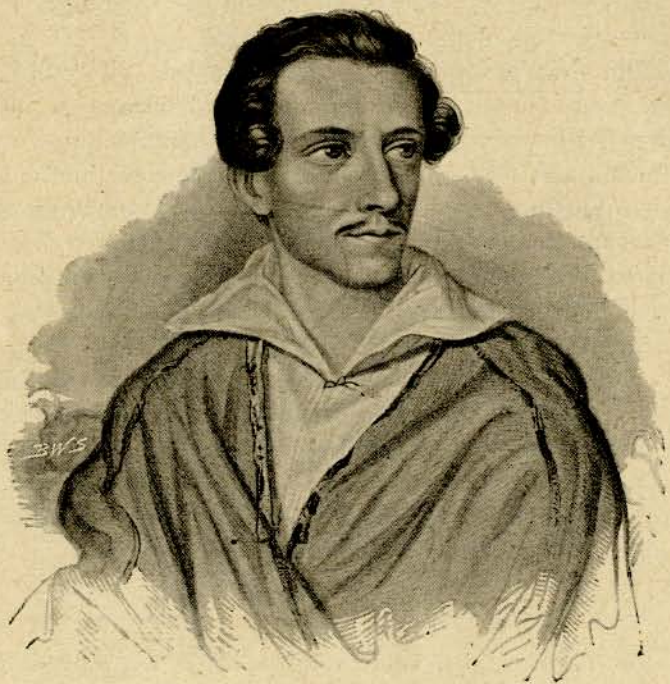
A na ten cud jeszcze koguty nie pieją.

* * *

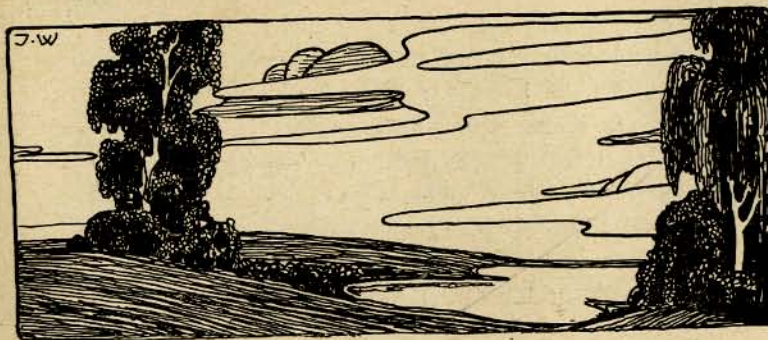
Dotąd, po upływie dwóch tysiącleci, przepaść niezgłębiona dzieli Chrystusa od ogółu jego wyznawców.

Może i Słowackiemu sądzone jest pozostać na zawsze „poetą przyszości“?...





O' jak myśli z proroctwa poeci...
Juliusz Słowacki



JULJUSZ SŁOWACKI.

Z PIEŚNI XII „BENIOWSKIEGO“.

... Kiedyż, o boży zwiastunie
 Gołębiu, który szepcesz mi do ucha
 Te straszne rzeczy, zrobisz taką ciszę,
 Że Polska to usłyszy, co ja słyszę?

Nad morza teraz uciekam, i blade
 Tęczę nadmorskich kwiatów, wietrzne pola
 Depcę, a wielkich duchów o poradę
 Pytam; i często piorunowa wola
 Sciąga mi taką moc, że ręce kładę
 Na wiatrach, jako na harfy Eola
 Strunach, i gra mi wiatr jak najboleśniej,
 A ja posyłam na północ te pieśni.

Na północ je posyłam — miejcie czucie!
 Bo kiedy głuchy grzmot bez żadnej chmury
 Słychać — i kiedy słychać jakieś kucie
 Jakby podziemnych zbrój, i kiedy z góry
 Słychać jakoby sztandarów rozprucie
 I szelest, niby orzeł je w pazury
 Chwytał i ciągle darł, jak stare szatry: —
 Słuchajcie! to ja błogosławię wiatry.

I gdy na sennych was uderzą strachy,
 I gdy zbudzicie się w łożu spotniali
 I usłyszycie, że drżą wasze dachy
 I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali;
 Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
 Bogu pokaże i przed nim powali,
 A będzie ziemia — cichą jak mogiła: —
 Słuchajcie! bo ten strach, to moja siła!...

Kiedy, nie wiedzieć skąd, dziecko się małe
 Rozpłacze, rączki założy na głowie,
 Wpatrzy się w ciemność i stanie się białe,
 Jak próchniejąca wilcza kość w parowie;
 Gdy włoski staną mu, jak zmartwychwstałe,
 I przedrży wielki strach, a nic nie powie,
 Lub co innego wam w uśmiechu skłamię: —
 To mój go porwał wiatr i moje ramię...

Boleścią moją powietrze zakłęte
 Stało się mocą, bronią — pełne ducha,
 I czasem do was gra, jak harfy święte,
 A czasem waszej odpowiedzi słucha...
 Wtenczas — o straszne godziny przekłete!
 Siadam, i strumień łez mi z oczu bucha,
 I przed Bogiem się nieśmiertelnym korzę,
 Że mój duch cierpi tak — a nic nie może!

Kiedy wyjdziecie na ziemię różaną
 Rankiem, a o mym duchu śnić będziecie: —
 Trzody, leżące na kurhanach, wstaną,
 Owce się ruszą, perły łąk... znajdziecie
 Tę okolicę całą zastuchaną
 W powietrze, w dźwięki, w smutek. Jeśli w łecie
 Żeńce na polach zną, to przy kopicy
 Siędą, jak dawni rzymscy niewolnicy,

Smętni i groźni: to moja daleka
 Moc i pieśń, która serce przeobraża
 I niewolnika przedzierzga w człowieka.
 Ale cóż znaczy moc i pieśń harfiarza?
 Na powieść moję smętny człowiek czeka,
 A mnie odleciał anioł, który stwarza:
 I muszę przestać strofy, która ludzi
 Łamaną sztuką bawi — a mnie nudzi.





JULJUSZ SŁOWACKI.

URYWEK Z „KRÓLA DUCHA“

(Z WARJANTÓW RAPSEDU IV).

...Pomnę, że gwarem, niby winem, spity,
Zasnąłem ślepy; gdy oto duchowie,
Którym ten świat jest, jako z tęczy uwity
Obraz form różnych na słonecznym Słowie,
Przysłali mi sen straszny i zakryty.
Wróżący oczom moim blask i zdrowie,
Przeto, że winy ducha, jak rumiane
Słońca świecące, miały być zmasane.

Straszny, największy z duchów obrażonych,
Rozpromieniwszy swe srogie oblicze —
W szatach błękitnych i w ogniach czerwonych
Błysnął mi i znikł... Słyszano, że krzyczę...
Jam rozповідаł o widziadłach śnionych,
Z ducha gadałem rzeczy tajemnicze;
Z duchów słowiańskich zbudzony najwcześniej,
Pierwszy stanęłem złoty — w duchu pieśni.

Aż do samego dnia w różnych natchnieniach,
Niby wysoko lutnia nastrojona,

O gwiazdach tylko smętnych i zjawieniach
Rozpowiadałem. Matka przerażona
Oczu mych blaskiem... W alkierzanych cieniach
Twarzyczka moja biała i szalona —
Mówili ludzie—łała blask miesiąca,
Zbiedniona, ślepa i przerażająca.

Aż mię nadedniem w duchu uciszono,
Ubrano w srebrne szaty całodziane;
Potem do świętych gajów prowadzono,
Gołąbki dano nieść — ofiarowane;
Główkę nakryto kwiateczków koroną,
Przejęto w paski złotem malowane;
I tak w świątynie wprowadzono pańskie
Mnie, biedne, ślepe królatko słowiańskie.

Szedłem—a moje myśli pełne trwogi
Malowały mi nigdy niewidziane
Gontyny z cedru, ogniska, trójnogi,
Straszydła żywe ludzi krwią rumiane,
I duchy-bogi i sztandary-bogi,
Sztandary — żywe widziadła miedziane,
Które przestraczem na śmierć ludzi były,
A przed ludami na boje chodziły...

Myślałem, że Bóg, stojący w Arkonie,
Jest jako ja... duch ogromny i wieczny —
A gdy go niosą, to miedziane dłonie
Wyciąga i łuk napina słoneczny;
Myślałem, że ma w błyskawicach skronie —
W oczach blask — ręce, jak miecz obosieczny,
A gdy chce, to hełm rozgwieździ*) padalczy —
Sam idzie — błyska — i za ludzi walczy.

Jużem się cały na to był gotował,
Że się ukorzę, a przed tymi duchy
Upadnę: — gdy mię mój Pan wyratował,
Pan mój — miłośnik niecielesnej skruchy.

*) W wydaniach Małeckiego i Górskiego: rozgwieźdze.

Owszem, abym te szatany wojował
I formę niszczył wewnętrznymi ruchy,
Sto mocy mi dał — od globu i nieba!
Sto sił — i cudem wspomógł, kiedy trzeba...

Pomnę, że stałem przed tymi kapłany,
A wzrok mój blade sobie tęcze snował:
Gdy upiór pieśni, we śnie ukazany,
Rzucił się na mnie w ogniach i mordował
Oczy me ogniem. — Włos wichrami rwany,
Twarz taka, że się lud rozlamentował,
A inni, którzy złych bogów się bali,
Dary rzuciwszy w ogień — uciekali!

Ducha nie widział nikt: ale widziano,
Że się ja z którym wielkim bogiem biję!...
Piers mi urosła, sparło się kolano,
Dłoń skrzepła, włosy świstały, jak zmije;
Potem żrenica stała się rumianą —
Pękła!.. Jak piorun, kiedy we drzwi bije
I rygiel chaty zamkniętej otworzy
I wejdzie: — tak świat we mnie wstał boży,

Słoneczny! — A ja, by Herkulesowy
Anioł — złamawszy ciemność, ani krzykiem,
Ani jakimi objawiłem słowa,
Żem był sam sobie wodzem i świecznikiem;
Ale na ten gmach patrzałem sosnowy,
Poważny, bydła napełniony rykiem,
Gdzie ciągle tłustość na trójnogach pluszczy
I „ach, ach!“ wielkie sosn — od echa puszczy

Dolatywało... Lasów tych szaleństwo
Słyszę — kolorów dotąd widzę blaski...
Anioł, skazany odtąd na męczeństwo
I odzyskanie świętej pańskiej łaski —
Wtenczas brał na się swoje człowieczeństwo
I moc — przez piękne te kolorów brzaski,

Które mroczyły modrzew i jedlina,
Wzięty, jak sercem dzwoniąca ptaszyna...

Jakoby szalas, przez belki złożone
Wiązany, leśną widziałem kaplicę.
W niej lud, kniaź, wodze, supany czerwone,
Wieńce jemioły — skrzydlate zbroice —
Bliżej kapłanka, którą aż z Arkony
Przywiozły białe jak śnieg jałowice,
Ustrzygła mój włos i w czarze z bursztynu
Paliła, a pieśń słowiańskiego gminu

Brzmiała wokoło: — „Będziesz tak strzyżony,
Jak biała owca... Będziesz tak na świecie
Uciśnion, jako każdy duch rodzony,
Którego woda topi — ziemia gniece —
Z ciała wypędza ogień-duch czerwony —
Mróz zimą dręczy — ogień pali w lecie —
W podróży wieczna udręczy tęsknota —
A zła wieść czeka przed domem u płota...

„Żona cię zdradzi — przyjaciel udręczy —
Pan cię uciśnie — wróg napadnie zbrojny —
Dziedzic pośmiertny w pracy nie wyręczy —
Grób nie nakryje po śmierci spokojny...
Na coś ty przyszedł od słońc i od tęczy
Na ten świat biedny i w ten dom rozbojny?!
Anieli cię już z ciała nie wydzwigą!
Ludzie chwycili — jak owieczkę strzygą“. —

Tak ci śpiewali: ale mi na oczach
Inny czar wtenczas stał — kapłanka biała,
Cała w powojach, płótnach i warkoczach
Ubrana — bursztyn nad głową trzymała —
Różany olej w bursztynu przezroczach
Płonał i ogniem dochodził do ciała;
A ona cała w kolorach i wraca
Była — jak gwiazda z rąk ulatująca.

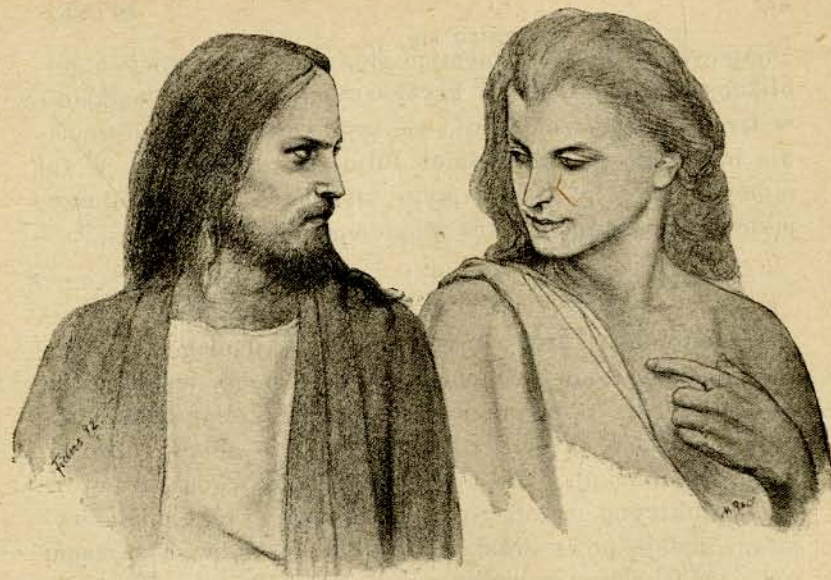
Jeżeli kiedy mój duch roił Psychę,
 Duszę, motylem złotym*) ponad włosy
 Świecącą: to tej dziewczki widmo ciche —
 Białe — w powojach błyszczących od rosy
 Było piękniejsze; a tak wielką pychę
 Miała i świętość — wmyśloną w niebiosy,
 Że zatrzymała się dłoń podniesiona...

.....



St. J. Kozł.

*) W wydaniach Małeckiego i Górskiego: motylom.



IGNACY MATUSZEWSKI.

„KRÓL DUCH“ CZY „KRÓLOWIE DUCHY“?

(Przyczynek do wyjaśnienia niektórych punktów
 niedokończonej epopei Słowackiego).

I.

„Król-Duch“, uważany przez czas długi za mętny chaos majaczeń „obląkanego“ nawpół artysty, staje się, dzięki wytrwałym pracom kilku krytyków-czcicieli Słowackiego, z każdym rokiem przejrzystszy, jaśniejszy i zrozumialszy dla ogółu.

Swoją drogą, jeżeli idea zasadnicza poematu nie pozostawia już żadnych „ciemności“, to o poszczególnych epizodach i postaciach można powiedzieć bardzo wiele

„niepowiedzianego“; opierając się, już to na nowych publikacjach edytorskich i krytycznych, już to na wnikanii w treść oddzielnych strof, wierszy, warjantów i zestawiania ich z fragmentami dzieł Juliusza, zrodzonymi w tej samej epoce i w tym samym nastroju i napięciu duszy, jakie wydały gigantyczną mono-epopeję.

* * *

Jednym z kardynalnych punktów, domagających się wyjaśnienia i to wyjaśnienia kategorycznego, jest kwestja, czy Słowacki, utożsamiając siebie z „Królem-Duchem“, przewodnikiem narodu, zdradzał przez to objaw chorobliwej „megalomańji“, czy też rozwijał tylko konsekwentnie swoją doktrynę metafizyczno-mistyczną, która miała wyjaśnić dzieje powstawania i ewolucji świata, a zarazem rozwiązać bolesną zagadkę upadku Polski, oraz przyszłego jej odrodzenia i dalszej roli w historii ludzkości i całego kosmosu.

Zarzut megalomańji, oparty między innemi i na wspomnianym motywie, spotykam w dwutomowej pracy prof. Tretiaka p. t. „Juljusz Słowacki“ (Kraków. Nakładem Akad. Umiej. r. 1904).

* * *

Pomimo biegunowo odmiennego stanowiska, jakie zajmuję w stosunku do Słowackiego w moich własnych książkach, daleki jestem od lekceważenia dzieła prof. Tretiaka. Przeciwnie. Widzę w niem owoc nie tylko bardzo sumiennej pracy, ale i znacznych zdolności estetycznych i krytycznych. Pomimo inkwizytorskiego tonu, spotykamy w okrzykanej książce prof. Tretiaka, *zwłaszcza w tomie drugim*, mnóstwo bardzo cennych i pouczających uwag i spostrzeżeń, a niektóre stronnice stoją bez porównania wyżej, jako produkt pracy krytycznej, od całej charakterystyki Słowackiego w V tomie „Historji literatury polskiej“ prof. hr. Tarnowskiego.

Książki prof. Tretiaka można nie lubić, ale niepodobna jej lekceważyć, jak np. krytycznego feljetonu barona Weyssenhoffa o Wyspiańskim *).

Ale właśnie dlatego, że z dziełem Tretiaka, pomimo różnicy poglądów, trzeba się liczyć, jako z pracą, opartą na długoletnich rozmyślaniach i studjach źródłowych, niezbędną mi się wydaje rewizja paru wniosków, do których krakowski profesor dochodzi.

W danej chwili, jak wspomniałem wyżej, dotknę tylko sprawy rzekomej megalomańji Słowackiego i związku tego ciężkiego a niesłusznego zarzutu z „Królem-Duchem“.

Prof. Tretiak mówi o „oblędzie wielkości“ i samoubóstwianiu Słowackiego w kilku miejscach, ale najwyraźniej może formuluje to oskarżenie w tomie II: „...poemat (Król-Duch), który również, ciągnąc soki swoje z mistycznej wiedzy, miał uwieńczyć, ukoronować i wpleść zarazem w wątek dziejów narodu ten pęd Słowackiego do anielstwa, do samoubóstwiania, co było główną osią jego ducha“, (str. 284).

Dalej zaś: „A takim „Królem-Duchem“ w wieku dziewiętnastym miał być już nie jeden człowiek, ale cały naród, mianowicie naród polski. Ale ponieważ siebie uważał Słowacki za *najwyższego* ducha w tym narodzie, więc jemu ostatecznie przypadła zaszczyt być nie tylko „Królem-Duchem“ swego narodu, ale i całej ludzkości“.

Rozpatrzmy te sądy nieco bliżej.

* * *

Przedewszystkiem zastanówmy się ogólnie nad tem, czy terminy „samoubóstwienie“, lub „oblęd wielkości“, używane i nadużywane zbyt często przez prof. Tretiaka,

*) „Tyg. Ilustr.“, r. 1909. Do sprawy tej powrócimy jeszcze. (Przyp. Autora).

mogą być stosowane do Słowackiego, jako twórcy „Króla-Ducha“, z jakąkolwiek słuszością, zwłaszcza, że pracowity autor biografii nadaje tym słowom nie znaczenie „wyjaśnień“ psychologicznych, lecz — jak wynika z całości kształtu książki — raczej charakter potępiających określeń, nieomal że wyroków.

Otóż pozwolę sobie zwrócić uwagę, że termin „obłąd wielkości“ (megalomańja), jest terminem psychiatrycznym i stosowany bywa do warjatów, a w życiu potocznym, jako przenośnia, do ludzi, którzy, nie mając żadnych danych po temu, poczytują się za królów, bohaterów, świętych, pół-bogów, bogów, gienjuszów, wynalazców i t. p.

Napoleon niewątpliwie, a nawet na pewno, uważał się za istotę wyższą nad wszystkich ludzi, ale nie zdarzyło mi się nigdy spotkać opinii, że Napoleon cierpiał na mańję wielkości.

Zły, czy dobry, mniejsza o to, Napoleon był wielki i potężny, a ponieważ na wszystkich sprawiał wrażenie zjawiska olbrzymiego, więc nikomu nie przychodziło i nie przychodzi na myśl posadzać korsykańskiego konwistadora o „mańję wielkości“. Inaczej wygląda wobec niego Wilhelm II, „der Redekaiser“, który ma się faktycznie za zesłańca i pomazańca bożego, równego Mojżeszom, a prócz wielkiej ilości bombastycznych mów i toastów — nie zrobił dotąd nic konkretnie wielkiego. To typ megalomana życiowego.

Jeżeli weźmiemy poetów i myślicieli, to, sądząc z tego, co mówili o sobie i swoim stosunku do świata i ludzi, możnaby — kierując się metodą prof. Tretiaka — uznać za patologicznych megalomanów: Byrona, który na początku XIX stulecia był i czuł się faktycznie niekoronowanym królem Europy; a dalej Schopenhauera, który mniemał, że stworzył jakąś nową religję metafizyczną i wierzył, że z czasem posagi jego, obok posagów Buddy, stać będą w sanktuarjach wyznawców filozofji „świata, jako woli i wyobrażenia“.

Do tego Słowacki nie dążył nigdy, a nawet, jak sam prof. Tretiak stwierdza, z wielką niechęcią i tylko na życzenie matki zajął się sprawą odlewania swoich medaljonów.

A Budda, który nie jest mytem, bo istnienie jego stwierdzono przed kilku laty faktami materialnymi, czyż nie wierzył, pomimo najgłębszej pokory i najwyższej dobroci że odkrył drogę do prawdy i do zbawienia bliźnich? A wielu innych podobnych, którym nikt nie ośmieli się zrobić zarzutu, iż cierpieli na mańję wielkości?

A Mickiewicz, czyż i on nie miał chwil takiego poczucia własnej wartości i wielkości, że przeciwstawiał swoje „ja“, nietylko ludziom, ale i — Bogu, w którego wierzył? Czyż nie wołał w szale uniesienia i rozpacz:

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę:
Cóż Ty większego mogłeś stworzyć, Boże? (Improw.).

Prawda, że potem upokorzył się przed niezbadaną potęgą Stwórcy, ale na czołe Gustawa-Konrada-Adama grom niebieski pozostawił ranę, o której Guślarz (i poeta sam) mówi:

Tę ranę sam sobie zadał:
Śmierć z niej uleczyć nie może.

Otóż, wracając do Słowackiego, w jego przekonaniach i wierze w swoją misję proroczo-apostolską, w jego szczerem utożsamianiu się z „Królem-Duchem“ Polski, a choćby nawet, jak twierdzi prof. Tretiak, i całej ludzkości, nie widzimy nic, coby dało się podciągnąć pod kategorię obłądki wielkości.

Jak wielu innych ludzi gienjalnych i obdarzonych siłą twórczą, Słowacki, zachowując całą należną cześć i pokorę względem potęgi najwyższej, do której bez ustan-

ku się modli*), daje wyraz szczery i bezwzględny wierze w swoją misję mistyczną na ziemi, a specjalnie wśród narodu polskiego.

Gdyby Słowacki w ową misję nie wierzył — „Król-Duch“ nie byłby tem, za co go uznaje nie tylko stojąca i walcząca pod jednym sztandarem ze mną falanga krytyków i czcicieli wielkiego poety, ale nawet sam prof. Tretiak, czyli nie byłby „najwspanialszym“ i najoryginalniejszym utworem Słowackiego. (Tretiak „Jul. Słow.“, II, str. 489).

Prawda, że parę wierszy dalej prof. Tretiak stara się osłabić wrażenie zachwytu, jakie na nim wywarł olbrzymi poemat Juliusza i dodaje: „epopeję te stworzył człowiek obłąkany mańją wielkości, żyjący tylko w świecie mar i widziadeł, ale ten obłąkanie jest zarazem artystą-malarzem, który powietrzną subtelność barw, harmoniję linii i dźwięków doprowadził w tym właśnie utworze do najwyższej doskonałości“.

Jeżeli odrzucimy „obłąkanie“ i mańję wielkości—to, o ile się nie mylę, powiedziałem toż samo w swojej pracy o Słowackim, nie temi samemi może, lecz analogicznymi wyrazami; nie mam więc powodu do polemiki z prof. Tretiakiem, u którego wrodzona wrażliwość estetyczna bierze, zwłaszcza w II tomie, bardzo często górę nad instynktem prokuratorskim.

Dodam tylko, że szanowny profesor jest sam z sobą w niezgodzie, kiedy na str. 498 tomu II psuje dość trywialnie swoją entuzjastyczną charakterystykę niezbyt szczęśliwem porównaniem „Króla-Ducha“ do „cudownej huśtawki poetyckiej“.

Właśnie, gdyby Słowacki nie traktował swego utworu serjo i nie wierzył w swoją identyczność z bohaterem

*) Cytować tych ustępów nie będę — są one zbyt znane; zresztą i sam prof. Tretiak niejednokrotnie się na nie powołuje — w razie potrzeby.

głównym epopei, „Król-Duch“ byłby czemś podobnym do „cudownej huśtawki poetyckiej“, t. j. do bogatego w przesłiczne barwy i brzękadła bawidełka, nie zaś wielkim poematem mistyczno-narodowym.

Każdy twórca musi wierzyć w prawdę tego, co tworzy. Jaki charakter posiada owa wiara?—to kwestja drugorzędna, jeżeli nie obojętna dla krytyki.

Jedyna różnica pomiędzy Słowackim a innymi wielkimi twórcami jest ta, że autor „Króla-Ducha“ utożsamiał się *jawnie* z „Królem-Duchem“, gdy większość poetów nakłada na swoje oblicze mniej lub więcej przejrystą *maskę*.

Poza tem nie widzimy żadnych objawów, dających prawo do posądzania Słowackiego, właśnie, jako autora „Króla-Ducha, o megalomańję“.

Przecież ten przewodnik narodu, aczkolwiek silny i potężny, nie jest malowany zbyt pochlebniemi kolorami. Grzeszy on, błądzi, popełnia ohydne zbrodnie, pokutuje, oskarża sam siebie, słowem—nie jest przedstawiony, jako ideał skończony człowieczeństwa, czy anielstwa, lecz tylko, jako istota niezwykła wprawdzie, ale ułomna, choć tęskniąca i dążąca do coraz wyższych i doskonalszych celów.

Krótko mówiąc, zarzut „obłądu wielkości“, oparty na tożsamości Słowackiego z „Królem-Duchem“, zdaniem naszym, ze stanowiska ogólnego utrzymać się nie da.

* * *

Wszystkie przytoczone przez nas argumenty nie wystarczyłyby jednak dla obalenia opinii prof. Tretiaka, gdybyśmy nie zajrzeli do głębin dzieła i nie znaleźli tam faktów, zbijających owo krzywdzące twierdzenie krakowskiego badacza literatury.

Spróbujemy więc zapytać samego poematu, a może otrzymamy odpowiedź mniej ogólnikową.

Zastrzegam z góry, że wobec fragmentaryczności dzieła i braku wyraźnych wskazówek, zmuszony jestem operować hipotezami, posiadającymi niemniejsze prawdopodobieństwo od hipotez, stawianych przez prof. Tretiaka.

II.

Profesor Tretiak zna Słowackiego gruntownie; prze-studjował nie tylko dzieła poety, wydane drukiem, lecz i znajdujące się w rękopisach i, jeżeli idzie o pochwyce-nie jakiejś słabej strony, jakiejś niekonsekwencji logicznej, czy psychologicznej, to szanowny krytyk krakowski dostrzeże nawet najdrobniejszy, mikroskopijny szczegół, skombinuje zręcznie i zespoli najbardziej odległe od siebie rzeczy i wyciągnie z nich niespodziewany wniosek; czasem nawet, jak w analizie „Grobu Agamemnona“, zrobi poecie zarzut, wołający o pomstę do nieba, a niezasadniony niezem *).

Ale właśnie to skoncentrowanie uwagi w jednym kierunku nie pozwala bystremu analitykowi ułomności wielkiego człowieka i wieszcza, dostrzec rzeczy, rzucających się w oczy. Prof. Tretiak przechodzi obok nich,

*) Czy Słowacki—jak twierdzi prof. Tretiak—mógł napisać „Mówię, bom smutny i sam pełen winy“ — przynaglony potrzebą rymu, nie potrzebą serca (Jul. Słow., I, 113—114)? Pomijam już fakt, że Słowacki rymów nie szukał, gdyż one same spływały mu z pod pióra, ale czyż autora „Grobu Agamemnona“, (gdyby nie był nawet patryjotą, tylko wirtuozem słowa), wolno posądzać o taki brak taktu artystycznego, że mógł, rzucając gromy na Ojczyznę, wyłączyć z pod ich uderzeń siebie samego? Przecież cytowany wiersz jest niezbędny, nie tylko logicznie, etycznie, ale wprost estetycznie, bo on właśnie rozwiązuje straszliwy dysonans, harmonizuje najwyższe napięcie bolesnego uczucia, nie piękna już, lecz „wzniosłości“—w znaczeniu wrażenia intensywnego. A pod tym względem Słowacki był, jak wiemy mistrzem. (Por. „Twórczość i Twórca“, art. „Wzniosłość u Słowackiego“).

dotyka prawie rękami, a nie nie widzi i nie czuje. Nie pochodzi to ze złej woli, lecz wypływa bezwiednie z autohypnozy.

Zresztą nie sam prof. Tretiak nie zwrócił uwagi na pewne motywy „Króla-Ducha“, rozświetlające ciemnie tego kolosalnego labiryntu poezji naszej.

Wielu z tych, którzy zajmują wobec Słowackiego i jego utworów odmienne od profesora krakowskiego stanowisko, nie dostrzegło mnóstwa ważnych, choć drobnych szczegółów, przytłumionych przez bujną wegetację wonnych i barwnych kwiatów, pokrywających zewnątrz i wewnątrz mury tej czarodziejsko-mistycznej świątyni.

* * *

Przedewszystkiem sam tytuł „Król-Duch“ przeszkadza mimowoli w orjentowaniu się wśród zawiloci poematu.

Dlaczego właściwie „Król-Duch“ a nie „Królowie Duchy“, kiedy owych ukoronowanych i uberlonych wódzów narodu jest w poemacie kilku, nie jeden?

Już w jednym z fragmentów, posiadających pewne pokrewieństwo z „Królem Duchem“ czytamy:

Prześwięte więc żywoty

Opiszę... i tych jasnych duchów słonecznik złoty,
Ciągłe ku przejasnemu słońcu odwracający
Oblicze... więc i wielki ów kraj teraz płaczący
Wolności... i wierzbami rozwieszony nad grobem
Wolności... I ojce nasze, nad Zbawiciela złobem
W gwieździe wschodniej zjawione... ubiorę w dawne ciała,
Więc i Litwę, co wtenczas nad jeziorami siedziała...

Prof. Tretiak przyznaje, że ten urywek, będący jakby mgławicą poematu o dziejach ojczystych, „ujętych w żywoty wielkich duchów“, nie jest czemś zupełnie obcem późniejszej epopei, ale dodaje, i słusznie, że o tem, by te „prześwięte żywoty“ miały być odradzaniem się jednego „Króla Ducha“ i żeby tym królem miał być po-

eta, niema jeszcze we fragmencie wyraźnej wskazówki.

To prawda, ale rzecz charakterystyczna, że Słowacki już wtedy pojmował dzieje narodu, jako dzieje wielkich duchów, stojących na jego czele. To zresztą dla każdego, obznajmionego z indywidualizmem panteistyczno-mistycznym poety, nie jest ani dziwnem, ani niespodziewanem.

Szło teraz o to, jakie duchy-indywidua wybrać, albo raczej uznać za reprezentantów i przewodników narodu, i jak pojmował Słowacki istotę i rolę „Króla Ducha”, albo—ściślej mówiąc—„Królów-Duchów”.

W notatce, wyjętej z t. zw. „czerwonego pamiętnika”, a uznanej przez prof. Tretiaka za pochodzącą z pierwszych miesięcy 1844 r. czytamy: „Jeśli naród odbywa jaką fazis, podobną do odbytej przez drugi naród, to, *wejrzawszy w masę duchów*, ujrzelibyśmy, że „*Król-Duch*” czyli typ, jest to duch przeszły z narodu w naród, a *mocniejszy* nad nim, a upragniony przez masy, albowiem ciała na ciała działać nie mogą. Duchy więc muszą zupełnie swoją mocą je przytłaczać”.

To zdanie Słowackiego godzi się z koncepcją postaci „Króla Ducha” — w samym poemacie, a specjalnie w pierwszym, napisanym gorączkowo i wydany za życia autora, rapsodzie.

Dlaczego poeta utożsamiał siebie z Królem-Duchem Popielem? To wynik wiary w metempsychozę, oraz we własną preegzystencję w ciałach różnych bohaterów i wielkich ludzi, zrodzonych na ziemi *obcej*. Dowody takiej wiary znajdujemy w listach do matki z ostatnich lat, oraz w różnych ustępach i notatkach poety. Najważniejsze z nich przytoczył i prof. Tretiak, i ja sam („Słowacki i nowa sztuka”), i inni krytycy. Powtarzać więc tych cytat nie widzę potrzeby.

A ponieważ Słowacki—i to nie bez wielkiej racji—czuł się duchem silnym, mocniejszym od mas, obdarzonym „siłą fatalną” przerabiania „zjadaczów chleba w aniołów”—nie dziwnego więc, że uważał się za uprawnionego

do wiary w swoją tożsamość z *pierwszym* „Królem-Duchem” Polski, Popielem, w którego postać i charakter mógł wlać—jak przypuszcza prof. Tretiak—swego „ducha pasji” (Listy, II, 330).

Metafizyczno-mistyczne i historjofizyczne poglądy poety skojarzyły się w pierwszym rapsodzie z subiektywnymi właściwościami poety i znalazły doskonałą krystalizację artystyczną. Było to wyładowanie żywiołów, kłębiących się w mózgu i sercu autora.

Pierwszy rapsod „Króla-Ducha” „leciał — według własnego wyznania poety — *jak wiatr błyskawicy*”.

Słowacki miał bezwątpienia w głowie niezbyt jasny jeszcze plan dalszego ciągu epopei, ale musiał najpierw zobjektywizować i odziać w szatę estetyczną dojrzałe już idee i emocje, których natłok rozsadał mu łono.

Kto zna, choć pobieżnie, psychologję wielkich twórców, ten wie, że podobny proces realizacji artystycznej wewnętrznych wzruszeń i wrażeń bywa niekiedy koniecznością, nie tylko psychologiczną, ale nieomal fizjologiczną.

To sprawia ulgę, uwalniając od męki duchowej specjalnego rodzaju.

Goethe przez napisanie „Werthera” uratował się od samobójstwa i, jak sam opowiada w „Wahrheit und Dichtung”, nieraz zrywał się ze snu w nocy, by ująć w rymy jakąś niepokojącą go emocję. I pisał wtedy na pierwszym lepszym skrawku papieru, nie mając czasu zmienić pozycji arkusza, leżącego na stole; niekiedy kreślił litery na ukos. Analogiczne fakty spotykamy w biografjach Byrona i innych poetów.

* * *

Po wyrzuceniu z siebie pierwszego Rapsodu, rozpoczął Słowacki pracę nad innymi, pracę powolną i zmuśną z konieczności, gdyż, prócz wielu trudności natury konstrukcyjnej, związanych z rozmiarami i charakterem

tak olbrzymiego planu artystycznego, musiał poeta załatwić się z problematem samej istoty „Króla-Ducha“.

Pomimo nadzwyczajnej lotności fantazji, Słowacki nie był bynajmniej pozbawiony zdolności logicznego myślenia i rozumowania i, jeżeli tworzył rzeczy bardzo oryginalne, nie wygłosił nigdy absurdu.

Owóż, rozpatrując dzieje Polski i jej przewodników duchowych, musiał się liczyć z faktem, że ich było wielu, nie jeden, i że doktryna metempsychozy nie da się pogodzić z rzeczywistym następstwem po sobie królów, obejmujących władzę nad narodem bezpośrednio jeden po drugim i przeważnie w wieku dojrzałym. Żeby trudność usunąć, należałoby zamiast teorii metempsychozy, idącej drogą ewolucyjną, przyjąć jakieś przeskakiwanie naczelnego „Króla-Ducha“ z ciała umierającego monarchy w istotę władcy, wstępującego na tron. Ale to byłoby raczej opętanie, nie metempsychoza. Takie fakty paczyłyby teorię mistyczną autora „Genezis z Ducha“).

Prócz tych względów natury formalno-logicznej, musiały działać i działały niewątpliwie i inne, oparte na etyce i poczuciu sprawiedliwości względem różnych „duchów“, którym Słowacki przyznawał równe prawa do kierowania losami Polski, jak duchowi własnemu.

Kogóż poeta uważał za równego sobie, choć odmiennego typem i charakterem.

Głównie, jeżeli nie jedynie — Mickiewicza.

W epoce największego rozgoryczenia osobistego nawet, Słowacki oddawał należny hołd potędze gieńszu Mickiewicza. W Listach do Matki zachwycił się „Panem Tadeuszem“, jako arcydziełem. Później uczęszczał na wykłady o literaturze, w których wielki antagonistą

*) Takie „opętanie“ spotykamy u Słowackiego w „Samuelu Zborowskim“—ale jako wypadek wyjątkowy, wywołany nadzwyczajnym zbiegiem warunków i okoliczności.

nie zrobił o poezjach Słowackiego żadnej innej wzmianki, prócz wymienienia tytułu „Anhellego“.

Zresztą historia osobistych stosunków obu wieszczów polskich, opracowywana wielokrotnie, nie wchodzi w ramy niniejszej rozprawy.

Faktem jest jednak, że sławny i bezprzykładny może w dziejach piśmiennictwa pojedynek poetyczny w V części „Beniowskiego“ kończy się, nie poniżeniem, lecz postawieniem przeciwnika na równym ze sobą poziomie.

Bądź zdrów: — A tak się zegnają *nie wrogi*,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — *bogi*.

Następnie, w wydanych pośmiertnie pieśniach „Beniowskiego“, znajduje się jedna z najcudniejszych ocen działalności Mickiewicza, a specjalnie „Pana Tadeusza“.

Niedość na tem. Słowacki pod koniec żywota zapominał niemal zupełnie o dawnych niesnaskach; pisał do Adama Czartoryskiego list, w którym wyrzucał księciu obojętność względem sprawy usunięcia Mickiewicza przez rząd francuski z katedry*). W bliższym kole swoich znajomych podnosił wartość utworów autora „Dziadów“ bardzo wysoko.

Świadczą o tem Pamiętniki ks. Z. S. Felińskiego, najbliższego może przyjaciela Słowackiego w latach przedzgonnych.

Sam prof. Tretiak, cytując i streszczając ustępy z tych pamiętników, pisze: że Słowacki nie zganił choćby najmniejszego urywku z utworów Mickiewicza, pomimo, że był wogóle *bardzo surowym krytykiem*, a stawiając siebie *na równi* z Mickiewiczem, mówił o poezji Krasińskiego

*) List ten wydał prof. Tretiak w „Pamiętniku literackim“ 1902, a główne ustępy i streszczenia podał w biografii Słowackiego (II, 349 — 351). Cały tekst znajduje się obecnie w VI tomie Pism Jul. Słow. w układzie Artura Górskiego (Kraków—Warszawa, Gebethner i Wolff, 1908), str. 256.

i Zaleskiego; „Oni nas błyszczącym pyłem przysypują, ale przyjdzie czas, kiedy powiew zdrowej krytyki, pył ten rozniesie, a czyste złoto wówczas się ukaże“.

Prof. Tretiak nie robi do tych charakterystycznych słów żadnego komentarza. Mnie osobiście razi postawienie na jednej linii Krasińskiego i Zaleskiego, którego Słowacki osądził w jednej ze swoich, wydanych już pośmiertnie, krytyk bardzo surowo, ale z wielką znajomością rzeczy i zupełnie sprawiedliwie. Bądź co bądź, Krasiński i Zaleski—to poeci, których niepodobna mierzyć jedynym łokciem.

Przypuszczam jednak, że ks. Feliński, podając z pamięci skróty swoich rozmów ze Słowackim, pominął niejedno poważne zastrzeżenie. Ale ostatecznie nie o to nam w danej chwili chodzi.

Szereg wzmianek o nastroju Słowackiego względem Mickiewicza, zwłaszcza w ostatnich latach życia twórcy „Króla-Ducha“, świadczy, że poeta nie wywyższał się wcale ponad śpiewaka „Dziadów“, gdyż widział w nim wielką potęgę artystyczną i mistyczną, popychającą naprzód ewolucję świata i — narodu polskiego.

W „Wykładzie nauki“ poeta-mystyk, ukryty pod maską „Tłomacza słowa“, dowodzi swojej słuchaczce, że „guślarstwo Dziadów“ i inkantacje Manfreda (byronowskiego), „śród mogił i orłów alpejskich burzom krzeczane“, oraz własna praca poety („Jam także cokolwiek dopomógł“) — ułatwiły i przyspieszyły ewolucję tej duszy kobiecej*), a względnie i całego wszechświata.

*) Co do genezy i znaczenia owej postaci niewieściej — porównaj: „Sofos-Atessa-Helois — i nieznan list J. Słowackiego“ przez Z(enona) P(rzesmyckiego). Niezmiernie ciekawe to, piękne, pracowite i cenne studjum, rozświetlające wiele ciemnych punktów twórczości Słowackiego, mieści się w ostatnim zeszycie „Chimery“ (Tom X), zeszyty 28—30, str 524—574 i stanowi początek obszerniejszej pracy, mającej się ukazać w formie książkowej.

Prawda, że trafiają się w notatkach Słowackiego (Pamiętnik Jul. Słow., ogłosił dr. H. Biegeleisen, Warszawa, 1901) i uwagi o zabarwieniu ujemnem, ale wywołane chwilowem podrażnieniem i starciami w „kole“. Na ogół przeważa nastrój dodatni i pełen czci dla autora „Dziadów“.

„Uczuć ducha Bożego w sercu ludzi tak, jak Szekspir; uczuć go nad ludźmi, tak, jak Mickiewicz“ — oto jedna z aforystycznych charakterystyk różnych typów wielkiej poezji, rzucona przez Słowackiego.

* * *

Stawiając Mickiewicza tak wysoko, jako wieszczę i mistyka, jako gienjusza, jako członka szczupłej gromady duchów „co tworzą pierwszy prawdziwy szereg ludzi w Polsce i przyszłość jej budują“, (Pamiętnik Jul. Słow., str. 23—24), nie mógł Słowacki pominąć tej postaci w „Królu Duchu“, z chwilą, kiedy się zdecydował wprowadzić do epopei nie tylko jedną postać mistyczno-królewską, lecz kilka.

O bardzo prawdopodobnych motywach tej decyzji pisaliśmy wyżej.

Czy jednak na poparcie naszych wywodów znajdziemy w samym poemacie dane faktyczne?

Zdaje mi się, że tak.

Jeszcze w roku 1900, kiedym przygotowywał do druku pierwszą edycję mojej książki o „Słowackim i nowej sztuce“, napisałem nieśmiało (w dopisku) następujące słowa:

„Jednym z najpoważniejszych zarzutów, jaki ze stanowiska historycznego można zrobić poematowi, jest pominięcie Bolesława Chrobrego, który przecież odegrał w dziejach narodu rolę epokową. Poeta jednak pomija Bolesława z zupełną świadomością, gdyż widzi w nim wcielenie ducha, którego istoty nie można jeszcze odsłonić światu:

...I w małej dziecinie
 Przyszedł ktoś *wielki*, lecz w *wielkiej* zastłonie;
 Tej nie *odejmę*, aż świat się *rozwinie*
 I zacznę *jasno* czytać w ciału *lonie*,
 I w alabastrach ciał i serc *rubinie*,
 Widząc tę *światłość*, co jest na *Syjonie*,
 A którą wszelka natura *pochmurna*
 Świeci — jak lampą *świecącą* się *urna*.

Kto jest ów wielki a tajemniczy duch?

Co do tego wolno robić tylko mniej, lub więcej prawdopodobne przypuszczenia. Może to duch, mający się wcielić w przyszłości w Napoleona, albo Towiańskiego? Nie jest też rzeczą absolutnie niemożliwą, że Słowacki, który, jak wiadomo, siebie utożsamiał z jaźnią „Króla Ducha” — wcielającego się po kolei w Popiela, Mieczysława I, Bolesława Śmiałego — chciał ducha Bolesława Chrobrego utożsamzić z duchem Mickiewicza, jako drugiego wieszca i przewodnika.

W epoce, kiedy powyższa strofa powstała, Słowacki, zapomniawszy wszelkich dawnych uraz, czcił swego rywala bardzo wysoko. Kto wie, czy i śpiewak Zorjan, wcielony później w Piastę, nie odsłoniłby się przy końcu poematu, jako który z wybitnych romantyków naszych.

Aczkolwiek hipotezy te nie stoją wcale w sprzeczności ani z psychologicznym nastrojem Słowackiego, ani z jego doktryną, ani z charakterem samego utworu, nie kładziemy na nie nacisku, gdyż wobec braku dalszych rapsodów „Króla-Ducha”, przypuszczeń naszych poprzeć dowodami nie możemy. Kogokolwiek jednak autor miał na myśli, wspominając o duchu Bolesława Chrobrego, nie ulega wątpliwości, że opuścił tego monarchę nie przez kaprys, lecz że zrobił to zupełnie świadomie, pragnąc powrócić do niego w dalszych rapsodach epopei. Początkowo poeta, jak się zdaje, chciał życie i panowanie Bolesława Chrobrego opisać zaraz po panowaniu Mieczysława, gdyż rozpoczął rapsod osobny, poświęcony temu

przedmiotowi. Później jednak zmienił plan i rozpoczęty fragment odrzucił, zastępując go kilkoma strofami o narodzinach Bolesława. Rapsodu tego, jako zbyt ułamkowego, Małecki nie wcielił do wydania, ale wspomina o nim w dziele o Jul. Słowackim (III, str. 139)*).

Chociaż, pisząc przytoczone powyżej uwagi, miałem już w głowie nieskordynowane jasno domysły i kombinacje, obawiałem się jednak moich przypuszczeń publikować, jako zbyt dowolnych.

Dopiero w parę lat później, już po wyjściu drugiej edycji mojego studjum o „Słowackim i nowej sztuce”, kolega Artur Górski zwrócił mi w ustnej rozmowie uwagę na związek, istniejący pomiędzy moimi przypuszczeniami a jednym z ustępów „Zawiszy Czarnego”, gdzie duch Jagielly utożsamiony został przez Słowackiego z duchem Mickiewicza.

Niedługo po tej rozmowie ukazała się (w „Bibl. Warsz.”) rozprawa Artura Górskiego, o „Improwizacji”, stanowiąca jeden z rozdziałów książki tegoż autora p. t. „Monsalwat, Rzecz o Adamie Mickiewiczu”.

W pięknej tej pracy, o charakterze krytyczno-poetyckim, autor, już bez żadnych zastrzeżeń, powiada: „Kiedy w szerokich dalekoplanowych pomysłach do „Króla-Ducha” *duch Jagielly przechodzi w Mickiewicza*, na którym epos ten opiera się, jako na jednej z kolumn żywota” i t. d.

A przytaczając w dopisku odnośną cytate, dodaje: „Wezbrana fala tego polskiego wszechpoematu miała zabrać ze sobą i *duśkę Mickiewicza*”.

Rzeczywiście ustęp z „Zawiszy Czarnego” nie pozostawia żadnej wątpliwości, że Słowacki widział w duchu Jagielly — ducha Mickiewicza:

*) „Słowacki i nowa sztuka”, wyd. I, (1902), str. 309—310 wyd. II (1904), str. 320 — 322. Kraków - Warszawa, Gebethner i Wolff.

Chorus:

Z temi trąb cudownemi dźwiękami odchodzi
I znika nam nazawsze z oczu król Jagiełło,
Aż się z *piany Niemnowej Afrode* urodzi
I rozpocznie *piękności tajemnicze dzieło*,
Aż się indyjskie kwiaty na sosnach pokażą,
Aż dawna prawda spojrzy księżycową twarzą.

Nie obaczycie więcej takiego mocarza,
Który bez miecza... sercem narody wojował
I duchy swe wywołał z wiatru i cmentarza,
A te, które przeciwne, do ziemi pochował
I w ciągłym cztery wieki utrzymywał spaniu
I sprzeciwił się nawet teraz... zmartwychwstaniu.

Od strasznego ducha odwracajmy oczy,
Prędzej go zobaczymy... niżbyśmy żądali,
Bo jako piorun nagle z pod ziemi wyskoczy,
Jak kądziel się na wietrze wypadków zapali
I z *ranami polskimi* starą pieśń pokaże
I otoczą go *wkoło litewscy* guślarze.

Identyczność ducha króla Władysława Jagiełły z duchem Adama Mickiewicza bije wprost w oczy.

Wielki książę litewski, a później król polski, urodzi się znowu, jako wielki „choć niekoronowany „Król-Duch“ w chwili, kiedy z „*piany Niemnowej* wyjdzie Afrode“ (piękno i miłość) i „*rozpocznie piękności tajemnicze dzieło*“, t. j. dzieło odrodzenia i bujnego rozkwitu sztuki, poezji i myśli polskiej. I on, ten, jak Jagiełło, Litwin z rodu a Polak z serca i myśli, „pokaże starą pieśń z ranami polskimi“.

Nawet drugorzędne szczegóły wskazują wyraźnie na Mickiewicza, „I otoczą go wkoło litewscy guślarze“ — to aluzja do guślarza z „Dziadów“, a zarazem, być może, i do wileńskich przyjaciół, wielbicieli oraz kolegów autora „Pana Tadeusza“. *)

*) Ironicznie o solidarności Litwinów z autorem „Pana Tadeusza“, pisał Słowacki w epoce starć z Mickiewiczem: „Litwin

Równie dobitnie charakteryzują ducha i działalność Mickiewicza wiersze: „Bo jak piorun nagle z pod ziemi wyskoczy — Jak kądziel się na wietrze wypadków zapali“.

Mniej jasną może jest wzmianka „o mocarzu, który bez miecza narody wojował i duchy swe wywołał z wiatru i cmentarza i t. d.

O ile idzie o Jagiełłę, to nie ulega kwestji, że Słowacki miał tu na myśli bezkrwawe połączenie Litwy z Polską; o ile idzie o Mickiewicza — to można przypuszczać, że on, jako wieszcz i prorok mistyczny, zwyciężał ludy i ludzi nie potęgą fizyczną, lecz moralną „rewelatorską“, potęgą słów, tryskających z rozplamionego miłością serca *).

Wiersz „duchy swe wywołał z wiatru i cmentarza“ — niejasny w stosunku do Jagiełły, może być również aluzją do „Dziadów“ i opisywanego w nich obrzędu wywoływania dusz.

Wiadomo, jak to przytacza nawet sam prof. Tretiak, **) — że ceremonję „Dziadów“ próbował Słowacki wprowadzić do „Króla-Ducha“, zamiast t. zw. Rapsodu II, (wyd. Małeckiego), albo „Rapsodu zaniechanego“ wyd. Art. Górskiego).

Zatrzymałem się może zbyt długo nad tą cytata z „Zawiszy Czarnego“, cytata tak wymowną, że Artur Górski wyciągnął z niej swoje kategoryczne wnioski o tożsamości ducha Jagiełły i ducha Mickiewicza bez komentarzy.

Ale w pracy Górskiego ta sprawa była tylko szcze-

z Litwinem mnie chwycą w pazury“ (Beniowski, Pieśń V). Ale ten retrospektywny rzut na poprzednie stosunki obu poetów potwierdza tylko pośrednio słuszność naszego domniemania.

*) „Miej serce i patrzaj w serce“ (Ballada „Romantyczność“, oraz podnoszenie serca i uczucia, jako najwyższych motorów życia w „Dziadach, część 3-cia i 4-ta.

**) Por. Tretiak l. c. str. 461—462.

gólem do charakterystyki autora „Dziadów“, dla mnie zaś stanowi niezmiernie ważne ogniwo w łańcuchu argumentów, jakimi pragnę uzasadnić moją hipotezę, co do „dualizmu“. jeżeli nie „pluralizmu“ — Królów - Duchów w epopei Słowackiego.

* * *

Jeżeli duch Mickiewicza ożywia królewską postać Jagielly *) — to niema nic nieprawdopodobnego, że mógł również ożywiać i istotę cielesną Bolesława Chrobrego — jak to ośmieliłem się przypuścić w jednym z dopisków do rozdziału w książce p. t. „Słowacki i nowa sztuka“, traktującym o historycznej stronie epopei.

Dzisiaj po latach siedmiu dalszych studjów i ponownych publikacjach, jestem prawie pewny, że w ostrożnych hipotezach moich tkwi jądro prawdy.

Ani Napoleon, ani Towiański jednak z wielu wzglę-

*) Fakt, że Mickiewicz-Jagiello występuje nie w samym „Królu-Duchu“, lecz w „Zawiszy Czarnym“ — nie osłabia wartości dowodu. „Zawisza Czarny“ powstał pod wpływem tegoż samego nastroju, jest wyrazem tych samych dążeń, co „Król-Duch“ i pokrewne mu idejowo i emocjonalnie utwory, jak „Samuel Zborowski“, „Teogonja (Prace i dnie)“ etc. oraz utwory mistyczne prozą, wśród których góruje „Genezis z Ducha“, jako wspaniała krystalizacja stanu duchowego poety, oraz źródło, skąd większość dzieł owego okresu wypłynęła, a zarazem, jako klucz otwierający ich tajemnice i pochodnia rozświetlająca ich głębiny. Zresztą na samym rękopisie „Zawiszy Czarnego“ znajduje się ów fragment „wielkiej a przez wieki idącej powieści“, której prof. Treliak przyznaje pewną wspólność z „Królem-Duchem“ (Treliak l. c. 429). Mnie się ta wspólność wydaje bardzo bliską. Artur Górski w 6 tomowej edycji dzieł Słow. (Warszawa-Kraków, 1908, Gebethner i Wolff), ogłosił ten fragment na czele dramatu, jakby rodzaj prologu, czy parabazy, (tom V, str. 533). Chlebowski także zaznacza wspomniane wyżej pokrewieństwo fragmentu z epopeją. Wiek XIX. Sto lat myśli Polskiej. Tom IV, Słowacki, Warszawa, 1908 r).

dów nie dadzą się związać z figurą Bolesława Chrobrego.

Napoleon zbyt jest obcy idei „polskości“, zwłaszcza pojętej tak, jak ją pojmował Słowacki. Prócz tego, wprowadzenie Napoleona, jako jednego z duchów, przodujących narodowi naszemu już na początku jego dziejów, byłoby zbytnią dowolnością. To przypuszczenie więc rzucone przezemnie zresztą tylko, jako jedna z możliwości — upada.

Towiański, choć czczony przez Słowackiego, jako mistrz, nie był dość „heroiczny“ na „Króla Ducha“, który szczybił swój miecz na bramach zdobytych grodów, „bił słupy“ w odległych rzekach i uwieńczył pierwszy czoło złotym dżademem monarszym, jak Bolesław Chrobry.

Towiańskiego nazywa Słowacki (wyliczając szereg najwybitniejszych Polaków współczesnych), z pewną pobłażliwością, „szlachcicem filozofem“, albo też widzi w nim przedstawiciela „la bourgeoisie polonaise, która powstaje, ale podług charakteru nabożna“ („Pamiętnik Jul. Sł.“, wyd. Biegeleisena, Warszawa, 1901).

Te opinie zamało licują z królewskością...

Jeden, jedyny Mickiewicz, „równy bóg na przeciwnym słońcu“, dostraja się, nietylko wielkością, ale i charakterem najlepiej do Bolesława Chrobrego, który wcielając się później w inne potężne osobistości, wiodące naród ku „celom finalnym“, mógł stać godnie na tym samym poziomie, co Popiel, Mieczysław i Bolesław Śmiały — owe inkarnacje ducha Słowackiego.

O Bolesławie Chrobrym, prócz cytowanej strofy o jego narodzinach, jest tylko jeszcze wzmianka *bezpośrednia*, w której poeta maluje zewnętrzną postać królewskiego dziecka i porównywa je do „dumnego orlika“ *).

*) Dzieciatko moje nie na rękach, ale
Przy jednej tarczy — z głową na bok zgietą
Zmarszczone, dumne, jak orlik na skale.

„Zmarszczony dumny, jak orlik na skale“.—Jeżeli na miejsce zdrobniałego, ze względu na wiek dziecięcy królewicza, wyrazu „orlik“, postawimy „orzeł“ — ta zwięzła charakterystyka fizjognomji, oraz wplecione do niej porównanie, dadzą się doskonale przystosować do poważnego i surowego nieco oblicza twórcy „Dziadów“.

I ten szczegół zewnętrzny nie jest już dzisiaj bez znaczenia, jak wykazał bowiem w swojej cennej pracy Zenon Przesmycki*), w „Królu Duchu“ spotykamy dużo obrazów, będących odbiciem realnych impressji, a mylnie dotąd uważanych za czysty wytwór lotnej fantazji poety.

Przesmycki mówi głównie o postaciach kobiecych, ale z chwilą, kiedy raz zostało dowiedzione, że fikcje w mistycznych utworach Słowackiego opierały się, lub rozkwitały często na gruncie wrażeń rzeczywistych, to możemy z większym, lub mniejszym prawdopodobieństwem szukać źródła tych wrażeń wszędzie, o ile, naturalnie znajdziemy jakiś punkt oparcia dla naszych dochodzeń.

Nie bez znaczenia są argumenty, wyciągnięte z porównania stosunku „Genezis z Ducha“ do „Ksiąg Narodu“ Mickiewicza, na które, mimochodem zwraca uwagę Br. Chlebowski **). Słowacki (podobnie, jak i Krasiński),

(Król Duch. Rapsod II Miecz a Sława, Pieśń IV, strofa XXIX. Edycja Artura Górskiego tom VI str. 391. *Pośrednio* mówi poemat o Chrobrym z wielką czcią w reminiscencjach, wplecionych w rapsod o „Bolesławie Śmiałym“.

*) Z. (enon) P. (rzesmycki) „Sofos — Atessa — Helois i nieznan list Słowackiego“. „Chimera“ tom X, zeszyty 28/30.

**) Por. „Wiek. XIX. Sto lat myśli polskiej“ (Warszawa, Gebethner i Wolff 1908): Juliusz Słowacki przez Br. Chlebowskiego str. 223. Związała i krótka rozprawa Chlebowskiego jest w swoim rodzaju arcydziełem krytycznem. Autor dał przejrzysty i plastyczny obraz wyniku dotychczasowych badań, swoich i cudzych, wyświecił wiele punktów ciemnych i od początku do końca nie zboczył z drogi rzetelności krytycznej — co zresztą u Chlebowskiego jest naturalne.

jako konstruktor systematu filozoficzno-mistycznego zawdzięczał Mickiewiczowi więcej od innych pisarzy polskich, których wymienia w wydanym przez Biegeleisena „Pamiętniku“. Spotykamy tam nazwiska „Bukatego, Królikowskiego, Towiańskiego, Libelta, autora „Nieboskiej“ i Mickiewicza, wraz z krótkimi charakterystykami (str. 23—24).

Charakterystyki owe naogół są dość krytyczne.

O jednym Mickiewiczu mówi poeta „Tę samą ideę (mesjanizmu) reprezentują, lecz w częściach tylko duchy już objawione“. A wyliczywszy podane wyżej nazwiska polskich myślicieli, poetów i marzycieli, dodaje, mówiąc o autorze „Ksiąg Narodu“: „Mickiewicz, jako *gieńjusz*, uderzony cudownością fenomenów, skrzydła Ibisowe“ tej idei ubóstwiający“.

Epitetu „gieńjusz“ używa Słowacki w tym spisie mistycznych pracowników polskich, raz tylko — w związku z osobistością Mickiewicza.

A chociaż Słowacki, i słusznie, przypisywał sobie szersze, głębsze i pełne rozwinięcie idei mesjanistycznych przez zespolenie ich z ewolucją duchową całej ludzkości i całego kosmosu, to niewątpliwie mistyczne poglądy Mickiewicza, wyłożone w „Księgach Narodu“ i głoszone z katedry w *Collège de France*, uważał za najwyższe i najgłębsze z prawd, objawianych przez „Duchy polskie“.

Ponieważ zaś założenie i treść „Króla Ducha“ wyłączały w zasadzie, wyjąwszy sam początek, wprowadzanie duchów obcych (*) więc ze współczesnych równych sobie gieńjuszem twórczym, a pokrewnych dążeniami mistycznymi i patriotycznymi — pozostawał Mickiewicz, którego ducha, jak wiemy na pewno, wcielił poeta w Ja-

(*) Powiadamy w „zasadzie“, gdyż mogły zajść wypadki wyjątkowe, w których poeta, zniewolony już to faktyczną stroną Dziejów Polski, już to jakimiś kombinacjami mistycznymi, odstąpił od tej zasady. Są na to pewne dane w „Samuelu Zborowskim“. (Wielkie duchy same siebie gryzą — Tęsknią i kuja pod

giełłę, a prawdopodobnie i to bardzo prawdopodobnie i—w „Bolesława Chrobrego“.

* * *

Teraz nasuwają się dwie kwestje.

Pierwsza: dlaczego poeta, opracowawszy bardzo szczegółowo inkarnacje swego własnego ducha w Popiela, Mieczysława i Bolesława Śmiałego, potraktował figurę i panowanie Bolesława Chrobrego bardzo krótko i pobieżnie? O Jagiellę nie mówię, bo epopeja nie dobiegła do epoki jego panowania.

Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta. Słowacki niewykończył poematu i nie dał go pod prasę. To, co pozostało, składa się z olbrzymich, bujnych i barwnych fragmentów. Nie dziwnego, że Słowacki najpierw i najlepiej wykończył te właśnie rapsody, w których sam, pod maską tego, czy innego „Króla - Ducha, główną odgrywa rolę. Opracowanie tych epizodów, których nastroje wysnuwał z głębin *własnej* duszy i odzwierciedlał marzenia o *własnych* istnieniach przedwiekowych — było dla poety i najłatwiejszem i najbardziej pociągającym.

To przypuszczenie zgadza się z psychologią twórczą każdego artysty i poety, a zwłaszcza poety tak subiektywnego nawskroś, jak Słowacki.

Prócz tego, Słowacki miał pewne skrupuły, wstrzymujące go od ujawniania wszystkich tajemnic swojej wiedzy mistycznej. Wspomina o tem kilkakrotnie, że

formy fortecę—a gdy wylecą—to do Polski lecą—odetchnąć, jako błękitem sokoły). Nie mówię już o duchu Jagiellę—bo Słowacki traktował Litwę i Polskę, jako narody bratnie, ale wielki duch Batorego? Bo, co do marnych duchów Wależjusza i Sasów—to, przypuszczam, że ponieważ panowanie tych królów osłabiło kraj i naród, Słowacki mógłby umotywować ich obcością — szkodę, jaką Polsce przyniosły.—(Ciekawe jest miejsce w „Dumie o Hetmanie“ Żeromskiego, gdzie Batory, którego Zborowski nazywa „przychodniem“ dowodzi, że jest Polakiem, bo „dostał, oprócz doczesnej korony, wieczysty indygenat“).

„wyraźniejsze tych rzeczy wypowiedzenie wzbronione zostało dotąd poecie, pod trwogą Boga zostającemu“.

(Przedmowa do Rapsodu, zwanego Księgą legend).

Pisząc zaś o narodzinach Bolesława Chrobrego, mówi:

I w małej dziecinie

Przyszł ktoś *wielki*, lecz w *wielkiej* zas *onie*

Tej nie odejmę, aż świat się rozwinie

I zacnie jasno czytać w ciała łonie...

Gdyby tu nie szło o ducha któregoś z twórców żyjących i współczesnych Słowackiemu, ów nadmiar dyskrekcji mistycznej byłby absolutnie zbyteczny. I właśnie ta tajemniczość, w której mgłę otula poeta istotę ducha Chrobrego, może służyć, jako jeden więcej z dowodów, przemawiających za identycznością Mickiewicza z Bolesławem Chrobrym.

Stosunki Słowackiego z autorem „Improwizacji“ zmieniły się na lepsze, ale głównie ze strony autora „Anhellego“.

Mickiewicza sam prof. Tretiak, który go przecież uwielbia, nazywa w jednym miejscu „zaciętym Litwinem“, skłonny do bezwzględnego traktowania przeciwników *). Słowacki był bardziej porywczy, ale nie był zaciętym i niejedną urazę niejednemu wybaczył i zapomniał o niej—pomimo rzekomego „samoubóstwienia i megalomańji“.

*) Tretiak l. c. II (422—423). „Gdzież był Hektor Mickiewicz? czemu nie stanął nad trumną Achillesa i nie rzucił mu pojednawczego słowa do grobu? P. Władysław Mickiewicz, w życiorysie Ojca, broni go, dowodząc, że dopiero po pogrzebie Słowackiego dowiedział się o jego śmierci, a to z powodu oddalonego mieszkania na Batignolles. I tak zapewne było; ale dla czegoż potem nie umieścił choć krótkiego nekrologu w *Tribune des Peuples*, której był wówczas redaktorem? Niestety i śmierć niezdolną była rozbroić zaciętej duszy Litwina z niechęci którą czuł za życia do wielkiego przeciwnika, a kłamać uczuć nigdy nie umiał“.

Otoż, wobec takiego stanu rzeczy, wobec niejasności i drażliwości stosunków, pomiędzy dwoma, stojącymi na przeciwnych słońcach „bogami“, Słowacki mógł się czuć skrzepowanym łatwo zrozumiałą delikatnością i zaniechać, na razie przynajmniej, opisu czynów dziejowych Chrobrego - Mickiewicza, dlatego właśnie, żeby ten, lub ów szczególnie nie uraził i samego poety i jego wielbicieli.

Epokę gigantomachji z Beniowskiego, (pieśń V) uważał w chwili tworzenia „Króla - Ducha“ — za sprawę pogrzebaną w prochu przeszłości. Był innym, czuł się innym choć równym Mickiewiczowi, ale już nie pragnął z nim wszczynać walki. A ponieważ w żywotach „Królów-Duchów“, obok cnót i zalet, podnosił z wielką siłą ich grzechy i błędy, nietrudno było bez złej woli nawet dotknąć Mickiewicza.

A pisać bezwzględnej apologji Chrobrego - Mickiewicza nie mógł, bo jeżeli w dziejach Popiela, Mieczysława i Bolesława Śmiałego nie oszczędzał błędów swego własnego ducha, to dla samej jednolitości stylu i przez wiarę w prawdę mistyczną tego, co ubierał w szaty artystyczne, musiał uwypuklić i jasne i ciemne strony charakteru króla i wcielonego w jego postać poety.

* * *

Co jednak uderza w wyborze typów dziejowych i ich stosunku do współczesnych, a związanych z nimi jakoby duchów? Oto niewątpliwie duża trafność obserwacji psychologicznej.

Słowacki wcielił swego ducha albo w figury nawskroś romantyczno-dramatyczne, potężne, ale wybuchowe, nie-zrównoważone, gwałtowne, namiętne, jak Popiel i Bolesław Śmiały, albo też, kiedy zapragnie przedstawić swoją pokorę mistyczną—w postać Mieczysława, który się wyrzekł sławy, złamał miecz, jak drzazgę, „zrzucił koronę a brał krzyż na ramię“, by zdobyć „wieczyste światło“ w Królestwie bożem.

Inkarnacja ducha mickiewiczowskiego w Jagiellę i Bolesława Chrobrego nie posiada także cech fantastycznej dowolności. Obaj ci monarchowie byli, jeżeli pominiemy różnice indywidualne, wyobrazicielami „siły dośrodkowej“, organizacyjnej i twórczej praktycznie; obaj skupiali siły narodowe, obaj kładli fundamenty realne pod gmach społeczno-państwowy.

Otoż te właściwości posiadał w znacznym stopniu i Mickiewicz, reprezentant „siły dośrodkowej“ w poezji polskiej (Krasiński), wieszcz, obdarzony większą bez porównania zdolnością do orjentowania się w świecie zjawisk realnych, niżeli Słowacki, i praktyczniejszy od niego polityk i organizator.

Jako działacz społeczny i agitator, zostawił autor „Pana Tadeusza“ większe daleko ślady na emigracji, niż autor „Króla-Ducha“, który, zamknięty w „sennem królestwie“ poezji czystej, nie znajdował posłuchu dla swoich patryjotycznych wybuchów i odezw wśród otoczenia, pomimo, że niemniej gorąco od Mickiewicza kochał kraj i naród.

Słowacki czuł bezowocność swoich usiłowań praktyczno-politycznych i—jak słusznie zwrócił na to uwagę Br. Chlebowski,—podana niżej skarga uspiętego Heljona w „Samuelu Zborowskim“, jest niewątpliwie krzykiem zbolełego serca samego poety:

*Ja się w mej twórczości męczę,
A oni, patrz, pełni mocy,
Na górach, Boga prorocy.
Piorunami nakryci, kościołem
Nad tęczowym stoją kołem
I lud, jak owce, pasą...*

.....

*A w marach głosach, które dotąd słyszę,
Piękniejszej niby brakuje połowy,
Tej, która daje harmonję i ciszę...*

*) Por. Br. Chlebowski, l. c. 232.

Podobne skargi i zarzuty, robione samemu sobie, spotykamy i w rozmowie z Duchem-Atessą („Poeta i Natychnienie“).

Krótko mówiąc, Słowacki był zbyt przenikliwym i zbyt sprawiedliwym, oraz zbyt dobrze rozumiał istotę własnej indywidualności, żeby nie uznać wyższości Mickiewicza, jako działacza praktycznego, chociaż czuł mu się absolutnie równym, jako artysta i twórca, a szerszym i głębszym, jako mistyk-filozof.

Nic dziwnego więc, że wielkie postaci królów-organizatorów i zdobywców zlewały się w jego wyobraźni z osobistością Mickiewicza, osobistością zwartą i twardą, jak granit, a zdolną do czynu, nie tylko do pieśni i marzeń.

Mistycyzm Mickiewicza, pomimo całej wzniosłości, był bliższy życia realnego, niż lotny, eteryczny i rozwiewny, choć obejmujący szersze horyzonty myślowe i dziejowe, systemat metafizyczny Słowackiego.

Połączenie więc ducha Bolesława Chrobrego i Jagiełły z duchem Mickiewicza, nie ma w sobie nic nienaturalnego, ale nawet, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakty i argumenty, przytoczone wyżej, przedstawia się, jako konieczność artystyczna, logiczna, etyczna i psychologiczna.

Słowacki, żeby nie wiem jak wysoko się stawiał, nie mógł uczynić z siebie *jedynego* przewodnika narodu, jedynego „Króla Ducha“. Mickiewicz więc musiał wejść do poematu, jako drugi wódz duchowy, jako „siła dośrodkowa“, uzupełniając i neutralizując działanie „siły dośrodkowej“, tryskającej, niby czerwony ogień z łona Słowackiego *).

*) Podobne zestawienie dwóch uzupełniających się zasad i żywiołów ewolucyjnych widzimy w „Samuelu Zborowskim“, w postaciach samego Samuela i kanclerza Zamoyskiego, którego nie tylko sąd niebieski, ale i sam adwokat, bojownik wolności, Lucyfer, usprawiedliwia. Kanclerz i Zborowski godzą się po nie-

Musiał wejść i--sądzimy, iż udało nam się dowieść, że wszedł, wcielony w posagowe figury Bolesława Chrobrego i Jagiełły.

III.

Przy uważnem studjowaniu epopei Słowackiego uderzył mnie jeden szczegół, nasuwający myśl, że duch Mickiewicza pojawia się raz jeszcze w poemacie. Szczegół ten jednak nie przemawia z taką jasnością i wyrazistością, jak fakty, dotyczące identyczności duchów Chrobrego i Jagiełły z duchem Mickiewicza. Mimo to spróbuję moje domysły przedstawić i, w miarę możliwości, uzasadnić. Dalsze odkrycia i badania nad Słowackim wykażą, czy byłem na błędnej, czy na prawdziwej drodze.

Idzie mi o postać biskupa Stanisława i jej stosunek do Bolesława Śmiałego w Rapsodzie ostatnim (nieukończonym) „Króla-Ducha“.

Duch Słowackiego pojawia się w ostatecznej redakcji pierwszego Rapsodu *), jako duch platońskiego Hera

domówionym wyroku. A czy w Zborowskim, Lucyferze, Heljonie, nie dałoby się odszukać wielu momentów, pokrewnych Słowackiemu?

*) Pierwotny pomysł był inny. Prof. Tretiak na zasadzie warjantów, znajdujących się w rękopisie Bibl. Ossol., przytacza kilka porzuconych później przez poetę prób, w których „Król-Duch“ miał się narodzić z „genezyjskich tajemnic“ i występuje początkowo, „jako wędrujący sen“, któremu „matka miesięcznica“ ma dopiero nadać kształty ludzkie. W innym warjancie, zgodnie z teorią, wyłożoną w „Genezis z Ducha“, pierwszy „Król-Duch“ sam sobie nadaje ciało z boskiej potęgi, ale własną wolą. Pomyślał te, jako sięgające zbyt daleko i głęboko, a wskutek tego rozciągające olbrzymią i tak epopeję w bezmiar—poeta odrzucił i zatrzymał się na indywidualności gotowej. (Por. Tretiaka l. c. II, 430—432). Traktowanie mytu platońskiego, jako faktu — zgadza się z naturą teorii mistycznych Słowackiego, jak to wykazałem w „Słowackim i nowej sztuce“.

Armeńczyka, który wciela się kolejno w Popiela, Mieczysława i Bolesława Śmiałego.

W każdym następnym wcieleniu duch poety zatrzymuje, mniej lub więcej, mglistą pamięć poprzednich inkarnacji, ale najsilniejszą i najjaśniejszą jest pamięć, jaką zachowała dusza Bolesława Śmiałego.

Jeszcze jest dzieckiem, a już poznaje, że wraz z nim znajdują się, jako towarzysze i pomocnicy, dawne i znane duchy.

W siostrze ukochanej np. widzi „gwiazdzistą Panią twarzy dawno znanej“, która „przyszła uboga w postaci siostrzanej“, i t. d.

Bolesław Śmiały czuje, że ma wielką misję do spełnienia.

Wszystko gotowe: berło w mojem ręku,

Me duchy przy mnie, cały świat podemną,

Jeżeli teraz serdecznego jęku

Nie wydobędę — jeno pieśń nikiemną;

Jeśli mnie mój lud nie pozna po brzuku

Zbroi; to jeszcze tu raz nadaremno

Przyszedłem, gdzie nic duch-aniół nie tworzę,

Jeszcze raz próżno tu przyszedłem, Boże!

W zakres niniejszej rozprawy nie wchodzi analiza tego najlepiej niewątpliwie skomponowanego i najbardziej skupionego Rapsodu. Musimy z żalem pominąć w tej chwili i rozbiór znakomicie postawionej i rozwiniętej pod względem psychologicznym figury bohatera, i przemilczeć o jędrnej, prawdziwie męskiej formie, jaką przybrały w tym właśnie fragmencie dźwięczne, lśniące i giętkie oktawy Słowackiego, które nie błyskają tutaj gorączkowymi płomieniami, jak w Rapsodzie o „Popielu“, ani nie grają milionami tęczyowych barw i kuszących dźwięków, jak w „Księdze Legiend“, lecz brzmią podniosłym, heroicznym, a zarazem ludzkim, nie nadludzkim tonem.

Idzie nam tylko o pewne motywy, splecione z tematem naszego studjum.

Owóż w przytoczonej oktawie zwraca uwagę zwrot:

Me duchy przy mnie...

I w innych rapsodach była mowa o duchach, wspierających bohaterów, ale w „Bolesławie Śmiałym“ król zna te duchy, wie, kim były poprzednio i do czego są zdolne; słowem, dzięki wiekowym wysiłkom i przeobrażeniom, zdobył on większą wiedzę i uświadomienie od swoich, nawpół żywiołowych jeszcze poprzedników.

I poczynałem już, jak człowiek stary,

Przenikać myślą świat, który jest z ducha,

I przyszły na mnie wszystkie święte dary:

I moc — i wielka przed Chrystusem skrucha; —

Gdym przejrzał moje podarte sztandary. —

Jak człowiek, który głosu z nieba słucha —

Poznałem, którzy kądziel w duchu przędą,

A którzy królmi byli i znów będą.

Młody monarcha posiada więc moc jasnowidzenia i poznaje wśród swego środowiska duchy techórliwe, marne, oraz duchy z wielką przeszłością i przyszłością:

Którzy królami byli i znów będą.

Więc duch króla *niekoniecznie i niezawsze* odradza się w nowym *królu*. Ten pogląd nie jest nowością w poezji, boć Zorjan, późniejsze wcielenie Piasta, był tylko rapsodem na dworze wojewody, Śwityna; sam Popiel, nim zdobył koronę i potęgę, był pacholkiem, później wodzem, następnie złotym, najpierwszym wojewodą, banią i t. d.

Słowem, królewska dusza niezawsze, albo nieodrazu oblekła królewskie ciało.

Stwierdzenie tego faktu jest ważne, bo pozwala rozszerzyć horyzont hipotez i domysłów.

Jeżeli wśród wcielonych duchów, towarzyszących, wspomagających i strzegących Bolesława Śmiałego, znajdowały się duchy, co już *królowały*, lub *królować* będą, to można, bez zbytej dowolności, dochodzić, które z owych

duchów miały na sobie znamię królewskości, które przewodniczyły już, lub miały przewodniczyć ludowi polskiemu — w przyszłych wiekach.

O jednym z duchów, wcielonych we współczesną sobie a olbrzymią postać, wspomina poeta — Bolesław Śmiały — kilkakrotnie i z tak znacznym naciskiem, z takimi ciemnymi wprowadzicie, ale dobitnymi aluzjami, że to budzi czujność krytyczną.

Kto przeczyta, nawet niezbyt uważnie, odnośne ustępy i strofy, ten dostrzeże odrazu, iż nie idzie tu o przypadkowe asocjacje, o igraszkę fantazji, lecz o zrealizowanie artystyczno-ideowe jakiegoś pomysłu, który wypłynął z głębokich emocyjnych przeżyć autora, a który, przetrawiony w jego twórczej wyobraźni, dojrzał tam zupełnie i wychodzi na światło dzienne, jako motyw skończony, i posiadający wielkie znaczenie, nie tylko dla pojedynczego rapsodu, lecz i dla dalszego rozwoju całej epopei.

Ostrożny zwykle w ujawnianiu związku pomiędzy osobistościami żyjących działaczy z duchami nieżyjących kształcicieli, czy burzycieli Polski, tym razem Słowacki zdradza wielką ochotę uchylecia rąbka zasłony „gieneszyjskich tajemnic“. Nie mówi, co prawda, nic konkretnego i wyraźnego, ale czuć, że pragnąłby powiedzieć więcej — niż powiedział.

Ale przejdźmy do faktów.

Zaraz na początku, wyliczając otaczające go duchy, zatrzymuje się Bolesław Śmiały obszernie i szczegółowo na jednym:

Gdziem spojrział — skrzydła orle, ludzkie głowy,

Pobrane ze snów dawnych twarze, mary —

Wszystko, prócz wiedzy w duchu, że ci sami

Gwiazdami byli niegdyś i słońcami. (Strofa VI).

To wstęp ogólny. A potem w strofie VIII znajdujemy charakterystykę bardziej szczegółową jednego z najważniejszych i najpotężniejszych duchów:

Nawet duch straszny ów pieśniarza, który
Leciał za wieńcem pańskich apostołów,
W kopułę ducha z ognistej purpury,
Gdzie szli, porwani słońcami kościołów —
Nawet ten od słońc, które, jako chmury,
Wylatujące z grobowych padołów,
Unoszą z sobą w górę świętych ciała,
Odstała... i stanął na skale, jak skała.

Niema wątpliwości, że tu mowa o św. Stanisławie.

Dowodzi tego, nie tylko dalszy przebieg akcji rapsodu, ale i drobny szczegół etymologiczny *) „na skale, jak skała“, będący aluzją do kościoła na Skałce, kędy biskup królował i gdzie, za opór i lekceważenie władzy monarchicznej, zginął.

Ale, co za duch tkwi w ciele biskupa-męczennika?

Poeta powiada o nim, że, to „*straszny duch pieśniarza*“. A w innym miejscu zwraca się do czytelników wprost i woła.

Kto ten duch? wiecie...

Jakgdyby to wyraźnie powiedział, lub miał zamiar powiedzieć.

Zresztą może i powiedział, ale wyznanie to zginęło, bo w Rapsodzie ostatnim brak nie tylko końca, ale i wielu strof środkowych, nienapisanych, zniszczonych, czy zagubionych — kto to wie?

O jakim „pieśniarzu“ mogą czytelnicy „Króla-Ducha“ wiedzieć?

Pomijam mglistą postać „śpiewaka“ „w ognistej koronie“, o którym wspomina poeta w jednej, stojącej poza właściwą ramą poematu, strofie, bo ta właśnie daje za

*) Znane jest upodobanie Słowackiego do asocjacji etymologicznych: Popiel, syn popiołów; Polska — na „Bol-skała“; Mieczysław — miecz i sława; Bolesław (Chrobry) — Boli mnie sława; Jadwiga — Jad widzi i t. p.

wiele pola do domysłów, a zamało materiału faktycznego.

Prawda, że poeta nazywa owego pieśniarza „śpiewakiem nowego ducha między nami“, że, odziewszy go w szatę prostą, rzuca mu na twarz zaslonę „którą przenikał nawskróś oczu skrami“ i dodaje:

Każdy z nas w głosu jego głuchym dzwonie,
Ojczyznę śpiącą gdzieś pod mogiłami,
Odzywającą się z wiekowej ciszy
Słyszał,—lub sądził wyraźnie, że słyszy..

To jakaś indywidualność potężna, przypominająca nie Zorjana, lecz Mickiewicza, i dająca się związać z obrazem poety w „Beniowskim“ i „Zawiszy Czarnym“, a nawet z określeniem jaźni, wcielonej w biskupa Stanisława, który miał być inkarnacją „ducha strasznego pieśniarza“ *).

Cytaty i drobny komentarz, motywujący prawdopodobieństwo podobnego przypuszczenia — podaję niżej w dopisku, zaznaczając tu jeszcze, że „ognista korona“, „prosta szata“, skry z oczu „przenikające zaslonę“ oraz, co najważniejsza, określenie „*Ducha nowego śpiewaka*“ — tak wybornie oddają wewnętrzny i zewnętrzny konterfekt wodza i twórcy romantyzmu i mesjanizmu polskie-

*) W „Zawiszy Czarnym“ nazywa poeta (Chorus) Jagiełłę, Mickiewicza „duchem *strasznym*—przeciwko któremu drugi duch przez ciernie i osty, i przez żywota drogę męczeńską przechodzi (Słowacki??). W „Beniowskim“ (pieśni wydane pośmiertnie) pisze, że przeszłość ojczyzny została odtworzona w „Panu Tadeuszu“ tak artystycznie, iż „czas się cofnął i odwrócił lica, by spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali, która takimi tęczami zachwyca“. Ten ustęp brzmi analogicznie, jak cytowany w tekście fragment strofy, że „każdy z nas w głosu jego głuchym dzwonie — Ojczyznę śpiącą gdzieś pod mogiłami, odzywającą się z wiekowej ciszy—słyszał, lub sądził wyraźnie, że słyszy“. To niemal parafraza tej samej myśli.

go, iż trudno oprzeć się pokusie zlania i tych dwóch figur żywej i fikcyjnej — w *jedną*.

Epitet „straszny“ stosowali Towiańczycy do Mickiewicza *) a Słowacki prawdopodobnie wiedział o tem, jeżeli nawet nie wyczuwał sam tej „straszności“ swoją nadezłą, mimozowatą naturą, skoro w „Zawiszy Czarnym“ mianuje autora „Improwizacji“ duchem strasliwym.

Rzucając tych parę uwag, nie chcę iść dalej, ponad zanotowanie jednej z bardzo prawdopodobnych możliwości.

W każdym razie, jeżeli idzie o łączność pomiędzy duchem św. Stanisława, a „strasznym duchem“ jakiegoś „pieśniarza“, to sylweta, nakreślona w rzuconej na czele II Rapsodu strofie więcej zawiera pierwiastków wspólnych z Mickiewiczem, niżeli z zagadkowym dotąd zupełnie Zorjanem.

Kim miał być duch Zorjana? na to nie mogę dać nawet hypotetycznej odpowiedzi. Rapsod, wierny swemu panu, wytrzymujący mężnie, ale bez oporu katusze, zadawane mu przez Popiela, jest podniosły, ale nie — *straszny*.

Zresztą—o ile będziemy dalej stosować metodę odśzukiwania w obrazach poetyckich „Króla-Ducha“ śladu przeżyć wewnętrznych poety, to nie znajdziemy w biografii obu wieszczów wypadku, żeby Słowacki skrzywdził Mickiewicza. W istocie było odwrotnie: to Mickiewicz krzywdził, bez złej woli niewątpliwie, Słowackiego **).

*) Por. Artur Górski. „Monsalwat“, wyd. II, str. 113. „Adam jest straszny — pisze w swym pamiętniku pod rokiem 1853 nie skłonny do lęku Goszczyński“.

**) Dziady część III; szorstkie traktowanie w „kole“ Towiańczyków; lekceważące traktowanie twórczości Słowackiego; pominięcie jego dzieł w wykładach o literaturze; obojętne zachowanie się wobec intryg i plotek, krzywdzących Słowackiego, jako poetę i człowieka i t. p.

Słowacki się bronił, ale i w obronie nawet nie poszedł tak daleko, jak Mickiewicz w dumnej pogardzie, bo uznał litewskiego wieszczą za równego sobie, ale go nie poniżył.

W dalszym ciągu Zorjan przeobraża się w Piastą.

Jak Zorjan, palony na stosie, był „cichszy od owieczki — i szedł przez ogień z uśmiechem piosneczki, ani klątw rzucił, ani wydobywał — głosu wielkiego z maleńkiej lireczki“, tak Piast, opracowany zupełnie szkicowo i blade, występuje tylko „jako stary kmieć, pełen dobroci“.

„Dawna pieśń — niedośpiewana“ i miłość ludu“ — zamieniły się w tym chłopskim królu „w jedną wielką mądrość:

W serdeczność wielką i powagę siły“.

Ale ta mądrość i siła przejawia się głównie w „czarach i zaklęciach dobroczynnych, w radach i błogosławieństwach, udzielanych poczciwie, poczciwemu ludowi.

Tu niema nic „straszego“ ani heroicznie dramatycznego.

Wprawdzie poeta przewiduje w „Zorjanie — Piaście“ — świt przyszłości, ale to nie jest przyszłość budowana przez Chrobrych i Jagiellonów, lecz raczej przez jakiegoś łagodnego monarchę, w rodzaju „Kazimierza Wielkiego“, Króla Chłopców.

Pokrewieństwo duchowe Zorjana-Piasta ze Św. Stanisławem i Mickiewiczem zdaje mi się wyłączone.

Zorjan pojawia się raz jeszcze, jak duch, a w chwili postrzyżyn Mieczysława, utożsamiony z kapłanem, odprawiającym obrzęd, *) ale właśnie pojawienie się ciele-

*) I właśnie strofa szła o jego męce — I śpiew przez usta
..... [Zoryjana gadał
On szedł — i coraz bliżej w moich oczach błękitniał się płaszcz.

„Król-Duch“. Rapsod II (Miecza sława), strofy XXVI, XXVII, XXIX, XXXII, XLVII. Por. Rapsod I, str. II, III, IV, VII. gdzie jest mowa o błękitnym płaszczu Zorjara. Tkwi tu niewątpliwie

sne tego ducha w epoce, która dała życie Bolesławowi Chrobremu, wyklucza jego tożsamość z tym monarchą i splecioną z nim mistycznym węzłem postaciami, pomiędzy jedną inkarnacją dawnego ducha a drugą bowiem upływa zawsze w poemacie czas dłuższy, niekiedy nawet, jak u Popiela trwający wiek z okładem.

Jeżeli zczasem wyjaśni się osobistość Zorjana-Piasta, to nie zdaje mi się, by dałoby się utożsamieć ducha tego lirnika z owym „straszonym duchem pieśniarza“, który wcielił się w osobę Św. Stanisława — Biskupa.

Prawdopodobniejszą wydaje mi się łączność „śpiwaka w ognistej koronie“, który, jak Mickiewicz, wnosi „nowego ducha“ do poezji i myśli narodowej i posiada, jak Mickiewicz, cechy groźnej wielkości, czy też, jak wyraża się autor „Króla Ducha“ — „straszności“.

Naturalnie, że przypuszczenie moje — uważam tylko za *przypuszczenie*, które późniejsze badania i świadectwa mogą zmodyfikować, albo obalić.

* * *

Nie mogąc prowadzić dalej dochodzenia w tym kierunku, zwracam się znowu do samej postaci św. Stanisława w poemacie.

Kiedy król, zboczywszy raz z drogi prostej, zaczyna brnąć coraz głębiej w zbrodniach i rozpucie, czuje, że ów „duch straszego pieśniarza“, zamknięty w ciele potężnego i świętego Biskupa, patrzy nań surowo z wysoka.

A jam to czynił, widząc, że z wysoka
Jakiś duch *większy* patrzy i uważa

jakieś wrażenie realne, jakieś poczucie wyrządzonej komuś niesłusznie krzywdy, jakiś pomysł, może skryształizowany nawet w głowie, ale nieprzelany dość dokładnie i plastycznie na papier

I ze mnie woli nie spuszcza i oka,
A milczy — świętych milczenie przeraża!
.....

Kto ten duch? wiecie... a ja takich twarzy
Lękam się, pisząc, że błysnie pod piórem.
Lud go dziś sobie za świętego waży
I ugważdżonym obwija laurem;
Ale on, jak ja... często dla grabarzy
I dla kościelnych, którzy ciągną sznurem.
Przychód tu swoją drogą kością czynił:
Lecz choć był świętszy odemnie — przewinił.

Jest to więc duch bardzo wysoki, który miał prawo kontroli nad postępami Bolesława; duch, którego surowej twarzy lękał się król-poeta; duch świętszy od monarchy, a jednak — nie bez winy.

I znowu nasuwa się mimowoli na myśl wielka i poważna indywidualność Mickiewicza. Z nim jednym, z pośród współczesnych sobie poetów, myślicieli i działaczy polskich, stawiał się Słowacki na równi, z nim się liczył, jego jednego mógł, bez poniżenia się i ubliżenia swojej godności — lękać się i uważać za „świętszego“ a zarazem — winnego względem siebie.

Żadna z żyjących w owej epoce osobistości nie dorasta do rozmiarów, jakie nadał poeta figurze Biskupa krakowskiego.

Przypomnijmy sobie, że w epoce tworzenia epopei, nawet w poezjach Krasińskiego, widział on już tylko „złoty pył“, a utwory Mickiewicza stawiał bardzo wysoko.

Wzmianka o tem, że „choć był świętszy odemnie — przewinił“ — dostraja się doskonale do wszystkiego, co wiemy o wzajemnych stosunkach obu poetów. Istotnie, Mickiewicz nie był względem Słowackiego bez grzechu. Poeta wybaczył swemu wielkiemu antagoniście jego winy, ale wspomnienie dawnych bólów i wrażeń, mogło znaleźć odbicie w epopei, w której, jak dziś wiemy, poza

symboliczno-mistyczną historjofacją, ukrywa się olbrzymia ilość emocji życiowo-osobistych.

A gdybyśmy nawet o tem nie wiedzieli z innych źródeł, to już znajomość psychologii twórczej wogóle zniewalałaby nas do tego przypuszczenia. Artysta może stylizować życie w taki, czy inny sposób, ale żaden z rzeczywistych poetów nie oderwał się nigdy od życia zupełnie, bo tylko tam znajduje bezpośredni materiał wzruszenia, z którego wykuwa, lepi, rzeźbi, słowem tworzy to, co pod dłonią mistrza, zmienia się w dzieło sztuki.

Jedynie epigonowie, talenty drugorzędne, gabinetowi naśladowcy kopują utrwalone już na płótnie, papierze, w marmurze, czy spiżu „obrazy“ życia — *wewnętrznego* lub *zewnątrznego*. Oryginalny twórca operuje własnym kapitałem emocyjnym, bez względu na to, czy należy do t. zw. „konwencjonalnie“ artystów obiektywnych, czy subiektywnych, czy jest epikiem - realistą, czy muzykiem - nastrojowcem, czy też — jak się to zdarza — jednym i drugim współcześnie (Słowacki, Żeromski, Wyspiański, Rodin)*).

* * *

Jest jeszcze w charakterystyce ducha św. Stanisława jeden ciekawy szczegół:

Nawet duch straszny, ów pieśniarza, który
Leciał za *wieńcem* pańskich apostołów

*) Związek twórczości Słowackiego z życiem, dość łatwy do pochwycenia w niektórych utworach pierwszego okresu, wykazał niedawno Z. Przesmycki w cytowanej parokrotnie rozprawie, dotyczącej epoki mistycznej. A ile światła na „niejasności“ Anhellego rzucił wydany lat temu parę przez L. Meyęta list poety do Gąszyńskiego. Ile postaci i sytuacji, pozornie fikcyjnych, okazało się stylizowanymi odpowiednio obrazami osób i zdarzeń rzeczywistych! Z „Królem-Duchem“ może być i będzie prawdopodobnie toż samo — o ile znajdziemy dokumenty, lub też wysilimy nasz dar kombinacyjno-krytyczny.

*W kopułę ducha z ognistej purpury,
Gdzie szli... — porwani słońcami kościołów —
Nawet ten od słońc, które jako chmury
Wylatujące z grobowych padolów,
Unoszą z sobą w górę świętych ciała,
Odstała... i stanął na skale, jak skała.*

Wiersze podkreślone: Lecił za wieńcem pańskich apostołów:

*W kopułę ducha z ognistej purpury,
Gdzie szli porwani słońcami kościołów i t. d.*

brzmia bardzo podobnie do urywku z „Samuela Zborowskiego“, urywku, który, jakśmy mówili wyżej, charakteryzuje, zdaniem Chlebowskiego, „bezowocność apostołskich usiłowań“ Słowackiego w porównaniu ze względem powodzeniem apostołstwa Mickiewicza, Towiańskiego i innych.

*A oni, patrz, pełni mocy
Na górach, Boga prorocy,
Piorunami nakryci, kościołem,
Nad tęczowem stoją kołem etc.*

Panuje tu nietylko podobny ton, ale nawet niektóre wyrazy (kościół, góry etc.), brzmia tak samo i zdają się mieć jednakie znaczenie, nietylko słownikowe, ale i symboliczne, przenośne.

W apostołskie posłannictwo Towiańskiego, Mickiewicza i innych messjanistów wierzył Słowacki głęboko i szczerze do końca życia, pomimo protestów przeciwko niektórym postępkom „koła“. Ta wiara mogła się odzwierciedlić i w epopei, kiedy tok opowieści nasunął pod pióro postać, posiadającą wiele cech wspólnych z Mickiewiczem, oraz sytuacja, przypominająca pod pewnymi względami zatargi i żale, dzielące obu „Królów-

Duchów i wieszczów narodu polskiego *). Bo że te zatargi ustały, że żale umilkły, nie znaczy to, by ich odźwięki nie odzywały się w dumnej duszy poety, który, pomimo „anielskiej transfiguracji“, nie przestał przecież

*) Tu nasuwa się wątpliwość, czy w Św. Stanisławie nie objawił się inny duch, a mianowicie duch *apostoła* pogańszczyzny, Św. Wojciecha, o którym poeta pisze w Rapsodzie „Miecz a Sława“. Ale pomijając już to, że identyczności obu świętych nie miał poeta potrzeby osłaniać mgłą tajemnic, lecz powiedziałby o niej wyraźnie, jak mówi o swoich własnych inkarnacjach, należy zwrócić uwagę na różnicę psychologii Św. Wojciecha i Św. Stanisława nietylko faktyczną i historyczną, ale taką, jaką poeta wprowadził do epopei.—Św. Wojciech, traktowany zupełnie szkicowo, jest cichym i pokornym sługą bożym, który umiera za Ewangelię, ale nie dąży do zatargów z nikim, nie gromi i nie karci ani królów, ani nikogo wogóle. To typ łagodnego misjonarza, nie twardego rycerza „kościół wojującego“. Zresztą, dla Słowackiego Św. Wojciech jest—świętym bezwzględnie, bez zastrzeżeń. Mogła jego zwycięża najeźdźców pogańskich. O Św. Stanisławie. poeta mówi oględnie i krytycznie: „*Lud go dziś sobie za świętego waży*“, t. z. że Biskup miał *opinję* świętego, ale pomimo wielu cech świętości nie był świętym* w mistycznym tego terminu znaczeniu: nie skończył odpowiedniego cyklu ewolucji. Prócz tego Słowacki zaznacza wyraźnie, że Biskup Stanisław, choć był *świętszy* od króla —*zawinił*, czyli *zgrzeszył*, a tego nie mówi o Św. Wojciechu. Następnie jak związać „*straszego ducha pieśniarza*“ ze Św. Wojciechem, który napisał rzekomo „Bogarodzicę“, ale nie był *strasznym*, ani jako apostoł, ani jako święty, ani jako autor pobożnego hymnu, ani jako człowiek i książę kościoła?!

Tożsamości Św. Wojciecha z Zorjanem i Św. Stanisławem próbuje dowieść p. G. Doborzyński (Przegląd Narodowy, Maj 1909 „Zorjan i Oda“). Ale, co do Św. Wojciecha uważa swoją hipotezę tylko za prawdopodobną, natomiast podaje za pewne przypuszczenie, iż Zorjan wcielił się w Św. Stanisława. Pracę p. Doborzyńskiego, jak i „Studja o Słowackim“ Dr. Juliusza Kleinera (Lwów 1910), przeczytałem już w chwili, kiedy ³/₄ mego obecnego studjum było pod prasą i uważam za obowiązek wymienić je tutaj i odesłać do nich ciekawego czytelnika, żeby mógł sprawdzić podane tam hipotezy z moimi. Polemizować z autorami wzmiankowanych prac nie mam zamiaru, ani nie widzę potrzeby; nie chcę też walczyć o prawo pierwszeństwa analogicz-

być człowiekiem, t. j. istotą wrażliwą na krzywdy i urazy. Są dowody, na które powołuje się prof. Tretiak w II tomie, (352—378), że do absolutnej harmonii pomiędzy Słowackim, „kołem“ Towiańczyków i Mickiewiczem nie doszło nigdy, chociaż dążono do tego. Osobiste stosunki

nych, choć nie identycznych hipotez. Dla dokładności zaznaczę tylko, że już w roku szkolnym 1906/7, mówiąc o „Królu Duchu“ na „Kursach pedagogicznych“, wygłaszałem moje domniemania, a w r. 1907, pokazywałem moje notatki red. Bukowińskiemu i obiecywałem mu artykuł, poświęcony sprawie pluralizmu Królów-Duchów oraz wprowadzeniu w ten poemat Mickiewicza, drukować w „Sfinksie“. Miałem wtedy na myśli tylko ugruntowanie i rozwinięcie wzmianki, pomieszczonej w mojej książce p. t. „Słowacki i nowa sztuka“, gdzie wyraziłem, jeśli się nie mylę, po raz pierwszy przypuszczenie, że Duch „Bolesława Chrobrego“ mógł być identyczny z jakimś wielkim działaczem współczesnym Słowackiemu—a położyłem specjalny nacisk na *indywidualność Mickiewicza „jako wieszcz i przewodnika narodu“*.

O innych figurach, a pomiędzy innemi i o Zorjanie - Piaście —powiedziałem, że „przy końcu poematu“ może się z pod tych masek ukazać oblicze, „którego z wybitnych romantyków naszych“. Książka moja pisana w r. 1900, wyszła w końcu 1901, z datą 1902, czyli 7 lat temu (wyd. I str. 309—310). Tyle, co do osobistej strony sprawy. Sądzę, że to wystarczy, by stwierdzić niezależność moich hipotez od późniejszych badań i publikacji, w których rozwijano szerzej analogiczne przypuszczenia, jak ja je w niniejszym studjum rozwijam. P. P. Doborzyński i Kleiner mogli dojść do swoich hipotez samodzielnie, ponieważ żaden z nich na wspomniany dopisek się nie powołuje. Świadczy to, że „sam poemat“ przy uważnem czytaniu nasuwa nieuprzedzonym umysłom analogiczne wnioski krytyczne.

Analogiczne ale, jak wspomniałem, nie identyczne. Postać „Chrobrego“ pomijają dotąd, chociaż to figura nie dająca się pominąć, ze względu na swoją indywidualność i rolę dziejową, oraz nacisk położony na nią przez Słowackiego w epopei („przyszedł ktoś wielki, lecz w wielkiej zasłonie“).

Przechodząc do hipotez, wymienionych wyżej autorów, to p. Doborzyński kreśli (włączając i warjanty poematu) „łańcuch gienetyczny“: Eljasz—Jan Chrzciciel—Zorjan—Piaś (Św. Wojciech)—Św. Stanisław. Notuję to dla informacji, zaznaczając, że prof. Tretiak, mówiąc o zgonie Słowackiego, rzuca domysł (opierając

autora „Króla-Ducha“ z autorem „Pana Tadeusza“ nie nawiązały się już na nowo. Mickiewicz zdawał się do śmierci lekceważyć poetycką działalność Słowackiego, a ku jego osobie czuł przez całe życie pewną antypatię, której przyczyn trudno dochodzić, bo, po za zrozumiałymi różnicami temperamentów, uzdolnień, dążeń i uspo-

się także na niedrukowanych warjantach „Króla-Ducha“), że sam poeta uważał się za Eljasza i być może „spodziewał się w chwili śmierci jakiegoś cudu, jakiegoś wniebowzięcia w rodzaju Eljaszowego odjazdu na wozie ognistym“. (Tretiak l. c. II 418 420. O obecności Ducha Mickiewicza w poemacie i o jego tożsamości z tą, lub inną figurą, żaden z tych dwóch pisarzy nie mówi. Mówi o tem atoli Dr. Juliusz Kleiner w rozprawce p. t. „Król-Duch“, pomieszczonej w zbiorze „Studja o Słowackim (Lwów 1910), formując inny „łańcuch gienetyczny“ inkarnacji ducha śpiewaka „Dziadów“: (Eljasz str. 154)—Zorjan—Piaś—Św. Stanisław, a w dalekiej przyszłości—Mickiewicz. Praca pana Kleinera, oparta na poszukiwaniach źródłowych, jest bardzo sumienną i zasługuje na uwagę, ale przeczytanie jej nie wpłynęło na zmianę hipotez, rozwijanych przeze mnie, nie dla tego, żebym lekceważył wnioski i kombinacje pana Kleinera, ale dla tego, że obaj operujemy materiałem niepewnym i stoimy na gruncie ślizkim: domysły i hipotezy mogą się zbliżać do siebie, ale nie pokrywać wzajemnie. Swoją drogą, podkreślę przypuszczenie, że Mieczysław (Słowacki) mógł w przyszłości wcielić się w Jagiellę.

Na marginesie, cytowanej przez Dr. Kleinera strofy:

Zmiłuj się Chryste, dosyć! Ta czysta
Dusza nie mogła wtenczas wiedzieć, Panie,
Że mi na puszczech gdzieś za lat *czterysta*
Przyjdzie wojować to emigrowanie, (bogów pogańskich)
Że i powietrzny ów duch cymbalista,
I trójsłoneczny znów Światowid wstanie.

mam zanotowane daty: 936 — 1386. Nasuwała mi się więc na myśl Litwa, jej bogi i przyjęcie Chrześcijaństwa pod naciskiem Jagielly. Ale wyraźna bardzo alluzja chóru do tożsamości Jagielly z Mickiewiczem w „Zawiszy Czarnym“ neutralizowała przekonanie o możliwości wcielenia się Słowackiego—Mieczysława —w Jagiellę, tembardziej że, jakto powiedziałem poprzednio w samym tekście niniejszej rozprawy, wiele, bardzo wiele względów

sobień, tkwi tam jakiś nieokreślony motyw, związany z tajnikami, ukrytymi tak głęboko w warstwach organizacji duchowej, że nieraz dane indywiduum nie może dojść do wyraźnego ich sformułowania, a nawet uświa-

logicznych i psychologicznych przemawia za identycznością ducha *dwóch wielkich Litwinów*. Argumentacja p. Kleinera ma niewątpliwie ważne podstawy, ale trzeba być pewnym, która z redakcji „Zawiszy“ jest wcześniejszą, która późniejszą—a, co do tego panują wśród krytyków poglądy bardzo różne.

Co do Zorjana—to wyluszczyłem moje argumenty wyżej, w samym tekście. Identyfikacja ze „Strasznym pieśniarzem“, wcielonym w Św. Stanisława, wydaje mi się jak mówiłem, ów „w ognistej koronie, śpiewak nowego ducha“, który tak przypomina Mickiewicza. A może ów śpiewak da się utożsamiać z Zorjanem? nie wiem. Podobnie nie jestem pewny, czy w Rapsodzie „Miecz a sława“ Zorjan jest tylko widmem—duchem, czy też i kapłanem. Stanowcze rozwiązanie tej zagadki mać strofa, opisująca postrzyżyny:

Koło mnie wielki gwar... a potem cisza,
Jakby skinięciem berła nakazana;
Dziś czuję, jak się we mnie duch zadysza,
Czeka... i cały już drży najściem Pana...
Krok jakiś, który nie miał towarzysza,
Krok jakiś dumny... ciężki... krok kapłana,
Zbliżał się do mnie. Jam ręce niemocne
Postawił naprzód, czując widmo nocne (Zorjana)
On szedł i coraz bliżej w moich oczach
Błękitniał się płaszcz etc. (Por. strofy XXVI—XXXI).

Przecież to się dzieje w dzień, na jawie, która jest dalszym, ale już realnym ciągiem widzeń sennych Mieczysława, lecz nie jest marzeniem, wizją.

Czyżby ten ciężki (a więc męzki) *krok kapłana*, można uważać za krok pięknej kapłanki, którą królewic po obrzędzie spostrzega? To nie licuje z powiewnością postaci niewieściej. Zresztą czy kapłanka dokonała postrzyżyn? nie, o tem poeta nic nie mówi. Kapłanka tylko „trzyma włos ustrzyżony“ w jednym ręku, a w drugim „czarę bursztynową z wonnościami, w które kładzie włoski ucięte nożem niewiniątka“. Kapłanka, mająca obie ręce zajęte, nie mogła obcinać dziecku włosów, dokonał tego ktoś inny, ów stąpający „dumnym ciężkim krokiem“ kapłan, co zresztą godzi się z charakterem podobnych obrzędów. Przypuścić,

domienia. Naturalnie, że wobec takich zagadek i psychologia naukowa, i psychologia krytyczna, i psychologia życiowa jest bezsilna. Kusić się o rozwiązanie pobocznych problemów niesposób, bo można by zabrnąć w bagnach zupełnie gołosłownych majaceń o „magnetycznych prą-

że ów odgłos „ciężkich kroków“, słyszany przez Mieczysława był halucynacją, złudzeniem słuchowym—niema w danym wypadku racji. Ale dla czego królewic utożsamia kapłana z Zorjanem? Może właśnie dla tego, że to, jak mówiliśmy w tekście—są wcielenia jednego ducha?! Że ten duch w warjantach i niektórych wzmiankach poematu olbrzymieje; że poeta przeznacza mu wielką rolę; że go utożsamia z wodzem ludu Izraela, z Eljaszem, wziętym za życia z ciałem do niebios na wozie ognistym—to właśnie dowodzi, że duch Zorjana osiągnął już taki stopień *świętości*, iż chyba grzeszyć nie mógł, a Św. Stanisław i jego inkarnacja późniejsza, Mickiewicz—nie byli, jak sam poeta mówi i, jak wiemy, —*bez win*, pomimo *swojej świętości*. A jak czytamy w „Wykładzie nauki“ wzięcie żywcem do nieba było taką nadzwyczajnością, takim objawem wielkości i świętości, że tylko Eljasz na wozie ognistym ulatujący, —Eneasześ *środe w walce*—Romulus *pośród piorunów etc.*—a po Chrystusie *żaden już bez mogiły na ziemi*“.

Jeżeli, jak świadczą warjanty, Zorjan—był ową kometa, „ognistym smokiem, który zmocował“ Popiela-Słowackiego „wobec rycerzy, jeżeli on jeden trzymał królewskiego ducha w ryzie“—to niepodobieństwo zlewać Zorjana, a zatem i Piasta—z Mickiewiczem, bo chociaż cały wątek obecnej rozprawy obraca się koło tego, by oczyścić Słowackiego z krzywdzącego zarzutu „samobóstwienia i megalomanji“, to jednak nigdzie nie znajdujemy wyraźnego śladu, żeby autor „Króla-Ducha“ uznał się za *niższego*, za *zwyczajonego*, za *poddanego* autorowi „Pana Tadeusza“. Takiego aktu pokory nie spełnił i, o ile znamy jego psychologję, spełnić nie mógł. „Anielskość“—nie zabiła bynajmniej w Słowackim hardości i dumy, ani poczucia własnej wartości. Są na to dowody. Ze wszystkich wyluszczonych względów, identyczność ducha, postawionego tak wysoko w hierarchji kosmicznej i dziejowej, jak Eljasz-Zorjan, ze Św. Stanisławem, a pośrednio i z Mickiewiczem wydaje nam się wątpliwą.

Na tem przerywamy, nie polemikę, lecz dyskusję, bo wobec tego, że poeta zmieniał szczegóły planu epopei w ciągu roboty kilkakrotnie, że przedstawiał rapsody, przesuwiał osobistości, a co najważniejsza, że nie posiadamy nietylko ostatecznej re-

dach i fluidach“, stanowiących podścielisko wstrętów i sympatji, łączących ludzi z sobą, lub odpychających ich od siebie. Tą kategorią zjawisk zajmowali się niejednokrotnie poeci, bo ona niewątpliwie istnieje; mogą i będą prawdopodobnie zczasem zajmować się i uczeni; ale w obecnym wypadku wolę tę kwestję pominąć, poprzestając na krótkiej notatce *).

* * *

dakcji, ale nawet skończonego projektu „Króla-Ducha“, musimy z konieczności tworzyć komentarze nawpół-hypotetyczne. Bez kwestji, pewne wątpliwości dadzą się usunąć i rozjaśnić kategorycznie, co do niektórych jednak trzeba czekać na jakieś nowe dokumenty, o ile te istnieją. Zwłaszcza mnóstwo luk, oraz warjantów, których chronologję bardzo trudno ustalić, uniemożliwia prawie rekonstrukcję planu epopei. Zawsze, z wyjątkiem rzeczy zasadniczych—pozostaną kwestje nierozstrzygnięte, sporne i wskutek tego, dające krytykom i krytyce otwarte pole do budowania i rozwijania subiektywnych teorii, hipotez i domysłów.

*) Pan F. Hoesik cytuje w I tomie „Juljusza Słowackiego“ (str. 96) wrażenie Odyńca o pierwszym spotkaniu Mickiewicza ze Słowackim, jako młodzieńcem jeszcze, w domu matki poety, pani Becu, która przedstawiła autorowi Ballad syna, jako piszącego wiersze.—„Od tej chwili poczynawszy, aż do końca wizyty wciąż zdawało się Mickiewiczowi, że nań Słowacki spogląda z *widocznym wyrazem niechęci*“. W zbiorze p. t. „Szkice i opowiadania historyczno literackie (1900) str. 467, opisując swoją rozmowę z J. Klaczka, p. F. Hoesick powtarza kilka wspomnień autora „Wieczorów-Florenckich“. Otóż Klaczko twierdził w tej rozmowie, że Mickiewicz, jak wielu innych poetów, niekoniecznie znał się na poezji, a prócz tego, cytuje zdanie autora „Dziadów“ o Słowackim: „*Co wy w tem uidecie?* Jak Boga kocham, czytam, czytam i nic nie rozumiem“. Podajemy te cytaty wspomnienia, sądy na odpowiedzialność Odyńca, Klaczki i p. Hoesicka—choć nie widzimy w tem nic nieprawdopodobnego. W związku z całokształtem stosunku obu poetów do siebie, znanym nam z innych źródeł—owe zdania i wrażenia nabierają tylko większej plastyki i potwierdzają fakt, że pomiędzy Słowackim a Mickiewiczem istniała jakaś psychiczna przegroda, przepaść, której, zwłaszcza autor „Dziadów“ przejść nie mógł, bo jak wiemy, pomimo swej dumy, Słowacki był skłonniejszy do zawiązania harmonijnego stosunku ze swoim antagonistą.

O identyczności ducha Mickiewicza z duchem św. Stanisława mówi dr. Juljusz Kleiner w książce p. t. „Studja o Słowackim“ (Lwów 1910, rozprawka p. t. „Król-Duch“). Argumentacja dr. Kleinera idzie odmiennym torem, niż moja, ale nie stoi z moimi wywodami w absolutnej sprzeczności. Dr. Kleiner, wyłącza z „mickiewiczowskiego“ łańcucha Królów-Duchów *Bolesława Chrobrego i Jagiełłę*, a „straszego pieśniarza“, wcielonego w biskupa — identyfikuje z *Zorjanem*. Wątpliwości moje, co do takiego powiązania figur poematu, wypowiedziałem w obszernym przypisku (str. 361—66), więc do tej kwestji już wracać nie mam potrzeby.

Każdy z tych „gienetycznych łańcuchów“ ma za sobą znaczną ilość dowodów *pro* i *contra*.

Mnie pociąga możliwość wytłomaczenia istoty *Bolesława Chrobrego*, którego poeta z całą świadomością, chwilowo zapewne, usunął z wątku epopei, a którego „wielka“ postać dałaby się poetycznie utożsamić z Mickiewiczem, człowiekiem czynu, organizatorem, nieomal żołnierzem i wodzem (legjony włoskie etc.), nie tylko poetą.

W potężną zresztą figurę tego właśnie króla (a już nie księcia) polskiego, który owocną działalność swoją zakończył „aktem koronacji dokonanej w Gnieźnie bez zezwolenia Papieża i Cesarza“, a z „państwa zależnego pod względem politycznym od Niemiec, utworzył monarchję samoistną“ (ob. Smoleński „Dzieje narodu Polskiego“), otóż w taką olbrzymią figurę nie mógł autor wcielić jakiegoś drugorzędnego ducha, wśród pierwszorzędných zaś przyznawał, obok siebie, naczelne miejsce tylko Mickiewiczowi.

A czy Zorjan mógłby być identyczny z Bolesławem Chrobrym? Czy Zorjan w Rapsodzie „Miecz a Sława“ występuje tylko, jako duch, dręczący dziecko we śnie, czy też i jako obleczony w ciało kapłan, dokonywujący obrzędu postrzyżyn nad Mieczysławem? A skoro kapłanka grozi Mieczysławowi „*blekitnym* duchem-wodzem“ (Zorjanem) — to jak pogodzić *świętość* Eljasza-Zorjana, zesłańca

Bożego (komety), z jego przypuszczalną antypatją do chrystjanizmu? Przecież Zorjan—to podobno także wcielenie Jana Chrzciciela, poprzednika Chrystusa! O tych wątpliwościach wspominałem już w dopisku i nie mogę znaleźć ich kategorycznego rozwiązania. Nie wiem nic pewnego o istocie Zorjana.

Z postacią Zorjana-Piasta, splata się inna wątpliwość. Czy „śpiewak nowego ducha w ognistej koronie“, występujący na czele Rapsodu zaniechanego (Bezdno, wyd. A. Górskiego), jest duchem Mickiewicza, czy Słowackiego? Jeżeli porównamy ze sobą różne warjanty—to w jednych śpiewak, opowiadający dzieje przeszłe, a między innymi swoje męki oraz dzieje Zorjana-Piasta, jest bez żadnej kwestji identyczny z duchem twórcy epopei o „Królach-Duchach, czy „Królu-Duchu“.

W innych warjantach, jak np. we Fragmentcie III (Fragmenty luźne. Wyd. Art. Górskiego, tom VI, str. 555 — 557), Słowacki wprowadza *dwóch oddzielnych* śpiewaków.

Jeden — prawdopodobnie sam poeta — zapytuje niewiasty (Helois):

O ducha ksieni
Powiedz, co myślisz o tej *epopei*,
Gdzie JA człowiecze świat z siebie dobywa
I przeszłość wskrzesza i t. d.

Tu wyraźnie mowa o „Królu-Duchu“, lub związanych z nim pismach („Genezis“, „Teogonja“ i t. p.).

Po odpowiedzi Helois, poeta ciągnie dalej (w pierwszej osobie):

Rzekła, a *jam* się *ku* wieszczowi zwrócił
I rzekłem, niech cię, duchu, wszyscy święci
Natchną, abyś nam znów piękną zanucił
Pieśń z przedwiekowej wyjętą pamięci.

— — — — —
Wtem powstał nowy śpiewak między nami
I starożytne opowiadał dzieje,

Które ja na ton śpiewaka Solimy (Tassa)
Wiążąc, ubrałem w śpiewające rymy.

Kim jest ów nowy śpiewak? Czy to Eljasz—Zorjan?

A dalej, czy śpiewak ten ma jakie powinowactwo z potężnym strojnym w ognistą koronę śpiewakiem „nowego ducha“ ze wstępu do t. zw. „Rapsodu Zaniechanego“?

Jak z tych wątpliwości wybrnąć, wobec mnóstwa krzyżujących się z sobą i znoszących wzajemnie idee i pomysłów, rzucanych na papier przez autora „Króla-Ducha“?

* * *

Ostatecznie, te wszystkie szczegóły, nie pozbawione znaczenia, nie zmieniają w niczem faktu, że Słowacki nie tylko *siebie* wyłącznie uważał za „Króla-Ducha“ Polski lecz że przyznawał równe prawa Mickiewiczowi—a może i innym.

Identyczność Mickiewicza z wysokim duchem św. Stanisława—zdaje się już nie ulegać wątpliwości. Co do Bolesława Chrobrego—istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że poeta chciał tę postać monarszą zlać z postacią wieszczą litewsko-polskiego. O tożsamości Jagielly z Mickiewiczem — świadczy napewno cytowany uprzednio ustęp z „Zawiszy Czarnego“, a jeżeli ten pomysł, jak przypuszcza p. Kleiner, opierając się na jednej ze strof Rapsodu „Miecz a Sława“, miał ulec później zmianie — to niewątpliwie znalazłaby się, w razie wykończenia poematu, jakaś inna, i może niejedna figura królewska, będąca wcieleniem mickiewiczowskiego ducha.

A tego właśnie pragnąłem dowiedzieć, nie tylko dla wyjaśnienia zawilosci ideowych poematu, ale także dlatego, by oczyścić Słowackiego z krzywdzących zarzutów „samoubóstwienia i obłędu wielkości“, czynionych poecie wielokrotnie, ale sformułowanych najdobitniej i najszczer-

rzej w wartościowej i poważnej, choć bardzo stronnej książce prof. Tretiaka.

* * *

Jeszcze jeden zarzut robiono i robią dotąd niekiedy Słowackiemu, a mianowicie, że, w pogoni za pięknem artystycznym, zatracił, zaniedbał, czy też nie spełnił należyte obowiązki względem ludzkości i narodu własnego.

To nieprawda.

On je czuł i spełniał. Są na to świadectwa. A jeżeli wątki organizm i marzycielskie nawskroś usposobienie utrudniały poecie wykonywanie czynów realnych, dających rezultaty doraźne, praktyczne, to cała niemal jego poezja, zwłaszcza w drugiej połowie życia, przepełniona jest gorącą miłością dla bliźnich i dla swojego narodu. Miłość ta, nie mogąc się wyładować w czynie, doprowadza poetę do egzaltacji mistycznej, którą tełnią wszystkie jego utwory z epoki mesjanizmu.

Nie chcemy tu przytaczać i rozbierać szczegółowo dzieł i ustępów, świadczących o wybujałości uczucia narodowego w Słowackim. Cały jego systemat mistyczny, cały „Król-Duch“, „Zborowski“ i t. d. — to dokumenty niezbite, których wartość może negować tylko ciasny utylitarysta nie rozumiejący, że poezja, przepojona pewnym nastrojem, to nie zbiór pustych słów, lecz — czyn.

Zamiast dowodów krytycznych, przytoczę tu jedną, mało na ogół znaną, strofę z fragmentu „Poeta i natchnienie“, gdzie poeta sam siebie karci za swoją nieudolność, że się tak wyrazimy „realno-praktyczną“, ale rehabilituje się, podnosząc potęgę swych uczuć i wyrażając gorący zamiar ratowania pieśnią tego, czego nie mógł ratować dłonią*).

*) W oryginalny nieco sposób dowodzi tej samej, mniej więcej, tezy w „Przeglądzie Narodowym“ (Lipiec, Sierpień 1909)

O tak! nim ja w śmierć Ojczyzny uwierzę,
Chociażby, jak trup, leżąc w grobie zbrzydła:
Potargam wprzód ją pieśnią na pierze,
Położę wprzód na pieśniane skrzydła,

p. H. Boguski w artykule p. t. „Juljusz Słowacki, Testament mój“ Ponieważ — jak Sz autor dodaje w końcu — artykuł wymieniony ma być odpowiedzią na moją książkę, p. t. „Słowacki i nowa sztuka“, zmuszony jestem słów parę mu poświęcić. Pomijam wywody autora, zmierzające ku temu, żeby, wbrew twierdzeniom prof. Tretiaka, uznać „Testament“ za ostatni utwór Słowackiego. Mnie osobiście więcej przekonują argumenty Tretiaka. — Sama redakcja „Przeglądu Narodowego“ słusznie zwróciła w dopisku uwagę na nieścisłość autora w pojmaniu idei przewodniej „Genezis z Ducha“ i organicznego związku tego właśnie utworu z „Wykładem nauki“ i „Królem-Duchem“. A właśnie przez to niedopatrzenie, cała konstrukcja myślowa artykułu p. Boguskiego traci grunt i upada.

Słowacki nie tylko nie pogardził i nie wyrzekł się swojej siły „zaprzecznej, odśrodkowej“, ale operuje nią do końca życia, jako niezbędnym współmotorem ewolucji kosmiczno-narodowej, jako dopełnieniem — siły „dośrodkowej“, reprezentowanej przez Mickiewicza. Dość przeczytać uważnie „Samuela Zborowskiego“, wżyć się w oryginalną postać Lucyfera, oraz w „zaprzeczne“ figury Popiela i Bolesława Śmiałego w „Królu-Duchu“, by się o tem przekonać. Słowacki do śmierci pozostał sobą, a tylko w ostatnich latach twórczości doszedł do pełnej świadomości swoich sił i środków artystycznych i mógł się nie tylko wypowiedzieć całkowicie, ale zrozumiał doniosłość własnych a „świętych“ zdaniem jego „zaprzeczeń“ („O potrzebie idei“).

Mniemanie, że w „Testamencie“, Słowacki przez „zjadaczy chleba“ — rozumiał i przeczuł „modernistów dzisiejszych“, wygląda na żart. Więc Wyspiański, Żeromski i inne wielkie talenty młodej Polski — to zjadacze chleba? Cóż znaczy „zjadacze chleba“? jest to wolny przekład horacjuszowego „*Fruges consumere nati*“: „ludzie zrodzeni tylko do spożywania płodów, owoców ziemi“, — tłum, bezmyślny motłoch, filistry. Jak to połączyć z poetami, choćby najbardziej „zaprzecznego“ kierunku? P. Boguski powołuje się na filisterski artykuł „Tyg. Ill.“ o „Modernizmie i rewolucji“. Winszujemy czci dla takich autorytetów, jak porewolucyjne artykuły „Tyg. Ill.“ o modernizmie i modernistach! To już nie żart — to coś gorszego. Słowacki istotnie przeczuł naturę

Porwę ją z ziemi, tak, jak wicher bierze,
 Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
 Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
 Puszczę... jeżeli żywa, to polecą.

przyszłej poezji, ale jej bynajmniej nie potępił. W „Pamiętniku“ (wyd. Biegeleisena, str. 120) czytamy: „Poeci są wielkimi odgrzebywaczami słów duchów, bo je mają sobie podszeptane... Mickiewicz cała potęgą w tym rewelatorstwie słów. Czasem malarz, przechodzący na poetę, jest w słowach rewelatorem kolorytu. Dant, Wiktor Hugo. Muzyk, na poetę przeszedłszy, znajduje rewelatorskie wyrazy dźwięku. Po wielkiej liczbie dziś muzyków, *kiedys wielka liczba będzie harmonistów poetycznych, piszących wiersze tylko dla dźwięku, aż pójdą wyżej...*“ Wiemy ile muzycznego żywiołu tkwi w poezji najnowszej. Ale co to ma wspólnego ze „zjadaczami chleba“?

Pozostała mi jeszcze jedna kwestja, której w ramy tekstu wtłoczyć nie zdołałem. Oto prof. Tretiak zwraca uwagę, że ruchliwa i przebogata wyobraźnia poety odrywała go niekiedy od wątku przewodniego „Króla-Ducha“ i pchała do tworzenia obrazów cudownych artystycznie, ale pozbawionych symbolizmu mistyczno-historycznego. Jako dowód, przytacza, między innymi tę część księgi legend, gdzie dużo miejsca poświęcił poeta opisowi uśpionego przez Rzepichę kraju, oraz jego przebudzeniu. Niewątpliwie, obrazy w tym ustępie epopei tak są piękne i po mistrzowsku wykończone, że działają na czytelnika wprost narkotycznie. Przepych barw olśniewa, harmonja dźwięków upaja, a delikatność linii zachwyca. A że opis ten stanowi sporą i niejako zamkniętą w sobie całość, można więc na chwilę ulec wrażeniu, że jest to rodzaj „poematu w poemacie“.

Prawda, że symboliki, zawartej w szeregu obrazów, przedstawiających uśpione córki Popiela—niełatwo związać z symbolizmem, przepajającym epopeję. Ale epizod, jako całość, posiada bardzo wyraźne znaczenie symboliczne. To walka starych wierzeń z nowymi. Rzepicha wyobraża pogaństwo — Ziemowit: świtanie chrześcijańskiej zorzy. Podobną walkę przedstawił poeta w starciu Mieczysława z piękną kapłanką (w Rapsodzie „Miecz a Sława“).

Słowacki, jak wiadomo, nie negował wartości starych wiar i przyznawał pewną potęgę bogom pogańskim, jako duchom, czy symbolom siły bożej, przygotowującym ludzkość do wejścia na

Fragment „Poeta i natchnienie“, jak się zdaje, nie był przeznaczony do druku, w szczerą więc egzaltacji,

wyższe szczeble rozwoju (Por. „Wykład nauki“). Otóż uśpienie kraju przez Rzepichę—to wysiłek mocy niższych, broniących się od zagłady, jaką im grozi nowa wiara. Ziemowit budzi kraj ze snu, popchnięty do czynu przez „błyszczącego ducha“, który mówi do syna Piastowego:

— Przez Ciebie Pan świeci i zbawia
 Wstań — oto jedna mocarka, kobieta
 Przeciwno Pańskiej, swoją wolę stawia
 I ducha przeciw duchowi używa.

Ziemowit, błogosławiony przez Aniołów, sam o sobie mówi „Jam podolał—Wrogom Ojczyzny... jam *święty kościół*“.

To nasuwa na myśl przypuszczenie, że i Ziemowit był inkarnacją jakiegoś niezwykłego „ducha“, który — jak czytamy w urywku planu epopei — „zbudził ze snu słowiańską potęgę, dał odpór Niemcom“. a „siły antychrystowe“, okazały w walce z nim „swoją niemoc“.

Jest jeszcze możliwa inna, równoległa, interpretacja tego symbolu.

W planie poeta pisze: „Uśpienie słowiańskiego, pod *zdradą uciśnionego ludu*“. Budzi go Ziemowit, ale w zetknięciu z matką—Rzepichą, którą niweczą jakieś nadziemskie siły, z przerażenia i smutku.

Pada, jak martwy, a już trąby dzwonią;
 Sam król nadjeżdża — rycerze skrzydlaci
 Za królem w zbrojach purpurowych gonia
 Król — dłużnik wielki — królestwem zapłaci
 Może królowy której piękną dłonią,
 Był się zbudził *ów kmioteczka młody*,
 Który uśpione obudza narody.
 Zbudzi się kmiotek w duchu swego Pana.
 I *kiedys całe królestwo otrzyma*.

To brzmi jak aluzja do roli *ludu* w społeczeństwie polskim i spłata się z hasłem, wypisanem na chorągwi rycerza w „Anhellim“

jaka z tej strofy bucha płomieniami i żarem — możemy wierzyć bez zastrzeżeń.

i z nastrojem, dominującym w „Wierszu do autora trzech psalmów“.

Co do Rzepichy — to ponieważ zajęto się obecnie również i formowaniem „łańcucha gienetycznego“ postaci niewieścich w utworach z doby mistycznej Słowackiego, nasuwa się na myśl przypuszczenie: czy Rzepicha nie jest dalszym ciągiem, nową inkarnacją matki Popiela I, Rozy Wenedy, „wieszczki i wiedźmy“, groźnej przedstawicielki dawnych czasów i mścicielki wybitego ludu Wenedów?

Warto by także zastanowić się nad jej stosunkiem do figury kapłanki w Rapsodzie „Miecz a Sława“.



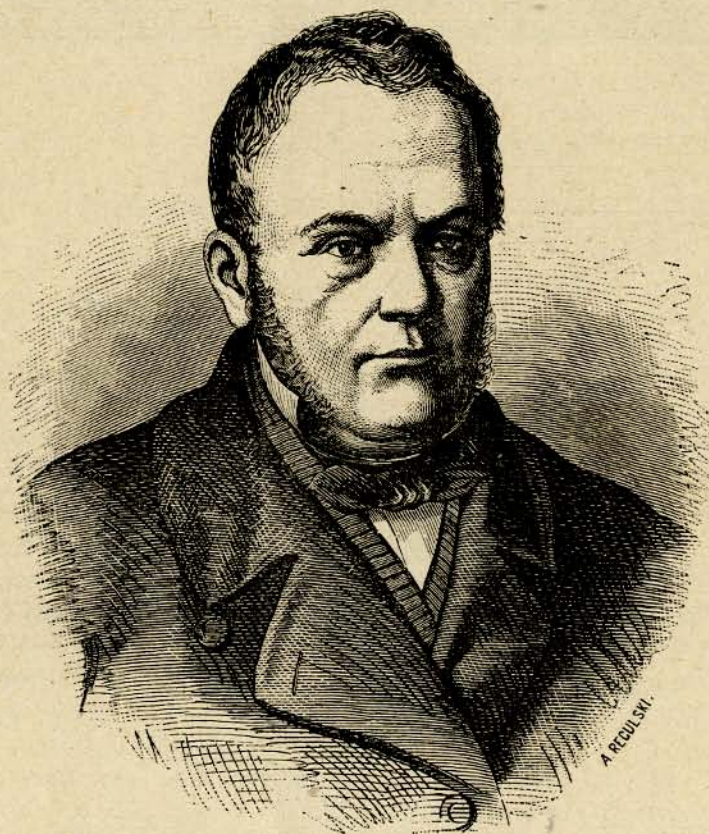
LEOPOLD MÉYET:

SŁOWACKI I WISZNIEWSKI.

PRZYZYNEK DO ŻYCIORYSU POETY.

W zbiorach, pozostałych po nieodżałowanej pamięci Wincentym Korotyńskim, znalazł się ręką jego dokonany odpis nieznanego listu Juliusza Słowackiego bez wskazania osoby, do której był napisany. Odpis ten zrobiony na dużej ćwiartce zwyczajnego, żółtawego papieru, piórem gęsim, sięga, według objaśnień p. Władysława Korotyńskiego, syna zmarłego redaktora, 1870 lub też następnego roku, t. j. owego czasu, gdy Wincenty Korotyński pracował nad życiorysem Michała Wiszniewskiego i korzystał z jego rękopisów, znajdujących się w bibliotece hr. Przezdzieckich w Warszawie. Później bowiem pisywał tylko piórem stalowym na białym papierze listowym.

Odrzu więc powstało przypuszczenie, czy list ów nie jest czasem fragmentem większej korespondencji, prowadzonej między wielkim poetą a znakomitym filozofem i historykiem literatury. Wprawdzie w listach Słowackiego do matki i przyjaciół, oprócz jednej, drobnej, w liście do Stattlera, nigdzie żadnej o Wiszniewskim nie znajdujemy wzmianki, ale wiadomo, że korespondencja poety nie doszła nas w całości, a zresztą nie zewszystkich wydarzeń swego życia mógł on zwierzać się matce lub przyjaciołom.



Michał Wiszniewski

według drzeworytu A. Regulskiego.

(Ze zbiorów autora).



Juliusz Słowacki

według fotografii z rysunku Teofila Januszewskiego w Rzymie 1836 r.

(Ze zbiorów autora).

Polegając na owym domyśle, rozpocząłem poszukiwania we wspomnianej księżnicy. Tam bowiem znajdują się materiały do dalszych tomów „Historji literatury polskiej“, oraz ogromna korespondencja naukowa od 1840 do 1850 r.

Są tam listy Tytusa Działyńskiego, Libelta, Trentowskiego, Łukaszewicza, A. E. Koźmiana, Tyszyńskiego, Gołębiowskiego, Antoniego Wagi, Hipolita Skimborowicza i wielu innych. Sądziłem, że wśród tych materiałów znajdą się może i listy Słowackiego.

Lecz nadzieja zawiodła: listów Juljusza dotychczas odnaleźć się nie udało. Znajdą się one może, jak mnie zapewniano, później, gdy Biblioteka Przezdzieckich w swej nowej siedzibie uporządkuje ostatecznie dział rękopisów a z nimi i pozostałą po Wiszniewskim spuściznę.

Jeżeli jednak nie natrafiłem w tym zbiorze na autograf listu poety, któryby domniemanie moje mógł w fakt niezbity zamienić, to odnalazły się wszakże pewne wskazówki, pewien, że tak powiem, dowód pośredni, który o istnieniu korespondencji między Słowackim a Wiszniewskim żywe nam daje świadectwo.

Wśród rękopisów, w zeszycie z nagłówkiem: „Listy literackie—Epoka IX“, mającym służyć jako materiał do dalszego ciągu „Historji literatury“, przechowały się listy angielskie Mac Donalda z Wiednia, Wenecji, Rzymu, Genui i Szwajcarii, wszystkie w 1836 r. do Wiszniewskiego w Krakowie pisane. Dowodzą one serdecznego między nimi stosunku, który istniał oddawna, bo sięgał jeszcze krzemienieckich czasów.

Wiszniewski urodził się w ziemi Bełzkiej, w Firlejówce, wiosce ojca swego, Aleksandra, d. 3 września 1796 roku. Zmarł w Nicei d. 22 grudnia 1865 r. Skończył gimnazjum wołyńskie w Krzemieńcu. W r. 1815 pojechał, celem dalszego kształcenia się, do Paryża, gdzie słuchał wykładów Guizota, Cousina i Leona Saya, a następnie do uniwersytetu w Edynburgu. Tam obcował często z profesorami Wilsonem i Hamiltonem, z Walter Scottem,

sławnym ekonomistą Mac Cullochem oraz redaktorami „Edinburgh Review“, którzy go o współpracownictwo w tem piśmie prosili. Miasto Edynburg obdarzyło go obywatelstwem honorowem, a uniwersytet zapisał do grona najznakomitszych uczniów swoich. W bibliotece uniwersytetu tamtejszego znajdują się też wszystkie dzieła Wiszniewskiego. Za pobytu w Londynie uczęszczał na posiedzenia parlamentu i zdawał z nich sprawę w artykułach p. t. „Cudzoziemiec w Parlamencie“, które drukował *Times*, znajdując, że spostrzeżenia i poglądy Wiszniewskiego są ciekawe i dla anglików zupełnie oryginalne.

Po powrocie na Wołyń, dla urządzenia swych interesów i krótkim tam pobycie, Wiszniewski wyjechał do Szwajcarii i Włoch. W Genui zetknął się w r. 1818 z ks. Adamem Czartoryskim, ten zaś, poznawszy go bliżej, powziął zamiar powierzenia mu kierownictwa szkoły krzemienieckiej, której, jak również uniwersytetu wileńskiego, był kuratorem. Wiszniewski przeto pospieszył z Paryża do Krzemieńca, gdzie podczas zimowych miesięcy 1822—1824 r. miał wykłady o filozofji. Lecz gdy czasy zmieniły się, a miejsce Czartoryskiego zajął Nowosilcow, Wiszniewski wyjechał z Krzemieńca i zamieszkał w swej wiosce Strzelce, ¹⁾ skąd wkrótce powtórnie wyjechał do Włoch, gdzie przebywał w 1825 i następnym roku, po czem na nowo powrócił do Strzelca. ²⁾

¹⁾ Strzelce v. Strelce, wieś w pow. włodzimierskim, gub. wołyńskiej o 42 wiorsty od Włodzimierza położona, miała w r. 1904 88 domów i 593 mieszkańców. W r. 1565 należała do Starostwa horodelskiego i miała wówczas 26 kmieci na dworzyszczach oraz 8 kmieci na różnych działach. (Słownik Geograficzny. T. XV. Cz. II. str. 627).

²⁾ Wiadomość tę czerpiemy ze wstępu Ludwika Niesiołowskiego do Wiszniewskiego „Myśli o kształceniu samego siebie“, do którego to życiorysu czytelników odsyłamy (Warszawa, w drukarni S. Orgelbranda Synów 1873 r.). Na uwagę zasługuje też broszura G. Korbuta: „Michał Wiszniewski i spuścizna po nim“. (Warszawa, E. Wende i S-ka, 1901 r.). F. M. Sobieszczański podaje, że Wiszniewski był nauczycielem — przewodnikiem ks. Konstantego

Wracając do Mac Donalda zauważyć należy, że nie ma go na liście profesorów krzemienieckich, których na każdy rok szkolny wymieniał t. zw. „Poczet nauk w liceum wołyńskim“, gdyż języka angielskiego nauczali tam: Jerzy Forster, Wilhelm Rose i Józef Mikulski.

Nie podaje go też p. Michał Rolle, doskonały znawca stosunków szkolnych krzemienieckich, w książce swojej p. t.: „Ateny wołyńskie“ (Lwów, 1898 r.). Znajdujemy natomiast w broszurze wydanej bezimiennie w Poznaniu w 1875 r. p. t.: „Prawdziwy życiorys Tomasza Padurzy“ wzmiankę, że profesorem języka angielskiego w liceum krzemienieckim był również „chmurny fantastyk, rodem ze Szkocji—Mac Donald.“—Jakoż w papierach po liceum krzemienieckim, przechowywanych w archiwum uniwersytetu kijowskiego, znajduje się według objaśnienia udzielonego mi przez młodego historyka, p. Ludwika Janowskiego, własnoręczne w języku francuskim pokwitowanie Mac Donalda z odbioru pewnej, niewymienionej tam sumy za wykłady od stycznia do grudnia 1815 r. Wynika z tego, że Mac Donald nauczał tam języka angielskiego, nie będąc na etacie.

Mac Donald więc, o którym z korespondencji z Wiszniewskim dowiadujemy się, że używał dwóch imion: Jakuba Wilhelma, był zapewne nauczycielem prywatnym języka angielskiego. Po zamknięciu liceum i po powrocie, który nastąpił w Krzemieńcu skutkiem wypadków

Czartoryskiego, z którym w r. 1825 jeździł do Włoch i Francji południowej, otrzymawszy zaś za to umówione, znaczne wynagrodzenie, nabył własność ziemską na Wołyniu i zaczął gospodarować. (Encyklopedia powszechna S. Orgelbranda. T. 27. str. 272). Nazwy jednak tej majątności, którą niezawodnie była Strzelcza, Sobieszczański nie podaje, a wiadomość sama jest w pewnej sprzeczności z tem, co czytamy u Niesiołowskiego. Dokładniejsze atoli są zapewne fakta, przytoczone przez Niesiołowskiego, który korzystał z notat, skreślonych we Włoszech i dostarczonych mu osobiście przez Wiszniewskiego, oraz z jego dokumentów rodzinnych.

wojennych 1830—31 r., opuścił „Ateny Wołyńskie“ i podróżował po Europie, przebywając dla zdrowia najdłużej we Włoszech. Treść późniejszych jego listów do Wiszniewskiego wskazuje, że, przebywając w Krakowie, trudnił się nauczycielstwem. Ostatni z tych jego bilecików bez stempli pocztowych, nosi datę 28-go stycznia 1839 r. Przeniósłszy się następnie do Londynu, zmarł tam niebawem d. 28-go czerwca, o czym Wiszniewskiemu donosi brat jego, Donald Mac Donald, w liście z d. 22-go października t. r.

Za pobytu w Rzymie, na wiosnę 1836 r. Mac Donald spotkał wielu przebywających tam Polaków. Byli też i jego dawni, dobrzy znajomi z Krzemieńca: Teofil Januszewski, wuj Słowackiego, który dla poratowania zdrowia żony swej, Hersylji, wybrał się na czas dłuższy do Włoch. Tam też, jak wiadomo, pod koniec lutego t. r. spotkał się Słowacki z dawno wyczekiwanymi Januszewskimi a całkiem niespodziewanie z Mac Donaldem, swoim niegdyś nauczycielem języka angielskiego. W „Pamiętniku“ wspomina o nim poeta, że dawał mu lekcje tego języka, gdy po skończeniu uniwersytetu, przed wyjazdem do Warszawy, bawił u matki w Krzemieńcu. „Mac Donald—pisze—dziwił się nad moim postępem; we trzy miesiące już dosyć rozumiałem Byrona“. ¹⁾

Z korespondencji też Mac Donalda z Wiszniewskim najżywiej zajmują nas w danej chwili te ustępy, w których jest mowa o Słowackim. W ciekawym liście z Rzymu, z d. 1-go kwietnia 1836 r., jest nadto wzmianka o Zdzisławie i Auguste Zamoyskim, o pani Hermanowej Potockiej, o malarzu Kaniewskim i o Zygmuncie Krasieńskim. Oto niektóre z listu tego wyjątki w przekładzie:

„Powiem Panu słów kilka o obecnym stanie mego zdrowia i jednocześnie opowiem coś, co sprawi Panu wiele przyjemności.

¹⁾ Zob. wydanie moje „Listów Juliusza Słowackiego“, Lwów, Księgarnia Polska, 1899. T. I, str. 20.

Onegdaj, gdy jadłem obiad „pod Zającem“, ktoś uderzył mnie po ramieniu i zapytał: czy nie nazywam się M.? Powstałem z miejsca i natychmiast poznałem pocztową twarz Januszewskiego, który razem z żoną znajduje się w doskonałym zdrowiu i usposobieniu. Dał mi swój adres i zaprosił na herbatę wieczorem, gdzie, jak Pan sobie możesz wyobrazić, spędziłem czas najprzyjemniej w towarzystwie tej doskonałej pary małżeńskiej i syna pani Bécu—Sło..., który tu niedawno przyjechał, ażeby się połączyć z krewnymi swymi. Pozwoliłem sobie uczynić wyrzuty (Januszewskiemu), ile można łagodnie, za owo długie milczenie; zapewnił mnie, że pisał do Pana dwa razy, lecz dostał tylko jeden list od Pana. Powodem tego jest częsta zmiana miejsca od czasu pierwszego przybycia do Włoch; spędził np. 2 do 3 miesięcy w Livorno, krótko był w Pizie, pewien czas w Luccie, cztery miesiące we Florencji, gdzie zimno było bardziej nie do zniesienia niż w Krzemieńcu; byli w Rzymie, gdzie spędzili z górą tydzień i mają zamiar zwiedzić Neapol około końca tego miesiąca. Prosił już o prolongatę pasportu, na co jednak nie otrzymał jeszcze odpowiedzi“...

Przy końcu tego obszernego listu znajdujemy dopiski polskie, bez podpisu wprawdzie, lecz znanym mi dobrze charakterem pisma Teofila Januszewskiego i żony jego, Hersylji, z domu Bécu, przybranej siostry, a zarazem wujenki Słowackiego. Dopiski te świadczą o serdecznym, poufałym stosunku, jaki istniał między Januszewskimi a Wiszniewskim, a który sięgał również dawnych, bo krzemienieckich, czasów.

Januszewski pisze:

„[Po] jednym waszym, kochani Państwo, przed 3-ma miesiącami we Florencji otrzymanym liście i po jednym naszym z Florencji do was wysłanym, dawno już, dawno niceśmy o sobie nie wiedzieli; gdyby nam było dobrze pisałibyśmy byli, aby z wami szczęście nasze podzielić, gdyby było [źle] pisałibyśmy szukając u was pociechy, ale nie było nam dobrze ani źle, więc milczeliśmy tem

naturalniej, żeśmy wędrowali, podziwiając, gawroniąc, a wiadomo, że dziwiący się zwykle milczy. Największe zadziwienie moje było widzieć, bardziej spostrzec pocztowego Macdonalda nad talerzem kalafiorów u traktyjnego stołu w Rzymie, źle tylko, że schorzały i z wędrowki swojej nie zupełnie kontent [lecz] pobyt z nami odzyska może humor, w Neapolu—polepszy zdrowie. Zapytam się naprzód, co się z Wami dzieje, Szanowny, kochany Michale, a nim nas odpowiedź dojdzie, powiem Wam przez co my przechodzili; otóż przeszliśmy przez Styryją, Karantję, Tryest, przez morze, Wenecją, Florencją, Pizę, Livorno, Lukę, a teraz przechodzimy wzdłuż dzisiejszego Rzymu. Jeżeli nam zdrowie posłuży, tyle przynajmniej, ile dotychczas służyło, powlecemy się do Neapolu, a potem z lepszą kieszenią i z niecięższą głową do domu. Z księgarskich projektów naszych nie podobno nie będzie, chociaż wniesienie Twoje trafiło do przekonania mego, chociaż i bawiący od niedawna z nami Julek do spółki czynnie chciał także należeć. Handel krajowców do bankructwa tu doprowadza, cudzoziemca odrazu by powalił, o tem przekonałem się, bawiąc kilka tygodni w Livorno, widząc położenie jednego z naszych Ziomek we Florencji, który nie mogąc rozprzedać zakupionego wina, rozgniewany, zrozpaczony wino wypił, butelki potłukł i handel zamknął; jedyna karjera dla goniącego za spokojnością zostać Księdzem w Rzymie, cóż kiedy żony mojej do klasztoru zwabić niepodobna pomimo całej kokieterji, z jaką Ciotunia i siostrzyczka w klasztorze ją przyjmowały¹⁾. Otwiera się dla nas jeszcze jedno; drugiej Ciotuni naszej Mąż utrapienia życia doczesnego i majątek spory zostawił, nie ma dzieci i nas najbliższych za dzieci przyjąć nie chce, potrzeba więc

¹⁾ Mowa zapewne o Agnieszce Dumanowskiej, siostrze Aleksandry Januszewskiej, matki Teofila, która w młodym wieku została zakonnicą, i przebywała w jednym z klasztorów w Krakowie. O tej zakonnicy wspomina Słowacki w „Złotej czasce“. (Akt I, scena 3).

pochodzić około Ciotuni, to jest wracając, zatrzymać się pode Lwowem u niej i kierować się na spadkobierców¹⁾ Niepokojność dręcząca nas o Was zmniejszyła się nieco za przybyciem Macdonalda, radziłyśmy jaknajprędzej dowiedzieć się, że Was złe minęło, że zostajecie równie cenienni i lubieni, że się z Wami zobaczymy tam, gdzieśmy się rozstali, oby tak było.

Uszanowanie Szanownym Rodzicom. Uściśnienie i pozdrowienie Wam i dziatkom²⁾, chcielibyśmy po roku od dziś powracać. Sedlmajerowi³⁾ ukłony. Zienkowi-
cza⁴⁾ zapewne już z Wami niema.

W dalszym ciągu dopisek Hersylji:

„Przyjazne, prawdziwie przyjacielskie wspomnienie Wasze o nas, troskanie się nawet w czasie panującej cholery,... jak miłe było dla nas opowiadanie Macdonalda, jak Wam za to dziękujemy, przebyliśmy niebezpieczeństwo, nie lękając się i nie myśląc o nim. Włoskie powietrze nie bardzo działa na zdrowie moje, ile słońce jest jasne i pogodne, tyle przykrą zima i prawie do nieznieśsienia. Jeżeli nam pozwolą, rok zabawiemy jeszcze, za powrotem, abyśmy Was zdrowych i wesółych zastali bez

¹⁾ Krystyna Krzysztofowiczowa, druga siostra Aleksandry Januszewskiej, właścicielka wsi Ubień v. Ubin, w powiecie kamienieckim, w Galicji. Zmarła bezpotomnie dnia 11 czerwca 1846 r., Ubień zaś drogą spadku przeszedł na Teofila, panią Bécu i Stanisława, syna nieżyjącego jej brata, Jana Januszewskiego. O pobyciu w Ubień donosi Teofil Józefowi Mianowskiemu ze Lwowa, dnia 27 grudnia 1836 roku (Zob. ogłoszone przeze mnie „Listy Teofila i Hersylji“ do w tegoż Bibliotece „Wieku“. Warszawa, 1897 r. T. XLIII, str. 207). Słowacki w listach swoich wspomina często o Ubień i przez pewien czas nosił się z myślą zamieszkania w tej majątności.

²⁾ Wiszniewski poślubił w r. 1818 piękną i bardzo wykształconą córkę Ignacego Mutyna Lisieckiego. Z małżeństwa tego miał trzy córki: Ludwikę, Marję, Michalinę i jednego syna, Adama.

³⁾ Wzięty lekarz krakowski.

⁴⁾ Zapewne Leon Zienkiewicz, znany pisarz, który wówczas redagował i wydawał w Krakowie „Pamiętnik powszechny nauk i umiejętności“.

żadnych mniej pomyślnych odmian..... Ciebie Pani zachęcającą do handlu owiec i mydła. Pozdrowienie całemu Waszemu domowi, uszanowanie Szanownym rodzicom.“

Po tym wreszcie dopisku, na samym końcu listu Słowacki napisał słów kilka, które jednak z powodu uszkodzenia rękopisu w całości przytoczyć się nie dadzą:

„Choć nieznajomy Panu, przypisuję się do listu Teofila, aby złożyć Panu podziękowanie za..... Tak mało papieru, że na tym podziękowaniu skończyć muszę — spodziewam..... wypadki dadzą obszerniejszy plac do poznania się — rozmówienia z sobą — a mnie do.....“

W ostatnim uszkodzonym wierszu szereg kropek — i nie więcej.

Adres listu ręką Mac Donaldal:

„Polonia. Monsieur
Mons-r de Wiszniewski
Directeur du Lycée et Professeur
à l'academie
à Cracovie.

p. Vienne et Brünn à Cracovie.

Stempel pocztowy:

V. Stato Pantificio.

O Słowackim pisze jeszcze Mac Donald w liście z Rzymu z dnia 26-go kwietnia 1836 r.:

„Mój drogi Panie,

Nasza podróż do Neapolu ułożona obecnie w następujący sposób: Januszewski, Sło..... jego siostrzeniec i pp. Z. B. ¹⁾ pójdą piechotą, ja zaś będę towarzyszył pani J. w eskorcie dwóch lub czterech czworonogich zwierząt; piesi wyjdą stąd na dwa lub trzy dni przed nami, tak

¹⁾ Zdziśław i August Zamoyscy oraz anglik, Benfield, który był mentorem Jerzego Lubomirskiego i Michała Giżyckiego z Wołynia. W liście z d. 1-go kwietnia wspomina Mac Donald, iż tenże Benfield był w poufałym stosunku z Zygmuntem Krasińskim za jego pobytu w Rzymie.

ażebyśby dogonić ich mogli po drodze: wyjdą stąd uzbrojeni i wyekwipowani do podróży i w najlepszym humorze. Zenon, założyciel filozofii stoickiej, nauczał uczniów swoich tej maksymy: znosić i przenosić.“

W dopisku wreszcie donosi:

„P. S. Szczęście, że deszcz dziś nie pada. Spotkałem Januszewskiego i Sło..... na obiedzie i, gdy poprosili mnie, ażebym im do Villa Pamphila towarzyszył pieszo, zebrałem wszystkie potemu siły i powróciłem już zupełnie wyczerpany: jest to najcięższy plan, jaki przedsięwziąłem od wielu lat, lecz będąc w towarzystwie tak miłych ludzi, nikt nie może i nie powinien się uskarżać.“

Januszewscy w liście z Florencji donieśli zapewne Wiszniewskiemu o spodziewanem spotkaniu się ze Słowackim, Wiszniewski przesłał może dla niego ukłon, lub przypomnieć się pragnął poecie, którego znał jeszcze chłopackiem, a następnie młodzieńcem w Krzemieńcu i Wilnie. Gospodarując w Strzelczy jeździł do Krzemieńca i Wilna, a odwiedzając znajomych, mógł spotkać się i ze Słowackim. Jakoż w liście z Wilna z d. 19-go września 1826 r. pani Bécu donosi Odyńcowi:

„Wczora miałam u siebie przybyłego z Krzemieńca Wiśniewskiego, autora „Pamiętki po dobrym ojeu“. Do-rzeczy i przystojny bardzo. Dzieci przepędziły wieczór ze Szpitznaglową ¹⁾ u Berkmanów, ²⁾ a ja w domu z Julkiem.“ ³⁾ Za tę więc pamięć uprzejmą w liście do Janu-

¹⁾ Wdowa po Ferdynandzie Spitznaglu, doktorze medycyny i profesorze uniwersytetu wileńskiego. Najstarszy z synów, Ludwik Spitznagel, świetnie za młodu rokował nadzieję, uwieczniony w poemacie Słowackiego „Godzina myśli“, był też serdecznym przyjacielem i kolegą w młodzieńczych latach Juljusza.

²⁾ Jan Baerkman, doktor medycyny, profesor policji lekarskiej, higieny i medycyny sądowej na uniwersytecie wileńskim a później w Akademji. Zmarł w Petersburgu w 1856 r.

³⁾ Zob. ogłoszone przezemnie „Listy Salomei Słowackiej-Bécu do Ant. Edw. Odyńca“ w „Przewodniku naukowym i literackim“, Lwów, 1898.

szewskiego podziękował Wiszniewskiemu Słowacki w przypisku do listu Mac Donalda. Lecz powyższemi kilku słowami ograniczyła się bezwątpienia cała w owym czasie między nimi korespondencja. Nie spodziewał się Słowacki, że po trzech blisko latach będzie musiał ją zawiązać nanowo, i to w nader smutnych dla siebie okolicznościach.

Po powrocie z podróży do Egiptu i Jerozolimy i po spokojnym, szczęśliwym pobycie we Florencji, poeta z różnemi nosząc się zamiarami, postanowił opuścić Włochy i przenieść się na stały pobyt do Paryża.

Lecz jakby smutnem z powodu wyjazdu tego tknięty przecuciem, pisze do matki dnia 21-go sierpnia 1838 roku, w ostatnim liście z Florencji, te rzewne słowa, które dyktowała tęsknotą i oddaleniem zwiększona miłość synowska:

..... „Ale oto już wieczór, i ten, co na świecie i ten, co się robi w czuciach i myśli człowieka; muszę więc ciebie dłużej nie smucić tą szarą barwą wieczornych pamiętek, ale pocałować ciebie i zakończyć ten list miłym jakim pozdrowieniem, bo powracasz z podróży pamiętek do pustego domku twego wdowiego w Krzemieńcu, i cóż w nim znajdziesz? Oby ten list był pierwszym z witających ciebie, obyś go, tak jak zawsze, przyjęła jak dziecko dziecka szalonego i marnotrawnego, któremu szaleństwa już zamknęły wrota powrotu. Między Czerczą a Bazylianami stoi dla mnie ta brama Danta, na której jest napisano: *Lasciate ogni speranza*; ja też raz przeczytawszy napis, odwróciłem się zalany łzami i poszedłem dalej, i coraz dalej idę; więc tak oddalającemu się błogosławi ty, droga, i wejdź na górę najwyższą i błogosław mu, ażeby Bóg ciebie widział bliżej i błogosławieństwo twoje, aby mi kiedy jaki anioł zły nie powiedział na wejściu do wieczności: „smutna była, żeś ją opuścił“ ¹⁾.

Był to ostatni list z Florencji i z czasu pobytu

¹⁾ „Listy“ T. II, str. 111 i 112.

we Włoszech, poczem długa w korespondencji z matką nastąpiła przerwa. Przyczynę tego wyjaśniła p. Bécu w lakonicznym dopisku na oryginale tego listu: „Z powodu wypadków z Konarskim komunikacje wszelkie przerwane zostały.“

Jakoż z powodu sprawy emisariusza, Szymona Konarskiego, nastąpiła długa przerwa w korespondencji między matką a synem. Za udział w tej sprawie między innemi: dr. Antoni Beaupré i Zenon Michalski, koledzy i przyjaciele Słowackiego, zesłani do Nerczyńska, Teofil Januszewski na osiedlenie do Permu, a pani Bécu przez czas pewien zostawała w więzieniu w Żytomierzu. Słowacki przeto pozbawiony był wszelkich wiadomości o matce, i ta właśnie okoliczność przyspieszyła jego wyjazd z Florencji.

W grudniu 1838 roku przebywał już w Paryżu, gdzie spodziewał się łatwiej i prędzej niż we Florencji otrzymać wieści o najdroższej swemu sercu osobie¹⁾.

Zaniepokojony jego stanem rozpaczliwym Zygmunt Krasiński pisał w tej sprawie z Neapolu do Adama Sołtana w pierwszej połowie stycznia 1839 roku: „Jeśli cokolwiek będziesz mógł się dowiedzieć o matce autora Balladyny, w Żytomierzu pod dozór wziętej, to mi napisz, lub zaraz prosto pehnij tę wiadomość biednemu chłopcu do Paryża: Rue Fleurus hôtel Fleurus № 12, bo on tam pojechał w rozpacz. Matka jego zowie się p. Bécu, o to tylko chodzi czy zdrowa i czy wypuszczona“²⁾.

Lecz wiadomość tak pożądana nie nadchodziła. Wówczas Słowacki zwrócił się do Michała Wiszniewskiego z listem, który miał w ręku Wincenty Korotyński i którego wierny niezawodnie odpis nam przekazał. Dzięki uprzejmości syna ogłaszam ten list piękny i zajmujący:

Paryż, dnia 6-go lutego 1839.

¹⁾ „Listy“, Tom II, str. 112.

²⁾ Listy Zygmunta Krasińskiego do Adama Sołtana. Lwów. 1883. str. 143.

Panie!

Wiedząc, żeś raczył kiedyś zaszczycać przyjaźnią swoją mego wuja, Teofila J..., z którym niegdyś w Rzymie częstośmy imię Twoje wspominali, uprzedzony także od Macdonalda, nauczyciela mego niegdyś, o Pańskiej dobroci, teraz kiedy nowe nieszczęście spotkało rodzinę moją i pozbawiło mię wszelkich zasiłków z domu, śmiem się udać do Ciebie, abys mi, jeżeli możesz, w moim autorskim zawodzie dopomógł... Wydrukowałem kilka nowych dziełek poetycznych, które tu daleko od was, i zapewne wam dotąd nieznane, leżą i wzdychają do ojczyzny. Anhelli je prowadzi smutny i z twarzą obróconą na księżyc sybirski, idą za nim inne poemata w czarnych szatach wdowom i płaczkom podobne, a wszystkie wzdrygają się na dotknięcie księgarzy, a wszystkie chciałyby jakiej przyjaznej opieki, któraby natchnąwszy odwagę w świat wypuściła... Nie można by to ułożyć je w cedrowe trumny i gdzieś w waszych nieskazitelnych świątyniach umieścić?... czy grobowce waszych kościołów nawet są niespokojne i azyliów prawo utraciły?..

Odbyłem podróż wielką, zwiedziłem Włochy, Grecję, Egipt i Palestynę; chciałbym także, aby pamiątki moje i wrażenia przyszły do was, chciałbym i obrazkami je umilić czytelnikom, ale wzrastająca coraz obojętność, z jaką przyjmujecie prace nasze, zatrważa mię. Walczę z nią jeszcze trochę, opieram się zniechęceniu, ale jeżeli głód przycisnie, będę się musiał rzucić w zamęt francuskiej literatury, popsuć mój język rodzinny napływem obcych kształtów, a wtenczas już się nie poważę nigdy psuć polskiej mowy... niemym się stanę dla tej ojczyzny, od której jedynie chciałbym listek lauru otrzymać.... Przyszłość to jest dla serca mego okropna.. sama myśl o niej powaliła już z nóg moją samotną autorską dumę, i proszę was, pomóżcie moim książkom nowym, jeżeli możecie.

O Teofilu i o drugiej jeszcze droższej mi osobie wieść was bliższa już dojść musiała; jeżelibyście co o nich

wiedzieli, napiszcie mi... bo mi rozpacz serce rozdziera a niespokojność dawno snu pozbawiła. Rzuciłem Włochy i przeniosłem się do Paryża, sam nie wiem po co i dlaczego. Przywykły do niezależnego życia i do pracy wolnej umysłowej, nie umiem i nie wiem, jak chleba szukać innemi drogami. Przebac mi, drogi Panie, że Cię tym smutnym listem nieznajomego nudzę... a jeżeli znajdziesz nieco współczucia dla mnie i laskawej życzliwości, odpisz mi...

Przyjm wyrazy wysokiego szacunku i poważania.

Sługa...

Juljusz Słowacki

Paris
Rue des Marais St. Germain
N° 17, (bis).

II.

List Słowackiego nie pozostał bez odpowiedzi i Wiszniewski prośbie poety zadość uczynił. Nie zachował się wprawdzie nigdzie oryginał tego listu, ani jego bruljon wśród rękopisów w bibliotece Przezdzieckich, lecz w przekonaniu tem utwierdza treść drugiego listu Słowackiego pomimo wszelkich wprost przeciwnych pozorów, również do Wiszniewskiego pisanego.

List ten ogłosił, podznaczając swoje artykuły grecką literą ρ, Wincenty Korotyński w r. 1882 w *Kronice rodzinnej* wraz z listem Słowackiego do Antoniego Edwarda Odyńca z Paryża z d. 22 kwietnia 1832 r. Według wskazówek p. Władysława Korotyńskiego, i ów nieznany list Słowackiego ojciec jego zamierzał jednocześnie wraz z dwoma powyższymi ogłosić w *Kronice*. Przechowała się nawet jego kopia, przeznaczona do druku, ręką syna sporządzona. Nie zjawiał się on jednak na szpaltach tego czasopisma dla powodów zapewne od wydawcy i od redakcji niezależnych.

Ow list poety ogłoszony był w *Kronice* z pewnemi

opuszczeniami i błędami. Pozwolę sobie przeto przytoczyć tu wierny jego odpis z oryginału, znajdującego się w zbiorze moim, zachowując pisownię i przestankowanie poety. Powtórzenie to zresztą uważam za konieczne dla dowiedzenia stosunku istniejącego między Słowackim a Wiszniewskim i dla tem lepszego jego oświecenia.

Paryż 14-go maja 1839

Rue des Pyramides 6

Nie mogę wyrazić kochany Panie ile mię list twój uszczęśliwił — nie mówię nic o pieniężnych interesach i kłopotach, którym szczęśliwy przyniósł koniec, ale większem nadto dobrodziejstwem twoim Panie było, żeś mię nieco uspokoił o los matki. Od ośmiu miesięcy trawiłem bezsenne noce, pożerała mię niespokojności gorączka, teraz dopiero oddycham, ale i to przejście ze stanu udręczenia do spokojności gwałtownie wstrząsło moją nerwową organizacją... Jeszcze raz kochany Panie powtórz mi że matka moja zdrowa, albowiem w krótkim o niej frazesie listu twego, widzę jeszcze coś okropnego dla rozdrażnionej imaginacji... Teofila los smusi mnie, ale i dla niego życie mojej matki wielce teraz potrzebne... Matka moja biedna jest filarem teraz naszej spokojności. Cobyś o niej szczegółów kochany Panie mógł wiedzieć napisz mi, a więcej ci będę obowiązany niż za wszelkie przyśługi na świecie. Dzięki ci Panie żeś utwierdził trochę upadającą już we mnie wiarę w użyteczność prac moich... Oddawna przestaję na małym, a wyrzekłszy się przyjemności wielu memu wiekowi właściwych, ze szczupłych funduszków drukuję moje manuskrypta, i ze świeżo nawet przysłanych mi pieniędzy już użyłem część na druk nowej tragedji p. t. „Balladina“. W roku tym jest to czwarte wydane przezemnie poema — nie wiem czy o poprzedzających już wiecie...¹⁾ Mówię o sobie albowiem żada-

¹⁾ Trzy poematy: „Ojciec zadżumionych w El-Arish“ „W Szwajcarji“ i „Wacław“. Paryż, w drukarni i księgarni polskiej, 1839.

leś panie literackich wiadomości, a ja pomimo najszybszej chęci, nie mogę nie wynaleść w nowej od trzech lat literaturze coby z wielką pochwałą wspomnianem być mogło., wyłączam tu Irydioną, który znajomem (!) jest panu. Autor jego jest największym moim przyjacielem, bawiliśmy razem w Rzymie, widzieliśmy się teraz nie dawno jeszcze we Florencji... kto on taki—zapytać się trzeba innych, którzy tak jak ja do milczenia nie są zobowiązani. Wyszły tu nowe romanse Czajkowskiego, Wernyhora i Kirdżali¹⁾ te znać musicie, albowiem romanse prędzej jeżdżą niż żelaznymi drogami jadące powozy *Tygodnik poznański* admiruje autora²⁾, radbym wiedzieć czy wy podzielacie tę *extasis*. Bohdan Z. napisał sześć tomów religijno-poetycznych, wszystko to wkrótce zapewne będzie drukowane, ale trzeba żeby tam w Polsce trochę czytać zaczęto... albowiem księgarnia polska³⁾ straciła kilka tysięcy franków nawet na Tadeuszu!!! Straty podobne zraziły ją i teraz żadnego dzieła wydawać nie chce... zmuszeni są więc Autorowie tak jak ja biedny, być razem swojemi księgarzami... Jak na tym wychodzą domyślisz się panie⁴⁾. Błogosławiona ta, która mnie jak małe dziecko

¹⁾ „Wernyhora, wieszcz ukraiński, powieść historyczna z r. 1768“, 2 tomy. Paryż, 1838. „Kirdżali, powieść naddunajska“, 2 tomy. Paryż, 1839. Wydania A. Jełowickiego.

²⁾ *Tygodnik literacki* wychodził w Poznaniu od r. 1838 do 1846 pod redakcją Ant. Wojkowskiego. Drukował wyjątki z „Kirdżalego“ i pomieścił pochlebną o nim ocenę pióra J.N. S(adowskiego) w N^o 49 i 50 z d. 4-go i 11-go marca r. 1839. Słowacki drukował też w *Tygodniku* twory swoje i był w korespondencji z Wojkowskim.

³⁾ Księgarnia polska w Paryżu należała wówczas do Eustachego Januszkiewicza

⁴⁾ Taką samą skargę na niechęć publiczności względem pokupu książek polskich lub w przekładzie francuskim znajdujemy w liście Słowackiego z tegoż czasu, bo z dnia 22-go maja 1839 r., do Gaszyńskiego, ogłoszonym przeze mnie w N^o 119—122 *Gazety lwowskiej* z r. 1902.

dotąd utrzymuje i od nędzy broni... a na grobie moim będę musiał położyć głupiego szkota odpowiedź... która na kamieniu moim smutną będzie, to jest... że jestem synem mojej matki. I tak zaprawdę do końca będzie. Do literatury francuskiej zawsze wstręt miałem, nie myślcie więc żebym kiedy został renegatem, ale że jeszcze kiedyś xięgi jakiego kupca będę utrzymywał albo przypisywał nuty jak Rousso, albo kule do pistelów kupował, to być może... Ufam jednak, że mnie Bóg nie opuści... Żegnaj Cię łaskawy Panie jeszcze raz najrzeczniejsze ci składając dzięki za list i za przychyłność Twoją dla mnie... Chciej wierzyć szacunkowi i przyjaźni mojej.

Juljusz Słow.

Na ostatniej stronie adres:

à Monsieur

Monsieur

Johann Weissberg
à Cracovie.

List ten zarówno jak i poprzedni Słowacki mógł być napisać tylko do Michała Wiszniewskiego. Dwa te bowiem listy pozostają z sobą w faktycznym i logicznym związku. Upływ czasu między 6-m lutego, datą 1-go, a 14-go maja, datą ostatniego listu, wystarcza na przesyłkę pieniędzy i wymianę korespondencji między Paryżem a Krakowem.

Korotyński, nie przytaczając adresu Weissberga, objaśnia jednak we wstępie, że to był list pisany do jednego z literatów. Czy zdawał sobie sprawę, że tym literatem był Wiszniewski, tego ze słów jego nie widać. Nadmieniam zaś, że list ten „przechodził przez ręce pocztyljonów i policjantów tajnych galicyjskich, nim dostał się według przeznaczenia“. Błędnie natomiast przytacza, „że matka poety mieszkała wówczas w Galicji i wspomagała syna, ile mogła“, gdyż poprzednio zaznaczyłem, jakiemu wówczas uległa losowi.

Otóż zagadkę z Weissbergiem można wyjaśnić w ten sposób. Żadnego literata tego imienia i nazwiska ani wówczas, ani później, ani w Krakowie, ani też nigdzie indziej nie było. Z treści zaś obu listów Słowackiego płynie to przekonanie, że zwracał się do osoby, której zdanie cenił wysoko, która znała jego stosunki rodzinne, „utwierdzała upadającą wiarę w użyteczność prac jego“ i prosiła o „literackie wiadomości“. Taką osobistością nie mógł być przecież nieznany Johann Weissberg, tylko literat tej miary, co Michał Wiszniewski, gromadzący wówczas materiały do swojej historii literatury, profesor literatury polskiej i powszechnej na uniwersytecie jagiellońskim (1832—1848 r.).

Co większa, przypuszczając, że Weissberg mógł być bankierem lub kupcem, do którego Słowacki zwrócił się z interesem pieniężnym, czyniłem w tym kierunku poszukiwania przy pomocy nieżyjących już Władysława Łuszczkiewicza i Mieczysława Pawlikowskiego. Poszukiwania ich, jako też p. Przemysława Kotarskiego, w izbie handlowej, w księgach kongregacji kupieckiej, archiwum miejskiem i magistracie przekonały, że żadnego Johanna Weissberga ani przed, ani po r. 1840 w Krakowie nie było. Nie wspomina też o nim Louis-Wawel w swojej broszurze o „Kupcach krakowskich“¹⁾. Nie odnajdujemy go również na żadnym z cmentarzy krakowskich, gdyż nie wzmiankuje o nim w żadnym ze spisów zmarłych Stanisław Cyrankiewicz w swoim „Książkowym Przewodniku po cmentarzach Krakowa, Podgórze i Zwierzyńca. (Kraków, 1908 r.). O nazwisku takim nie słyszeli najstarsi ludzie w Krakowie, znający dobrze tę sferę, do której ów Weissberg mógłby należeć. Wszystko to więc doprowadza do niezbitego przekonania, że Weissberg był osobistością zmyśloną i nie istniał wcale. Pod tem tylko nazwiskiem Wiszniewski, odpowiadając Słowackiemu, polecił pisać do siebie, uczynił to zaś ów

¹⁾ „Kupcy krakowscy“ (1773—1846). Kraków, 1863.

przyszły, choć jednodniowy dyktator rzeczypospolitej krakowskiej, ze względów ostrożności. Były to czasy silnej reakcji, a bezpośrednie stosunki z emigrantem polskim tego znaczenia, co Słowacki, mogły być Wiszniewskiemu niedogodne. Miał on bowiem wielu niechętnych nawet w samym Krakowie, gdzie go uważano za cudzoziemca. Ostrożność ta musiała być uzasadnioną, skoro nawet anglik, Mac Donald, zachowuje ją w korespondencji z Wiszniewskim i, donosząc kilkakrotnie o Słowackim, obawia się widocznie wypisać nazwisko to w całości, a po przestaje na podaniu kilku początkowych liter. Adres wreszcie na liście do rzekomego Weissberga, bez stempli pocztowych, dowodzi, że dostał się od rąk Wiszniewskiego nie bezpośrednio, lecz drogą prywatną, w inny, z góry obmyślany sposób.

Istniała wówczas w Krakowie znana z patriotyzmu firma bankierska „Leona i Jana Bochenków“, utrzymująca stosunki z emigracją i dostarczająca wydawnictw emigracyjnych. Tę zapewne drogę wskazał Słowackiemu Wiszniewski i na ręce Bochenków przesłał poeta list dla Wiszniewskiego przeznaczony. O tych zaś usiłowaniach swoich otrzymania jakiegokolwiek wieści o matce przez znajomych w Krakowie donosi jej poeta w liście pełnym gorączkowego niepokoju i rozrzewnienia, pisanym z Paryża d. 24 czerwca 1839 r. po ośmiomiesięcznej przerwie: „Miesiąc temu nareszcie — woła — przez drogę starej stolicy odebrałem pomoc i wiadomość pocieszającą...“ — Fakt ten i data listu pozostaje w zgodzie z drugim listem do Wiszniewskiego. O Bochenku zaś wspomina Mac-Donald w każdym prawie liście do Wiszniewskiego.

Ów pierwszy, nieznany list Słowackiego i drugi, będący jego uzupełnieniem, wnoszą do historii życia wielkiego poety pewien fakt drobny może, lecz dotychczas nieznany.

Jest to stosunek Juljusza z Wiszniewskim, którego pomocy nadto zawdzięczał wydanie „Balladyny“. Czy trwał on długo, orzec trudno, z powodu braku materia-

łu i wszelkich zkadinań wskazówek. Korespondencja bowiem Słowackiego po jego zgonie uległa, jak wiadomo, na życzenie poety, zniszczeniu. Wyjątek uczyniono jedynie dla listów Zygmunta Krasińskiego, a w papierach pozostałych po Wiszniewskim, nie z tego, coby miało z przedmiotem tym związek, odszukać się nie dało, stosunek ten jednak mógł trwać i dłużej, skoro w liście do Wojciecha Stattlera, malarza, z d. 3-go czerwca 1844 r. Słowacki prosi go, by dwie minjatury rodziców, które wiozła do Krakowa młoda pani Szembekowa ¹⁾ i pozostawiła Michałowi Wiszniewskiemu, zabrał i przywiózł pocie do Paryża.

Nie dziwi nas zapowiedź rzucenia się w „zamęt francuskiej literatury“ zniechęconego brakiem uznania poety, gdyż z myślą tą nosił się już dawniej i jeszcze w r. 1832 rozpoczął w Paryżu pisanie obszernej powieści francuskiej „Le roi de Ladawa“, której wykończył sześć zaledwie rozdziałów ²⁾ a następnie z zamiarem wystawienia w jednym z teatrów paryskich „Beatrix Cenci“. Fragmenty francuskie tej tragedji oraz wiersza „o Paryżu“ znalazły się też w literackiej po Słowackim puściźnie. Może tym razem myślał o tem silniej, niż przedtem, by pisać po francusku, gdyż w liście do matki z dnia 24-go czerwca 1839 r. pisze: „Zacząłem pracować nad cudzoziemskim językiem, aby się usposobić do jakiego zatrudnienia“...

To zniechęcenie, odczuwane oddawna i głęboko, jest tylko echem silnej skargi, która na obojętność czytającego ogółu wyrwała się z głębi zbolalej duszy poety i znalazła swój wyraz w przepięknej przedmowie do „Ballady“, ofiarowanej Krasińskiemu.

¹⁾ Józefa z Moszyńskich, córka Piotra, b. marszałka szlachty gubernji wołyńskiej, następnie członka rady nadzorczej Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, poślubiona w roku 1842 Józefowi Maciejowi hr. Szembekowi, mieszkała wówczas w Krakowie.

²⁾ Listy I. 73, 77 i 78.

Słowacki zaczyna tam od „Apologu, który mu opowiadano nad Salaminę zatoką“ i z ubolewaniem porównywa siebie do „starego i ślepego harfiarza z wyspy Scio“, który śpiewał nad brzegiem morza Egejskiego, sądząc, że ma tłumy przed sobą, a tymczasem „najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal Egejskiego morza zatonął“. W innym znów do Krasińskiego liście, będącym przedmową do „Lilli Wenedy“, woła głosem zrozpaczonego: „Tylko ty, Irydjonie, nie opuszczaj mnie wśród zimnego świata słuchaczy! Tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa, a gdybyś widział idące na mnie węże, weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczy...“





JÓZEF WEYSSENHOFF.

Z POEZJI NIEMIECKIEJ.

WILLKOMMEN UND ABSCHIED

(PARAFRAZA Z GOETHEGO)

Już do niej czas. Więc noga w strzemię —
Poleciał koń mój lotem strzał.
Wieczorny sen kołysał ziemię,
Zawisała noc na szczytach skał;
Już, wypiętrzony w błękit siny,
Stał olbrzym-dąb w spowiciu mgły
I patrzył czarno z pod gęstwiny
Tysiącem oczu pomrok zły.

Miesiąc, wyrzawszy z za pagórka,
Przyświecał tęskno w wonnych mgłach,
Wiatr, szeleszczący w lekkie piórka,
Nawiewał w uszy dziwny strach —
Noc wyłoniła swe bojaźnie,
Przy drodze mej, czyhając tkwią —
Lecz dobrze mi, wesoło, raźnie
I w żyłach ogień płynie z krwią.

Z POEZJI NIEMIECKIEJ.

399

Przy tobie był. Z twych ócz lazuru
Wszechzapomnienia piłem zdroj —
I wszystko w nas było do wtóru,
I każdym tchnieniem byłem twój.
Wiosennej jutrzni pierwsze groty
Różowe padły ci na twarz — —
Od wymarzonej w snach pieśczoły
Przecudowniejszy uścisk nasz!

Lecz oto słońce już nas płoszy,
Uciekać mi potrzeba w dal — —
W uścisku twym ile rozkoszy,
W spojrzeniu twojem jaki żal!
Nie żegnaj mnie tak wzrokiem szklanym,
Odchodzącemu uśmiech daj, —
Co to za szczęście być kochanym
I kochać, Boże, co za raj!

„Leise zieht durch mein Gemüth“...

(PARAFRAZA Z HEINEGO).

Cichym żarem pała skroń,
Serce drży i rośnie —
Dzwoń, dzwoneczku wiosny, dzwoń,
Tryluj tryl o wiosnie.

Dzwoń i graj aż poza gaj,
Gdzie dom w kwiatach stoi —
Powiedz tam, że idzie maj,
Powiedz pani mojej.

SZCZURY WĘDROWNE.

Z HEINEGO.

Dwuch są gatunków szczury:
Syci panowie i głodne ciury.
Syte są domatorami,
Głodne wędrują światami.

Wędrują tysiące mil,
Nie znają spoczynku chwil,
Gdzie oczy niosą, tam im droga,
Nie strzyma ich wichura sroga.

Pną się na góry wysokie,
Płyną przez morza szerokie,
Niejeden zginie wśród mórz, wśród niw,
Umarli ostają, idzie kto żyw.

Mają ci te opryszki
Straszliwie zjadłe pyski
I głowy równo strzyżone pod sznur;
Tak się dziś nosi radykał szczur.

Socjalistyczna gromada
Nie modli się, nie spowiada,
Nie chce ni ślubów, ani chrzcin —
Kobiety są własnością gmin.

Nie zna zmysłowa ta partja
Nic oprócz picia i żarcia,
Nie myśli, gdy chce jeść i pić,
Że dusza nasza za grobem ma żyć.

Taka już dzika hołota!
Nie boi się piekła, ni kota;
Kto ma, ten wróg, kto nie ma — brat,
I chcą na nowo podzielić świat.

O zgrozo! wędrowne szczury
Podchodzą pod nasze mury,
Słyszę ich pisk, jak grozi i trwa —
Idzie ich ćma — —

Giniemy! biada nam, biada!
Do bram już zgraja dopada!
Pan burmistrz i ławników wiec
Nie wie, co począć i co rzec.

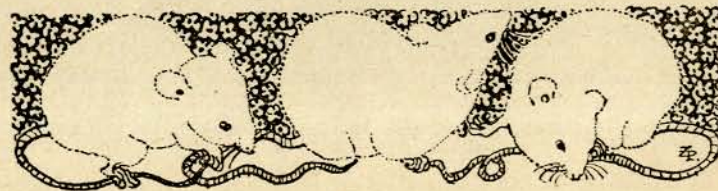
Mieszczanstwo staje pod bronią,
Klechy na trwogę już dzwonią,
Własność, moralny państwa grunt,
Obalić chce bezbożny bunt.

Ani te dzwony, ni giesty,
Orędzia ni manifesty,
Ani tysiączny armat park
Nie zwróci tej biedy, co spada na kark.

I na nic też misterne szyki
Dawno przebrzmiały retoryki;
Nie złapać szczura na słów kwiaty,
Skoczy przez wszystkie sofizmaty.

Pustym żołądkom wmawiać trzeba
Logikę zupy, dowód z chleba,
Argumentację nie bez okrasz,
Owszem z cytata frankfurckiej kiełbasy.

Milczący szczupak po żydowsku
Łatwiej przekona ich do wniosku,
Niż taki mówca Mirabeau
Lub Marcus Tullius Cicero.





JAN KLECZYŃSKI.

MARZANNA.

(Ciąg dalszy).

Okropny, kłujący ból przeszył mu palający mózg, jak ostrzem zimnej stali. Cała góra bólu zaciężyła straszliwie na jednym nerwie, na jednej ranie w tej głowie — a potem jakby przerwała się tam jakaś żyłka, jakby nerw zanadto napięty rozdarł się w błyskawicy bólu. Krwawe morze zaszumiało mu w głowie i porwało w wirującą otchłań, a dusza jego w tym wirze mdlała w głuchej boleści. A krwawy wir huczał wokoło, wciągał coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie czarodziejsko zajaśniał rudymi promieniami, jakby słońce przechodziło przez te krwawe odmęty i przedzierało się przez nie nawskroś — aż z tych wirów wykwitły wokoło złociste, iskrzące się, rozpalone rzeki i niosły, niosły na zatracenie, na śmierć, niosły w piekącym uścisku na falach rozkołysanych, szumiących... Hej! — sypią się z tych złocistych rzek iskrzyska djamentowe, iskry rubinów, iskry srebrzyste, iskry ciemnych granatów — wytryskują iskry promienne i kłują, lechtają i pieką, wytryskują drażniące igielki lśniącego śniegu i palą lodowatym dotknięciem, a fale stają się coraz

miększe, coraz cichsze, jakby snem upowite, spływają łagodnie, kojąco na jakieś rzeźwiące, a czulsze od puchów pajęczych łoża wilgotnych kwiatowych listków, chłodem rozkosznej świeżości otulających ciało i duszę... I w tem zatrzymały się fale, spiętrzyły się wokoło w kolumny czystego złota, w góry rubinów, co były jak skamieniałe krople krwi, świeżo z rany wytrysłej, w olśniewające stosy djamentów, jak łązy nieskalanych dziewic, w makaty wyszywane złotem, perłami, turkusami, ametystami, na których zamysłone słońce wygrywa oślepiające fanfary tęczowych światel...

To jego bogactwa, jego skarby, zdobyte na wrogach połowy świata. Poznaje książę — to jego zabawka w dzień nudy.

To on kazał powynosić na dziedziniec zamkowy te skarby bezcenne i sypać je sobie przed oczy. I patrzy leniwie, jak czarne ręce niewolników grzebią w stosach złota, stawiają przed nim kryształowe puhary, na których rzeźbiono dawne zwycięstwa królów pokonanych, patrzy, jak nalewają w nie cicho bursztynowy sok winogrodu i stawiają mu tuż pod boki, tuż pod ręką, tak jakoś dziwnie blisko, dziwnie wysoko...

Ha ha! — jakież to śmieszne, te czarne, spracowane ręce... same migają mu przed oczyma, jakby oderwane od ciał... Postaci nie widać zupełnie, tylko czarne ręce... To bardzo zabawne, ale to nie strasznego. To przecież tak zawsze, codziennie bywa, to doprawdy okropnie śmieszne, bo te ręce znikają raptownie i zostawiają go samego, samego...

Dziwnie w tem winie, co chwieje się jeszcze w kryształowych naczyniach, błyskają takie krwawe, uskakujące światła... Tak jakby krwią wypełnione były cudne puhary... I chociaż książę wie, że to nie krew, ale wino, tajemny lęk go ogarnia, nieuchwytny lęk czy tęsknota...

Ocknął się z odrętwienia.

Ach, oczywiście, to oni! —

Jeszcze raz podnoszą purpurową tkaninę namiotu i stawiają kubki, puhary... te czarne ręce.. Ha ha ha, jakżeż oni się boją!... Kiedyś zabił jednego, który śmiał głowę pokazać... Jacyż oni zabawni!... Co oni też o nim myślą? Kazał im wstawiać pożywienie, wsuwając ręce pomiędzy purpurę a murawę!... Zamknął się i nie wpuszcza nikogo!... Nikogo... nikogo...

I czeka.

Zerwał się w przerażeniu, ale natychmiast opadł na łoże.

— Na nią czekam, na nią... wyszeptał bezsilnie, nieprzytomnie.

Zamajaczyło mu niewyraźnie jakieś widmo rozkoszne, a straszne—zimna, biaława mgła, odurzająca jak zapach maków indyjskich. Poczuł okropną rozterkę wewnętrzną, nie do zniesienia. Każdy nerw drgał oddzielnie i rwał w swoją stronę. Zdało się, że mu wszystkie członki drętwieją, to znów, że całe ciało rozpada się na kawały.

Jeszcze nie pora, nie pora... Oh, tylko nie myśleć, nie pamiętać!...

Wiedział już, co miał czynić. O tej porze codziennie tak było.

Porwał za puhar i wychylił go duszkiem.

Tęgie wino zaszumiało mu we krwi rozkosznie i ciepłym odurzającym strumieniem, napłynęło do głowy.

Jedyne pożywienie. Dobrzy ci wierni żołnierze. Z głodu pomrą, a jego nie opuszczą, nie zostawią samego. A ten jeden, nieznany... skąd on się wziął?... on jeden go miłuje, a tamci tylko się boją. On go nie zna, zdaje się, że go nie zna, ale czuje, wie napewno, że ten jeden go kocha... Ciekawość, jak długo jeszcze tego czekania...

Oh, nie myśleć, nie myśleć!...

Jak te drzewa olbrzymie szumią i szumią, usypiają...

A może ona nigdy — nigdy? —

Ona?... ona... kto ona?! —

I nagle ujrzał się w olbrzymim, tajemniczym borze. Oboje byli na koniach, obok siebie, a za nimi, daleko — tłum wojsk—jej i jego. Drzewa szumiały — i nagle umilkły jak zakłęte. Cisza i cisza. Nawet konie stapały ostrożnie, bez szmeru, strzygąc uszami... Drzewa zdrętwiały, liście skamieniały, powietrze zamarło...

A potem co? — potem co? — Czy to było naprawdę?...

... Oczy mu zaszyły dymem... Ktoś dłonie mu położył na oczach, czarne, okropne dłonie przesłoniły mu świat... I leciał w czarną przepaść... a potem... jak się to stało?... taka niemoc... taki zamęt... Czuł, że koń pod nim pędzi w szalonych podskokach... Ktoś go szarpał, jakieś drapieżne ręce wydierały go sobie... i nagle to straszne wstrząśnienie, uderzenie... I oczy otworzył... w takim tłoku, w takiej rzezi... na ramionach żołnierzy... on — wódz — bezsilny... taką ciężkość, taką senność czuł w sobie, taki obłęd zdumienia, taką ślepą wściekłość... I widział tę walkę straszliwą... słyszał te dzikie, piekielne wrzaski, jakich w żadnej bitwie nie pamiętał... a potem... co było potem?...

Rozejrzał się obłąkanym wzrokiem po czerwonym namiocie...

Jakież to straszne!...

Ten namiot we krwi skąpany... we krwi!... we krwi!... Jemu przepowiedziano, że zginie we krwi!... zginąć ma we krwi własnej za tyle krwi przelanej!...

Gdzież on naprawdę jest?! — tak naprawdę... tak trzeźwo, bez obłędu, bez gorączki — gdzie on jest?! — W takim krwawym więzieniu... W rubinowej trumnie... To już majaczenia pośmiertne... To już ten świat inny, ten świat, o którym ona... ona... ten świat, gdzie ona w białej szacie ze srebrnymi gwiazdami... błada jak światło miesiąca, jak misa cynowa, jak te białe, okropne, odurzające dymy u jej stóp...

Nie... tego było za dużo.

Czuł, że oszaleje z przerażenia, jeżeli jeszcze coś zacznie przypominać, przypuszczać.

Drżącymi rękami pochwycił drugi puchar i pochłonał jego zawartość gorączkowo, aż mu oddech zaparło.

Już dobrze.

Ha ha ha ha! — wszystko jest śmieszne, wszystko, wszystko!

Jeszcze, jeszcze!...

I pił, i pił, aż bezwładnie, jak ścięte drzewo opadł na miękie posłanie, a ono zakręciło się pod nim, jak żywe i popłynęło jakoś na ukos w kąt purpurowego namiotu, aż zawróciło raptownie, zaczęło się kołysać i drżeć i jakby rozpląwać się w nicość — i nagle krwawe koliska zawirowały księciu przed oczyma szalonym wirem — i runął w szumiącą przepaść, ciągnąc za sobą kłęby bezkształtnych, porwanych obrazów i słów niezrozumiałych, co mu huczały, brzęczały, świergotały nad głową i krakały jak stado kruków nad padliną.

I leciał w zapamiętaniu, uciekał na skrzydłach przerażenia od tych krakań, tych szmerów, szelestów i szumów, ale one natrętne, łopotały mu coraz wyraźniej koło uszu, otaczały go kołem i zatrzymywały w biegu — i naraz książę uczuł, że opada na jakieś miękie łożo mchów i szeleszczących liści, że zaczyna mu być dobrze, miękko i świeżo, swobodnie, lekko, że drzewa jakieś jakby nad nim się kołyszą, a cichy wiatr je owija szumiącym technieniem, chłodzi mu rozpaloną głowę rzeźwiącym powiewem, przymyka oczy, odurza, usypia i pieści i głaszcze i jakby chłodnymi listkami dotyka i całuje...

Aż wreszcie przedziwne szumy otoczyły go rozkosznymi falami zapomnienia.

I było, jakgdyby rozszalała się nad nim olbrzymia, jednostajna ulewa, kiedy to równe potoki spadają z chmur ciężkich i nabrzmiąłych, aż świata z poza nich nie widać, a huczą głucho poprzez świszczące szumy dalekie odgło-

sy niknących w mokrych mgłach gromów i toczą się gdzieś niewidzialnie, a groźnie, w urywanych podrygach, aż zmilkną i znowu znienacka zahuczą i znowu zginą w straszliwej ulewie, jakby pochłonięte przez wodę.

I było, jakgdyby mu tuż koło uszu toczyły się górskie potoki po ostrych kamieniach i spadały od czasu do czasu, ryczące i spienione, ciężkimi wodospadami w głębokie kotliny skalne, i zdawały się tam coś mruścić głuchym szeptem i rozpowiadać półgłosem, i lkać i śmiać się i szlochać.

A było też, jakby nieprzeliczone hufce wojsk konnych w wichrowym pędzie dudniły kopytami po wielkich, drewnianych mostach, a szumiały i trzepotały się w wietrze tysiące chorągwi, proporców, skrzypiały i huczały wozy wojenne, a upojeni zwycięstwem żołnierze wyli olbrzymimi głosami w zamęcie szalonej jazdy dziekie, niezrozumiałe pieśni tryumfalne.

I oto czuje książę w rozkosznym odurzeniu, jak przewalają mu się te burze ponad głową, czuje, jak odpoczywa wśród tego dalekiego szumu i zgiełku i jakby pograża się w cieplej kąpieli, jak nerwy jego natężone układają się sennie, leniwie, omdlale, jak bólem skamieniałe serce w nim roztaja, niby lody na wiosnę, jak szumy i gwary i huczenia stają się coraz uroczyście, coraz cichsze, a jednocześnie coraz wyraźniejsze... aż wreszcie książę przypomina — to lasy mu tak szumią nad głową, a wichry po nich przelatują potężne i szaleją wśród drzew rozkołysanych, oddalają się, powracają, znów giną i znów rozssemrane, tajemnicze, a tkliwe opowiadają mu dziwne, niezrozumiałe baśni, od których łyzy mu się cisną do oczu, łyzy tęsknoty i szczęścia...

I odróżnia już książę w tym szumie bezładnym majestatyczny, huczący poszum olbrzymich sosen i świerków, rozrosłych szeroko, czuje, jak się potężny wichor przeciska przez ich postrzępione gałęzie i świszczepo-nuro, rozdzierając się o gąszcz ostrego igliwia, i syczy chrapliwie, jakby olbrzymiemi westchnieniami gorączki,

kiedy to ciężki, a silny oddech ledwie że się przeciska przez spieczone gardło chorego, i syczy i świszczę i szumi jednostajnie i uroczyście, jakby przez kępy igieł gnał wściekłym huraganem pełne rzeki suchego, syckiego piasku — a sosny rozkołysane, silne, uderzają o siebie z swawolnem cmokaniem, całują się rubasznie w rozigraniu się wichrów.

I słyszy książę przerażające wycia, wołania, hurkotania, warczenia buków, dębów i grabów, widzi jak wszystkie ich liście, splecione w bezładne kupy, świecąc jasną podszevką, targają się w walce rozkosznej z naporem wiatru, aż wyprostują się dumnie i znowu płyną z wesołem świergotaniem na falach powietrza, i słyszy jak dzwonią metalicznymi liśćmi szerokie topole o lśniących gałęziach, jakgdyby przelewano przez nie dźwięczne, kryształowe strumienie, słyszy jak wichry ryczą w bezsilnem uniesieniu, rzucając rosochate, szumiące korony drzew na siebie—to znowu gdy uciszają się, oddalały te fale wichrów ponad drzewami, słyszy jak szeleszczą nieśmiało drobnymi listkami białe brzozy o rozwianych warokoczach, tak jakby zaszumiały falujące łany dojrzałego, suchego żyta w upalny dzień letni.

A potem powracają powoli i rosną poświsty, szумы i tajemnicze dudnienia wśród pni i sękatych gałęzi, las cały, dęby, sosny, wątle brzozy i leszczyny, topole, graby i buki rozchwiały się ponad mchami i paprocią, zdaje się, że to niewidzialne ręce targają niemi z rykiem i wściekłością, chcąc je oderwać od ziemi, że to olbrzymie potoki rozkołysanych wód spadają z nieba lawinami i przelewają się w ciężkich wodospadach przez drzewa, że to olbrzymie wojska duchów przedzierają się z krzykiem nadludzkiej boleści czy zwierzęcego tryumfu poprzez splecione gąszcze odwiecznej puszczy—i łamiąc gałęzie i rwąc garściami liście, tańczą straszliwe, wyuzdane tańce — a potem ulatują w lazurowe powietrze, ponad chmury, aż wołania ich zginą w oddali.

Aż wreszcie te rozgłośnie szумы rozkołysanych drzew leśnych ugasają powoli w nieogarniętej puszczy, jakby wsiąkały cichnącemi kaskadami w miękie, głębokie podziemia, jakby spadały po mchami porośniętych stokach gór niebotycznych, nakształt potężnych skał i kamieni, kiedy to ciągnąc szumiące stosy piargów i miału za sobą, wszystko leci z łomotem i dudnieniem w głuchych podskokach coraz niżej i ciszej, aż ugrzęźnie bezgłośnie w senem traw łożu, na dnie dolin — i tylko sypią się gdzieś niedaleko małe zbłąkane kamyczki i cicho dźwięczą o skały, tylko szumią i szemrzą dalekie, zamysłone strumienie, a taka święta cichość upowieje błękit gór szczytów, że słyszałbyś parowanie ziemi zmęczonej ku słońcu, słyszałbyś oddech gorących traw, zapach kwiatów, słyszałbyś szelest słonecznych promieni...

Umilkła puszcza. Las przycichł, przyciemniał. I tylko raz jeszcze uderzył drapieżny wichor po drzewach, ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem szaleństwa wżarł się w szumiące korony dębów, sosen i topoli i zahuczał strasznym, przeciągłym hukiem pożaru, kiedy to wściekłe płomienie gryzą się, warcząc i szarpiając się wzajem, a ciężkie belki płonących domów wał się z trzaskiem, sypiąc miljarady iskier, a szumią i syczą potoki wody i buchają kłębami białej pary, a krzyki pogorzalców tną powietrze, jak te krwawe języki ognia tną czarność noc — i nagle wszystko umilkło, zastygło. Tylko w dali bezmiernej, jakby na krajach puszczy, tylko wysoko, wysoko, na czubach drzew uciszonych, konają wspomnienia rozszalałej burzy, tylko przepływają po lesie jakby smętne, tajemne westchnienia rozmodlonych tłumów w olbrzymiej świątyni, kiedy to po odprawieniu modłów rozpacznie błagalnych słychać jeno żarliwe, najtajniejsze, najświętsze pragnienia, szeptane z zapartym w piersiach oddechem, szeptane duszą zbolalą i drżącym sercem skrąwionem... cichsze, niż siejba leż na kościelną posadzkę... niż unoszenie się dymów ze złotych kadzielnic...

Umilkła puszcza. Księżę wciąż słucha i słucha. Jeszcze drżą przerażone listeczki osiczyzny, jeszcze maleńka sikorka buja się na cieniutkiej gałązce tuż nad oczyma księcia, jeszcze migoce wysokie sklepienie liści na świeżym błękitie niebios, a płyną po niem leciuchno za chwiejącymi się cieniami szczytów drzew pajęcze puchy białych obłoczków—w dali bezmiernej.

Znajome księciu te drzewa, i te obłoki, i te trawy, i te paprocie, co go łaskoczą po twarzy...

— To mój las — szepcze cicho i głęboka, spokojna radość go ogarnia.

Podniósł się z ziemi — tak lekko, jakby miał skrzydła u ramion. Jakaś gałąź mu się otarła o głowę... Hej! — jakież on wysoki!... nie... on tak fruwa w powietrzu. Gdzieś pod czubami drzew lata. Pachną rozgrzane, rozrośnięte sosny. Na ich złotawej, potarganej korze świecą się w słońcu lepkie gruzelki żywicy. I gęstwa igieł pachnie surową, ostrą wonią. Tak swobodnie oddychać, taki bezmiar powietrza! —

Lekki wiatr go unosi — tak jakby mimo jego woli. Nie chciałby się zatrzymać, ale czuje, żeby nawet nie umiał. Widzi zdrowe, błyszczące, dziwnie ogromne liście dębów, gęstwiny buków i świerków, jak rozstępują się przed nim... On u siebie, u siebie... Oh, czy to tylko prawda?... oh, tak mu żal czegoś, tak żal — i taka radość rozszerza umęczone piersi.

On tak już nieraz latał. Pamięta doskonale. On zna tu każde drzewo, każdy kwiat, każdego ptaka. O, ten dzięcioł pstrokaty z czerwonym czubkiem na głowie, przestaje nagle kuć czarnym dziobem pień sosny, wpił się ostrymi pazurami w porytą bruzdami korę i patrzy na niego uważnie okrągłymi oczkami... Zatrzepotał przyjaźnie skrzydłami, podlatuje, przytula drżące ciało, coś krzyczy radośnie, ociera się, pieści...

A w dali otwierają się złocisto-srebrne przestrzenie. Jakby słońce wschodziło złotymi wrotami szczęścia. A z gęstwiny drzew nadlatują wesołe, barwiste ptaki, śpie-

wają, gwizdzą, ćwierkają, otaczają go kołem i lecą z nim razem tęczową chmurą aż tam, gdzie kończy się puszcza, gdzie widać, jak niezmierzone zwierciadło jeziora odbija przezroczystą, złotawo-srebrną kopułę niebios, w błękitie skapaną.

A ptaki rozsypują się w tych dalach przed księciem, migocą w ognistym świetle skrzydłami, jakby blaszki ciemnego złota ktoś rozrzucał po niebie... Te lekkie ptaki błyszczą zmiennymi barwy djamentów, toną w powodzi światła, podlatują wyżej i wyżej, już widać tylko delikatne iskierki, pyłki ruchliwe... znikają i one...

Ach, jakże tu szeroko księciu, jak lekko, jak cicho!... Zdaje mu się, że napowrót jest małym, szczęśliwym chłopcem i śni o tem, jak leci do nieba. Buja się w świetle, rosą pachnącem powietrzu... niebo nad głową ma, niebo pod nogami...

O rozkosz! —

Lecz oto już drugi, zarosły lasem brzeg. Nad wodą pochyla się stara, osiwiała brzoza, a wiotkie jej listeczki na końcach znękanych warkoczy drażnią iskrzącą się w płomienistym słońcu powierzchnię. A tam spróchniały pień dębu wtoczył się do jeziora i trupią czernią osmętnia radośną roztoz błękitów.

Cicha, zwierciadlana toń śpi jeszcze nieruchoma, tylko w jej głębiach coś kłębi się, coś przewala... tylko tam, gdzie lśni młodą zielenią leśna polanka, stanęło stado złotawo-brunatnych sarenek i aksamitnymi pyszczkami tworzy na wodzie kręgi. Ujrzały księcia, przestały pić, podniosły rogate główki, patrzą w niego zdziwione, tęskne — i nagle coś zakrzyczały cicho wszystkie razem — zakrzyczały, jakby ostrzegając go o czym...

A jego wieher silniejszy, coraz silniejszy unosi... Niepokój go ogarnia. Ach, czemuż tak szybko przelata?

Jaki wiosenny zagajnik... Ta rozkoszna zieloność zdaje się śpiewać o sile, o życiu — na cześć słońca. Rosną nieprzebytym gąszczem zawadjackie dębezaki, wsty-

dliwe brzozy, wysmukłe sosenki, szerokolistne leszczyny, olchy, jałowce, kaliny... Chwieją się niespokojnie... Zające migają w gęstwie. Gdzieś blisko wilgi gwizdzą — przeciągle, jak przed burzą. Przeleciał ociężały cietrzew — milcząco jak cień... Pachną tęgie liście. Pachnie wilgotna ziemia.

Ale i to mija, mija — coraz szybciej — jak sen...

Aż wreszcie rozpostarły się pod księciem ukochane łąki, niezmierzone, bujne, falujące, świeże zielenią, upojne ciepłą wonią soczystych traw, kwiatów tysiąca — łąki, po których gęstwie błdził tylekroć samotny — oh, oddech w nim obumiera ze szczęścia! — Oh, takby chciał się przytulić do tych kwiatów jak dziecko!... spłynąć ku nim...

Ach, coż to za siła tajemna unosi go ponad niemi... coż to za ciężka tęsknota mu pada na serce...

Ach, czemu teraz właśnie, kiedy mu tak lekko i cicho i świętecznie — czemu teraz właśnie na dnie serca owa drażniąca drobina bólu — ta a mała bezmiernie, że aż staje się ostrzem, a tak ciężka, że nawskroś by przenikła to rozbolełe serce, a jednak przerwać nie może obrzękłych, krwawiących się tkanek, tych drogich mu, wiotkich, drżących tkanek, pragnących umrzeć...

Silniej naciskaj, bólu! Rozerwij się serce! Przebij się, ostrze, niewidzialne jak pył, a tak ohydnie lepkie, tak cynicznie ukryte, tak bezlitośnie obce, tak natrętnie, rytmicznie a cicho ropiące ranę...

.... A wkoło niego parowały odurzającym zapachem, barwiły się tęczowym zagajem kwiaty, rozchwiane na wietrze. Z pośród traw wychylały dziecięce twarzyczki stokrocie, jak puch czerwonawy pokrywały je szczawie wysmukłe, patrzyły modremi oczyma niezabudki, kłaniały się dumnie księciu swojemu dziewanny, oddychały krwawą czerwonią gwoździki, ocierały mu się pieszczotliwie o nogi suche mietlice, złościły się jaskry, bieleły jakieś puszyste kity kwiatów bez nazwy, pachnące miodem — cały ten tłum traw i kwiatów tłoczył mu się u stóp,

witał radośnie, wznosił się ku niemu, rósł w oczach i — o dziwo! — przeistaczał się w ogród olbrzymich, nieziemskich roślin, które pięły się i ślizgały po nim, oplątywały mu nogi, chwytaly za szyję, czepiały się włosów... oto gwoździki stają się większe, niż czarne róże, fijołki niż astry, kaczeńce niż słoneczniki, mietlice to już prawie sosenki szarawo-srebrne...

Hej! — wstały te kwiaty z ziemi i idą ku niemu świetlistym lasem splatanym... jakby krwawe księżyce, pęki chmur białych, gwiazdy błękitne, gwiazdy ametystowe i złote słońca chwieją się na mięsistych, zielonych łodygach i zbliżają swe rozumne oblicza... ach tak! te rozumne, anielskie oblicza ku niemu, olśniewając oczy, chcąc otoczyć go, wplątać w siebie, chcąc coś krzyczeć, coś śpiewać... oh tak! — wyśpiewać tę dziką, odwieczną pieśń ziemi, tę pieśń tak potężną i straszną, że po niej umrzeć by trzeba, pieśń, o której śni się mocarzom w snach o nieśmiertelności, w snach niezapamiętanych, bo pamięć ich wpędza w szaleństwo...

Zimny dreszcz go przeniknął... tęskna, śmiertelna żądza obezwładniła członki... Jeszcze chwila...

Drgnęły trawy podniebne... zaszumiały okropnie...

Ale wichur go uniósł w przestrzenie, wyrwał przemocą z więzów potężnych gałęzi kwietnego lasu, wznosił go wyżej i wyżej w drżącej, ślepej tęsknocie, co snuła mu się z serca wiotkimi, krwawymi niemi, coraz wiotszemi, coraz boleśniej szemi niemi, co wlokły się za nim i czepiały tych kwiatów szumiących — a one wyprężyły się wtedy, wyciągnęły pochyłych ramion tyśiące aż pod chmury, zdawałoby się, że zastygły w podmuchu burzy, stężały w bezsilnej boleści — tam w dole, tam w oddali... już znikły w porannych mgłach...

Westchnął ciężko.

Szedł ku niemu z bezmiaru nieogarnięty lęk. Szedł z błękitnego nieba, z kłębiących się mgieł perłowych, z tych drzemających w głębi dolin, w ciszy porannej, miast i wsi, z własnej duszy.

I w tem błysnęło coś w dali, wśród mgieł. Hej! — to złociste szczyty wieżyc jego zamczyska! Tam jego miasto olbrzymie, jego lud, jego matka, jego wierna żona, jego drobne dzieci...

Prędzej lecieć, prędzej!... Już zaraz ujrzy ją, matkę... Siwą, jak zima, z oczyma pełnemi łez... z temi szaremi oczyma, co ciążą nadmiarem miłości i palą jak wyrzut i ciepłą falą jesiennego słońca pieszczą mu oczy i serce niemem pytaniem — co tobie? — A potem uczuje jej twardą, spracowaną dłoń, jak gładzi mu głowę dotknięciem, które weń życie wlewa, tem tkliwszem nad wszystko dotknięciem...

Oh, czemuż taki ból i przerażenie go dławi na tę myśl?... On kocha te dłonie... on pamięta, jak błdziły mu po włosach... takie silne i święte... takie odurzające rozkoszą... On wchłaniał je w siebie w zapamiętaniu — a one paliły jak ogień, jad mu wlewały w żyły...

Nie! — czyje to były ręce?! — Oh czyje? — kiedy? — gdzie? — — —

Kamienne, stężałe bólem oczy szaleńca zamajaczyły w białawej, żrącej mgle. Włosy zjeżyły mu się na głowie...

Nie, nie... to nie... już przeszło...

Przecież to pustka... on już na zamku... A tu głucha cisza... Tu niema nawet u wrót wartownika...

Spoczął ciężko na olbrzymim głazie, co leżał przed potężną bramą, kowaną z żelaza, ze sto razy odbitymi na niej wizerunkami orłów srebrzystych.

Miasto u stóp jego spało jakby umarłe. Na całym widnokręgu morze dachów i wieżyc strzelistych, opasanych szeroką, lśniącą wstęgą cichej rzeki. Ani obłoczka dymu, ani jednego przechodnia.

Śpi jego lud. Nikt nie wyszedł go witać.

Czemu wejście do zamku zawałone tym głazem?

Gdzie straż? gdzie wojsko? Dziwi to księcia.

Lecz dusza jego tak ocieślała nagle... oh, taka znużona...

Śpi jego lud. Nikt nie wie, że on tu czuwa nad nimi — on — pan ich i obrońca, on — krew ich krwi — ich ojciec, ich dusza, ich dłoń, ich serce...

Śmiertelna nuda owionęła mu lepką, wilgotną mgłą krwawiące serce.

To miasto — to jego dzieło. Ten cichy sen ludu — to jego znój, jego walki, jego myśli, jego potęga...

I co potem?

Tępa, bezwładna rozpacz oplatała mu duszę — jak ślizkie rośliny podwodne tonącego człowieka.

Co potem?... Grób?... Nuda?...

Ach nie!... A zresztą... wszystko to zniknie, zniszczeje, wszystko spłonie, rozpadnie się w popiół i gruzy — i dlaczego?

On wie — ach, on sam nie pojmuje dlaczego z taką oślepiającą jasnością wie, że tak się stanie.

Przeciwnie się leniwie...

Wtem uczuł, że ktoś był przy nim.

Obejrzał się raptownie. Za nim stało obdarte, krwią ociekające widmo — nie! — żywy człowiek w pogiętej, porabanej zbroi, w potwornej czapie z własnej krwi, płynącej mu na oczy — w czapie z własnej skóry, zdartej straszliwym jakimś cięciem z nagiego czerepu, z żyłastymi rękami, z których zwieszały się brudne strzępy rękawów. Chwiał się na nogach i patrzył w oczy dziko i szydlerczo. Czarne jego źrenice, z poza ciekących po twarzy rubinowych strumieni, przymrużały się ironicznie, to znów rozszerzały nadmiernie, błyskając z pośród czerwonych białek porywami szaleńczej nienawiści — aż wreszcie chrapliwy pomruk, jakieś głuche charczenie zarzężało mu w gardle i krwawa piana wystąpiła mu na usta.

Pochylił się ku księciu — i nagle w dzikim śmiechu runął na jego stopy, aż księżę zachwiał się, pochylił, chwycił go za bary, próbował coś mówić, coś krzyczeć, ale nie mógł głosu wydobyć — próbował podnieść powalo-

nego, który zanosił się od histerycznego śmiechu, ale nie miał siły — i nagle...

Nagle rozwarły się z trzaskiem tysiąca gromów ciężkie, żelazne podwoje zameczyska, rzeka nieprzeliczonych tłumów, wyjących z przerażenia, wylała się poprzez szerokie wrota, porwała księcia, niosła go przewracając się w tłoku, wrzeszczała niehumanicznymi głosami — ratunku! — uciekać! — uciekać!... wlokła go po ziemi... już depeche po nim, zadławi go, zetratuje...

I wtem oślepiające, krwawe światła zaświeciły mu w oczy, purpurowe dymy skłębiły się ponad głowami uciekających, jakby paliły się wszystkie lasy, wszystkie miasta wokoło, wilcze, zwycięskie wrzaski najdzikszego ludu na świecie zapanowały nad krzykiem mordowanych, nad syczeniem, warczeniem i trzaskiem pożogi, nad hukiem walących się domów — a potem wszystko runęło w przepaść — księżę uczuł, że leci w bezdeń — w szalonym wichrze — i nagle straszne wstrząśnienie — podskoczył — zerwał się... Przed nim latają płachty płomieni, spływają nań jakby fale roztopionego metalu, przepływają przez niego i wsiąkają w ziemię — jedno za drugim, z błyskawiczną szybkością — jedno za drugim, jedno za drugim...

Księżę chwieje się na nogach, ogłuszony, wpółoszałały — idzie naprzód w tem krwawem morzu, w ślepem przerażeniu, dotyka dłonią jakiejś szeleszczącej tkaniny, której chwycić nie można, pcha tę zaporę wprost przed siebie — zaporą cięży mu, ale usuwa się — błyska światło słoneczne...

Staje księżę i patrzy: jakieś czarne, przerażone postacie, przez które przebiegają jakby rude obłoki — coraz rzadsze i rzadsze... Dalej dogasające ognisko... Dalej białe namioty wśród drzew olbrzymiego lasu...

Gdzie on jest? Co się z nim dzieje?

Patrzy nieruchomo. Czyżby istotnie oszalał?

Przecież to rzeczywistość...

On widzi swój własny obóz... on zna tę polanę leśną, te drzewa, tych ludzi...

Jeszcze chwila, a stanie się coś strasznego, jakaś ohydna, lodowata larwa wypełznie mu z pod nóg i rzuci się na niego, pochłonie tych ludzi, ten las...

A może już stoi za nim?!

Obejrzał się raptownie, nerwowo, bez tchu w piersiach — i w rozszerzone oczy jego rzuciła się powódź krwawych blasków: Za nim gorzała królewska purpura w upalnym, oślepiającym słońcu olbrzymia ściana namiotu, falująca na wietrze, lśniąca wijącymi się węzami poprzecznych pasów ze złota, pasów utworzonych ze spletanych w kłęby smoków, ziejących złotymi ogniami.

Wpił się oczyma w tę zjawę. Ciche igielki lodu błdziły mu we włosach, orzeźwiające prądy przebiegały po nerwach...

— To rzeczywistość!...

I widział jeszcze, jak te szerokie, złote pasy, jedno nad drugim się wznosząc, ginęły wśród szczytów drzew, a tam, ponad ścianami purpury, rozsiadła się kopuła pękata, potężna kopuła, co kryła ongi pod sobą mocarzów Carogrodu.

Jeszcze nie wierzył swym oczom. Klujący ból czuł pod czaszką. Serce mu biło, waliło, rozpierało mu piersi.

Powiodł dłonią po czole. Rósł w nim rozkoszny niepokój. Oczy mu zwilgotniały, czuł, że wnet coś się stanie, że wnet będzie musiał coś spełnić, gdzieś iść...

— Tak, tak... już dzisiaj — już dzisiaj napewno... już zaraz...

Spojrzał błędnie wokoło. Wtem nogi zakołysały się pod nim.

— Zapóźno już? — co? — zapóźno? — zawołał chrypliwym, gardlanym głosem. Spałem, spałem nikczemnie, a tymczasem...

Podszedł kilka kroków, chwiejąc się, jak pijany. Nie! jeszcze nie nie pojmował... Zaledwie odczuwał, że

widzi, jak jego ludzie rozstępowali się przed nim ze czcią i trwogą, a ich dzikie, wychudłe, obrośnięte twarze spoglądały ponuro, wskazując go sobie oczyma.

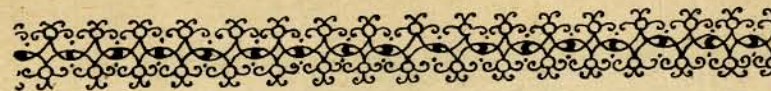
Chłód ogarniał księcia. Drżał na całym ciecie.

— Długo spałem? — długo? — zapytał świszczącym szeptem.

Nikt mu nie odpowiedział. Tylko gdzieś dalej, wśród drzew, mówił ktoś prawie głośno, tonem pogardliwego objaśnienia:

— Codzień tak bywa. Codzień wychodzi o tej porze, siada na koń i pędzi, jak opętany. Dziw, że dotychczas nie rozbił gdzie głowy o drzewa...

Ciąg dalszy nastąpi.



ROMAN KRECZMAR.

ZAGASŁO ŚWIATŁO...

Zagasło światło... A więc ręką chłodną
Przycisnąć czoło, co gorączką pali,
I z twarzą cichą, i z twarzą pogodną
Iść trzeba dalej...

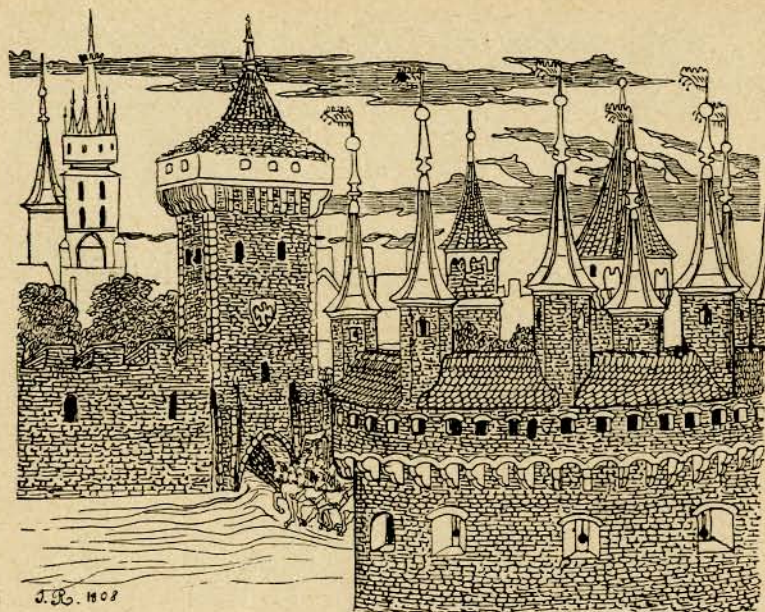
Gdy nic nie świeci wśród samotnej drogi,
W naszego życia czarną noc bezsenną
Zejdźmy bez czucia, bez bólu, bez trwogi,
Z piersią kamienną.

Już nie jak wonczas skroś ciernie i osty,
Za każdym błyskiem szczęścia brnąć przebojem,
Lecz iść przez szlak swój pusty, zimny, prosty
Z martwym spokojem.

Z martwym spokojem patrzeć, jak dokoła
Krwawym się szlochem rozdziera pierś bratnia,
Spokojnie patrzeć — boć na nasze czoła
Złożyła ręce ta chwila ostatnia...

A choć odeszła — przecież jeszcze słychać
Krok jej powolny, a ciężki, a głuchy,
I dotąd jeszcze niemocne oddychać —
Dotąd drżą duchy...

A choć odeszła — lecz ścielą się od niej
Mroki, i cieniów tłum coraz się mnoży...
Poza nią został blask zorzy zachodniej —
Ostatniej zorzy...



TADEUSZ KONCZYŃSKI: PIELGRZYMI.

DRAMAT W TRZECZ AKTACH.

A k t II.

(Noc na zamku wawelskim — podwórze u stóp katedry).

SCENA I.

(wpadają Mary).

MARA I.

Haha — on idzie! król!

MARA II.

i jego cień!

MARA I.

Ugościć go musimy! pokłonić się! uczcić!

PIELGRZYMI.

421

MARA II.

A gdzie ugościsz dostojnego pana, ukoronowanego?

MARA I.

tu, tu na kamieniach,
co będą go paliły — pośrodku tych murów,
co dusić go będą — na wicherze wyjącym,
który go obali, jak obala stare
spróchniałe grzyby — —

MARA II.

Hahaha — otóż idzie — otóż wlecze się!
on sam i jego cień! jaka piękna para!
hahaha!

MARA.

Dalej w skok! hop pod mur! ja tu, a ty tam!
by nas nie poznał!

MARA II.

Wiek cały już minął,
wiek cały się przewrócił, a my za nim w trop! —
starzy znajomi! huha! huhaha!

MARA I.

Cicho sumienie!

MARA II.

Cicho bądź, pamięci.

(Kryją się — wchodzi od strony miasta KRÓL STANISŁAW AUGUST, za nim jego CIEŃ, który niesie na swej głowie koronę).

SCENA II.

MARY, CIEN. KRÓL STANISŁAW AUGUST.

KRÓL STANISŁAW.

Zatem jestem tu znowu. Uciekłem tym psom,
co mnie ścigają. Zgubiły mój ślad
w tę beznadziejną noc!
o jakże ciężka była droga od granicy
hen ku granicy i znów od granicy
do granicy! przekleństwo! nie wiedziałem o tem,
iż lechicka korona miała tak bezbrzeżne
granice —
gdybym był wiedział przedtem, zanim mi koronę
włożono — byłbym —

CIEN.

Co byłbyś — ??

KRÓL.

Nie pomnę takiej nocy — tysiąc razy padłem
na ziemię, śpiesząc tutaj. A kiedym powstawał
i kłamię kamień, który mnie wyrócił,
kamień był zawsze trupem o polskim obliczu,
a trup otwierał oczy zbielełe i szeptał —
„precz, królu“ — o! — o!

CIEN.

Dlaczego precz?

KRÓL.

Ha, tyle trupów, zamiast traw, kamieni —
tyle płomieni a harczącego żaru

zamiast księżycy i gwiazd —
tyle wód zamiast łąk i pól i dróg —
jedno — jedyne morze! biada! biada!
ludzie umierają, stając się trupami,
i przestają płakać i drzeć —

CIEN.

A twój grób gdzie??

KRÓL.

Podpatrywałem ptaki — gniazda porzuciły
i uciekły poza tę noc —

CIEN.

A twój grób gdzie??

KRÓL.

Pioruny zbiły zboża, wody je zdusiły,
i już się nie kłopotczą zboża o swe ziarna —

CIEN.

A twój i mój grób gdzie??

KRÓL (myśli długo).

Tu będzie —
do znaku wyprę się mego królestwa,
byle mi dali posiąść grób,
lec i zapomnieć, żem był — — kiedykolwiek
czemkolwiek —

CIEN.

Tyle razy wygnali cię —

KRÓL.

Komu dziś można
odmówić grobu? czyliż mniej się trwożę
od człowieka, co umarł, od ptaka, co uciekł
lub od tych zbóż,
co są już tylko mierzwą?? bardziej od nich,
okropniej od nich — do cna przerażony
jestem i drzę —

CIEŃ.

Tyle razy wygnali cię —

KRÓL.

Będę ich kłął na wszystkie święte —

CIEŃ.

Tyle razy wygnali cię —

KRÓL.

łaski! litości!!

(pada na stopnie z płaczem).

MARA I.

Żebyś tak chodził wiek cały,
nic nie wychodzisz —

MARA II.

Próżno twe oczy płakały,
próżno zawodzisz —

MARA I.

Zaiste, żebrak i król
Hahaha —

MARA II.

Do samej ziemi się kul —
Hahaha —

MARA I.

Za ciężka była korona
dla ciebie —

MARA II.

więc lekko przyfrymarczona
w potrzebie.

MARA I.

A teraz, gdy kto twe imię
wywoła, drżysz i uciekasz

MARA II.

I mija zima po zimie,
a ty się w bólu zapiekasz,
hahaha!

MARA I.

Bój się, o bój,
bo serce zakrwawię!

MARA II.

Wycza! uciekaj! stój —
hahaha — królu Stanisławie —
(mary znikają).

KRÓL (wstaje przerażony).

Ktoś na mnie wołał po imieniu —
śmiech ucichł — tylko echo skrzeczy —
ktoś kładł mi rękę na ramieniu
i szeptał jakieś straszne rzeczy.

MARA I.

Wyczha! już idą! Królu Stanisławie
uciekaj! idą ludzie! rzuca błotem!

MARA II.

Wyczha! uciekaj! w bezwstydzie, w niesławie,
a łzy i płacze pozostaw na potem.

KRÓL.

Ludzie? o piekła — nie chcę spotkać ludzi —
wolę tę noc i ból, co mię truzi.

(odchodzi żywo w podwórze zamkowe, za nim
CIEŃ i MARY).

MARA I.

Wyczha! uciekaj!

MARA II.

Buch w wodę przez mur!

MARA I.

Zanim zapieje kur,
tych wód tak wiele będzie władco, panie,
że twa królewska mość rybą się stanie!

MARY.

Hahaha! — buch w wodę przez mur,
Wyczha! uciekaj! stój — wkrótce zapieje kur!



SCENA III.

STRÓŻE NOCNI.

STRÓŻ I.

Hej Pawle! bywaj co prędzej!
niema go — jakby wpadł w ziemię —
pewnikiem oberwał w ciemię —
od jakiej przekłetej jędzy.
Pawle, hej Pawle! na Boga!

STRÓŻ II.

A cóż cię trzęsie tak trwoga?

STRÓŻ I.

Na mieście nie stoją strażę,
Wszystkie ściągnięto nad rzekę —
naród się pcha przed ołtarze,
Bogu się zdaje w opiekę.
O — gdybyś widział te tłumy,
ten płacz, te szlochy, te szумы —

STRÓŻ II.

Więc Wisła idzie na Kraków?

STRÓŻ I.

Ludzie uciekli z baraków,
które wzniesiono dziś rano,
woda się wdarła tam —

STRÓŻ II.

Ano

źle bardzo! — żeby tam jeno
dziecek mi moich nie wzieno.

STRÓŻ I.

Zaś na ulicach pancerne
jakieś się chłopcy zjawili
i w trąby huczą co siły —
konie pod niemi niezmierne
w blachy okute świecące —
ponoś to jakieś są gońce,
jeno nikt nie wie od kogo.
Naród wylega tak mnogo,
ażem się ledwie przecisnął.

STRÓŻ II.

Może cesarscy dragoni?

STRÓŻ I.

Nie — takiej nie mają broni.
Widziałem, jak jeden błysnął
mieczem, miał skrzydła u ramion
i rąbnął chychotną marę,
z jej piersi wypuścił parę
i pognał hen, krwią poplamion.

STRÓŻ II.

Ha — bracie — chodźmy nad brzeg
mierzyć i patrzeć na bieg
tych wód okrutnych, co walą
o mury zamczyska falą —

(odchodzą ku miastu — z podwórza wchodzi SALOMEA z latarką w ręce i RAFAL).



SCENA IV.

RAFAL — SALOMEA.

RAFAL.

Zatem jesteśmy tu, gdzie śpi przeszłość narodu.
— — — — —

Bije Zygmunta dzwon.
Dzwon ten uderza we mnie takim bólem,
że drży mi serce —

Przestań huczeć, dzwonie,
bo pod naporem krwi pękną mi skronie.
Hahaha! tutaj na urągowisko
przywiodłaś mnie, bym ujrzeć mógł, jak nizko
upadł mój naród, który ma cmentarze,
ale popiołu nie sypie na twarze
ni kadłub — —

zniknij oczom moim,
bo zacznę bluźnić trupom.

SALOMEA.

Spełniłam powinność.

RAFAL.

Spełniłaś zbrodnię — byłem już
jak jeden z tych, co bez krzyku giną —
ostatek mej pamięci, którą zabijałem
życiem, byłby się w nurtach pograżył, jak kamień.
i więcej nie wypłynął, by myśleć i czuć —
a teraz żyję i czuję i patrzę
i dokonywa się we mnie coś niewypowiedzianego.

SALOMEA.

Wiem, wiem, ale to niewypowiedziane dokonywa się
nietylko w tobie —

RAFAŁ.

Po tysiąc razy gorzej, jeśli tak się dzieje —
bowiem nas będzie
tysiąc szalonych pół-ludzi, pół-duchów —
i zabijać będziemy spojrzeniem każdego,
w kim serce nie umiera ze wstydu! — Salómeo!
policz, ile to będzie sterczeć trupów polskich,
w których serca nie będą umarłe ze wstydu,
ale tylko z małości? —

SALOMEA.

Upamiętaj się —

RAFAŁ.

Precz z moich oczu wszyscy — ty i ludzie,
duchy i mary, śmierć i życie —
wszystko mi precz — ja sam tutaj trwam —
ja sam chcę mówić z nim, bowiem szaleję —

— — — — —
ogień mam w oczach zamiast łez —
ogień mam w żyłach zamiast krwi —
ogień mam w mózgu zamiast myśli

— — — — —
cierpię! o cierpię — szukam drogi —
łaknę ratunku dla nich —
precz z moich oczu! ty nic nie wiesz,
a ja zabijam wszystko to,
co jest nieświadomością!

łaknę wiedzieć!

Zbawienia—! cudu—! czynu—!

(przeraźliwa wichura zrywa się—chmury przelatują
obok nich, zasłaniają stopnie katedry—upiory wo-
dne przebiegają ze śmiechem tam i napowrót i ni-
kną co chwila z szyderczym śmiechem).

RAFAŁ.

Chcę wiedzieć — !!!

UPIORY.

Hahaha — !!

RAFAŁ.

Moce zniszczenia, gniewu, złości
i nienawiści — moce zatracenia —
szalejcie wkoło — drżałem kiedyś dawniej,
jako mdła trzcina — dziś tu stoję,
jak głaz na stepie!
Szalejcie — hahaha!
taniec dokoła mnie.
nie zamroczycie oczu moich,
co płaczą,
nie zabijecie serca, które kocha — —
ja trwam, a wy szalejcie—ja trwam, bowiem cierpię,
a wy nienawidzicie cierpienia!

UPIÓR I.

Dalej rzućmy mu pod nogi

wody kłęb — !

UPIÓR II.

jeden, drugi, trzeci!

Hahaha!

RAFAŁ.

Precz! precz! kto się tu śmieje, że płaczę i kocham—?

UPIÓR I.

Dalej toczmy bryły wód —
pod nogi mu! — krzyknij! padnie! zginie!

RAFAL.

Ja człowiek proch,
pytam tego,
który się mieni Panem świata —
niech mi odpowie—kędy droga w przyszłość???
ku krwiom? ku szubienicom? ku białym kościom
przez grób trzy razy otwarty?
tylko ku temu??
Odpowiadaj ty, który się ukryłeś
za tym pomrokiem! jestem silny tem,
że łaknę wiedzieć!
i choćby śmierć przyszła i wszystko wybiła
ja będę trwał!!
Milczysz — ?? takżeś jest słaby tem, że nie wiesz?

UPIORY.

Potop na Polskę — góry wód —!
gdzie życie—śmierć, gdzie śmierć—tam odmetry —
Potop na Polskę — potop — potop — !!
Hahaha —

RAFAL.

Przekleństwo tobie — niebosiężny tchórz! —
ja człowiek jestem, ale tym sztyłem
wyrąbię sobie drogę przez te ciemnie
i ciebie znajdę i w oczy ci spojrzę
i zamorduję — oczami człowieka —
precz wy ciemności — precz chmury —
sztyłem drogę wyrąbię
tędy — ku Niemu — !!

UPIÓR.

Potop na Polskę — potop — potop — !!

RAFAL.

Precz! precz wy mary! idę tam!!
ku Niemu!! precz.!

(szamota się z upiorami — pada na stopniach katedry. Salomea bierze go w ramiona. Drzwi katedry otwierają się — dwaj trębacze trąbią — dwaj paziowie świecą pochodniami — zjawia się Herold).

SCENA V.

CIŻ, HEROLD, KRÓL STANISŁAW.

HEROLD.

W imieniu królów, co stroskane głowy
tu w katakumbach katedry złożyli,
w imieniu wielkiej, a umarłej chwili
wzywam na świadków w przybytek grobowy
tych wszystkich, którzy chcą rzucić na szalę
nieskazitelne serce swe i żale.

(Trębacze trąbią).

Wiek idzie drugi, odkąd rok po roku
Król-upiór z jękiem i ze łzami w oku
u bram tych staje i błaga o trumnę,
aby w niej złożyć bezwstydną, niedumną
serce, za którem wlecze się niesława.

RAFAL.

O kim on mówi? nad kim sąd ten będzie?

SALOMEA.

Mówi o widmie Króla Stanisława
Augusta —

RAFAL.

O smutny obrzędzie.

HEROLD.

Dzisiaj, w ten klęski czas,
co zwala święty bór,
ze szczytów strąca głąz
ramieniem chmur
i w rozszalały chaos polskie życie wtrąca,
nieukojona níczem, krwią pachnąca —
dzisiaj, gdy naród obłąkany
z bólu, porzuca wsie, miasta i łany
i gna oślepy przed się, by ratować życie,
niech się to widmo zjawi na sąd prawowicie —
niech w płaszczu władcy przed przeszłości siłą
stanie i rzecze, jakie to są prawa
do zbożnej trumny króla Stanisława.

(Trębacz trąbią).

(wchodzi król STANISŁAW, za nim CIEN jego, który
wkłada mu koronę na głowę i znika).

SALOMEA.

Patrz, patrz, Rafale — to on idzie —
słania się w kroku —

RAFAL.

Oczami nas śledzi —

SALOMEA.

Zakrywa czoło —

RAFAL.

bo czoło ma z miedzi —

SALOMEA.

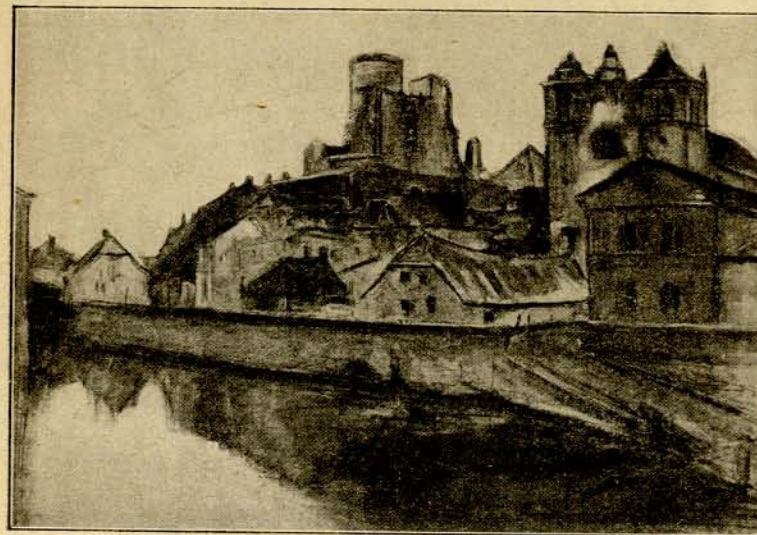
Wstydzie —! o wstydzie!

RAFAL.

Idzie i nawet nie śmie nas zapytać,
czy Polak winien swoje króle witać.
Ból zre mi piersi — haniebna purpura
łoży mi cisnęła do ocz i wspomnienia —
chodźmy w głąb za nim — ból się rozprzestrzenia
we mnie i w jego ślad gna, jak wichura.
Stanę przed mocą królów i zaknę ich sąd,
by odtrącili go precz tak, jak trąd.

(idą oboje za królem po stopniach).

(Wpadają upiory).

Ciąg dalszy aktu drugiego nastąpi.



WIERSZEM...

Wierszem do Ciebie dzisiaj list napiszę,
Z raj u na miejskie wypędzony bruki.
Ty raj masz jeszcze, masz spokój i ciszę,
Mnie—ludzie szarpia, jak krwiożercze kruki,
Co zranionego opadły jelenia...
Ach, wiem!... Tak trzeba dla synów nauki,
Dla interesów, o których wciąż słyszę,
Lecz położenia to wcale nie zmienia.
Źle mi bez Ciebie, bez wsi... Więc w rozgwarze
Miasta o raj u utraconym marzę.

Z okna za ledwie skrawek widzę nieba
I nie wiem nawet, czy Mars jeszcze świeci,
A tak niedawno—czyż mówić potrzeba! —
Szukaliśmy go na niebie, jak dzieci,
Do których jeszcze gwiazd się śmieją oczy
I którym same kwiaty rodzi gleba.
Dziwne to życie! Jak szalone, leci
I gdzieś nas w przepaść tajemniczą toczy.
Lecz niech tam! Byle — za losów rozkazem —
Wtrąciło nas w nią nieprędko i — razem.

Wiesz, droga moja, może ja się mylę,
Lecz sądzę, że kto na pustyni świata
Chwil pięknych wspólnie — jak my — przeżył tyle,
Tego już żadna nie rozłączy krata:
W obliczu *chwili najpiękniejszej* stanie
Przy Tobie duch mój i, w mogilnym pyle
(Z którym się tylko duch poziomy brata)
Nie grzęznąc wcale, nowe niespodzianie
Gdzieś stąd daleko obierze siedlisko...
Na Marsie może, choć i tam — za blisko...

Tymczasem jednak wołałbym z gwiazdami
I z planetami nie wchodzić w zażyłość.
Niech Mars wysoko gdzieś świeci nad nami,
A tu — na ziemi — niech nam płonie miłość
I niech nam jeszcze serca grzeje ciepłem.
Pragnąłbym, byśmy znów bładzili sami
W noc księżycową, a wszelka zawiałość
Życia, z obliczem suchem, bladym, skrzepłem,
Niech nam chwil pięknych już nigdy nie kradnie,
Niech, jak zła mara, zginie i przepadnie!

Razem!... Ach, gdzieśmy już razem nie byli!
Jakie nas razem nie nosiły fale!
Pamiętasz? Słońce na zachód się chyli
I po pustyni swe krwawe korale
Rozrzuca dłonią hojną, przebogata.
Pamiętasz, droga? Mnie pamięć nie myli...
Dziśbym odtworzyć umiał doskonale
Tej zimy obraz, co była jak lato,
I — zda się — widzę, jak w zachodniej stronie —
Za Nilem — w słońcu piramida płonie.

Albo — jak palmy strzelają w niebiosy,
Albo — jak białe płyną *dahabije*...
Wspomnienia takie bywają jak rosa.
Jak kwiat spragniony, człowiek rosę pije

I znów do życia odrodzony staje,
Aby brnąć przez nie, póki śmierci kosa
Zlekka o jego nie zawadzi szyję
I nie przeniesie w Elizejskie gaje,
Do których jakoś, choć źle w ziemskim domu,
Pilno z żyjących bywa — rzadko komu.

A Wezuwiusza dymy czy pamiętasz?
I szum tej fali, co o brzeg nasz biła?
Lub ten na Capri cichy, mały cmentarz,
Gdzie wabić każda zdaje się mogiła,
Gdzie — zda się — miło tak złożyć już głowę,
Wszystkich spraw ludzkich zrobiwszy inwentarz?
Gdzie nawet zeschłej ziemi szara bryła
Zda się od innych lżejszą o połowę —
Tak, że — na serce spadłszy — nie zacięży
Więcej od ciemnych, nadmogilnych węży,

Albo zielonych jaszczurek, co skaczą
Wśród grobów, mącąc powagę cmentarną
Zabawą miłą, dziarską, lecz — prostaczą
I — niestosowną... Tak, morału ziarno
Rzuciwszy między proste wiersze swoje
(Niech mi je oczy Twe dobre wybaczą),
Obracam dalej strofy nowej żarno
I o ubiegłych chwilach jeszcze roję,
O chwilach, które przepędzałem z Tobą
Nim los rozłaki okrył mnie żałobą...

Lecz poco szukać daleko? Ach, powiedz,
Bo pytam o to, jak znużony drogą,
Spragniony wody krynicznej wędrowiec,
Czy — gdym już odszedł w atmosferę wroga —
Ta sama ptaków gromadka wciąż gości
W ogrodzie naszym? Czy każdy manowiec
Ma ten sam wygląd i czy wciąż tak błogo
Dusza się pluska w ciszy, w samotności?

Czy cudne astry wciąż po klombach kwitną,
Odziane biało, czerwono, błękitno?

I czy nad stawem wierzby wciąż tak samo
Zielone włosy kąpią w mętnej toni
I otaczają staw grającą ramą?

A w stawie karaś srebrnołuski goni
Swą zdobycz lichą, lecz wędki unika...
I powiedz jeszcze, czy często przed bramą
Widujesz małe stadko naszych koni.
Czy Faworyta po ogrodzie bryka?
Czy biała Muszka po dawnemu szczeka
Na Ciebie, gdy Cię zobaczy zdaleka?

I czy tak samo noce księżycowe
Srebrzą nam cały dom, wyspę i drzewa?
A żab orkiestra wciąż koncerty nowe
Daje w dwóch stawach, strumień z cicha śpiewa
Jakaś odwieczną piosenkę tęsknoty...
I czy tam — w parku — słychać nocą sowę,
Która żałośnie jęczy, niby mewa,
Ale — polując — wbija szponów groty
W ptaszki, jakgdyby w Berlinie słuchała
Rad wymownego bardzo — generała?

Ach! I co szumią nasze lipy stare?
Czy żadna, żadna o mnie nie wspomina?
A może czasem widzisz białą marę,
Co przy księżycu wędrowkę zaczyna,
Albo, na staw się wykradłszy na łódce,
Zanurza w wodzie srebrnych wiosł parę
I ginie w mroku... O wszystkim, jedyna,
Powiedz mi, napisz! Oczekuję wkrótce
Tych wiadomości i — na tem już kończę.
A szlę te kartki przez gołębie gończe...

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.



ŻNIWO ŚMIERCI.

ZYGMUNT NOSKOWSKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

„De mortuis nil nisi bene“.

Zmarł, nie dokończywszy dzieła, które dla znających jego indywidualność nie pozostawiało wątpliwości, że temat był obrany szczęśliwie. Mamy na myśli „Zemstę“ z tekstem Fredry. Już sam wybór wskazywał, że ś. p. Noskowski był wyrazicielem życia polskiego i polskiej wsi, że nie był artystą wyrafinowanym w swej inteligencji, lecz muzykiem „naiwnym“ (w Schillerowskim tego słowa znaczeniu), idącym za głosem temperamentu i szerokiej swobody, nie zaś refleksyjnego artyzmu; pomimo bowiem opanowania dość znacznej wiedzy, tworzenie z aparatem tego wszystkiego, co jest kwestją *kunsztu* muzycznego, było Noskowskiemu obce. Gdy tworzył dzieła bardziej „skomplikowane“, czynił to raczej z ambicji i chęci pokazania, że, od bardzo dawnych czasów licząc, jestto pierwszy polski muzyk, gruntownie wykształcony. Utwory jego o fakturze „uczonej“ nie przedstawiają mimo to takiej wartości, jak owe bardziej przystępne. Refleksywny bowiem pierwiastek nie był właściwy jego indywidualności; stąd kunsztownie opracowane niektóre utwory odznaczają się daleko mniejszą naturalnością i szczerością, niż bardziej skomplikowane tych kompozytorów polskich (zwłaszcza młodszych) i obcych, którym wrodzony jest zmysł refleksyjny. Tu należy oczywiście rozdzielić dwa pojęcia, u nas często zamieniane ze sobą, a więc nie rozumiane; co innego jest wielka wiedza muzyczna, a co innego wprawa techniczna w kompozycji. Noskowski jednoczył obydwie dary: pierwszy trzymał w odwodzie, ostatni wyzyskiwał — jakkolwiek nie bez jednostronności i braku ekonomii artystycznej.

Łatwość techniczna, zamiłowanie w niekrępowaniu się żadnymi principjami artystycznymi, łatwość produkowania melodyjnego, wychowanego na ludowej melodji (in crudo zazwyczaj), pozwalały mu służyć swej sztuce, raz dlatego, że jej służyć chciał, a powtóre — los największej ilości muzyków polskich, — że jej służyć musiał.

ZYGMUNT NOSKOWSKI.

441

Czy to czynił zawsze z przekonania — wątpię o tem należy, jeśliby bowiem tak było, sztuka jego nie posiadałaby reputacji dobrej. To pewna, że zmuszony był często tworzyć bez istotnego twórczego popędu — to znaczy właśnie być polskim muzykiem: a więc rozdrabniać swe siły na rzeczy małe, zamiast skupiać je dla rzeczy wielkich. Ale tak... naród chciał i tak chce. Później pisze się w nekrologach o „niezmordowanej energii“, zamiast nazwać to po imieniu — t. j. mordowaniem talentu. Stanowisko muzyka polskiego daje rzadko możność skupienia energii twórczej i tych wszystkich czynników, które wydać mogą *dzieło*. Co więcej — nawet wśród najlepszych warunków tworzenia — nie brak okoliczności, wpływających na to, aby dzieło mogło zawierać ustępy problematycznej wartości; tu właśnie daje się we znaki polski charakter i polski temperament, lubiący wszelkie krańcowości, przeczucy się z jednej ostateczności w drugą — nie kroczący nigdy drogą pośrednią. Oto brak żelaznej woli i energii charakteru. Za to nie odpowiada nikt osobiście; cierpi cały naród, a więc i jego jednostki. Tylko aliaż krwi może doprowadzić do rezultatów wspaniałych (Chopin!). Ten dziwny dystrakt, w polskiej naturze leżący, objawiał się w dziełach Noskowskiego w sposób taki, że pewne ustępy są traktowane zupełnie szkiecowo lub też nieproporcjonalnie w swej długości wzgl. zwięzłości, inne zaś są opracowane niemal barokowo pod względem kontrpunktycznym. W formie jest Noskowski zupełnie poprawnym, o ile trzyma się klasycznych wzorów; forma wolna, której poprawność zależy li tylko od powiązania psychologicznego wewnętrznych przyczyn, nie odpowiadała jego naturze — w razie posługiwania się nią wpadał w pewne sprzeczności, temperament unosił go zbyt daleko, tem bardziej, że, jak pisze jeden z przyjaciół zmarłego artysty, „nie lubił poprawiać swych kompozycji; jakie nuty spadną mu z pióra na papier, takie już pozostają bez zmiany“. Stąd nieraz jest twardy w modulacjach, ostry w harmonjach i niedość śpiewny w melodjach. W ostatnich utworach ujawnił wprawdzie więcej staranności w opracowaniu i wygładzeniu technicznem; szkoda tylko, że zapóźno przypomniał sobie o mądrej radzie łacińskiej: „*saepe stilum vertas*“. Każde dzieło Noskowskiego dowodziło wielkiego talentu, wiele kompozycji odznaczało się tem, że dowodziły i znacznej wiedzy. Niewiele, kilka zaledwie utworów posiada cechy tej *miary artystycznej*.

nej, która sprawia, że niejedna kompozycja posiada trwalszą wartość, niż utwór, tryskający strumieniem inwencji. Do takich wartościowych dzieł Noskowskiego należy „Step“ (poemat symfoniczny w formie *uvertury*), „Morskie Oko“ i pewne ustępy z innych dzieł (zwłaszcza kameralnych). Wspomniana powyżej szybkość w produkowaniu sprawiła, że mnóstwo kompozycji pograżył czas w otchłani zapomnienia, choć trzeba przyznać, że sława i wzięcie Noskowskiego polegało na popularyzowaniu lżejszych utworów; większych i poważniejszych nie znano, choćby z powodu trudności czysto fizycznych (mało drukowanych partycji i niezbyt częste wykonywanie). Te popularne dziełka (zwłaszcza fortepianowe), choć nie posiadające żadnych danych w osądzeniu talentu kompozytora, były zdrowym pokarmem młodzieży muzykującej i narażonej na obcowanie z tandetą, zwłaszcza niemieckich fabrykantów popularnej muzyki, rozpowszechnianej u nas nie tylko przez księgarnie, ale i pisemko, korzystające z braku konwencji literackiej między Rosją i innymi państwami i przedrukujące „salonowe“... śmieci, zwane „nowościami“. Podobnie jak opery, tak i pieśni i chóry Noskowskiego, nie odznaczały się dążeniami nieuchwytnymi dla przeciętnej publiczności; mimo wielkiej ich liczby, zaledwie kilka posiada trwalszą wartość, ale i one niech nadal będą osłoną przed najazdem niemieckich tanich wyrobów (...lodenów muzycznych), które protegują u nas pewne towarzystwa chórowe.

Jak już powyżej powiedzieliśmy — „Step“ jest najlepszą kompozycją Noskowskiego, która zapewnia mu piękną kartę w dziejach naszej muzyki — niemniej piękną jest jego owocodajna działalność pedagogiczna, dzięki której nie tylko sami młodszy kompozytorowie nasi, ale i ogólna muzykalność polska zyskała bardzo wiele. Zaskługi te pokryją pewne wady, jak dziwne wyrzeczenie się indywidualności, brak poczucia potrzeby własnego, jasno skryształizowanego stylu i pewien eklektycyzm. Znaczenie Noskowskiego w naszej muzyce jest dlatego poważne, że rozpoczął serię muzyków, uzbrojonych w zasób znacznej wiedzy i wzbogacił naszą ubogą liczebnie literaturę symfoniczną dziełami lepszymi, niż te, co przed nim u nas pisano. Niestety, niema nikogo u nas, któryby go zastąpił na stanowisku pedagoga, choć są u nas tacy, którzy co do wiedzy mistrza swego przewyższyli.

Cześć pamięci jego!

DR. A. CHYBIŃSKI.



Konkurs poetycki „Sfinksa“.

Na konkurs poetycki imienia Juliusza Słowackiego, ogłoszony przez redakcję „Sfinksa“, nadesłano sześćdziesiąt osiem utworów, a mianowicie:

„Antońjusz“—godło: Niby-grek. „Białe kwiaty“—godło: „Niech żywi nie tracą nadziei“. „Cień wolności tułaczy“—godło: „Kolumnowym czołom“. „Córa Kraka“ — godło: „Złamiesz — nie zegniesz!“. „Czarny książę“—godło: „We mnie jest moc płomieni, co rozerwane zwiąże“. „Czerwony kwiat“—godło: Maki. „Dzbany“—godło: Krakuska. „Dzieje królewskie“—godło: Ekimum. „Fragment z epepei“—godło: Ananke. „Hanka“—godło: Którakolwiek trzęć lutni mojej strunę, dzwoni, jak lzy sierot o matczyną tranę. „Janek i Helenka“—godło: „Che sarà, sarà!“. „Jaśko bandyta“—godło: „Piotr Karaluch“. „Jesienią“—godło: „Świt“. „Karmeluk“—godło: „Miej serce i patrzaj w serce“. „Kwiat paproci“—godło: Tomir. „Liberum veto“—godło: Szanfary. „Luciferus“—godło: „Awator“. „Marja Tiffenhaus“—godło: „Bielecki—Żmija“. „Mirabilia“—godło: Dolorosa. „My“—godło: „Z tych serc omyjcie rdzę—podnieście czoła!“. „Nad Wartą“—godło: „Sursum corda!“. „Nieśmiertelny“ — godło: „Nieśmiertelny“. „O cudownej perle“ — godło: Fabula amoris. „O Jadwidze królowej“ — godło: Wawel. „Ostatni promień“—godło: „Sapho“. „Pani potrójna“—godło: Neo-mythos. „Pan Rębalski“—godło: „Leliwa“. „Podróż w Pireneje z Paryża“—godło: Stylizacja. „Pieśń o rycerzu“—godło: „Ignis ardens“. „Potępiony“—godło: „Niech żywi nie tracą nadziei“. „Przebudzenie“—bez godła. „Przez mgły“—godło: Orion. „Przyjaciele“—godło: „Temat i dawny i współczesny“. „Pszemica“—godło: „W. E. Z. D. 101. „Romantyk“ — godło: „Cuique suum“. „Rybak“ — godło: „Myli się ten, kto sądzi, iż narodowość poezji zależy na opisywaniu narodowych wypadków; wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którym trzeba szukać duszy narodu lub duszy świata.—I to jest moja poetyczna droga“. „Samson“—godło: „Serce“. „Sen o ziemi“ — godło: „Ziemia“. „Sen o mocy“—godło: „Jutrzenka różanopalcą“. „Sen tatrzański“ — godło: „Adest“. „Sobotnia góra“—godło: „Z ludum

wyszła—w lud idę“. „Śpiew o witeziu Baku“—godło: „Wanda Victrix“. „Świt“—godło: „Nemo propheta in sua patria“. „Talizman“—godło: „Zasypię źródłane kryształ—i skona palma w piekielnym upale“. „Tęsknota hetmana“—godło: „De profundis animae“. „Twardowski“—godło: „Nos w trójkacie“. „Tych dwoje“—godło: „Postawmy myśli serdeczne nad nami“. „Trąd“—godło: „Olita“. „U stóp Chrystusa“—godło: „Czahary“. „Walgierz i Helgonda“—godło: „Obcięte skrzydła nie starczą do lotu“. „Wanda“—godło: „Orliczek“. „Warneńczyk“—godło: „Rok 1444“. „W błękitnym lesie“—godło: „W pożarze niebios“. „Wzasy kosowskie“—godło: „Maczuga“. „Westalka“—godło: „Trybun“. „Wiatr halny“—godło: „Promień X“. „Wieczyste śluby“—godło: „Nad poziomym!“. „Wizje“—godło: „Spero“. „W ostatni wtorek“—godło: „Le beau pour le crapaud c'est sa crapaude“. „Wspomnienie“—godło: „Kres“. „Wybrzeża!—Morza!“—godło: „Ludwik Rostalski“. „Viola d'Amore“—godło: „Romeo“. „Zdzisław“—godło: „Pałac“. „Z nowego Testamentu“—godło: „La mefiance est la mère de la sureté“. „Zwiedziona“—godło: „Też“. „XV“—godło: „Sursum corda!“—Bez tytułu—godło: „Lux“. — Bez tytułu—godło: „Trzynasty“.

Sąd konkursowy, do którego należą Bronisław Chlebowski, Ignacy Chrzanowski, Aureli Drogoszewski, Ignacy Matuszewski, Władysław St. Reymont, Józef Weyssenhoff, oraz redaktor „Sfinksa“ Władysław Bukowiński, rozpoczął już swe czynności pod przewodnictwem prof. Bronisława Chlebowskiego. Obowiązki sekretarza objął red. Wł. Bukowiński.



KSIĄŻKI NADESŁANE.

Powieści i nowele. Balzac „Fizjologia małżeństwa“, przełożył Boy. Kraków, 1909. G. Gebethner i Sp., Kraków, Gebethner i Wolff, Warszawa.—Chelmski Ludwik „Wrzasy“, Warszawa, 1909. Skład główny u Gebethnera i Wolffa.—Mar. J. St. „Historja dwojga ludzi i jednego filistra“, tomy XXII i XXIII „Nowości Literackich“, Warszawa, księgarnia Sadowskiego. — Neuwert - Nowaczyński Adolf „Małpie zwierciadło“, satyry. Wydanie drugie zmienione. Lwów, B. Połoniecki. Warszawa, E. Wende i Spółka, 1909. — Perzyński Włodzimierz „Nowele“. Lwów, B. Połoniecki. Warszawa, E. Wende i Sp., 1909. — Poe E. A. „Nowelle“. Przekład B. Beaupré. Kraków, 1909. — Płomieńczyk Iwo (Maryla Wolska) „Dziewczęta“. Nowele. Nakład Tow. Wydawniczego. Lwów, 1910. — Przybyszewski Stanisław „Dzień sądu“ („Synów ziemi“ część wtóra). Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i Sp., 1909. — Szczepański Ludwik „Król powietrza“. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909.

Poezja. Kantor Józef „Tatry w poezji polskiej“, zebrał i ułożył... Nakład księgarni M. Gustowicza w Jarosławiu. 1909.—Smolik Przemysław „Po drodze“. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909.—Sulkowski Artur „Szał“. 1909.—Zaleski Bohdan „Wybór poezji“, ułożył Józef Kallenbach. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i Sp., 1909.

Dramat. Krzywoszewski St. „Przywódca“, dramat w 3 aktach. Skład główny E. Wende i Sp. Warszawa, 1909.—Leszczyński Edward „Atlantyda“. Skł. gł. G. Gebethner i Sp. Kraków, 1909.—Perzyński Włodzimierz „Idealisci“. Trzy jednoaktowe fragmenty sceniczne. Lwów, B. Połoniecki. Warszawa, E. Wende i Sp., 1909.—Zapolska Gabryela „Skiz“, komedia w 3 aktach. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp., 1909.

Studja i szkice literackie. Dr. Hahn Wiktor „O życiu i dziełach Juliusza Słowackiego“. Nakład księgarni F. Westa w Brodach, 1909. — Dr. Juliusz Kleiner „Studja o Słowackim“. Nakład Tow. Wydawniczego. Lwów, 1919.—Kotarbiński Józef „Pogrobowiec romantyzmu“, rzecz o Stanisławie Wyspiańskim. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1909.—Lorentowicz Jan „Młoda Polska“ II. Stanisław Przybyszewski, Wł. St. Reymont. Tom XIX i XX „Nowości Literackich“. Warszawa, Księgarnia Sadowskiego 1909.

Adama Mickiewicza „Nieznane Pisma“ (1817—1823) z archiwum Filomatów wydał Józef Kallenbach. Kraków, Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1910.

Studja naukowe. Abramowski Edward „Les Illusions de la Mémoire“, Travail du Laboratoire de Psycho-physiologie de l'Université de Bruxelles, 1909.—Brückner Aleksander „Filologia i Lin-

gwistyka". Szkic polemiczny. Lwów, H. Altenberg, 1908. — „Dzieje myśli". Historia rozwoju nauk, tom II, zeszyt 2, ogólnego zbioru tom XIII. Wydawnictwo A. Hefflicha i Michalskiego. Warszawa, Skł. gł. u Centnerszvera i Sp., 1909. — Faguet Emil „Liberalizm". Lwów, H. Altenberg. Warszawa E. Wende i Sp., 1909. — Dr. Kobyłecki St. „Interpelacje psychologiczne". Warszawa, E. Wende i Sp., 1909. — Kurnatowski Jerzy „Moralność i życie", tom XVIII „Nowości Literackich". Warszawa, księg. S. Sadowskiego, 1909.

Historja. Dubiecki Marjan „Młodzież polska w uniwersytecie kijowskim przed r. 1863". Kijów, nakład księg. L. Idzikowskiego, 1909. — Kraushar Aleksander „Wolność druku i dziennikarstwo warszawskie w czasach Listopadowych 1830—31". Warszawa-1909. — Szelągowski Adam „Z dziejów współzawodnictwa Anglii, i Niemiec, Rosji i Polski". Nakład Tow. Wydawniczego, 1910.

Sztuki plastyczne. Poznański Czesław „Rzeźba francuska XIX i XX wieku". Nakład H. Altenberga we Lwowie. Warszawa, E. Wende i Sp., 1909.

„Symposion". Wydawnictwo pod redakcją Leopolda Staffa: 1) Platon „Uczta", dialog o miłości, przełożył Wł. Witwicki; 2) Leopardi Jakub „Myśli", przełożył Józef Ruffer, 3) Walter Pater „Wybór pism", przełożył St. Lack. Nakład księg. polskiej B. Połonieckiego. Lwów. Warszawa, E. Wende i Sp., 1909.

Podróże. Bełza Stanisław „Z mojego pobytu w Finlandji". Nakład „Ziarna". Warsz., 1909. — Warnkówna Jadwiga „Wśród skogów Szwecji i fiordów Norwegji". Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909.

Pedagogika. Dr. Jaroszyński „Z psychologii i higieny wychowania". Warsz., E. Wende i Sp., 1909. — Key Ellen „Matka i dziecko". Warsz., księg. Powszechna, 1909.

Hygiena. Baytel Franciszek „O własnościach leczniczych promieni słonecznych. Warsz., Gebethner i Wolff, 1910. — Dr. Tchórznicki „Pożar zębów u dzieci". Warsz., 1909.

Publicystyka. Ks. Gnatowski Jan „W kwestji żydowskiej". Warszawa, Gebethner i Wolff. — Rzymowski W. „Szaniec Wolnej Myśli", wyd. „Myśli niepodległej", 1909. — Szukiewicz W. „O kreacji". Księgarnia Powszechna, Warszawa, 1909.

Varia. M. Tadeusz „Urywki z listów i pamiętnika ucznia". Kraków, G. Gebethner i Sp., 1909.

